

Jean-Christophe GRANGE

Kamienny krąg

JEAN-CHRISTOPHE GRANGE to najpopularniejszy francuski autor thrillerów. Urodził się w 1961 roku w Paryżu. Swoją działalność zawodową rozpoczął jako dziennikarz, publikując cykl reportaży naukowych w czasopiśmie Le Figaro. W 1994 roku zadebiutował powieścią *Le vol des cigognes* (Lot bocianów), ale międzynarodową sławę przyniosła mu druga książka *Purpurowe rzeki* (1998). Spośród 2 milionów sprzedanych egzemplarzy, aż pół miliona rozeszło się we Francji. Powstał też głośny film w reżyserii Mathieu Kassovitz z Jeanem Reno w roli głównej, zaś Grange zaczęto porównywać z Thomasem Harrisem i Marianem Cobenem. Kolejne powieści, *Kamienny krąg* (2000), *Imperium Wilków* (2003) i *La Ugnę noire* (2004 - bestseller # 1 we Francji), potwierdziły niezwykłą popularność pisarza - jego książki ukazują się w milionach egzemplarzy w ponad 20 językach. Grange pisuje też oryginalne scenariusze filmowe - spod jego pióra wyszedł m.in. scenariusz do wyświetlanego w Polsce filmu „Vidocq”. Za prawa do sfilmowania *Imperium Wilków* otrzymał 1.1 mln euro.

Polecamy powieści Jean-Christophe'a Grange

PURPUROWE RZEKI

KAMIENNY KRĄG IMPERIUM WILKÓW

Wkrótce

LOT BOCIANÓW CZARNA LINIA

Jean-Christopher

GRANGE

Imperium Wilków

Z francuskiego przełożył **SŁAWOMIR KOWALSKI**

Strona internetowa Jean-Christophe'a Grange: www.jc-grange.com

WARSZAWA 2005

Tytuł oryginału: *L'EMPIRE DES LOUPS*

Copyright © Editions Albin Michel S.A. 2003

All rights reserved

Copyright © for the Polish edition

by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2005

Copyright © for the Polish translation by Sławomir Kowalski 2005

This edition published by arrangement with Literary Agency „Agence de l'Est”

Redakcja: Teresa Wróblewska Konsultacja medyczna: dr nauk med. Marcin Szulc

Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski Projekt graficzny okładki: Andrzej

Kuryłowicz

ISBN 83-7359-178-8

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk

Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa

tel./fax (22)-631-4832, (22)-632-9155, (22)-535-0557

www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy

Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa Internetowe księgarnie wysyłkowe:

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.vivid.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS ANDRZEJ KURYŁOWICZ

adres dla korespondencji: skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: B.M. Abedik S.A., Poznań

Dla Priscilli

N O

— Czerwony.

Anna Heymes czuła się coraz bardziej nieswojo. Badania nie wiązały się podobno z żadnym niebezpieczeństwem, ale myśl o tym, że w tej właśnie chwili ktoś czyta w jej umyśle, napawała ją głębokim niepokojem.

— Niebieski.

Leżała na metalowym stole, pośrodku sali pogrążonej w półmroku, z głową wsuniętą do centralnego otworu okrągłej, białej maszyny. Tuż nad jej twarzą umocowano ukośnie lustro, na którym wyświetlały się kolorowe kwadraty. Miała po prostu głośno mówić, jakie kolory widzi.

— Żółty.

Przez igłę kroplówki sączył się powoli do jej ramienia jakiś płyn. Doktor Eric Ackermann wyjaśnił jej pokrótce, że jest to rozcieńczony kontrast, pozwalający lokalizować przepływy krwi w jej mózgu.

Pojawiły się kolejne kolory. Zielony. Pomarańczowy. Różowy... Potem lustro zgasło.

Anna leżała bez ruchu, z ramionami ułożonymi wzdłuż tułowia jak w sarkofagu. Z lewej strony widziała wodnistą poświatę blasku, docierającego ze szklanej kabiny, w której znajdowali się Eric Ackermann i Laurent, jej mąż. Wyobrażała sobie, jak obaj siedzą przed ekranami kontrolnymi i przyglądają się działaniu jej neuronów. Czuła się śledzona, obrabowana, niemal zgwałcona w najintymniejszej sferze osobowości. W słuchawce rozległ się głos Ackermanna: — Bardzo dobrze, Anno. Teraz kwadraty będą się poruszać. Twoim zadaniem jest po prostu określić kierunek ich ruchu; za każdym razem możesz użyć jednego tylko słowa: prawo, lewo, góra, dół.

Figury geometryczne zaczęły się przesuwać, tworząc pstrą i płynną mozaikę, przywodzącą na myśl ławice maleńkich rybek. Powiedziała do mikrofonu:

— Prawo.

Kwadraciki skierowały się ku górnej krawędzi lustra.

— Góra.

Test trwał kilka minut. Mówiła powolnym, monotonnym głosem, popadała w stan otępienia. Odczucie ciepła potęgowało odrętwienie, zaczęła ogarniać ją senność.

— Doskonale—powiedział Ackermann. — Teraz usłyszysz tę samą historię, opowiedzianą na kilka różnych sposobów. Słuchaj każdej wersji bardzo uważnie.

— Co mam mówić?

— Ani słowa. Po prostu słuchaj.

Po kilku sekundach w słuchawkach rozległ się kobiecy głos. Przemawiał w jakimś obcym języku, może bliskowschodnim lub azjatyckim.

Chwila ciszy. Teraz po francusku, ale bez zachowania składni, czasowniki w bezokoliczniku, nieodpowiednie rodzajniki, brak łączy międzywyrazowych...

Anna próbowała zrozumieć coś z tego bełkotu, ale oto rozpoczynała się kolejna wersja. Pośrodku zdań pojawiały się słowa nie mające ze sobą żadnego związku. Co to wszystko miało znaczyć? Nagle przestrzeń pomiędzy jej skroniami wypełniła się ciszą, pogrążając ją tym głębiej w ciemnościach panujących wewnątrz urządzenia.

Po chwili znów rozległ się głos lekarza: — Kolejny test. Usłyszysz nazwy krajów, podawaj nazwy stolic każdego z nich.

Zanim Anna zdążyła przytaknąć, w słuchawkach rozległ się głos:

10

— Szwecja. Odpowiedziała bez namysłu:

— Sztokholm.

— Wenezuela.

— Caracas.

— Nowa Zelandia.

— Auckland. Nie: Wellington.

— Senegal.

— Dakar.

Nazwy stolic przychodziły naturalnie, bez wysiłku. Odpowiadała odruchowo, ale zarazem cieszyła się, że idzie jej to tak łatwo; jej pamięć mimo wszystko działała całkiem sprawnie. Ciekawe, co Ackermann i Laurent widzieli na ekranach? Jakie obszary mózgu aktywowały się podczas tego badania?

— Ostatni test — oznajmił neurolog. — Zobaczysz twarze, masz powiedzieć, do kogo należą, jak najszybciej.

Kiedyś przeczytała w jakiejś książce, że prosty znak — słowo, gest, przedmiot — może uruchomić mechanizm fobii; psychiatrzy nazywają to bodźcem lękowym. W jej przypadku samo słowo „twarz” było takim sygnałem i wystarczało, by poczuła się nieswojo. Zaczęło jej być duszno, rozboleł ją brzuch, ze-sztyniała i poczuła palące dławienie w gardle...

Na zwierciadle pojawił się czarno-biały portret kobiety. Jasne loki, kapryśnie wydęte wargi, pieprzyk nad ustami. Łatwe:

— Marilyn Monroe.

Fotografia ustąpiła miejsca rycinie. Mroczne spojrzenie, kwadratowa szczęka, trefione włosy.

— Beethoven.

Twarz okrągła i gładka jak cukierek, nacięcia dwojga skośnych oczu.

— Mao Tse-Tung.

Zdumiewało ją, że rozpoznaje twarze z taką łatwością. Mi-chael Jackson, Gioconda, Albert Einstein... Pojawiali się jak lśniące obrazy magicznej latami. Odpowiadała bez wahania, lęk zaczął ustępować.

Nagle jednak pojawił się portret, wobec którego była bezradna; mężczyzna około czterdziestu lat, o dość młodym jeszcze

11

wyglądzie i nieco wylupiastych oczach. Jasne włosy i brwi dodatkowo wzmagały wrażenie młodzieńczej nieporadności.

Przenikliwy strach przeszył ją jak elektryczny wstrząs, niemal fizyczny ból. Te rysy budziły jakieś skojarzenia, lecz nie wiązało się z nimi żadne nazwisko ani konkretne wspomnienie. Czarna dziura w pamięci. Gdzie mogła widzieć tę twarz? Jakiś aktor? Piosenkarz? Przygodny znajomy? Portret znikł i pojawiła się podłużna twarz mężczyzny w okrągłych okularach. Z trudem wykrztusiła:

— John Lennon.

Teraz pojawił się Che Guevara, ale Anna krzyknęła:

— Eric, zaczekaj.

Kolejna twarz, autoportret van Gogha, lśniący od barw. Anna pochwyciła dłonią mikrofon:

— Eric, proszę!

Obraz nie znikł tak prędko jak poprzednie. Anna czuła ciepły odblask kolorów na skórze.

— O co chodzi? — spytał Ackermann po chwili milczenia.

— Kim był ten człowiek, którego nie rozpoznałam?

Nie odpowiedział. Na lusterku pojawiły się oczy Davida Bowie. Uniosła głowę i spytała głośniejszym głosem:

— Eric, zadałam ci pytanie. Kto to był?

Obraz zgasł. Przez sekundę jej oczy przyzwyczajały się do ciemności, a potem zobaczyła w pochylonym prostokącie swe odbicie: bladą i kościstą twarz martwej kobiety.

— To był Laurent, Anno. Laurent Heymes, twój mąż.

— Od jak dawna zdarzają ci się te zaniki pamięci? Anna nie odpowiedziała.

Dochodziła dwunasta, badania

trwały całe przedpołudnie. Prześwietlenia, skanery, rezonans magnetyczny, w końcu badania w tym cylindrycznym urządzeniu. Czuła się pusta, wyczerpana, zagubiona. Wystrój gabinetu nie poprawiał jej samopoczucia: podłużny pokój bez okna, zbyt jasno oświetlony, zarzucony segregatorami, leżącymi na metalowych półkach i na podłodze. Obrazki wiszące na ścianach przedstawiały odsłonięte mózgi, ogolone głowy pokryte wypunktowanymi liniami, jakby przygotowane do rozcięcia. Tylko tego brakowało...

— Od jak dawna, Anno? — powtórzył Eric Ackermann.

— Od ponad miesiąca.

— Dokładniej. Pamiętasz, kiedy to się zdarzyło po raz pierwszy?

Jasne, że pamiętała. Jak mogłaby o tym zapomnieć?

— Czwartego lutego. Rano. Wychodziłam z łazienki i w korytarzu spotkałam Laurenta. Szedł właśnie do pracy. Uśmiechnął się do mnie. To był wstrząs, nie wiedziałam, z kim mam do czynienia.

— W ogóle?

— Przez moment. Potem wszystko mi się w głowie ułożyło.

— Opisz dokładnie, co czułaś w tamtej chwili.

13

Wzruszyła ramionami, okrytymi czarnym szalem o złotawym połysku.

— To takie dziwne, ulotne odczucie. Takie, jakby to zdarzyło się już kiedyś wcześniej. Niepokój trwał przez mgnienie oka (strzeliła palcami), potem wszystko wróciło do normy.

— Co wtedy pomyślałaś?

— Że jestem przemęczona.

Ackermann zapisał coś w notesie, leżącym na stole.

— Opowiedziałaś o tym Laurentowi?

— Nie. Wydawało mi się, że to nic poważnego.

— A drugi raz?

— Po tygodniu. Kilkakrotnie.

— Za każdym razem chodziło o Laurenta?

— Tak, zawsze.

— Ale w końcu go rozpoznawałaś?

— Tak. Tylko że w miarę upływu czasu zdawało mi się... nie wiem, trwało to jakby coraz dłużej.

— Wtedy mu opowiedziałaś?

— Nie.

— Dlaczego?

Skrzyżowała nogi i ułożyła szczupłe dłonie na spódnicy z ciemnego jedwabiu niby dwa ptaki o bladych piórach.

— Pomyślałam, że to tylko pogorszy sprawę. A poza tym... Neurolog popatrzył na nią, jego rude włosy odbijały się w lśniącej oprawce okularów.

— A poza tym?

— Niełatwo opowiedzieć coś podobnego swojemu mężowi. Czula obecność Laurenta, stał za nią oparty o żelazną szafkę.

— Laurent zaczął być dla mnie kimś obcym.

Lekarz chyba zrozumiał jej zakłopotanie, bo zmienił temat.

— Czy masz kłopoty z rozpoznawaniem innych twarzy?

— Czasami — powiedziała z wahaniem w głosie. — Ale bardzo rzadko.

— Na przykład kogo?

— Okolicznych sklepikarzy. Także w pracy. Nie rozpoznaję niektórych stałych klientów.

— A przyjaciele? Wzruszyła ramionami.

14

— Nie mam przyjaciół.

— Rodzina?

— Moi rodzice nie żyją. Mam tylko kilku wujów i kuzynów, nie mieszkają w Paryżu. Nigdy ich nie odwiedzam.

Ackermann znowu coś zapisał, rysy jego twarzy nie wyrażały żadnych emocji, jakby były zatopione w pleksiglasie.

Anna nie znosiła tego człowieka. Był przyjacielem rodziny Laurenta i odwiedzał ich czasem, ale zawsze pozostawał zimny jak lód. Ożywiał się tylko wtedy, gdy ktoś poruszał temat dotyczący jego badań — mózgu, mapy mózgu, ludzkiego systemu poznawczego. Wtedy zmieniał się nie do poznania, stawał się podniecony, rozentuzjasmowany, gestykułował długimi rękami porośniętymi rudym włosom.

— Tak więc najczęściej masz trudności z rozpoznawaniem twarzy Laurenta? — podjął.

— Tak. Najbliższej mi osoby. Twarzy, którą widuję najczęściej.

— Czy miewasz innego rodzaju zaburzenia pamięci? Anna przygryzła dolną wargę. Zawahała się przez chwilę i odpowiedziała:

— Nie.

— Zaburzenia w orientacji przestrzennej?

— Nie.

— Zaburzenia mowy?

— Nie.

— Czy sprawia ci trudność wykonywanie niektórych ruchów? Nie odpowiedziała, uśmiechnęła się z przymusem.

— Myślisz o Alzheimerze, prawda?

— Tylko sprawdzam.

To była pierwsza rzecz, o której Anna pomyślała. Zaczęła więc wertować książki medyczne i dowiedziała się, że zaburzenia w rozpoznawaniu twarzy są jednym z objawów choroby Alzheimera.

Tonem, jakiego używa się, przemawiając do dziecka, Ackermann dodał:

— To prawie niespotykane w twoim wieku. Poza tym, rozpoznałbym tę chorobę już po pierwszych badaniach. Choroby neurodegeneracyjne powodują charakterystyczne

zmiany w bu-
15

dowie mózgu. Tym niemniej muszę ci zadawać te wszystkie pytania w celu ustalenia diagnozy, rozumiesz? Nie czekając na odpowiedź, powtórzył:

— A więc masz trudności z wykonywaniem niektórych ruchów czy nie?

— Nie.

— Zaburzenia snu?

— Nie.

— Odrętwienia bez wyraźnej przyczyny?

— Nie.

— Migreny?

— Zupełnie nie.

Lekarz zamknął notes i wstał. Jakoś nie mogła się przyzwyczać do tego, że przy wadze około sześćdziesięciu kilogramów miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu. Lekarski fartuch wisiał na nim jak na wieszaku.

Był rudzielcem absolutnym i płomiennym. Skórę pokrywały jasnobrazowe plamy, widoczne nawet na powiekach. Wąskie szkła okularów w metalowej oprawce podkreślały jego ostre rysy.

Na jego ascetycznej twarzy czas jakby się zatrzymał. Był starszy od Laurenta, miał już koło pięćdziesiątki, ale dalej wyglądał młodo. Pojawiające się zmarszczki nie zdołały zmienić jego wyglądu. Tylko ślady po ospie na policzkach dowodziły, że miał za sobą jakąś przeszłość.

Mijały sekundy, lekarz w milczeniu przechadzał się po gabinecie. Nie wytrzymała:

— Na miłość boską, co mi jest?

Neurolog poruszył dłonią w kieszeni fartucha, coś zabrzęczało metalicznie.

Pewnie klucze, ale brzmiało to jak dzwonek oznajmiający początek wykładu.

— Pozwól, że najpierw ci wyjaśnię, na czym polegał ostatni test.

— Najwyższy czas.

— Przyrząd, którym się posłużyliśmy, to tomograf pozy-tronowy. Specjaliści nazywają go petscan. Działa na zasadzie pozytronowej tomografii emisyjnej, w skrócie PET. Dzięki niej możemy obserwować strefy aktywności mózgu w czasie rze-

16

czywistym, badając ukrwienie poszczególnych części narządu. \V twoim przypadku chciałem przeprowadzić coś w rodzaju przeglądu ogólnego, sprawdzić funkcjonowanie kilku najważniejszych obszarów mózgu, których położenie jest nam znane. A więc postrzeganie wzrokowe, mowa, pamięć.

Anna przypomniała sobie kolejne testy. Kolorowe kwadraty, historia opowiedziana na kilka różnych sposobów, nazwy stolic. W tym kontekście sens poszczególnych ćwiczeń stał się dla niej jasny, ale Ackermann ciągnął z zapalem:

— Na przykład mowa. Wszystko rozgrywa się w płacie czołowym. Obszar ten dzieli się na podsystemy odpowiedzialne za rozpoznawanie dźwięków, słownictwo, składnię, znaczenie, brzmienie i intonację — wskazał palcem na czoło. —

Współdziałanie tych stref pozwala nam rozumieć słowa i posługiwać się nimi.

Dzięki różnym wersjom mojej historyjki pobudziłem w twojej głowie każdy z tych systemów.

Wciąż przemierzał ciasne pomieszczenie, tam i z powrotem, zasłaniając i odsłaniając obrazki wiszące na ścianie. Anna spostrzegła dziwny rysunek, przedstawiający kolorową małpę o wielkich ustach i ogromnych rękach. Pomimo halogenowych lamp czuła zimny pot na plecach.

— No i co? — zapytała cicho.

Rozłożył ręce w geście, który miał być pocieszający.

— No i wszystko w porządku. Ośrodki mowy, wzroku, pamięci. Wszystkie obszary aktywują się w normalny sposób.

— Tylko nie wtedy, gdy pojawia się portret Laurenta. Ackermann pochylił się nad biurkiem i obrócił w jej stronę monitor komputera. Anna zobaczyła cyfrowy obraz mózgu. Przekrój poprzeczny na zielonym tle; wewnątrz było całkowicie czarne.

— To jest twój mózg podczas obserwacji fotografii Laurenta. Żadnej reakcji.

Żadnych skojarzeń. Żadnych danych.

— Co to oznaczał

Neurolog wyprostował się i znów wsadził ręce do kieszeni, wypiął pierś, przyjmując teatralną pozę. Nadeszła chwila wygłoszenia werdyktu.

— Myślę, że mamy do czynienia z uszkodzeniem mózgu.

— Uszkodzeniem?

17

— Uszkodzeniem strefy rozpoznawania twarzy.

— Istnieje taka strefa... twarzy? — spytała Anna oszołomiona.

— Tak. Jest to zespół neuronów specjalizujących się w tej funkcji; znajduje się w prawej półkuli, w pobliżu centralnej części płatu skroniowego, z tyłu mózgu. System ten został odkryty już w latach pięćdziesiątych. Osoby, które padły ofiarą wylewu w tym miejscu, nie rozpoznawały twarzy. Ód tego czasu, dzięki petscanowi, udało nam się zlokalizować ten ośrodek jeszcze dokładniej. Wiemy na przykład, że jest on szczególnie rozwinięty u „fizjonomistów”, osób nadzorujących wejścia do klubów czy kasyn.

— Ale ja rozpoznaję większość twarzy — próbowała się spierać. — Podczas testu zidentyfikowałam wszystkie portrety.

— Wszystkie, oprócz portretu twojego męża. I to jest ważna wskazówka.

Ackermann złączył dwa palce wskazujące, dotykając nimi ust w geście zadumy.

Kiedy nie był zimny jak lód, przemawiał tonem napuszonym i górnolotnym.

— Są dwa typy pamięci. Jedna przechowuje wiedzę nabytą w szkole, a druga to, czego doświadczamy w życiu codziennym. Te dwie pamięci mają odmienny sposób funkcjonowania w mózgu. Myślę, że w twoim przypadku zawodzi połączenie pomiędzy ośrodkiem odpowiedzialnym za rozpoznawanie twarzy a tym, w którym dokonuje się ich porównywanie z twoimi osobistymi wspomnieniami. Jakieś uszkodzenie zakłóca tę łączność. Rozpoznajesz Einsteina, a nie rozpoznajesz Laurenta, którego twarz przechowywana jest w twoich archiwach osobistych.

— Da się to jakoś wyleczyć?

— Jak najbardziej. Postaramy się przenieść tę funkcję do innej, zdrowej części twojego mózgu. Jedną z wielkich zalet mózgu jest jego elastyczność. W tym celu będziesz musiała poddać się reedukacji, czemuś w rodzaju mentalnego treningu, co będzie wymagać regularnych ćwiczeń i odpowiedniego wsparcia farmakologicznego. Ton jego głosu był zbyt poważny jak na dobrą wiadomość.

— Więc w czym problem? — spytała Anna.

18

— Nie znam przyczyny uszkodzenia. Muszę przyznać, że w tej kwestii jestem bezradny. Nie ma śladu żadnego guza czy anomalii neurologicznej. Nie uległaś urazowi czaszki, nie przeżyłaś udaru, który spowodowałby niedokrwienie tej części mózgu. Trzeba będzie przeprowadzić kolejne badania, bardziej inwazyjne, które pomogą nam sprecyzować diagnozę.

— Jakie badania?

Lekarz usiadł za biurkiem i popatrzył na nią oczami pozbawionymi wyrazu.

— Biopsja. Pobierzemy mikroskopijny fragment tkanki korowej.

Anna przez chwilę nie rozumiała, potem na jej twarzy pojawił się wyraz przerażenia. Odwróciła się do Laurenta, ale spostrzegła, że jej mąż wpatruje się uważnie w Ackermanna. Strach zmienił się w gniew. Byli w zмовie, decyzja dotycząca jej losu została już podjęta, pewnie z rana.

— Nie ma mowy — powiedziała drżącym głosem. Neurolog uśmiechnął się po raz pierwszy. Miał to być

uśmiech dodający jej odwagi, ale sprawiał wrażenie sztucznego.

— Nie musisz się niczego obawiać. Przeprowadzimy biopsję stereotaksyczną. Do tego celu używa się sondy, która...

— Nikt nie będzie grzebał mi w mózgu.

Anna wstała i owinęła się szalem — kruczymi skrzydłami przeplatany złotą nitką.

— Nie możesz tak tego traktować. Eric zapewnił mnie...

— Jesteś po jego stronie?

— Obaj jesteśmy po twojej stronie — powiedział Ackermann.

Cofnęła się o krok, by objąć wzrokiem obu tych hipokrytów.

— Nikt nie będzie grzebał mi w mózgu — powtórzyła pewnym głosem. — Wolę całkowicie stracić pamięć albo zdechnąć od tej choroby. Moja noga więcej tu nie postanie.

Uniosła głos aż do histerycznego krzyku.

— Nigdy więcej, słyszycie?!

Przebiegła pusty korytarz, potem schodami w dół i zatrzymała się w wejściu do budynku. Poczula, jak chłodny wiatr pobudka krążenie krwi pod jej skórą. Światło słoneczne zalewało dziedziniec. Anna pomyślała o pozbawionym ciepła i liści na drzewach lecie, które zamrożono, żeby lepiej się przechowało.

Nicolas, kierowca, zauważył ją i wysiadł z limuzyny, żeby otworzyć drzwi. Anna pokręciła głową. Drżącą ręką wyciągnęła z torebki papierosa, zapaliła go i zaciągnęła się głęboko gorzkim dymem.

Instytut Henri-Becquerel mieści się w zespole czteropiętrowych budynków otaczających patio obsadzone drzewami i zbitymi krzewami. Brunatne, szare i różowe fasady przyozdobione były groźnymi ostrzeżeniami: NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP

WZBRONIONY; WSTĘP TYLKO DLA PERSONELU MEDYCZNEGO; UWAGA! NIEBEZPIECZEŃSTWO. W

tym cholernym szpitalu wszystko wydawało się wrogie, nieprzyjazne!

Jeszcze raz głęboko zaciągnęła się papierosem, smak tytoniu uspokoił ją nieco, jakby cały jej gniew spłonął w tym maleńkim ogieńku. Zamknęła oczy i skupiła się na odurzającym zapachu dymu.

Usłyszała kroki za plecami.

Laurent minął ją bez jednego spojrzenia, przeszedł przez

20

dziedziniec, otworzył tylne drzwi samochodu i czekał na nią, postukując w asfalt wyglansowanym trzewikiem. Na jego twarzy malowało się napięcie. Anna wyrzuciła swojego marlboro j podeszła do niego. Wsunęła się na pokryte skórą siedzenie.

Laurent obszedł samochód dookoła i usiadł obok niej. Kiedy dopełnił się ten milczący rytuał, kierowca włączył silnik i ruszył po podjeździe, powoli i z godnością.

Przy czerwono-białym szlabanie, u wejścia, stało kilku strażników w mundurach.

— Chciałbym odebrać mój paszport — powiedział Laurent. Anna popatrzyła na swoje ręce, wciąż drżały. Wyciągnęła z torebki puderniczkę i przyjrzała się twarzy w owalnym lusterku. Niemal spodziewała się, że zobaczy ślady na skórze, jakby jej wewnętrzne wzburzenie miało siłę uderzenia pięścią. Ale nie, ta sama gładka twarz o regularnych rysach, ta sama bladość, czarne włosy ostrzyżone na Kleopatę, te same ciemnobłękitne, lekko skośne oczy, które mrużyły się powoli, z kocią miękkością. Laurent pojawił się znowu. Szedł pochylony, przytrzymując na wietrze kołnierz czarnego płaszcza. Niespodziewanie poczuła falę ciepła. Pożądania. Patrzyła na niego: jasne włosy, wyraz oczu, zmarszczki na czole... W geście, jakim przyciskał do siebie połę płaszcza, była jakaś niepewność. Wyglądał jak zalękniony chłopiec, którego nieśmiałość zupełnie nie pasowała do posiadanej przez niego władzy wysoko postawionego funkcjonariusza. Na przykład, kiedy zamawiał koktajl i szczegółowo opisywał, ile i jakich składników sobie w nim życzy. Albo kiedy wsuwał obie dłonie między uda, z uniesionymi ramionami, kiedy było mu zimno lub gdy czuł się niepewnie. Właśnie ta delikatność podobała jej się w nim najbardziej, jego słabości tak kontrastujące z jego pozycją. Ale co jeszcze w nim kochała? Co jeszcze pamiętała?

Laurent znów usiadł obok niej. Szlaban uniósł się, przejeżdżając obok strażników. Laurent zasalutował. Ten gest na nowo rozdrażnił Annę, pożądanie zniknęło. Zapytała ostrym głosem:

— Po co tutaj tylu gliniarzy?

— To są wojskowi — poprawił ją Laurent. — Żołnierze. Samochód włączył się do ruchu. Plac generała Leclerca

21

w Orsay był malutki, starannie uporządkowany. Kościół, meros-two, kwiaciarnia, wszystko na swoim miejscu.

— No więc po co ci wojskowi? — zapytała z uporem.

— Z powodu izotopu tlenu-piętnaście — odpowiedział roztargnionym tonem.

— Czego?

Nie patrzył na nią, postukiwał palcami w szybę.

— Tlenu-piętnaście. Kontrastu, który wprowadzono ci do krwi podczas badania. To substancja radioaktywna.

— Wspaniale.

Laurent odwrócił się do niej, starał się mówić uspokajającym tonem, ale wyraz jego oczu zdradzał poirytowanie.

— To nic groźnego.

— Nic groźnego? W takim razie po co strażnicy?

— Nie udawaj głupiej. We Francji wszystkie badania, do których używa się substancji radioaktywnych, nadzorowane są przez CEEA. Komisję do spraw Energii Atomowej. A CEEA to wojskowi, i już. Eric musi współpracować z armią.

Anna zaśmiała się nerwowo.

— Co znowu?

— Nic. Tylko, że musiałeś znaleźć jedyny szpital w Ile-de-France, w którym jest więcej mundurów niż białych fartuchów.

Wzruszył ramionami, wyjrzał przez okno. Samochód wyjechał już na autostradę biegnącą doliną Bievre. Ciemne plamy lasu, brąz i czerwień, wzgórza aż po horyzont.

Znów się zachmurzyło, w oddali biała poświata zdołała się przebić przez ciemne kłęby, wiszące nisko nad ziemią. Wydawało się jednak, że lada chwila promienie

słońca wezmą górę i rozświetlą krajobraz.

Jechali w milczeniu przez ponad kwadrans. Laurent odezwał się znowu:

— Musisz zaufać Ericowi.

— Nikt nie będzie grzebał mi w mózgu.

— Eric wie, co robi. To jeden z najlepszych neurologów w Europie...

— I twój przyjaciel z dzieciństwa. Powtarzałeś mi to tysiąc razy.

— Masz szczęście, że się tobą zajmuje. 22

— Nie będę jego królikiem doświadczalnym.

— Królikiem doświadczalnym? — rozdzielał sylaby. — Kró-li-kiem? O czym ty mówisz?

— Ackermann mnie obserwuje. Moja choroba go zainteresowała, i to wszystko. Ten facet to naukowiec, a nie lekarz.

Laurent westchnął.

— Mówisz zupełnie od rzeczy. Tobie naprawdę...

— Odbiło? — zaśmiała się niewesoło. — Też mi sensacja. Ta ponura wesołość jeszcze wzmogła gniew jej męża.

— A więc co? Będiesz czekać z założonymi rękami na postępy choroby?

— Przecież nie wiadomo, czy choroba będzie postępować. Poruszył się niespokojnie.

— Masz rację, przepraszam. To ja bredzę.

We wnętrzu samochodu znów zapanowało milczenie.

Krajobraz za oknem połyskiwał czerwieniami, nadąsany, zamglony, powleczony jakby szarym dymem z płonących, wilgotnych liści. Lasy ciągnęły się aż po horyzont, z początku niewyraźne, w miarę zaś jak samochód się do nich zbliżał, szczyty drzew przybierały kształty zakrwawionych pazurów, cyzelowanych czarnych arabesek...

Od czasu do czasu mijali jakąś miejscowość z wymierzonym ku niebu dzirytym dzwonnicy, to znów, w drżącym świetle, ukazywała się połyskująca nieskazitelną białą wieżą ciśnień. A przecież znajdowali się zaledwie parę kilometrów od Paryża.

Laurent spróbował jeszcze jednego sposobu.

— Obiecaj mi przynajmniej, że zrobisz inne badania, mniejsza o biopsję. To zajmie najwyżej parę dni.

— Zobaczymy.

— Będę ci towarzyszył przez cały czas, praca jakoś poradzi sobie beze mnie. Jesteśmy po twojej stronie, zrozum.

Ta liczba mnoga nie spodobała się Annie. Laurent nadal łączył się w dobrych chęciach z Ackermannem. Traktował ją jak pacjentkę, nie jak żonę. Kiedy wjechali na szczyt wzgórza w pobliżu Meudon, Paryż ukazał im się nagle w całej okazałości. Białe grzbiety dachów lśniły w rozbłysku światła jak kra na jeziorze, jeżącym się spiętrzonymi kryształami, oszronionymi soplami, śnieżnymi pagórkami, a wieżowce La Defense przy-

23

wodziły na myśl wyniosłe góry lodowe. Całe miasto płonęło w słonecznym świetle zimnym, oślepiającym blaskiem.

Ta światłość oślepiła ich i oszołomiła, nie zamienili już ani słowa, przejeżdżając przez Pont de Sevres i przecinając Boulog-ne-Billancourt.

Przy Porte de Saint-Cloud Laurent zapytał:

— Podwieźć cię do domu?

— Nie. Do pracy.

— Mówiłaś, że wezmiesz dzień wolny — w jego głosie usłyszała wyrzut.

— Myślałam, że będę bardziej zmęczona — skłamała Anna. — Nie chcę zwałać całej roboty na Clothilde. W sobotę do sklepu przychodzą tłumy klientów.

— Clothilde, do sklepu... — powtórzył z przekąsem.

— O co chodzi?

— No wiesz, ta praca... nie pasuje do ciebie.

— Chcesz powiedzieć, że to do ciebie nie pasuje moja praca? Laurent nie odpowiedział. Może nawet nie usłyszał ostatniego zdania. Wyciągał szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje na ulicy przed nimi — ugrzęźli w korku na obwodnicy.

Niecierpliwym tonem polecił kierowcy, żeby się pospieszył. Nicolas skinął głową, wyciągnął ze schowka policyjnego „koguta”, którego umieścił na dachu samochodu. Peugeot 607 z rykiem syreny utorował sobie drogę pośród ustępujących samochodów i nabrał prędkości.

Teraz Nicolas nie zdejmował nogi z gazu. Ściskając rękami brzeg oparcia przedniego siedzenia, Laurent obserwował w napięciu każdy manewr, każde poruszenie kierownicy. Wyglądał jak dzieciak skupiony na grze komputerowej. Anna za każdym razem na nowo, ze zdumieniem, odkrywała, że pomimo wszystkich dyplomów i kierowniczego stanowiska w Ośrodku Studiów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Laurent wciąż zachował żywe wspomnienie emocji towarzyszących pracy w terenie, władzy nad ulicą. Biedny glina, pomyślała.

Zjechali z obwodnicy przy Porte Maillot i wjechali w Avenue des Ternes; kierowca dopiero wtedy wyłączył sygnał. Anna powracała do swego codziennego świata. Oto ulica Faubourg--Saint-Honore z mieniącymi się wystawami sklepów, sala kon-

24
certowa Pleyel i stylizowane tancerki we wnękach na pierwszym piętrze; mahoniowe arkady sklepu Mariage Freres, w którym kupowała swoje ulubione gatunki herbat.

— Wiesz, to nie tylko kwestia pracy — powiedziała, podejmując rozmowę przerwana wcześniej. — W ten sposób utrzymuję jakiś kontakt ze światem zewnętrznym. Inaczej cała moja rzeczywistość ograniczyłaby się do naszego mieszkania.

Wysiadła z samochodu, pochyliła się i powiedziała:

— Potrzebuję tego, w przeciwnym wypadku wylądowałabym w szpitalu dla obłąkanych, rozumiesz?

Wymienili ostatnie spojrzenie i przez ten moment zapanowało między nimi na nowo porozumienie. Gdyby miała powiedzieć, co ich łączy, nigdy nie użyłaby słowa „miłość”. Mieli jednak ze sobą wiele wspólnego, coś poza pożądaniem, namiętnością, przychodzącą i odchodzącą zależnie od nastroju. Rzeki płynące spokojnie i pod ziemią, owszem, ale których wody mieszały się ze sobą gdzieś w głębi. Wtedy właśnie, kiedy rozumieli się bez słów, dotykiem ust...

Niespodziewanie odzyskała nadzieję. Laurent pomoże jej, będzie j ą kochał, będzie j ą podtrzymywał. Cień przeistoczy się w dzień.

— Przyjechać po ciebie wieczorem? — spytał.

Skinęła głową, posłała mu pocałunek i ruszyła w kierunku Maison du Chocolat.

Dzwonek nad drzwiami zabrzączał, jakby do sklepu wchodziła zwykła klientka. Ten znajomy dźwięk dodał jej otuchy. Pracowała tu od miesiąca, po prostu zobaczyła na wystawie ogłoszenie. Wówczas marzyła tylko o czymś, co pozwoli jej zapomnieć o obsesyjnie trapiących ją myślach. Znalazła tu jednak o wiele więcej.

Schronienie.

Magiczny krąg zabezpieczający ją przed lękiem.

Druga po południu, w sklepiku nie było nikogo. Clothilde skorzystała pewnie z chwili spokoju, żeby pójść na zaplecze.

Anna przeszła przez sklep, który wyglądał jak jedna wielka bombonierka, brązowa i złota. Pośrodku wnętrza, niczym podium dla orkiestry, królował główny kontuar, a na nim ułożone były czarne lub kremowe krążki i kwadraty, czekoladki nadziewane... Po lewej stronie, na marmurowym bloku kasy, miały swe miejsce drobne przysmaki, po które sięga się w ostatniej chwili, tuż przed zapłaceniem. Po prawej rozłożona była paleta ciast owocowych, cukierków i nugatów niby najrozmaitsze wariacje na ten sam temat. U góry, na półeczkach, królowały inne jeszcze słodkości, zapakowane w torebki ze lśniącej folii, której połyskliwość przyciągała oko łakomczuchów.

Anna spostrzegła, że Clothilde pod jej nieobecność skończyła 26 układać wielkanocną aranżację na wystawie. W plecionych koszykach ułożyła jajka, kurczaki i kury wszelkich rozmiarów; czekoladowym domkom z karmelowym dachem przyglądały się świnki z marcepanu; pośród papierowych żonkili kurczaczki bawiły się na huśtawce.

— Jesteś? Ekstra. Właśnie przyszła dostawa.

Clothilde wyszła ze staromodnej, poruszanej kołowrotkiem windy towarowej, znajdującej się w głębi sali, dzięki której można było transportować skrzynki z towarami bezpośrednio z parkingu na placu Roule. Zeskoczyła z platformy, przeszła nad stosem skrzynek i stanęła przed Anną, promienna i zdyszana.

W ciągu tych kilku tygodni Clothilde stała się dla niej jednym ze stałych punktów we wszechświecie, zapewniających poczucie bezpieczeństwa. Miała dwadzieścia osiem lat, różowy nosek, kosmyki ciemnoblonde włosów spadających na oczy. I dwoje dzieci, męża, który „pracował w banku”, dom kupiony na kredyt i zaplanowaną całą przyszłość. Szła przez życie z taką pewnością szczęścia, że Annę brała zazdrość. Przebywanie w towarzystwie tej kobiety pokizepiało ją i irytowało jednocześnie. Nie potrafiła ani na sekundę uwierzyć w obraz świata bez skazy i niespodzianek. W życiowym credo Clothilde było coś z uporą, coś ze świadomego okłamywania samej siebie. Tak czy inaczej, był to miraż całkowicie dla niej niedostępny. Anna miała trzydzieści jeden lat, nie miała dzieci i zawsze żyła w niepewności. Czuła się źle i lękała o przyszłość.

— Dzisiaj było istne piekło. Bez chwili przerwy. Clothilde podniosła kartonowe pudło i ruszyła na zaplecze

w stronę magazynu. Anna zarzuciła szal na ramię i poszła za nią. W sobotę był zwykle taki ruch, że trzeba było korzystać z każdej wolnej minuty.

W pokoiku bez okien, o powierzchni dziesięciu metrów kwadratowych, piętrzyły się już całe stosy zapasów i opakowań.

Clothilde odstawiała pudło i dmuchnięciem odgarnęła włosy z czoła, wysuwając przy tym dolną szczękę.

— Nawet cię nie zapytałam, jak było u lekarza?

— Robili mi badania przez całe przedpołudnie. Lekarz mówi o uszkodzeniu mózgu.

27

— Uszkodzeniu?

— Martwa strefa w moim mózgu. W obszarze odpowiedzialnym za rozpoznawanie twarzy.

— O cholera. Da się wyleczyć?

Anna odstawiała swoje pudło i machinalnie powtórzyła słowa Ackermanna.

— Tak, mają mnie leczyć. Ćwiczenia pamięci i leki, żeby przenieść tę funkcję do innej części mózgu, zdrowej.

— To świetnie!

Clothilde uśmiechnęła się szeroko, jak gdyby właśnie usłyszała, że Anna została

całkowicie wyleczona. Wyraz jej twarzy rzadko tak naprawdę odpowiadał sytuacji i w istocie zdradzał głęboką obojętność. W gruncie rzeczy Clothilde była całkowicie odporna na cudze nieszczęście. Smutek, lęk, cierpienie, wszystko to spływało po niej jak woda po kacze. Tym razem jednak chyba zdała sobie sprawę z popełnionej gafy. Brzęk dzwonka u drzwi uratował ją z opresji. — Zajmę się klientem — powiedziała, obracając się na pięcie. — Zaraz wracam.

Anna zdjęła z taboretu kilka pudełek i usiadła. Zaczęła rozkładać na tacy czekoladki Romeo z kawowej pianki. W pomieszczeniu było aż gęsto od oszałamiającego aromatu czekolady. Pod koniec dnia ubrania Anny i Clothilde, a nawet ich pot wydawał ten właśnie zapach, także ich ślina miała słodki smak. Słyszała kiedyś, że barmani upijali się samymi wyziewami alkoholu. Czy sprzedawczynie czekolady tyją od ciągłego kontaktu ze słodyczami? Anna, jak dotąd, nie przytyła ani o gram. Tak naprawdę nigdy nie przybierała na wadze. Traktowała jedzenie z nie większą atencją niż środki na przeczyszczenie; cukry, tłuszcze i cała reszta nie pozostawiała najmniejszego śladu na jej figurze...

Kiedy tak układała czekoladki, przypomniały się jej słowa Ackermanna.

Uszkodzenie. Choroba. Biopsja. Nie! Nie będą jej kroić. A już z pewnością nie ten facet o zimnym spojrzeniu i ruchach owada.

Poza tym, nie wierzyła w jego diagnozę.

Nie mogła w nią wierzyć.

28

Z tej prostej przyczyny, że nie znał całej prawdy.

Od lutego ataki zdarzały jej się znacznie częściej, niż mu powiedziała. Teraz luki w pamięci zaskakiwały ją ciągle, w najrozmaitszych sytuacjach. Podczas kolacji u przyjaciół, wizyty u fryzjera, zakupów. Nagle odnajdywała się pośród nieznanym, otoczona bezimiennymi twarzami, i to właśnie wtedy, kiedy wokół niej wszystko było codzienne i powszednie.

Zmienił się też przebieg samych ataków.

Nie były to już tylko luki w pamięci i poczucie obcości, dręczyły ją także potworne halucynacje. Twarze drżały, kontury ulegały zmaczeniu, rysy deformowały się pod jej spojrzeniem. Ich wyraz zmieniał się, stawał się płynny niczym odbicie w wodzie.

Czasami wydawało jej się, że te twarze są zrobione z topniejącego wosku, bo rozplływały się i zapadały w siebie, tworząc demoniczne grymasy. Czasem trzęsły się i wibrowały, ukazując jej oczom kilka różnych grymasów naraz. Krzyk. Śmiech.

Usta złożone do pocałunku. Wszystko zlepione w jedną fizjonomię. Koszmar.

Anna chodziła po ulicach ze spuszczonej oczami. Podczas spotkań towarzyskich nie patrzyła w oczy rozmówcom. Zaczęła unikać ludzi, stała się drżąca i zalękniona. „Tamci” byli tylko unaocznieniem jej obłądki. Zwierciadłem zgrozy.

Nie opisała też dokładnie swych odczuć związanych z Lau-rentem. W rzeczywistości jej niepokój wcale się nie kończył, gdy atak mijał. Zawsze pozostawał w niej cień strachu, tak jakby rozpoznawała swojego męża, ale niezupełnie; jakiś głos szeptał jej do ucha: To on, ale nie on.

W głębi duszy była przeświadczona, że rysy twarzy Laurenta zmieniły się, że zostały zmodyfikowane przez operację plastyczną.

Absurd.

Absurd.

Jej szaleństwo miało też swoją drugą stronę, równie absurdalny odpowiednik.

Podczas gdy własny mąż wydawał jej się obcy, jeden z klientów sklepiku przywoływał jakieś uporczywie bliskie wspomnienia. Była pewna, że już go gdzieś

widziała. Nie potrafiła jednak powiedzieć, gdzie i kiedy, lecz

29

w jego obecności jej pamięć ożywiła się gwałtownie i Anna odczuwała coś w rodzaju elektrycznego wstrząsu. Ale iskra nigdy nie była na tyle wyraźna, by udało jej się zidentyfikować tego mężczyznę.

Przychodził raz lub dwa razy w tygodniu i stale kupował te same czekoladki Jikola. Nadziewane marcepanem, przypominające orientalne frykasy. Mówił zresztą z lekkim akcentem, być może arabskim. Miał około czterdziestki, ubierał się zawsze w ten sam sposób, w dżinsy i zapiętą po szyję, wytartą aksamitną marynarkę. Wyglądał jak wieczny student. Anna i Clothilde nazywały go „Pan Aksamit”.

Co dzień oczekiwały jego wizyty. Razem szukały rozwiązania tej zagadki, dzięki czemu godziny spędzone w pracy mijały prędzej. Wysnuwały przedziwne hipotezy. Może to jakiś przyjaciel Anny z dzieciństwa, może kiedyś flirtowali, albo wręcz przeciwnie jakiś zwykły podrywacz, z którym wymieniła jedynie kilka spojrzeń podczas przyjęcia u znajomych...

Teraz Anna wiedziała, że rozwiązanie zagadki jest dużo prostsze. Wydawał jej się znajomy, ale musiała to być tylko kolejna odmiana tych samych halucynacji, spowodowanych uszkodzeniem mózgu. Nie wolno już jej było skupiać się zbytnio na tym, co widziała, ani na rym, jakie uczucia budzą w niej twarze, ponieważ nie była już w stanie kontrolować własnych skojarzeń.

Drzwi magazynku otworzyły się. Anna drgnęła i spostrzegła, że czekoladki roztopiają się w jej zaciśniętych palcach. W progu pojawiła się Clothilde.

„Przyszedeł!” — szepnęła.

Pan Aksamit stał już przy czekoladkach Jikola.

— Dzień dobry — powiedziała Anna. — Czym mogę służyć?

— Dwadzieścia deko, jak zwykle.

Weszła za ladę, wzięła szczypce i torebkę z przezroczystej folii, zaczęła wkładać do niej czekoladki. Jednocześnie spod rzęs rzuciła spojrzenie ku mężczyźnie. Najpierw dostrzegła jego duże buty z podniszczoną skórą, potem zbyt długie dżinsy, pofałdowane w harmonijkę, wreszcie szafranowego koloru

30

aksamitną marynarkę, która w wytartych miejscach przybierała odcień jasnego oranżu.

Wreszcie odważyła się spojrzeć na jego twarz.

Kanciasta, toporna głowa, pokryta gęstą, kasztanową czupryną. Raczej gęba wieśniaka niż wyrafinowana facjata studenta. Miał zmarszczone brwi, co nadawało twarzy wyraz niezadowolenia, a może nawet skrywanego gniewu.

Anna zauważyła jednak już wcześniej, że gdy unosił powieki, widać było dziewczęco długie rzęsy i ciemnobłękitne oczy z czarno-złotą otoczką: jak grzbiet trzmiela nad polem fiołków. Skąd знаła to spojrzenie?

Ustawiła torebkę na wadze.

— Jedenaście euro.

Mężczyzna zapłacił, wzięł czekoladki i odwrócił się. Po chwili był już na zewnątrz.

Anna mimowolnie poszła za nim aż do drzwi. Clothilde podeszła do niej. Patrzyły w ślad za nim, jak szedł ulicą Faubourg-Saint-Honore, potem wsiadł do czarnej limuzyny z przyciemnionymi szybami, z zagraniczną tablicą rejestracyjną.

Stały tak na progu niczym dwie ważki wygrzewające się na słońcu.

— No i co? — zapytała wreszcie Clothilde. — Kto to jest? Ciągłe nie wiesz? Samochód zniknął w tłumie innych maszyn. Anna wzruszyła ramionami i mruknęła: — Masz fajkę?

Clothilde wyciągnęła z kieszeni spodni pogniecioną paczkę marlboro light. Anna zaciągnęła się; powróciło wrażenie ukojenia, jakie dał jej papieros na dziedzińcu szpitala.

— Coś tu nie gra w tej historii — stwierdziła Clothilde. Anna odwróciła się z łokciem uniesionym do góry, papierosem skierowanym ku niej jak lufa pistoletu.

— Co takiego?

— Załóżmy, że znałeś tego faceta, tylko on się zmienił. W porządku.

— No i co?

Clothilde wydała dźwięk przypominający syk otwieranej Puszki z piwem.

31

— To dlaczego on ciebie nie poznał?

Anna przyglądała się jadącym samochodom i odbłaskom światła na karoseriach. W oddali widziała drewniany fronton i Mariage Freres, chłodne witraże restauracji La Maree i portiera, ! który cały czas jej się przyglądał.

Wydechając błękitnawy dym, powiedziała:

— Zwariowałam. Po prostu zwariowałam.

Raz w tygodniu Laurent spotykał się z tą samą grupą „kolegów” i jedli razem kolację, odprawiając coś w rodzaju rytuału, powtarzającej się ceremonii. Nie byli to jego kumple z dzieciństwa ani jakaś szczególna grupa przyjaciół. Nie łączyły ich wspólne zainteresowania. Po prostu pracowali w tej samej firmie, w policji. Poznali się w pracy, dawno temu, a teraz każdy z nich w swej dziedzinie wywindował się już na szczyty służbowej hierarchii.

Anna, podobnie jak pozostałe żony, była wykluczona z udziału w tych zgromadzeniach, i kiedy kolacja miała odbyć się u nich w domu, na Avenue Hoche, proszono ją grzecznie, żeby poszła do kina.

A jednak trzy tygodnie wcześniej Laurent zaproponował jej, żeby wzięła udział w kolejnym spotkaniu. Z początku odmówiła, przede wszystkim dlatego, że jej mąż dodał tym swoim troskliwym tonem pielęgniarza: „Zobaczysz, to cię rozerwie”.

Mimo to w końcu dała się przekonać, ciekawość zwyciężyła: chciała poznać kolegów Laurenta, zobaczyć, jak wyglądają inni wysoko postawieni funkcjonariusze. Znała dotąd tylko jednego z nich — własnego męża.

Cieszyła się ze swojej decyzji, bo podczas tej kolacji poznała twardych facetów — twardych, ale fascynujących. W swoim dobranym gronie wypowiadali się otwarcie i bez ograniczeń.

33

Wśród nich czuła się jak królowa; była jedyną kobietą, a policjanci na wyścigi popisywali się przed nią, opowiadając anegdotki i ciekawostki i przechwalając się swoimi wyczynami.

Od tamtego wieczoru brała udział we wszystkich spotkaniach i poznała ich lepiej. Wiedziała już, jakie mają nawyki, zalety, a także słabostki. Dzięki tym kolacjom objawił się jej oczom obraz policyjnego świata, w czerni i bieli, pełen przemocy i niewzruszonych zasad, karykaturalny i zarazem pasjonujący.

Grono uczestników było stałe poza paroma wyjątkami. Zazwyczaj w rozmowie prym wiodł Alain Lacroux. Wysoki, chudy, wyprostowany, sporo po pięćdziesiątce; każde zdanie podkreślał stuknięciem widelca o stół albo skłonieniem głowy. Nawet jego sposób mówienia, z lekkim południowym akcentem, stwarzał wrażenie staranności, wyczelowania. Wszystko w nim śpiewało, falowało, uśmiechało się — nikt by nie

odgadł, czym w rzeczywistości się zajmował: był szefem wydziału kryminalnego paryskiej policji.

Pierre Caracilli był jego przeciwieństwem. Niski, krępy, ruchliwy, mówił powoli, a jego głos był niemal hipnotyczny. Tym głosem usypiał czujność najzwardzialszych kryminalistów i skłaniał ich do mimowolnych wyznań.

Caracilli pochodził z Korsyki i pełnił ważną funkcję w DST*.

Jean-François Gaudemer nie był ani wysoki, ani niski. Niewzruszony i uparty, przypominał litą skałę. Pod gładkim, wysokim czołem błyszczały oczy, których czerń zdawała się miotać gromy. Kiedy zabierał głos, Anna zawsze nadstawiała uszu. Opowiadał cynicznie przerażające historie, ale słuchając go, odczuwało się pewną wdzięczność towarzyszącą niejasnemu wrażeniu, że uchyla rąbka tajemnicy, jakieś ukryte mechanizmy tego świata. Był szefem OCTRIS**. Specjalista numer jeden od narkotyków we Francji.

Najbardziej ze wszystkich przypadł jej do gustu Philippe kontrwywiad i służba

* Direction de la Surveillance du Territoire bezpieczeństwa wewnętrznego.

** Office Central de la Repression du Traffic Illicite des Stupefiants —

Centralny Urząd Zwalczania Nielegalnego Handlu Substancjami Odurzającymi.

34

Charlier. Potężnej budowy, metr dziewięćdziesiąt wzrostu — zdawał się rozsadzać swoje drogie garnitury. Koledzy przezwali go „Zielonym Olbrzymem”. Miał wąsy, ryżą czuprynę i wielką jak kamień głowę zawodowego boksera. Mówił za głośno, jego śmiech brzmiał niczym ryk silnika — siłą wciągał rozmówcę w swe zabawne historyjki, kładąc mu rękę na ramieniu.

Żeby je zrozumieć, trzeba było opanować dość swoiste piep-rzne słownictwo. Mówił „kość w gaciach” zamiast „erekcja”, o swoich włosach, że są „jak kłaki na jajach”, a kiedy wspominał wakacje w Bangkoku, podsumował je krótkim stwierdzeniem: „zabierać ze sobą żonę do Tajlandii to jak zabierać piwo do Monachium”.

Był wulgarny, nieznośny, lecz jednocześnie obdarzony specyficznym urokiem; nie sposób było mu się oprzeć. Emanował zwierzęcą siłą i miał w sobie coś z wyjątkowo typowego gliniarza. Bez trudu można było go sobie wyobrazić w źle oświetlonym biurze podczas jakiegoś przesłuchania albo w terenie, na czele oddziału policjantów uzbrojonych w pistolety maszynowe.

Laurent powiedział jej, że podczas służby zabił z zimną krwią co najmniej pięciu ludzi. Jego specjalnością była walka z terroryzmem. DST, DGSE, DNAT...

Niezależnie od nazwy instytucji, w której działał, zawsze prowadził tę samą wojnę. Dwadzieścia pięć lat tajnych operacji, zbrojnych interwencji. Kiedy Anna dopytywała się o szczegóły, Laurent zbywał ją machnięciem ręki: „To i tak byłby tylko wierzchołek góry lodowej”.

Tego wieczoru kolacja odbywała się właśnie u niego, w kamienicy z czasów barona Hausmanna na Avenue Breteuil. Zajmował tam wielkie mieszkanie, o lakierowanych posadzkach, pełne egzotycznych pamiątek. Z ciekawości Anna zajrzała do pokoi, które były otwarte — ani śladu obecności kobiety, Charlier był zatwardziałym kawalerem.

Była już jedenasta wieczorem, goście siedzieli rozparci wygodnie w nonszalanckich pozycjach, jakie przyjmuje się po dobrej kolacji, spowici dymem cygar.

Zbliżały się wybory prezydenckie roku 2002, wszyscy więc

35

próbowali przewidzieć ich wynik i snuli przypuszczenia co do zmian, jakie zależnie od osoby wybranego prezydenta nastąpią w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Wszyscy byli gotowi stoczyć walną bitwę; nie mieli jednak pewności, czy wezmą w niej udział.

Philippe Charlier, który siedział obok Anny, zwrócił się do niej półgłosem:

— Zawracają dupę ci gliniarze. A znasz to o Szwajcarze? Anna uśmiechnęła się.

— Opowiadałeś w zeszłą sobotę.

— A o wietnamskiej knajpie?

— Nie.

Charlier oparł się łokciami o stół.

— Przychodzi facet do wietnamskiej knajpy i zamawia: „Ryż i jajka”. Wietnamska kelnerka nie rozumie, więc powtarza: „No, ryż i jajka!”. Wietnamka dalej nic nie rozumie, więc gościu się zdenerwował i mówi do niej: „Liś-i-jajka!”. A ona na to: „Nie można, nie można, monś nie pozwala!”.

Przez moment nie rozumiała, potem roześmiała się. Dowcipy policjanta zawsze oscylowały w tematach poniżej pasa, ale miały tę zaletę, że były świeże. Jeszcze się śmiała, kiedy nagle twarz Charliera zamazała się. Jego rysy straciły ostrość, dosłownie zafalowały w samym środku twarzy.

Anna odwróciła wzrok i popatrzyła na pozostałych gości. Kontury ich twarzy' też drżały, zniekształcały się, tworząc galerię dziwacznych i potwornych masek, wykrzywionych w niemym krzyku...

Wzdrygnęła się, zaczęła oddychać przez usta.

— Źle się czujesz? — zapytał Charlier.

— Ja... gorąco mi. Muszę wyjść na powietrze.

— Zaprowadzić cię? Położyła rękę na jego ramieniu.

— Nie, nie. Sama trafię.

Szła wzdłuż ściany, oparła się o róg kominka, potrąciła niski stolik; zabrzączało szkło.

W drzwiach obejrzała się za siebie i znów zobaczyła morze masek. Groteskowo skrzywione, rozdziawione usta, rozplywające się zmarszczki, drgające ciała powstające z miejsc,

36

by R g°nić- Wyszła za drzwi, tłumiąc rodzący się w niej wrzask.

Światło w przedpokoju było zgaszone. Wiszące na wieszakach płaszcze przybierały w półmroku groźne kształty, zza uchylonych drzwi pokojów wyzierała ciemność.

Anna stanęła przed lustrem oprawionym w antyczną, pozłacaną ramę. Spojrzała na siebie: twarz blada jak bibuła, upiorna i fosforyzująca. Skrzyżowała ramiona, dygocąc pod swetrem z czarnej wełny.

Nagle w lustrze zobaczyła jakiegoś człowieka.

Nie znała go, nie było go wśród gości. Odwróciła się ku niemu. Kto to jest? Jak tu się dostał? Wygląda groźnie, w jego twarzy jest coś spiętego, zniekształconego. Białe dłonie intruza świecą w ciemności jak dwa ostrza...

Anna cofa się, wciska między wiszące płaszcze. Mężczyzna idzie ku niej. Anna słyszy głosy tamtych w salonie, chce krzyknąć, ale czuje w gardle piekący kłęb waty. Jego twarz jest już o kilka centymetrów od niej. W oczach mężczyzny widać odblask duszy, źrenice zbryzgane złotą poświatą...

— Chcesz już iść?

Anna stłumiła jęk: to głos Laurenta. To on, jej mąż... Poczowała podtrzymujące ją ręce i zrozumiała, że zasłabła.

— Cholera, co się z tobą dzieje? — spytał.

— Mój płaszcz. Daj mi płaszcz — zażądała, uwalniając się z jego ramion. Poczucie obcości nie zniknęło, dalej wydawał jej się daleki i nieznajomy. Wciąż odnosiła wrażenie, że jego twarz się zmieniła, uległa zniekształceniu, że skrywa jakąś mroczną tajemnicę.

Laurent podał jej okrycie. Był roztrzęsiony, zapewne niepokoił się o nią, ale miał też własne powody do obawy. Lękał się, że jego koledzy mogą czegoś się domyślić: żona jednego z najwyższych funkcjonariuszy Ministerstwa Spraw Wewnętrznych jest wariatką.

Otuliła się płaszczem, poczuła kojący dotyk podszewki. Chciałaby zaszyć się w niej i zniknąć na zawsze.

Z salonu dobiegł wybuch śmiechu.

— Pożegnaj się z nimi za nas oboje.

37

Usłyszała czyjś głos protestujący, że przecież jeszcze wcześniej, a potem znowu śmiechy. Spojrzała w lustro. Pewnego dnia — wkrótce — na widok własnego odbicia będzie zadawać sobie pytanie: Kto to jest?

Laurent wrócił do niej.

— Zabierz mnie. Chcę do domu. Chcę spać — wyszeptwała.

6

Sen nie przyniósł jej ulgi.

Odkąd zaczęły się zaburzenia pamięci, Annie wciąż śniło się to samo. Czarno-białe obrazy przesuwające się przed jej oczami w nierównym rytmie jak w niemy filmie.

Za każdym razem te same sceny: wynędzniali wieśniacy, czekający nocą na dworcu kolejowym; potem nadjeżdża pociąg towarowy, spowity w kłębach pary. Rozsuwają się drzwi wagonu. Jakiś mężczyzna w kaszkiecie wychyla się, ktoś mu podaje sztandar; na sztandarze widnieje dziwny znak: cztery symetrycznie ułożone półksiężycy.

Mężczyzna unosi czarne brwi i prostuje się dumnie. Przemawia do tłumu, wymachując sztandarem na wietrze, ale nie słyhać jego słów. Zamiast nich dobiega chór dziwnych dźwięków, złowieszczy lament, westchnienia i płacz dzieci. Wtedy Anna słyszy swój własny głos pośród tych rozdzierających szlochów: Kim jesteście? Czemu płaczecie?

Nikt nie odpowiada. Na dworcowym peronie zrywa się wiatr. Cztery półksiężycy na sztandarze zaczynają fosforyzować, scena zmienia się w koszmar; poły płaszcz rozchylają się, ukazując nagą klatkę piersiową mężczyzny, otwartą i wydrążoną; potem podmuch wiatru porывa jego twarz. Jej oczom ukazuje się poczerńiałe, odstające od kości mięso...

Obudziła się nagle.

39

Rozejrzała się szeroko otwartymi oczami, w mroku nie rozpoznawała nic. Ani pokoju. Ani łóżka. Ani tego człowieka, który spał obok. Potrzebowała kilku sekund, żeby oswoić się z obcymi kształtami. Oparła się plecami o ścianę i otarła twarz z potu.

Dlaczego znowu ten sen? Jaki miał związek z jej chorobą? Była pewna, że to inny przejaw tych samych dolegliwości, tajemnicze echo, niewytłumaczalne dopełnienie rozpadu jej umysłu. Odezwała się do ciemności:

— Laurent?

Odwrócony do niej plecami mąż nawet nie drgnął. Anna potrząsnęła go za ramię.

— Laurent, śpisz?

Poruszył się sennie; usłyszała szelest pościeli. Zobaczyła jego profil w ciemnościach.

— Śpisz? — powtórzyła cicho.

— Już nie.

— Czy... mogę cię o coś zapytać?

Uniósł się na łokciu i oparł głowę o poduszki.

— Słucham.

Anna ściszyła głos jeszcze bardziej — w jej głowie wciąż rozbrzmiewał dziecięcy szloch ze snu.

— Dlaczego... — zawahała się. — Dlaczego my nie mamy dzieci?

Przez chwilę milczeli oboje. Potem Laurent gwałtownym ruchem odrzucił kołdrę i usiadł na brzegu łóżka, znów odwrócony do niej plecami. Nagle cisza stała się pełna napięcia, nieprzyjazna.

Przesunął dłonią po twarzy.

— Pójdziemy jeszcze raz do Ackermanna.

— Co?

— Zadzwoń do niego. Umówimy się na wizytę w szpitalu.

— Dlaczego to mówisz?

— Skłamałaś — powiedział, siedząc plecami do niej. — Mówiłaś nam, że nie masz innych zaburzeń pamięci. Że masz tylko problemy z rozpoznawaniem twarzy.

Anna zrozumiała, że popełniła błąd, pytanie ujawniło kolejną otchłań w jej mózgu. Widziała tylko kark Laurenta, potargane

40

włosy, szczupłe plecy, ale domyślała się jego przygnębienia, a także gniewu.

— Co ja takiego powiedziałam? — spytała nieśmiało. Laurent odwrócił się lekko w jej stronę.

— Nigdy nie chciałaś dzieci. Pod tym warunkiem zgodziłaś się wyjść za mnie — podniósł nieco głos, jednocześnie gestykulując lewą ręką. — Nawet w dniu ślubu musiałem przyrzec, że nigdy nie będę cię o to prosił. Anno, z tobą jest coraz gorzej. Trzeba coś z tym zrobić. Trzeba działać. Musisz wykonać badania. Musimy zrozumieć, co się dzieje. Trzeba to jakoś powstrzymać! Cholera jasna!

Anna skuliła się na drugim krańcu łóżka.

— Daj mi jeszcze kilka dni. Musi być jakieś inne wyjście.

— Niby jakie?

— Nie wiem. Kilka dni. Proszę. Położył się i schował głowę pod kołdrę.

— Zadzwoń do Ackermanna w przyszłą środę.

Nie było za co dziękować. Anna nie wiedziała nawet, dlaczego prosiła o tę zwłokę. Co to da? Przecież to oczywiste, że choroba postępuje, zdobywa kolejne neurony w jej mózgu.

Z jakiego powodu wymogła na nim takie przyrzeczenie? Wsunęła się pod kołdrę, daleko od Laurenta, i zaczęła się zastanawiać nad rozwiązaniem tej zagadki. Co nią wtedy kierowało? Nie przychodziła jej do głowy żadna odpowiedź. Stawała się obca dla siebie samej.

Przypomniała sobie ich ślub. To było osiem lat temu, miała 23 lata. Co właściwie z tego pamięta?

Dworek w Saint-Paul-de-Vence, palmy, rozległe trawniki poźółkłe od słońca, śmiech dzieci. Zamknęła oczy, próbując odnaleźć tamto uczucie. Cienie postaci na trawniku. Girlandy kwiatów, białe dłonie...

Nagle w jej pamięci zafalował jedwabny szalik; płat materiału zawirował przed jej oczami, przesłaniając orszak postaci, tłumiąc zieleń trawy, połyskując w

świetle.

Tkanina zbliżyła się, oblepiła jej twarz, przylgnęła do ust. Trudno było oddychać, materiał zaczął wdzierać się do jej gardła, czuła jego dotyk głęboko na podniebieniu. To już nie był jedwabny tiul, lecz gaza.

41

Gaza chirurgiczna. Bandaż, który ją dusił.

Krzyknęła, ale w ciemnościach nie rozległ się żaden dźwięk. Otworzyła oczy; musiała zasnąć. Miała usta przyciśnięte do poduszki.

Kiedy to się wreszcie skończy? Uniosła się i poczuła, że lepi się od potu. To pościel przeszkadzała jej swobodnie oddychać i dlatego we śnie myślała, że się dusi.

Wstała i poszła do łazienki, tuż obok sypialni. Po omacku odnalazła futrynę i zamknęła za sobą drzwi, dopiero potem zapaliła światło. Odwróciła się do lustra nad umywalką.

Na swojej twarzy zobaczyła krew.

Czerwone smugi na czole, strupy pod oczami, koło nozdrzy, wokół ust. Najpierw pomyślała, że się skaleczyła, ale kiedy zbliżyła twarz do lustra, zrozumiała, że po prostu miała krwotok z nosa. Ocierając twarz, rozmazała krew. Cały podkoszulek był przesiąknięty.

Odkręciła kurek z zimną wodą i wyciągnęła ręce; różowa ciecz zawirowała w umywalce. Miała dziwne przeświadczenie, że ta krew oznacza prawdę, uwalniającą się z jej ciała. Symbolizuje jakąś tajemnicę, której świadomy umysł nie chce poznać i nie chce nadać jej kształtu, a która wypływała z niej, przyjmując postać płynów organicznych.

Zanurzyła twarz w orzeźwiającym strumieniu, który spłukiwał jej łzy.

— Ale co mi jest? Co mi jest? — mówiła szeptem do szumiącej wody.

^^ r * ^\

Część 2

Malutki złoty miecz.

Widział go wyraźnie we wspomnieniach. Wiedział dobrze, że w rzeczywistości był to tylko miedziany nóż do papieru, z gałką rękojeści cyzelowaną na wzór hiszpańskiej szpady. Paul miał osiem lat, kiedy ukradł go z gabinetu ojca i uciekł do swojego pokoju. Dokładnie pamiętał tę chwilę. Zamknięte okiennice.

Potworny upał. Spokój. Sjesta.

Zwyczajne letnie południe.

Tylko że te parę godzin ukształtowało całe jego życie.

— Co tam masz w ręce?

Paul zacisnął dłoń; matka stała w progu.

— Pokaż, co tam masz.

Mówiła spokojnym głosem, pytała tylko przez ciekawość. Paul zacisnął palce.

Podeszła do niego, przekraczając świecące w półmroku smugi światła, wpadające przez żaluzje, usiadła obok i delikatnie rozwarła jego dłoń.

— Dlaczego wzięłeś ten nóż do papieru? Nie widział jej twarzy, była zacieniona.

— Żeby cię obronić.

— Przed kim? Cisza.

— Obronić mnie przed ojcem?

Pochyliła się nad nim. Promień światła padł na jej twarz;

45

obrzękłą twarz pokrytą krwiami. Białko jednego z oczu było zakrwawione.

Powtórzyła:

— Chcesz mnie obronić przed ojcem?

Przytaknęła skinieniem głowy. Przez chwilę trwała w bezruchu, potem objęła go gwałtownym uściskiem. Paul odepchnął ją; nie chciał łez, nie chciał się rozczulać. Liczyła się tylko czekająca go walka. Przysięga, jaką sobie złożył ubiegłego wieczoru, kiedy ojciec wrócił kompletnie pijany i uderzył matkę tak mocno, że upadła nieprzytomna na podłogę w kuchni. A gdy ten potwór odwrócił się i zobaczył stojącego w drzwiach, trzęsącego się ze strachu dzieciaka, powiedział: „Ja tu wrócę. Wrócę i zabiję was oboje”.

A więc Paul postarał się o broń i czekał na jego powrót z mieczem w dłoni.

Ojciec jednak nie wrócił. Ani następnego dnia, ani kolejnego. Jakimś kaprysem przeznaczenia Jean-Pierre Nerteaux został zamordowany tej samej nocy, niedługo po tym, jak wypowiedział swe pogroźki. Ciało odnaleziono dwa dni później w jego własnej taksówce, w pobliżu magazynów naftowych w Gen-nevilliers.

Francoise, jego żona, dziwnie zareagowała na wieść o śmierci męża. Zamiast dokonać identyfikacji zwłok, chciała udać się na miejsce zbrodni, żeby sprawdzić, czy peugeot 504 jest w dobrym stanie i czy nie będzie kłopotów z przedsiębiorstwem taksówkowym.

Paul pamiętał każdy szczegół: jazdę autobusem do Gen-nevilliers z oszołomioną matką, która mamrotała coś niezrozumiałego pod nosem, swój strach wobec czegoś niepojętego, co się wydarzyło. Kiedy jednak dotarli do magazynów, miejsce wprawiło go w zachwyty. Na pustkowiu wznosiły się gigantyczne stalowe cysterny. Ruiny betonowych budynków obrastały chwasty i gęste krzaki. Zardzewiałe żelazne pręty wyglądały jak metalowe kaktusy. Prawdziwy krajobraz z westernu, podobny do pustyni z komiksów, które pożyczał z biblioteki.

Z nieba lał się żar; matka i syn przeszli przez teren magazynów. U krańca tej ziemi niczyjej zobaczyli peugeota zagrzebanego do połowy kół w szarym piasku.

Jak przystało na ośmioletka, Paul zarejestrował wszystkie szczegóły: mundury poli-

46

cyjantów, lśniąca w słońcu kajdanki; cichy głos, który coś objaśniał; mechaników uwijających się koło samochodu, ich czarne ręce w olśniewającym blasku słońca...

Dopiero po jakimś czasie zrozumiał, że w chwili śmierci ojciec siedział za kierownicą, ale natychmiast przez otwarte drzwi samochodu zauważył rozcięcia na oparciu fotela.

Zabójca zasztyletował jego ojca, przebijając na wylot oparcie fotela kierowcy.

Widok ten był dla niego wstrząsem, bo pojął wtedy tajemne związki zachodzące pomiędzy zdarzeniami. Poprzedniego dnia życzył swojemu ojcu śmierci. Postarał się o broń, a potem wyznał matce swój zbrodniczy zamiar. Wypowiedziane na głos słowa zadziałały jak klątwa i jakaś niepojęta siła urzeczywistniła jego życzenie. To nie on zabił ojca, ale on wydał rozkaz, zarządził egzekucję.

Nie pamiętał, co nastąpiło potem. Ani pogrzebu, ani narzekań matki na kłopoty finansowe, które stały się ich chlebem powszednim. Skupił się wyłącznie na jednym: to on był winny, on i tylko on.

Był sprawcą zbrodni.

Wiele lat później, w roku 1987, rozpoczął studia prawnicze na Sorbonie.

Podejmował różne prace, dzięki czemu zdołał zgromadzić nieco pieniędzy. Wynajął pokój w Paryżu i uwolnił się wreszcie od matki, która popadła w alkoholizm; nigdy nie widywał jej trzeźwej. Pracowała jako sprzątaczką w hipermar-kecie i chlubiła się tym, że jej syn zostanie adwokatem. Paul miał jednak inne plany.

Po-zdobyciu licencji, w roku 1990, wstąpił do szkoły policyjnej Cannes-Ecluse.

Po dwóch latach ukończył jaz wyróżnieniem i mógł ubiegać się o wymarzone stanowisko dla świeżo upieczonego policjanta: pracę w OCRTIS, najważniejszym ośrodku walki z narkotykami.

Wydawało się, że kariera stoi przed nim otworem. Po czterech latach służby w biurze centralnym i brygadzie uderzeniowej czekał go wewnętrzny konkurs na stanowisko komisarza. Przed ukończeniem czterdziestki Paul Nerteaux otrzymałby wysokie stanowisko w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych na placu Odeon i spędziłby resztę życia wśród złoconych boazerii

47

Grandé Maison. Byłoby to niebagatelne osiągnięcie dla kogoś, kto wywodził się z tak zwanych nizin społecznych.

Tylko że Paul nie był zainteresowany taką karierą. Jego powołanie policjanta wynikało z innych przesłanek; nadal nie uwolnił się od poczucia winy. Minęło piętnaście lat od wyprawy do Gennevilliers, a wciąż prześladowały go wyrzuty sumienia i podświadomym motorem jego działania było dążenie do oczyszczenia się, odnalezienia utraconej niewinności.

Żeby jakoś poradzić sobie ze swymi problemami, musiał wynaleźć własne techniki, tajne sposoby służące zapanowaniu nad sobą. Dzięki temu zdołał wykrzesać dość energii, by stać się gliniarzem nieugiętym. W firmie nienawidzono go, obawiano się go lub podziwiano, ale nikt go nie lubił. Nikt nie domyślał się, że jego bezkompromisowość i upór w dążeniu do osiągnięcia celu stanowiły poręcz, której kurczowo się trzymał, że były one dla niego swoistym kaftanem bezpieczeństwa. W szufladzie jego biurka, po prawej stronie, leżał miedziany nóż do papieru.

Zacisnął dłonie na kierownicy, starając się skupić na ruchu ulicznym.

Dlaczego akurat dzisiaj zaczął grzebać się w tym gównie? Może to wpływ tego deszczowego krajobrazu? Może dlatego, że to niedziela, cotygodniowe święto zmarłych?

Po obu stronach autostrady widać było ciemne połacie pól uprawnych. Nawet linia horyzontu przypominała ostatnią bruzdę, za którą rozciągało się tylko puste niebo. W takiej okolicy nic się nie mogło wydarzyć, można było wyłącznie popadać powoli w rozpacz.

Rzucił okiem na mapę leżącą na fotelu pasażera. Musi zjechać z autostrady A1, potem, drogą państwową, w kierunku Amiens, następnie okręgową numer 235, dziesięć kilometrów, i jest u celu.

Chcąc otrząsnąć się z ponurych rozważań, skoncentrował myśli na człowieku, którego miał zobaczyć; był to prawdopodobnie jedyny policjant, którego wołałby nigdy nie spotkać. W Generalnym Inspektoracie Służby zrobił fotokopię dossier i teraz znał już na pamięć cały życiorys kolegi...

Jean-Louis Schiffer, urodzony w roku 1943 w Aulnay-sous-

48

-Bois, w departamencie Seine-Saint-Denis; zależnie od okoliczności zwany Chiffre — Cyfra albo Fer — Żelazo. Cyfra, ponieważ miał zwyczaj pobierać haracze od osób zainteresowanych sprawami, którymi się zajmował. Żelazo z powodu nieugiętego charakteru, a także długich, srebrzystych włosów.

Po uzyskaniu dyplomu w 1959, Schiffer został skierowany do służby w Algierii. W 1960 znalazł się w Algierze, gdzie został oficerem wywiadu i działał w DOP*.

W 1963 powrócił do Francji w stopniu sierżanta i wstąpił do policji. Z początku jako posterunkowy, od 1966 jako wywiadowca w Brygadzie Terytorialnej Szóstej Dzielnicy. Szybko wyróżnił się wrodzonym „wyczuciem ulicy” i umiejętnością infiltracji. W maju 1968 wmieszał się między zbuntowanych studentów. Nosił

długie włosy spięte w koński ogon, palił haszysz i spokojnie notował nazwiska przywódców politycznych. Podczas starć na ulicy Gay-Lussac wyciągnął rannego funkcjonariusza CRS ** spod gradu ciskanych brukowców.

Pierwszy wyczyn.

Pierwsze odznaczenie.

Za nim nastąpiły kolejne. W 1972 został inspektorem w Brygadzie Kryminalnej, nie bał się strzelaniny ani walki wręcz i w roku 1975 otrzymał medal za odwagę. Zdawałoby się, że nic nie może stanąć na drodze jego kariery. Jednak w 1977, po krótkim pobycie w BRI***, słynnej Brygadzie do spraw Zwalczenia Przystępczości Zorganizowanej, został nagle przeniesiony. Paul dotarł do raportu podpisanego przez komisarza Broussarda. Na marginesie widniała uwaga zrobiona długopisem: „niesubordynacja”.

Schifferra skierowano do pierwszego oddziału policji kryminalnej w Dziesiątej Dzielnicy i tam trafił na swoje prawdziwe terytorium łowieckie. Odtąd nie zgadzał się na żadne przeniesienie czy awans i przez niemal 20 lat pilnował prawa i porządku

* Detachements Operationnels de Protection — Ochronne Oddziały Operacyjne.

** Compagnies Republicaines de Securite. *** Brigade de Recherche et d'Intervention — Brygada Śledczo-Interwen-

49

w zachodniej części miasta, wyznaczonej przez wielkie bulwary, Dworzec Wschodni i Północny, obejmującej część Sentier, Dzielnicę Turecką i inne okolice licznie zaludnione przez imigrantów.

Przez te lata stworzył sieć informatorów, zdołał ograniczyć nielegalną działalność, taką jak hazard, prostytutka i narkotyki, nawiązał dość dwuznaczne, ale pożyteczne kontakty z przywódcami mniejszości zamieszkujących dzielnicę. W opinii przełożonych to jemu i tylko jemu należy zawdzięczać względny spokój panujący w „dziesiątce” w latach 1978—1998. Co więcej Jean-Louis Schiffer w drodze wyjątku uzyskał zgodę na przedłużenie służby do 2001 roku.

W kwietniu tego roku przeszedł oficjalnie na emeryturę. Uzyskał pięć odznaczeń, w tym Order Zasługi, dokonał dwustu trzydziestu dziewięciu aresztowań i zastrzelił cztery osoby. Miał wówczas pięćdziesiąt osiem lat i nigdy nie awansował powyżej stopnia inspektora. Jednym słowem policyjny wyrobnik, stary wyga, doskonale obznajomiony ze swym terenem.

To tyle, jeśli chodzi o pseudonim „Żelazo”.

Ta cecha jego osobowości, której zawdzięczał pseudonim „Cyfra”, odcisnęła swój ślad w aktach po raz pierwszy w roku 1971, kiedy to przyłapano go na gorącym uczynku, w trakcie maltretowania pewnej prostytutki na ulicy Michodiere w dzielnicy Madeleine. Śledztwo, prowadzone przez IGS * we współpracy z obyczajówką, nie przyniosło rezultatów. Żadna z dziewczyn nie zamierzała składać zeznań na niekorzyść policjanta o srebrzystych włosach. W roku 1979 wpłynęła kolejna skarga. Poczęły krążyć plotki, że Schiffer bierze pieniądze od prostytutek działających na ulicach Jerusalem i Saint-Denis w zamian za „opiekę”.

Kolejne śledztwo, również umorzone.

Cyfra potrafił zabezpieczać sobie tyły.

Pierwsza naprawdę poważna sprawa miała miejsce w roku 1982. Po rozpracowaniu siatki tureckich handlarzy narkotykami, policja przejęła transport heroiny, który znikł bez śladu z komisariatu Bonne-Nouvelle. Wszyscy podejrzewali Schifferra; został

rzesłuchany, ale po roku oczyszczono go z zarzutów. Żadnych dowodów, żadnych świadków.

\V następnych latach pojawiają się kolejne podejrzenia. Udziały w zyskach rekieterów, prowizje od nielegalnego hazardu i zakładów, podejrzone interesy z właścicielami knajp, stręczycielstwo... Najwyraźniej policjant starał się czerpać korzyści z wszelkich możliwych źródeł, nikomu jednak nie udało się przyłapać go na gorącym uczynku. Schiffer mocno trzymał w garści swoje terytorium. Nawet w firmie oficerowie prowadzący śledztwo z ramienia IGS natknęli się na mur milczenia kolegów policjantów.

W oczach wszystkich Schiffer był przede wszystkim Żelazem. Bohaterem o wzorowym przebiegu służby, obrońcą prawa i porządku.

Ostatni wyczyn o mało go nie pogrążył. W październiku 2000 roku, na bocznych torach w okolicy Dworca Północnego, odnaleziono ciało nielegalnego imigranta tureckiego, Gazila Hemeta. Poprzedniego dnia Hemet został aresztowany przez Schifferra pod zarzutem handlu narkotykami. Oskarżony o „u-myślne spowodowanie obrażeń" policjant utrzymywał, że uwolnił podejrzanego, i to przed upływem okresu tymczasowego aresztowania, co zupełnie nie było w jego stylu.

Czy Hemet został zatłuczony na śmierć przez Schifferra? Sekcja nie dała wyraźnej odpowiedzi; pociąg Thalys odjeżdżający o ósmej dziesiąt rozszarpał ciało na strzępy. Jednakże niezależna ekspertyza medyków sądowych wspominała o tajemniczych „uszkodzeniach" na ciele Turka, które mogły być śladami tortur.

Wszystko wskazywało na to, że tym razem Schiffer wylądował w więzieniu.

A przecież w kwietniu 2001 roku Izba Prokuratorska po raz kolejny wycofała oskarżenie. Co się wydarzyło? Czyim poparciem cieszył się Jean-Louis Schiffer?

Paul pytał oficerów nadzoru służby, którzy prowadzili śledztwo. Nie chcieli odpowiedzieć, krzywili się tylko z obrzydzeniem. Zwłaszcza że po kilku tygodniach od umorzenia sprawy Schiffer zaprosił ich na bibkę z okazji pożegnania służby.

Skorumpowany, podły i bezczelny gliniarz.

Z taką właśnie kreaturą miał się teraz spotkać.

Widok zjazdu z autostrady w kierunku Amiens przywołał go do rzeczywistości.

Wjechał na drogę państwową i już po kilku kilometrach zobaczył drogowskaz do Longeres.

Nie zwalniając, przejechał przez miasteczko i dotarł do nowo wybudowanej szosy, wiodącej w głąb doliny. Widok kropel deszczu, lśniących na wysokich źdźbłach traw, sprawił, że doznał czegoś w rodzaju olśnienia: nagle zrozumiał, dlaczego, jadąc na spotkanie z Jeanem-Louisem Schifferrzem, pomyślał o swoim ojcu.

W pewnym sensie Cyfra był ojcem wszystkich gliniarzy: pół bohater, pół demon, wcielenie najlepszych i najgorszych cech policjanta: porządku i zepsucia, dobra i zła. Paul, wbrew sobie, podziwiał go tak samo, jak wbrew nienawiści podziwiał swojego ojca, brutala i alkoholika.

Kiedy Paul odnalazł schronisko dla emerytowanych policjantów, omal nie wybuchnął śmiechem. Okalający je mur i dwie wieże, przypominające strażnice, wywoływały nieodparte skojarzenie z więzieniem.

Po drugiej stronie muru podobieństwo było jeszcze większe. Dziedziniec otaczały trzy budynki mieszkalne ustawiane w podkowę, wzdłuż każdego piętra biegły tarasy o czarnych sklepieniach. Kilku mężczyzn, pomimo deszczu, grało w bule; odziani w

plaszcz przypominali penitencjariuszy. Opodal stało trzech policjantów w mundurach, zapewne byli w odwiedzinach u znajomego; wyglądali zupełnie jak strażnicy.

Paul rozkoszował się ironią sytuacji. Ufundowane przez Policyjne Towarzystwo Ubezpieczeń Wzajemnych schronisko w Longeres było największym domem spokojnej starości dla policjantów. Przyjmowano tam emerytowanych funkcjonariuszy pod warunkiem, że nie cierpieli „na żadne zaburzenia psychosomatyczne wynikające z alkoholizmu lub prowadzące do niego”. Teraz na własne oczy przekonywał się, że owa spokojna Przystań, ogrodzona wysokim murem, gdzie mieszkali wyłącz-nie mężczyźni, była takim samym miejscem odosobnienia jak każde inne. Zwrot do nadawcy, pomyślał.

Pchnął szklane drzwi wiodące do głównego budynku. Znalazł s'ę w kwadratowym, bardzo mrocznym przedsionku, z którego

53

prowadziły schody na górne piętra, oświetlone małym okien-kiem z matowego szkła. Było tam gorąco jak w terrariurn, panował zaduch, cuchnęło lekami i uryną.

Skierował się ku wahadłowym drzwiom po lewej stronie, bo stamtąd dochodził intensywny zapach kuchenny. Minęło południe, pensjonariusze pewnie jedli obiad. Znalazł się w stołówce o żółtych ścianach i podłodze wyłożonej krwistoczerwonym linoleum. Zobaczył długie stoły z nierdzewnej stali, równiutko ustawione talerze i ułożone sztuce, kłęby pary unosiły się z garnków pełnych zupy. Wszystko niby na swoim miejscu, lecz sala pusta.

Głosy dobiegały z sąsiedniego pomieszczenia. Paul ruszył w tamtym kierunku, czując, jak obcasy jego butów zapadają się w skrzepniętą wykładzinę. W przytłaczającej atmosferze skostnienia czuł się z każdym krokiem coraz starszy. Zajrzał do środka. Około trzydziestu emerytów, ubranych w dresy powypychane na łokciach i kolanach, stało plecami do niego; wpatrywali się w telewizor. „Petit Bonheur właśnie wyprzedził Bartoka...” — na ekranie galopowały konie wyścigowe. Paul postąpił parę kroków do przodu i zobaczył starca siedzącego samotnie w drugim pokoju po lewej stronie. Odruchowo wyciągnął szyję, by lepiej mu się przyjrzeć. Przygarbiony, zobojętniały na wszystko mężczyzna dziobał widelcem stek. Paul musiał pogodzić się z oczywistością: ten strzęp człowieka to on.

Cyfra i Żelazo.

Policjant, który dokonał dwustu trzydziestu dziewięciu aresztowań.

Ruszył w jego stronę. Z tyłu wciąż dobiegał głos komentatora: „Petit Bonheur na prowadzeniu, ciągle Petit Bonheur...”. W porównaniu z najaktualniejszymi zdjęciami, jakie Paul oglądał, Jean-Louis Schiffer postarzał się o jakieś dwadzieścia lat.

Wychudł na twarzy, regularne rysy wyostrzyły się; poszarzała i pomarszczona skóra zwisała, zwłaszcza na szyi, jak łuski jaszczura; błękitne niegdyś oczy teraz ledwo widoczne spod opadających powiek. Schiffer nie nosił już długich włosów, które ongiś były jego znakiem rozpoznawczym; stalowy czerep zamiast szlachetnej srebrnej grzywy.

54

Nadal krzepkiej postury, lecz zbyt obszerny granatowy szlafrok, którego kołnierz opadał mu na ramiona, potęgował żalosne wrażenie. Na stole, obok talerza, Paul dostrzegł stos kuponów na wyścigi konne. Jean-Louis Schiffer, legenda paryskich ulic, został bukmacherem grupki emerytowanych krawężników.

Jak mógł przypuszczać, że ten wrak człowieka może mu w czymś pomóc? Ale już za późno, by się wycofać.' Paul odruchowo poprawił pas, broń i kajdanki. Szklane

oczy starca już się ku niemu zwróciły. Kiedy się zbliżył, Schiffer powiedział bez żadnych wstępów:

— Jesteś za młody, żeby pracować dla IGS.

— Kapitan Paul Nerteaux, pierwsza DPJ, Dziesiąta Dzielnica.

Wyrecytował to służbistym, wojskowym tonem i od razu tego pożałował, ale męczyzna skinął głową.

— Rue de Nancy?

— Rue de Nancy.

W tym pytaniu zawierał się pośredni komplement. Był to adres siedziby policji kryminalnej. Schiffer rozpoznał w nim śledczego, gliniarza z ulicy.

Paul przysunął sobie krzesło, mimo woli rzucając okiem w stronę graczy, wciąż stojących przed telewizorem. Schiffer podążył za jego wzrokiem i zaśmiał się.

— Przez całe życie pakujesz szumowiny do pierdła i co? W końcu sam ładujesz w kiciu.

Uniósł kawałek mięsa do ust. Mięśnie szczęk zagrały pod skórą, wydatne i sprężyste. Paul zmienił zdanie, Cyfra jeszcze nie był skończony. Wystarczyło tylko zdmuchnąć kurz z tej mumii.

— Czego chcesz? — rzucił tamten, przełknąwszy kęs.

— Przyszedłem prosić pana o radę — powiedział Paul ugrzecznionym tonem.

•— W jakiej sprawie?

~— W takiej.

Wyciągnął z kieszeni kurtki szarą kopertę i położył ją obok kuponów. Schiffer bez pośpiechu odsunął talerz. W kopercie było kilkanaście kolorowych zdjęć.

Przyjrzał się pierwszemu z nich i zapytał:

55

— Co to jest?

— Twarz.

Schiffer przyglądał się kolejnym zdjęciom.

— Nos został odcięty nożem tapicerskim albo brzytwą — wyjaśnił Paul. — Rany i wycięcia na policzkach wykonano tym samym narzędziem. Podbródek pilnikiem. Wargi obcięte nożyczkami.

Schiffer bez słowa znów sięgnął po pierwsze zdjęcie.

— Przedtem — ciągnął Paul — była bita. Lekarz sądowy twierdzi, że okaleczeń dokonano po śmierci.

— Zidentyfikowana?

— Nie. Odciski palców nic nie dały.

— W jakim wieku?

— Około dwudziestu pięciu lat.

— Przyczyna zgonu?

— Do wyboru, do koloru. Sińce. Rany. Oparzenia. Całe ciało jest w takim stanie jak twarz. Przypuszczalnie torturowano ją ponad dwadzieścia cztery godziny.

Czekam na szczegółowy raport z autopsji.

Emeryt uniósł powieki.

— Po co mi to pokazujesz?

— Ciało znaleziono wczoraj o świcie, w pobliżu szpitala Saint-Lazare.

— I co z tego?

— To był pana rewir. Spędził pan ponad dwadzieścia lat w „dziesiątce”.

— Ale nie uzyskałem w tym czasie kwalifikacji lekarza sądowego.

— Myślę, że ofiara była turecką robotnicą.

— Dlaczego akurat turecką?

— Po pierwsze, dlatego, że to turecka dzielnica. Poza tym zęby. Miała plomby ze stopów, których używa się już tylko na Bliskim Wschodzie. Mam podać nazwy metali? — dodał głośniejsze.

Schiffer przysunął do siebie talerz i znów zaczął jeść.

— A skąd wniosek, że to robotnica? — zapytał po dłuższej chwili milczenia, podczas której pracowicie przeżuwał kolejny kęs.

— Palce — odpowiedział Paul. — Na końcach palców miała 56 łóstwo zabliznionych śladów ukłuć. Sprawdziłem. To cecha charakterystyczna, znak szczególny szwaczki.

— Czy odpowiada rysopisowi jakiejś zaginionej osoby?

Wyglądało na to, że emeryt nic nie rozumie.

— Żadnego protokołu dotyczącego zaginięcia — tłumaczył

Paul cierpliwie. — Żadnego zgłoszenia. Schiffer, to jest nielegalna imigrantka niefigurująca we francuskich rejestrach urzędu stanu cywilnego. Kobieta, o którą nikt sienie upomni. Idealna ofiara.

Cyfra powoli skończył stek, potem odłożył sztućce i zaczął na nowo oglądać zdjęcia, tym razem przez okulary. Każdą odbitkę trzymał przed oczami przez kilka sekund, uważnie przyglądając się ranom.

Mimo woli Paul spojrział na zdjęcia. Odwrócona do góry nogami twarz z czarną, wyciętą dziurą zamiast nosa; nacięcia na skórze; rozszczepiona zajęcza warga, fioletowa i wstrętne.

Schiffer odłożył plik fotografii i sięgnął po jogurt. Ostrożnie zdjął pokrywkę i zanurzył łyżeczkę w kubku.

Paul czuł, że jego cierpliwość niedługo się wyczerpie.

— Rozpocząłem poszukiwania — podjął. — Pracownie krawieckie. Miejsca spotkań. Bary. Nic nie znalazłem. Nikt nie zaginął. Nic dziwnego: jak mógł zaginać ktoś, kto nigdy nie istniał? W jaki sposób można zidentyfikować ofiarę należącą do niewidzialnej społeczności?

Schiffer milczał i jadł jogurt. Paul mówił coraz szybciej:

— Żaden z Turków nic nie widział. Albo nie chciał mi nic powiedzieć. Prawdę mówiąc, nikt nie mógł mi nic powiedzieć z tego prostego powodu, że nikt tam nie mówi po francusku.

Cyfra dalej pracowicie wyjadał resztki jogurtu łyżeczką. Wreszcie rzucił od niechcenia: — I w końcu ktoś opowiedział ci o mnie.

— Wszyscy mi o panu opowiadali. Beauvanier, Monestier, Porucznicy, dzielnicowi. Ich zdaniem tylko pan może pomóc w tym cholernym śledztwie.

Znów milczenie. Schiffer wytarł wargi serwetką i znów wziął do ręki plastikowy kubeczek.

To już przeszłość. Jestem na emeryturze i nie mam głowy do tego wszystkiego.

Oddaję się moim nowym obowiązkom — skazał na kupony wyścigów.

57

Paul chwycił za brzeg stołu i pochylił się ku niemu.

— Słuchaj, Schiffer, on jej zmiądzzył stopy. Prześwietlenia wykazały ponad siedemdziesiąt odłamków kości. Poszatkowa jej piersi tak, że widać żebra.

Wepchnął jej do pochwy pręt z powbijanymi żyłkami — walnął pięścią w stół. —

Nie pozwolę, żeby to robił nadal!

Stary gliniarz uniósł jedną brew.

— Nadal?

Paul odchylił się na krześle i niezręcznym gestem wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki zwinięty plik dokumentów.

— Mamy już trzy — powiedział niechętnie.

— Trzy?

— Pierwszą znaleziono w listopadzie zeszłego roku. Drugą w styczniu. Ta jest trzecia. Wszystkie w Dzielnicy Tureckiej, torturowane i okaleczone w ten sam sposób.

Schiffer przyglądał mu się w milczeniu, łyżeczka zatrzymała się w powietrzu.

Paul zaczął krzyżeć, zagłuszając relację z wyścigów.

— Na litość boską, Schiffer, nic pan nie rozumie? Tam działa seryjny zabójca. Atakuje wyłącznie kobiety, które nie istnieją, w strefie, która właściwie wcale nie jest Francją!

Jean-Louis Schiffer odstawił wreszcie swój jogurt i wyjął dokumenty z rąk Paula.

— Trzeba było przyjść dużo wcześniej.

Słońce wyszło tymczasem zza chmur. Na zwirowanym dziedzińcu kałuże połyskiwały srebrzyście w jego promieniach. Paul przechadzał się tam i z powrotem przed głównym wejściem, czekając, aż Jean-Louis Schiffer będzie gotowy do drogi.

Nie było innego wyjścia, wiedział to od początku. Cyfra nie mógł mu pomóc na odległość. Żadne jego rady na nic by się nie zdały, żadne konsultacje telefoniczne nie miały sensu. Nie. Były policjant musiał przesłuchiwać Turków razem z nim, wykorzystać swoje kontakty, powrócić do dzielnicy, którą znał lepiej niż ktokolwiek inny.

Paul wzdygnął się, rozważając po raz kolejny konsekwencje swojej decyzji. Nie powiadomił o niej nikogo: ani sędziego śledczego, ani swoich przełożonych. Nikt by się na to nie zgodził; nie można było po prostu pozwolić działać łajdakowi, znanemu z bezwzględności i brutalnych metod. Swoją drogą trzeba będzie trzymać go mocno w ryzach.

Kopnął kamyk, który wpadł do kałuży, mącąc taflę wody. Starał się przekonać samego siebie, że postąpił słusznie. Co go tego skłoniło? Dlaczego tak zawzięcie, za wszelką cenę, do rozwiązania sprawy? Przecież już po znalezieniu P^rwszych zwłok zachowywał się tak, jakby od wyjaśnienia zagadki zależało jego życie.

Rozmyślał przez chwilę, wpatrując się w swoje falujące

59

odbicie. W końcu musiał przyznać, że jego gniew brał się z jednego określonego, choć bardzo odległego źródła. Wszystko zaczęło się od Reyny.

25 marca 1994

Paul pracował wtedy w wydziale do spraw narkotyków i był wyróżniającym się policjantem. Jego działaniu w terenie przynosiły widoczne rezultaty, prowadził uregulowany tryb życia, przygotowywał się do egzaminu na komisarza, a odległe wspomnienie rozciętego skaju na oparciu samochodu skrywało się gdzieś bardzo głęboko w jego sumieniu. Grając rolę twardego faceta i bezkompromisowego policjanta, wytwarzał wokół siebie szczelną skorupę, zbroję, mającą go chronić przed dawnymi urazami.

Tamtej nocy przywiózł do prefektury Paryża kabylskiego dealera, którego przesłuchiwał przedtem przez ponad sześć godzin w swoim biurze w Nanterre. Rutyna. Na Quai des Orfeyres natknął się na prawdziwe zamieszki. Do prefektury zajeżdżały dziesiątki ciężarówek zapełnionych tłumem młodych aresztantów, wydzierających się na całe gardło i wymachujących rękami, funkcjonariusze CRS biegali we wszystkie strony po nabrzeżu, słychać było bezustanne wycie syren karetok pogotowia, wjeżdżających na dziedziniec Hôtel-Dieu.

Paul dowiedział się, że tego dnia odbywała się manifestacja przeciwko projektowi

ustawy o zatrudnieniu młodych absolwentów i ustanowieniu płacy minimalnej, tak zwanej SMIC Jeunes; demonstracja przekształciła się w regularną bitwę z policją.-Podobno po stronie sił porządkowych było ponad stu rannych, obrażenia odniosło kilkudziesięciu protestujących, a straty materialne sięgały milionów franków. Paul przykuł podejrzanego kajdankami do swojego nadgarstka i pospiesznie zszedł z nim do podziemia. Wiedział, że jeżeli nie znajdzie miejsca tutaj, będzie musiał jechać do więzienia Sante albo jeszcze gdzie indziej. W areszcie zawsze panował zgiełk, ale tego dnia rozpętało się istne piekło. Manifestanci szarpali kraty, wyli, przeklinali

60

i pluli; policjanci odpowiadali na obelgi uderzeniami pałek. Udało mu się jakoś pozbyć aresztanta, skierował się więc pospiesznym krokiem ku wyjściu, uciekając przed rozsadzającym głowę wrzaskiem.

Już chciał wyjść, kiedy ją zobaczył.

Siedziała na podłodze, z rękami oplecionymi wokół kolan, pogardliwa i obojętna wobec otaczającego ją chaosu. Podszedł bliżej. Czarne, krótko ostrzyżone włosy, chłopięca sylwetka, mroczny wygląd w stylu Joy Division, jakby żywcem przeniesiona z lat osiemdziesiątych. Na szyi keffieh w niebieską kratę, jaki nosił już tylko Jasser Arafat.

Pomimo punkowej fryzury jej rysy były zdumiewająco regularne; miała w sobie coś z harmonii alabastrowych egipskich figurek. Paulowi przypomniały się rzeźby, których zdjęcia widział w jakimś czasopiśmie. Formy o naturalnej gładkości, jednocześnie ciężkie i ulotne, których chciałoby się dotknąć wnętrzem dłoni, które można by umieścić w doskonałej równowadze na czubku palca. Magiczne kamyki znalezione na plaży jak rzeźby Brancusiego.

Pogadał ze strażnikami, stwierdził, że nazwisko dziewczyny nie zostało jeszcze wpisane do rejestru aresztowanych, i zabrał ją do siedziby Wydziału do spraw Narkotyków, na trzecie piętro. Wspinając się po schodach, rozważał w myśli swoje zalety i słabe strony.

Jeśli chodzi o atuty, był chyba przystojny, tak przynajmniej mówiły prostytutki, które pogwizdywały na jego widok i nawoływały go różnymi zdrobnieniami, gdy przemierzał podejrzaną dzielnicę w poszukiwaniu dealerów. Miał włosy jak Indianin, gładkie i czarne; regularne rysy, ciemnobrązowe oczy, szczupłą i wysportowaną sylwetkę. Nie był bardzo wysoki, ale obcasz policyjnych gładów dodawały mu wzrostu. Prawie żigolak, gdyby nie to twarde, wyćwiczone przed lustrem spojrzenie i trzydniowy zarost pokrywający jego całkiem urodziwą twarz. Jeśli chodzi o wady, dostrzegał tylko jedną, ale za to bardzo Poważną: był policjantem.

Kiedy sprawdził kartotekę dziewczyny, zdał sobie sprawę, że przeszkoda może okazać się nie do pokonania. Reyna Bren-, lat dwadzieścia cztery, zamieszkała w Sarcelles, na ulicy

61

Gabriel-Peri pod numerem 32, aktywistka Komunistycznej Ligi Rewolucyjnej, radykalnej organizacji powiązanej z Tutte Bianche, włoskim ugrupowaniem antyglobalistycznym. Reyna była już wielokrotnie aresztowana pod zarzutem chuligaństwa zakłócania porządku i czynnego znieważania funkcjonariuszy. Istna mieszanka piorunująca.

Popatrzył na nią zza ekranu komputera. Jej czarne oczy, podkreślone czarnymi kreskami, spoglądały wyzywająco i nieprzychylnie. Tak samo patrzyli na niego dwaj zairscy dealerzy, którzy pobili go w Chateau-Rouge, gdy pozwolił sobie na

chwilę nieuwagi.

Pokazał jej legitymację, jak wszyscy gliniarze, i zapytał:

— To fajna zabawa, tak wszystko rozpieprzać? Milczenie.

— Nie można w inny sposób wyrażać swoich poglądów? Milczenie.

— Kręci cię przemoc?

Najpierw milczenie, potem niespodziewanie poważny i powolny głos:

— Jedyną przemocą jest własność prywatna. Kradzież, której system dopuszcza się wobec mas. Wyalienowanie świadomości. Najgorsza ze wszystkich form przemocy, bo usankcjonowana prawem.

— Nie jesteś na bieżąco, nikt już nie wierzy w takie gadki.

— Nic i nikt nie powstrzyma upadku kapitalizmu.

— Poczekasz na ten upadek przez trzy miesiące w pierdłu. Reyna Brendosa uśmiechnęła się.

— Zgrywasz wojaka, ale jesteś tylko pionkiem. Wystarczy, że dmuchnę i znikniesz.

Paul również się uśmiechnął. Wobec żadnej kobiety nie odczuwał takiej mieszanki poirytowania i fascynacji, równie gwałtownego pożądania połączonego z obawą.

Po pierwszej nocy zapytał, czy spotkają się znowu; nazwała go „pierdolonym gliniarzem”. Po miesiącu, kiedy spędzała już u niego każdą noc, zaproponował, żeby zamieszkała z nim na stałe; powiedziała mu, żeby się od niej odpierdolił.

Nieco później wspomniał o małżeństwie; wybuchnęła śmiechem.

Ślub wzięli w Portugalii, w jej rodzinnym miasteczku, w po-

62

hliżu Porto. Najpierw w komunistycznym merostwie, potem w małym kościółku.

Połączenie wiary, socjalizmu i słońca. Jedno z najpiękniejszych wspomnień Paula.

Potem nastąpiły najwspanialsze miesiące jego życia. Wciąż odkrywał ją na nowo.

Reyna wydawała mu się bezcielesna, niematerialna, a chwilę potem wystarczył gest, wyraz twarzy, by odczuł jej obecność i niemal zwierzęcą zmysłowość.

Potrafiła całymi godzinami wyklądać swoje przekonania polityczne, mówić o utopiach, cytować filozofów,

o których nigdy nie słyszał. A potem jednym pocałunkiem przypomnieć mu, że jest istotą z krwi i kości, organiczną

i pulsującą.

Jej oddech pachniał krwią, wciąż przygryzała wargi. Wydawało się, że żyje rytmem

wszechświata, w zgodzie z najgłębszymi tajnikami natury. Była obdarzona jakby

wewnętrzną zdolnością postrzegania rzeczywistości rudymenarnej, ukrytej,

pozostającej w bezpośrednim związku z wibracjami Ziemi i instynktem życia.

Kochał jej powolny sposób mówienia, nadający uroczysty charakter każdemu słowu.

Kochał w niej to, że nie potrafiła ścierpieć niesprawiedliwości, nędzy, upadku

ludzkości; że podążała drogą męczeństwa, przez co ich życie codzienne

przybierało wymiar tragedii, przypominało ascezę, przygotowanie do spełnienia

się wyroczni. Podążali ciernistą drogą wiary i transcendencji, pełną wymagań i

wyrzeczeń.

Albo Reyna, albo wieczny post... To było przeczucie czegoś, co musiało nastąpić.

Pod koniec lata 1994 oznajmiła mu, że jest w ciąży. Odebrał tę wiadomość jak

zdradę: ukradziono mu jego marzenia. Ideał zaczął się pogrążyć w banalności

fizjologii i wizji rodziny. Tak naprawdę już wtedy czuł, że ją straci. Przed

wszystkim w sensie fizycznym, ale także duchowym. Powołanie Reyny ulegnie

przemianie, utopia wcieli się w wewnętrzną metamorfozę...

Tak też się stało. Z dnia na dzień odwróciła się od niego, nie Pozwalała nawet

się dotknąć. Prawie nie zwracała na niego Uwagi. Stała się niczym zakazana świątynia, poświęcona jednemu bóstwu — dziecku, które miało przyjść na świat. Paul mógłby przystosować się do tej nowej sytuacji, ale przeczuwał

63

coś innego, jakieś głębiej ukryte kłamstwo, które dotąd jeszcze nie zostało mu objawione.

Po porodzie — w kwietniu 1995 — stosunki pomiędzy nimi pogorszyły się jeszcze bardziej. Opiekowali się oboje córeczką, ale jak dwie obce sobie osoby. Pomimo obecności nowo narodzonego dziecka w powietrzu unosiło się coś złowrogiego, Paul domyślał się, że budzi w Reynie wstręt.

Pewnej nocy nie wytrzymał i spytał ją:

— Już mnie nie pragniesz?

— Nie.

— Nie będziesz już mnie pragnąć?

— Nie.

Zawahał się przez chwilę i zadał ostatnie pytanie:

— Czy pragnęłaś mnie kiedykolwiek?

— Nie, nigdy.

Cóż, jak na gliniarza, nie wykazał się zbyt wielkim wyczuciem. Ich spotkanie, ich związek, małżeństwo, wszystko to było jednym wielkim oszustwem, manipulacją. Celem było dziecko.

Sprawa rozwodowa zakończyła się po paru miesiącach. Podczas rozpraw Paul był kompletnie nieprzytomny. Słyszał czyjś chrapliwy głos — swój własny; czuł papier ścierny na twarzy — własny zarost; wydawało mu się, że unosi się w pomieszczeniu jak upiór, jak widmo. Zgodził się na wszystko, na alimenty i przyznanie opieki, nie walczył o nic. Miał to wszystko gdzieś, bez przerwy tylko rozpamiętywał perfidny spisek, którego padł ofiarą. Został poddany swoistej kolektywizacji.

Mar-ksistka Reyna, w drodze działania bezpośredniego, przejęła jego nasienie.

Dokonała tym samym zapłodnienia in vivo na komunistyczną modłę.

Najbardziej zdumiewało go to, że nie potrafił jej znienawidzić. Wręcz przeciwnie, podziwiał ją jako intelektualistkę, której obce było pożądanie. Był pewien, że już z nikim nie będzie utrzymywała stosunków płciowych. Ani z mężczyzną, ani z kobietą. W osłupieniu zdawał sobie sprawę, że nie jest w stanie pojąć idealizmu tej kobiety, która po prostu chciała urodzić dziecko i nie dzielić się nim z nikim, a rozkosz była jej obojętna.

64

Od tej chwili zaczął dryfować jak pusta butelka, płynąca ściekiem zmierzającym do zlewiska nieczystości. W pracy spisywał się kiepsko. Prawie nie pojawiał się w biurze w Nan-terre. Spędzał czas w zakazanych dzielnicach, zadawał się z najgorszymi szumowinami, palił dżointy — jednego za drugim, szukał towarzystwa najgorszych wyrzutków ludzkości, handlarzy i ćpunów...

A potem, na wiosnę roku 1998, zgodził się ją zobaczyć.

Miała wtedy trzy lata i na imię Celinę. Pierwsze weekendy były upiorne. Spacer po parku, plac zabaw, wata cukrowa: nudziarstwo i beznadzieja. Ale stopniowo zaczął odkrywać coś, czego się nie spodziewał. Dostrzegł to w gestach dziewczynki, na jej zmiennej i kapryśnej twarzyczce; wyciągnięta rączka z zaciśniętymi palcami dawała do zrozumienia, że „to oczywiste!"; odnotował pewien sposób pochylania się do przodu i przekorną minę na zakończenie tego ruchu; dziecienny głos, swoisty wdźwięk, który przyprawiał go o dziwny dreszcz, taki, jaki odczuwa się przy dotknięciu powierzchni tkaniny lub kory drzewa. Ta

dziewczynka miała już w sobie coś z kobiety. Nie ze swojej matki — tylko nie to! — ale była stworzeniem żywym, figlarnym, jedynym w swoim rodzaju.

Na Ziemi wydarzyło się coś nowego: pojawiła się Celinę.

Paul zmienił diametralnie swój stosunek do córki i z zapałem zaczął korzystać z prawa do odwiedzin. Spotykał się z Celinę regularnie i to przywracało go do życia. Znow zaczął walczyć

o szacunek do samego siebie. W marzeniach był bohaterem, nieprzekupnym supergliniarzem bez skazy.

Człowiekiem, którego odbicie chciałby widzieć w lustrze każdego ranka.

Wybrał jedyną drogę odkupienia, jaka była mu znana: pracę. Zrezygnował z egzaminu na komisarza, zamiast tego zwrócił się o przydział do paryskiej Brygady Kryminalnej. Pomimo okresu marazmu, jaki miał za sobą, w roku 1999 uzyskał stanowisko kapitana. Stał się oficerem śledczym pełnym zapału i zawziętości. Wkrótce zaczął marzyć o sprawie, która wyniosłaby go na szczyt. Takiej, na jaką pragnie natknąć się każdy gliniarz z powołania: o polowaniu na dzikiego zwierza, o pojedynku mano a mano z godnym siebie przeciwnikiem.

65

I wtedy usłyszał o pierwszych zwłokach. Rudowłosą kobietę ze śladami tortur i ze zniekształconą twarzą znaleziono w pewnej bramie w pobliżu bulwaru Strasbourg 15 listopada 2001. Nie było żadnych podejrzanych, żadnych motywów i właściwie żadnej ofiary, bo zwłoki nie zostały zidentyfikowane; nie było też zgłoszenia o zaginięciu, a odciski palców nie figurowały w kartotece. Sprawę niemal natychmiast uznano za zamkniętą—najprawdopodobniej jakieś porachunki pomiędzy dziewczką i alfonssem: przecież ulica Saint--Denis znajdowała się zaledwie o dwieście metrów dalej. Paul jednak instynktownie podejrzewał, że sprawa wcale nie jest taka prosta. Zapoznał się z dokumentacją: protokołem z autopsji, z raportem lekarza sądowego i zdjęciami zwłok. Podczas świąt Bożego Narodzenia, kiedy wszyscy jego koledzy przebywali z rodziną, a Celinę wyjechała do dziadków, do Portugalii, przestudiował wszystko dokładnie. Bardzo szybko zrozumiał, że nie była to sprawa obyczajowa. Wyrafinowane i urozmaicone tortury oraz okaleczenia twarzy nie pasowały do hipotezy zemsty sutenera. Poza tym, gdyby ofiara była rzeczywiście prostytutką, odciski palców pozwoliłyby ją zidentyfikować, bo wszystkie dziewczyny z Dziesiątej Dzielnicy figurowały w kartotece policyjnej. Postanowił przyglądać się uważnie wydarzeniom w okolicach Strasbourg-Saint-Denis. Nie musiał długo czekać. 10 stycznia 2002 znaleziono drugie ciało, tym razem na zapleczu tureckiej fabryczki przy ulicy Faubourg-Saint-Denis. Ten sam typ ofiary: ruda, żadnego zgłoszenia o zaginięciu, takie same ślady tortur, identyczne nacięcia na twarzy.

Paul starał się panować nad sobą, ale w gruncie rzeczy był pewien, że trafił wreszcie na „swoją” sprawę. Czym prędzej zgłosił się do sędziego śledczego, Thierry'ego Bomarza, i uzyskał od niego zgodę na prowadzenie śledztwa. Niestety, wszystkie ślady zostały zatarte. Chłopaki ze służb porządkowych zdeptali wszystko i ekipa kryminalna nic nie znalazła.

W jakiś sposób Paul zrozumiał, że musi szukać mordercy na jego własnym terenie, zanurzyć się po szyję w Dzielnicy Tureckiej. Załatwił sobie przeniesienie do Dziesiątej Dzielnicy, na stanowisko zwykłego wywiadowcy w komisariacie przy ulicy

66

Nancy. Znow podjął codzienny żywot zwykłego policjanta, zajmując się skargami na hałaśliwych sąsiadów, tropiąc sklepowych złodziejasków i wysłuchując

ograbionych wdów.

Tak minął luty. Paul z trudem znosił wyczekiwanie. Z obawą, ale i z nadzieją myślał o tym, że wkrótce pojawią się kolejne zwłoki. Na przemian był podekscytowany i popadał w całkowite otepienie. Kiedy już zupełnie nie mógł znieść napięcia, chodził na bezimiennie groby obu ofiar na cmentarzu w Thiais, w Val-de-Marne.

Stojąc przed kamiennymi blokami, na których znajdowały się tylko numery, przysięgał tym kobietom, że je pomści, że odnajdzie zwyrodnialca winnego tych zbrodni. Przy okazji, gdzieś w kącie swego umysłu czynił też obietnicę skierowaną do Celinę. Tak: schwyta zabójcę. Dla niej. Dla siebie. Żeby wszyscy dowiedzieli się, że jest wspaniałym policjantem.

16 marca 2002, o świcie, znaleziono nowe zwłoki.

„Niebiescy”, zgarniający kloszardów, zadzwonili do niego o piątej rano. Ciało znajdowało się w rowie, w pobliżu szpitala Saint-Lazare, opuszczonego ceglanego budynku na tyłach bulwaru Magenta. Paul wydał polecenie, żeby w ciągu godziny nikt się tam nie pojawiał. Chwycił kurtkę i ruszył pełnym gazem. Kiedy znalazł się na miejscu, nie było jeszcze ani jednego policjanta, żadnych migających świateł, które mogłyby przeszkodzić mu w skupieniu.

Niewiarygodne.

Mógł wyczuć trop zbrodniarza, oddychać tym samym powietrzem, co on, wczuć się w jego obecność, jego obłąd. Doznał kolejnego rozczarowania. Miał nadzieję, że zobaczy jakieś ślady, że będzie widoczna jakaś inscenizacja, która byłaby Podpisem, znakiem szczególnym. Znalazł jednak tylko opuszczonego trupa, spoczywającego w wybetonowanym grobie. Sine, okaleczone zwłoki ze zmasakrowaną twarzą i wosko-Wożółtymi włosami.

Paul pojął wreszcie, że musi stawić czoło nie tylko milczeniu ofiary, że musi także przedrzeć się przez mur milczenia mieszkańców dzielnicy.

Odszedł stamtąd pokonany, załamany, zanim jeszcze pojawił SI? samochód policyjny. Szedł piechotą wzdłuż ulicy Saint-

67

-Denis i patrzył, jak Mała Turcja budzi się ze snu. Handlarze otwierali sklepiki, robotnicy spieszyli do pracy; cały tłum Turków podążających drogą swego przeznaczenia... Wówczas zrozumiał, że jednego jest pewien: ta dzielnica imigrantów jest dżunglą i w niej właśnie kryje się morderca. W tej nieprzeniknionej gęstwinie zbrodniarz znajduje ucieczkę, schronienie i bezpieczeństwo.

Działając na własną rękę, Paul nie miał żadnych szans, by go wytropić.

Potrzebował kogoś, kto wskazałby mu drogę; potrzebował przewodnika.

10

Ubrany po cywilnemu, Jean-Louis Schiffer wyglądał znacznie lepiej. Miał na sobie myśliwską kurtkę Barboura w kolorze oliwkowym oraz myśliwskie sztruksowe spodnie w odcieniu zbliżonym do zieleni, opadające grubymi fałdami na wielkie i lśniące kasztanowym brązem buciory marki Church.

Strój ten przydawał mu nieco elegancji, nie ujmując jednak nic z brutalności sylwetki. Był krępy, miał szeroką klatkę piersiową i pałkowate nogi; stanowił ucieleśnienie siły, nie-ugiętości i przemocy. Gliniarz taki jak on mógł z całą pewnością spokojnie znieść kopnięcie odrzutu regulaminowego manurhina kaliber 38 i ani drgnąć. Mało tego: stary poruszał się tak, jakby służbowy rewolwer stanowił część jego ciała.

Cyfra uniósł ręce, jakby czytając w myślach Paula.

— Możesz mnie przeszukać, mały. Nie mam żadnego żelastwa.

— Mam nadzieję — odparł Paul. — Proszę pamiętać, że ^tej jest tylko jeden policjant w służbie czynnej. I nie jestem żaden mały.

Schiffer trzasnął obcasami, parodiując postawę na baczność. ^aul nawet się nie uśmiechnął. Otworzył mu drzwi samochodu, Śladł za kierownicą i ruszył z miejsca, starając się nie myśleć o swych obawach.

Przez całą drogę Cyfra nie powiedział ani słowa. Pogrążył
69

się w lekturze kserokopii z dossier, które Paul znał na pamięć. Wiedział wszystko, co można było wiedzieć o tych bezimiennych ciałach.

Kiedy już dojeżdżali do Paryża, Schiffer odezwał się wreszcie:

— Nie znaleziono nic interesującego w pobliżu zwłok?

— Nic.

— Kryminolodzy nie natrafili na żadne odciski palców, żadne mikroślady?

— Ni cholery.

— Na zwłokach także nie?

— Przede wszystkim na zwłokach nie. Zdaniem lekarza sądowego, morderca myje zwłoki detergentem przemysłowym. Dezynfekuje rany, myje im włosy, czyści paznokcie.

— A wywiad środowiskowy?

— Już mówiłem. Przesłuchiwałem robotników, handlarzy, dziwki, zmiataczy ulic. Przyciskałem nawet kloszardów. Nikt nic nie widział.

— Jak myślisz, dlaczego?

— Sądę, że zabójca przemieszcza się samochodem, pozbywa się ciała przy pierwszej sposobności o świcie. Wszystko odbywa się błyskawicznie.

Schiffer przewracał strony. Zatrzymał się na zdjęciach zwłok.

— Masz jakiś pomysł co do tych twarzy?

Paul wziął głęboki wdech; całymi nocami rozmyślał o tych okaleczeniach.

— Jest kilka możliwości. Pierwsza: zabójca po prostu zaciera ślady. Te kobiety znały go i gdybyśmy zdołali je zidentyfikować, mogłoby to nas do niego doprowadzić.

— W takim razie dlaczego nie uszkodził palców i zębów?

— Ponieważ są to nielegalne imigrantki, które nie figurują w żadnej kartotece.

Schiffer przyznał mu rację skinieniem głowy.

— A druga możliwość?

— Motyw bardziej... psychologiczny. Przeczytałem o tym sporo książek.

Psycholodzy twierdzą, że zabójcy, którzy masakrują twarze swych ofiar, robią tak dlatego, że znają je i nie mogą znieść ich spojrzenia. Unicestwiają więc to, co określa je jako istoty ludzkie, przekształcając w zwykłe przedmioty.

70

Schiffer znów zaczął przeglądać dokumentację.

— Nie za bardzo wierzę w sztuczki psychologów. A trzecia możliwość?

— Mordercę coś przeraża w rysach tych kobiet, przypomina mu jakieś dramatyczne przeżycia. Nie tylko musi je zabić, ale również pozbawić twarzy. Moim zdaniem, te kobiety muszą być w tym samym typie.

— Jeszcze bardziej pokrętna teoria.

— Pan nie widział tych trupów — odpowiedział Paul, unosząc głos. — To człowiek chory, psychopata. Musimy dostroić się do jego szaleństwa, żeby go zrozumieć.

— A co to takiego?

Otworzył właśnie ostatnią kopertę, w której były zdjęcia starożytnych rzeźb.

Głowy, maski, popiersia. Paul własnoręcznie wyciął te ilustracje z katalogów muzealnych, przewodników turystycznych i czasopism, takich jak „Archeologia” albo „Le Bulletin du Louvre”.

— To mój pomysł — odpowiedział. — Zauważyłem, że nacięcia skóry przypominają pęknięcia i odpryski, jak uszkodzenia na kamieniu. Poza tym odcięte nosy i wargi, spiłowane kości. Tak jakby ślady pozostawione przez czas. Pomyślałem sobie, że może zabójca usiłuje odtworzyć jakieś starożytne rzeźby.

— No nie, tu przegiąłeś...

Paul poczuł, że się czerwieni. Rzeczywiście, ta hipoteza była dosyć naciągana, zwłaszcza że pomimo usilnych poszukiwań nie udało mu się znaleźć żadnego zabytku, który choćby w niewielkim stopniu przypominał twarze ofiar. Głośno jednak powiedział:

•— Być może dla zabójcy te kobiety są boginiami, które zarazem ubóstwia i których nienawidzi. Jestem pewien, że to Turek i że pozostaje pod wpływem mitologii śródziemnomorskiej.

— Masz wybujałą wyobraźnię.

— Nigdy nie zdarzyło się panu podążyć za głosem intuicji?

— Nigdy mi się nie zdarzyło podążyć za czymkolwiek innym. Tyle że te wszystkie psychologie są zbyt subiektywne, "owinniśmy raczej skupić się na problemach technicznych, które on musi rozwiązać.

71

Paul nie był pewien, czy rozumie.

— Musimy zastanowić się, w jaki sposób facet działa - ciągnął Schiffer. —

Jeżeli masz rację i jeśli te kobiety są rzeczywiście nielegalnymi imigrantkami z Turcji, w takim razie są na pewno muzułmankami. I to nie takimi muzułmankami z Istambułu, które noszą wysokie obcasy. To są chłopki, dzikuski, które przemykają wzdłuż ścian i nie znają ani słowa po francusku. Żeby zyskać ich zaufanie, trzeba je znać i mówić po turecku. Być może nasz poszukiwany jest szefem jakiejś knajpy czy zakładu albo handlarzem. Albo nadzorcą czy brygadzystą. Pozostaje jeszcze kwestia godzin pracy: te robotnice żyją w piwnicach, w ukrytych pracowniach i fabryczkach. Zabójca dopada je, gdy wychodzą z pracy. Kiedy? W jaki sposób? Dlaczego te kobiety, zazwyczaj tak płochliwe, godzą się z nim iść? Jeżeli zdołamy odpowiedzieć na te pytania, wtedy może trafimy na jego ślad.

Paul zgadzał się z tym, ale to im uświadamiało, jak mało wiedzą. Prawdę mówiąc, dosłownie każde rozwiązanie zagadki było możliwe. Schiffer zmienił temat:

— Przypuszczam, że sprawdziłeś wszystkie podobne zabójstwa.

— Tak, przejrzałem nową kartotekę Chardon. Oczywiście również kartotekę żandarmerii: Anacrimine. Pytałem wszystkich chłopaków z Brygady Kryminalnej. Nigdy we Francji nie zdarzyło się nic, co choćby trochę przypominało tę jatkę.

Sprawdziłem też w Niemczech i dowiadywałem się o tamtejszą społeczność turecką. Nie znalazłem zupełnie nic.

— A w Turcji?

— Też sprawdzałem, bez rezultatów.

Myśli Schifferra już podążały innym tropem. Wyraźnie chciał jak najszybciej zorientować się w sytuacji.

— Zwiększyłeś liczbę patroli w dzielnicy?

— Dogadałem się z Monestierem, szefem z Louis-Blanc. Patrole zostały wzmocnione, ale starałem się być dyskretny - Nie chcę, żeby w dzielnicy wybuchła panika.

Schiffer roześmiał się głośno.

— Co ty sobie wyobrażasz? Wszyscy Turcy już o tym wiedzą.

72

Paul puścił to mimo uszu.

— Dobrze, że tymczasem udało się uniknąć mediów. Dzięki temu mam szansę działać dyskretnie. Jeżeli ktoś narobi hałasu wokół tej sprawy, Bomarzo przydzieli do niej innych wywiadowców. Na razie mam wolną rękę, porachunki między Turkami nikogo nie obchodzą.

— Dlaczego tak poważną sprawą nie zajmuje się policja kryminalna?

— Ja jestem z policji kryminalnej. Przeniosłem się tymczasowo. Bomarzo ma do mnie zaufanie.

— I nie zażądałeś ludzi do pomocy?

— Nie.

— Nie stworzyłeś grupy śledczej?

— Nie.

Cyfra zachichotał.

— Chcesz go mieć tylko dla siebie, co?

Paul nie odpowiedział. Schiffer wierzchem dłoni strzepnął pyłek ze spodni.

— Nieważne, dlaczego to robisz. Nieważne, dlaczego ja to robię. Dopadniemy go, zobaczysz.

11

Wjeżdżając na obwodnicę, Paul skręcił na zachód, w kierunku Porte d'Auteuil.

— Nie jedziemy do Rapee? — zdziwił się Schiffer.

— Zwłoki są w Garches. W szpitalu Raymond-Poincare. Tam się mieści Instytut Medycyny Sądowej, w którym przeprowadzane są autopsje na polecenie sądów w Wersalu i...

— Wiem. Ale dlaczego tam?

— Chodzi o dyskrecję. Chcemy uniknąć dziennikarzy i innych amatorów mocnych wrażeń, których zawsze jest pełno w paryskiej kostnicy.

Schiffer już go nie słuchał. Zafascynowany, przyglądał się ruchowi ulicznemu. Co jakiś czas mrużył oczy, jakby nie mógł przyzwyczać się do nowego światła.

Przypominał więźnia na zwolnieniu warunkowym.

Pół godziny później Paul przejechał przez most w Suresnes, i jadąc bulwarem Sellier, a potem bulwarem Republiki, minął Saint-Cloud, by dotrzeć wreszcie do Garches.

Zobaczyli szpital wznoszący się na szczycie pagórka. Kompleks szpitalny, wraz z przyległymi budynkami, obejmował sześć hektarów i stanowił prawdziwe miasto, zaludnione przez lekarzy, pielęgniarki i, oczywiście, przez tysiące pacjentów, głównie ofiary wypadków drogowych.

74

Paul skierował się ku pawilonowi Yesale. Słońce było wysoko • w jego świetle ceglane fasady budynków przedstawiały się wyjątkowo korzystnie. Każda ściana miała nieco inny odcień czerwieni, różu lub beżu, jakby wypalono je specjalnie na życzenie.

fu i ówdzie widać było grupki odwiedzających, niosących kwiaty lub słodczyce.

Przechadzali się sztywno, wyraźnie im również udzielił się rigor mortis tego miejsca.

Paul i Schiffer wjechali na wewnętrzny dziedziniec pawilonu. Szary i różowy budynek, z portykiem podtrzymywanym smukłymi kolumnami, przypominał raczej

sanatorium lub gmach jakiegoś uzdrowiska, skrywający wewnątrz tajemne, przywracające siły, źródła.

Weszli do kostnicy i zagłębili się w korytarz wyłożony białymi fajansowymi płytkami. Kiedy Schiffer znalazł się w poczekalni, zapytał:

— Co to za miejsce?

To był drobiazg, ale Paul ucieszył się, że udało mu się go czymś zadziwić.

Parę lat wcześniej Instytut Medycyny Sądowej w Garches został odnowiony w bardzo oryginalny sposób. Pierwsza sala jest turkusowa; wchodząc do niej, traci się orientację, ponieważ podłoga, ściany i sufit są w tym samym kolorze. Przybysz odnosi wrażenie, jakby pogrążył się w błękitnie oceanu, w kryształowej ożywczej toni.

— Lekarze z Garches zatrudnili dekoratora wnętrz — wyjaśnił Paul. — To już nie szpital, ale dzieło sztuki.

Pojawił się pielęgniarz, który wskazał im jedne z drzwi znajdujących się po prawej stronie.

— Doktor Scarbon dołączy do panów w „sali odjazdów”. Idąc za pielęgniarzem, mogli zobaczyć inne pomieszczenia.

Wszystkie były błękitne i puste, w sufitach niektórych z nich znajdowały się świetliki, sączące białe światło. Na podwyższeniach, w korytarzu, stały marmurowe wazy w odcieniach r^ożu, koloru brzoskwiniowego, żółtego, ecru i bieli... Wszędzie ttożna było dostrzec dziwaczne dążenie do klarowności i estetycznej ascezy. W ostatniej sali Cyfra aż gwizdnął ze zdumienia.

75

Było to nieskazitelnie błękitne, prostokątne pomieszczenie o powierzchni około stu metrów kwadratowych, całkowicie puste. Na lewo od wejścia znajdowały się trzy wysokie okna przez które wpadało światło dzienne. W ścianie przeciwległej znajdowały się trzy wnęki, sklepione jak nawy greckiego kościoła. W każdej z nich wznosiły się kamienne, również pomalowane na błękitno podwyższenia, przypominające katafalki wyrastające bezpośrednio z podłogi.

Na jednym z nich spoczywało ciało przykryte białym prześcieradłem.

Schiffer podszedł do białej marmurowej wazy stojącej pośrodku sali. Była gładka i ciężka, wypełniona wodą; przypominała chrzcielnicę o czystych antycznych liniach. Woda wewnątrz niej nieustannie bulgotała, wydzielając zapach eukaliptusa, który miał łagodzić trupi odór i woń formaldehydu.

Policjant zanurzył w niej palce.

Usłyszeli Jeroki doktora Claude'a Scarbona. Schiffer odwrócił głowę, obaj mężczyźni zmierzili się wzrokiem. W jednej chwili Paul zrozumiał, że się znają. Dzwonił do lekarza jeszcze ze schroniska dla emerytowanych policjantów, ale nie wspomniał mu o swym nowym współpracowniku.

— Dziękuję, że znalazł pan dla nas czas, doktorze — powiedział na powitanie.

Scarbon skinął krótko głową, nie spuszczając Schifferra z oka. Miał na sobie płaszcz z ciemnej wełny, w rękach trzymał irchowe rękawiczki. Był stary i wymizerowany. Wciąż mrużył oczy, jakby okulary, które nosił na czubku nosa, były zupełnie bezużyteczne. Spod wąsów godnych Asterixa dobywał się głos przywodzący na myśl przedwojenne filmy. Paul wskazał na swego towarzysza.

— Przedstawiam panu...

— My się znamy — przerwał Schiffer. — Witaj, doktorze. Nie odpowiadając, Scarbon zdjął płaszcz i włożył lekarską

bluzę, zdjętą z wieszaka umieszczonego pod jednym ze sklepień, a następnie wsunął dłonie w lateksowe rękawiczki. Ich bladozielony kolor harmonizował z

wszechogarniającym błękitem tego lokum.

76

Dopiero wtedy częściowo odsłonił zwłoki. Trupi odór roz-szedł się po pomieszczeniu.

Paul mimo woli odwrócił wzrok. Kiedy odważył się spojrzeć, zobaczył ciało, przykryte do połowy prześcieradłem.

Schiffer wsunął się pod sklepienie i włożył chirurgiczne rękawice. Nie było widać po nim ani śladu zakłopotania. Na ścianie, za jego plecami, widniał drewniany krzyż i dwa świeczniki z czarnego żelaza.

.— Dobra, doktorze, może pan zaczynać — powiedział półgłosem.

12

— Ofiara płci żeńskiej, rasy białej. Muskulatura wskazuje na to, że miała dwadzieścia do dwudziestu trzech lat. Raczej pulchna. Siedemdziesiąt kilogramów przy wzroście metr sześćdziesiąt. Jeśli wziąć pod uwagę, że miała karnację charakterystyczną dla osób o rudych włosach, no i właśnie rude włosy, można powiedzieć, że pod względem fizycznym przypomina dwie poprzednie. Wyraźnie to jest ten typ: poniżej trzydziestki, rude, przy kości.

Scarbon mówił głosem monotonnym, jakby cytował z pamięci swój raport, spisany linijka po linijce podczas bezsennej nocy.

— Żadnych znaków szczególnych? — zapytał Schiffer.

— Jakiego rodzaju?

— Tatuaze. Przekłute uszy. Ślad po obrączce. Coś, czego zabójca nie zdołałby usunąć.

— Nie.

Schiffer chwycił lewą rękę zamordowanej i odwrócił ją spodem do wierzchu. Paul wzdrygnął się; nigdy by się na coś takiego nie poważył.

— Żadnych śladów henny? — Nie.

— Nerteaux powiedział mi, że ślady na czubkach palców wskazują na rodzaj wykonywanej pracy, czyli krawiectwo. Co pan o tym sądzi?

78

Scarbon kiwnął głową.

— Bez wątplenia dłonie tych kobiet noszą ślady długotrwałej pracy fizycznej.

.— Czy to mogło być szycie?

— Trudno stwierdzić z całą pewnością. Na palcach widać ślady ukłuć. Są też odciski pomiędzy kciukiem a palcem wskazującym. Być może, od maszyny do szycia albo od żelazka — spojrzał na niego znad szkieł. — Przecież znaleziono je w pobliżu tureckiej dzielnicy, prawda?

— I co z tego?

— To są tureckie robotnice.

Schiffer nie zwrócił uwagi na pewność, z jaką lekarz wypowiedział te słowa.

Przyglądał się z bliska tułowiowi ofiary. Paul odruchowo również się przybliżył.

Widział czarne nacięcia na bokach, na piersiach, na ramionach i udach. Wiele z nich sięgało tak głęboko, że widoczna była kość.

— Proszę nam o tym powiedzieć — powiedział Schiffer. Lekarz szybko przerzucił kilka kartek, spiętych razem.

— Na ciele tej ofiary naliczyłem dwadzieścia siedem cięć. Niektóre są powierzchowne, inne głębokie. Można przypuszczać, że zabójca z upływem czasu ranił coraz mocniej. Mniej więcej tyle samo ran znaleźliśmy na poprzednich ofiarach — opuścił plik papierów i spojrzał na swych rozmówców. — Ogólnie rzecz biorąc, wszystko, o czym będę mówił w odniesieniu do tej kobiety, dotyczy też

poprzednich ofiar. Wszystkie były torturowane w ten sam sposób.

— Czym dokonano nacięć?

— Nożem bojowym albo myśliwskim, chromowanym, z piłą PO drugiej stronie ostrza. Na wielu ranach widać ślady zębów. Zarządziłem badania, ale nie uzyskano żadnych szczególnych rezultatów. Najprawdopodobniej standardowe wyposażenie wojskowe, są dziesiątki takich modeli.

Schiffer przyglądał się innym ranom na piersiach, dziwne czarne krążki przypominające ukąszenia lub przypalenia. Kiedy Paul zobaczył je po raz pierwszy, przyszedł mu na myśl diabeł. Ognisty potwór, który delektował się tym niewinnym ciałem.

— A to? — spytał Schiffer, wskazując palcem. — Co to właściwie jest? Ukąszenia?

79

— Na pierwszy rzut oka wygląda jak ślady przypalania. Znalazłem jednak racjonalne wyjaśnienie. Myślę, że morderca posługuje się akumulatorem samochodowym, aplikując ofierze wstrząsy elektryczne. Ścisłe mówiąc, przypuszczam, że używa zacisków, które zwykle znajdują się na końcówkach przewodów. Moim zdaniem skóra została uprzednio zwilżona, żeby zwiększyć siłę wyładowania, co tłumaczy te czarne ślady. Na tych zwłokach jest ich ponad dwadzieścia — potrząsnął plikiem kartek. — Tutaj jest dokładny opis.

Paul wiedział o tym, czytał wielokrotnie oba raporty z sekcji. Za każdym razem jednak odczuwał ten sam wstręt, tak samo go odrzucało. Po prostu nie potrafił wczuć się w osobowość takiego zwyrodnialca.

Schiffer przesunął się i stanął przy nogach zabitej — czarno-sine stopy wygięte były pod dziwnym, nienaturalnym kątem.

— A tutaj?

Scarbon podszedł do stóp z drugiej strony. Obaj przypominali topografów studiujących jakąś mapę.

— Wyniki prześwietleń są wręcz spektakularne. Zmiażdżone kości stępu, śródstopia, paliczki—wszystko. Naliczyliśmy około siedemdziesięciu ułamków kości wbitych w tkanki. Żaden upadek nie mógłby spowodować takich uszkodzeń. Zabójca miażdżył stopy, uderzając tępym narzędziem. Żelaznym prętem albo kijem baseballowym. Dwie pozostałe ofiary miały zmiażdżone stopy w ten sam sposób. Według moich informacji jest to typowo turecka tortura. Nazywa się felaka czy felika, już nie pamiętam.

— Al-Falaqua — poprawił Schiffer. Wymówił to słowo z dziwnym, obcym akcentem. Paul przypomniał sobie, że Cyfra płynnie posługuje się językiem tureckim i arabskim. — Mogę z pamięci wymienić dziesięć krajów, w których stosuje się ten rodzaj tortury.

Scarbon poprawił okulary na nosie.

— No tak. Oczywiście. W każdym razie pełna egzotyka. Schiffer przemieścił się z powrotem ku środkowej części

ciała. Pochwycił jedną z rąk. Paul zobaczył poczerwiałe i opuchnięte palce.

— Paznokcie zostały wyrwane za pomocą obcęgow — powiedział lekarz. — Opuszki przypalano kwasem.

80

— Jakim kwasem?

— Nie sposób ustalić.

— Czy to nie może być próba zniszczenia odcisków palców, podjęta post mortem?

— Jeżeli tak było, to zabójcy się nie udało, ponieważ linie papilarne są całkowicie czytelne. Ale wątpię, przypuszczam, że to raczej dodatkowa tortura.

Ten facet lubi urozmaicenie.

Cyfra puścił rękę ofiary. Teraz przyglądał się uważnie wielkiej ranie na podbrzuszu. Medyk również spojrział w tamtą stronę. Topografowie zaczęli przypominać sępy.

— Zgwałcona?

— Nie w sensie seksualnym.

Po raz pierwszy Scarbon zawahał się. Paul również spojrział w tamtą stronę. Ujrzał szeroko rozwarty, poszarpany i pocięty na brzegach otwór. Części wewnętrzne — duże i małe wargi sromowe, lechtaczka, wywrócone były na zewnątrz, widok zmasakrowanego ciała był nie do zniesienia. Lekarz odchrząknął.

— Wepchnął jej tam jakąś pałkę z osadzonymi żyłkami. Tutaj wyraźnie widać nacięcia, wewnątrz sromu i tutaj, wzdłuż ud. Prawdziwa jatka. Lechtaczka jest rozcięta, tak samo wargi sromowe. Spowodowało to krwotok wewnętrzny. Pierwsza z ofiar miała takie same rany. Natomiast druga...

Znów się zawahał. Schiffer spojrział na niego.

— Co?

— W przypadku drugiej sprawa przedstawiała się inaczej. Myślę, że posłużył się czymś... żywym.

— Żywym?

— Tak, jakimś gryzoniem. Zwierzęciem. Wewnętrzne organy rodne były pogryzione i rozdarte, aż do macicy. Podobno ten rodzaj tortury stosowany był w Ameryce Łacińskiej.

Paul czuł, jak imadło zaciska się na jego głowie. Znał te szczegóły na pamięć, ale każdy z nich wstrząsał nim, każde słowo budziło zgrozę. Cofnął się aż do marmurowej wazy. Machinalnie zanurzył palce w perfumowanej wodzie i w tej chwili przypomniał sobie, że jego partner kilka minut wcześniej zrobił to samo. Szybko cofnął dłoń.

— Proszę mówić dalej — rozkazał Schiffer ochrypłym głosem.

81

Scarbon nie odpowiedział od razu, przez chwilę w turkusowej sali panowała cisza. Jakby zrozumieli, że nie można już było dłużej odwlekać kwestii twarzy.

— Tutaj sprawa jest najbardziej złożona — odezwał się wreszcie lekarz sądowy, pokazując w powietrzu odcinek odpowiadający twarzy zabitej. — Morderca dokonywał okaleczeń stopniowo, etapami.

— Proszę to wyjaśnić.

— Najpierw stłuczenia. Cała twarz jest jednym, wielkim krwiakiem. Zabójca bił długo i zaciekle. Być może posłużył się kastetem. W każdym razie jakimś metalowym przedmiotem, czymś bardziej precyzyjnym niż pręt albo pałka. Potem nastąpiły nacięcia, wreszcie odciął nos i wargi. Te rany nie krwawiły, co oznacza, że zostały zadane post mortem.

Teraz patrzyli na twarz, która wyglądała jak koszmarna maska, i widzieli głębokie rany z bliska. Pokryta była nacięciami, także czoło i skronie; policzki przecięte na wylot. Obcięty nos, podbródek spiłowany pilnikiem, okaleczone wargi...

— Sami panowie widzicie, co tu się dzieje. Zdumiewająca jest staranność, z jaką dokończył dzieła. To jest jego podpis. Nerteaux przypuszcza, że...

— Wiem, co on przypuszcza. A co pan o tym myśli? Scarbon cofnął się o krok z rękami założonymi do tyłu.

— Morderca ma obsesję twarzy. Jest nimi zafascynowany i budzącego agresję. Rzeźbi je, kształtuje, a zarazem odczłowiecza.

Schiffer ledwie dostrzegalnie wzruszył ramionami.

— Jaka była ostateczna przyczyna zgonu?

— Już mówiłem. Krwotok wewnętrzny, spowodowany po-szatkowaniem organów rodnych. Krew musiała wypłynąć na zewnątrz, na podłogę.

— A dwie pozostałe?

— W pierwszym przypadku taki sam krwotok. Chyba że serce nie wytrzymało. Jeśli chodzi o drugą, nie wiem dokładnie. Być może po prostu umarła z przerażenia. W sumie można stwierdzić, że przyczyną śmierci tych trzech kobiet było cierpienie. Nie ma jeszcze wyników badań DNA i analizy toksykologicznej trzeciej ofiary, ale nie sądzę, żeby wynikło z nich coś więcej niż w poprzednich przypadkach.

82

Scarbon zakrył ciało szybkim ruchem, nieco zbyt szybkim. Schiffer zrobił parę kroków i zapytał: — Czy można wywnioskować, jaka była kolejność zdarzeń?

— Trudno ustalić co do godziny, ale można przypuszczać, że ta kobieta została porwana trzy dni temu, czyli w czwartek wieczorem. Być może, wracała z pracy.

— Skąd ten wniosek?

— Miała pusty żołądek. Tak samo jak dwie poprzednie. Dopada je, kiedy wracają do domu.

— To tylko domysły. Lekarz sapnął gniewnie.

— Następnie była torturowana przez dwadzieścia do trzydziestu godzin bez przerwy.

— Skąd wiadomo, że akurat tyle?

— Wrywała się i więzy zostawiły ślady na skórze. Rany zaczęły ropieć, dzięki tym infekcjom można w przybliżeniu określić czas. Dwadzieścia do trzydziestu godzin, coś koło tego. Zresztą takich tortur nikt nie wytrzymałby dłużej.

Schiffer wpatrywał się w błękitną, lśniąca podłogę.

— Czy są jakieś poszlaki mogące dostarczyć nam informacji co do miejsca zbrodni?

— Być może.

— Co? — krzyknął Paul.

— Zauważyłem to już u poprzednich — powiedział Scarbon. — Ale u tej to wyjątkowo widoczne. W krwi ofiary widoczne są pęcherzyki azotu.

— Co to znaczy? Paul wyciągnął notes.

— To dość dziwne. Mogłoby to oznaczać, że ofiara przed śmiercią poddana została ciśnieniu większemu niż panujące na powierzchni ziemi. Na przykład takiemu, z jakimi mają do czynienia nurkowie w głębinach morskich.

Lekarz wspominał o tym po raz pierwszy.

— Nie jestem nurkiem — ciągnął — ale to znane zjawisko. Im głębiej człowiek się znajduje, tym większe jest ciśnienie. We krwi rozpuszcza się większa ilość gazów, głównie azotu. Jeżeli nurkujący wynurza się zbyt szybko, nie uwzględniając poziomów dekompresji, azot gwałtownie powraca do

83

stanu gazowego i w układzie krwionośnym tworzą się pęcherzyki.

Schiffer przysłuchiwał się z wyraźnym zainteresowaniem.

— I to właśnie przytrafiło się ofierze?

— Tak. Pęcherzyki azotu wywołują uszkodzenia i oczywiście dalsze męczarnie. Nie jestem tego pewien na sto procent, ale te kobiety mogły ulec chorobie kesonowej.

— Zostały umieszczone na dużej głębokości? — zapytał Paul, notując.

— Tego bym nie powiedział. Jeden z naszych internistów, który uprawia nurkowanie, twierdzi, że poddane zostały ciśnieniu co najmniej czterech barów. Odpowiada to głębokości około czterdziestu metrów. Chyba dosyć trudno byłoby

znaleźć taką głębię w Paryżu. Myślę, że po prostu zostały umieszczone w kesonie i tam poddane ciśnieniu.

Paul notował gorączkowo.

— Gdzie można znaleźć takie urządzenia?

— Trzeba poszukać. Takich kesonów używają zawodowi nurkowie do dekompresji, ale wątpię, żeby któryś z tych przyrządów znajdował się w Ile-de-France. Są też kesony używane w szpitalach. /

— W szpitalach?

— Tak. Chodzi o dotlenienie pacjentów, którzy cierpią na zaburzenia ukrwienia. Na przykład przy cukrzycy albo nadmiarze cholesterolu. Zwiększone ciśnienie pozwala lepiej rozprowadzić tlen w organizmie. W Paryżu jest pewnie z pięć takich kesonów. Trudno mi jednak sobie wyobrazić, żeby nasz zabójca działał w szpitalu. Należałoby raczej zainteresować się urządzeniami przemysłowymi.

— W jakich gałęziach przemysłu używa się tej technologii?

— Nie mam pojęcia. Niech pan szuka, to w końcu pana praca. I powtarzam, nie jestem niczego pewien. Być może, te pęcherzyki powstały w jakiś zupełnie inny sposób. Ale w takim razie zupełnie nie wiem jak.

— Czy na tych trzech ciałach — zapytał znowu Schiffer — nie ma nic, co pozwoliłoby nam dowiedzieć się czegoś o mordercy?

— Nic. Wszystkie były bardzo starannie umyte. Poza tym 84

jestem pewien, że działa w rękawiczkach. Nie odbywa z nimi stosunków seksualnych. Nie całuje, nie głaszcze. To nie w jego stylu, wręcz przeciwnie. Kliniczna czystość, jakby był robotem. Ten morderca jest... bezcielesny.

— Czy intensywność tortur wzrasta z każdą ofiarą?

— Nie. Wszystkie były torturowane równie starannie. To facet, który ma obsesję zła, ale zarazem nie traci głowy — uśmiechnął się niewesoło. — Morderca systematyczny, jak to określają podręczniki kryminologii.

— Jak pan myśli, od czego mu staje?

— Podnieca go cierpienie. Cierpienie w czystej postaci. Znęca się nad nimi starannie, drobiazgowo, dopóki nie umrą. Rozkoszy dostarcza mu ich ból. U podstaw tego wszystkiego leży głęboka nienawiść do kobiet. Do ich ciała, ich twarzy.

Schiffer odwrócił się do Paula i zachichotał:

— Mam dzisiaj szczęście do psychologów. Scarbon poczerwieniał na twarzy.

— Medycyna sądowa jest nierozzerwalnie związana z psychologią. Ślady przemocy, które badamy, są tylko przejawami działalności chorych umysłów.

Policjant przytaknął, ale dalej się uśmiechał. Pochwycił wydruki położone przez lekarza na jednym z katafalków.

— Dzięki, doktorze.

Ruszył ku drzwiom widocznym pod trzema świetlistymi oknami. Kiedy je otworzył, do sali wtargnęła smuga ostrego słonecznego światła, jak struga mleka wlana do wody.

Paul wziął drugi egzemplarz raportu.

— Mogę wziąć ten?

Lekarz nie odpowiedział, przyglądał mu się przez chwilę uważnie.

— Czy pana przełożeni wiedzą o Schifferze? Paul uśmiechnął się szeroko.

•— Proszę się nie niepokoić. Wszystko jest pod kontrolą. •— Niepokoję się o pana. To potwór. Paul wzdrygnął się.

To on zabił Gazila Hemeta — dodał lekarz. Znał dobrze to nazwisko. Październik 2000. Turek rozszarpany przez Thalys. Schiffer oskarżony o umyślne dokonanie

zabójstwa. Kwiecień 2001. Izba Prokuratorska z tajemniczych przyczyn umorzyła dochodzenie.

— Ciało było zmiążdżone — odpowiedział Paul lodowatym głosem. — Autopsja nic nie wykazała.

— To ja dokonałem kontreksperytyzy. Twarz pokryta była straszliwymi ranami. Miał wylupione jedno oko. Skronie po-dziurawione wiertarką. Hemet był torturowany w równie okrutny sposób jak ta dziewczyna — wskazał na ciało przykryte prześcieradłem.

Paul poczuł, że nogi się pod nim uginają. Nie mógł pogodzić się z tak poważnym zarzutem wobec kogoś, z kim miał pracować.

— W raporcie była tylko wzmianka o uszkodzeniach i...

— Reszta wyników moich badań znikła w tajemniczy sposób. Kryją go.

— Kto go kryje?

— Boją się. Wszyscy się boją.

Paul wyszedł na zewnątrz. Claude Scarbon szepnął, zdejmując gumowe rękawiczki:

— Wziął pan sobie diabła na współnika.

13

— To się nazywa Iskele. Tak to się wymawia: is-ke-le.

— Ale co?

— Można to przetłumaczyć jako przystań albo peron.

— O czym pan mówi?

Schiffer był już w samochodzie, kiedy Paul siadł za kierownicą. Nerteaux nie zapuścił silnika; nadal znajdowali się na dziedzińcu pawilonu Vesale, w cieniu smukłych kolumn.

— Mówię o mafii kontrolującej nielegalną imigrację z Turcji do Europy — wyjaśnił Schiffer. — Załatwiają im pracę i mieszkanie. Zazwyczaj starają się umieścić przybyszów z tej samej okolicy w tym samym zakładzie. W niektórych firmach w Paryżu możesz natknąć się na całe wsie żywcem przeniesione z Anatolii. Schiffer przerwał, stuknął palcem w pokrywą schowka.

— Taryfy są różne. Najbogatsi mogą sobie pozwolić na Wet lotniczy i przekupienie służb celnych. Lądują we Francji ^ fikcyjnym pozwoleniem na pracę i z fałszywym paszportem. Ubożsi jadą przez Grecję, podróżują w ładowni statku. Najbiedniejsi ciężarówką przez Bułgarię. W każdym przypadku kosztuje to co najmniej dwieście tysięcy franków. Cała rodzina składa się i gromadzi mniej więcej jedną trzecią tej sumy. Potem imigrant haruje przez dziesięć lat, aby spłacić resztę.

87

Paul wpatrywał się w profil Schiffera, wyraźnie widoczny na tle okna samochodu.

Dziesiątki razy słyszał o istnieniu takich organizacji, ale pierwszy raz zetknął się z tak szczegółowym ich opisem.

Siwowłosy policjant opowiadał dalej: — Nie masz pojęcia, jak sprawnie to działa.. Dysponują rejestrem, w którym znajduje się wszystko. Nazwisko, pochodzenie, miejsce pracy i wysokość długu do spłacenia przez każdego z imigrantów. Przez Internet utrzymują stały kontakt z przedstawicielami organizacji w Turcji, którzy wywierają nacisk na rodziny. W Paryżu zajmują się wszystkim. Przesyłką pieniędzy i tanimi rozmowami telefonicznymi. Pełnią funkcję poczty, banku i ambasady. Chcesz wysłać zabawkę jednemu ze swoich dzieciaków? Iskele to załatwi. Potrzebny ginekolog? Iskele daje zainteresowanej adres lekarza, który nie będzie wnikał, skąd wzięła się we Francji. Masz kłopoty z

pracodawcą? I znów Iskele zajmuje się rozstrzygnięciem sporu. W dzielnicy tureckiej nie dzieje się nic, o czym nie byliby poinformowani i co nie znalazłoby się w ich fiszkach.

Paul wreszcie zrozumiał, do czego zdąża Schiffer.

— Myśli pan, że wiedzą coś o tych morderstwach?

— Jeżeli te dziewczyny rzeczywiście były nielegalnymi imigrantkami, ich pracodawcy natychmiast zwrócili się do Iskele. Po pierwsze, żeby wiedzieć, co się stało. Po drugie, żeby znaleźć kogoś na ich miejsce. Każdy z tych trupów to dla nich strata, strata pieniędzy.

W umyśle Paula pojawiło się coś na kształt nadziei.

— Pan... pan myśli, że są w stanie zidentyfikować te robotnice?

— W każdym dossier znajduje się zdjęcie imigranta. Paryski adres, nazwisko i namiary na pracodawcę.

Paul odważył się zadać kolejne pytanie, chociaż znał już odpowiedź:

— Zna pan tych facetów?

— Szef Iskele w Paryżu nazywa się Marek Cesiuz. Wszyscy nazywają go Marius. Jest właścicielem sali koncertowej przy bulwarze Strasbourg. Byłem przy narodzinach jednego z jego synów.

Mrugnął do niego.

— Ruszasz czy nie?

Paul wpatrywał się jeszcze przez chwilę w Jeana-Louisa Gchifferra. „Wziął pan sobie diabła za współnika”. Być może, Scarbon miał rację. Ale czyż można sobie było wyobrazić lepszego współnika w sprawie, której się podjął?

1

co

N

O

14

W poniedziałek rano Anna Heymes, nic nikomu nie mówiąc, wyszła z mieszkania, wsiadła do taksówki i pojechała do Szóstej Dzielnicy. Pamiętała, że w pobliżu Carrefour de POdeon widziała kilka księgami medycznych.

W jednej z nich zaczęła przeglądać podręczniki psychiatrii

1 neurochirurgii, próbując dowiedzieć się czegoś o biopsjach stosowanych przy badaniach mózgu. Pamiętała dokładnie, że Ackermann mówił o „biopsji stereotaksycznej”. Bez trudu znalazła zdjęcia i szczegółowy opis badania.

Zobaczyła fotografie pacjentów z ogolonymi głowami, unieruchomionymi wewnątrz metalowego rusztowania, z metalowym sześcianem przykręconym do skroni. Używany do operacji trepan wyglądał jak świder.

Kolejne zdjęcia przedstawiały poszczególne etapy badania. Najpierw wiertło przebijające kość, potem skalpel przecinający oponę twardą, czyli membranę otaczającą mózg, potem igłę

2 wgłębieniem na końcu, która zanurza się w tkance mózgowej. Na tym zdjęciu, na którym chirurg wyciągał sondę z mózgu, widać było nawet różowy kolor tkanki.

Wszystko, tylko nie to.

Anna podjęła postanowienie. Musiała jak najprędzej znaleźć umego specjalistę, który by skonsultował diagnozę i mógł zaproponować jakąś alternatywną formę terapii.

93

Weszła do pierwszej z brzegu piwiarni na bulwarze Saint--Germain, wpadła do kabiny telefonicznej, znajdującej się obok toalety w piwnicy, i zaczęła

przerzucać książkę telefoniczną. Kilku lekarzy nie było, inni nie mieli czasu, wreszcie natknęła się na Mathilde Wilcrau, psychiatrę i psychoanalitikę, która wydawała się dysponować czasem.

Głos kobiety brzmiał poważnie, ale była w nim domieszka lekkiego, niemal żartobliwego tonu. Anna wspomniała krótko o „kłopotach z pamięcią” i podkreśliła, że sprawa jest pilna. Lekarka zgodziła się ją przyjąć od razu. Miała gabinet w pobliżu Panteonu, pięć minut od Odeonu.

Teraz Anna siedziała w małej poczekalni, zastawionej antycznymi, lśniąco od politurki meblami, które wyglądały tak, jakby je przywieziono prosto z Wersalu. W poczekalni nie było nikogo poza nią; zaczęła przyglądać się oprawionym w ramki zdjęciom, wiszącym na ścianach. Wszystkie wiązały się ze sportami ekstremalnymi. Na jednej z odbitek ludzka sylwetka odrywała się od zbocza góry, unosząc się na prostokątnym spadochronie; na następnej widniał alpinista w kapturze, wspinający się po oblodzonym zboczu; na jeszcze innej zamaskowany strzelec w kombinezonie narciarskim mierzył z karabinu, wyposażonego w celownik optyczny, ku niewidocznemu celowi.

— Oto jakie pomysły zaczęły mi przychodzić do głowy na starość.

Anna odwróciła się w kierunku głosu.

Mathilde Wilcrau była wysoką kobietą o szerokich ramionach, na jej twarzy promieniał uśmiech. Jej silna, umięśniona postać wyglądała niemal niezręcznie w kostiumie. Na jej długich nogach wyraźnie rysowały się węzły mięśni. Między czterdziestką a pięćdziesiątką, oceniła Anna, patrząc na powieki i zmarszczki wokół oczu lekarki. Tylko że tej kobiety o atletycznej budowie nie należało oceniać w kategoriach wieku, raczej w kategorii energii; nie należało liczyć jej lat, a kilodżule.

Lekarka wskazała jej drogę. — Tędy proszę.

Gabinet urządzone był podobnie jak poczekalnia; stare drewno-94

o marmury i złoto. Anna przeczuwała jednak, że zdjęcia, które widziała, więcej mówią o lekarce aniżeli kosztowne antyki-

Usiadły po obu stronach ognistego czerwonego biurka. Lekarka wzięła wieczne pióro i zapisała na bloku w kratkę jej dane. Nazwisko, wiek, adres... Anna w pierwszej chwili miała ochotę ukryć swą prawdziwą tożsamość, w końcu jednak zdecydowała się grać w otwarte karty.

Odpowiadając na rutynowe pytania, przyglądała się rozmówczyni. Doktor Wilcrau wyglądała bardziej na Amerykankę niż na Francuzkę. Miała czarne włosy opadające na ramiona, dużą twarz o regularnych rysach, bardzo czerwone i zmysłowe usta, przyciągające spojrzenie. Anna pomyślała o ciastku z owocami, bardzo słodkim i wysoce kalorycznym. Instynktownie poczuła, że ta kobieta budzi jej zaufanie.

— A więc, w czym problem? — spytała tamta wesoło. Anna starała się odpowiadać zwięźle i konkretnie.

— Mam kłopoty z pamięcią.

— Jakiego rodzaju kłopoty?

— Nie rozpoznaję twarzy moich bliskich.

— Wszystkich, czy kogoś w szczególności?

— Przede wszystkim mojego męża.

— Proszę wyrażać się ściślej: nie rozpoznaje go pani wcale? Nigdy?

— Nie. To są bardzo krótkie luki w pamięci. Przez chwilę jego twarz nie wywołuje we mnie żadnych skojarzeń. Jest mi całkowicie obcy. Potem coś zaskakuje i już wiem, kim jest. Z początku trwało to najwyżej sekundę. Ale wydaje mi się,

że teraz te zaburzenia trwają coraz dłużej.

Mathilde postukiwała końcówką czarnego pióra Mont-Blanc w kartkę. Anna zauważyła, że dyskretnie zsunęła pantofle ze stóp.

— To wszystko? Zawahała się.

•~ Czasami zdarza mi się coś wręcz przeciwnego...

— To znaczy?

— Wydaje mi się, że rozpoznaję twarze ludzi, których nie znam.

95

— Proszę dać jakiś przykład.

— Dotyczy to jednej osoby. Mniej więcej od miesiąca pracuję na ulicy Faubourg-Saint-Honore w sklepie, który nazywa się Maison du Chocolat. Jednym ze stałych klientów jest mężczyzna około czterdziestki. Za każdym razem, kiedy wchodzi do sklepu, mam wrażenie, że skądś go znam. Nigdy jednak nie udało mi się ustalić, skąd.

— A co on na to?

— Nic. Najwyraźniej nigdy nie widział mnie w innej sytuacji niż za kontuarem.

Anna rzuciła okiem pod biurko. Lekarka poruszała palcami nóg okrytych czarnymi rajstopami. W całej jej postaci było coś figlarnego, iskrzącego.

— Spróbuję podsumować. Nie rozpoznaje pani ludzi, których powinna pani znać, natomiast rozpoznaje pani nieznanym, czy tak?

Dziwnie przedłużała ostatnie sylaby, co przypominało wib-rato na wiolonczeli.

— Można to ująć w ten sposób, owszem.

— Może trzeba sobie sprawić okulary?

Annę ogarnęła wściekłość. Czują, że jej twarz płonie. Jak mogła tak się wyśmiewać z jej choroby? Wstała i chwyciła torebkę. Mathilde Wilcrau powstrzymała ją.

— Proszę mi wybaczyć. To był żart. Wiem, idiotyczny. Niech pani zostanie.

Proszę usiąść, bardzo proszę.

Anna znieruchomiała. Czerwony uśmiech emanował ciepłem, które ją otoczyło.

Uspokoila się i opadła na fotel.

— Jedziemy dalej. Czy ma pani jakieś szczególne odczucia wobec innych twarzy?

To znaczy, wobec ludzi spotykanych na ulicy czy w innych miejscach publicznych?

— Tak. Ale to co innego. Mam... coś w rodzaju halucynacji-W autobusie, podczas posiłków, wszędzie. Twarze zamazują się, mieszają, przeobrażają się w straszne maski. Nie mam odwagi patrzeć na nikogo. Niedługo przestanę wychodzić z domu...

— Ile pani ma lat?

— Trzydzieści jeden.

— Od jak dawna cierpi pani na te zaburzenia?

96

— Od półtora miesiąca.

— Czy towarzyszą im dolegliwości fizyczne?

— Nie... a właściwie tak. Przede wszystkim, objawy związane z lękiem. Drżenie, jakby zeszywnienie, nie mogę się ruszyć. Czasami też uczucie duszności, a ostatnio krwotok z nosa.

— Czy choruje pani na coś? — Nie. Na nic.

Lekarka zastanowiła się przez chwilę i zaczęła pisać coś w notatniku.

— Czy zdarzają się pani inne zaburzenia pamięci, na przykład dotyczące jakichś wydarzeń z przeszłości?

Raz kozie śmierć, pomyślała Anna i odpowiedziała:

— Tak. Niektóre wspomnienia stają się niewyraźne. Jakby oddalały się albo

zacierają.

— Jakie to wspomnienia? Czy dotyczą pani męża? Zesztywniała.

— Dlaczego pani o to pyta?

— Najwyraźniej zaburzenia wywołuje przede wszystkim widok jego twarzy. W takim wypadku również wasza wspólna przeszłość może stwarzać pani problemy.

Anna odetchnęła. Lekarka zadawała pytania, z których wynikało, że jej dolegliwości mogą być spowodowane fluktuacjami uczuć lub mieć źródło w podświadomości, że wiążą się z wypieraniem z pamięci określonych obrazów. Było to coś zupełnie innego niż diagnoza Ackermanna. A przecież po to właśnie tu przyszła.

— To prawda — przyznała. — Moje wspomnienia związane z Laurentem rozpadają się, zanikają — przerwała i nagle coś przyszło jej do głowy. — Ale przecież to w pewien sposób logiczne.

— Dlaczego?

— Laurent zajmuje centralne miejsce w moim życiu, a więc

1 w mojej pamięci. Większość wspomnień związana jest właśnie

2 nim. Zanim zaczęłam pracować w sklepie, byłam po prostu żoną przy mężu.

Małżeństwo było moim jedynym zajęciem.

— Nigdy pani nie pracowała?

Anna skrzywiła się, kpiąc z siebie samej.

97

— Skończyłam prawo, ale nigdy nie pracowałam w zawodzie. Nie mam dzieci.

Laurent jest dla mnie, że tak powiem, całym światem...

— Od dawna jest pani mężatką?

— Od ośmiu lat.

— Czy utrzymujecie normalne stosunki seksualne?

— Co to znaczy: normalne?

— Nudne. Rutynowe.

Anna nie zrozumiała. Lekarka uśmiechnęła się znowu.

— Znowu żartowałam. Chodzi mi po prostu o to, czy współżyjecie ze sobą regularnie.

— Pod tym względem wszystko jest w porządku. Nawet więcej, on... budzi we mnie bardzo silne pożądanie. Nawet coraz silniejsze. To bardzo dziwne.

— Może nie aż tak bardzo.

— Co chce pani przez to powiedzieć? Mathilde nie odpowiedziała.

— Kim z zawodu jest pani mąż?

— Policjantem.

— Słucham?

— Urzędnikiem na wysokim stanowisku. Laurent kieruje Ośrodkiem Badań i Studiów Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Opracowuje najrozmaitsze raporty i zajmuje się statystykami dotyczącymi zagadnień kryminalnych we Francji. Nigdy tak do końca nie zrozumiałam, na czym polega jego praca, ale to chyba coś ważnego. Blisko współpracuje z ministrem.

Mathilde zadała kolejne pytanie, jakby to wszystko nie zrobiło na niej większego wrażenia.

— Dlaczego nie macie dzieci? Były z tym jakieś kłopoty?

— W każdym razie nie kłopoty zdrowotne.

— A więc dlaczego?

Anna zawahała się. Przypomniał jej się sobotni wieczór: koszmar, to co powiedział Laurent, krew na twarzy...

— Nie wiem dokładnie. Dwa dni temu zadałam to sarno pytanie mężowi. Powiedział, że nigdy nie chciałam mieć dzieci. Ponoć nawet kazałam mu przysięgać, że nigdy nie będzie się tego domagał. Tylko że ja nic nie pamiętam — zaczęła mówić szybciej i głośniej. — Jak mogłam zapomnieć o czyrns

98

taki01?' — Oddzielając każdą sylabę, powtórzyła: — Ja tego

nie pa-mię-tam!

Lekarka pisała coś przez chwilę, potem spytała: __ A wspomnienia z dzieciństwa?

Też się zacierają?

— Nie. Wydają mi się odległe, ale wyraźne. __ Wspomnienia o rodzicach?

__ Nie. Moi rodzice zginęli w wypadku samochodowym, byłam wtedy bardzo mała. Wychowałam się w szkole z internatem w pobliżu Bordeaux, opiekował się mną wuj. Już się z nim nie widzimy. Zresztą nigdy nie spotykaliśmy się zbyt często.

— Jakie więc są te wspomnienia z dzieciństwa?

— Krajobrazy. Rozległe plaże Landów. Lasy sosnowe. To pamiętam dokładnie, nawet jakby coraz lepiej. Te widoki wydają mi się bardziej rzeczywiste niż cała reszta.

Mathilde notowała. Anna dostrzegła, że stalówka jej pióra kreśliła na papierze jakieś nieczytelne znaki i skróty. Nie podnosząc oczu znad notatnika, lekarka zadawała kolejne pytania.

— Czy śpi pani dobrze? Cierpi pani na bezsenność?

— Wręcz przeciwnie. Śpię bardzo dużo.

— Czy ogarnia panią senność, kiedy usiłuje sobie pani coś przypomnieć,?

— Tak. Rodzaj otępienia.

— Jakie ma pani sny?

— Odkąd zaczęła się ta choroba, ciągle śni mi się ten sam sen... bardzo dziwny.

— Proszę opowiedzieć.

Anna opowiedziała sen, który ją prześladował. Dworzec 1 wieśniacy. Człowiek w czarnym płaszczu. Sztandar z czterema Półksiężycami. Dziecięcy płacz. A potem gwałtowny wiatr, naga pierś, twarz rozpadająca się na strzępy...

Lekarka gwizdnęła z podziwu. Anna nie była pewna, czy odpowiada jej swobodny sposób bycia specjalistki, ale w obec-ności tej kobiety czuła jakby ulgę. Nagle Mathilde zapytała:

Była już pani u innego lekarza, prawda? — Anna wzdryg-się nerwowo. — Na przykład u neurologa? Ja... Dlaczego pani tak sądzi?

99

— Pani objawy są kliniczne. Takie zaburzenia parnięć i widzenia kojarzą się raczej z chorobą o charakterze neuro. logicznym, a więc większość pacjentów w takich wypadkach udaje się do neurologa. Poszukują lekarza, który jednoznacznie zlokalizuje chorobę i wyleczy ją farmakologicznie.

Anna skapitulowała:

— Nazywa się Ackermann. Jest przyjacielem mojego mażą z czasów dzieciństwa.

— Eric Ackermann?

— Pani go zna?

— Studiowaliśmy razem.

— Co pani o nim sądzi? — zapytała Anna z niepokojem w głosie.

— Bardzo zdolny. Jaką postawił diagnozę?

— Przede wszystkim zrobił mnóstwo badań. Skanery, prześwietlenia, rezonans magnetyczny.

- A petscan?
- Owszem. Robił badania w zeszłą sobotę. W szpitalu, gdzie było mnóstwo żołnierzy.
- Val-de-Grace?
- Nie, to był Instytut Henri-Becquerel w Orsay. Mathilde zanotowała nazwę szpitala w rogu kartki.
- Jakie były wyniki?
- Nic konkretnego. Ackermann twierdzi, że cierpię na uszkodzenie mózgu w prawej półkuli, w środkowej części płatu skroniowego.
- Czyli w strefie odpowiedzialnej za rozpoznawanie twarzy.
- Dokładnie tak. Podejrzewa martwicę jakiegoś mikroskopijnego obszaru w tej okolicy, ale urządzenie nie było w stanie jej zlokalizować.
- Jaka jest, jego zdaniem, przyczyna tego uszkodzenia? Anna zaczęła mówić szybciej, czuła ulgę, mogąc wreszcie wyrzucić z siebie to wszystko.
- Tego nie wiadomo. Ackermann chce robić kolejne badania — jej głos się załamał.
- Biopsję, żeby dokonać analizy tej części mojego mózgu. Chce zbadać komórki nerwowe czy coś w tym rodzaju. Ja... — odetchnęła głęboko. — Mówi, że to niezbędne do opracowania terapii.

100

Lekarka odłożyła pióro i skrzyżowała ramiona. Teraz przyglądała się Annie życzliwie, już bez przekory.

— Opowiadała mu pani o innych dolegliwościach? O zacie-
rających się wspomnieniach? Rozmazujących się twarzach?

— Nie.

— Dlaczego mu pani nie ufa? Anna nie odpowiedziała.

— Dlaczego przyszła pani na konsultację do mnie? Dlaczego opowiada mi pani to wszystko?

Anna wzruszyła ramionami i powiedziała z zamkniętymi oczami:

— Nie zgodzę się na biopsję. Chcą wdrzeć się do mojego mózgu.

— O kim pani mówi?

— O moim mężu i Ackermannie. Przyszłam do pani z nadzieją, że będzie pani miała jakiś inny pomysł. Nie chcę, żeby ktoś mi robił dziurę w głowie!

— Proszę się uspokoić. Anna była bliska płaczu.

— Mogę zapalić?

Lekarka skinęła głową. Kiedy rozwiął się dym z zapalonego papierosa, Anna znów zobaczyła uśmiech na jej twarzy.

Nie wiedzieć czemu, powróciło jedno ze wspomnień z dzieciństwa. Wycieczki z całą klasą na wrzosowisko i powroty do internatu z ogromnymi bukietami maków. Ktoś jej tłumaczył, że trzeba przypalać łądyżki, wówczas kwiaty dłużej zachowują kolor...

Uśmiech Mathilde Wilcrau przypomniał jej ten dziwny związek między ogniem i żywotnością kolorowych płatków. We Wnętrzu tej kobiety coś się wypaliło, coś, co pozwoliło utrwalić SI? czerwieni jej warg.

Lekarka milczała przez chwilę, potem spytała spokojnym głosem:

1

— Czy Ackermann wyjaśnił pani, że amnezja może być Vwywołana wstrząsem psychicznym, a nie fizycznym uszkodzeniem?

Anna gwałtownie wypuściła dym.

101

— Chce pani powiedzieć... że moje zaburzenia mogą być spowodowane przez wstrząs... psychiczny?

— Jest taka możliwość. Silne przeżycia mogą być przyczyną wyparcia.

Ogarnęła ją poczucie ulgi. Teraz wiedziała już, że przyszła do tego gabinetu właśnie po to, by usłyszeć te słowa; skierowała się do psychoanalityka, by potwierdzić możliwość czysto psychologicznych przyczyn choroby.

— Ale przecież — powiedziała między jednym a drugim zaciągnięciem się, z trudem powstrzymując podniecenie — ...przecież musiałabym pamiętać taki wstrząs, prawda?

— Niekoniecznie. W większości przypadków amnezja obejmuje także swe źródło, przyczynę.

— I ten wstrząs dotyczyłby twarzy?

— To prawdopodobne, owszem. Twarzy, a także pani męża. Anna zerwała się z fotela.

— Jak to, mojego męża?

— Sądząc po objawach, które pani opisała, zablokowanie nastąpiło w tych dwóch punktach.

— To znaczy, że Laurent spowodował ten wstrząs psychiczny?

— Tego nie powiedziałam. Ale, moim zdaniem, to wszystko jest ze sobą powiązane. Jeśli rzeczywiście przeżyła pani wstrząs, w pani psychice utworzył się swoisty amalgamat, wiążący amnezję i postać pani męża. To wszystko, co na razie mogę stwierdzić.

Anna milczała, wpatrując się w rozżarzoną końcówkę papierosa.

— Czy może pani zyskać nieco na czasie? — spytała Mathilde.

— Zyskać na czasie?

— Przesunąć tę biopsję na później.

— Czy... czy pani zgodzi się mną zająć? Mathilde wskazała piórem na Annę.

— Może pani odwlec te badania czy nie?

— Chyba tak. O parę tygodni. Ale jeśli te zaburzenia...

— Czy zgodzi się pani na szczegółowe werbalne badanie pani pamięci?

102

— Tak.

— Czy zgodzi się pani na częste i regularne wizyty u mnie?

— Tak.

— A na techniki sugestii, takie jak hipnoza?

— Tak.

— Zastrzyki ze środków uspokajających?

— Tak. Tak. Tak.

Mathilde odłożyła pióro. Biała gwiazdka na czubku mont--blanc błysnęła przyjaźnie.

— Rozwiążemy zagadkę pani pamięci, proszę mi zaufać.

15

Radość w sercu.

Od dawna nie czuła się tak szczęśliwa. Samo przypuszczenie, że choroba może być wywołana przez wstrząs psychiczny, a nie przez uraz fizyczny, przywracało jej nadzieję, pozwalało przynajmniej liczyć na to, że jej mózg nie jest strukturalnie uszkodzony.

Wracając taksówką, jeszcze raz pogratulowała sobie podjętej decyzji. Odmówiła przyjęcia do wiadomości uszkodzeń, złowrogich maszyn i biopsji. Spotkała się ze zrozumieniem, życzliwym słowem, miłym głosem Mathilde Wilcrau... Już tęskniła za

brzmieniem tego głosu.

Kiedy około pierwszej po południu dotarła na ulicę Faubourg--Saint-Honore, wszystko wydawało jej się żywsze, wyraźniej-sze. Rozkoszowała się widokiem dobrze znanych miejsc. Czowała się tak, jakby odkrywała na nowo ten ciągnący się wzdłuż ulicy archipelag wysepek, z których każda miała swój charakter i specjalność.

Na skrzyżowaniu Faubourg-Saint-Honore i Avenue Hoche rządziła muzyka: tancerkom z płaskorzeźb fasady teatru Pleyel wtórowały polakierowane pianina Hamm z naprzeciwka. Dalej, pomiędzy ulicami Neva i Daru, królowała Rosja z jej moskiewskimi restauracjami i cerkwią. Potem wędrowiec wkraczał w świat słodkości: herbaty Braci Mariage, przysmaki z Maisofl

104

1

ju Chocolat; dwie fasady z brązowego mahoni jak dwa pociągnięte werniksem lustra, niczym ramy okalające eksponat w muzeum smaków.

Kiedy weszła do sklepu, Clothilde właśnie sprzątała półki, przestawiała ceramiczne wazy, odkurzała drewniane misy i porcelanowe talerzyki, które z czekoladą kojarzyć się mogły tylko ciepłym kolorem, albo po prostu tym, że tworzyły specyficzną atmosferę błogostanu i szczęścia. Były rekwizytami wygodnego życia, które pobrzękuje przyjaźnie i które pije się na gorąco... Clothilde odwróciła się, nie schodząc ze stołka.

— O, jesteś! To teraz ja wyskoczę na godzinę. Muszę iść do Monoprixa. Należało jej się trochę wolnego, przecież Anny nie było całe przedpołudnie — teraz ona powinna obsłużyć klientów przychodzących w czasie przerwy obiadowej. Bez słowa, ale z uśmiechem, skinęła głową. Wzięła od Clothilde ściereczkę i zabrała się za wycieranie, polerowanie, pucowanie — z całą energią, jakiej przysporzył jej przyływ dobrego nastroju.

Potem euforia nagle minęła i Anna poczuła w piersi mroczną pustkę. W ciągu kilku sekund zdała sobie sprawę, jak mało miała powodów do radości. Cóż w końcu tak optymistycznego wynikało z porannego spotkania? Uszkodzenie czy wstrząs psychiczny, jaka to różnica, co to mogło zmienić? Czy Mathilde Wilcrau mogła zrobić dla niej coś więcej? Czy to sprawia, że jej szaleństwo, jej cierpienie jest mniej dotkliwe?

Opadła na krzesło stojące za kontuarem. Hipoteza lekarki była, być może, jeszcze gorsza niż przypuszczenia Ackermanna. Myśl o tajemniczym wydarzeniu, psychicznym wstrząsie, który wywołał jej amnezję, zaczęła teraz jeszcze wzmacniać jej przerażenie. Co mogło kryć się w martwej strefie mroku?

Niektóre słowa wciąż powracały, zwłaszcza ta odpowiedź: >.Twarze, a także pani mąż". Co Laurent miał z tym wszystkim wspólnego?

— Dzień dobry.

Głos zabrzmiał razem z dzwoneczkiem przy drzwiach; za-nim jeszcze spojrzała w tamtym kierunku, nie miała wątpliwości, że to on.

105

Mężczyzna w wytartej marynarce zbliżył się wolnym krokiem do lady. W tej chwili wiedziała z całą pewnością, wiedziała, że go zna. Trwało to tylko ułamek sekundy, ale wrażenie było przemożne, tak dotkliwe, jak ukłucie. A jednak pamięć i tym razem odmówiła jej posłuszeństwa, nie dostarczyła żadnej wskazówki.

Pan Aksamit zachowywał się zupełnie swobodnie, raczej nie zwracał na nią uwagi. Roztargnionym spojrzeniem ogarnął wystawione czekoladki. Dlaczego jej nie rozpoznawał? Czy grał jakąś rolę? Przyszła jej do głowy szalona myśl: a może to

był przyjaciel, współnik Laurenta, który miał ją szpiegować, wystawić na jakąś próbę? Ale po co, dlaczego?

Milczała; on uśmiechnął się do niej i powiedział niedbałym tonem:

— Chyba wezmę to, co zwykle.

— Służę uprzejmie.

Anna podeszła do lady, czując wyraźnie drżenie rąk. Z trudem opanowała się, sięgnęła po torebkę i wyspała do niej czekoladki Jikola. Postawiła na szalce wagi.

— Dwadzieścia deko. Dziesięć euro i pięćdziesiąt centów. Znów spojrzała na niego ukradkiem. Już nie była tak pewna.

Tylko że uczucie dyskomfortu nie ustąpiło. Pomyślała, że ten mężczyzna, tak samo jak Laurent, musiał poddać się operacji plastycznej. To była twarz z jej wspomnień, a zarazem twarz kogoś innego...

Pan Aksamit znów się uśmiechnął, spojrzał na nią przelotnie, zapłacił i wyszedł, rzucając na odchodnym ledwo dostyszalne „do widzenia”.

Anna przez dłuższą chwilę stała bez ruchu jak osłupiała. Żaden z poprzednich ataków nie był równie gwałtowny. Tak jakby w ten sposób musiała odpokutować za wszystkie nadzieje, które zrodziły się tego ranka. Złudzenie, że jest jakaś szansa na wyleczenie się z choroby, musiała przyplącić upadkiem aż na samo dno. Jak więzień, który próbuje uciec, a kiedy go schwytają, zostaje wtrącony do ciemnicy.

Dzwonek zabrzączał znowu.

— Cześć.

Do sklepu wkroczyła Clothilde, cała mokra od deszczu,

106

pokaźnych rozmiarów siatkami. Weszła na chwilę na zaplecze, by ooiawić się znowu, świeża i radosna. J- Co ci jest? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła upiora. Anna nie odpowiedziała. Zbierało jej się jednocześnie na nłacz i na wymioty.

— Źle się czujesz? — spytała Clothilde. Anna patrzyła na nią bezmyślnie. Wstała i powiedziała po

prostu:

Muszę się przejść.

16

Na dworze lało coraz bardziej. Anna pozwoliła nieść się ulewie i mokrym porywom wiatru. Patrzyła bezmyślnie na miasto, które zataczało się w strugach deszczu.

Chmury falowały ponad dachami, fasady budynków lśniły, zdobiące je rzeźbione głowy przypominały twarze topielców, sine lub zielonkawe, pogrążone w odmętach wody spadającej z nieba. Poszła ulicą Faubourg-Saint-Honore, potem Avenue Hoche w lewo, aż do parku Monceau. Posuwając się wzdłuż czarnych i złotych prętów ogrodzenia, doszła do ulicy Murillo.

Pośród zgiełku ulicznego ruchu samochody wzbijały fontanny wody i błyskały światłami. Zakapturzeni motocykliści w gumowych płaszczach pędzili niczym zwielokrotniona postać współczesnego Zorro. Przechodnie zmagali się z porywami wichury, wiatr przyklejał ubrania do ich sylwetek niczym mokre szmaty, którymi okłada się niedokończone rzeźby.

Wszystko było brązowe i czarne, gdzieniegdzie połyskiwał odcień ciemnej oliwy, refleksy chromu i nienaturalnego światła. Anna szła ulicą Messine, pośród jasnych budynków i starych drzew. Nie wiedziała, dokąd niosą ją nogi, i nie zastanawiała się nad tym; parła na wprost, przed siebie — w rzeczywistości i w

swych myślach.

Wtedy właśnie go zobaczyła.

Po drugiej strony ulicy, w witrynie, ujrzała portret. Podeszła

108

1

do wystawy. Była to reprodukcja obrazu przedstawiającego ^niekształconą, skręconą, okaleczoną twarz, namalowaną jaskrawymi kolorami. Zbliżyła się jeszcze, szła jak zahipnotyzowana. Ten obraz wyglądał tak, jakby był wyjęty z jej urojeń.

Poszukała nazwiska malarza. Francis Bacon. Autoportret z roku 1956. Wystawa prac artysty odbywała się w pobliskiej galerii, na pierwszym piętrze. Minęła kilka bram i znalazła wejście, od ulicy Teheran, wspięła się po schodach.

Białą salę przedzielono czerwonymi zasłonami, co nadawało ekspozycji uroczysty, niemal religijny charakter. Wewnątrz zgromadziło się mnóstwo ludzi, ale panowała niezwykła cisza. Te dzieła zmuszały do swobodnego szacunku, należało oglądać je w pełnym grozy milczeniu.

W pierwszej sali Anna zobaczyła płótno dwumetrowej wysokości, ukazujące kościelnego dostojnika, siedzącego na tronie. Odziany był w purpurową szatę i wrzeszczał, jakby smażył się na krześle elektrycznym. Na jednym obrazie przedstawiony był w czerwieniach, na innym w czerniach, na jeszcze innym w błękitach i fioletach. Wciąż jednak powtarzały się te same szczegóły. Dłonie wpijające się w oparcia, spalone, jakby przyklejone do żarzącego się drewna. Usta rozdarte niemym krzykiem, wyglądające jak dziura przypominająca ranę, a wokół fioletowe języki płomieni...

Anna minęła pierwszą zasłonę.

W następnym pomieszczeniu nadzy, pokurczeni mężczyźni schwytni byli w pułapkę kolorowych plam i geometrycznych klatek. Zwinięte, zniekształcone ciała przywoływały na myśl dzikie bestie albo może jakieś zezwierzęcone stwory, powstałe z połączenia kilku gatunków. Twarze, obtłuczone i zdeformowane, kojarzyły się ze szkarłatnymi rozetami lub krwawymi paszczami. Z tyłu, za nimi, plamy barw przypominały posadzkę rzeźni, miejsca straceń, gdzie ciała składanych ofiar przekształcały się w krwawe kadłuby, w żywcem patroszoną padlinę. Wszystko namalowane drżącymi, nerwowymi pociągnięciami pędzla, jak w filmach dokumentalnych kręconych w pośpiechu kamerą z ręki.

Anna odczuwała narastający niepokój, wciąż jednak nie znajdowała tego, czego tu szukała: oblicza cierpienia.

Czekało na nią w sali ostatniej.

109

Było ich dwanaście, dwanaście płócien nieco mniejszych niż poprzednie, odgrodzonych barierkami z czerwonego sznura Portrety zmasakrowane, rozdarte, roztrzaskane; płatanina warg nosów i obnażonych kości, w których oczy na próżno dopatrywały się jakiegoś zwykłego porządku.

Obrazy pogrupowane zostały w tryptyki. Pierwszemu malarz dał nazwę „Trzy studia ludzkiej głowy”. Tryptyk ten pochodzi z roku 1953. Błękitne, sine, trupie twarze ze śladami pierwszych okaleczeń. Tryptyk drugi stanowił jakby naturalną kontynuację poprzedniego, był eskalacją brutalności. Nosił podpis: „Studium na trzy głowy”, data: 1962. Przedstawiał białe twarze, umykające przed spojrzeniem obserwatora, co tym silniej uwidaczniało blizny, wyłaniające się spod błazeńskiej szminki. Rany te wydawały się być namalowane po to, żeby w jakiś

upiorny sposób rozśmieszyć widza; przypominały okrutnie okaleczone twarze dzieci ze średniowiecza, których dożywotnym przeznaczeniem było pełnić rolę trefnisiów i błaznów.

Anna podchodziła do kolejnych obrazów, lecz nie odnajdywała w nich swoich halucynacyjnych przywidzeń. Otaczały ją przerażające maski, wirujące usta, policzki i spojrzenia, epatujące nieznośnym nagromadzeniem zniekształceń. Można było powiedzieć, że malarz się pastwił nad tymi twarzami. Napadał na nie, ćwiartował je, posługując się najostrzejszą bronią, jaką miał do dyspozycji: pędzlem, ostrą szczotką, nożem, szpachlą. Otwierał rany, zdrapywał strupy, rozdzierał policzki... Anna przechadzała się przed obrazami z głową wciśniętą w ramiona, skulona ze strachu. Nie przyglądała się już płótnom, spoglądała na nie tylko przez chwilę i znów odwracała wzrok, jej powieki drżały. Najokrutniejsza ze wszystkich była seria studiów poświęcona niejkiej Isabel Rawsthorne. Twarz tej kobiety wręcz rozpryskiwała się. Anna cofnęła się, rozpaczliwie usiłując dopatrzeć się sensu w tym szaleństwie ludzkich strzepów. Dostrzegała jednak tylko osobne fragmenty: usta jak rany, oczy wypadłe z orbit, zaczerwienione na obrzeżach, jakby je czymś ostrym wycięto.

Wreszcie wpadła w panikę, odwróciła się na pięcie i ruszył ku wyjściu. W przedsionku galerii zobaczyła katalog wystawy"; wyłożony na białej ladzie. Zatrzymała się.

110

[^usiała go zobaczyć — zobaczyć jego twarz.

jsjerwowo przekartkowała książkę, przerzucając zdjęcia pr-
\vtii i reprodukcje obrazów, aż w końcu natrafiła na portret arllego Francisca
Bacona. Czarno-białe zdjęcie, na którym yyrzaziste spojrzenie malarza lśniło
mocniej niż kredowy papier.

Oparła obie dłonie o kartkę, by wyrównać ją i stanąć twarzą w twarz z artystą. Jego oczy płonęły pożądliwie pośrodku szerokiej, niemal okrągłej twarzy o silnych szczękach. Krótki nos, niesforne kosmyki włosów, pomnikowe czoło. Twarz człowieka, który każdego ranka potrafił wytrzymać spojrzenia okaleczonych masek ze swoich obrazów.

Uwagę Anny zwrócił pewien szczegół.

Jeden łuk brwiowy malarza był w stosunku do drugiego uniesiony wyżej. Oko drapieźnika, skupione i zadziwione, wytrzeszczone tak, jakby było wpatrzone w jeden punkt. Anna zrozumiała: to niewiarygodne, ale Francis Bacon był fizycznie podobny do stworów z obrazów. Jego fizjonomia emanowała tym samym obłędem i była tak samo zniekształcona. Czy to widok własnej asymetrycznej twarzy zainspirował artystę do tworzenia zdeformowanych wizji, czy też może obrazy zniekształciły twarz swojego twórcy? Tak czy inaczej, rysy twarzy i dzieło artysty stanowiły spójną całość.

To proste stwierdzenie było dla Anny objawieniem.

Jeżeli zniekształcenia widziane na obrazach Bacona wywodziły się z rzeczywistego źródła, dlaczego także jej halucynacje nie mogłyby mieć oparcia w prawdziwych doznaniach? Dla-fzego jej własne urojenia nie miałyby być zapoczątkowane Jakimś znakiem, jakimś szczegółem istniejącym w rzeczywistości?

Zmroziło ją nowe podejrzenie. A jeśli, przy całym swym Maleństwie, miała rację? Jeżeli Laurent, podobnie jak Pan Aksamit, naprawdę zmienili twarze?

Oparła się o ścianę i zamknęła oczy. To miało sens. Z jakiegoś ttiewyobraźalnego powodu Laurent wykorzystał jej amnezję i zmienił twarz. Zrobił sobie operację plastyczną, żeby ukryć SI(? wewnątrz własnego oblicza. Pan Aksamit dokonał

takiego samego zabiegu.

111

Byli współnikami. Razem musieli popełnić coś straszne i dlatego poddali się operacji. To właśnie było powodem niepokoju, jaki ją ogarniał na ich widok. Wzdrygnęła się. To było zupełnie niemożliwe, całkowicie absurdalne. Czuła jednak, że w jakiś sposób ociera się o prawdę, choć, z drugiej strony, wydawało się to kompletnym szaleństwem.

Jej umysł przeciwko innym umysłom. Przeciwko innym.

Pobiegła do drzwi. Na podeście schodów zobaczyła obraz, którego wcześniej nie dostrzegła; wisiał nad poręczą. Kłębowski blizn, które próbowały się do niej uśmiechnąć.

17

Anna weszła do kafejki na rogu Avenue Messine, zamówiła przy barze butelkę wody Perrier i zeszła od razu do piwnicy w poszukiwaniu kabiny telefonicznej.

Tego samego dnia rano przerzucała książkę telefoniczną, szukając numeru telefonu psychiatry; było to na bulwarze Saint-Germain. Teraz wydało jej się to jakimś rytuałem, czynnością, którą należy powtarzać, by przekroczyć kolejne stopnie wtajemniczenia, poddawać się kolejnym próbom na drodze wiodącej do prawdy.

Przerzucając pomięte strony, natrafiła wreszcie na rubrykę „chirurgia plastyczna”. Nie zwracała uwagi na nazwiska, interesowały ją tylko adresy.

Musiała znaleźć jakiś gabinet znajdujący się w pobliżu. Jej palec zatrzymał się na linijce: „Didier Laferriere, ulica Boissy-d'Anglas 12”. Przypominała sobie, że ulica znajduje się w pobliżu placu Madeleine, czyli o 500 metrów od miejsca, gdzie się znajdowała. Usłyszała sześć sygnałów, potem głos mężczyzny.

— Doktor Laferriere? — spytała. Tak, słucham.

Miała szczęście. Nie musiała nawet przedzierać się przez barierę sekretariatu.

Chciałabym umówić się na wizytę.

Moja sekretarka jest dziś na zwolnieniu. Proszę zacz-

113

kac — usłyszała stukot klawiatury komputera. — Kiedy pani przyjść?

Miał dziwny głos; stłumiony, bez wyrazu.

— Natychmiast — odpowiedziała. — To pilne.

— Pilne?

— Wy tłumaczę to panu. Proszę mnie przyjąć.

Wahał się przez chwilę, w jego milczeniu Anna wyczuła nieufność. Potem spytał tym swoim głosem z waty:

— Za ile pani może przyjść?

— Za pół godziny.

Teraz w jego głosie Anna dostrzegła cień uśmiechu. Jej pośpiech wyraźnie go rozbawił.

— Dobrze, czekam.

18

— Nie rozumiem. Jaka właściwie operacja panią interesuje?

Didier Laferriere był niskim mężczyzną o pospolitym wyglądzie; siwe, kędzierzawe włosy doskonale pasowały do bezbarwnego brzmienia głosu. Jego ruchy były dyskretne, wręcz ukradkowe, nieuchwytnie. Mówił jakby przez parawan z papieru ryżowego. Anna zrozumiała, że jeśli ma się czegoś dowiedzieć, musi przedrzeć się przez tę zasłonę.

— Nie jestem jeszcze zdecydowana — odpowiedziała. — Chciałabym najpierw dowiedzieć się czegoś o operacjach, które pozwalają zmienić twarz.

— Jak bardzo zmienić? — Całkowicie.

Chirurg przybrał ton eksperta.

— Aby uzyskać znaczące zmiany, trzeba dokonać modyfikacji struktury kostnej. Stosujemy dwie podstawowe techniki. H to operacje polegające na szlifowaniu kości, mające na celu ^godzenie zbyt wystających elementów twarzy, oraz przeszczepy kostne, które prowadzą do efektu przeciwnego, czyli Uwydatnienia określonych stref.

~ A dokładnie, jak to się odbywa? W gabinecie panował półmrok. Przez zasłony na oknach Przedostawało się tylko stłumione światło, wydobywające za-
115

rysy orientalnych mebli. Panujący w pokoju nastrój przywodzi na myśl konfesjonał.

— Jeśli chodzi o szlifowanie — odpowiedział chirurg Po chwili namysłu — dokonujemy redukcji wypukłości kostnych dostając się do nich pod skórą. Co do przeszczepów, najpierw! pobieramy fragmenty z innych okolic, zazwyczaj z kości cię-mieniowej, czyli ze szczytu czaszki, a następnie umieszczamy je w z góry ustalonych miejscach. Niekiedy również stosujemy protezy.

Rozłożył ręce, a jego głos złagodniał.

— Wszystko jest możliwe. Najważniejsze, żeby pacjent by} zadowolony.

— Taka operacja na pewno zostawia jakieś ślady? Uśmiechnął się lekko.

— Nic podobnego. Działamy metodą endoskopową. Światłowody i mikroinstrumenty wprowadzane są pod skórą do wnętrza tkanki. Przebieg operacji monitorujemy na ekranie. Nacięcia na skórze są minimalne.

— Czy mogłabym zobaczyć zdjęcia takich blizn?

— Oczywiście. Ale może zacznijmy od początku. Może określimy razem rodzaj operacji, jaki panią interesuje.

Anna zrozumiała, że ten człowiek pokaże jej tylko wyretuszowane zdjęcia, na których nie będzie widać żadnych śladów. Zmieniła więc temat.

— A nos? Jakie są możliwości, jeżeli chodzi o nos? Zmarszczył czoło z powątpiewaniem. Anna miała nos prosty, wąski, drobny. Nie było co zmieniać.

— Właśnie w tym miejscu chce pani dokonać modyfikacji?

— Biorę pod uwagę różne możliwości. Co może pan zrobić w tej sprawie?

— W tej dziedzinie dokonał się ogromny postęp. Możemy dosłownie wyrzeźbić pani wymarzony nos. Jeśli pani sobie życzy, wspólnie zaprojektujemy jego kształt. Mam tu taki program komputerowy, który pozwala...

— Ale na czym polega sama operacja?

Lekarz poruszył się niespokojnie. Zamiast fartucha miał n3 sobie krótką, białą marynarkę.

— Najpierw zmiękczymy tę strefę...

116

__ W jaki sposób? Rozbijając chrząstki, prawda? Uśmiech wciąż gościł na jego twarzy, ale oczy poczęły .zyglądać się jej uważniej. Didier Laferriere próbował zro-urnieć, o co chodzi tej dziwnej pacjentce.

__ Oczywiście, pierwszy etap jest dość... radykalny, ale

\wszystko odbywa się pod znieczuleniem. _- I co dzieje się dalej?

— Przemieszczamy kości i chrząstki, nadając nosowi pożądaną kształt. Powtarzam: możemy ukształtować nos z najwyższą precyzją, na miarę.

— Taka operacja musi zostawiać jakieś ślady, prawda? — Anna powtórzyła pytanie.

— Najmniejszego. Narzędzia są wprowadzane przez nozdrza. Skóra pozostaje

nienaruszona.

— A jakiej techniki używa się podczas liftingu? — zapytała znowu.

— Również endoskopii. Naciągamy skórę i mięśnie, używając do tego miniaturowych kleszczy.

— A więc także nie ma żadnych śladów?

— Najmniejszych. Docieramy pod skórę przez górny płat ucha. Blizna jest całkowicie niedostrzegalna — machnął ręką. — Proszę zapamiętać o śladach i bliznach, to przeszłość.

— A liposukcja?

Didier Laferriere zmarszczył brwi.

— Mówiliśmy o twarzy.

— Przecież istnieją liposukcje szyi, prawda?

— Owszem. To zresztą jedna z najłatwiejszych operacji.

— Czy pozostawia ślady?

Zadała o jedno pytanie za dużo. W głosie chirurga słyszała irytację.

Nie rozumiem, chodzi pani o efekt końcowy czy o blizny? Anna zmieszała się. Na chwilę opanowała ją ta sama panika, irej uległa w galerii. Poczwała falę gorąca na skórze, różującą się od piersi po czoło. Musiała być czerwona jak burak.

Przepraszam — wymamrotała, z trudem dobywając z siebie odwagi.

Chciałabym... krótko mówiąc, chciałabym zobaczyć zdjęcia.

117

któ

bie głos.

Laferriere zniżył głos: kropelka miodu dla osłody.

— Nie ma mowy. Te zdjęcia są naprawdę zbyt drastyczne. Nas interesuje wynik końcowy, rozumie pani? Reszta to rnoja sprawa.

Anna zacisnęła dłonie na oparciach fotela. Przecież musi być jakiś sposób, żeby zmusić tego lekarza do powiedzenia prawdy.

— Nie zdecyduję się na operację, dopóki na własne oczy nie zobaczę, co pan będzie robić z moją twarzą.

Lekarz wstał, rozkładając przepraszająco ręce.

— Bardzo mi przykro. Obawiam się, że nie jest pani psy. chicznie gotowa na tego rodzaju zabieg.

Anna ani drgnęła.

— Co pan przede mną ukrywa? Laferriere zeszywniał.

— Słucham?

— Pytałam o blizny, pan odpowiedział, że nie zostają żadne blizny. Prosiłam, żeby pan mi pokazał zdjęcia, a pan odmawia. Co pan przede mną ukrywa?

Chirurg pochylił się i oparł o blat biurka.

— Droga pani, zdarza mi się operować 20 osób dziennie. Wykładam chirurgię plastyczną w szpitalu Salpetriere. Wiem dobrze, na czym polega mój zawód. Otóż polega on na tym, by nieść ludziom szczęście poprzez upiększenie ich twarzy. Nie polega natomiast na tym, żeby opowiadać im o bliznach lub pokazywać zmiażdżone kości. Nie wiem, do czego pani zmierza, ale pomyliła pani adres.

Anna wytrzymała jego spojrzenie.

— Jest pan hochsztaplerem. Wyprostował się, nie wierząc własnym uszom.

— Co... co takiego?!

— Odmawia pan przedstawienia dokumentacji swojej pracy. Okłamuje mnie pan co do jej wyników. Udaje pan magika, ale jest pan tylko kolejnym naciągaczem. Takim samym oszustem, jak setki innych chirurgów plastycznych.

Słowo „oszust” wywołało pożądany skutek. Twarz Laferriere[^] pobladła do tego stopnia, że niemal zaczęła świecić w półmroku. Odwrócił się i gwałtownym ruchem otworzył szafkę z żaluzjowym zamknięciem. Wyjął z niej folder zfi 118 jjeciami wsadzonymi w plastikowe koszulki i z hukiem położył na biurku.

— To pani chce zobaczyć?

Otworzył na pierwszym zdjęciu. Twarz prawie wywrócona na drugą stronę, skóra rozsunięta szczypcami hemostaty-
cznymi-

— Albo to?

Drugie zdjęcie: wywrócone wargi, chirurgiczny nóż przecinający krwawiące
dziąsło.

— A może to?

Trzecie zdjęcie: młotek wbijający dłuto wewnątrz nozdrza. Anna zmuszała się, by
nie odwrócić wzroku.

Na kolejnej kliszy skalpel przecinał powiekę ponad nienaturalnie wytrzeszczoną
gałką oczną.

Uniosła głowę. Zdołała wywieść lekarza w pole, pozostał jeszcze ostatni etap
dochodzenia.

— To niemożliwe, żeby takie operacje nie pozostawiały żadnych śladów —
powiedziała.

Laferriere westchnął. Sięgnął znów do szafki i wyjął z niej drugi folder.

Zobaczyła pierwsze zdjęcie.

— Szlifowanie kości żołądowej. Endoskopijne. Cztery miesiące po operacji —
powiedział lekarz zmęczonym głosem.

Anna przyjrzała się uważnie twarzy pacjenta. Na czole, u nasady włosów, widać
było trzy pionowe kreski długości 15 milimetrów. Chirurg odwrócił stronę.

— Pobranie z kości ciemieniowej w celu dokonania przeszczepu. Dwa miesiące po
zabiegu.

Na zdjęciu widniała głowa porośnięta krótkimi włosami, spod których wylaniała
się wyraźna różowa blizna w kształcie litery S.

— Wkrótce włosy zakryją bliznę, która z czasem zniknie całkowicie — dodał
lekarz.

Szybkim ruchem odwrócił stronę.

— Potrójny lifting, technika endoskopowa. Szew śródskórny Przy użyciu
samowchłaniającej się nici. Po miesiącu praktycznie nic nie widać.

Dwa ujęcia ucha, z boku i z tyłu na jednej stronie. W górnej Partii ucha Anna
dostrzegła cieniutki zygzak.

119

— Liposukcja szyi — powiedział Laferriere, przewracając kolejną stronę. — Dwa i
pół miesiąca po operacji. Widoczna tu linia zniknie z czasem. Blizny po tego
typu zabiegach goją się najłatwiej.

Kolejna strona.

— I jeżeli chce pani wszystko zobaczyć, ma tu pani prze. światlenie twarzy po
przeszczepie kości policzkowych. Pod skórą ślady zabiegu pozostają na zawsze...
Powiedział to z naciskiem, zaczepnym tonem, z niemal sadystyczną przyjemnością.
To zdjęcie zrobiło na niej największe wrażenie. Błękitnawa trupia czaszka z
widocznymi pęknięciami i śrubami.

Anna zamknęła folder.

— Dziękuję panu. Bardzo mi zależało, żeby to zobaczyć. Lekarz obszedł biurko i
przyjrzał jej się uważnie, jakby

wciąż usiłując odkryć tajemną przyczynę jej wizyty.

— No ale... wciąż nie rozumiem, o co pani chodzi? Wstała i włożyła swój miękki, czarny płaszcz.

— Najpierw muszę dokonać oceny na podstawie przedstawionych dokumentów — powiedziała i po raz pierwszy uśmiechnęła się do lekarza.

19

Jest druga nad ranem.

Ciągle pada deszcz; uporczywe bębnienie, nieprzerwany rytm z akcentami, synkopatni wybijanymi na szybach, balkonach

1 kamiennych balustradach.

Anna stoi przed oknem w salonie. Ma na sobie bluzę i spodnie od dresu, ale cała drży z zimna.

W pokoju jest ciemno, patrzy przez mokrą szybę na czarną sylwetkę starego płąta. Drzewo przypomina jej zrobiony z kory szkielet, unoszący się w powietrzu. Spalone kości poprzetykane mchem, srebrzącym się w blasku latarni. Nagie pazury, które czekają, by przyoblec się w ciało — świeże, wiosenne liście. Spogląda w dół. Na stole przed nią leżą przedmioty, które kupiła po południu, wracając od chirurga. Miniaturowa latarka elektryczna marki Maglite; aparat fotograficzny firmy Polaroid

2 lampą błyskową.

Już od ponad godziny Laurent śpi w swoim pokoju. Leżała obok niego i obserwowała, jak zasypia. Śledziła lekkie porażenia ciała, świadczące o zapadaniu w sen. Potem przysłuchiwała się oddechowi, który stał się równy, nieświadomy.

Pierwszy sen.

Najgłębszy.

Zbiera swój sprzęt. Żegna się w myśli z drzewem na zewnątrz,

121

z tym obszernym pokojem, z jedwabistym połyskiem parkietów i z białymi sofami. To pożegnanie ze wszystkim, do czego sje w tym mieszkaniu przyzwyczaiła. Jeśli ma rację, jeśli to, Co sobie wyobraziła, jest prawdziwe, będzie musiała uciekać Uciekać i próbować zrozumieć.

Idzie korytarzem. Idzie tak ostrożnie, że do jej świadomości dociera oddech budynku — skrzypienie parkietu, brzęczenie kotła centralnego ogrzewania, drżenie szyb w oknach smaganych deszczem.

Bezszelestnie wkrada się do pokoju.

Staje koło łóżka, odkłada aparat fotograficzny na nocny stolik i kieruje latarkę ku podłodze. Dodatkowo zakrywa ją ręką i dopiero wtedy włącza halogenową lampkę; czuje jej ciepło na skórze.

Powstrzymując oddech, pochyla się nad mężem.

W świetle latarki widzi jego nieruchomy profil i zarys sylwetki przykrytej pościelą. Czuje, że coś ściska ją w gardle. Mało brakuje, a stchórzyłaby, zrezygnowała, jednak bierze się w garść.

Kieruje strumień światła na jego twarz.

Żadnej reakcji, może zacząć.

Najpierw leciutko unosi włosy i ogląda jego czoło: nic tam nie ma. Ani śladu trzech blizn zauważonych na zdjęciu u Lafer-riere'a.

Teraz oświetla skronie; żadnych znaków. Dolna część twarzy, pod szczękami, podbródek... nie znajduje nic niezwykłego.

Znów ogarniają drżenie. Czyżby to było kolejne szaleństwo? Kolejny rozdział w

historii jej obłądu? Musi się skupić i skończyć to, co zaczęła.

Teraz bardzo delikatnie odgina ucho, by obejrzeć jego krawędź. Najmniejszej skazy. Bardzo lekko naciąga powieki, szukając śladu nacięcia. Nie ma tam nic. Ogląda nozdrza, wewnątrz przegrody nosowej. Nic.

Jest cała spocona. Stara się oddychać jak najciszej, a'e przychodzi jej to z coraz większym trudem.

Przypomina sobie o jeszcze jednej możliwej bliźnie. Sze* w kształcie litery S. Prostuje się, powoli zanurza rękę ^Q włosach Laurenta, unosząc każdy kosmyk, oświetlając latarki 122

korzonki włosów. Nie ma nic. Żadnej blizny, żadnych nieregu-wypukłości. Nic. Nic. Nic.

Anna powstrzymuje szloch. Zapominając już o wszelkich środkach ostrożności, zaczyna szarpać włosy na tej głowie, która ją zdradza, która udowadnia jej, że jest wariatką, że jest...

Ręka chwyta ją brutalnie za przegub.

— Co ty robisz?

Anna odskakuje do tyłu. Latarka spada na ziemię. Laurent podniósł się już, zapala lampkę nocną i powtarza:

— Co ty robisz?

Dostrzega latarkę leżącą na podłodze i aparat na stoliku.

— Co to ma znaczyć? — szepce; jego wargi drżą ze zdenerwowania.

Anna nie odpowiada, stoi oparta o ścianę. Laurent odrzuca kołdrę i wstaje, podnosi z ziemi latarkę. Przygląda jej się z obrzydzeniem, potem potrząsa nią przed twarzą Anny.

— Obserwowałaś mnie, tak? W środku nocy? Na litość boską, o co ci chodzi?

Anna milczała.

Laurent przeciera czoło ręką i ciężko wzdycha. Ma na sobie tylko slipki. Otwiera drzwi sąsiedniego pokoju, w którym mieści się garderoba, bierze stamtąd džinsy i sweter. Ubiera się bez słowa i wychodzi z pokoju, pozostawiając Annę na pastwę samotności i szaleństwa.

Anna osuwa się po ścianie, przysiada na podłodze. Nie myśli o niczym, nie widzi niczego. Czuje tylko uderzenia wewnątrz Piersi; każde jest jakby silniejsze od poprzedniego.

Laurent staje w progu, w ręce trzyma telefon komórkowy. Na jego twarzy widoczny jest dziwny uśmiech, kiwa głową ze Współczuciem; już się uspokoił; jakby jego rozsądek powrócił w ciągu kilku minut.

Wskazuje na telefon i mówi łagodnym głosem:

Wszystko będzie dobrze. Dzwoniłem do Ackermanna. Jutro zawiozę cię do instytutu.

Pochyla się nad nią, podnosi i powoli prowadzi do łóżka. ^nna nie opiera się.

Sadzają delikatnie, jakby bał się ją zranić a'bo może uwolnić drzemiącą w niej jakąś niebezpieczną siłę.

~~~ Teraz wszystko będzie dobrze.

123

Ona kiwa głową, wpatrując się w latarkę, którą Laurem położył na nocnym stoliku obok aparatu.

— Tylko nie biopsja — bełkocze Anna. — Nie chcę sondy Nie chcę operacji.

— Najpierw Eric zrobi nowe badania. Zrobi wszystko, co możliwe, żeby uniknąć pobrania tkanki mózgowej. Obiecuję-, całuje ją. — Wszystko będzie dobrze.

Proponuje jej środek nasenny, ona odmawia.

— Weź, proszę — nalega Laurent.

Zgadza się i połyka pigułkę. Laurent kładzie ją i przykrywa kołdrą, potem układa się obok niej i czule obejmuje. Nie mówi ani słowa o dręczącym go niepokoju. O tym, co odczuwa wobec objawów choroby psychicznej swojej żony.

O czym myśli naprawdę? Może do siebie mówi z ulgą, że się jej pozbędzie?

Wkrótce słyszy jego oddech, regularny oddech śpiącego człowieka. Jak on może usnąć w takiej chwili? Być może jednak minęło już wiele godzin... Anna straciła poczucie czasu, Leży z policzkiem przytulonym do piersi męża i słucha bicia jego serca. Spokojnego, miarowego rytmu.

Środek uspokajający zaczyna działać.

Sen rozkwita wewnątrz jej ciała...

Ma teraz wrażenie, jakby łóżko odpływało od stałego ładu. Z wolna płynie ku ciemnościom. Już nie ma co się opierać, nie ma sensu walczyć z prądem. Wystarczy dać ponieść się fali-

Przytula się do Laurenta i myśli o platanie lśniącym w deszczu za oknami salonu, o jego nagich gałęziach, czekających, by pokryć się pąkami i liśćmi, czekających na wiosną, której ona, Anna, nie zobaczy.

Właśnie minął ostatni dzień jej życia pośród istot normalnych-  
20

— Anno, co robisz? Spóźnimy się!

Anna stała pod gorącym strumieniem wody z prysznicą i ledwo słyszała głos Laurenta. Wpatrywała się w krople rozpryskujące się u jej stóp, rozkoszując się ciepłem spływającym jej po karku, czasem unosiła głowę i pozwalała, by woda obmywała jej twarz. Całe jej ciało było miękkie, rozleniwione, ogarnięte płynnym żywiołem. Bierne i posłuszne, jak jej umysł.

Dzięki środkowi nasennemu udało jej się przespać parę godzin. Rano czuła się bezwolna i nijaka, było jej wszystko jedno, co się zdarzy. Jej rozpacz objawiała się dziwnym spokojem. Było to coś w rodzaju ukojenia, dystansu.

— Anno, pospiesz się!

— Już idę.

Wyszła spod prysznicę i stanęła na drewnianej kratce przed umywalką. Ósma trzydzieści: ubrany i wypachnioty Laurent Przeszł powął niecierpliwie z nogi na nogę pod drzwiami łazienki. Ubrała się pośpiesznie; najpierw bielizna, potem wełniana sukienka — czarna i obcisła, z metką Kenzo, w stylu turystycznej żałoby.

Strój jak najbardziej stosowny do okoliczności.

Chwyła szczotkę i zaczęła się czesać. Lustro było zaparowane, widziała w nim tylko zarys swojego odbicia i pomyślała, że może tak jest lepiej.

125

Za kilka dni, może za kilka tygodni, tak właśnie będzie postrzegała rzeczywistość. Nie będzie jej rozpoznawać i dostrzegać, stanie się obca wobec całego otoczenia. Nie będzie nawet zajmować się swoim obłędem, pozwalając mu unicestwić ostatnie skrawki rozumu.

— Anno?!

— Już, już!

Uśmiechnęła się na myśl o zniecierpliwieniu Laurenta. Bał się spóźnić do pracy czy tak mu było spieszo pozbyć się wariatki? Obraz w lustrze stawał się coraz wyraźniejszy. Dostrzegała już swoją twarz, zaczerwienioną od gorącej wody.

Pożegnała się w myśli z Anną Heymes, a także z Clothilde, z Maison du Chocolat, z Mathilde Wilcrau, lekarzem psychiatrą o ustach w kolorze płatków malcu...

Już wyobrażała sobie siebie w Instytucie Henri-Becquerel. Biały, zamknięty

pokój, żadnego kontaktu z rzeczywistością. Właśnie tego było jej trzeba. Niemal już nie mogła się doczekać, kiedy odda się w ręce obcych ludzi, lekarzy i pielęgniarek.

Pomału nawet przyzwyczajała się do myśli o biopsji, o tej sondzie, która z wolna zagłębi się w jej mózg i, być może, odnajdzie przyczynę choroby. W gruncie rzeczy nie obchodziło ją, czy wyzdrowieje. Chciała tylko zniknąć, wyparować, nie przeszkadzać już nikomu...

Nagle Anna przestała się czesać.

W lustrze, pod grzywką, dostrzegła właśnie trzy pionowe blizny. Nie wierzyła własnym oczom. Lewą ręką starła ostatnie ślady pary z powierzchni lustra i zbliżyła się, powstrzymując oddech. Ślady były niewielkie, ale widoczne, u góry czoła. Blizny po operacji plastycznej. Właśnie takich blizn szukała na próżno zeszłej nocy. Zatkąła usta zaciśniętą pięścią, żeby nie zacząć krzyczeć. Skuliła się, czując strumień gorącej lawy we wnętrzościach. — Anno! Co ty tam robisz, do cholery? Nawoływania Laurenta dobiegały jakby z innego świata. Drżąc na całym ciele, Anna wstała i poczęła przyglądać się uważnie swojemu odbiciu. Odwróciła głowę, odgięła prawe ucho: na jego krawędzi znalazła białawą linię; na lewym uchu drugą, taką samą.

126

Oparła się rękami o umywalkę, próbując opanować drzenie. Urosła podbródek, szukając śladów pozostałych po liposukcji; znalazła je bez trudu.

Zawrót głowy.

Opadanie w dół, w przepaść.

Schyliła głowę, rozgarnęła włosy, szukając ostatniego znaku: szwu w kształcie litery S, który byłby śladem pobrania tkanki kostnej. Różowawy wąż czekał na nią w gąszczu włosów; wstrętny, przebrzydły gad.

Oparła się całym ciężarem ciała o umywalkę, żeby nie zemdleć, podczas gdy niepojęta prawda docierała do jej świadomości. Nie mogła oderwać wzroku od swego odbicia — pochylonej głowy, lśniących włosów. Z wolna pojmowała ogrom przepaści, jaka się pod nią rozwarła.

Tylko jedna osoba poddała się operacji plastycznej: ona.

21

— Anno, odpowiedz, do wszystkich diabłów! Głos Laurenta rozbrzmiewał w łazience, dobiegał przez otwarte okienko wraz z ostatnimi obłokami pary, mieszającymi się z wilgotnym powietrzem. Odbijał się echem na dziedzińcu budynku. Anna słyszała go, stojąc na gzymsie. — Anno, otwórz!

Przesuwała się bokiem, przyciskając plecy do ściany, starając się utrzymać równowagę. Czowała na łopatkach chłód kamienia, krople deszczu spływały po jej twarzy, wiatr chłostał ją mokrymi kosmykami włosów po oczach.

Starła się nie patrzeć w dół, na znajdujący się dwadzieścia metrów niżej dziedziniec; wpatrywała się w ścianę budynku naprzeciwko.

— OTWIERAJ!

Usłyszała trzask wyważonych drzwi od łazienki. Po chwili Laurent wychylał się już z okienka, przez które uciekła; był czerwony z wściekłości.

W tym samym momencie dotarła do ażurowego obramowania balkonu. Chwyciła się mocno kamiennej krawędzi, jednym zdecydowanym ruchem przerzuciła ciężar ciała na drugą stronę i wylądowała na kolanach, czując, jak łopocą poły długiego, czarnego szlafroka, który narzuciła na ubranie. — ANNO, WRACAJ!

128

poprzez kolumny balustrady zobaczyła męża, który szukał •ej wzrokiem. Wstała,

pobiegła wzdłuż tarasu, pokonała kolejną barierkę i znów znalazła się na gzymsie.

\V tej chwili świat oszalał.

\V rękach Laurenta pojawiła się krótkofalówka. Usłyszała panikę w jego głosie:

— Do wszystkich jednostek: ona ucieka! Powtarzam: zwiewa nam!

Po paru sekundach na dziedzińcu pojawili się dwaj mężczyźni. Ubrani byli po cywilnemu, lecz na ramieniu mieli czerwone policyjne opaski. Celowali w nią z pistoletów maszynowych.

Niemal w tej samej chwili w budynku znajdującym się po drugiej stronie otworzyło się witrażowe okienko. Stał w nim mężczyzna, który w wyprostowanych rękach trzymał chromowany pistolet. Rozejrzał się dookoła i zauważył ją: doskonały cel i łatwy strzał.

Z dołu znowu dobiegły odgłosy pospiesznych kroków. Oprócz tamtych dwóch, na dziedzińcu było teraz jeszcze trzech mężczyzn, między nimi Nicolas, ich kierowca. Wszyscy mieli takie same pistolety maszynowe.

Zamknęła oczy i rozpostarła ramiona, żeby łatwiej utrzymywać równowagę. W jej umyśle panowała dojmująca cisza, nie dopuszczająca żadnych myśli i niosąca ze sobą dziwne ukojenie.

Posuwała się dalej, z zaciśniętymi powiekami, rozkrzyżowa-nymi ramionami.

Usłyszała jeszcze głos Laurenta:

— Nie strzelać! Na litość boską, musimy mieć ją żywą!

Otworzyła oczy. Ze zdumiewającą obojętnością podziwiała doskonałą symetrię rozgrywającego się wokół niej baletu. Po Prawej stronie Laurent, starannie uczesany, wykrzykiwał coś do nadajnika, wskazując języczkiem. Naprzeciw niej nieruchomy strzelec z dłońmi zaciśniętymi na kolbie pistoletu; widziała teraz nawet mikrofon umieszczony tuż koło jego ust. Na dole P^ciu mierzących do niej mężczyzn, zamartwych w bezruchu, 2 uniesionymi twarzami.

I w środku całego zamieszania ona. Błada jak kreda, ubrana na czarno, w pozycji ukrzyżowanego.

Wyczuła krągłość rynny. Wygięła się, przesunęła rękę na drugą stronę i płynnie ominęła przeszkodę. Parę metrów dalej

129

Anna omal się nie roześmiała; akurat dziś nie należał zadawać jej tego pytania.

Odepchnęła ją, podbiegła do wejść i otworzyła drzwi. Miała już wyjść, kiedy na mahoniowy\*, stoliku zobaczyła kluczyki i pilota do otwierania bramy garażn

Wszystkie te budynki miały wspólny parking podziemny Chwyciła urządzenie i ruszyła biegiem w dół, po schodach wykładanych purpurowym aksamitem. Czowała, że może wywieść ich w pole. Znalazła się w podziemiu. Była cała obolała, z trudem łapała oddech, ale w jej głowie pojawił się już gotowy plan ucieczki. Pułapka zastawiona przez gliniarzy zamknie się na parterze; tymczasem ona wymknie się przez bramę garażu, wychodzącą na ulicę Daru, po drugiej stronie kwadratu ulic, między którymi znajdował się jej dom. Można było z dużym prawdopodobieństwem założyć, że nie przyszło im jeszcze do głowy obstawić tego wyjścia.

Kiedy znalazła się na parkingu, pobiegła, nie zapalając światła, ku wyjazdowi.

Skierowała pilota w stronę bramy, ale nim zdążyła dotknąć przycisk, wjazd do garażu otworzył się i Anna zobaczyła czterech uzbrojonych mężczyzn schodzących w dół. Nie doceniła przeciwnika. Ledwo zdążyła skryć się za jakimś samochodem, opierając się dłońmi o podłogę.

Widziała, jak przeszli, ciałem odczuła wibrację uderzeń ich ciężkich buciorów o

beton, miała ochotę się rozplakać. Mężczyźni zaglądali między auta, omiatając je światłem latarek. Przycisnęła się do ściany i zdała sobie sprawę, że jej ramię jest lepkie od krwi; pospiesznie zawiązana opaska musiała się poluzować. Zacisnęła ją, trzymając jeden koniec w zębach, a jednocześnie gorączkowo rozmyślała nad sposobem ucieczki. Jej prześladowcy oddalali się powoli, zaglądając w każdy kąt, sprawdzając każde zagłębienie, szukając wszędzie. Wiedziała jednak, że wkrótce zawrócą i w końcu ją znajdą. Rozejrzała się jeszcze raz dookoła i w odległości paru metrów P° prawej stronie zauważyła pomalowane na szaro drzwi. O ile dobrze pamiętała, prowadziły do innego budynku, który także wychodził na ulicę Daru.

Przemykając między ścianą a zderzakami wozów, dobmej3 do drzwi, uchyliła je tylko na tyle, na ile było trzeba, żeby

132

2)ła się przez nie precisnąć. Po paru sekundach była już \* rozświetlonym, nowoczesnym holu. Nie było tam nikogo. „yspięła się szybko po schodach i wypadła na zewnątrz.

gdy przebiegała przez ulicę, rozkoszując się dotknięciami jy-opel deszczu, usłyszała pisk hamulców i stanęła jak wryta. camochód zatrzymał się tuż przed nią, muskając jej szlafrok.

Cofnęła się o krok, oszołomiona i przerażona. Kierowca opuścił szybę i wrzasnął:

— Jak leziesz, krowo! Oczu nie masz?

Anna nie zwróciła na niego uwagi. Rozglądała się pospiesznie naprawo i lewo, wypatrując policjantów. Wydawało się jej, że powietrze przesycone jest elektrycznością, napięciem, jak gdyby zaraz miała nadejść burza.

To ona była tą burzą.

Kierowca minął ją powoli.

— Lecz się, ciotka!

— Wal się. Mężczyzna zahamował.

— Co?

Anna wyciągnęła w jego stronę czerwony od krwi palec.

— Spadaj stąd i to już!

Tamten zawahał się, chciał odpowiedzieć, ale chyba zrozumiał, że coś tu nie gra, że nie jest to zwykła awantura, jakich setki mają miejsce dzień w dzień na ulicach Paryża. Wzruszył ramionami i odjechał.

Anna wpadła na nowy pomysł. Pobiegła co tchu w stronę kościoła prawosławnego, znajdującego się na tej samej ulicy. Weszła na teren cerkwi, ruszyła przed siebie wysypanym kacykami dziedzińcem i wspięła się po schodach wiodących do starych drzwi z politurowanego drewna; otworzyła je i pogrążyła si? w mroku.

Z początku odniosła wrażenie, że we wnętrzu panuje zupełna ciemność, gdy jednak pulsowanie w skroniach ustało, zaczęła Dostrzegać zbrązowiałe złocenia, zrudziałe ikony, miedziane °Parcia krzesel, wyglądające jak zastygłe płomienie.

Kiedy jej oczy przyzwyczyły się już do półmroku, zauważyła eż inne połyskujące przedmioty; każdy z nich korzystał, jak 'ftogł, z bladej poświaty przepuszczanej przez witraże i z nikłego

133

blasku świec. Nawet postacie na freskach zdawały się wrywać z mroku, by zaczerpnąć nieco jasności. Całe wnętrze wypełnione było srebrzystym blaskiem i połyskliwym światłowieniem w którym toczyła się niema walka między nocą a dniem. Anna oddychała coraz spokojniej. Serce wciąż waliło w jej piersi jak oszalałe, była mokra od potu. Zatrzymała się i oparła o kolumnę, rozkoszując się chłodem



kamienia. Wkrótce jej puls również się uspokoił. Wszystko w tej cerkwi działało na nią kojąco: świeczki migocące na lichtarzach, złocistobrazowe lampy, wyglądające jak owoce miesięcznicy, twarze Chrystusa o wydłużonych, roztopiających się konturach, przypominające chleb z wosku.

— Żle się pani czuje?

Odwróciła się i zobaczyła Borysa Godunowa we własnej osobie. Przed nią stał odziany w czarną szatę ogromnego wzrostu mężczyzna z długą, siwą brodą, zakrywającą całą pierś. Mimo woli pomyślała, że wygląda tak, jakby przed chwilą wyszedł z jakiejś ikony.

— Nie czuje się pani dobrze? — powtórzył pop barytonem. Rzuciła okiem w stronę drzwi i zapytała:

— Czy jest tutaj krypta?

— Słucham?

Starła się wyraźnie wypowiadać każde słowo:

— Krypta. Pomieszczenie służące do ceremonii pogrzebowych.

Wydawało mu się, że rozumiał, jaki jest cel jej wizyty. Przybrał więc stosowny do okoliczności wyraz twarzy i wsuwając dłonie w mankiety, zapytał:

— Kogo chcesz pochować, moje dziecko?

— Samą siebie.

22

Kiedy zgłosiła się na ostry dyżur w szpitalu Saint-Antoine, zrozumiała, że czeka ją kolejna próba sił w walce z chorobą i obłędem.

Światłówki w poczekalni odbijały się w ścianach z białych kafelków, tłumiąc światło dzienne. To wewnątrz musiało wyglądać tak samo o ósmej rano, jak o jedenastej wieczorem. Panujące tam gorąco sprawiało, że tym mocniej odczuwało się atmosferę szpitala, przesiąkniętą zapachem środków dezynfekcyjnych. Emanował z niej bezwład, coś, co przytłaczało. Wkraczało się tutaj w obszar przejściowy pomiędzy życiem a śmiercią i proces ten odbywał się niezależnie od pory dnia lub nocy.

Na przykręconych do ściany krzeselkach siedzieli obok siebie najprzedziwniejsi przedstawiciele chorej ludzkości. Jakiś mężczyzna z wygoloną głową bez przerwy drapał się po przedramionach, z których na podłogę sypał się żółtawy pył; obok niego pokrwawiony kloszard, siedzący na wózku inwalidzkim, lżył pielęgnarki gardłowym głosem i domagał się, żeby mu włożyć flaki na miejsce. Opodal stała stara kobieta, ubrana w papierowy fartuch, która bez przerwy się rozbierała, mamrocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa i ukazując szare, słoniowate fałdy ciała, opasane pieluchą. Tylko jeden z pacjentów wydawał się normalny; siedział odwrócony bokiem, koło

135

okna. Kiedy się jednak odwrócił, widać było, że druga połowa jego twarzy jest mozaiką odłamków szkła i zaschniętej krwi. Anna nie zdziwiła się na widok tego zbiorowiska cudaków nie bała się. Wręcz przeciwnie: była pewna, że tutaj nikt nie zwróci na nią uwagi.

Jakieś cztery godziny wcześniej zaciągnęła popa do krypty tłumacząc mu, że jest z pochodzenia Rosjanką, że cierpi na nieuleczalną chorobę i że jako osoba żarliwie wierząca, chciałaby zostać pochowana w tym oto świętym miejscu. Kapłan odnosił się do tego pomysłu nieco sceptycznie, lecz wysłuchiwał jej opowieści przez ponad pół godziny. W ten sposób, nieświadomie, ukrywał ją, podczas kiedy mężczyźni z policyjnymi opaskami przeczesywali okolicę.

Kiedy Anna znów wyszła na powierzchnię, droga była już wolna. Rana przestała

krwawić. Mogła spokojnie chodzić po mieście; wystarczyło schować zakrwawioną rękę pod szlafrok. Idąc szybkim krokiem, błogosławiła Kenzo i ekstrawagancje mody, dzięki którym jej szlafrok wyglądał na modny płaszcz. Błądziła tak w deszczu, bez celu, przez ponad dwie godziny, gubiąc się w tłumie na Półach Elizejskich. Starła się nie myśleć, nie zbliżyć się za bardzo do otchłani czających się w jej umyśle. Żyła i była wolna. A to niemało.

O dwunastej wsiadła w metro na placu Concorde. Linia pierwsza, kierunek: Chateau de Yincennes. Doszła do wniosku, że zanim opracuje jakikolwiek plan ucieczki, musi uzyskać potwierdzenie swojego odkrycia. Przypomniała sobie, jakie szpitale znajdują się po drodze, i wybrała szpital Saint-Antoine, w pobliżu stacji Bastille.

Czekała już od dwudziestu minut, kiedy wreszcie pojawił się lekarz, trzymający w ręce wielką kopertę ze zdjęciem rentgenowskim. Położył ją na pustym kontuarze i pochylił się, by wyciągnąć coś z szuflady. Wtedy szybko do niego podeszła.

— Czy może mnie pan przyjąć?

— Proszę zaczekać na swoją kolej — rzucił przez ramię, nawet nie spojrzawszy w jej stronę. — Pielęgniarka wywoła panią po nazwisku.

Anna chwyciła go za ramię. 136

,- Bardzo proszę. Muszę zrobić prześwietlenie, poirytowany mężczyzna odwrócił się; jego zachmurzona twarz zmieniła się natychmiast na jej widok.

— Zgłosiła się pani do recepcji?

— Nie.

.— Nie okazała pani legitymacji ubezpieczeniowej?

— Nie mam legitymacji.

Lekarz zmierzył ją spojrzeniem od stóp do głów. Miał na sobie biały fartuch i drewniane chodaki, był zabójczo przystojnym, wysokim brunetem. Wycięcie lekarskiej bluzy ukazywało owłosiony tors i złoty łańcuch wiszący na szyi, co w połączeniu z opalenizną przywodziło na myśl podrywaczy z włoskich komedii. Przyjrzał się jej dokładnie bez najmniejszego skrępowania, z uśmiechem znawcy. Wskazał ruchem ręki rozdarcie szlafroka, przesiąknięte zaschniętą krwią.

— Chodzi o ramię?

— Nie. Boli mnie twarz. Muszę zrobić prześwietlenie. Zmarszczył brwi i podrapał się po włosach na piersi, gęstej szczecinie ogiera.

— Przewróciła się, pani?

— Nie. To chyba jakiś nerwoból. Nie wiem.

— Albo po prostu zapalenie zatok przynosowych — mrugnął do niej okiem. — To zdarza się bardzo często o tej porze roku.

Rozejrzał się po poczekalni i pacjentach: ćpun, pijaczyna, stara wariatka...

Rutyna. Westchnął. Najwyraźniej pomyślał, że nie zaszkodzi zafundować sobie chwili przerwy w towarzystwie Anny.

Obdarzył ją szerokim uśmiechem, rodem z Lazurowego Wybrzeża, i powiedział zmysłowym półgłosem:

— Zaraz zrobimy pani przepiękne prześwietlenie, panoramiczne — złapał ją za rozdarty rękaw. — Ale w pierw opatrunek.

Godzinę później Anna przechadzała się po podcieniach okalających ogród szpitalny; lekarz pozwolił jej czekać na wynik badania.

Tymczasem pogoda zmieniła się, pierwsze promyki słońca zaczęły się przedzierać przez strumienie deszczu, tworząc niezwykłą, srebrzystą poświatę. Anna obserwowała krople deszczu odbijające się od liści, wpadające do lśniących

kałuż,

137

tworzące maleńkie strumyki, które wiły się pośród zwirowany<sup>^</sup> alejek i znikwały pomiędzy korzeniami krzewów. Patrząc deszcz, zdołała zachować pustkę w myślach i nie dopuścić do głosu czającej się gdzieś w pobliżu paniki. Żadnych pyt<sup>^</sup> Jeszcze nie teraz.

Usłyszała stukot drewniaków na dróżce. Lekarz szedł galeria w jej stronę, trzymając w ręce kliszę. Już się nie uśmiechał

— Trzeba mi było powiedzieć o tym wypadku. Anna wstała.

— Wypadku?

— Co to było? Samochód?

Cofnęła się, przerażona. Mężczyzna z niedowierzaniem pokręcił głową.

— Niesamowite, co można osiągnąć za pomocą chirurgii plastycznej. W życiu bym nie powiedział, jak panią zobaczyłem...

Anna wyrwała mu prześwietlenie.

Zobaczyła czaszkę—popękaną, pozszywaną, polataną. Czarne linie wskazywały przeszczepy na czole i kościach policzkowych, uskoki wokół otworu nosowego dokumentowały całkowicie zmieniony kształt nosa; śruby utrzymywały protezę przy żuchwach i na skroniach.

Anna zaśmiała się krótko, śmiechem bardzo podobnym do szlochu, i pobiegła ku wyjściu.

Kliska trzepotała w jej ręce niczym błękitny płomień.

23

Od dwóch dni przemierzali Dzielnicę Turecką. Paul Nerteaux nie był w stanie pojąć strategii Schiffera. Jego zdaniem, już w niedzielę wieczorem należało złożyć wizytę Markowi Cesiumowi, pseudonim „Mariusz”, szefowi Iskele, organizacji zajmującej się przemytem nielegalnych imigrantów z Turcji. Trzeba było przycisnąć handlarza żywym towarem i wyrwać mu z gardła fiszki trzech ofiar.

Tymczasem Cyfra stwierdził, że musi na nowo oswoić się ze „swoją” dzielnicą — wczuć się, jak to określił. Tak więc od dwóch dni węszył, zaglądał wszędzie, lustrował swoje dawne terytorium, o nic nikogo nie pytając. Przez cały czas tak lało, że siedząc w samochodzie, pozostawali niewidoczni — mogli wszystkiemu się przyglądać i nie zwracać niczyjej uwagi.

Paul niecierpliwił się, ale musiał przyznać, że w ciągu czterdziestu ośmiu godzin dowiedział się o Małej Turcji więcej niż Przez trzy miesiące śledztwa.

Jean-Louis Schiffer najpierw pokazał mu sąsiadujące z Dzielnicą Turecką okolice, będące siedzibami diaspor innych narodowości. Zaczęli od pasażu Brady i bulwaru Strasbourg, serca Paryskich Indii. W przykrytej szklanym dachem uliczce pełno °yło maleńkich, pstrokatych sklepików i mrocznych restaura-cyjek z parawanami. Naganiacze zaczęli przechodniów, kobiety przechadzały się w sari, z odsłoniętymi pępkami;

141

wszędzie unosił się intensywny zapach przypraw. Powietrze było tak wilgotne, że wszystkie aromaty odczuwało się jeszcze silniej i doprawdy mogło się zdawać, że znaleźli się w porze monsunowej na jakimś bazarze w Bombaju.

Schiffer zaprowadził go na miejsca spotkań Hindusów, Ben-galczyków i

Pakistańczyków. Wskazał mu też przywódców wspólnot poszczególnych wyznań:

hinduistów, muzułmanów dżinistów, sikhów, buddystów... Charakteryzując pokrótce teri egzotyczny zakątek, stwierdził, że jego mieszkańcy chcieliby jak

najszybciej zintegrować się z francuskim społeczeństwem. — Za parę lat — zachichotał — sikhowie będą kierować ruchem ulicznym w „dziesiątce”! Potem zaparkowali na ulicy Faubourg-Saint-Martin, w okolicy opanowanej przez Chińczyków. Były tam sklepy spożywcze przypominające jaskinie, zionące czosnkiem i imbirem; restauracje za zasłonami z paciorków, o wnętrzach jak wykładane aksamitem szkatułki; chińskie fast foody o lśniących witrynach i chromowanych kontuarach, mieniające się różnokolorowymi sałatkami, kuszące zrumienionymi placuszkami. I tutaj Schiffer pokazał mu z daleka najbardziej wpływowe postaci wspólnoty: przedsiębiorców, których oficjalna działalność stanowiła zaledwie pięć procent tego, czym zajmowali się naprawdę.

— Nigdy nie ufaj tym bydlakom — powiedział przez zęby. — Wszyscy coś kombinują. Są tacy sami, jak to ich żarcie: mieszanina wszelkiego paskudztwa, polana dla niepoznaki egzotycznym sosem.

Potem wrócili na odcinek bulwaru Strasbourg, gdzie afrykańscy i algierscy fryzjerzy tłoczyli się na chodniku obok sprzedawców tanich kosmetyków, „śmiesznych rzeczy” i innych gadżetów. Grupki czarnych chroniły się pod markizami sklepów przed deszczem, przedstawiając pełny kalejdoskop narodowości obecnych w tej okolicy. Baule, Mbozi i Betę z Wybrzeża Kości Słoniowej, Lari z Konga, Bakongo i Baluba z dawnego Zairu, Bemeleke i Ewondo z Kamerunu... Widok tych przybyszów z Afryki był dla Paula fascynujący? zdumiewała go zarówno ich wszechobecność, jak i ich całkowita bezczynność. Wiedział, co prawda, że większość z nich zajmowała się oszustwami i nielegalnym handlem, lecz mimo to

142  
czuł do nich pewną sympatię. Ich beztroska, ich zawsze dobry humor i ożywienie, jakie wnosili w asfaltową dżunglę — wszystko to sprawiało, że mimowolnie uśmiechał się na ich widok. Szczególnie fascynowały go kobiety o ciemnych oczach i powłóczystym spojrzeniu, dziwnie współgrającym ze lśniącymi włosami, dopiero co wyprostowanymi w zakładzie Afro 2000 albo w Royal Coiffure. Mahoniowe czarodziejki; satynowe maski o wielkich, czarnych oczach...

Schiffer zaserwował mu opis znacznie bardziej przyziemny, a za to szczegółowy: — Kameruńczycy specjalizują się w fałszerstwach: banknoty i karty kredytowe. Ci z Konga zajmują się tylko ciuchami: sprzedają kradzione szmaty i podroby znanych marek. Ci z Wybrzeża mają ksywkę „3615”, ich domena to fałszywe stowarzyszenia charytatywne. Inaczej mówiąc, zawsze znajdują jakiś sposób, żeby naciągnąć cię na rzecz głodujących w Etiopii albo sierot w Angoli. Piękny przykład solidarności. Najniebezpieczniejsi są Zairczycy. To oni rządzą w tej dzielnicy, a zajmują się przede wszystkim narkotykami. W ogóle czarnuchy są najgorsze ze wszystkich — podsumował. — Pasożyty, nic nie robią, tylko nas wysysają jak pijawki.

Paul nie odpowiadał na jego rasistowskie komentarze. Postanowił nie zabierać głosu w żadnej sprawie, która nie dotyczyłaby bezpośrednio prowadzonego przez nich śledztwa. Interesował go wyłącznie sprawca zbrodni, nic innego nie miało znaczenia. Zresztą, na innych frontach prace powoli posuwały się do przodu. Dwaj przydzieleni mu do pomocy policjanci, Naubrel i Matkowski, zajmowali się tropem dotyczącym kesonów wysokociśnieniowych. Najpierw sprawdzili szpitale, ale bez rezultatu. Okazało się jednak, że robotnicy, prowadzący prace na poziomie wód gruntowych pod Paryżem, używają cały czas nadciśnienia, co przeciwdziała zalaniu korytarzy, w których pracują. Muszą więc co wieczór po zakończeniu Pracy używać kesonu przed wyjściem na powierzchnię. Ciemności, podziemia... To mógł być jakiś trop. Jeszcze tego dnia miał dostać szczegółowy raport.

Polecił też pewnemu młodemu policjantowi, żeby pozbiarał Jak najwięcej przewodników i katalogów archeologicznych

143

dotyczących Turcji. Już wczoraj dostał od niego pierwszy transport materiałów — cały stos dokumentów, do których jeszcze nie miał czasu zajrzeć, ale już obiecywał sobie, że zajmie się nimi podczas kolejnych bezsennych nocy. Drugiego dnia znaleźli się w centrum Dzielnicy Tureckiej Rozciągała się ona pomiędzy bulwarami Bonne-Nouvelle i Saint-Denis od południa, od zachodu zamykała ją ulica Fau-bourg-Poissonniere, od wschodu ulica Faubourg-Saint-Martin, od północy zaś trójkąt ulic La Fayette i bulwar Magenta. Stosem pacierzowym dzielnicy była oś bulwaru Strasbourg, biegnącego aż do Dworca Wschodniego; od arterii tej odchodziły takie rozgałęzienia, jak ulica Petites-Ecuries czy Chateau-d'Eau... Serce strefy było w podziemiu, na stacji metra Strasbourg-Saint-Denis, gdzie wysiadali przybysze pragnący powiększyć grono mieszkańców dzielnicy tureckiej...

Z architektonicznego punktu widzenia dzielnica ta nie wyróżniała się niczym szczególnym; minęły już czasy świetności szarych, raczej zrujnowanych budynków. Tylko niektóre domy odnowiono. Topografia wszystkich kamienic była podobna: sklepy na parterze i pierwszym piętrze, pracownie na drugim i trzecim; powyżej, aż po strych, mieściły się lokale mieszkalne, ciasne i przeludnione; dawne apartamenty dzielono na dwie, trzy albo i cztery części o coraz mniejszej i mniejszej powierzchni. Wszystko tu było tymczasowe, sklecone byle jak. Niezliczone sklepiki wyglądały tak, jakby zaraz miały zniknąć albo przenieść się gdzie indziej. Na chodniku stały tandetne budy, w których można było kupić kanapki na wynos; obok znajdowały się agencje podróży, ułatwiające przyjazdy lub wyjazdy; dalej kantory wymiany walut, żeby kupić euro, punkty ksero, żeby zrobić fotokopie dokumentów... Poza tym mnóstwo agencji nieruchomości z dobrze widocznymi tabliczkami: WYNAJEM, SPRZEDAŻ...

Paul domyślał się, że wszystkie te oznaki wskazywały na nieustanny przepływ ludzi, żywej rzeki, biorącej początek z dalekiego źródła, przelewającej się tymi ulicami bez ładu i składu. Skądinąd wiedział, że cała dzielnica żyła przede wszystkim z czego innego, mianowicie z szycia ubrań. Turcy nie opanowali tej dziedziny całkowicie, ponieważ zmonopoli-

144

„Owała ją wspólnota żydowska z Sentier, ale od czasu wielkich migracji w latach pięćdziesiątych stali się bardzo istotnym ogniwem w łańcuchu produkcyjnym. Zaopatrywali hurtownie, ponieważ dysponowali setkami pracowni i chałupników. Tysiące rąk zajętych szyciem przez tysiące godzin... Aktywność Turków na tym polu zagrażała nieomal pozycji Chińczyków. Turcy jednak mieli pewną przewagę, przynajmniej o tyle, że pojawili się wcześniej i mogli się poszczycić nieco bardziej ustabilizowaną sytuacją prawną.

Obaj policjanci przemierzali zatłoczone ulice, na których panował nieustanny ruch i ogłuszający zgiełk. Wszędzie stały ciężarówka, wszędzie coś wyładowywano lub załadowywano; worki, paczki i ubrania wędrowały z rąk do rąk. Tutaj znów Cyfra służył za przewodnika. Wymieniał imiona przechodzących osób i o każdej miał coś do powiedzenia. Znał właścicieli sklepów oraz ich specjalności. Wskazywał Turków, którzy służyli mu za kapusiów; innych, których z tej czy innej przyczyny miał w ręku; właścicieli knajp, którzy mieli wobec niego zobowiązania. Było tego mnóstwo, Paul z początku próbował notować, potem zrezygnował. Po prostu słuchał opowieści Schifferra i przyglądał się otaczającemu zamieszaniu,

chlonał atmosferę dzielnicy, przesyconą smrodem spalin, wsłuchiwał się w ludzki zgiełk i dźwięki klaksonów.

We wtorek o dwunastej przekroczyli wreszcie ostatnią granicę i znaleźli się w centrum zwartego obszaru, noszącego nazwę Małej Turcji, obejmującego ulicę Petites-Ecuries, pasaż i dziedziniec o tej samej nazwie, a dalej ulice d'Enghien, Echiąuler i Faubourg-Saint-Denis. Teren ten obejmował zaledwie kilka hektarów, ale większość budynków, od piwnic aż po strychy, zamieszkała była wyłącznie przez Turków.

Teraz Schiffer wygłosił metodyczny wykład, zdradzając tajemnice owej zamkniętej społeczności. Opowiadał mu o każdej bramie, o każdym budynku, niemal o każdym oknie. Pokazał fflu podwórko wychodzące na hangar, w którym w rzeczywistości mieścił się meczet; nieumeblowany lokal w głębi pewnego patia — miejsce spotkań lewackiej organizacji... Paul od wielu tygodni poruszał się po omacku, tymczasem Schiffer potrafił °dpowiedzieć na każde pytanie, wszystko wyjaśnić. Wytłuma-

145  
czył mu, na przykład, kim są tajemniczy, ubrani na czarno mężczyźni o blond włosach, których zawsze było pełno na dziedzińcu Petites-Ecuries.

— To Lazowie — powiedział. — Pochodzą znad Morza Czarnego, z północno-wschodniej części Turcji. Są legendarnymi wojownikami, awanturnikami. Sam Mustafa Kemal rekrutował spośród nich swoją osobistą straż. Mit głosi, że to właśnie oni strzegli w Kolchidzie złotego runa.

Pokazał mu obskurny bar, też na ulicy Petites-Ecuries, gdzie na honorowym miejscu wisiało zdjęcie jakiegoś wásacza.

— Znajdujemy się w głównej kwaterze Kurdów. Ten facet na portrecie to Apo. Wujaszek. Abdullah Oęalan, przywódca PKK. Obecnie siedzi w więzieniu.

Następnie Cyfra wygłosił prawdziwą tyradę, niemal hymn pochwalny.

— To największy na świecie naród bez własnego kraju. Jest ich dwadzieścia pięć milionów, z czego dwanaście żyje w Turcji. Są muzułmanami tak samo jak Turcy. Tak samo jak Turcy noszą wásy. Tak samo pracują w szwalniach. Jest tylko jeden problem. Ten, że nie są Turkami. No i dlatego nigdy i nigdzie się nie zasymilują.

Schiffer pokazał mu też Alewitów, którzy gromadzili się na ulicy d'Enghien.

— Czerwone Głowy. Należą do szyckiego odłamu islamu i praktykują nieujawnianie swojej przynależności do szyizmu. Naprawdę twarde sztuki, możesz mi wierzyć. To buntownicy, często o lewicowych przekonaniach. Poza tym jest to bardzo zwarta społeczność, rządząca się prawami inicjacji i przyjaźni. Dobierają sobie zaprzysiężonego brata, towarzysza, z którym przechodzą inicjację i we dwójkę podążają do Boga. Stanowią liczącą się opozycję wobec tradycyjnego islamu. Słuchając Schiffera, odnosiło się wrażenie, że choć obrzucał omawiane narodowości obelgami, to jednocześnie darzył je w jakiś sposób szacunkiem. Tak jakby świat turecki budził w nim zarazem fascynację i nienawiść. Paul słyszał nawet plotkę, że Schiffer kiedyś o mało nie poślubił pewnej Anatolijki-Co się naprawdę zdarzyło? Jak skończyła się ta historia? Zazwyczaj akurat wtedy, gdy Paul wyobrażał sobie jakąś roman-

146

fyczną historię miłosną, Schiffer zaczynał wygłaszać najohyd-niejsze rasistowskie poglądy.

Siedzieli teraz obaj w nieoznakowanym samochodzie. Był to stary golf, który został przydzielony Paulowi na początku śledztwa. Zaparkowali na rogu ulic Petites-Ecuries i Fau-bourg-Saint-Denis, naprzeciwko piwiarni Le Chateau d'Eau.

Zapadał zmrok, w dodatku ciągle padał deszcz, krajobraz za szybą stał się bezbarwny i zamulony, istne bagno. Paul spojrzął na zegarek: wpół do dziewiątej.

— Schiffer, co my tu robimy? Mieliśmy dzisiaj dobrać się do Mariusa...

— Cierpliwości. Koncert zaraz się zacznie.

— Jaki koncert?

Schiffer poprawił się w fotelu, wygładzając fałdy płaszcza.

— Już ci mówiłem, że Marius jest właścicielem sali koncertowej przy bulwarze Strasbourg. Dawniej było tam kino porno. Dziś wieczorem będzie koncert, jego obstawa będzie zajęta utrzymaniem porządku — mrugnął do niego. — Idealny moment, żeby go dopaść.

Wskazał przed siebie.

— Ruszaj i skręć w Chateau d'Eau.

Paul niechętnie wykonał polecenie. Obiecał sobie w myśli, że da Schifferowi tylko jedną szansę. Jeżeli nie powiedzie mu się u Mariusa, emeryt zostanie odesłany z powrotem na emeryturę, do Longeres. Zarazem jednak nie mógł się doczekać, żeby zobaczyć go w akcji.

— Zaparkuj po drugiej stronie — nakazał Schiffer. — Jak będzie zadyma, zwiejemy tylnym wyjściem. Znam drogę.

Paul przejechał bulwar i o przecznicę dalej znalazł miejsce do parkowania na rogu ulicy Bouchardon.

— Nie będzie żadnej zadymy, Schiffer.

— Daj mi te fotki.

Paul zawahał się przez chwilę, nim wręczył mu kopertę ze 24J<?ciami ofiar.

— Wszystko będzie dobrze, pozwól mi działać — Schiffer uśmiechnął się, otwierając drzwi samochodu.

Wysiadając, Paul pomyślał: „Masz jedną jedyną szansę, . Pierwszą i ostatnią”.

24

Łomot muzyki był tak donośny, że zagłuszał wszystkie inne wrażenia. Wstrząs docierał aż do trzewi, wywracał nerwy na drugą stronę i opadał do pięt; unosił się wzdłuż kręgosłupa, wprawiając go w wibrację.

Paul odruchowo schował głowę w ramiona i pochylił się, jakby chciał uniknąć ciosów spadających na brzuch, na rozpalone skronie, na pierś i twarz.

Zamrugał, żeby móc cokolwiek zobaczyć w tym mrocznym, zadymionym wnętrzu, którego ciemności przesywały jedynie oślepiające światła reflektorów, ustawionych na scenie.

Zwrócił uwagę na wystrój wnętrza: na połączone balustradki, stiukowe kolumny, na żyrandole z fałszywego kryształu i ciężkie karminowe zasłony... Schiffer mówił, że kiedyś było tu kino, ale Paulowi dekoracja ta kojarzyła się raczej z przebrzmiałym kiczem jakiegoś starego kabaretu, w którym grywano frywolne operetki i którego bohaterowie o wypomadowanych włosach niechętnie ustępowali miejsca rozjuszonym zespołom, grającym muzykę metalową.

Na scenie szaleli muzycy, powtarzając wciąż słowa fuckin oraz killin'. Ich nagie torsy lśniły od potu, trzymali gitary jak pistolety maszynowe, wymachiwali mikrofonami niczym bro-nią; głowy fanów podrygujących pod sceną falowały w nierównym, szarpanym rytmie.

148

Paul odszedł od baru, chciał zejść na dół. Kiedy pogrążył się w tłumie, poczuł przypływ nostalgii. Przypomniały mu się koncerty z lat młodości, szaleńcze pogo w rytmie wściekłych riffów gitarowych zespołu The Clash; kiedyś nawet kupił używaną gitarę elektryczną i nauczył się grać na niej cztery akordy, ale potem

sprzedał instrument, bo naprężone struny uparcie przywodziły mu na myśl zakrwawione złobienia na fotelu samochodu ojca.

Nagle zdał sobie sprawę, że Schiffer gdzieś zniknął. Odwrócił się, by popatrzeć na stojących przy barze gości. Stali w niedbałych pozach, z kieliszkami i szklankami w rękach, niektórzy kiwali się lekko, od niechcenia, w rytm łomotu dobiegającego ze sceny. Przyjrzał się ich zacienionym twarzom otoczonym aureolą kolorowych świateł. Schiffera wśród nich nie było.

Nagle usłyszał czyjś głos tuż przy swoim uchu:

— Potrzeba coś?

Odwrócił się i zobaczył siną twarz, połyskującą w blasku reflektorów spod baseballowej czapki.

— Co?

— Mam superczaderski black bombay.

— Co takiego?

Facet pochylił się i chwycił Paula za ramię.

— Black bombay. Holenderski bombay. Skąd ty się wzięłeś, koleś?

Paul oswobodził ramię i wyciągnął legitymację.

— Stąd się wzięłem. Spadaj stąd, zanim cię zapuszkuję.

Dealer zniknął jak zdmuchnięty płomień świecy. Paul przyglądał się przez chwilę swej trójkolorowej legitymacji z policyjną pieczęcią i nagle sobie uświadomił, jak ogromna przepaść dzieli go od dawnych koncertów i lat młodości. Teraz stał się nieprzejednanym gliniarzem, przedstawicielem prawa i porządku, nieskazitelnym rycerzem sprawiedliwości, grzebiącym się w ludzkich brudach. Ktoś rąbnął go mocno w plecy. Paul zachłysnął się i poczuł °garniającą go falę gorąca, próbował przełknąć ślinę, ale bez skutku. Wszystko wokół niego zakotłowało się, błyskające światło stroboskopu rozbijało twarze na kawałki, zgniatało je jak aluminiową folię.

— Zwariowałeś? — ryknął Schiffer. — Schowaj to zaraz!

149

Cyfra wymierzył mu kolejnego kuksańca, już słabszego i bardziej przyjacielskiego, rym razem w ramię.

— Chodź, idziemy. Dorwiemy Mariusa w jego norze.

Przeciskali się przez tłum stłoczonych, kołyszących się i p0\_ drygujących ciał ludzkich; płynęli we frenetycznej fali ramion i bioder, poruszających się w instynktownej, prymitywnej harmonii z brutalnym rytmem muzyki. Posługując się łokciami i kolanami, zdołali dotrzeć do estrady.

Schiffer skreślił nagle w prawo, tuż pod kolumną, z której dobywał się ogłuszający wizg gitar, dobiegający z głośników. Paul został nieco z tyłu.

Zobaczył Schiffera rozmawiającego z bramkarzem, lecz nie usłyszał ani słowa.

Mężczyzna skinął głową i otworzył drzwi, których Paul przedtem nie zauważył; ledwo zdążył wślizgnąć się za Schifferem.

Znaleźli się w wąskim, mrocznym korytarzu. Na ścianach połyskiwały plakaty ze znakiem tureckiego półksiężycy połączonego z komunistycznym młotem — wymowny symbol polityczny.

— Marius jest przywódcą lewackiej grupy, spotykają się na ulicy Jarry — wyjaśnił Schiffer. — To właśnie jego kumple byli sprawcami zeszłorocznych zamieszek w tureckich więzieniach.

Paul słyszał gdzieś o tych zamieszkach, ale nie miał nastroju do rozważania kwestii politycznych. Kiedy szli korytarzem, wciąż słyszeli głucho echo muzyki.

Schiffer zaśmiał się, nie zwalniając kroku.



— Te koncerty to świetny pomysł. Doskonale posunięcie marketingowe!

— Nie rozumiem.

— Marius babrze się też w narkotykach. Extasy, amfa. Wszelkiego rodzaju spidy, poza tym LSD. Klientela przychodzi na koncerty, a Marius zarabia i na biletach, i na dealerce.

— A wie pan, co to jest black bombay? — spytał Paul.

— Narkotyk, bardzo popularny w ostatnich latach. Extasy zmieszana z heroiną\*. Jakim cudem facet, który miał pięćdziesiąt dziewięć lat i właśnie wyszedł z domu dla emerytowanych policjantów,

Wrz.

Mczywistości jest to odmiana haszyszu.

150

Agi orientować się w najnowszych tendencjach na rynku narkotykowym? Kolejna zagadka.

— Świetna kompozycja — dodał Schiffer. — Heroina doskonale łagodzi syndrom zejścia po spidzie. Najpierw masz oczy jak spodki, a potem jak główki szpilek.

— Główki szpilek?

— Jasne. Heroina uspokaja i usypia. Cpun nie ma stanów lękowych, tylko po prostu idzie w kimę. — Zatrzymał się. — Nie rozumiem. Nigdy nie miałeś do czynienia z żadną sprawą dotyczącą narkotyków?

— Przepracowałem cztery lata w brygadzie antynarkotykowej, ale nie zrobiło to ze mnie ćpuna.

Cyfra wykrzywił się w uśmiechu.

— Jak możesz zwalczać zło, jeśli nie wiesz, w jaki sposób działa? W jaki sposób chcesz zrozumieć przeciwnika, jeśli nie wiesz, na czym polegającego atuty? Trzeba wiedzieć, dlaczego dzieciaki kupują to gówno. Potęga narkotyków polega na tym, że ich zażywanie sprawia przyjemność. Kurwa, jeżeli nawet tego nie wiesz, to co ty w ogóle wiesz o ćpunach?

Paul przypomniał sobie pierwsze przemyślenia dotyczące Schiffera: ojciec wszystkich gliniarzy. Bohater i demon w jednej osobie. To, co najlepsze, i to, co najgorsze.

Chciał coś odpowiedzieć, ale powstrzymał gniew i ruszył w ślad za partnerem.

Minęli kolejny zakręt i zobaczyli dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w skórzanych płaszczach, stojących przed drzwiami pomalowanymi na czarno.

Ostrzyżony na jeża policjant wyciągnął trójkolorową legitymację. Paul wzdrygnął się: przecież odchodząc na emeryturę, Schiffer musiał zdać identyfikator. Wydało mu się to kolejnym potwierdzeniem faktu, że nastąpiło nowe rozdanie kart i że teraz to Cyfra prowadzi śledztwo, a nie on. W dodatku jeszcze stary zaczął mówić po turecku.

Ochroniarz zawahał się i uniósł rękę, żeby zastukać do drzwi. Schiffer powstrzymał go i sam nacisnął na klamkę. Kiedy ^chodzili do pokoju, rzucił przez ramię do Paula:

— Ty siedź cicho. Ani słowa podczas przesłuchania. Paul nie zdążył odpowiedzieć stosowną wiązką przekleństw. Ta rozmowa będzie sprawdzianem dla Cyfry.

25

— Są lam alej kum, Marius! Mężczyzna o mało nie spadł z fotela.

— Schiffer...? Alejkum salam, przyjacielu!

Marek Cesiuz zdążył już ochłonać z wrażenia. Wstał i wyszedł z biurka z promiennym uśmiechem na twarzy. Miał na sobie piłkarską koszulkę w kolorach czerwieni i złota, barwach klubu

Galatasaray. Był tak chudy, że tkanina zwisała na nim niczym transparent na ogrodzeniu stadionu. Nie sposób było powiedzieć, ile ma lat. Przyprószone siwizną włosy przypominały dogasający popiół; jego rysy ściągnięte były w wyrazie ozięblej radości, co nadawało mu ponury wygląd przedwcześnie podstarzałego dziecka; ciemna karnacja skóry nie pasowała do rdzawego koloru włosów i sprawiała, że tym bardziej przypominał robota.

Obaj mężczyźni padli sobie w objęcia. W pomieszczeniu bez okien gęsto było od dymu, wszędzie walały się stosy papierów. Z wykładziny na podłodze wyzierały dziury wypalone przez niedopałki. Całe wyposażenie pokoju pochodziło z lat siedemdziesiątych: chromowane szafki z okrągłymi otworami, stołki w kształcie bębnow i wiszące lampy ze stożkowatymi abażurami. W kącie Paul zauważył małą drukarnię: kserokopiarkę, dwie bindownice i gilotynę — niezbędne akcesoria działacza politycznego.

Śmiech Mariusa wtórował odległemu łomotaniu muzyki. 152

Jle to już czasu się nie widzieliśmy?

Jestem już w takim wieku, że staram się nie zwracać

uwagi na czas. — Brakowało nam Ciebie, przyjacielu. Naprawdę za Tobą tęskniliśmy.

Turek mówił płynnie po francusku. Znów niedźwiedzie uściski, komediancka wymiana serdeczności.

— Jak tam dzieciaki? — spytał Schiffer jowialnym tonem. — Rosną zbyt szybko.

Nie spuszcza ich z oczu. Boję się, że coś mi umknie!

— A mój mały Ali?

Marius wymierzył udawany cios w brzuch Schiffera, zatrzymując pięść w odległości kilku centymetrów.

— Ten rośnie najszybciej!

Jakby dopiero teraz dostrzegł Paula. Wciąż miał uśmiech na ustach, ale oczy przybrały chłodny wyraz.

— Wracasz do służby? — zapytał.

— To tylko konsultacja. Przedstawiam ci Paula Nerteaux, kapitana z DPJ.

Paul nie wiedział, co ma zrobić; wyciągnął rękę, ale nikt nie kwapił się, by ją uścisnąć. Przez chwilę spoglądał na swoją dłoń zawieszoną w powietrzu, w tym zbyt jasno oświetlonym, pełnym nieszczerých uśmiechów i smrodu niedopałków pokoju i, żeby odzyskać pewność siebie, rzucił okiem na stos ulotek, leżący po prawej stronie.

— Ciągłe te bolszewickie teksty? — zauważył Schiffer.

— Ideały trzymają nas przy życiu.

Policjant chwycił kartkę i zaczął tłumaczyć na głos:

— „Kiedy robotnicy przejmą narzędzia produkcji...” — roześmiał się. — Myślałem, że wyrosłeś z tych bzdur.

— Schiffer, mój przyjacielu, te bzdury przetrwają nas wszystkich.

— Pod warunkiem, że ktoś jeszcze będzie je czytać. Marius uśmiechnął się szeroko, oczy i wargi pozostawały w zgodzie ze sobą.

•— Może ęayu, przyjaciele?

Nie czekając na odpowiedź, pochwyił wielki termos i napełnił trzy filizanki z terakoty. Ściany zdrząły od owacji.

— Nie masz dość tych dzikusów?

Mariusz znów rozsiadł się za biurkiem, odsuwając fotel na kółkach pod ścianę. Unosząc filiżankę do ust, powiedział:

— Muzyka jest kolebką pokoju, przyjacielu. Nawet taka. W moim kraju młodzi słuchają tych samych zespołów, Co tutejsze dzieciaki. Rock zjednoczy przyszłe pokolenia. Wtedy znikną ostatnie różnice między nami.

Schiffer oparł się o obcinarkę i uniósł filiżankę.

— No to za hard rocka!

Ciało Mariusa wykonało dziwny ruch pod koszulką, wyrażający zarazem rozbawienie i znużenie.

— Schiffer, nie przylazłeś tu tylko po to, w dodatku w towarzystwie tego chłopaka, żeby rozmawiać ze mną o muzyce i naszych dawnych ideałach.

Cyfra siadł na blacie biurka, przez krótką chwilę wpatrywał się w Mariusa, po czym wyciągnął makabryczne zdjęcia z koperty. Zmasakrowane twarze leżały na zapisanych kartkach papieru. Marek Cesiuz cofnął się ze wstrętem.

— Przyjacielu, cóż to jest?

— Trzy kobiety. Trzy ciała, które znaleziono w twojej dzielnicy. Pierwsze z nich w październiku. Mój kolega uważa, że to Turczynki pracujące na czarno. A ja pomyślałem, że od ciebie dowiemy się czegoś więcej.

Mówił teraz całkiem innym tonem; makatka znikła bez śladu, pojawiły się słowa wyszywane drutem kolczastym.

— Nic mi o tym nie wiadomo — stwierdził Marius. Schiffer uśmiechnął się pobłażliwie.

— Wiem dobrze, że w całej dzielnicy nie mówi się o niczym innym. Powiedz, co wiesz, nie będziemy tracić czasu.

Handlarz machinalnie chwycił paczkę karo, lokalnych papierosów bez filtra.

— Przyjacielu, nie wiem, o czym mówisz.

Schiffer wstał i oznajmił tonem jarmarcznego sprzedawcy:

— Marek Cesiuz. Mistrz fałszerstwa i kłamstwa. Król dealer-stwa i przekrętów...

Wybuchnął głośnym śmiechem, w którym nie było ani krzty rozbawienia, potem nagle spoważniał i, wpatrując się w oczy Turka, wycedził przez zęby:

154

Gadaj, łajdaku, bo się wkurzę.

zmienił się na twarzy, wyprostował się i zapalił papierosa.

— Schiffer, nic nie masz. Nie masz nakazu, nie masz świadka nie masz żadnych śladów. Nic nie masz. Przyszedłeś prosić mnie o radę, której, niestety, nie mogę ci udzielić. Przykro mi — wskazał drzwi gestem, za którym ciągnęła się smużka dymu. — A teraz lepiej będzie, jeśli stąd wyjdiesz wraz z przyjacielem i zakończymy to nieporozumienie.

Schiffer stanął przed biurkiem.

— Tu jest tylko jedno nieporozumienie, i to ty nim jesteś. Wszystko tu jest fałszywe. Te durne ulotki to zmyła. W dupie masz biednych frajerów, którzy gniją w tureckich więzieniach.

- Ty...

— W dupie masz muzykę. Muzułmanin taki jak ty uważa rock za wymysł szatana. Na pewno chętnie spaliłbyś swoją własną salkę razem z fanami rocka, ale cóż, biznes to biznes.

Mariusz jakby chciał wstać, ale Schiffer pchnął go z powrotem na fotel.

— Wszystkie te papierzyska to ścierna, wszystkie twoje ideały to ścierna,

przykrywka dla handlu żywym towarem!

Podszedł do obcinarki i dotknął jej ostrza.

— I wiem tak samo dobrze jak ty, że ten przyrząd służy wyłącznie do porcjowania kwasów, które dostajesz w formie papierowej taśmy nasączonej LSD.

Rozpostarł ramiona, jakby występował w komedii muzycznej, i zwracając się do obscurnego sufitu, powiedział:

— O mój przyjacielu, opowiedz mi o tych trzech kobietach, zanim przetrząsnę twoje biurko i znajdę tam tyle towaru, że Powędrujesz do Fleury na całe lata!

Marek Cesiuz wciąż popatrywał niespokojnie w stronę drzwi. Cyfra stanął za nim i pochylił się.

— Marius, trzy kobiety — powiedział, masując mu ramiona. — W ciągu niecałych czterech miesięcy. Ktoś je torturował, zabił i wyrzucił na śmietnik. Za twoją sprawą znalazły się we Francji. Daj mi ich fiszki i już nas nie ma.

W pokoju zapanowało milczenie, słychać było tylko daleki

155

odgłos muzyki. Można było pomyśleć, że to bije serce Turka wewnątrz jego wątlej klatki piersiowej.

— Już ich nie mam — wymamrotał.

— Dlaczego?

— Zniszczyłem. Po śmierci każdej z dziewczyn zniszczyłem dokumenty. Nie ma śladów, nie ma kłopotów.

Paul poczuł dreszcz podniecenia. Po raz pierwszy od rozpoczęcia śledztwa pojawiło się coś konkretnego. Trzy ofiary niejako na jego oczach wyłoniły się z niebytu. Ktoś je znał miały jakieś imiona. Były Turczynkami i nielegalnymi imigrantkami.

Schiffer znów stanął przed biurkiem.

— Pilnuj drzwi — powiedział do Paula, nie patrząc w jego stronę.

— Co takiego?

— Drzwi!

Zanim Paul zdążył zrobić cokolwiek, Schiffer rzucił się na Mariusa i trzasnął jego twarzą o kant biurka. Przegroda nosowa pękła jak orzech uderzony młotkiem. Policjant uniósł jego głowę i uderzył nią o ścianę.

— Dawaj fiszki, gnoju.

Paul rzucił się w ich stronę, ale Schiffer brutalnie go odepchnął. Paul sięgnął po pistolet i zamarł na widok lufy manur-hina 44 magnum. Cyfra w tej samej sekundzie puścił Turka i wyciągnął rewolwer.

— Pilnuj drzwi.

Paul stał jak skamieniały. Skąd on wziął tego gnata? Marius tymczasem przesunął się na fotelu i otworzył szufladę.

— Z tyłu, uwaga!

Schiffer błyskawicznie obrócił się i trzasnął Turka lufą rewolweru w twarz.

Marius wykonał półobrót i wpadł pomiędzy stopy ulotek. Cyfra złapał go za koszulkę i wetknął lufę pod podbródek.

— Fiszki, turecka gnido. Bo jak nie, to już po tobie.

Marius drżał na całym ciele, krew ściekała mu z nosa i pomiędzy wybitych zębów, ale wciąż miał na twarzy ten upiorny\* radosny wyraz. Schiffer schował broń i zaciągnął go do gilotyny-

Teraz Paul wyciągnął pistolet i wrzasnął:

156

— Dosyc tego!

Schiffer uniósł ostrze obcinarki i podłożył pod nie prawą dłoń Cesiuz.

— Dawaj mi te dokumenty, ty kupo gówna!

— DOSYĆ TEGO, BO STRZELAM!

Cyfra nawet nie spojrział w jego stronę. Powoli przyciskał ostrze do palców Turka. Skóra ugięła się, pojawiły się czarne kropelki krwi. Marius krzyknął, ale Paul go zagłuszył.

— SCHIFFER!

Ścisnął w obu dłoniach kolbę pistoletu, celując w Schiffera. Powinien strzelić. Powinien...

Drzwi otworzyły się za nim z trzaskiem. Poczuł, że leci do przodu, przetoczył się i wylądował na podłodze, przy żelaznej nodze biurka.

Obaj ochroniarze sięgali po broń, kiedy trysnęła na nich struga krwi. Rozległo się wycie, podobne do wycia hieny. Paul zrozumiał, że Schiffer zrobił swoje. Uniósł się na jednym kolanie i wrzasnął, celując w kierunku obu Turków.

— Cofnąć się!

Mężczyźni ani drgnęli, wpatrzeni szeroko otwartymi oczami w rozgrywającą się w pokoju scenę.

— Cofać się, kurwa. Do tyłu! — wrzasnął znowu Paul, potrząsając dziewiątką na wysokości ich twarzy. Zdołał ich wreszcie wypchnąć za drzwi, zatrzaskał je plecami i wreszcie mógł zobaczyć, co się stało.

Mariusz szlochał, upadł na kolana, rękę miał wciąż uwięzioną w obcinarce. Ostrze nie ucięło mu palców, ale zagłębiło się aż PO samą kość. Schiffer wciąż mocno trzymał uchwyt gilotyny, na twarzy miał szyderczy grymas.

Paul schował pistolet. Trzeba było jakoś uspokoić tego szaleńca. Już miał coś zrobić, kiedy Turek wyciągnął wolną rękę w stronę połyskujących szafek, stojących obok kserokopiarki.

•— Klucze! — warknął Schiffer.

Mariusz sięgnął niezdarnie do paska, Cyfra wyrwał mu cały P?k kluczy i podsuwał kolejne pod nos; Turek kiwnięciem głowy wskazał właściwy.

Stary policjant zostawił go w spokoju i zajął się szafką.

157

Korzystając z tego, Paul ostrożnie podniósł zakrwawione ostrze i uwolnił nieszczęśnika. Turek upadł na podłogę, ściskając zdrową ręką pokaleczoną dłoń i, zwinąwszy się w kłębek, jęczał-

— Do szpitala... do szpitala...

Schiffer odwrócił się, triumfował. Trzymał w ręce papierową teczkę zawiązaną na tasiemki. Otworzył ją pospiesznie i niemal od razu znalazł fiszki oraz zrobione polaroideni zdjęcia trzech ofiar.

Oślupiały Paul zrozumiał, że tę partię wygrali.

26

Popędzili co tchu do tylnego wyjścia i, biegnąc dalej, dotarli do wozu. Paul wystartował z piskiem opon i o mało nie wpadł na przejeżdżający samochód. Przyciskając gaz do dechy, skręcił w lewo, w ulicę Lucien--Sampaix. Po chwili uświadomił sobie, że jedzie pod prąd; natychmiast skręcił ostro w prawo, w bulwar Magenta.

Wszystko tańczyło mu przed oczami, łyły mąciły wzrok, w dodatku przednia szyba była zalana deszczem. Widział tylko światła sygnalizacyjne, które krwawiły niczym rany pośród ulewy.

Nie zwalniając, minął pierwsze, potem drugie skrzyżowanie, przez cały czas słyszał za sobą pisk hamulców i wściekłe trąbienie klaksonów. Wreszcie, na

trzech światłach, zatrzymał się. Przez parę sekund miał pustkę w głowie, potem dotarło do niego, co musi zrobić.

Zielone.

Ruszył, nie naciskając sprzęgła, silnik zgasł. Zaklął.

Kiedy przekręcał klucz w stacyjce, usłyszał głos Schiffera:

•— Dokąd jedziesz?

— Na komisariat — wypluł z siebie. — Aresztuję cię, bydlaku.

Po drugiej stronie placu Dworzec Wschodni lśnił jak transatlantyk. Kiedy udało mu się ruszyć, Cyfra przesunął lewą nogę na jego stronę i przycisnął pedał gazu.

159

— Kurwa twoja...

Schiffer chwycił kierownicę i gwałtownie przekręcił ją w pra. wo. Wjechali w wąską uliczkę Sibour, biegnącą wzdłuż ogrodzenia kościoła Saint-Laurent.

Kierując ciągle jedną ręką, skręcił jeszcze raz; golf wjechał na ścieżkę dla rowerów i uderzył kołami w wysoki krawężnik.

Paul walnął zebrami o kierownicę. Zachłysnął się, zakaszłał i zalał gorącym potem. Zacisnął pięść, żeby rozwalić szczękę swemu pasażerowi.

Kiedy zobaczył jego pobladałą twarz, opuścił rękę. Jean-Louis Schiffer postarzał się znów o dwadzieścia lat. Jego profil wtapiał się w obwisłe fałdy, skóry na szyi, oczy były szklane, niemal przezroczyste. Wyglądał jak trup.

— Pan zwariował — wysapał Paul. Znów zwracał się do niego per pan, uważając to za oznakę pogardy. — Kurwa, pan jest chory. Już ja się postaram o porządny akt oskarżenia. Cholerny oprawco, zdechnie pan w pierdłu!

Schiffer bez słowa wyciągnął ze schowka stary plan Paryża, wyrwał z niego kilka kartek i zaczął wycierać krew Mariusa z marynarki. Jego dłonie drżały, mówił syczącym głosem, przez zęby:

— Z tymi skurwysynami inaczej się nie da.

— Jesteśmy policjantami.

— Marius to śmieć. Wiesz, w jaki sposób zapewnia sobie lojalność tureckich dziwek? Każe okaleczać ich dzieci, które znajdują się tam, w kraju. Tu ramię, tam noga — i tureckie mamusie są już grzeczne.

— Jesteśmy przedstawicielami prawa.

Paul powoli odzyskiwał pewność siebie, odetchnął swobodniej. Zaczął dostrzegać otoczenie: czarny mur kościoła, gargulce nad ich głowami, sterczące niczym szubienice, i deszcz, który wciąż padał.

Schiffer otworzył okno, wyrzucił czerwone stronice i splunął'

— Jest za późno, żeby się mnie pozbyć.

— Jeżeli pan myśli, że boję się odpowiadać za swoje czyny-to jest pan w błędzie. Pójdzie pan do więzienia. Nawet jeżeli będziemy siedzieć w tej samej celi.

Schiffer zapalił lampkę pod sufitem i otworzył teczkę, którą

160

trzymał na kolanach. Wyciągnął z niej fiszki trzech robotnic — zwykle wydruki z drukarki laserowej, do których przypięte były polaroidowe zdjęcia. Oderwał je i rozłożył na desce rozdzielczej, niczym karty tarota.

Odkaszlnął i spytał znowu:

.— Co widzisz?

Paul nie poruszył się. W lśniącej powierzchni zdjęć, leżących nad kierownicą, odbijały się światła latarni. Szukał tych twarzy od dwóch miesięcy. Wyobrażał je sobie, rysował, ścierał — po sto razy, wciąż na nowo. A teraz, mając je wreszcie

przed sobą, odczuwał treść jak prawiczek.

Schiffer chwycił go za kark i zmusił, by się pochylił.

— Co widzisz? — powtórzył gardłowym głosem.

Paul wytrzeszczył oczy. Trzy kobiety o krągłych twarzach wpatrywały się w niego, wyraźnie oślepienie błyskiem flesza. Puciołowate, o rudych włosach.

— Co zauważyłeś? — powtórzył Cyfra po raz trzeci. Paul odpowiedział niepewnie:

— Są podobne, nie? Schiffer wybuchnął śmiechem.

— Podobne? Przecież to jest trzy razy ta sama kobieta! Paul popatrzył na niego.

Nie był pewien, czy dobrze zrozumiał.

— I co z tego?

— To z tego, że miałeś rację. Morderca szuka za każdym razem jednej i tej samej twarzy. Twarzy, którą kocha i której zarazem nienawidzi. Ta twarz jest jego obsesją, wzbudza w nim przeciwstawne emocje. Możemy snuć różne przypuszczenia co do powodujących nim motywów, ale teraz już wiemy, że dąży do określonego celu. Wściekłość Paula przerodziła się nagle w uczucie triumfu. A więc jego przecucia były słuszne: to rzeczywiście były 'migrantki pracujące na czarno, o podobnych rysach. Może miał rację także co do antycznych rzeźb?

— Te zdjęcia to wielki krok naprzód, możesz mi wierzyć — dodał Schiffer. —

Dzięki nim zyskaliśmy informację o podstawowym znaczeniu. Taką, że morderca zna tę dzielnicę jak Ciasną kieszeń.

161

— To żadne odkrycie.

— Owszem, wiedzieliśmy, że jest Turkiem, ale nie to że zna każdą pracownię, wszystkie piwnice. Zdajesz sobie sprawę, ile trzeba cierpliwości i uporu, żeby znaleźć trzy dziewczyny, które są tak bardzo podobne? Ten bydlak ma wszędzie swoje wtyki.

Paul kiwnął głową i powiedział spokojnym głosem:

— Dobra. Przyznaję, że bez pana nigdy bym do tych zdjęć nie dotarł. Tak więc niniejsza o komisariat. Odwożę pana prosto do Longeres, zapomnijmy o wszystkim. Sięgnął do stacyjki, ale Schiffer złapał go za rękę.

— Popelniasz błąd, mały. Potrzebujesz mnie bardziej niż kiedykolwiek.

— Dla pana to już koniec.

Cyfra wziął jedną z fiszek i potrząsnął nią w świetle lampki.

— Mamy nie tylko ich twarze i nie tylko wiemy, kim były. Wiemy też, gdzie pracowały. A to już jest coś konkretnego.

Paul cofnął rękę od kluczyka.

— Może ich koleżanki coś widziały?

— Pamiętasz, co mówił lekarz? Miały pusty żołądek, wracały z pracy. Trzeba przesłuchać robotnice, które wracały tą samą drogą. I przede wszystkim trzeba przesłuchać pracodawców. Tylko że do tego, chłopcze, potrzebujesz mnie.

Schiffer nie musiał go długo przekonywać. Od trzech miesięcy Paul nie postąpił ani kroku do przodu. Jeżeli dalej tak pójdzie, nie uzyska żadnego wyniku.

— Daję panu jeden dzień — powiedział. — Pójdziemy do szwalni, przesłuchamy koleżanki, sąsiadów, mężów, jeśli ich miały. Potem wraca pan do schroniska. I ostrzegam: jeśli powtórzy się coś takiego jak dzisiaj, zabiję. Tym razem nie będę się wahał.

Tamten zaśmiał się, ale Paul wyczuł, że był to śmiech wymuszony. Schiffer bał się. Teraz już obaj mieli cykora. Paul chciał już ruszyć, ale znów cofnął rękę — zapragnął mieć to już z głowy.

— Po co ta cała przemoc tam, u Mariusa? Schiffer spoglądał na wyłaniające się z

mroku rzeźbione gargulce. Diabły skulone na gzymsach, inkuby o zadartych  
162

Dyskach, demony ze skrzydłami nietoperzy. Przez chwilę nie odpowiadał.

— Nie było innego sposobu — powiedział półgłosem. —

Oni postanowili milczeć.

— Co za „oni”?

— Turcy. Zmowa milczenia w całej dzielnicy! Każdą cząstkę prawdy trzeba będzie wrywać siłą. Głos Paula załamał się, mówił niemal dyszkantem.

— Ale dlaczego? Dlaczego oni nie chcą nam pomóc? Cyfra wciąż przyglądał się kamiennym rzeźbom. Był trupio

blady w świetle lampki.

— Jeszcze nie zrozumiałeś? Oni osłaniają mordercę.

l

o

N

CV OI

27

W jego ramionach była rzeka.

Żywiołem płynnym, łagodnym, szeroko rozlanym. Muskającym noce i dnie, jak fala pieści wodorosty, które nie są w stanie spowolnić jej biegu. Toczącym wody między jego rękami, przecinającym półmrok losów, omywającym omszałe kamienie, zanurzającym się w cieniu skał. Zwracała twarz ku smugom światła, które wybuchało pod jej powiekami, gdy nadchodziła rozkosz. Potem na nowo się jej oddawała, podążając z wolna za ruchem jego dłoni...

Pory roku zmieniały się, lata płynęły. Czasem szmer wody przypominał gruchanie gołębi, bez troskie i pobrzmiwające śmiechem. Czasem gniewny żywioł wzbudzał spienione fale. Były też mielizny, okresy stagnacji, kiedy już się nie dotykali, lecz i te chwile były tylko odpoczynkiem. Mieli w sobie lekkość przybrzeżnych trzciny, łagodność kamyków ogładzonych przez wodę.

Kiedy prąd znów przybierał na sile, popychając ich na nowo ku najdalszym brzegom, poza granice westchnień, rozchylonych Warg — zawsze tym doskonalej osiągnęli jedyne w swoim rodzaju spełnienie, kiedy wszystko było jednym, a drugie — Wszystkim.

— Czy pani mnie rozumie, pani doktor?

Mathilde Wilcrau drgnęła. Spojrzała w stronę sofy od Knol-

167

la, stojącej dwa metry od niej. Był to jedyny mebel w n0, mieszczeniu, który nie pochodził z osiemnastego wieku. Leżał na niej jakiś mężczyzna. Jej pacjent.

Pogrążona we wspo-mnieniach, zapomniała o nim zupełnie i nie słyszała z jego opowieści ani słowa.

Nie dając niczego po sobie poznać, pokręciła głową. — Nie, nie rozumiem pana.

Musi pan to spróbować ująć inaczej, proszę poszukać innych określeń.

Mężczyzna znów zaczął mówić; leżał na plecach, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

Mathilde dyskretnie otworzyła szufladkę i sięgnęła do niej po krem nawilżający.

Orzeźwiający chłód, jaki poczuła na skórze dłoni, przywrócił ją do

rzeczywistości. Coraz częściej uciekała w marzenia, coraz bardziej oddalała się

od świata. Przekroczyła granice neutralności psychoanalitka, po prostu była

nieobecna. Kiedyś uważnie wsłuchiwała się w słowa pacjentów. Tropiła ich

lapsusy, wahania, dygresje. To były takie małe, białe kamyki, dzięki którym

mogła natrafić na ślad prowadzący do źródła nerwicy, do traumatycznego



przeżycia... A dziś?

Schowała tubkę z kremem i dalej smarowała nim palce. Odżywiać. Nawilżać. Łagodzić. Głos męczyzny znów stał się odległym brzęczeniem, tłem dla jej własnej melancholii.

Owszem, pomiędzy jego ramionami płynęła ongiś rzeką. Tylko że mielizny zdarzały się coraz częściej, okresy stagnacji trwały coraz dłużej. Najpierw nie chciała się tym niepokoić i nie chciała dostrzegać w tych przerwach pierwszych oznak rozpadu. Chciała mieć nadzieję i wierzyć w miłość. Potem na języku pojawił się smak kurzu, ogarnęło ją uczucie znużenia. Tak jakby krew w jej żyłach zaczęła zastygać, jakby życie zaczęło zamierać. Czuła pustkę. Nim jeszcze ich serca skłoniły umysły do znalezienia właściwych słów, ich ciała zamilkły.

Wreszcie uświadomili sobie oboje, że rozstanie jest nieuchronne, słowa zostały wypowiedziane. Nastąpiła oficjalna separacja. Rozpoczęła się era formalności. Trzeba było stanąć przed sędzią, dokonać podziału majątku, zorganizować przeprowadzkę. Mathilde była bez zarzutu. Czujna, odpowiedzialna. Tylko że jej umysł był już gdzie indziej. Kiedy mogła, próbowała wspominać, odbywać podróże wewnątrz siebie, wędrować

168

przez własną przeszłość, i dziwiła się, że w jej pamięci odcisnęło się tak niewiele. Czuła się jak wypalona pustynia, na której nie zachowały się nawet starożytne ruiny, jedynie kilka zatartych śladów na zbyt białych kamieniach przywoływało miniony czas.

Oczywiście, dzieci były dla niej pociechą. Stanowiły ucieleśnienie jej losu, ostatnie źródło rzeki. Oddała się im bez reszty. Lecz i one w końcu ją opuściły. Syn zaszył się w pewnym mieście, ogromnym i malutkim zarazem, składającym się wyłącznie z czipów i mikroprocesorów. Córka „odnalazła się” w podróżach i etnologii. Tak przynajmniej utrzymywała, bo pewne było to tylko, że jej życiowa droga wiedzie z dala od obojga rodziców.

Trzeba więc było zająć się ostatnią osobą, która została na pokładzie: sobą. Pozwoliła sobie wreszcie na spełnianie wszystkich kaprysów, na drogie ciuchy, meble, kochanków. Dalekie podróże, wyprawy do miejsc, o których zawsze marzyła. Na próżno. Spełnianie zachcianek i marzeń pogłębiało jedynie bolesne poczucie upadku i uświadamiało zbliżającą się starość.

Pustynia rozprzestrzeniała się, pochłaniała wciąż nowe terytoria. Mathilde stała się wymagająca, zgorzkniała, niemiła dla ludzi. Wydawała kategoryczne osądy, krytyczne, surowe i bezdyskusyjne. Wielkoduszność, wyrozumiałość, współczucie — wszystko to gdzieś odeszło. Poblażanie przychodziło jej z trudem, cierpiała na prawdziwy paraliż uczuć, zaczęła odnosić się wrogo do całego otoczenia.

W końcu pokłóciła się z najbliższymi przyjaciółmi i została sama jak palec. Kiedy zabrakło jej przeciwników, zajęła się sportem, by zmierzyć się z samą sobą. Próbowała dokonywać wyczynów w dziedzinie wspinaczki, wioślarstwa, paralotniarstwa, strzelectwa... Traktowała trening jak nieustające wyzwania, obsesję pozwalającą jej zapomnieć o własnych lękach.

Teraz już do pewnego stopnia pogodziła się z sobą, ale wciąż rytm jej życia wyznaczały osiągnięcia sportowe. Obozy paralotniarskie w Sewennach, coroczna wspinaczka na Dalles w okolicy Chamonix, zawody triathlonowe w Val d'Aosta. W wieku Pięćdziesięciu dwóch lat mogła pochwalić się sprawnością fizyczną, której pozazdrościłaby jej każda nastolatka. Co dzień

169

spoglądała, nie bez dumy, na swoje trofea połyskujące na komodzie.

W istocie jednak największą satysfakcję: sprawiało jej inne zwycięstwo, o którym nikt nie wiedział. Przez wszystkie te lata samotności ani razu nie pozwoliła sobie na ucieczkę w leki. Nie połknęła ani jednej tabletki przeciwłękowej czy przeciwdepre-syjnej.

Co dzień rano spoglądała w lustro i przypominała sobie o tym. To było najcenniejsze trofeum w jej zbiorach. Osobiste świadectwo wytrwałości, dowód na to, że nie wyczerpała swoich rezerw odwagi i woli.

Większość ludzi żyje w nadziei na coś lepszego.

Mathilde Wilclrau lękała się tylko, że stanie się coś gorszego.

Oczywiście, pośród całej tej pustyni pozostawała jeszcze praca. Przyjmowała pacjentów w szpitalu Sainte-Anne i w swoim prywatnym gabinecie. Twardy styl zewnętrzny i miękki styl wewnętrzny, jak to się określa w sztukach walki, które zresztą też uprawiała. Opieka psychiatryczna i seanse psychoanalityczne. Ale z upływem lat oba bieguny zamazały się w tej samej rutynie.

Żyła teraz wedle ściśle określonego planu, w którym pozostawiła miejsce na kilka niezbędnych i ściśle przestrzeganych rytuałów. Raz w tygodniu jadła obiad z dziećmi, które mówiły już tylko o swoich sukcesach i o porażkach matki oraz ojca. W każdy weekend, między dwoma treningami, odwiedzała antykwariaty. Poza tym, w środy wieczorem chodziła na seminarium do Stowarzyszenia Psychoanalitycznego, gdzie widywała jeszcze kilka znajomych twarzy. Najczęściej byłych kochanków, ale czasem nie pamiętała nawet ich imion, zresztą zawsze wydawali jej się pozbawieni wyrazu. Lecz może to po prostu ona straciła zainteresowanie miłością. Kiedy ktoś sparzy się w język, przestaje rozróżniać smaki potraw...

Rzuciła okiem na zegar; już tylko pięć minut do zakończenia seansu. Mężczyzna cały czas coś opowiadał. Poruszyła się w fotelu. Zaczęła myśleć o tym, co za chwilę nastąpi, o odczuciach, jakie będą temu towarzyszyć: suchość w gardle, kiedy po długim milczeniu powie, że na dzisiaj to koniec; delikatny dotyk stalówki jej pióra i papieru, kiedy będzie notować datę

170  
kolejnej wizyty; skrzywienie skóry, kiedy będzie wstawać z fotela. •• \V  
przedpokoju pacjent odwrócił się jeszcze i spytał głosem,  
w którym słychać było niepokój:

— Pani doktor, czy nie posunąłem się zbyt daleko?

Mathilde z uśmiechem przecząco pokręciła głową i otworzyła drzwi. Co też mógł dziś powiedzieć tak ważnego? Ale nic nie szkodzi, następnym razem powie jeszcze więcej. Wyszła na podest i zapaliła światło.

Krzyknęła cicho na jej widok.

Kobieta siedziała pod ścianą, owinięta czarnym szlafrokiem. Mathilde rozpoznała ją od razu: Anna, nazwiska nie pamiętała. Ta sama, której przydałyby się porządne okulary. Była blada jak ściana i cała się trzęsła. Co jej się stało?

Mathilde szybko pożegnała pacjenta i gniewnie zwróciła się ku drobnej brunetce.

Nie znosiła, kiedy któryś z jej pacjentów przychodził bez zapowiedzi, nie umówiony. Dobry psychiatra musi zawsze pilnować porządku pod swymi drzwiami. Miała właśnie zmyć jej głowę, gdy tamta uprzedziła ją, podsuwając jej pod nos kliszę rentgenowską.

— Ukradli mi pamięć. Ukradli mi twarz.

28

Psychoza paranoidalna.

Diagnoza była oczywista. Anna Heymes twierdziła, że padła ofiarą knoń własnego

męża, Erica Ackermanna oraz ludzi, którzy pracowali dla francuskiej policji. Została poddana praniu mózgu i pozbawiona pamięci. Za pomocą operacji plastycznej dokonano modyfikacji jej twarzy. Nie wiedziała dlaczego ani w jaki sposób, ale była pewna, że uknuto przeciw niej jakiś spisek lub przeprowadzono na niej tajemnicze doświadczenie, którego wynikiem była przemiana jej osobowości.

Opowiadając o tym wszystkim, Anna wyrzucała z siebie pospiesznie słowa, wymachiwała przy tym papierosem jak pałeczką dyrygenta. Mathilde słuchała cierpliwie. Przy okazji zwróciła uwagę na jej szczupłą sylwetkę — anoreksja może być jednym z objawów paranoi.

Anna Heymes kończyła relacjonowanie tej nieprawdopodobnej historii. Całą machinację odkryła dzisiejszego ranka, w łazience, gdy zobaczyła na swej twarzy ślady po operacji plastycznej; właśnie wtedy, gdy mąż zamierzał ją zawieźć do kliniki Ackermanna.

Następnie uciekła przez okno, później gonili ją policjanci w cywilu, uzbrojeni po zęby, wyposażeni w krótkofalówki. Ukryła się w cerkwi, potem zrobiła sobie prześwietlenie twarzy w szpitalu Saint-Antoine, żeby uzyskać namacalny dowód na

172  
to co z nią zrobiono. Jeszcze później błądziła po mieście aż do wieczora, by szukać schronienia u ostatniej osoby, której ufała: u Mathilde Wilcrau. No i proszę.

Psychoza paranoidalna.

Mathilde leczyła już setki pacjentów o podobnych objawach w szpitalu Sainte-Araie. Przede wszystkim należało podać środki uspokajające. Przemawiając spokojnym głosem, zdołała nakłonić pacjentkę, by pozwoliła wstrzyknąć sobie domięśniowo pięćdziesiąt miligramów tranxenu.

Teraz Anna Heymes spała na jej sofie. Mathilde tymczasem siedziała za biurkiem w tej samej pozycji co zawsze.

Właściwie wystarczyło zadzwonić do Laurenta Heymesa. Być może należało nawet umieścić Annę w szpitalu albo powiadomić prowadzącego ją lekarza, Erica Ackermanna. Całą sprawę można było załatwić rutynowo, w ciągu kilku minut. Dlaczego więc nie dzwoniła? Siedziała tak już od ponad godziny i nawet nie sięgnęła po telefon. Patrzyła na połyskujące w ciemnościach fragmenty mebli. Rokokowe antyki otaczały Mathilde od wielu lat, większość z nich kupił jeszcze jej mąż, a ona zrobiła wszystko, żeby zachować je, kiedy się rozwiedli. Myślała, że robi mu na złość, ale potem zdała sobie sprawę, że chciała zachować dla siebie coś z niego. Nigdy nie zdobyła się na to, by je sprzedać. Żyła więc wciąż w swoistym sanktuarium, w mauzoleum pełnym politurowanych staroci, przypominających jej jedyne lata, które naprawdę się liczyły.

Psychoza paranoidalna. Typowy przypadek.

Tyle że ta kobieta naprawdę miała ślady po operacji. Widziała je na własne oczy: na jej czole, uszach i podbródku. Można było nawet wyczuć pod skórą śruby i implanty, a prześwietlenie uwidaczniało wszystkie szczegóły zabiegu.

Mathilde w swej karierze spotkała wielu paranoików i rzadko się zdarzało, by dysponowali jakimiś konkretnymi dowodami na prawdziwość swych opowieści, w dodatku utrwalonymi na skórze. Anna Heymes miała na twarzy prawdziwą maskę. Skorupę utworzoną z ciała, ukształtowaną, uszytą, za którą kryły się pokruszone kości i przekształcone mięśnie.

Czy to możliwe, że po prostu mówiła prawdę? Że jacyś

173

ludzie — w dodatku policjanci — zrobili jej coś takiego? Le pozbawili ją pamięci, zmienili jej twarz?

Było coś jeszcze, co nie dawało Mathilde w całej tej sprawie spokoju, mianowicie osoba Erica Ackermanna. Dobrze pamiętała tego wysokiego rudzielca z twarzą pokrytą trądzikiem. Podczas studiów był jednym z jej niezliczonych wielbicieli przede wszystkim jednak był facetem obdarzonym niezwykle inteligencją, graniczącą z przewrażliwieniem.

W tamtych czasach pasjonował się działaniem mózgu i „podróżami wewnętrznymi”. Był na Harvardzie, kiedy Timothy Leary przeprowadzał eksperymenty z LSD i twierdził, że środek ten pozwala odkryć nieznane obszary świadomości. Eric pochłaniał wszelkiego rodzaju psychotropy i analizował ich działanie. Zdarzało mu się nawet wrzucić LSD do kawy któregoś ze studentów, jedynie po to, „by zobaczyć, co z tego wyniknie”. Mathilde uśmiechnęła się na wspomnienie tamtych czasów. To był zupełnie inny świat: muzyka psychodeliczna, kontestacja, hippisi...

Ackermann przepowiadał, że kiedyś opracowane zostaną urządzenia, dzięki którym będzie można obserwować działanie mózgu w czasie rzeczywistym. Okazało się, że miał rację. Stał się jednym z najwybitniejszych specjalistów w dziedzinie neurologii, dzięki wykorzystaniu takich technologii, jak kamera pozytronowa albo magnetoencefalografia.

Czyżby przeprowadził na tej kobiecie jakieś doświadczenia?

Znalazła w notesie numer telefonu pewnej studentki, która chodziła na jej wykłady w szpitalu Sainte-Anne w roku 1995. Po czwartym dzwonku ktoś podniósł słuchawkę.

— Yalerie Rannan?

— Tak, słucham.

— Mówi Mathilde Wilcrau.

— Profesor Wilcrau?

Było już po jedenastej, ale głos po drugiej stronie brzmiał przytomnie.

— Przepraszam, że dzwonię tak niespodziewanie, zwłaszcza o tej porze...

— Czym mogę służyć?

— Po prostu chciałam zadać kilka pytań związanych z te-174

matem pani doktoratu. Pisała pani pracę o manipulacji i de-prywacji sensorycznej, prawda?

— Wtedy nie zdradzała pani większego zainteresowania.

Mathilde usłyszała urazę brzmiającą w głosie byłej studentki. To prawda, nie zgodziła się wówczas zostać jej promotorką. Po prostu nie wierzyła w ten temat.

Jej zdaniem wszystkie te historie o praniu mózgu należały do sfery fantazji, były kolektywną projekcją lęku.

Postarała się, żeby w jej głosie dało się wyczuć uśmiech.

— Tak, obawiam się, że byłam zbyt sceptyczna. Obecnie jednak potrzebuję informacji na ten temat, chodzi o pewien artykuł, który redaguję.

— Proszę pytać.

Mathilde nie bardzo wiedziała, od czego zacząć. Właściwie nie była nawet pewna, czego chce się dowiedzieć. Rzuciła więc na rybkę:

— W streszczeniu pracy pisała pani, że możliwe jest wymazanie pamięci. Czy... krótko mówiąc, czy to prawda?

— Te techniki zostały opracowane już w latach pięćdziesiątych.

— W Związku Radzieckim?

— Pracowali nad tym Rosjanie, Chińczycy, Amerykanie, właściwie wszyscy. Przede

wszystkim w czasach zimnej wojny. Chodziło o unicestwienie pamięci, zmianę przekonań, tworzenie nowej osobowości.

— Jakimi metodami?

— Zawsze tymi samymi: elektrowstrząsy, środki farmakologiczne, deprywacja sensoryczna.

Chwila ciszy.

— Jakie środki farmakologiczne? — spytała Mathilde.

— Ja osobiście zajmowałam się głównie programem CIA noszącym nazwę MK-Ultra. Amerykanie stosowali środki uspokajające, takie jak fenotiazyna, amytal sodu i chloropromazyna.

Mathilde знаła te nazwy; była to ciężka artyleria psychiatryczna używana w najtrudniejszych przypadkach; w szpitalach leki z tej grupy określano wspólnym mianem „chemicznego kaftana bezpieczeństwa”, bo rzeczywiście robiły siekanke z mózgu.

175

— A deprywacja sensoryczna? Yalerie Rannan zaśmiała się.

— Najdalej posuniętych doświadczeń dokonywano w klinice w Montrealu, począwszy od roku 1954. Najpierw psychiatrzy przeprowadzali wywiad z pacjentkami cierpiącymi na depresje. Zmuszali je do wyznawania win, do przyznawania się do głęboko ukrytych pragnień, których się wstydziły. Potem zamykali je w całkowicie zaciemnionym pomieszczeniu, po to, żeby nie mogły dostrzec żadnych punktów odniesienia, ścian czy sufitów, a następnie, przez słuchawki, puszczano im w kółko nagrania ich własnych wypowiedzi. Nieszczęsne kobiety słyszały ciągle te same słowa, najdrastyczniejsze fragmenty własnych zwierzeń. W przerwach stosowano elektrowstrząsy i sen wywoływany środkami chemicznymi.

Mathilde rzuciła okiem na Aimeę, śpiącą na kanapie. Jej pierś unosiła się miarowo w rytm oddechu. Yalerie mówiła dalej:

— Kiedy pacjentka nie pamiętała już ani swojego imienia, ani przeszłości, kiedy całkowicie pozbawiono ją woli, rozpoczynało się właściwe warunkowanie. Teraz przez słuchawki puszczano inne nagrania, polecenia i afirmacje, które miały ukształtować nową osobowość.

Tak jak każdy psychiatra, Mathilde również słyszała o tych potwornościach, ale jakoś nigdy nie potrafiła w nie uwierzyć, zwłaszcza w to, że mogły być skuteczne.

— Jakie były wyniki? — spytała bezbarwnym głosem.

— Amerykanie zdołali jedynie stworzyć coś w rodzaju zombie. Wygląda na to, że Rosjanie i Chińczycy osiągnęli nieco lepsze wyniki, choć stosowali zbliżone metody. Po wojnie w Korei do kraju powróciło ponad siedem tysięcy jeńców amerykańskich; wielu z nich było całkowicie przekonanych do komunizmu. Istnieje przypuszczenie, że ich osobowość została poddana warunkowaniu.

Mathilde poczuła zimny dreszcz w całym ciele.

— Myśli pani, że obecnie również prowadzone są doświadczenia w tej dziedzinie?

— Oczywiście.

— Gdzie na przykład? Yalerie zaśmiała się ironicznie.

176

— Praktycznie wszędzie. Głównie w różnych ośrodkach wojskowych. Właściwie wszystkie armie na świecie marzą o manipulacji ludzkim mózgiem.

— We Francji również?

— We Francji, w Niemczech, w Japonii, w Stanach Zjednoczonych. Wszędzie, gdzie

są do dyspozycji odpowiednie technologie. Wciąż pojawiają się nowe środki chemiczne. Ostatnio dużo się mówi o GHB, którego zażycie powoduje wymazanie z pamięci około dwunastu godzin poprzedzających podanie środka. Inaczej mówiąc, jest to „pigulka gwałtu”, ponieważ dziewczyna nic potem nie pamięta. Jestem pewna, że w laboratoriach wojskowych prowadzone są prace badawcze dotyczące tego typu substancji. Mózg wciąż jest najniebezpieczniejszą bronią, jaką dysponuje człowiek.

— Dziękuję pani.

Yalerie Rannan wydawała się nieco zdziwiona.

— Nie potrzebuje pani dokładnych źródeł? Jakiejś bibliografii?

— Dziękuję. Jeszcze się do pani odezwę.

29

Mathilde podeszła do Anny, wciąż śpiącej na sofie. Obejrzała uważnie jej rękę, szukając nakłuc: ani śladu. Obejrzała też włosy, ponieważ regularne zażywanie środków uspokajających wywołuje niekiedy pewnego rodzaju zapalenie skóry na głowie, lecz nic szczególnego nie znalazła. Wyprostowała się. Pomyśleć, że przez moment o mało nie uwierzyła w tę historię. Szczyt wszystkiego, żeby uwierzyć paranoicznie... Jej spojrzenie padło na trzy pionowe blizny na czole, trzy małe kreski w odległości kilku centymetrów. Mimo woli dotknęła skroni i szczęki: protezy poruszały się pod skórą.

Kto to zrobił? Jak to możliwe, żeby Anna zapomniała o takiej operacji?

Podczas pierwszej wizyty mówiła o instytucie, w którym robili jej testy tomograficzne. To było gdzieś w Orsay, w jakimś wojskowym szpitalu. Mathilde zapisała jego nazwę w notatniku.

Szybko przekartkowała notes i znalazła właściwą stronę; w prawym górnym rogu zapisała: Henri-Becquerel.

Sięgnęła po butelkę z wodą stojącą we wnęce obok biurka, wypila duży łyk i wzięła do ręki telefon. Wystukała numer.

— René? Mówi Mathilde. Mathilde Wilcrau.

Chwila wahania. Późna godzina. Minęło już tyle lat. Zaskoczenie... W końcu usłyszała głęboki głos:

— Co u ciebie słychać?

178

— Nie przeszkadzam?

— Nie żartuj. Cieszę się, że dzwonisz.

René Le Garrec był jej nauczycielem i profesorem, kiedy odbywała praktykę w szpitalu Val-de-Grace. Był psychiatrą wojskowym, specjalizował się w urazach wojennych i stworzył pierwsze ośrodki pomocy psychologicznej dla ofiar zamachów, wojen i klęsk żywiołowych. Był pionierem w swojej dziedzinie. To dzięki niemu Mathilde przekonała się, że można nosić mundur i wcale nie być idiotą.

— Chciałam cię tylko o coś zapytać. Znasz Instytut Henri--Becquerel?

Wyraźnie zawahał się, ale tylko przez chwilę.

— Owszem, znam. To szpital wojskowy.

— Jakiego rodzaju?

— Z początku zajmowali się medycyną atomową.

— A teraz?

Znów wahanie. Mathilde nie miała już wątpliwości — wsadzała nos w nie swoje sprawy.

— Nie wiem dokładnie — odpowiedział lekarz. — Zajmują się leczeniem różnego rodzaju urazów.

— Urazów wojennych?

— Chyba tak. Musiałbym sprawdzić.

Mathilde pracowała z Renę trzy lata i ani razu nie słyszała o tym instytucie. Jakby zdając sobie sprawę, że jego kłamstwo było dość niezręczne, wojskowy przeszedł do ataku:

— Dlaczego pytasz?

Nie próbowała go oszukiwać.

— Mam pacjentkę, która przeszła tam różne badania.

— Jakie?

— Testy tomograficzne.

— Nie wiedziałem, że mają tam petscan.

— Podobno badania przeprowadzał Ackermann. — Ten kartograf?

Eric Ackermann był autorem dzieła poświęconego technikom badania mózgu, stanowiącego podsumowanie prac prowadzonych przez różne zespoły badawcze z całego świata. Książkę uznano za podstawowe opracowanie w tej dziedzinie, a jej autor zyskał opinię jednego z najwybitniejszych topografów

179

ludzkiego mózgu. Był podróżnikiem przemierzającym te obszary anatomiczne niczym jakiś nieznany dotąd kontynent. Mathilde potwierdziła.

— To dziwne, że pracuje dla nas — stwierdził Le Garrec To „dla nas” rozbawiło ją. Wojsko było dla niego czymś

więcej niż instytucją: stanowiło coś w rodzaju rodziny.

— No właśnie — zgodziła się z nim. — Studiowałam razem z Ackermannem. Był typowym buntownikiem, odmówił służby wojskowej i faszerował się narkotykami po same uszy. Trudno mi sobie wyobrazić jego współpracę z wojskiem. O ile wiem, został nawet skazany za „nielegalną produkcję środków odurzających”.

Le Garrec zaśmiał się.

— Może to właśnie skłoniło go do podjęcia współpracy. Chcesz, żebym cię z nimi skontaktował?

— Nie, dziękuję. Chciałam tylko dowiedzieć się, czy słyszałeś o jego badaniach, to wszystko.

— A jak się nazywa twoja pacjentka?

W tym momencie Mathilde zrozumiała, że posunęła się za daleko. Le Garrec może przeprowadzić dochodzenie na własną rękę albo, co gorsza, powiadomić swych przełożonych. Nagle i niespodziewanie świat Yalerie Rannan wydał jej się całkiem prawdopodobny. Świat, w którym przeprowadzano tajne doświadczenia w imię wyższych racji.

— Nieważne, to drobiazg — powiedziała, próbując rozładować napięcie.

— Ale jak ona się nazywa? — powtórzył oficer. Zrobiło jej się zimno.

— Dziękuję — odpowiedziała. — Po prostu odezwę się bezpośrednio do Ackermanna.

— Jak sobie życzysz.

Le Garrec też zaczął się wycofywać, oboje powrócili do swych codziennych ról, przybierając zwykły, niefrasobliwy ton. Wiedzieli jednak, że podczas krótkiej wymiany zdań przemierzili to saine pole minowe. Stwierdzili zgodnie, że muszą się kiedyś umówić na kolację, i Mathilde odłożyła słuchawkę.

A więc miała już pewność, że w Instytucie Henri-Becquerel kryje się jakaś tajemnica. Tym większa, że w sprawę zamieszany

180

był Eric Ackermann. Coraz więcej wskazywało na to, że urojenia Anny Heymes wcale nie były urojeniami...

Mathilde przeszła do mieszkalnej części apartamentu. Wypracowała sobie szczególnie sposób chodzenia: z uniesionymi ramionami, rękami opuszczonymi wzdłuż ciała i lekko uniesionymi dłońmi; nieznacznie przy rym kołysała biodrami.

Wymyśliła ten sposób poruszania się jako młoda dziewczyna, bo wydawało się jej, że dzięki niemu jej sylwetka będzie wyglądała korzystniej. Teraz robiła to już całkiem odruchowo i nieświadomie.

W jej sypialni stał sekretarzyk Meissonniera z roku 1740, ze zdobieniami w kształcie liści palmowych i pęków trzcin. Wyjęła z kieszeni miniaturowy klucz, który zawsze nosiła przy sobie, i otworzyła nim szufladkę.

Wyjęła z niej szkatułkę z bambusa, inkrustowaną masą perłową. Otworzyła ją, odwinęła kciukiem i palcem wskazującym płyty irchy, spowijającej zakazany przedmiot.

Pistolet automatyczny Glock kaliber 9 milimetrów.

Była to broń niezwykle lekka i poręczna, z zabezpieczeniem spustu typu safe-action. Kiedyś, kiedy uprawiała jeszcze strzelectwo sportowe, miała na nią pozwolenie, ale oficjalne upoważnienie do posiadania pistoletu dawno już wygasło i glock, z siedemnastoma kulami w magazynku, stał się zwykłym narzędziem śmierci, o którym pamięć zaginęła gdzieś w przepastnych archiwach francuskiej biurokracji...

Mathilde zważyła pistolet na dłoni, odruchowo analizując swoją sytuację. Lekarz psychiatra, rozwiedziona. Kompleks członka: ukrywa w sekietarzyku automatyczną spluwę. Uśmiechnęła się, szepcząc: „symboliczne znaczenie tego faktu jest oczywiste...”.

Wróciła do gabinetu, wykonała jeszcze jeden telefon i podeszła do sofy. Anna wciąż spała; musiała nią mocno potrząsnąć, by się ocknęła.

Wreszcie przewróciła się na drugi bok i spojrzała na Mathilde, bez zdziwienia, z pochyloną głową. Lekarka spytała ją półgłosem:

— Nie mówiłaś nikomu o wizycie u mnie?

Anna pokręciła przecząco głową.

181

— A więc nikt nie wie, że się znamy?

Znów przeczący ruch głowy. Mathilde pomyślała, że ktoś mógł Annę śledzić, jednak trzeba było zaryzykować.

Anna przetarła oczy, oczy o ciężkich powiekach i kącikach nieco skośnie uniesionych ku górze. Na policzku miała jeszcze odcisk fałdów poduszki.

Mathilde pomyślała o swojej córce, która odeszła i która na ramieniu miała wytatuowany chiński ideogram, oznaczający prawdę.

— Wstawaj — szepnęła. — Musimy jechać.

30

— Co oni mi zrobili?

Jechały bulwarem Saint-Germain w kierunku Sekwany. Deszcz przestał padać, ale wszędzie widać było jego ślady: lśniący asfalt, połyskujące kałuże, świetliste plamy drgające w nocnym vibrato.

Mathilde sama nie знаła odpowiedzi, więc odparła wymijająco:

— Poddali cię działaniu pewnego rodzaju środków.

— Jakich środków?

— Przypuszczalnie chodzi o jakąś nieznaną dotąd metodę, pozwalającą na częściowe zatarcie pamięci.

— To możliwe?

— W zasadzie nie, ale wygląda na to, że Ackermann wynalazł coś...



rewolucyjnego. Przypuszczalnie chodzi o jakąś technikę związaną z tomografią i ośrodkami mózgu.

Prowadząc samochód, od czasu do czasu rzucała okiem na Annę, która siedziała skulona, wpatrzona przed siebie, z rękami wsuniętymi między ściśnięte uda.

— Wstrząs może być przyczyną częściowej amnezji — mówiła dalej. — Leczyłam kiedyś piłkarza, który miał wypadek podczas meczu. Pamiętał część swojego życia, reszty zupełnie nie. Być może, Ackermann znalazł jakiś sposób na wywołanie tego samego zjawiska przy użyciu środków farmakologicznych,

183

promieniowania czy jeszcze czegoś innego. Utworzył w ten sposób jakby parawan, przysłaniający twoją pamięć.

— Ale dlaczego mi to zrobili?

— Moim zdaniem kluczowe znaczenie ma tu zawód Laurenta. Widziałaś coś, czego nie powinnaś widzieć, albo jesteś w posiadaniu jakichś informacji, dotyczących jego pracy, a może po prostu byłaś zwykłym królikiem doświadczalnym... Wszystko jest możliwe. To jakiś kompletny obłąd.

Znalazły się na końcu bulwaru Saint-Germain, po prawej stronie pojawił się Instytut Świata Arabskiego. W jego szklanych ścianach przesuwwały się odbicia chmur.

Mathilde zastanawiała się, dlaczego odczuwa taki spokój. Pędziła z szybkością stu kilometrów na godzinę, w torebce miała pistolet, obok niej siedziała ta kobieta o wyglądzie chorej lalki, a ona wcale się nie bała. Odczuwała raczej chłodną ciekawość. I może jeszcze coś — jakby dziecinne podniecenie. — Czy moja pamięć powróci?

Anna mówiła załamującym się głosem. Mathilde dobrze знаła tę intonację: słyszała ją tysiące razy podczas pracy w szpitalu. To był głos obsesji, głos choroby psychicznej. Tylko że w tym wypadku urojenia miały pokrycie w rzeczywistości. Dobierała ostrożnie słowa.

— Nie mogę na to odpowiedzieć, nie znając metody, którą się posłużyli. Jeżeli mamy do czynienia z jakimiś związkami chemicznymi, być może istnieje antidotum. Jeśli był to jakiś zabieg chirurgiczny... hm, trudno powiedzieć.

Mały mercedes pędził wzdłuż czarnych krat ogrodzenia ogrodu zoologicznego. Sen zwierząt i bezruch parku zdawały się łączyć w ciemności, by zapaść się w otchłań ciszy.

Mathilde zauważyła, że Anna płacze jak mała dziewczynka, cicho szlochając. Po dłuższej chwili usłyszała jej głos przez łzy:

— Ale dlaczego zmienili mi twarz?

— Tego nie rozumiem. Można przypuścić, że znalazłaś się w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Nie widzę jednak żadnego powodu, żeby mieli zmieniać ci twarz. Chyba że chodzi o coś więcej, o zmianę tożsamości.

— To znaczy, że przedtem byłam kimś innym?

— Operacja plastyczna mogłaby na to wskazywać.

184

— To znaczy, że nie jestem... że nie jestem żoną Laurenta jjeymesa?

Mathilde nie odpowiedziała.

— No, ale... moje uczucia? Moje... pożycie intymne?

Mathilde poczuła, że ogarniają złość. Dziewczyna wylądowała po uszy w jakimś koszmarze, a ciągle myśli o miłości. Tak to już jest, że choćby zdarzyła się nie wiadomo jaka katastrofa, dla kobiet najważniejsze są uczucia.

— A wszystkie moje wspomnienia związane z nim? Przecież nie mogłam ich sobie

wymyślić!

Mathilde wzruszyła lekko ramionami, jakby dla złagodzenia wagi tego, co miała powiedzieć,

— Być może, wspomnienia zostały zaimplantowane w jakiś sposób. Sama mówiłaś, że się zamazują, że wydają ci się nierealne. W zasadzie nie jest to możliwe, ale mając do czynienia z kimś takim jak Ackermann, można spodziewać się wszystkiego.

Przypuszczalnie policja zapewniła mu nieograniczone możliwości.

— Policja?

— Anno, obudź się. Instytut Henri-Becquerel. Żołnierze. Praca Laurenta.

Pomijając Maison du Chocolat, cały twój świat składał się z policjantów i mundurów. Oni to zrobili i oni cię teraz szukają.

Mijały remontowany Dworzec Austerlitz. Budynek wyglądał jak dekoracja wzniesiona na potrzeby jakiegoś filmu, przez puste otwory okien prześwitywało niebo, jak w domach zrujnowanych po bombardowaniu. Po lewej, na drugim planie, płynęła Sekwana, mroczna i mulista...

Po dłuższej chwili milczenia Anna odezwała się znowu.

— W tej historii jest ktoś, kto nie jest z policji.

— Kto?

— Jeden z klientów sklepu. Ten, który wydawał mi się znajomy. Nazwałyśmy go z koleżanką Pan Aksamit. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić, ale czuję, że ten facet jest z innej bajki. Tak jakby należał do tej części życia, która została zatarta.

— A dlaczego przychodził do twojego sklepu?

— Może to kwestia przypadku. Mathilde pokręciła głową.

185

— Posłuchaj, w całej tej sprawie nie ma miejsca na przypa dek, tego akurat jestem pewna. Ten facet musi mieć coś wspój. nego z pozostałymi, co do tego nie ma dwóch zdań. Skoro jego twarz wydaje ci się znajoma, to znaczy, że widziałaś go kiedyś w towarzystwie Laurenta.

— Albo że lubi Jikola.

— Co takiego?

— Czekoladki nadziewane marcepanem. Specjalność zakładu — zaśmiała się, ocierając łzy. — Poza tym to logiczne, że mnie nie rozpoznał, przecież mam zmienioną twarz — w jej głosie dała się słyszeć nutka nadziei. — Trzeba go znaleźć. Na pewno coś wie o mojej przeszłości!

Mathilde nie odpowiedziała. Jechała teraz bulwarem Hópital, wzdłuż stalowych arkad wiaduktu metra.

— Ale dokąd my właściwie jedziemy? — krzyknęła Anna.

Mathilde przejechała ukosem na drugą stronę i zaparkowała tyłem przed budynkiem szpitala Pitie-Salpetriere. Zgasiła silnik, zaciągnęła hamulec ręczny i odwróciła się do tej małej Kleopatry.

— Jest tylko jeden sposób, żeby zrozumieć to wszystko. W tym celu musimy dowiedzieć się, kim byłaś przedtem. Sądząc po bliznach, operacja miała miejsce jakieś pół roku temu. A więc w ten czy inny sposób musimy cofnąć się w czasie — dotknęła palcem wskazującym swojego czoła. — Musisz przypomnieć sobie, co zdarzyło się przed operacją.

Anna spojrzała na tabliczkę z nazwą szpitala.

— Chcesz... chcesz poddać mnie hipnozie?

— Nie mamy już na to czasu.

— Więc co masz zamiar zrobić? Mathilde poprawiła kosmyk włosów Anny.

— Skoro twoja pamięć nic nam nie mówi, skoro zmieniono ci twarz, pozostaje jeszcze jeden element, który może przechowywać jakieś wspomnienia.

— Co?

— Twoje ciało.

31

Ośrodek biologii doświadczalnej szpitala Pitie-Salpetriere mieści się w budynku wydziału medycznego. Jest to długie, sześciopiętrowe gmazysko, a setki okien wskazują, że znajduje się tam wiele laboratoriów.

Budynek zaprojektowany został w stylu charakterystycznym dla lat sześćdziesiątych, więc żywo przypominał Mathilde lata studiów i praktyk szpitalnych. Była szczególnie wrażliwa na wygląd miejsc, w których się znajdowała, toteż ten typ architektury zawsze kojarzył jej się z wiedzą, nauką i autorytetem.

Lśniącym od deszczu chodnikiem podeszły do głównego wejścia. Mathilde wstukała kod. Wewnątrz powitały je ciemności i chłód. Przeszły przez ogromny hali do windy, przypominającej stalową kasę pancerną.

Mathilde miała wrażenie, że metalowa klatka, w której pachniało smarem, wynosi ją na górne piętra jakiejś wieży symbolizującej najwyższą wiedzę. Pomimo swojego wieku i doświadczenia, czuła się przez to miejsce przytłoczona. Kojarzyło się jej ze świątynią, z terytorium sakralnym.

Winda jechała bardzo powoli. Anna zapaliła papierosa. Zmysły Mathilde były tak wyostrzone, że słyszała odgłos palącego się tytoniu i bibułki, a może tylko tak się jej zdawało. Przed Wyjściem z domu kazała przebrać się swojej podopiecznej w ubrania po córce, których tamta /apomniała ze sobą wziąć,

187

gdy przygotowywała się do sylwestra. Obie kobiety były te8o samego wzrostu i obie nosiły się na czarno.

Tak więc Anna miała teraz na sobie wcięty w talii weluro\w płaszcz z długimi i wąskimi rękawami, rozszerzane u dołu spodnie i lakierki. Wieczorowy strój nadawał jej wygląd dziewczynki w żałobie.

Wreszcie drzwi windy otworzyły się na piątym piętrze. Znalazły się w korytarzu wyłożonym czerwoną glazurą, mijały kolejne drzwi z mlecznego szkła. W głębi koiytarza świeciło się światło, zmierzały w tamtą stronę.

Mathilde otworzyła drzwi, nie pukając. Profesor Alain Yeynerdi czekał na nie, stał koło białego stołu laboratoryjnego.

Niewysoki, koło sześćdziesiątki, miał ciemną karnację Hindusa i był chudy jak jogin. Pod nieskazitelnie białym fartuchem można było dostrzec równie nieskazitelny garnitur. Zwraçały uwagę jego wypiełgnowane dłonie i paznokcie, które wydawały się jaśniejsze niż skóra i które wyglądały jak nałożone na palce płytki z masy perłowej; wypomadowane siwe włosy miał starannie zaczesane do tyłu. Robił wrażenie postaci żywcem wyjętej z któregoś komiksu z serii „Tintin”. Jego muszka lśniła niczym kluczyk od jakiegoś sekretnego mechanizmu, który tylko czeka, by go nakręcić i puścić w ruch.

Mathilde przedstawiła mu pacjentkę, powtarzając z grubsza to samo łgarstwo, które zaserwowała już biologowi przez telefon. Anna miała wypadek przed ośmioma miesiącami, samochód spłonął wraz z dokumentami, od tego czasu cierpi na amnezję. Rany twarzy były tak po ważne, że zachodziła konieczność przeprowadzenia operacji, przez co jej rysy zostały zmienione. Tak więc kwestia tożsamości pozostawała całkowitą zagadką.

Historijka była mało wiarygodna, ale Yeynerdi zupełnie nie zwrócił na to uwagi.

Dla niego liczyło się tylko wyzwanie naukowe, jakie przedstawiał sobą przypadek Anny.

Wskazał ruchem ręki stół z nierdzewnej stali.

— Zaczniemy od razu.

— Chwileczkę — zaprotestowała Anna. — Może już czas powiedzieć mi, o co chodzi?

188

— Profeszorze, proszę jej wyjaśnić — zwróciła się Mathilde do biologa.

— Obawiam się, że trzeba będzie zacząć od krótkiego kursu anatomii... — powiedział uczony, zwracając się do Anny.

— Nie jestem dzieckiem.

Uśmiechnął się kwaśno.

— Różne tkanki organizmu ludzkiego regenerują się według właściwego sobie cyklu. Ciałka czerwone odtwarzają się co sto dwadzieścia dni. Komórki skórne ulegają całkowitej wymianie w ciągu pięciu dni. Ścianki jelita odnawiają się w ciągu zaledwie czterdziestu ośmiu godzin. Tym niemniej, mimo stale zachodzącego procesu odbudowy, w systemie immunologicznym istnieją komórki, które przez bardzo długi czas zachowują ślady kontaktów z elementami zewnętrznymi. Można powiedzieć, że zachowują pamięć o tych kontaktach.

Miał głos nałogowego palacza, niski i chrapliwy, który nie pasował do jego zadbanego wyglądu.

— W przypadku choroby komórki te wytwarzają molekuly obronne lub rozpoznawcze, których budowa zależy od rodzaju schorzenia. Kiedy komórki obumierają, przekazują swoim następcom informację, która stanowi rodzaj biologicznego wspomnienia. Na tej właśnie zasadzie działają szczepionki. Wystarczy jednorazowy kontakt organizmu z czynnikiem chorobotwórczym, by komórki przez wiele lat produkowały cząsteczki ochronne. ^Dotyczy to nie tylko chorób, ale także najrozmaitszych czynników zewnętrznych. W ten sposób zachowujemy na zawsze ślady naszej przeszłości, niezliczonych kontaktów ze światem zewnętrznym. Jesteśmy w stanie badać te ślady i ich pochodzenie, a także je datować.

Skłonił się lekko.

— Ta mało znana dziedzina jest moją specjalnością. Mathilde pamiętała swoje pierwsze spotkanie z Yeynerdim, na Majorce, w roku 1997, podczas seminarium poświęconego pamięci. Większość uczestników stanowili neurologi, psychiatry i psycholodzy. Mówili o synapsach, o splotach włókien nerwowych, o nieświadomości i wszyscy zwracali uwagę na złożoność zagadnień związanych z pamięcią. A czwartego dnia miał swoje wystąpienie biolog noszący muszkę i zebrani zoba-

189

czyli problem z zupełnie innej perspektywy. Alain Yeynerd' nie mówił wcale o pamięci mózgu, lecz o pamięci ciała.

Przedstawił wyniki badań, jakie prowadził nad perfumami. Stały kontakt skóry z substancją rozcieńczoną w alkoholu prowadzi do powstania trwałego „odcisku” na niektórych komórkach, dzięki czemu można określić, jakich perfum używała dana osoba, nawet jeśli już od dawna ich nie stosuje. Przytoczył przykład kobiety, która używała perfum Chanel numer 5 przez dziesięć lat; ślady substancji chemicznych, zawartych w owych perfumach, pozostawały w organizmie jeszcze cztery lata później.

Słuchacze byli zaskoczeni. Niespodziewanie okazało się, że możliwe jest czysto fizyczne podejście do kwestii pamięci, badanie jej za pomocą analiz chemicznych i obserwacji pod mikroskopem. Nagle to abstrakcyjne pojęcie, wciąż wymykające

się narzędziom poznawczym współczesnej nauki, okazało się materialne, namacalne, poddające się obserwacji. Nauka humanistyczna stała się nauką ścisłą.

Twarz Anny podświetlona była od dołu światłem malej lampki. Pomimo zmęczenia, jej oczy błyszczały. Zaczynała już rozumieć.

— A w moim przypadku, co może pan znaleźć?

— Proszę mi zaufać — odpowiedział biolog. — Pani ciało w swoich komórkach zachowało ślady przeszłości. Odszukamy pozostałości środowiska, w którym przebywała pani przed wypadkiem. Powietrza, którym pani oddychała. Ślady nawyków pokarmowych. Dowiemy się, jakich perfum pani używała. Jestem pewien, że w ten czy inny sposób jest pani jeszcze tą samą osobą, co kiedyś.

32

Yeynerdi uruchomił kilka różnych urządzeń. Dopiero w świetle lampek kontrolnych i ekranów komputerów można było zobaczyć, jak obszerne było jego laboratorium. Pomieszczenie podzielono na kilka części szklanymi przegrodami i ścianami z korka, wszędzie znajdowały się najrozmaitsze przyrządy. W kafelkach i stali odbijały się wszystkie źródła światła, mieniając się różnymi odcieniami zieleni, żółci, czerwieni.

Biolog wskazał jej jakieś drzwi.

— Proszę rozebrać się w tej kabinie.

Anna wstała. Yeynerdi nasunął lateksowe rękawiczki, rozłożył na kafelkach sterylne saszetki i ustawił się przy stojaku z probówkami. Wyglądał jak muzyk, który zaraz zagra na szklanym ksylofonie.

Anna wyszła z kabiny, miała na sobie tylko czarne majtki. Była chorobliwie chuda. Wydawało się, że jej kości w każdej chwili mogą przebić skórę.

— Proszę się położyć.

Anna podciągnęła się na rękach, żeby usiąść na stole. Podczas wysiłku wyglądała zdrowiej, jej mięśnie grały pod skórą, zdradzając siłę i energię. W tej kobiecie kryło się coś niewytłumaczalnego; Mathilde pomyślała o przezroczystej skorupce jajka, przez którą prześwieca sylwetka tyra-nozaura.

191

Yeynerdi wyciągnął ze sterylnej opakowania strzykawkę i igłę.

ł

— Najpierw pobierzemy krew.

Wbił igłę w lewe ramię Anny, nie wywołując żadnej reakcji. Spojrzał na Mathilde i zmarszczył brwi.

— Podała jej pani środki uspokajające?

— Tak, tranxen. Domięśniowo. To było konieczne, ponieważ...

— Ile?

— Pięćdziesiąt miligramów.

Biolog skrzywił się. Ten zastrzyk mógł utrudnić przeprowadzenie analizy.

Wyciągnął igłę, przyłożył wacik do zagłębienia pod łokciem i wsunął się za stół laboratoryjny.

Mathilde obserwowała uważnie jego ruchy. Pobraną krew zmieszał z roztworem hipotonicznym, żeby zniszczyć krwinki czerwone i uzyskać koncentrat ciałek białych. Następnie umieścił próbkę w czarnym cylindrze, przypominającym małą Kuchenkę. Obracające się tysiąc razy na sekundę urządzenie oddzielało białe ciałka od pozostałych składników krwi. Po kilku chwilach Yeynerdi zaczerpnął nieco przezroczystego osadu.

— To są pani komórki odpornościowe — powiedział do Anny. — To właśnie one zawierają ślady, które mnie interesują. Przyjrzyjmy się im bliżej...

Rozcieńczył koncentrat płynem fizjologicznym i wlał do cytometru przepływowego — szarej skrzynki, w której każda krwinka została oddzielona i poddana działaniu promieni laserowych. Mathilde wiedziała, że urządzenie jest w stanie rozpoznać komórki obronne i określić ich skład chemiczny, który będzie można porównać z katalogiem opracowanym przez Yeynerdiego.

— Nic szczególnego — powiedział po kilku minutach. — Tyle, że miała pani do czynienia z takimi chorobami jak każdy. Bakterie, wirusy... W dodatku było tego mniej niż zwykle u innych ludzi. Prowadziła pani bardzo zdrowe życie. Nie widzę też znacznych śladów czynników zewnątrzpochodnych. Żadnych perfum ani innych zbliżonych substancji. Zupełnie nic.

Anna siedziała bez ruchu na stole z rękami zaplecionymi

192

wokół kolan. Jej skóra była tak jasna, że w świetle wskaźników <sup>^</sup>dawała się wręcz błękitna; cała jej postać przywodziła na myśl rzeźbę z lodu. Yeynerdi podszedł do niej, trzymając w ręce strzykawkę z dużo dłuższą igłą.

— Teraz zrobimy biopsję.

Anna zeszywniała.

— Proszę się nie obawiać — powiedział — to nic takiego. Muszę po prostu pobrać trochę limfy z węzła pachowego. Proszę podnieść prawą rękę.

Anna uniosła łokieć nad głowę. Wbił igłę, tłumacząc jednocześnie:

— Poprzez te węzły chłonna odpływa z płuc. Jeżeli wdychała pani jakieś pyły, gazy, pyłki roślin czy cokolwiek nietypowego, limfocyty będą o tym pamiętać.

Wciąż oszołomiona środkiem uspokajającym Anna nawet nie drgnęła. Biolog powrócił za swój kontuar i krzątał się tam przez dłuższy czas.

Minęło kilkanaście minut, wreszcie powiedział:

— Są tutaj ślady nikotyny i smoły. W poprzednim życiu paliła pani papierosy.

— Ale w obecnym też pali — wtrąciła Mathilde. Biolog skwitował jej uwagę skinieniem głowy i dodał:

— Poza tym żadnych charakterystycznych śladów środowiska czy atmosfery.

Wziął ze stojaka buteleczkę i znów podszedł do Anny.

— Krwinki białe nie zachowały śladów, które miałem nadzieję znaleźć.

Przeprowadzimy teraz badania innego rodzaju. W niektórych okolicach organizmu zachowują się nie ślady, ale wręcz pozostałości czynników zewnętrznych. Teraz więc przeszukamy te „mikromagazyny” — podał jej butelkę. — Proszę oddać mocz do tego naczynia.

Anna wstała i wolno, jak somnambuliczka, udała się do kabiny.

— Nie bardzo rozumiem, co pan spodziewa się znaleźć w urynie — powiedziała Mathilde. — Szukamy przecież śladów sprzed prawie roku, a...

Uczony przerwał jej z uśmiechem.

— Mocz produkowany jest przez nerki, które działają jak

193

filtry. W tych filtrach gromadzą się kryształy różnych substancji. Na podstawie badania moczu można odnaleźć ślady tych złogów. Pochodzą niekiedy sprzed wielu lat i dzięki nim możemy dowiedzieć się, na przykład, czegoś o nawykach żywieniowych badanej osoby.

Anna wróciła z butelką w rękę. Wydawała się coraz bardziej nieobecna, obojętna wobec dotyczących jej badań.

Yeynerdi znów posłużył się wirówką, żeby rozdzielić części składowe moczu, i uruchomił spektroskop wagowy — urządzenie o jeszcze bardziej imponującym wyglądzie. Umieścił wewnątrz zbiornik ze zlotawym płynem i uruchomił proces

analityczny.

Na ekranie komputera pojawił się zielonkawy, oscylujący wykres. Naukowiec cmoknął z niezadowoleniem.

— Nic. Oto młoda osoba, którą niełatwo rozszyfrować... Pobierał kolejne próbki, przeprowadzał kolejne analizy, badał kolejne części ciała Anny. Mathilde obserwowała jego ruchy i słuchała komentarzy.

Najpierw pobrał cząstki zębiny, żywej tkanki znajdującej się wewnątrz zębów, w której gromadzą się niektóre substancje, jak na przykład ślady antybiotyków dostarczanych tam za pośrednictwem krwi. Następnie zajął się melatoniną produkowaną przez mózg. Poziom tego hormonu, który wydzielą się głównie w nocy, mógł dostarczyć jakichś informacji na temat dawnych przyzwyczajęń Anny, dotyczących snu i czuwania. Następnie bardzo delikatnie pobrał kilka kropelek płynu z worka spojówkowego, w którym mogły zgromadzić się mikroskopijne resztki substancji związanych ze spożywanym pokarmem. Wreszcie uciął kilka włosów, ponieważ tam właśnie gromadzą się, a nawet wydzielają, rozmaite substancje zewnętrzne-pochodne. Na przykład zwłoki człowieka otrutego arsenikiem wydzielają truciznę przez cebulki włosów jeszcze po śmierci. Po trzech godzinach poszukiwań uczonego musiał przyznać się do porażki. Nie odkrył prawie nic. W każdym razie nic znaczącego. Anna paliła, ale poza tym prowadziła wyjątkowo zdrowy tryb życia; sądząc po nietypowym poziomie melatoniny, musiała cierpieć na bezsenność; od wczesnego dzieciństwa spożywała oliwę z oliwek — znalazł kwasy tłuszczowe wewnątrz jej oka-

194

poza tym udało się jeszcze ustalić, że farbowała włosy na czarno, przedtem miała włosy kasztanowe, o rudym odcieniu.

Alain Yeynerdi zdjął rękawiczki i umył ręce. Na jego czole widać było kropelki potu. Był rozczarowany i wyczerpany.

Najwyraźniej niełatwo było mu się pogodzić z przegraną, bo jeszcze raz podszedł do Anny, która tymczasem znów usnęła. Chodził wokół niej, przyglądał się jej, uparcie szukając jakiegoś znaku, śladu, wskazówki, która pomogłaby mu rozszyfrować tajemnicę tego ciała.

Nagle pochylił się, chwycił jej dłoń i zaczął uważnie przyglądać się palcom. Obudził ją, potrząsając za ramię. Kiedy otworzyła oczy, zapytał ją, z trudem kryjąc podniecenie:

— Na pani paznokciu widzę jakąś brązową plamkę. Czy wie pani, skąd się wzięła? Anna rozejrzała się dookoła nieprzytomnie. Potem popatrzyła na rękę i uniosła brwi.

— Nie wiem — wymamrotała. — To chyba od papierosów? Mathilde podeszła do nich. Teraz i ona zobaczyła na czubku paznokcia maleńką plamkę w kolorze ochry.

— Jak często obcina pani paznokcie? — spytał biolog.

— Nie wiem. Chyba... mniej więcej co trzy tygodnie.

— Odnosi pani wrażenie, że szybko odrastają?

Anna ziewnęła, zamiast odpowiedzieć. Yeynerdi wrócił do swych narzędzi, mrużąc pod nosem: „Jak mogłem tego nie zauważyć!”. Chwycił małe nożyczki i szklane pudełeczko, potem powrócił do Anny i uciął kawałek paznokcia.

— Jeżeli rosną w normalnym tempie — stwierdził cicho — ten fragment tkanki rogowej pochodzi z czasów sprzed pani wypadku. Ta plamka należy do pani poprzedniego życia.

Ponownie uruchomił wyłączone już urządzenia. Sala znowu Wypełniła się ich

brzęczeniem, on tymczasem rozpuścił próbkę w naczyniu z rozpuszczalnikiem.  
— Mało brakowało — zachichotał. — Za parę dni obcięłaby pani paznokcie i stracilibyśmy bezpowrotnie ten drogocenny ślad.

Wstawił próbkę do wirówki i włączył mechanizm.

— Jeżeli to nikotyna — powiedziała nieśmiało Mathilde — to nie wiem, co można...

195

Yeynerdi wstawił płyn do spektrometru.

— Być może, będę mógł określić, jakie papierosy paliła ta młoda osoba przed wypadkiem.

Mathilde nie mogła zrozumieć jego podekscytowania, taki szczegół nie wnosił nic istotnego. Yeynerdi wpatrywał się uważnie w świetliste diagramy na ekranie.

Mijały minuty.

— Profesorze — powiedziała Mathilde niecierpliwie — nie rozumiem pana. Przecież to nic takiego. Ja...

— To niesamowite.

Światło monitora podkreślało jeszcze wyraz zdumienia malujący się na twarzy biologa.

— To nie jest nikotyna.

Mathilde podeszła do spektrometru. Anna uniosła się na metalowym stole. Yeynerdi odwrócił się na obrotowym krześle ku obu kobietom.

— To jest henna.

Zapadła cisza przepastna jak ocean.

Uczony wyrwał z drukarki papier milimetrowy i wstukał dane do komputera. Na ekranie pojawiła się lista składników chemicznych.

— Zgodnie z moim katalogiem substancji, jest to bardzo charakterystyczny związek pochodzenia roślinnego, Bardzo izadko spotykana henna, hodowana na równinach Anatolii.

Ałain Yeynerdi patrzył triumfująco na Annę. Wyglądał tak, jakby dokonał dzieła swego życia.

— Droga pani, w poprzednim wcieleniu była pani Tur-czynką.

33

Koszmarne kac.

Przez całą noc Paul Nerteaux śnił o kamiennym monstrum, złowrogim tytanie przemierzającym Dziesiątą Dzielnicę Paryża, molochu panoszącym się w Dzielnicy Tureckiej i domagającym się wciąż nowych ofiar.

W jego śnie potwór nosił maskę pół człowieka, pół zwierzęcia, perską i grecką zarazem. Jego kamienne wargi były rozpalone do białości, członek naszpikowany był ostrzami. Od jego kroków drżała ziemia, unosiły się tumany kurzu i pękały ściany budynków.

Obudził się w końcu o trzeciej nad ranem, zlany potem. Drżąc z zimna, zrobił sobie kawę i zaczął przeglądać kolejną porcję materiałów archeologicznych, które młody policjant zostawił pod jego drzwiami minionego wieczoru. Aż do świtu wertował katalogi muzeów, broszury turystyczne, opracowania naukowe — przyglądając się każdej rzeźbie, porównując ją ze zdjęciami z autopsji, a także, podświadomie, z maską ze snu. Sarkofagi z Antalii. Freski z Cylicji.

Płaskorzeźby z Karatepe. Popiersia z Efezu...

Przemierzał stulecia i cywilizacje, ale bez jakiegokolwiek rezultatu.

Paul Nerteaux wszedł do kawiarni Les Trois Obus przy Porte de Saint-Cloud.

Uderzył go w nozdrza zapach kawy i tytoniu; wysiłkiem woli zmusił się, żeby



wejść do środka, choć zbierało

199

mu się na mdłości. Był w podłym nastroju i to nie tylko z powodu nocnych koszmarów. Była środa, a on, jak w prawie w każdą, środę, musiał o świcie zadzwonić do Reyny, żeby powiedzieć jej, że nie będzie mógł zająć się Celinę. Spozrzegł Schiffera stojącego przy końcu kontuaru. Był gładko ogolony, owinięty w swój płaszcz nieprzemakalny Bur-beny's i w ogóle wyglądał znacznie lepiej. Nonszalanckim gestem zanurzał rogalik w kawie z mlekiem.

Na widok Paula uśmiechnął się szeroko.

— Dobrze ci się spało?

— Świetnie.

Schiffer popatrzył na jego wymizerowaną twarz, ale powstrzymał się od komentarzy.

— Kawy?

Paul skinął głową. W jednej chwili filiżanka pełna skoncentrowanej czerni z jasnobrązową pianką zmaterializowała się na barze. Cyfra ją wzięła i wskazała wolny stolik pod oknem.

— Chodź, usiądziemy. Nie wyglądasz najlepiej. Usiedli, Schiffer podsunął mu koszyk z rogalikami. Paul

odmówił. Na samą myś o jedzeniu robiło mu się niedobrze. Musiał jednak przyznać, że tego ranka Schiffer najwyraźniej starał się być dla niego miły.

— A jak panu się spało? — odwzajemnił pytanie.

— Spałem jak kamień.

Przed oczami Paula pojawił się obraz zakrwawionego ostrza obcinarki i uwięzionych pod nim palców. Po tym wszystkim odwiózł Cyfrę do Porte de Saint-Cloud, gdzie emeryt miał mieszkanie w domu przy ulicy Gudin. Paul nie mógł tego zrozumieć.

— Skoro ma pan tutaj mieszkanie — wskazał ręką w kierunku placu — to co, do cholery, robił pan w Longeres?

— Instynkt stadny. Tęskniłem za towarzystwem gliniarzy. Kiedy byłem sam, nudziłem się jak mops.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco. Paul przypomniał sobie, że Schiffer zarejestrowany był w domu spokojnej starości pod panieńskim nazwiskiem matki. Wspomniał mu o tym pewien facet z Inspektoratu Służby. Kolejna zagadka. Czyżby Schiffer się ukrywał? Ale przed kim, przed czym?

200

— Dawaj fiszki — rzucił Cyfra.

Paul otworzył teczkę i rozłożył na stole dokumenty. Były to kopie, które zrobił wcześniej rano; oryginały zostawił w komisariacie. Przystudiował uważnie każdą z fiszek, posługując się słownikiem tureckim. Udało mu się zrozumieć podstawowe informacje, dotyczące poszczególnych ofiar.

Pierwsza z nich nazywała się Zeyneb Tutengil. Pracowała w zakładzie znajdującym się niedaleko hammamu, łaźni o nazwie Błękitna Brama, należącej do niejakiego Talata Gurdileka. Dwadzieścia siedem lat. Mężatka. Mąż — Burba Tutengil. Bezdzienna. Mieszkała na ulicy Fidelite pod numerem 34. Pochodziła ze wsi, której nazwy nie dało się wymówić, położonej nieopodal miasta Gaziantep, na południowym wschodzie Turcji. W Paryżu od września 2001.

Druga nazywała się Ruya Berkes. Dwadzieścia sześć lat. Niezameżna. Pracowała chałupniczo w domu, na ulicy Enghien 58; zleceniodawca nazywał się Gozar Halman — to nazwisko Paul widywał już niejednokrotnie w różnych protokołach i kojarzył

je z hurtownią specjalizującą się w skórze i futrach. Ruya Berkes pochodziła z dużego miasta Adana, znajdującego się na południu Turcji. Przebywała w Paryżu dopiero od ośmiu miesięcy.

Trzecia: Roukiye Tanyol. Trzydzieści lat. Niezameżna. Pracownica konfekcyjna w przedsiębiorstwie Siirelik, mieszczącym się w pasażu Industrie. Pojawiła się w Paryżu w sierpniu poprzedzającego roku. Nie miała żadnej rodziny i mieszkała incognito w schronisku dla kobiet na ulicy Petites-Ecuries 22. Podobnie jak poprzednia ofiara, urodziła się pod Gaziantep.

Z tych informacji nie wynikało właściwie nic. Żadnych cech Wspólnych, dzięki którym, na przykład, można by zorientować się, w jaki sposób morderca odnajdywał je i nawiązywał z nimi kontakt. Przede wszystkim zaś suche fakty nie wystarczały, by dowiedzieć się czegoś o osobowości ofiar, zorientować się, kim były naprawdę. Tureckie nazwiska potęgowały jeszcze Wrażenie obcości. Paul musiał na nowo przyjrzeć się fotografiom, żeby uzmysłwić sobie, że te kobiety rzeczywiście kiedyś istniały. Przyglądał się ich grubym, jednocześnie łagodnym rysom, które pozwalały domyślać się równie krągłego

201

i pełnego ciała. Czytał gdzieś, że twarz przypominająca księżyc w pełni stanowi turecki kanon piękna i urody...

Schiffer założył okulary i począł wczytywać się w dane. Paul zastanawiał się tymczasem, czy ma wypić kawę; wciąż jeszcze go mdliło. Kręciło mu się w głowie od gwaru głosów, brzęku szkła i sztuców. Szczególnie drażniło go gładzenie pijaków siedzących przy kontuarze. Nie znosił tych degeneratów, którzy wykańczali się, pijąc od rana...

Ile razy jako dziecko przychodził do knajpy, żeby zabrać do domu któreś z rodziców, a czasem oboje? Ile razy musiał podnosić ich, kiedy leżeli w trocinach i niedopałkach pod barem, a jemu zbierało się na wymioty? Cyfra zdjął okulary i stwierdził:

— Zaczniemy od tej firmy, w której pracowała ostatnia ofiara. Najlepiej iść świeżym tropem. Potem odwiedzimy pozostałe. Następnie sprawdzimy miejsca zamieszkania, sąsiadów i zbadamy trasę z domu do pracy. Gdzieś przecież musiał je dopaść, a nikt nie jest niewidzialny.

Paul jednym haustem przełknął kawę. Krzywiąc się, powiedział:

— Schiffer, przypominam: jeżeli narobisz jakiegoś gnoju...

— Jestem spalony, zrozumiałem. Spokojna głowa, dzisiaj stosujemy inną metodę. Poruszył palcami, jakby pociągał za sznurki wymaginowanej marionetki.

— Działamy łagodnie i elastycznie.

Jechali z włączoną syreną pasem szybkiego ruchu. Szare wody Sekwany, granitowe niebo i betonowe nabrzeża składały się na świat pozbawiony kolorów i emocji.

Paul lubił taką pogodę, nudną i smutną. Była to kolejna przeszkoda do pokonania, można było wykazać się siłą woli i energią.

Po drodze odsłuchiwał nagrania ze skrzynki głosowej swojego telefonu. Sędzia Bomarzo domagał się wyników, mówił podniesionym głosem. Dawał mu dwa dni, zanim postawi na nogi Brygadę Kryminalną i powoła nowych śledczych. Naubrel i Matkowski wciąż prowadzili poszukiwania. Poprzedni dzień spędzili, rozpytując robotników pracujących w podziemiach Paryża i stosujących kesony do dekompresji. Przesłuchali kie-202

równików ośmiu przedsiębiorstw; bez rezultatu. Odwiedzili również przedsiębiorstwo produkujące te urządzenia w Arcueil. Zdaniem właściciela nikt bez odpowiedniego technicznego wykształcenia nie był w stanie obsłużyć takiego

kesonu. Czy należało z tego wnioskować, że zabójca posiadał odpowiednie kwalifikacje, czy może wręcz przeciwnie, była to ślepa uliczka? Tak czy inaczej, należało rozejrzeć się teraz po innych branżach, w których stosowano naciśnienie.

Przy placu Chatelet Paul zauważył samochód patrolowy, wjeżdżający w bulwar Sebastopol. Dogonił go na wysokości ulicy Lombards i dał znak kierowcy, żeby się zatrzymał.

— Chwileczkę — powiedział do Schiffera. Wyciągnął ze schowka batonik Kinder Suprise i karmelki

Carambar, które kupił godzinę wcześniej. Zawadził o coś w pośpiechu, torba otworzyła się i słodczyce wysypały się na podłogę samochodu. Paul pozbierał je i wysiadł z auta, czerwony ze wstydu.

Umundurowani policjanci czekali na niego z kciukami zatkniętymi za paski. Paul wyjaśnił im w kilku słowach, o co chodzi, i wrócił do samochodu. Kiedy zasiadł za kierownicą, Cyfra uśmiechnął się, trzymając cukierek w ręce.

— Środa, dzień dziecka. Paul ruszył bez słowa.

— Chłopcy na posyłki? Ja też ich używałem, wozili prezenty moim przyjaciółkom...

— To znaczy kochankom, tak?

— Tak, mały, tak.

Schiffer rozpakował cukierek i wsadził go do ust.

— Ile masz dzieci?

— Mam córkę.

— Ile ma lat?

— Siedem.

— Jak ma na imię?

— Celinę.

— Dość pretensjonalne jak na córkę gliniarza.

Paul też był tego zdania. Nie miał pojęcia, dlaczego Reyna, rmarksistka poszukująca absoulutu, nadała ich dziecku imię producenta damskich torebek.

203

— A jej matka? — spytał Schiffer, żując cukierek.

— Rozwiedliśmy się.

Paul przejechał na czerwonym świetle ulicę Reaumur.

Rozpad jego małżeństwa był ostatnią rzeczą, którą miał ochotę omawiać z Schifferem. Niemal ucieszył się na widok czerwono-żółtego szyldu McDonalda; tutaj zaczynał się bulwar Strasbourg.

Przyspieszył jeszcze, nie zostawiając koledze czasu na dalsze pytania. Przed nimi rozpościerało się ich terytorium łowieckie.

34

O dziesiątej rano ulica Faubourg-Saint-Denis przypominała pole bitwy w czasie natarcia. Jeźdźcami i chodnikami płynął jeden wielki potok gorączkowo spieszących się przechodniów, przemykających pośród labiryntu pojazdów, tkwiących w korku i ryczących klaksonami. Niebo nad ich głowami było bezbarwne, nabrzmiałe; w każdej chwili mógł lunąć deszcz.

Paul zaparkował na rogu ulicy Petites-Ecuries i ruszył za Schifferem, który już zaczął przepychać się między pudłami wędrującymi na ludzkich plecach, naręczami garniturów i wózkami załadowanymi towarem. Skrećili w pasaż Industrie i znaleźli się pod kamienną bramą, wychodzącą na małą uliczkę.

Przedsiębiorstwo Surelik mieściło się w ceglany, budynku, wzmocnionym

rusztowaniem z nitowanej stali. Fasada zwieńczona była złamanym łukiem i ozdobiona terakotowym fryzem. Żywa czerwień budynku budziła optymistyczne skojarzenia z przedsiębiorczością i dynamicznym rozwojem przemysłu — można by pomyśleć, że wewnątrz dopiero co wynaleziono silnik spalinowy.

Kilka metrów przed wejściem Paul chwycił brutalnie Schiff-fera za kłapy płaszcza i wepchnął go do bramy. Tam przeprowadził regulaminowe przeszukanie, sprawdzając, czy Cyfra nie ma broni.

Schiffer pokręcił głową z dezaprobatą.

205

— Tracisz czas, mały. Mówiłem, że dzisiaj jestem spoko Paul bez słowa i ruszył w kierunku fabryki. Razem popchnęli żelazną bramę i weszli do obszernego czworokątnego wnętrza o białych ścianach i cementowej, p0\_ malowanej podłodze. Wszystko tu było czyste, uporządkowane i lśniące. Metalowe rusztowanie, wzmacniające konstrukcję miało kolor jasnozielony, całość sprawiała bardzo solidne wrażenie. Światło dzienne wpadało ukośnie do środka przez wielkie okna, wzdłuż wszystkich ścian biegły pomosty, niczym pokłady transatlantyków.

Paul spodziewał się zobaczyć jakąś rudere, tymczasem znalazł się w schludnej, urządzonej ze smakiem fabryczce. Przy rozstawionych w sporej odległości od siebie stołach siedzieli robotnicy, wyłącznie mężczyźni; wokół leżały bele materiału i otwarte kartony. Robotnicy ubrani byli w fartuchy, wyglądali jak radiotelegrafści podczas wojny, wystukujący alfabetem Morse'a tajne wiadomości; z radiomagnetofonu dobiegała turecka muzyka, w garnuszku na kuchence bulgotała kawa. Wzorowe przedsiębiorstwo rzemieślnicze. Schiffer tupnął nogą w podłogę.

— To, o czym myślisz, znajduje się na dole, w piwnicy. Tam pracują setki robotnic, ściśniętych jak sardynki. Wszystkie są zatrudnione na czarno. Tutaj wszystko jest na pokaz, to jest wystawa, chociaż weszliśmy już do środka.

Pociągnął Paula za sobą, przechodząc między robotnikami, którzy starali się na nich nie patrzeć.

— Czyż nie są wspaniali? Wzorowi pracownicy, mój chłopcze. Pilni. Posłuszni. Zdyscyplinowani.

— Skąd ta ironia?

— Turcy nie są pracowici, tylko nastawieni na łatwy zysk. Nie są posłuszni, są obojętni. Nie są zdyscyplinowani, postępują według własnych reguł. Zwykle pijawki, i tyle. Spryciarze, nawet nie chce im się nauczyć naszego języka... No bo i po co? Są tutaj po to, żeby zarobić, ile się da, i wrócić do siebie. Ich dewiza to „Zgarnąć wszystko, nic nie zostawić”.

Schiffer chwycił Paula za ramię. — Oni są jak trąd, synu. Paul odepchnął go gwałtownie.

206

— Proszę mnie tak nie nazywać!

Schiffer podniósł ręce do góry, jakby Paul wycelował w niego oistolet, w jego oczach zamigotały figlarne błyski. Paul miał ochotę\_ wepchnąć mu w gardło ów szyderyczy grymas, ale w tej chwili za ich plecami rozległ się głos:

— Czym mogą służyć, panowie?

Krępy mężczyzna, odziany w nieskazitelnie błękitny fartuch, zbliżył się do nich z uśmiechem na wąsatej twarzy.

— Pan inspektor? — powiedział ze zdziwieniem. — Dawno już nie mieliśmy przyjemności pana oglądać.

Schiffer wybuchnął śmiechem. Muzyka umilkła, umilkły też maszyny do szycia.

Wokół zapanowała martwa cisza.

— To już nie jesteśmy na ty?

Zamiast odpowiedzi Turek popatrzył nieufnie na Paula.

— Paul Nerteaux — rzucił Schiffer. — Kapitan w pierwszym DPJ. Mój przełożony, a przede wszystkim, mój przyjaciel — poklepał jowialnie Paula po plecach. — Kiedy z nim rozmawiasz, to jakbyś rozmawiał ze mną.

Podszedł do Turka i objął go ramieniem. Wszystko odbywało się według ustalonych reguł jak w balecie.

— Ahmid Zoltanoi — powiedział, zwracając się do Paula. — Najlepszy kierownik szwalni w Małej Turcji. Równie sztywny jak jego fartuch, ale porządny z niego facet. Tutaj nazywają go Tanoi".

Turek zgiął się w ukłonie. Spoglądał badawczo spod kruczoczarnych brwi na Paula. Przyjaciel czy wróg? Odwrócił się do Schiffera.

— Mówiono mi, że jest pan na emeryturze — powiedział oleistym głosem.

— Siła wyższa. Kogo się wzywa, gdy pojawiają się kłopoty? Wujaszka Schiffera.

— Jakież problemy, panie inspektorze?

Cyfra odsunął kawałki materiału leżące na stole i położył tam zdjęcie Roukiye Tanyol.

— Znasz ją?

Mężczyzna schylił się, ręce wsunął do kieszeni, wystawiwszy na zewnątrz kciuki niczym kurki rewolwerów. Wydawało się, że nakrochmalone fałdy fartucha utrzymują jego postać w równowadze.

207

— Nigdy jej nie widziałem.

Schiffer odwrócił zdjęcie na drugą stronę. Na odwrocie widniało imię i nazwisko ofiary oraz adres fabryki Siirelik zapisane wodoodpornym markerem.

— Marius wszystko wyśpiewał. Możesz mi wierzyć, ty też będziesz gadał.

Turek zmienił się na twarzy. Wziął fotografię do ręki, jakby z niechęcią, włożył okulary i przyjrzał jej się uważnie.

— Rzeczywiście, jakbym już gdzieś ją widział.

— Widziałeś i to nieraz. Pracowała tu od sierpnia dwa tysiące pierwszego.

Zgadza się?

Tanoi' ostrożnie odłożył zdjęcie na stół.

— Tak.

— Na jakim stanowisku?

— Pracownica konfekcyjna.

— Umieściłeś ją na dole?

Kierownik uniósł brwi, wsuwając okulary do kieszeni. Za nimi znów zaterkotały maszyny, robotnicy podjęli pracę. Najwyraźniej zrozumieli, że gliny nie przyszły po nich, że tylko ich szef ma kłopoty.

— Na dole? — powtórzył Turek.

— Na dole, w piwnicy — rozzłościł się Schiffer. — Obudź się, Tanoi'. Bo jak nie, to się naprawdę pogniewamy.

Turek kołysał się lekko na piętach. Pomimo wąsów, wyglądał jak uczeń przyłapany na kłamstwie.

— Owszem, pracowała w dolnym zakładzie.

— Skąd przyjechała? Z Gaziantep?

— Niezupełnie, z wioski pod Gaziantep. Mówiła dialektem z południa.

— Kto ma jej paszport?

— Nie miała paszportu.

Schiffer westchnął, jakby przeszedł do porządku nad kolejnym kłamstwem.

- Powiedz mi, w jaki sposób znikła.
- Nie ma co opowiadać. Dziewczyna wyszła z pracy w czwartek rano i nie wróciła do domu.
- W czwartek rano?
- Tak, o szóstej. Pracowała na nocną zmianę. 208

1

Policjanci wymienili spojrzenia. Dziewczyna rzeczywiście została napadnięta po drodze z pracy do domu, ale wszystko odbyło się o świcie, nie wieczorem.

- Mówisz, że nie wróciła do domu — ciągnął Schiffer. — jCto ci to powiedział?
- Jej narzeczony.
- Nie wracali razem?
- On pracował w dzień.
- Gdzie można go znaleźć?
- Nigdzie. Wrócił do kraju.

Odpowiedzi Tanoia były równie sztywne jak szwy jego fartucha.

- Nie chciał odzyskać ciała?
- Nie miał papierów. Nie mówił po francusku. Uciekł ze swą rozpaczą. Taki los Turka, los wygnańca.
- Zaraz się rozpłaczę. Gdzie są jej koleżanki?
- Jakie koleżanki?
- Dziewczyny, które pracowały razem z nią. Chcę je przesłuchać.
- Niemożliwe. Wszystkie wyjechały. Znikły.
- Dlaczego?
- Boją się.
- Boją się zabójcy?
- Boją się was, policji. Nikt nie chce mieć nic wspólnego z tą sprawą.

Cyfra stanął przed Turkiem.

- Myślę, że wiesz dużo więcej, niż chcesz nam powiedzieć, mój stary. W takim razie idziemy do piwnicy. Może to cię zainspiruje.

Tanoi' nie poruszył się. Słyszał tylko terkot maszyn do szycia i egzotyczną muzykę, wijącą się pośród stalowego rusztowania. Wahał się jeszcze przez kilka sekund, potem ruszył w stronę stalowych schodków znajdujących się pod jednym z podestów. Policjanci poszli za nim. Schodki prowadziły w dół, do mrocznego korytarza. Przeszli przez metalowe drzwi, znaleźli się w kolejnym korytarzu, gdzie zamiast podłogi było klepisko. Drogę oświetlały im nagie żarówki, zwisające spomiędzy rur biegnących pod sufitem. Po każdej stronie korytarza

209

widać było szereg drewnianych drzwi, na których ktoś kredą nabazgrał numery. Z głębi tych trzewi dobiegał jednostajny pomruk.

Na rogu korytarza ich przewodnik zatrzymał się i zza starego materaca, z którego wyłaziły sprężyny, wyciągnął żelazny pręt. Rozejrzał się uważnie i zaczął walić nim w rury pod sufitem, wywołując metaliczny pogłos. Nagle pojawił się niewidoczny dotąd wróg. Szczury, kłębiące się nad ich głowami. Paul przypomniał sobie słowa lekarza sądowego: „morderca posłużył się czymś żywym”.

Kierownik zakładu zaklął po turecku i cisnął łomem w stronę gryzoni. Szczury znikły. Teraz cały korytarz rozbrzmiewał jednostajnym terkotem. Drewniane drzwi wibrowały w zawiasach. Tano! zatrzymał się przed numerem 34.

Naparł ramieniem, z trudem je otwierając. Warkot był ogłuszający; wewnątrz siedziało około trzydziestu kobiet, maszyny pracowały pełną parą. W bladym świetle neonówek robotnice szyły zawzięcie, przesuwając tkaninę pod migocącymi

igłami maszyn i nie zwracając najmniejszej uwagi na przybyłych.

Pomieszczenie miało nie więcej niż dwadzieścia metrów kwadratowych, nie było w nim żadnej wentylacji. Powietrze było tak gęste od zapachu farby i resztek rozpuszczalnika oraz drobinek tkaniny, że trudno było oddychać. Niektóre z kobiet miały szaliki założone na usta, inne trzymały na kolanach niemowlęta, zawinięte w płachty. Pracowały tam również dzieci; składały gotowe ubrania i układały je w pudłach. Paul dusił się. Czuł się jak bohaterowie filmów, którzy budzą się ze straszego snu w środku nocy tylko po to, by się przekonać, że koszmar jest rzeczywistością.

Schiffer wygłosił prawdziwą tyradę:

— Oto rzeczywiste oblicze przedsiębiorstwa Surelik! Dwanaście do piętnastu godzin pracy na dobę, tysiące sztuk ubrań dziennie. Turecka wersja systemu trój zmianowego udoskonalona w ten sposób, że są tylko dwie zmiany, a czasami jedna. To samo zobaczysz w każdej z tych nor, chłopcze. — Wydawało się, że ten koszmarny widok sprawia mu radość. — Ale, uwaga: to wszystko dzieje się za przyzwoleniem naszego państwa.

210

Wszyscy o tym wiedzą i wszyscy przymykają oczy. Cały przemysł konfekcyjny oparty jest na niewolnictwie.

Turek usiłował się zmusić do przybrania wstydliwego wyrazu twarzy, ale jego spojrzenie było harde. Paul patrzył na robotnice. Kilka par oczu skierowało się na chwilę w ich stronę, lecz ręce wciąż pracowały, tak jakby nic nie mogło powstrzymać ich ruchu.

Porównał w myślach te twarze bez wyrazu i zmasakrowane twarze ofiar. W jaki sposób morderca mógł dotrzeć do tych podziemi? Jak udało mu się znaleźć tak podobne do siebie twarze?

Cyfra powrócił do zwykłego tonu przesłuchania. Musiał krzyczeć na całe gardło, żeby zagłuszyć warkot maszyn.

— Kiedy kończy się nocna zmiana, pojawiają się dostawcy, żeby odebrać gotowy towar, no nie?

— Tak jest.

— Jeśli dodać do tego robotników wychodzących z fabryki, to o szóstej rano na ulicy jest sporo ludzi. I co, nikt nic nie widział?

— Przysięgam. Policjant oparł się o ścianę.

— Nie przysięgaj. Twój Bóg jest dużo mniej wyrozumiały niż mój. Rozmawiałeś z pracodawcami pozostałych ofiar?

— Nie.

— Kłamiesz, ale to nic nie szkodzi. Co jeszcze wiesz o tej serii zabójstw?

— Mówią, że te kobiety były torturowane, że miały pokaleczone twarze. Więcej nic nie wiem.

— Żaden policjant nie przesłuchiwał cię w tej sprawie?

— Nie.

— A co, do cholery, robi wasza milicja?

Paul drgnął. Nawet nie miał pojęcia, że coś takiego istnieje. A więc dzielnica posiadała własną policję.

— Nie wiem! — Tanoi krzyczał, żeby zagłuszyć hałas maszyn. — Nic nie znaleźli.

Schiffer wskazał ręką na robotnice.

— A co one o tym myślą?

— Boją się wyjść na ulicę. Allah nie może na to pozwolić. Ta dzielnica jest przeklęta! Tutaj zstąpił Azrael, anioł śmierci!

Cyfra uśmiechnął się, poklepał go przyjaźnie po ramieniu i wskazał na drzwi:  
— Dobra, dobra. Wreszcie jakiś ludzki odruch...

Wyszli na korytarz. Paul wyszedł ostatni, zamknął drzwi, za którymi kryło się piekło. Kiedy jeszcze trzymał rękę na klamce, usłyszał głucho sieknięcie.

Schiffer właśnie przygniótł Tanoia do rury kanalizacyjnej.

— Kto zabija te dziewczyny?

— Ja... nie wiem.

— Kogo wy kryjecie, skurwysyny?

Paul nie interweniował. Wiedział, że Schiffer nie posunie się dalej. To była ostatnia, rozpaczliwa próba, wybuch bezsilnej złości. Tanoi' nie odpowiadał, oczy wyszły mu z orbit.

Cyfra puścił go, zaczekał, aż złapie oddech. Stali przez chwilę w świetle nagiej żarówki kołyszącej się jak wahadło.

— Morda na kłódkę, Tanoi'. Nikomu ani słowa o naszej wizycie — warknął Schiffer.

Kierownik popatrzył na niego, znów był pokorny i służalczy.

— Klucz od tej kłódky dawno już został przekreślony, panie inspektorze.

35

Druga ofiara, Ruya Berkes, nie pracowała w fabryce, ale w domu przy ulicy Enghien 58. Szyła ręcznie podszewki do płaszczy, które dostarczała następnie do składu kuśnierskiego Gozara Halmana, przy Sainte-Cecile 77, ulicy prostopadłej do Faubourg-Poissonniere. Mogli właściwie zacząć od mieszkania robotnicy, ale Schiffer chciał najpierw przesłuchać pracodawcę; wyglądało na to, że zna go dobrze i od dawna.

Siedząc za kierownicą, Paul w milczeniu rozkoszował się świeżym powietrzem. Obawiał się jednak, że to nie koniec przeżyć na ten dzień. W miarę jak oddalali się od ulic Faubourg--Saint-Denis i Faubourg-Saint-Martin, wystawy sklepów były coraz ciemniejsze, coraz częściej też połyskiwały w nich różnymi odcieniami brązu futra i skóry.

Skręcił w prawo, w ulicę Sainte-Cecile.

Schiffer powiedział mu, gdzie ma się zatrzymać.

Paul przygotowany był na widok niewyprawionych skór, zakrwawionych klatek, smród garbarni. Tymczasem weszli na niewielkie podwórko, gdzie było jasno i gdzie kwitły kwiaty, a równiutko ułożona kostka lśniła od porannej mżawki. Policjanci przecięli je i skierowali się do widocznego w głębi budynku o okratowanych oknach, jedyne, który wyglądał na skład przemysłowy.

213

— Musisz o czymś wiedzieć — powiedział Schiffer, gdy wchodzili do środka. — Gozar Halman uwielbia Tansu Ciller.

— Kto to taki? Jakiś piłkarz?

Schiffer parsknął. Weszli na szerokie schody z wyblakłego drewna.

— Tansu Ciller to turecki premier. Studia na Harvardzie, międzynarodowa dyplomacja, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, a wreszcie — szef rządu.

Nieprzerwane pasmo sukcesów.

— Czyli typowa droga kariery polityka — powiedział Paul niedbałym tonem.

— Owszem, tylko że Tansu Ciller jest kobietą.

Weszli na drugie piętro. Podesty schodów były przestronne i mroczne jak kaplice.

— Pewnie w Turcji nieczęsto się zdarza, by mężczyzna stawiał sobie za wzór jakąś kobietę.



Cyfra wybuchnął śmiechem.

— Sto pociech z ciebie. Przecież Gozar to też kobieta! Jest tak zwaną teyze, czyli „ciotką”, jakby matką chrzestną w szerokim rozumieniu tego słowa. Sprawuje nadzór nad swoimi braćmi, bratankami, siostrzeńcami, kuzynami i wszystkimi robotnikami, którzy dla niej pracują. Zajmuje się regulowaniem ich sytuacji. Załatwia im ekipę, kiedy trzeba wyremontować mieszkanie. Bierze na siebie wysyłkę paczek i przekazów pieniężnych. Przy okazji smaruje łapę glinom, żeby się od nich odczepili. To też jest wyzysk, ale wyzysk o ludzkiej twarzy. Trzecie piętro. Szare deski parkietu w składzie Halman usiane były skrawkami styropianu i pogniecionego papieru. W środku pomieszczenia znajdowały się prowizoryczne kontuary, zrobione z blatów ułożonych na kozłach. Na blatach rozstawiono tekturowe pudła, plastikowe torby, różowe płócienne torby od Tatiego, pokrowce na garnitury...

Mężczyźni wyciągali z nich płaszcze, kurtki i etole. Obmacywali je, gładzili, sprawdzali podszewki, a potem wieszali na długich wieszakach. Naprzeciwko mężczyzn stały kobiety w chustkach ciasno zawiązanych na głowach i długich spódnicach, o twarzach ciemnych i pomarszczonych, na których malował się wyraz zmęczenia. Czekały na ich werdykt.

214

W pomieszczeniu znajdowała się oszklona antresola — idealny punkt obserwacyjny; stąd, patrząc przez białą firankę, można było doglądać swych interesów. Nie witając się z nikim, Schiffer bez wahania ruszył po stromych schodkach na górę. Musieli przebyć zaporę z roślin doniczkowych, pnących się aż po sufit, nim weszli do znajdującego się na mansardzie pomieszczenia, które było niewiele mniejsze od sali dolnej. Za oknami, w których wisiały firanki, rozpościerał się pejzaż z cynku i dachówek — dachy Paryża.

Pomimo ogromnych rozmiarów dekoracja wnętrza przywodziła na myśl raczej jakiś buduar z początków XX wieku. Nowoczesne urządzenia, takie jak komputer, wieża hi-fi czy telewizor, nakryte były serwetkami, na których stały zdjęcia w ramkach, szklane bibeloty i wielkie lalki w koronkowych sukienkach. Ściany zalepione były plakatami turystycznymi, głównie z widokami Istambułu. Na przepierzeniach wisiały jaskrawe kilimki. Tu i tam powtykane były papierowe flagi tureckie, do drewnianych słupów, podtrzymujących sklepienie, przypięto ogromną ilość widokówek.

Po prawej stronie stało biurko z masywnego litego dębu, przykryte skórzaną podkładką, w centralnym punkcie pokoju znajdował się welurowy tapczan, ustawiony na wielkim dywanie. Nie było tu nikogo.

Schiffer podszedł do zasłony z koralików, za którą kryła się zapewne jakaś wnęka.

— Księżniczko, to ja, Schiffer — powiedział słodkim głosem. — Nie musisz się robić na bóstwo.

Odpowiedziało mu milczenie. Paul przeszedł się po pokoju i przyjrzał się z bliska oprawionym w ramki zdjęciom. Na każdym z nich widniała dość ładna, uśmiechnięta kobieta o krótkich, rudych włosach — w towarzystwie różnych mężów stanu: Billa Clintona, Borysa Jelcyna, François Mitterranda. Była to z pewnością Tansu Ciller...

Zasłona z paciorków zagrzechotała, Paul odwrócił głowę. Zobaczył kobietę ze zdjęć, choć w nieco pulchniejszym wydaniu.

Gozar Halman wyraźnie starała się podkreślić swe podobień-

215

stwo do pani minister, zapewne dodając sobie w ten sposób autorytetu. Ubrana była skromnie, w czarne spodnie i czarną tunikę, ozdobioną kilkoma naszytymi błyskotkami. Jej postawa i gesty jednoznacznie dawały do zrozumienia, że jest kobietą interesu; zdawała się rozpościerać wokół siebie niewidzialną linię graniczną. Przekaz był jasny: wszelka próba uwiedzenia jest z góry skazana na niepowodzenie.

Twarz wyrażała jednak coś zupełnie innego, coś, co pozostawało w sprzeczności z jej sylwetką i zachowaniem. Była to duża, biała twarz księżycowego pierrota, okolona karminowymi włosami, o oczach rozsiewających dziwne błyski — powieki Gozar pokryte były pomarańczowym tuszem z brokatem.

— Schiffer — powiedziała gardłowym głosem — wiem, co cię tu sprowadza.

— Nareszcie ktoś o żywym umyśle!

W roztargnieniu przełożyła z miejsce na miejsce kilka papierów.

— Domyślałam się, że w końcu wyciągną cię z lamusa. Mówiła właściwie bez akcentu, tylko pod koniec każdego zdania słycać było lekki zaśpiew; była to jednak raczej kwestia kokieterii niż nieznamomości języka.

Schiffer przedstawił ich sobie; przy okazji Paul zauważył, że Cyfra pozbył się swego zwykłego, zgryźliwego tonu. Najwyraźniej traktował tę kobietę jak kogoś równego sobie.

— Co wiesz? — spytał bez dalszych wstępów.

— Nic. Mniej niż nic.

Pochyliła się na moment nad biurkiem, potem zasiadła na kanapie, zakładając z wdziękiem nogę na nogę.

— Dzielnicę ogarnął strach — wyszeptała. — Opowiadają niesłychane historie.

— To znaczy?

— Plotki. Sprzeczne pogłoski. Słyszałam nawet, że mordercą jest jeden z waszych ludzi.

— Naszych?

— Tak, jakiś policjant. Schiffer machnął ręką.

— Opowiedz mi lepiej o Ruyi Berkes. 216

Gozar pogładziła ręką serwetkę, leżącą na podłokietniku kanapy.

— Dostarczała swój towar co dwa dni. Przyszła szóstego stycznia tego roku.

Ósmego stycznia już nie. To wszystko, co inogę powiedzieć.

Schiffer wyjął z kieszeni notesik, udając, że coś w nim sprawdza; w gruncie rzeczy chciał tym gestem pokryć zmieszanie. Paul zrozumiał, że teyze najwyraźniej nawet dla niego nie jest łatwym przeciwnikiem.

— Ruya była drugą ofiarą mordercy — powiedział z oczami utkwionymi w karnecie.

— Ciało znaleźliśmy dziesiątego stycznia.

— Niech Bóg ma w opiece jej duszę — jej palce wciąż igrały z frędzlami koronki.

— Mnie to jednak nie dotyczy.

— To dotyczy was wszystkich. A ja potrzebuję informacji.

Napięcie rosło, ale Paul wyczuwał dziwną poufałość pomiędzy tym dwojgiem.

Wspólnotę ognia i lodu, która nie miała nic wspólnego ze śledztwem.

— Nie mam nic do powiedzenia — powtórzyła. — W dzielnicy ta sprawa uważana jest za zamkniętą, tak jak i wszystkie inne.

Słowa, głos, ton wypowiedzi, wszystko to skłoniło Paula, by przyjrzeć się Turczynce uważniej. Mierzyła Schiffera spojrzeniem czarnych oczu, okolonych złotym makijażem. Pomyślał o czekoladkach nadziewanych skórka pomarańczową...

ale przede wszystkim zrozumiał, że to właśnie Gozar Halman była tą kobietą, tą Turczynką, którą Schiffer miał pojąć za żonę. Co się wydarzyło? Dlaczego nie doszło do ślubu?

Kobieta zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko i z westchnieniem wypuściła kłąb błękitnego dymu.

— Co chcesz wiedzieć?

— Kiedy dostarczała płaszcze?

— Pod koniec dnia.

— Sama?

— Sama. Zawsze.

— Wiesz, jaką trasą szła?

— Mieszkała na ulicy Faubourg-Poissonniere. O tej porze jest tam pełno ludzi, jeśli o to chciałeś zapytać.

217

Schiffer nie odpowiedział.

— Kiedy Ruya Berkes przyjechała do Paryża?

— W maju dwa tysiące pierwszego. Nie byłeś u Mariusa? Zignorował pytanie.

— Jaka to była kobieta?

— Wieśniaczka, ale mieszkała już w mieście.

— Adana?

— Najpierw Gaziantep, potem Adana.

Schiffer pochylił się nad notesem, ten szczegół wyraźnie go zainteresował.

— A więc pochodziła z Gaziantep?

— Chyba tak.

Wstał i przeszedł się po pokoju, muskając bibeloty.

— Analfabetka?

— Tak, ale zarazem kobieta nowoczesna. Nie była niewolnicą tradycji.

— Chodziła po Paryżu? Na przykład wieczorami... do knajpy, do dyskoteki?

— Powiedziałam „nowoczesna”, nie powiedziałam „wykolejona”. Była muzulmanką, i wiesz równie dobrze jak ja, co to znaczy. Zresztą nie mówiła ani słowa po francusku.

— Jak się ubierała?

— Na sposób zachodni. — Podniosła głos. — Schiffer, czego ty szukasz?

— Próbuję dowiedzieć się, w jaki sposób morderca mógł ją zaskoczyć. Niełatwo jest zawrzeć znajomość z dziewczyną, która nigdzie nie wychodzi, z nikim nie rozmawia i nie oddaje się żadnym rozrywkom.

Sytuacja bez wyjścia. Te same pytania, co zadawane godzinę wcześniej, te same odpowiedzi, z których nic nie wynikało. Paul stanął przy oknie wychodzącym na halę piętro niżej i odsunął firankę. Interes się kręcił, pieniądze przechodziły z rąk do rąk ponad kłębami futer, które wyglądały jak bestie przyczajone do skoku.

Za plecami słyszał głos Schiffera:

— A co myślała, o czym mówiła?

— Była taka sama jak wszystkie inne. „Moje ciało jest tu, moje serce jest tam”.

Marzyła tylko o tym, żeby wrócić do 218

]

kraju, wyjść za mąż i mieć dzieci. Pobyt tutaj był dla niej tylko stadium

przejściowym. Poza tym mrówcza praca, całe życie pochylona nad szyciem.

Mieszkała w dwupokojowym mieszkaniu razem z dwiema innymi kobietami.

— Będę chciał zobaczyć się z jej współlokatorkami.

Paul przestał słuchać. Przyglądał się temu, co działo się piętro niżej.

Obserwował bezustanny ruch, w którym było coś z pradawnego rytuału wymiany. Nagle dotarło do jego świadomości kolejne pytanie Schiffera:

— A tak prywatnie, co myślisz o tej sprawie?

Chwila milczenia była dość długa, by Paul zdążył odwrócić się. Gozar wstała i patrzyła przez okno na dachy domów. Stojąc plecami do nich, powiedziała cicho:

— Sądzę... że to jakaś sprawa polityczna. Schiffer podszedł do niej.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Odwróciła się.

— W sprawę może być zamieszany więcej niż jeden zabójca.

— Gozar, na litość boską, o czym ty mówisz?

— Nie mam nic do powiedzenia. Wszyscy w dzielnicy się boją i ja nie stanowią wyjątku. Nikt ci nie pomoże.

Paul wzdrygnął się. Moloch z jego koszmaru, terroryzujący dzielnicę, wydał mu się bardziej rzeczywisty niż kiedykolwiek. Kamienny bożek przychodzący po swe ofiary do piwnic i ruder Małej Turcji.

— To wszystko, Schiffer. Teyze zakończyła audiencję.

Policjant schował notes do kieszeni i wycofał się, nie protestując. Paul jeszcze raz spojrzął na dół.

Wtedy go zobaczył.

Do składu wszedł wąsaty mężczyzna w kurtce Adidasa, trzymający w rękach pudło. Spojrzał mimochodem w stronę antresoli i na widok Paula jego twarz zmartwiała. Odstawił swój ładunek, powiedział kilka słów do jednego z pracowników, stojącego obok wieszaków, i szybkim krokiem ruszył w stronę drzwi. Jeszcze raz spojrzął ku platformie i Paul znów zobaczył strach w jego oczach.

Policjanci zeszli na dół.

219

— Wkurza mnie to babsko tymi swoimi subtelnymi aluzjami — rzucił Schiffer. — Do cholery z Turkami. Wszyscy coś kręcą, wszyscy...

Paul przyspieszył kroku, wychodząc na podest schodów. Spojrzał w dół i zobaczył brązową dłoń na poręczy. Mężczyzna zbiegał w dół. Uciekał.

— Chodźmy. Szybko — powiedział do Schiffera, który właśnie wyszedł na schody.

1

36

Paul dobiegł do samochodu. Wskoczył za kierownicę i jednocześnie odpalił silnik. Schiffer ledwie zdążył wsiąść na swoje miejsce.

— Co się dzieje? — mruknął.

Paul ruszył bez słowa. Sylwetka mężczyzny właśnie zniknęła za rogiem ulicy Sainte-Cecile. Przyspieszył i skręcił w ulicę Faubourg-Poissonniere; znów znaleźli się pośród ulicznego zamętu i tłumu spieszących się ludzi.

Mężczyzna szedł szybkim krokiem, przemykając między dostawcami, przechodniami, stoiskami sprzedawców naleśników, rzucając nerwowe spojrzenia przez ramię.

Zmierzał w kierunku bulwaru Bonne-Nouvelle.

— Powiesz, o co chodzi czy nie? — warknął Schiffer gniewnie.

— Jakiś facet u Gozar — mruknął Paul, wrzucając trzeci bieg. — Kiedy nas zobaczył, zaczął wiać.

— I co z tego?

— Wyczuł glinę. Boi się. Może ma coś do powiedzenia w naszej sprawie.

„Klient” skręcił w lewo, w ulicę Enghien. Mieli szczęście, ulica była jednokierunkowa, ale mężczyzna szedł zgodnie z kierunkiem ruchu.

221

— Albo nie ma karty pobytu — mruknął Schiffer.

— A kto u Gozar ma kartę pobytu? Ten facet ma jakiś szczególny powód, żeby się bać. Czuję to.

Cyfra oparł się kolanami o półkę i spytał mrukliwym tonem;

— Gdzie jest?

— Na chodniku po lewej. W niebieskiej kurtce Adidasa. Paul starał się nie zbliżyć za bardzo do Turka idącego ulicą.

Czerwone światło. Połyskująca błękitna plama oddaliła się od nich. Paul wiedział, że teraz również Schiffer śledzi ją wzrokiem. W tej chwili rozumieli się bez słowa — spokojni, uważni, skupieni na celu; psy gończe na tropie. Zielone.

Paul ruszył, delikatnie dociskając pedał gazu, czując w nogach szczególne ciepło, dreszcz emocji. Przyspieszył i zdążył zobaczyć, że Turek skręca w prawo, w ulicę Faubourg-Saint--Denis, nadal w kierunku ruchu.

Paul skręcił za nim, ale ulica była zakorkowana. Samochody stały, wypuszczając kłęby spalin, rozbrzmiewały gniewne okrzyki i dźwięki klaksonów.

Wyciągnął szyję i zmrużył oczy. Widział dachy aut i głowy przechodniów, nad nimi szyldy: hurt, półhurt, detal... ale kurtka Adidasa znikła. Popatrzył dalej — fasady budynków rozplływały się w smogu. W głębi, z brązowej mgły, wyłaniał się hak bramy Saint-Denis.

— Zgubiłem go.

Schiffer otworzył okno. Do wnętrza samochodu wtargnął uliczny zgiełk. Wysunął głowę i ramiona na zewnątrz.

— Tam, dalej — powiedział — po prawej. Samochody ruszyły. Błękitny punkcik stał się widoczny na

tle grupy przechodniów. Znowu utknęli, ale Paul zrozumiał, że dzięki zatorowi ulicznemu mogli, nie zwracając na siebie uwagi, poruszać się w takim samym tempie, co mężczyzna idący na piechotę.

Turek zniknął, potem znów pojawił się między dwoma pół-ciężarówkami, przed kawiarnią Le Sully. Wciąż nerwowo spoglądał za siebie. Czyżby ich zauważył?

— Robi pod siebie ze strachu — powiedział Paul. — Musi coś wiedzieć.

222

— To nic nie znaczy. Jest jedna szansa na tysiąc, że...

— Proszę mi zaufać. Ten jeden raz.

Wrzucił jedyneką. Piekła go szyja, kołnierz kurtki był mokry .od potu.

Przyspieszył i zrównał się z Turkiem przy końcu ulicy.

Przed łukiem mężczyzna niespodziewanie przeszedł na drugą stronę ulicy, tuż przed ich nosem, nie zwracając na nich uwagi. Niemal biegnąc, ruszył w stronę bulwaru Saint-Denis.

— Cholera — zaklął Paul. — Pod prąd nie da rady.

— Zaparkuj gdzieś. Dalej pójdziemy... O żeżkurwa, wchodzi do metra!

Uciekinier przeszedł na drugą stronę bulwaru i znikł im z oczu, wchodząc na stację Strasbourg-Saint-Denis. Paul skręcił gwałtownie i zatrzymał samochód przed barem Arcade, w bocznej uliczce.

Schiffer był już na zewnątrz.

Paul opuścił zasłonę przeciwsłoneczną z napisem POLICJA i wyskoczył z golfa. Płaszcz Schiffera łopotał między samochodami jak pochodnia. Paul poczuł przyływ adrenaliny. W ciągu ułamka sekundy uświadomił sobie łączącą ich determinację, zarejestrował też błyskawiczną reakcję Schiffera.

Ruszył pędem, wymijając samochody i przechodniów; dogonił kolegę, kiedy ten zbiegał już po schodach.

Wpadli na zatłoczoną stację metra. Paul szybko rozejrzał się: pomarańczowe sklepienie, kasy RATP po lewej, na prawo niebieskie tabliczki różnych linii, na wprost — bramki.

Turka nie było.

Schiffer przedzierał się już przez tłum, biegnąc zygzakiem w kierunku drzwi pneumatycznych. Paul wspiął się na palce i zobaczył, że ich człowiek kieruje się ku prawej.

— Czwarta linia! — wrzasnął do Schiffera, który zniknął już w tłumie.

W ceramicznym korytarzu słychać było syk otwierających się drzwi wagonów. Ludzie zorientowali się, że dzieje się coś niezwykłego. O co chodzi? Kto tak krzyczy?

Kto tak się rozpycha? Nagle przez harmider głosów usłyszał ryk Schiffera:

223

— Drzwi, cholera!

Paul rzucił się do okienka kasy na lewo. Odepchnął kogoś i wysapał do otworu w szybie:

— Proszę otworzyć drzwi! Kasjer popatrzył na niego, osłupiały.

— Co?

Gdzieś w oddali rozległa się syrena sygnalizująca odjazd pociągu. Paul przytknął do szyby legitymację policyjną.

— Otwieraj, kurwa! Barierki rozsunęły się.

Rozpychając się łokciami, Paul dotarł do nich i przecisnął się na drugą stronę.

Potknął się, odzyskał równowagę i zobaczył Schiffera pod czerwonym sklepieniem, które zdawało się teraz pulsować jak ogromna gardziel

Dogonił go na schodach. Cyfra przeskakiwał po cztery stopnie. Nie przebyli jeszcze połowy drogi, gdy rozległ się trzask zamykanych drzwi wagonów.

Schiffer ryknął, nie zwalniając biegu. Już miał wypaść na peron, kiedy Paul chwycił go za kołnierz, zmuszając do zatrzymania. Cyfra patrzył na niego w osłupieniu, światła pociągu przesuwały się coraz szybciej po jego twarzy.

Wyglądał jak obłąkany.

— Nie powinien nas widzieć! — ryknął Paul prosto do jego ucha.

Schiffer wciąż gapił się na niego, z trudem łapiąc oddech. Gdy łoskot odjeżdżającego pociągu ucichł, Paul dodał:

— Mamy czterdzieści sekund, żeby dotrzeć na następną stację. Dorwiemy go na Chateau d'Eau.

Zrozumieli się w pół słowa. Wbiegli po schodach, kilkoma skokami dostali się na drugą stronę ulicy, rzucili się do samochodu. Minęło dwadzieścia sekund.

Paul okrążył rondo i skręcił w prawo, opuszczając jednocześnie szybę. Przyczepił koguta do dachu i z wyciem syreny wjechał w bulwar Strasbourg.

W ciągu siedmiu sekund pokonali pięćset metrów. Schiffer chciał wysiąść na rogu Chateau d'Eau, ale Paul go powstrzymał. — Zaczekamy tutaj. Są tylko dwa wyjścia, po parzystej i po nieparzystej.

224

— Skąd wiesz, że akurat tutaj wysiądzie?

— Oczekamy dwadzieścia sekund. Jeżeli nie wysiadł, mamy jeszcze dwadzieścia sekund, żeby dojechać do Dworca Wschodniego.

— A jak tam też nie wysiądzie?

— Nie wyjedzie poza Dzielnicę Turecką. Albo chce się schować, albo kogoś ostrzec. Tak czy inaczej, wszystko rozegra się tutaj, na naszym terytorium.

Musimy przekonać się, dokąd zmierza.

Cyfra zerknął na zegarek.

— Ruszaj.

Paul błyskawicznie rozejrzał się na lewo i na prawo, zobaczył wyjście po parzystej i wyjście po nieparzystej stronie i ruszył pełnym gazem. Wydawało mu się, że czuje wibrację wagonów metra pędzących w dole, pod nimi.

Po siedemnastu sekundach zatrzymał się przy ogrodzeniu dworca kolejowego, wyłączył syrenę i zdjął z dachu sygnalizator. Schiffer ponownie chciał wyjść na zewnątrz i Paul znów go zatrzymał.

— Czekamy tutaj. Mamy widok na trzy wyjścia. Środkowe, na dziedzińcu. Po prawej stronie, na Faubourg-Saint-Martin. Po lewej, na ulicę 8-Mai-1945. Trzy szansę na pięć możliwych.

— A gdzie są dwa pozostałe?

— Po obu stronach dworca. Na Faubourg-Saint-Martin i ulicę Alsace.

— A jeżeli wyjdzie któryś z nich?

— Te wyjścia są najbardziej oddalone od stacji. Zajmie mu ponad minutę, żeby do nich dojść. Czekamy tutaj trzydzieści sekund. Jeżeli się nie pojawi, wysadzę pana na Alsace i zasuwam na Saint-Martin. Kontaktujemy się przez komórkę. Nie może nam uciec.

Schiffer zmarszczył brwi, przez chwilę się zastanawiał.

— Skąd tak dobrze znasz metro?

Paul uśmiechnął się, mimo rozgorączkowania.

— Nauczyłem się na pamięć. Na wypadek pościgu. Pomarszczona twarz odpowiedziała uśmiechem.

— Jeżeli facet się nie pojawi, rozwalę ci łeb. Dziesięć sekund, dwanaście, piętnaście.

225

Najdłuższe sekundy w jego życiu. Paul przyglądał się kolejnym sylwetkom, wyłaniającym się ze wszystkich trzech wyjść ale kurtka Adidasa nie pojawiła się. Dwadzieścia, dwadzieścia dwie sekundy. Kolejne grupy pasażerów przesuwały się przed jego oczami, krocząc w rytm bicia jego serca. Trzydzieści sekund. Wrzucił bieg i krzyknął: — Jedziemy na ulicę Alsace!

Ruszył z piskiem opon, skręcił w lewo, w ulicę 8-Mai, i zostawił Cyfrę u wylotu ulicy Alsace, zanim tamten zdążył cokolwiek powiedzieć. Zawrócił i dociskając gaz do dechy, popędził na ulicę Faubourg-Saint-Martin.

To wszystko zajęło mu kolejne dziesięć sekund. Ulica Faubourg-Saint-Martin na tym odcinku wyglądała zupełnie inaczej niż w Dzielnicy Tureckiej; było tam pusto, na chodnikach nikogo, wokół tylko magazyny i budynki administracyjne. Tutaj nie można go było zgubić.

Paul popatrzył na wskazówkę sekundnika. Każdy jej ruch odczuwał całym sobą. Anonimowy tłum rozprasał się, zniknął w tej opustoszałej ulicy. Spojrzał w stronę budynku dworca: wyobraził sobie, że za szybami tej gigantycznej cieplarni kiełkują trujące zarodki i mięsożerne rośliny. Dziesięć sekund.

Szansę na to, że wyłowi wzrokiem kurtkę Adidasa, były już bliskie zera. Pomyślał o wagonach metra pędzących pod ziemią,

o pociągach ekspresowych i pociągach podmiejskich, rozjeżdżających się we wszystkich kierunkach; o tysiącach twarzy

1 sumień, zmierzających dokądś w pośpiechu pod szarymi dźwigarami dworca.

Nie mógł się mylić, to było po prostu niemożliwe.

Trzydzieści sekund.

Nic.

Zadzwonił jego telefon komórkowy. Usłyszał gardłowy głos Schiffera:

— Cholerny idioto.

Spotkali się przy schodach, pośrodku ulicy Alsace. Schiffer wsiadł do wozu, powtarzając:

226

— Idiota.

— Spróbujemy na Dworcu Północnym. Nie wiadomo.

Może...

— Zamknij się. Szlag trafił. Zgubiliśmy go.

Paul przyspieszył i mimo wszystko skręcił na północ.

— Niepotrzebnie cię słuchałem — gderał Schiffer. — Nie masz żadnego doświadczenia. Na niczym się nie znasz. Ty...

— Jest.

Paul właśnie zobaczył niebieską kurtkę u wylotu ulicy Deux--Gares. Mężczyzna maszerował wzdłuż ulicy Alsace, w stronę wiaduktu nad torami kolejowymi.

— O skurwysyn — powiedział Cyfra. — Wyszedł przez perony i zewnętrznymi schodami na górę.

Wskazał palcem przed siebie.

— Jedź prosto. Nie włączaj sygnału i nie przyspieszaj za bardzo. Dorwiemy go przy następnej ulicy, tylko ostrożnie.

Paul zredukował do dwójki i zmusił się, żeby nie przekraczać prędkości dwudziestu kilometrów na godzinę. Mijali ulicę La Fayette, kiedy pojawił się sto metrów przed nimi. Rozejrzał się dookoła i zamarł.

— Cholera! — krzyknął Paul; przypomniał sobie nagle, że nie zdjął koguta z dachu samochodu.

Mężczyzna zaczął biec, jakby dotknięcie asfaltu paliło go w stopy. Paul nadepnął na pedał gazu. Monumentalny wiadukt, który otwierał się przed nimi, wydał mu się kamiennym gigantem wznoszącym się przed nimi na tle stalowo-szarego nieba.

Przyspieszył jeszcze i wyprzedził Turka pośrodku wiaduktu. Schiffer wyskoczył na zewnątrz, zanim jeszcze samochód się zatrzymał. Paul wyhamował i zobaczył w lusterku sylwetkę Schiffera, który z całym impetem rzucił się na Turka.

Zaklął, wyłączył silnik i pospiesznie wysiadł z wozu. Cyfra trzymał już uciekiniera za włosy i walił jego głową o kraty mostu. Paul przypomniał sobie rękę Mariusa pod obcinarką. Nigdy więcej.

Biegając, wyciągnął glocka z kabury.

— Zostaw go!

227

Schiffer wypchnął właśnie swoją ofiarę po pochylej belce mostu ku górze, tak że Turek znalazł się ponad balustradą. Jego siła i szybkość działania były zdumiewające. Mężczyzna w dresie kopał rozpaczliwie nogami, wciśnięty między dwa metalowe pręty.

Paul był pewien, że mężczyzna zaraz zacznie balansować w przestrzeni, ale Schiffer błyskawicznie wspiął się w górę, jedną ręką chwycił się betonowej krawędzi, a drugą wciągnął Turka na swoją wysokość.

Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund, sprawność fizyczna Schiffera była wprost niewiarygodna, miała w sobie coś nieludzkiego. Kiedy Paul do nich dobiegł, obaj byli już poza jego zasięgiem, tkwili we wgłębieniu jednej z gigantycznych, betonowych liter X. Uciekinier wrzeszczał, a jego oprawca trzymał go nad przepaścią, tłukąc, gdzie popadnie, i wykrzykując coś po turecku.

Paul zaczął wspinać się po metalowej kracie, ale w połowie drogi zamarł bez ruchu.



— BOZKURT! BOZKURT! BOZKURT!

Krzyki Turka rozbrzmiewały w wilgotnym powietrzu. Paul myślał z początku, że nieszczęśnik woła o pomoc, zobaczył jednak, że Schiffer puścił go i zepchnął w stronę chodnika, tak jakby uzyskał to, czego chciał.

Nim Paul zszedł i wyciągnął kajdanki, mężczyzna zaczął już uciekać, kulejąc.

— Zostaw go w spokoju!

— Co?

Teraz Schiffer ciężko zeskoczył na asfalt. Przewrócił się na bok, skrzywił się i uniósł na jednym kolanie.

— Powiedział, co miał powiedzieć — wykrztusił.

— Ale co powiedział?

Cyfra wstał; wciąż ciężko dyszał, trzymając się za lewą pachwinę. Był fioletowy z wysiłku.

— Mieszka w tym samym domu, co Ruya. Widział ich, jak zgarnęli dziewczynę, na klatce schodowej. Ósmego stycznia o ósmej wieczorem.

— Jakich „ich”?

— Tych z Bozkurtu.

228

Paul nic nie rozumiał. Widział tylko stalowe spojrzenie Schiffera; przypomniało mu się jego drugie przydomko: Żelazo.

— Szare Wilki.

— Co to za jedni?

— Szare Wilki. Bojówki skrajnej prawicy. Mordercy na usługach tureckiej mafii. Od początku szliśmy błędnym tropem. To oni zabijają kobiety.

37

Tory kolejowe ciągnęły się aż po horyzont. Kiedy patrzyło się na nie, wzrok odruchowo wędrował w dal, jakby przykuty do stalowych lin, bezlitosnych jak druty kolczaste. Wyznaczały nowe kierunki, nie uwalniając się jednak od nitów i żelaznych kajdan; wskazywały drogę ku nieskończoności, ale wciąż przywodziły na myśl nieunikniony punkt wyjścia. Wszystko to zaś w oprawie wiaduktów z brudnego kamienia lub czarnego żelaza, z ich kratami, balustradkami i latarenkami.

Schiffer zszedł schodami na torowisko. Paul dogonił go, przeskakując z podkładu na podkład.

— Kim są te Szare Wilki?

Schiffer nie odpowiadał, oddychał głęboko i powoli. Czarne kamienie toczyły się spod jego stóp.

— To długa historia — powiedział w końcu. — Za długa, żeby opowiadać. Trzeba znać historię Turcji.

— Na miłość boską, proszę opowiedzieć! Przecież muszę to wiedzieć.

Cyfra wciąż jeszcze trzymał się za lewy bok. Zaczął mówić bezbarwnym głosem.

— W latach siedemdziesiątych atmosfera polityczna w Turcji była mniej więcej taka sama jak w całej Europie. Partie lewicowe wygrywały wszystkie wybory.

Zanosilo się na coś w rodzaju maja sześćdziesiąt osiem... Tam jednak zawsze w końcu zwy-230

ieża tradycja. Zaczęły tworzyć się grupy o nastawieniu skrajnie Drawicowym, na ich czele stanął niejaki Alpaslan Turkes, prawdziwy faszysta. Najpierw uformowali niewielkie grupki na uniwersytetach, potem zaczęli rekrutować młodych ludzi ze wsi. Występowali pod nazwą Szare Wilki, czyli Bozkurt. Inna nazwa to Młodzi Idealiści, Ulkii Ocaklari. Od początku podstawową metodą ich działania była przemoc. Paul słuchał. Było mu gorąco, ale zarazem, szcząkał zębami.

— Pod koniec lat siedemdziesiątych — ciągnął Schiffer — nastąpiło zbrojne starcie lewaków i skrajnej prawicy. Zamachy, napady, morderstwa; dziennie ginęło około trzydziestu osób. Było to coś w rodzaju wojny domowej. Szare Wilki szkoliły się w specjalnych obozach. Trening rozpoczynał się w bardzo młodym wieku i połączony był z indoktrynacją. W ten sposób młodzi ludzie przekształceni byli w maszyny do zabijania.

Schiffer szedł wciąż wzdłuż torów, oddychał już równo, wzrok miał wbity w połyskujące szyny, jak gdyby wskazywały kierunek jego rozmyślaniom.

— W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym władzę w Turcji przejęła armia. Zapanował porządek, aresztowano jednych i drugich, bojówkarzy prawicy i lewaków. Jednakże Szare Wilki wkrótce znów wypuszczono na wolność; bojówkarze mieli przecież takie same przekonania polityczne jak wojskowi. Problem polegał na tym, że stali się bezrobotni. Dzieciaki wychowane w obozach umiały robić tylko jedno: zabijać. Tak więc, naturalną kolejną rzeczą, młodzi ludzie zostali zatrudnieni przez tych, którym potrzebny był ktoś do mokrej roboty. Przede wszystkim przez rząd, któremu bardzo było na rękę to, że można przy ich pomocy dyskretnie wyeliminować przywódców Ormian albo kurdyjskich terrorystów. Potem zaś turecka mafia, która właśnie przejmowała kontrolę nad handlem opium na terenie Złotego Półksiężycy. Dla mafiozów Szare Wilki były prawdziwą gratką. Doświadczeni żołnierze podziemnej armii, zorganizowani, uzbrojeni. A przede wszystkim — w doskonałych stosunkach z tureckimi władzami.

Od tamtych czasów Szare Wilki wykonują wyroki. Ali Agca, który w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym strzelał do papieża, był jednym z nich. Obecnie Bozkurt stali się zwykłymi najemnikami, przekonania polityczne zawiesili na

231

kołku. Jednak najniebezpieczniejsi z nich pozostali fanatykami terrorystami zdolnymi do wszystkiego. Są kompletnie nawie- dzeni, wierzą w supremację rasy tureckiej i przywrócenie imperium ottomańskiego.

Paul słuchał w milczeniu, ale wciąż nie mógł dopatrzeć się żadnego związku między tymi historiami, odległymi w czasie i przestrzeni, a prowadzonym przez nich śledztwem.

— I to ci faceci zabijają kobiety?

— Nasz Adidas widział ich, to oni porwali Ruyę Berkes.

— Widział ich twarze?

— Nie, mieli kominiarki na twarzach, byli ubrani w mundury komandosów.

— Komandosów? Cyfra zaśmiał się.

— Chłopcze, to są wojownicy. A raczej regularne wojsko. Podjechali czarną limuzyną. Turek nie pamięta marki ani numeru rejestracyjnego. Albo nie chce pamiętać.

— W takim razie skąd wie, że to Szare Wilki?

— Wykrzykiwali hasła. Zresztą trudno ich pomylić z kim innym. Nie ma żadnych wątpliwości. Poza tym, to się trzyma kupy. Zmowa milczenia, wzmianka Gozar na temat polityki. Szare Wilki są w Paryżu, a cała dzielnica trzęsie się ze strachu.

Paul zbyt długo prowadził śledztwo w przeświadczeniu, że ściga jednego mordercę, żeby zaakceptować od razu tak nagłą zmianę kierunku dochodzenia. Oznaczałoby to, że jego interpretacja wydarzeń od początku była całkowicie mylna.

— Ale po co cała ta przemoc? — spytał.

Schiffer wciąż wędrował wzdłuż torów, lśniących od mżawki.

— Tam, skąd pochodzą, tego rodzaju tortury są na porządku dziennym. To wieśniacy, mieszkańcy równin, pustyni, górale. Przyzwyczałeś się do hipotezy, że masz do czynienia z seryjnym mordercą. Tobie i Scarbonowi wydawało się, że rany tych ofiar oznaczają jakąś fascynację cierpieniem, że są wynikiem psychicznej dewiacji czy czego tam jeszcze... Zapomnieliście o najprostszym rozwiązaniu: te kobiety były torturowane przez profesjonalistów. Przez ekspertów wyszkolonych w anatólij-skich obozach treningowych.

— A te okaleczenia post mortem Nacięcia na twarzach? 232

Cyfra rozłożył ręce, jakby otwierając pole dla wszelkich możliwych okropieństw.

— Być może jeden z tych facetów rzeczywiście jest świrem. Albo może po prostu chcą, żeby ofiar nie dało się zidentyfikować, żebyśmy nie wiedzieli, jakiej twarzy szukają.

— Szukają?

Policjant zatrzymał się i odwrócił do Paula.

— Chłopie, cały czas nie rozumiesz, co się dzieje: Szare Wilki mają kontrakt.

Szukają jakiejś kobiety.

Sięgnął do kieszeni płaszcza poplamionego krwią i wyciągnął z niej zdjęcia.

— Szukają kobiety o takiej twarzy, odpowiadającej następującemu rysopisowi: ruda, szwaczka, nielegalna imigrantka, pochodzi z Gaziantep.

Paul w milczeniu przyglądał się zdjęciom. Wszystko wskazywało na to, że Schiffer ma rację. Tylko że...

— Ta kobieta coś wie, a oni muszą od niej wyciągnąć zeznania. Już trzy razy myśleli, że ją dorwali. Trzykrotnie popełnili pomyłkę.

— Skąd ta pewność? Skąd możemy wiedzieć, że jej nie znaleźli?

— Bo gdyby któraś z nich była tą właściwą, powiedziałaaby wszystko. Możesz mi wierzyć. Oni zaś by znikli.

— Czyli... myśli pan, że polowanie trwa?

— Jeszcze jak.

Oczy Schiffera lśniły spod półprzymkniętych powiek.

— Prowadziłeś nie to śledztwo, mały. Szukałeś mordercy, opłakiwałeś martwe kobiety. Tymczasem musisz znaleźć kobietę, która żyje. Kobietę, której szukają Szare Wilki.

Szerokim gestem wskazał na domy wznoszące się wzdłuż torów.

— Ona jest gdzieś tu, w tej dzielnicy. W jakiejś piwnicy albo na strychu.

Depczą jej po piętach najgorsi mordercy, jakich możesz sobie wyobrazić, i tylko ty możesz ją uratować. Ale musisz się spieszyć, i to bardzo. Oni są doskonale wyszkoleni i cała dzielnica jest do ich dyspozycji.

Cyfra chwycił Paula za ramiona i spojrzał mu prosto w oczy.

— Ponieważ jednak nieszczęścia chodzą parami, powiem ci coś jeszcze: beze mnie to ci się nie uda.

233

o

N

o ^1

38

Dzwonek telefonu rozsadzał mu skronie.

— Halo?

Milczenie. Eric Ackermann powoli odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek.

Trzecia po południu. Dwunasty głuchy telefon od wczoraj. Ostatni raz

poprzedniego dnia rano, kiedy zadzwonił Laurent Heymes i powiadomił go o

ucieczce Anny. Gdy on z kolei zadzwonił do Laurenta po południu, żaden z jego numerów nie odpowiadał. Czyżby dla Laurenta było już za późno? Próbował nawiązać kontakt z innymi, ale także bez powodzenia.

Tego samego wieczoru odebrał pierwszy głuchy telefon. Od razu wyrzął przez okno i zobaczył dwóch policjantów stojących przed jego domem na Avenue Trudaine. Sytuacja stała się jasna. Nie był już kimś, do kogo się dzwoni, partnerem, którego się informuje. Znalazł się natomiast pod nadzorem, był nieprzyjacielem, którego należy kontrolować. W ciągu kilku godzin przerzucono go na drugą stronę barykady, uznano za jednego z ludzi odpowiedzialnych za katastrofę. Podeszedł do okna. Policjanci wciąż stali na straży przed liceum Jacques-Decourt. Spoglądał na ogrodzone trawniki dzielące ulicę na całej jej długości, na bezlistne jeszcze platany, na szary kiosk przy skwerze Anvers. Nie przejeżdżał żaden samochód, ulica, jak zawsze, wyglądała na opustoszałą.

237

Przypomniał mu się cytat: „Zagrożenie jest fizyczne, gdy pojawia się konkretne niebezpieczeństwo, i psychologiczne jeśli jego poczucie jest instynktowne”. Kto to napisał? Freud? Jung? W jaki sposób niebezpieczeństwo przejawia się w jego przypadku? Zastrzelą go na ulicy? Zaskoczą we śnie? Czy może, po prostu, zamkną go w wojskowym więzieniu i będą torturować tak długo, aż powie wszystko o programie?

Czekać. Musiał czekać na zapadnięcie zmroku, żeby wprowadzić w życie swój plan. Stojąc wciąż w oknie, cofnął się myślami w przeszłość, przypominając sobie kolejne etapy, które doprowadziły go aż tutaj, do przedśmionki śmierci.

Na początku był strach.

Strach jest u kresu drogi.

Cała historia rozpoczęła się w czerwcu roku 1985, kiedy przyłączył się do zespołu badawczego profesora Wayne'a C. Drevetsa. Uczni postawili przed sobą ambitne zadanie, polegające na zlokalizowaniu, za pomocą tomografii pozytronowej emisyjnej, ośrodka lęku w ludzkim mózgu. W tym celu opracowano ściśle określony program doświadczeń, polegający na wywoływaniu u ochotników, poddających się eksperymentom, uczucia przerażenia. Straszono ich widokiem węży, obciążaniem wstrząsu elektrycznego, rym groźniejszą, że odwlekaną w czasie...

Przeprowadzając kolejne testy, naukowcy zlokalizowali tajemniczy obszar, znajdujący się w płacie skroniowym, na obrzeżu układu limbicznego w okolicy zwanej ciałem migdałowatym, czyli niejako wpramózgu człowieka. Jest to najstarsza część mózgu; posiadają ją również gady; znajduje się w niej również ośrodek odpowiedzialny za popęd płciowy i agresję. To były dla Ackermanna niezapomniane chwile. Pierwszy raz mógł zobaczyć na ekranach komputerów uaktywniające się obszary mózgu. Odkrywał tajne szlaki umysłu, obserwował jego działanie. Wiedział już, że znalazł swoją drogę, a także narzędzie, którym będzie się posługiwał. To kamera pozy-tronowa miała być wehikułem pozwalającym na wędrówki po ludzkiej korze mózgowej.

238

Stał się jednym z pionierów, kartografem mózgu.

Kiedy wrócił do Francji, zwrócił się z prośbą o środki na badania do INSERM (Instytutu Zdrowia i Badań Medycznych), do CNRS (Francuskiej Akademii Nauk), do Wyższej Szkoły Nauk Społecznych oraz rozmaitych uniwersytetów i szpitali w Paryżu, w przekonaniu, że chociaż jedna z tych instytucji zapewni mu odpowiedni budżet.

Minął rok, nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Wyjechał więc do Anglii, gdzie na uniwersytecie w Manchesterze pracował u profesora Anthony'ego Jonesa. Tym razem badania dotyczyły obszaru odpowiedzialnego za odczuwanie bólu.

Te doświadczenia również przeprowadzano na ochotnikach, którzy zgodzili się, by poddawano ich bolesnym bodźcom. Znowu mógł obserwować na monitorach nieznane dotąd obszary, krainę cierpienia. Nie był to jeden określony region, lecz zespół obszarów aktywujących się jednocześnie; jego funkcjonowanie przywodziło na myśl ruchy pająka, rozpościerającego swe odnóża po całej korze mózgowej.

Rok później profesor Jones napisał w magazynie „Science”: „Odczucie bólu najpierw rejestrowane jest przez wzgórze (tha-lamus), potem kierowane jest przez obręcz i korę czołową do ośrodka, który dokonuje oceny, czy bodziec jest pozytywny, czy negatywny. Dopiero wtedy odczucie to odbierane jest jako cierpienie”.

Było to odkrycie o pierwszorzędym znaczeniu, potwierdzało bowiem istotną rolę świadomej refleksji w postrzeganiu bólu. Ponieważ obręcz dokonuje niejako selekcji skojarzeń, okazało się, że można obniżyć odczuwanie bólu za pomocą rozmaitych ćwiczeń mających charakter czysto psychologiczny i zredukować jego odzwierciedlenie w mózgu przez zmianę jego ukierunkowania. Na przykład w przypadku poparzenia wystarczyło nakierować myśli na obraz słońca, a nie zwęglonych tkanek, i ból się zmniejszał... Topografia mózgu dowodziła, że ból może zostać złagodzony dzięki świadomemu wysiłkowi.

Ackermann wrócił do Francji przepelniony entuzjazmem. Już wyobrażał sobie, jak kieruje interdyscyplinarnymi badaniami, prowadzonymi przez zespół neurologów, psychiatrów i psychologów. Teraz, kiedy mózg zaczął zdradzać swe tajemnice,

239  
współpraca pomiędzy przedstawicielami tych wszystkich dys. cyplin stawała się możliwa. Oto nadszedł kres rywalizacji i sporów metodologicznych: wystarczyło przecież zapoznać się z mapą mózgu i zjednoczyć swe siły!

Jednak starania Ackermanna o fundusze wciąż spełzały na niczym. Sfrustrowany i zniechęcony, wylądował w końcu w małym laboratorium w Maisons-Alfort i zaczął szprycować się amfetaminą, żeby nie upaść zupełnie na duchu. Wkrótce — również dzięki zbawiennemu działaniu tabletek benzediyny — doszedł do wniosku, że przyczyną jego niepowodzeń była ignorancja, a nie obojętność. Po prostu mało kto wiedział, jakie możliwości oferuje petscan.

Postanowił więc dokonać kompilacji wyników wszystkich liczących się badań dotyczących kartografii mózgu, publikując ich podsumowanie w wyczerpującym opracowaniu. Znow zaczął podróżować. Był w Tokio, Kopenhadze, Bostonie, spotykał się z neurologami, biologami i radiologami, studiował ich artykuły, dokonywał syntezy rezultatów badań. W roku 1992 światło dzienne ujrzало sześciusetstronicowe dzieło, zatytułowane „Obrazowanie funkcjonalne i geografia mózgu”; był to prawdziwy atlas nowo odkrytego świata, wraz z jego kontynentami, morzami i archipelagami...

Książka spotkała się z uznaniem międzynarodowej społeczności naukowej, ale francuskie instytucje wciąż pozostawały obojętne. Co gorsza, tomografy pozytronowe zainstalowano w Orsay i Lyonie, lecz ani razu nie wspomniano przy tym jego nazwiska, ani razu nie poproszono go o konsultację. Pozbawiony możliwości działania Ackermann znow pograżył się we frustracji. Uciekał przed nią do syntetycznego świata extasy, która niekiedy wynosiła go na szczyty euforii, by potem strącić w tym głębszą otchłań depresji.

Pewnego dnia, gdy myślał, że stoczył się już na samo dno czarnej rozpacz,

przyszedł list z Komisji do spraw Energii Atomowej.

W pierwszej chwili podejrzewał, że to przejaw narkotycznego delirium. Ale nie, trzymał w ręku jak najzupełniej rzeczywistą pozytywną odpowiedź. Komisja była zainteresowana jego pracami w zakresie stosowania radioaktywnych kontrastów do

240  
badań przy użyciu tomografu pozytronowego. Zapraszano go \v następnym tygodniu na przesłuchanie przez zespół ekspertów, którzy mieli ocenić możliwość finansowania jego programu przez komisję.

Oczywiście, Eric Ackermann stawiał się w kwaterze głównej komisji w Fontenay-aux-Roses. Ku jego zaskoczeniu, komitet powitalny składał się w większości z wojskowych. Neurolog uśmiechnął się w duchu, bo mundury przypomniały mu dawne dobre czasy, kiedy to w roku 1968 był maoistą i tłukł się z CRS, broniąc barykady na ulicy Gay-Lussac. Wspomnienie to wprawiło go w świetny humor, tym łatwiej, że na wypadek tremy zażył odpowiednią dawkę benzedryny. Skoro trzeba było przekonać tych trepów, no to już on ich przekona...

Prezentacja trwała kilka godzin. Najpierw wyjaśnił zebranym, w jaki sposób zastosowanie tomografii emisyjnej pozytronowej pozwoliło w roku 1985 zidentyfikować „obszar strachu” w mózgu, dzięki czemu możliwe stało się opracowanie środków farmakologicznych oddziałujących na tę sferę i łagodzących wpływ lęku.

Opowiadał to komisji złożonej z prawie samych wojskowych.

Następnie opisał prace profesora Jonesa, polegające na zlokalizowaniu obwodu neurologicznego związanego z odczuwaniem bólu. W konkluzji stwierdził, że dzięki powiązaniu wyników tych doświadczeń i warunkowaniu psychologicznemu, możliwe jest zmniejszenie cierpienia.

Mówił to komitetowi złożonemu z generałów i wojskowych psychiatrów.

W dalszej części expose relacjonował inne badania dotyczące schizofrenii, pamięci, wyobraźni.

Gestykulując, sypiąc jak z rękawa danymi statystycznymi i cytatami z różnych publikacji, ukazywał im niespotykane dotąd możliwości. Dowodził, że dzięki kartografii mózgu można obserwować, kontrolować i kształtować ludzki umysł.

Po miesiącu otrzymał kolejne wezwanie. Oznaczało ono zgodę na finansowanie jego projektu, pod warunkiem, że przeniesie się do Instytutu Henri-Becquerel, szpitala wojskowego mieszczącego się w Orsay. Zobowiązano go jednocześnie do ścisłego współdziałania z umundurowanymi kolegami.

241

Ackermann wybuchnął śmiechem: zaproponowano mu prace na rzecz Ministerstwa Obrony! Jemu, dziecku kontrkultury lat siedemdziesiątych, wykolejonemu psychiatrze naszpikowanemu amfetaminą... Przekonywał sam siebie, że potrafi być sprytniejszy od swych zlecniodawców, że będzie nimi manipulował nie pozwalając im manipulować sobą. Mylił się, i to bardzo. Znów rozległ się dzwonek telefonu. Nie chciał mu się odbierać. Rozsunął zasłony i pokazał się w oknie; strażnicy wciąż stali po drugiej stronie ulicy.

Avenue Trudaine mieniła się wszystkimi odcieniami brązu: zaschniętego błota, rdzy, starego złota. Kiedy patrzył na nią, przychodziły mu zawsze na myśl, nie wiedzieć czemu, chińskie czy tybetańskie świątynie, w których żółta lub rdzawa, łuszcząca się farba odsłaniała inną, ukrytą rzeczywistość.

Była czwarta po południu, słońce stało jeszcze wysoko na niebie.

Nagle postanowił, że nie będzie zwlekał do zmroku. Chciał uciekać jak najszybciej.

Przeszedł przez salon, chwycił spakowaną torbę i otworzył drzwi.  
Na początku był strach. Strach był u kresu drogi.

39

Schodami przeciwpożarowymi dotarł do podziemnego garażu. Zajrzał do środka; nie było nikogo. Przeciął parking i otworzył czarne, blaszane drzwi, ukryte za jedną z kolumn. Znalazł się na korytarzu, a następnie, po kilku chwilach, na stacji metra Anvers. Rzucił okiem do tyłu. Nikt za nim nie szedł.

Tłum ludzi na stacji w pierwszej chwili go przeraził, ale zaraz uspokoił się, tym łatwiej będzie mu zniknąć. Nie zwalniając kroku, skierował się w stronę drugich drzwi, umieszczonych po przeciwnej stronie wyłożonego ceramicznymi płytkami wnętrza.

Udając, że czeka na zdjęcia z automatycznej kabiny fotograficznej, wyjął z kieszeni wytrychy. Po krótkiej chwili udało mu się dyskretnie otworzyć drzwiczki, na których widniał napis: TYLKO DLA PERSONELU.

Znow był sam. Odetchnął z ulgą. W ciemnym korytarzu panował dziwny, intensywny zapach; nie potrafił go zidentyfikować, ale czuł, że cały jest nim przesiąknięty. Ruszył do przodu, potykając się raz po raz o przewilgłe kartony, zapomniane kłęby kabla, metalowe skrzynki. Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, żeby zapalić światło. Otwierał kolejne zamki i kłódki, skrzypiące kraty, zaplombowane drzwi. Nie tracił czasu na zamykanie ich za sobą na klucz; wiedział jednak,

243

że każde z nich to kolejna warstwa ochronna, oddzielająca go od przeszłości.

W końcu znalazł się w innym podziemnym garażu, mieszczącym się pod skwerem Anvers. Było tam dokładnie tak sarno jak w garażu pod jego domem, tyle że podłoga i ściany miały kolor jasnozielony. Tutaj również nie zauważył nikogo. Pocił się, lekko drżał, odczuwał na przemian zimno i gorąco. Dobrze wiedział, że to nie tylko strach, ale i głód narkotyczny.

Na miejscu parkingowym numer 2033 stał volvo kombi. Duża, solidna maszyna; widok metalicznej karoserii i tablicy rejestracyjnej departamentu Haut-Rhin przywrócił mu poczucie bezpieczeństwa. Powoli odzyskiwał równowagę.

Kiedy u Anny pojawiły się pierwsze zaburzenia, zrozumiał, że sytuacja staje się poważna. Lepiej od kogokolwiek pojmował, że zaburzenia będą występować coraz częściej i że prędzej czy później cały projekt skończy się katastrofą. Opracował wówczas plan ucieczki. Najpierw wróci do swoich rodzinnych okolic, do Alzacji. Nie mógł zmienić nazwiska, mógł natomiast skryć się pomiędzy innymi Ackermannami, a w departamentach Bas i Haut-Rhin mieszkało ich ponad trzystu. Potem trzeba będzie wyjechać naprawdę — do Brazylii, Nowej Zelandii, Malezji... Wyciągnął pilota z kieszeni i już miał nacisnąć przycisk, gdy za plecami usłyszał głos: — Na pewno o niczym nie zapomniałeś? Odwrócił się gwałtownie i zobaczył czarno-białą istotę owiniętą welurowym płaszczem. Stała parę metrów od niego. Anna Heymes.

Poczuł przyływ złości. Pomyślał o zwiastunie nieszczęścia, o przekleństwie stąpającym za nim krok w krok. Opanował się natychmiast. „Dostarczyć ją. To twoja jedyna szansa”.

Odstawił torbę i powiedział tonem wymówki:

— Anno, gdzie ty się podziewałaś? Wszyscy cię szukają — postąpił krok do przodu z rozpostartymi ramionami — dobrze zrobiłaś, że do mnie przyszałaś. Będiesz...

— Ani kroku.

Zamarł, a potem wolno, bardzo powoli odwrócił się w stronę, z której dobiegł ten

drugi głos. Od filaru, po prawej stronie, oderwała się druga sylwetka. Był tak zdumiony, że jego spoj-244  
76liie zamgliło się; zamrugał. Powracały jakieś odległe wspomnienia... Znał tę kobietę.

\_ Mathilde?

Podeszła bez słowa.

\_\_Mathilde Wilcrau? — powtórzył.

Stanęła przed nim, mierząc w jego stronę z pistoletu. Spoglądając na przemian to na jedną, to na drugą, wybełkotał:

.— Wy... wy się znacie?

— Jeśli ktoś straci zaufanie do neurologa, do kogo udaje się po pomoc? Do psychiatry.

Przeciągała sylaby tak jak dawniej. Jak mógłby zapomnieć taki akcent? Poczul, że ślina napływa mu do ust. Miała taki sam smak jak ten dziwny, uparty zapach, który niedawno go prześladował. Teraz go już rozpoznał: to był smak strachu; cierpki, głęboki i niezdrowy. To on był jego źródłem. Emanował z niego wszystkimi porami skóry.

— Słyszcie za mną? Czego ode mnie chcecie?

Anna podeszła do niego. Jej błękitne oczy lśniły w zielonkawym świetle parkingu. Oczy jak ciemny ocean, skośne, niemal azjatyckie. Odpowiedziała, uśmiechając się:

— A jak myślisz?

40

W dziedzinie neurologii, neuropsychologii i psychologii kognitywnej jestem najlepszy, w każdym razie jestem jednym z najlepszych na świecie. To nie jest czcza przechwałka, lecz fakt uznany przez międzynarodową społeczność naukową. W wieku pięćdziesięciu dwóch lat stałem się autorytetem.

Zacząłem się jednak naprawdę liczyć w tych dziedzinach dopiero wtedy, gdy wykroczyłem poza granicę świata nauki, gdy opuściłem utarte szlaki i wszedłem na drogę zakazaną. Nikt inny nie szedł nią przede mną. Dopiero wtedy stałem się pionierem na miarę swoich czasów.

Tyle że dla mnie jest już za późno...

Marzec 1994.

Minęło szesnaście miesięcy od czasu rozpoczęcia przeze mnie doświadczeń dotyczących pamięci, prowadzonych w ramach programu „Pamięć osobista i pamięć kulturowa”, i opartych na wykorzystaniu tomografii pozytronowej emisyjnej. W trakcie tych badań zaobserwowałem pewne anomalie, które skłoniły mnie do tego, by nawiązać kontakt z innymi laboratoriami, posługującymi się tym samym kontrastem radioaktywnym co mój zespół, czyli izotopem tlenu-piętnaście. 246  
Wszystkie ośrodki badawcze udzieliły tej samej odpowiedzi: nie odnotowały niczego szczególnego.

Mię znaczy to bynajmniej, że się mylę. Sprawa jest prosta: osoby poddawane przeze mnie doświadczeniom otrzymują większe dawki i niezwykle rezultaty, jakie uzyskałem, są właśnie kwestią dawkowania. Wiem już prawie na pewno, że przekroczyłem próg, poza którym substancja ujawnia swe działanie.

Na razie jest zbyt wcześnie na jakąkolwiek publikację. Opracowuję więc tymczasem tylko raport dla Komisji do spraw Energii Atomowej, która finansuje moje badania. W raporcie dokonuję ogólnego podsumowania wyników uzyskanych w ciągu ostatnich miesięcy. W aneksie wzmiankuję o powtarzających się nietypowych objawach, odnotowanych podczas testów. Chodzi o pośredni wpływ tlenu-piętnaście



na mózg. Stwierdzam, że owe nietypowe symptomy należałoby zbadać w ramach osobnego programu badań naukowych.

Reakcja na mój raport jest niemal natychmiastowa. W maju wzywają mnie do siedziby komisji. W wielkiej sali konferencyjnej czeka na mnie około dziesięciu specjalistów. Włosy obcięte na jeża, wypowiedzi zwarte jak u ludzi nawykłych do wydawania rozkazów. Rozpoznaję ich od razu; to ci sami wojskowi, którzy przesłuchiwali mnie dwa lata wcześniej, gdy prezentowałem im po raz pierwszy mój naukowy projekt.

Rozpoczynam przygotowane wcześniej expose od wstępu:

— Metoda zwana PET, czyli tomografia pozytronowa emisyjna, polega na wprowadzeniu do krwi osoby badanej kontrastu radioaktywnego. Dzięki temu możemy obserwować w czasie rzeczywistym miejsca, w których krew gromadzi się w większej ilości, czyli obszary mózgu aktywne w danej chwili. Zdecydowałem się zastosować klasyczny izotop radioaktywny, tlen--piętnaście i...

Ktoś mi przerywa:

— W swojej nocie wspomina pan o anomaliach. Proszę nam opowiedzieć, co się wydarzyło.

— Stwierdziłem, że po przeprowadzeniu testów osoby badane myliły osobiste wspomnienia z historyjkami, z którymi miały do czynienia podczas doświadczeń.

247

— Proszę dokładniej.

— Część doświadczeń zawartych w moim programie badawczym polega na przedstawianiu wymyślonych historii, fikcyjnych opowieści; badana osoba ma za zadanie potem je streścić. Otóż po moich doświadczeniach badani relacjonowali te historie tak, jakby miały one miejsce w rzeczywistości realnej. Byli przekonani, że są to zdarzenia, które naprawdę im się przytrafiły.

— Przypuszcza pan, że zjawisko to wynika z zastosowania tlenu-piętnaście?

— Wszystko na to wskazuje. Tomograf pozytronowy nie może mieć tu wpływu, jest techniką nieinwazyjną. Tlen-piętnaście jest jedynym czynnikiem aktywnym, podawanym osobom badanym.

— Jak wytłumaczy pan ten wpływ?

— Nie potrafię go wytłumaczyć. Być może, jest to kwestia wpływu promieniowania na neurony albo działania samej cząsteczki na neuroprzekąźniki. Najwyraźniej doświadczenie aktywizuje system poznawczy, przez co staje się on szczególnie wrażliwy na informacje przyswojone w czasie testu. Mózg nie potrafi już odróżnić danych fikcyjnych od przeżyć rzeczywistych.

— Czy myśli pan, że dzięki tej substancji byłoby możliwe wprowadzenie do świadomości osoby badanej jakichś wspomnień, powiedzmy... sztucznych?

— To dość złożona kwestia, wydaje mi się...

— Uważa pan, że to możliwe czy nie?

— Owszem, nie można wykluczyć możliwości prowadzenia badań w tym kierunku.

Milczenie. Ktoś inny:

— Zajmował się pan kiedyś metodami tak zwanego prania mózgu, prawda?

Wybucham śmiechem, chcę rozładować panującą w tej sali atmosferę inkwizycji, ale na próżno.

— Ponad dwadzieścia lat temu. Pisałem z tego doktorat.

— Czy śledził pan postępy badań w tej dziedzinie?

— Tak, z grubsza. Tylko że akurat w tej dziedzinie wyniki często nie są publikowane, ponieważ traktowane są jako tajemnica państwowa. Nie wiem, czy...

248

\_\_ Czy istnieją substancje, które można skutecznie stosować w celu zatarcia treści pamięci osoby badanej? .\_\_ Owszem, są takie substancje.

— Proszę je wymienić.

— Skoro mówi pan o manipulacjach...

— Proszę wymienić. Odpowiadam niechętnie.

— Obecnie sporo mówi się o związkach takich jak GHB. Jednakże aby uzyskać tego typu rezultaty, lepiej byłoby posłużyć się środkiem znacznie pospolitszym, na przykład valium.

— Dlaczego?

— Dlatego że valium, stosowane w dawkach zbliżonych do anestezjologicznych, wywołuje nie tylko częściową amnezję, ale także znacznie zwiększoną podatność na sugestię. Ponadto istnieje antidotum i osoba badana może odzyskać pamięć.

Milczenie. Znów pierwszy głos:

— Czy zakładając, że pacjent został poddany działaniu tego typu środków, można sobie wyobrazić, że następnie, dzięki tlenu-piętnaście niejako wszczepimy mu nowe wspomnienia?

— Jeśli myśli pan, że ja...

— Tak czy nie?

— Tak.

Znów cisza. Wszyscy wpatrują się we mnie.

— Pacjent by sobie nie przypominał niczego?

— Nie.

— Ani zastosowania valium, ani, następnie, użycia tlenu--piętnaście?

— Nie. Jest jednak zbyt wcześnie, by...

— Kto poza panem zna to działanie izotopu tlenu-piętnaście?

— Nikt. Nawiązałem kontakt z innymi laboratoriami stosującymi ten sam kontrast, ale nie stwierdzili żadnych...

— Wiemy, z kim pan nawiązał kontakt.

— Czy... jestem nadzorowany?

— Czy rozmawiał pan z osobami kierującymi tymi laboratoriami?

— Nie. Wszystko odbyło się za pośrednictwem poczty elektronicznej. Ja...

— Dziękujemy, profesorze.

249

Pod koniec roku 1994 otrzymuję nowy budżet, poświęcony w całości na badania dotyczące działania tlenu-piętnaście. Oto ironia losu: borykałem się z niezliczonymi trudnościami, usiłując zdobyć fundusze na program, który opracowałem, który zaprezentowałem, którego broniłem. Teraz dostaję środki finansowe na projekt, którego nawet nie brałem pod uwagę.

Kwiecień 1995.

Początek koszmaru. Przychodzi do mnie policjant i dwóch tajniaków ubranych na czarno. Policjant przedstawia się: komisarz Philippe Charlier. Jest to potężnie zbudowany facet z siwym wąsem, ubrany w gabardynowy garnitur. Cały uśmiechnięty, jowialny, poczciwy, ale mój instynkt byłego hipisa podpowiada, że to niebezpieczny typ. Taki, który łamie szczęki, rozbija demonstracje, wszystko to, oczywiście, w imię prawa.

— Przyszedłem, żeby opowiedzieć ci pewną historię — oznajmia. — To wspomnienie osobiste, dotyczy fali zamachów bombowych, które wywołały panikę we Francji, od grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego do września tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego. Pewnie pamiętasz, na przykład, zamach na ulicy Rennes? W sumie trzynastu zabitych i dwustu pięćdziesięciu rannych.

Pracowałem wówczas w DST. Zapewniono nam wszystkie możliwe środki. Tysiące ludzi, podsłuchy, bezterminowe areszty. Przekopaliśmy miejsca spotkań integrystów, przetrząsnęliśmy przedstawicielstwa Palestyńczyków, środowiska Libań-czyków i Irańczyków. Paryż był całkowicie pod naszą kontrolą. Wyznaczono nawet nagrodę w wysokości miliona franków dla każdego, kto dostarczyłby nam istotnych informacji. Wszystko na nic. Żadnych śladów, żadnych danych. Nic. Mnożyły się kolejne zamachy, ginęli ludzie, a my nie potrafiliśmy temu przeciwdziałać.

Dopiero w marcu tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego szóstego, w następstwie pewnego drobnego wydarzenia, od razu przymknęliśmy wszystkich członków grupy, na czele której stał Fuad Ali Salah. Mieli skład broni i materiałów wybucho-250 wvych w mieszkaniu na ulicy Youte, w dwunastej dzielnicy. Ich punktem zbornym była pewna tunezyjska restauracja na ulicy Chartres w dzielnicy Goutte d'Or. To ja kierowałem operacją. W ciągu kilku godzin zgarnęliśmy wszystkich. Czysta, porządna robota, bez żadnej obsuwy. Z dnia na dzień zamachy skończyły się, do miasta wrócił spokój.

Wiesz, co sprawiło ten cud? Jaki to drobiazg zmienił cały układ sił? Jeden z członków ugrupowania, niejaki Lotfi ben Kallak, postanowił po prostu wsypać swoich kumpli i za-inkasować nagrodę. Toteż skontaktował się z nami i nawet zgodził się nam pomóc w zorganizowaniu pułapki, działając wewnątrz grupy. Lotfi był głupcem. Nikt normalny nie chce rozstać się z życiem w zamian za kilkaset tysięcy franków. Nikt nie chce żyć jak zaszczute zwierzę, uciekać na koniec świata, wiedząc, że prędzej czy później zemsta i tak go dosięgnie. To nieistotne, ważne było to, jak ogromne znaczenie miała jego zdrada. Miałem swojego człowieka wewnątrz grupy, w samym sercu siatki, rozumiesz? Od razu wszystko stało się jasne i proste. Taki jest morał tej historyjki. Jediną siłą terrorystów jest tajemnica. Uderzają byle gdzie, tam, gdzie im się spodoba. Jest tylko jeden sposób, żeby ich powstrzymać — trzeba wnikać w ich szeregi. Trzeba wtargnąć do ich mózgów. I wtedy wszystko staje się możliwe, tak jak wówczas dzięki Lotfiemu. Dzięki tobie uda nam się też ze wszystkimi innymi.

Projekt Charliera polegał na tym, żeby dotrzeć do ludzi zbliżonych do ugrupowań terrorystycznych i zmienić ich psychikę za pomocą tlenu-piętnaście, zaszczepiając im sztuczne wspomnienia, na przykład chęć zemsty; skłonić ich przez to do współpracy i ujawnienia towarzyszy broni.

— Program będzie nazywał się „Morpho” — wyjaśnił. — Nazwa bierze się stąd, że zmienimy morfologię psychiczną tych brudasów. Zmodyfikujemy ich osobowość, geografię ich mózgów. Potem wpuścimy ich z powrotem w środowisko, z którego się wywodzą. Parszywe owce w stadzie.

Zakończył tonem, od którego zrobiło mi się zimno:

— Wybór jest prosty. Z jednej strony nieograniczone środki, tyle królików doświadczalnych, ile będziesz potrzebował —

251

i szansa na dokonanie prawdziwej rewolucji naukowej. Z drugiej; strony — powrót do gównianej egzystencji naukowca, pogoni za szmałem, podupadających laboratoriów i publikacji, których nikt nie czyta. Nie mówiąc o tym, że tak czy inaczej będziemy kontynuować program; poprowadzi go ktoś inny, kto dostanie wszystkie wyniki twoich badań, wszystkie twoje notatki i tak dalej. Możesz być pewien, że znajdziemy chętnych, którzy zechcą badać działanie tlenu-piętnaście i przypisać sobie autorstwo tego odkrycia.

Przez kilka następnych dni zbieram wiadomości. Philippe Charlier jest jednym z

pięciu komisarzy szóstego oddziału Centralnej Dyrekcji Policji Kryminalnej (DCPJ). Jest więc jedną z głównych osób koordynujących walkę z międzynarodowym terroryzmem. Jego przełożonym jest Jean-Paul Magnard, dyrektor „szóstego biura”. W firmie znany jest jako Zielony Olbrzym. Jego obsesją jest infiltracja. Znany jest z brutalnych metod działania. Magnard trzyma go nieco na uboczu, bo chociaż sam słynie z bezwzględności, jest przywiązany do metod tradycyjnych i odnosi się niechętnie do wszelkich eksperymentów.

Jednak wiosną roku 1995 pomysły Charliera trafiają na podatny grunt. Francji zagraża kolejna fala terroryzmu. 25 lipca, na stacji kolejki podmiejskiej Saint-Michel, wybucha bomba, ginie dziesięć osób. Istnieje podejrzenie, że zamachu dokonała algierska organizacja GIA, nie ma jednak ani cienia jakiegoś śladu, który pozwoliłby wpaść na trop zamachowców i powstrzymać następne uderzenia. Minister obrony i minister spraw wewnętrznych postanawiają sfinansować projekt „Morpho”. Jest za mało czasu, żeby wykorzystać jego możliwości w tej akurat sprawie, ale uznają, że nadeszła pora, by zastosować nową broń w walce z terroryzmem.

Pod koniec lata 1995 Philippe Charlier odwiedza mnie znów i omawia już szczegóły dotyczące wyboru osób odpowiednich do pierwszych doświadczeń, rekrutujących się spośród setek integrystów zatrzymanych w ramach planu „Yigipirate”.

Wtedy właśnie Magnard odnosi decydujące zwycięstwo. Na torach superszybkiej kolei TGV znaleziono butlę z gazem 252

i lyońscy żandarmi zamierzają zniszczyć, ale Magnard wydaje polecenie, by dokonać szczegółowych oględzin bomby. Okazuje się, że są na niej odciski palców jednego z podejrzanych, jyjaleda Kelkala. Ciąg dalszy należy do historii i środków masowego przekazu: w lesie pod Lyonem odbywa się prawdziwe polowanie na Kelkala, który w końcu ginie 29 września; potem udaje się rozpracować całą siatkę. Jest to triumf Magnarda i sprawdzonych, starych metod.

Koniec planu „Morpho”.

Philippe Charlier znika ze sceny.

Budżet jednak został przyznany, oba ministerstwa odpowiadające za bezpieczeństwo kraju dostarczają mi znacznych środków na kontynuację badań. Ich wyniki już po pierwszym roku dowodzą, że miałem rację. To właśnie tlen-piętnaście, wstrzykiwany w dużych dawkach, sprawia, że neurony stają się podatne na sztucznie generowane wspomnienia. Pod jego wpływem pamięć przyswaja sobie dane fikcyjne jako rzeczywistość.

Program badań jest coraz bardziej szczegółowy. Mam do dyspozycji kilkudziesięciu pacjentów, ochotników dostarczonych mi przez wojsko. Dokonuję bardzo niewielkich uwarunkowań, stosując tylko po jednym sztucznym wspomnieniu. Następnie czekam przez dłuższy czas, by sprawdzić, czy „przeszczep” się przyjął.

Wciąż pozostaje do zrobienia ostatni i ostateczny eksperyment, polegający na zatartciu wspomnień osoby badanej i za-implantowaniu całkowicie nowej, sztucznej treści pamięci. Wcale niespieszne mi do tego, tym bardziej że policja i wojsko jakby o mnie zapomniały. W tym czasie Charlier zostaje oddelegowany do działania w terenie, odcięty od kręgów władzy. Magnard i jego tradycyjne zasady rządzą niepodzielnie. Zaczynam mieć nadzieję, że dadzą mi w końcu spokój. Marzę o powrocie do życia w cywilu, o opublikowaniu moich wyników, o jakimś normalnym zastosowaniu moich doświadczeń...

I byłoby to pewnie możliwe, gdyby nie 11 września 2001.

Zamach na Twin Towers i Pentagon.

Podmuch eksplozji niweczy wszelką pewność siebie policjantów, wykazuje

nieskuteczność wszystkich tradycyjnych technik prowadzenia śledztwa czy działań wywiadowczych,

253

i to na całym świecie. Służby specjalne, centrale szpiegowskie policja i wojsko krajów zagrożonych przez Al-Kaidę zostają postawione w stan najwyższej gotowości. Politycy wpadają w panikę. Raz jeszcze okazuje się, że tajemnica jest najgroźniejszą bronią terrorystów.

W mediach mówi się o świętej wojnie, o zagrożeniu bronią chemiczną, o groźbie użycia broni atomowej...

Philippe Charlier powraca do łask. Oto człowiek czynu, uciekający się do metod tajemniczych i brutalnych, ale skutecznych. Następuje ekshumacja projektu „Morpho”. Wszyscy powtarzają wyklęte dotąd słowa: warunkowanie, pranie mózgu, infiltracja...

Mniej więcej w połowie listopada Charlier znów mnie odwiedza w Instytucie Henri-Becquerela. Z promiennym uśmiechem na twarzy oznajmia: — Brodacze powrócili. Zaprasza mnie do restauracji. Jemy kiełbaski na gorąco i popijamy burgundem.

Koszmar powraca w zapachu przysmażonego tłuszczu.

— Czy wiesz, ile wynosi roczny budżet CIA i FBI? — pyta. Nie wiem.

— Trzydzieści miliardów dolarów. Obie agencje mają do dyspozycji satelity, szpiegowskie okręty podwodne, zdalnie sterowane samoloty rozpoznania, przenośne centrale podsłuchowe. Dysponują najbardziej wyrafinowaną technologią w dziedzinie nadzoru elektronicznego. Poza tym jest jeszcze NSA (National Security Agency) i posiadane przez nią środki. Amerykanie są w stanie usłyszeć i zobaczyć wszystko. Pojęcie tajemnicy stało się przestarzałe, cały świat zaczął się niepokoić, z niejednych ust padało określenie „Big Brother”... Tyle że nagle nadszedł jedenasty września. Kilku facetów, uzbrojonych w plastikowe noże, zdołało zniszczyć wieżowce World Trade Center i spory kawałek Pentagonu, uzyskując przy tym wynik w wysokości trzech tysięcy zabitych. Amerykanie obserwują wszystkich, podsłuchują wszystkich — prócz ludzi naprawdę niebezpiecznych.

Zielony Olbrzym nie śmieje się już.

— Wyobraź sobie dwie szale wagi. Po jednej stronie jest 254

trzydzieści miliardów dolarów. Po drugiej, plastikowe noże. Jak myślisz, dlaczego jedna strona przeważa? Dlaczego pierdolone plastikowe noże wygrywają? — Walnął pięścią w stół. — Odpowiedź brzmi: siła woli. Wiara. Szaleństwo. Pomimo wszystkich technologii, pomimo tysięcy agentów, garstka zdeterminowanych ludzi zdołała uniknąć jakiegokolwiek nadzoru. A to dlatego, że żadna maszyna nigdy nie dorówna umysłowi ludzkiemu. Dlatego, że żaden funkcjonariusz, który prowadzi normalną egzystencję, ma normalne ambicje, nigdy nie zdoła dopaść fanatyka, który ma gdzieś własne życie i utożsamia się bez reszty ze sprawą, w którą wierzy. Przerzywa, oddycha głęboko i mówi dalej:

— Piloci samobójcy z jedenastego września wydepilowali sobie całe ciała. Wiesz, po co? Żeby osiągnąć całkowitą czystość, gdy będą wkraczać do raju. Wobec takich skurwysynów jesteśmy bezsilni. Nie możemy ich szpiegować ani przekupić i nie jesteśmy w stanie ich zrozumieć.

Jego oczy błyszczą chorobliwie, jakby właśnie ostrzegł cały świat przed nieuchronną katastrofą.

— Mówię ci jeszcze raz: jest tylko jeden sposób, żeby dopaść tych fanatyków. Trzeba przekabacić jednego z nich, zaszczerpić mu coś zupełnie przeciwnego.

Dopiero wtedy możemy walczyć.

Zielony Olbrzym opiera się łokciami o stół, podnosi do ust kielich wina, a jego wąsy unoszą się w uśmiechu.

— Mam dla ciebie dobrą wiadomość. Od dziś projekt „Morpho” rusza na nowo. Znalazłem ci nawet kandydata — uśmiecha się jeszcze szerzej. — Ścisłej mówiąc, kandydatkę.

— Dlaczego idealna?

— Osoba bez dokumentów, żadnej rodziny, żadnych powiązań... a przede wszystkim, w odpowiednim stanie psychicznym

Ackermann spojrzał na Mathilde: spojrzenie specjalisty. Potem znów zwrócił się do Anny:

— Nie wiem, co takiego widziałas tamtej nocy, ale musiało to być coś naprawdę strasznego. Byłaś w stanie całkowitego szoku. Zesztywnienie kataleptyczne całego ciała utrzymywało się jeszcze przez trzy dni. Reagowałaś drgawkami na każdy dźwięk. Najistotniejsze było jednak to, że wstrząs spowodował zakłócenie funkcjonowania pamięci. Nie byłaś w stanie powiedzieć, jak się nazywasz, skąd jesteś; nie potrafiłaś podać podstawowych danych znajdujących się w twoim paszporcie. Powtarzałaś tylko jakieś słowa bez ładu i składu. Ten zanik pamięci ułatwił mi zadanie. Mogłem dzięki temu znacznie szybciej zaimplantować ci nowe wspomnienia. Byłaś doskonałym królikiem doświadczalnym.

— Łajdak! — krzyknęła Anna. Przytaknął ruchem głowy, zamykając oczy.

— Co więcej, mówiłaś znakomicie po francusku. To nasunęło Charlierowi pewien pomysł.

— Jaki?

— Z początku zamierzaliśmy po prostu umieścić sztucznie wytworzone wspomnienia w umyśle osoby pochodzącej z innej kultury. Chcieliśmy zobaczyć, co z tego wyniknie. Na przykład, zmienić przekonania religijne muzułmanina albo wpoić mu przekonanie, że ma powody do zemsty. Jednak w twoim przypadku otwierały się znacznie szersze możliwości. Mówiłaś świetnie po francusku, wyglądałaś jak Europejka. Charlier podniósł więc poprzeczkę i zażądał całkowitego uwarunkowania. Miałem zatrzeć twoją dawną osobowość i zastosować sztucznie wygenerowaną tożsamość osoby wywodzącej się z innego kręgu kulturowego. Przerwał na chwilę; kobiety przyglądały mu się w milczeniu, czekając na ciąg dalszy.

— Najpierw spotęgowałem efekt amnezji, wstrzykując dużą dawkę valium. Potem zabrałem się za właściwe warunkowanie, za tworzenie twojej nowej osobowości przy użyciu tlenu-piętnaście.

258

— Jak to wyglądało? — spytała Mathilde.

Znów zaciągnął się dymem, nie spuszczać oczu z Anny.

— Przede wszystkim poddawałem cię działaniu informacji we wszystkich możliwych formach. Pokazywałem ci filmy, puszczałem teksty nagrane na taśmie. Przed każdym seansem wstrzykiwałem substancję promieniotwórczą. Wyniki były wręcz niewiarygodne. Wszystkie odbierane przez twój umysł informacje stawały się twoimi rzeczywistymi wspomnieniami. Z każdym dniem coraz bardziej stawałaś się prawdziwą Anną Heymes.

Jej czarna sylwetka odsunęła się wreszcie od filaru.

— To znaczy, że ona naprawdę istnieje?!

Wewnętrzny smród wzmagął się, przywodził na myśl zgniliznę. Tak,gnił za życia.

Jednocześnie głód amfetaminowy powoli wzbudzał panikę gdzieś w środku czaszki.

— Trzeba było zappełnić twoją pamięć spójnym zbiorem wspomnień. Najlepszym

sposobem na to było wykorzystanie osobowości kobiety istniejącej, jej biografii, jej zdjęć, kręconych z jej udziałem filmów wideo. Wybraliśmy Annę Heymes, ponieważ mieliśmy do dyspozycji tego rodzaju dokumentację.

— Kim ona jest? Gdzie jest prawdziwa Anna Heymes? Poprawił okulary.

— Kilka metrów pod ziemią. Nie żyje. Żona Heymesa popełniła samobójstwo pół roku temu. W pewnym sensie jej miejsce się zwolniło. Wszystkie twoje wspomnienia są jej wspomnieniami. Śmierć rodziców, rodzina na południu Francji, ślub w Saint-Paul-de-Vence. Studia prawnicze.

Światło znów zgasło i Mathilde ponownie je zapaliła.

— Chcieliście wprowadzić ją z powrotem do środowiska Turków? — spytała.

— Nie, to przecież nie miałyby żadnego sensu. To był po prostu eksperyment.

Pierwsza próba całkowitego uwarunkowania. Chcieliśmy sprawdzić, jak daleko można się posunąć.

— A potem? — spytała Anna. — Co chcieliście ze mną zrobić potem?

— Nie mam pojęcia. To już nie była moja sprawa. Oczywiście, skłamał. Pewnie, że wiedział, co ją czekało.

Cóż innego można było zrobić z tak kompromitującym króli-  
259

kiem doświadczalnym? Czekala ją lobotomia albo fizyczna eliminacja. Anna chyba również to rozumiała, bo kiedy znów przemówiła, jej głos był zimny jak ostrze noża.

— Kim jest Laurent Heymes?.

— Dokładnie tym, za kogo się podaje: dyrektorem Biura Studiów i Bilansów w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych.

— Dlaczego zgodził się na tę maskaradę?

— To wiąże się z jego żoną. Cierpiała na ostrą depresję. Laurent doszedł do wniosku, że powinna mieć zajęcie, i załatwił jej pracę w Ministerstwie Obrony. Zajmowała się tam jakimiś sprawami związanymi z Syrią. Pewnego pięknego dnia gwizdnęła plik dokumentów i próbowała je sprzedać przedstawicielom Damaszku, żeby potem uciec, nie wiadomo dokąd. Wariatka. Sprawa oczywiście wyszła na jaw, Anna załamała się i popełniła samobójstwo.

Mathilde skinęła głową.

— I właśnie ta historia umożliwiła wywieranie nacisku na Laurenta Heymesa, nawet po jej śmierci?

— Bał się skandalu. Oznaczałoby to koniec jego kariery. Żona urzędnika ministerialnego okazała się szpiegiem... Charlier miał całą dokumentację tej sprawy i trzymał Laurenta w rękę, tak jak wszystkich.

— Wszystkich?

— Alain Lacroux. Pierre Caracilli. Jean-Francois Gaude-mer. — Znów zwrócił się do Anny: — Cały ten krąg przyjaciół, złożony z wysoko postawionych funkcjonariuszy, uczestnicy cotygodniowych biesiad z twoim udziałem.

— A kim są naprawdę?

— Nikim, to marionetki, figuranci, skorumpowani policjanci. Charlier wiedział wszystko o ich machlojkach, musieli więc kłaść uszy po sobie i brać udział w tych spotkaniach.

— Ale po co te spotkania?.

— To był mój pomysł. Chciałem dokonać konfrontacji ze światem zewnętrznym, obserwować twoje reakcje. Wszystko było filmowane, rozmowy nagrywane. Musisz zrozumieć, że cała twoja egzystencja była sfalszowana: mieszkanie na Avenue Hoche, dozorczyńni, sąsiedzi... Wszystko było naszą kontrolą.

— Jakbym była szczurem w klatce.

Ackermann wstał i chciał się przejść, ale był uwięziony między otwartymi drzwiami samochodu i ścianą garażu. Opadł z powrotem na fotel.

— Ten program był naukową rewolucją — odparł chrapliwym głosem. — Nie było miejsca na roztrząsanie kwestii moralnych.

Anna podała mu kolejnego papierosa nad drzwiami samochodu. Wydawało się, że gotowa jest mu wybaczyć, o ile powie wszystko.

— A Maison du Chocolat?

Zapalając papierosa, zauważył, że drżą mu ręce. Wkrótce nastąpi kryzys, głód stanie się silniejszy od wszystkiego.

— To był jeden z problemów — powiedział zza chmury dymu — tym nas zaskoczyłaś.

Trzeba było również tam prowadzić obserwację. O ile wiem, zajmował się tym, między innymi, portier jakiejś restauracji, znajdującej się naprzeciwko...

— La Maree.

— Tak. La Maree.

— Kiedy pracowałam w Maison du Chocolat, przychodził tam pewien klient.

Wydawało mi się, że skądś go znam. To był policjant?

— Możliwe, nie znam szczegółów. Wiem tylko tyle, że zaczęłaś nam się wymykać.

Znów zapadła ciemność. Mathilde sięgnęła do kontaktu.

— Prawdziwy problem pojawił się wtedy, gdy zaczęły się te ataki — ciągnął Ackermann. — Od razu zorientowałem się, że coś poszło nie tak i że będzie coraz gorzej. Kłopoty z rozpoznawaniem twarzy były tylko pierwszym objawem; oznaczało to, że twoja dawna pamięć powraca.

— Dlaczego twarze?

— Nie mam pojęcia. To dopiero wstępna faza doświadczeń. Jego ręce drżały coraz mocniej. Usiłował się skoncentrować na tym, co mówi.

•— Kiedy Laurent przyłapał cię, jak obserwowałaś go w środku nocy, zrozumieliśmy, że objawy się wzmagają i że trzeba cię hospitalizować.

— Dlaczego chciałeś zrobić biopsję?

— Żeby mieć czyste sumienie. Nie można było wykluczyć że tak silne dawkowanie tlenu-piętnaście wywołało uszkodzenie tkanki. Musiałem zrozumieć to zjawisko! Przerwał, żalując, że podniósł głos. Miał wrażenie, że jego skóra doznaje gwałtownych skurczów, jakby pod wpływem wyładowań elektrycznych. Wyrzucił papierosa i wcisnął dłonie między uda, zastanawiając się, jak długo jeszcze wytrzyma.

Mathilde Wilcrau zadała kolejne pytanie:

— Gdzie prowadzą poszukiwania ludzie Charliera? Ilu ich jest?

— Nie wiem. Zostałem odsunięty. Laurent zresztą też, nawet nie mam już z nim kontaktu... Z punktu widzenia Charliera program został zamknięty. Jest tylko jedna sprawa do załatwienia: musisz zniknąć. Czytacie gazety i wiecie, co się dzieje w mediach i jak reaguje opinia publiczna, kiedy gdzieś bezprawnie zostanie założony podsłuch. Wyobraźcie więc sobie, co by się stało, gdyby wiadomość o tym dostała się do gazet.

— Jestem więc przeznaczona na odstrzał? — spytała Anna.

— Raczej do leczenia. Nie masz pojęcia, co się dzieje w twojej głowie. Musisz ujawnić się, oddać się w ręce Charliera. W nasze ręce. To dla ciebie jedyna szansa na wyzdrowienie i dla nas wszystkich na to, żebyśmy uszli z życiem!



Spojrzał na nie znad okularów. Ich sylwetki były rozmazane, wołał je widzieć w ten sposób.

— Na miłość boską, nie znacie Charliera! Jestem przekonany, że jego działania były całkowicie nielegalne. Teraz musi posprzątać. Nie wiem nawet, czy Laurent jeszcze żyje. Wszystko szlag trafi, o ile nie poddasz się leczeniu...

Zamilkł. To nie miało sensu, sam nie wierzył w taką możliwość. Mathilde powiedziała cicho:

— To wszystko nie wyjaśnia, w jakim celu zmieniliście jej twarz.

Ackermann uśmiechnął się blado; spodziewał się tego pytania od początku.

— Nie zmieniliśmy twojej twarzy.

— Co?

262

Znów popatrzył na nie przez szkła. Na twarzach obu kobiet malowało się zdumienie. Patrząc Annie prosto w oczy, powiedział:

— Kiedy cię znaleźli, wyglądałaś już tak jak teraz. Po pierwszym prześwietleniu od razu zauważyłem ślady operacji, implanty, śruby. To było niewiarygodne.

Przesłaś serię niezwykle kosztownych zabiegów plastycznych. Na coś podobnego nie mogłaby sobie pozwolić zwykła robotnica pracująca na czarno.

— Co to znaczy?

— Z tego wynika, że nie jesteś żadną robotnicą. Charlier i jego ludzie pomylili się. Myśleli, że zgarnęli jakąś nikomu nieznaną Turczynkę, a tymczasem jesteś kimś innym. To zakrawa na obłąd, ale myślę, że z jakichś powodów ukrywałaś się w Dzielnej Tureckiej, kiedy przypadkiem wpadłaś w ich ręce.

Anna wybuchnęła szlochem:

— To niemożliwe... niemożliwe... Kiedy to się wreszcie skończy?

— W pewnym sensie — w jego głosie był odcień złośliwej satysfakcji — ten fakt wyjaśnia powodzenie całej operacji. Nie jestem cudotwórcą. Nigdy nie zdołałbym dokonać całkowitej transformacji prostej robotnicy przybyłej z Anatolii.

Zwłaszcza w tak krótkim czasie. Tylko prostak, taki jak Charlier, mógł w to uwierzyć.

— A jak zareagował, kiedy powiedziałeś mu, że jej twarz została zmieniona? — spytała Mathilde.

— Nie powiedziałem mu tego. Ukryłem ten fakt przed wszystkimi. — Spojrzał na Annę. — Nawet w zeszłą sobotę, kiedy byłaś w instytucie, podmieniłem klisze.

Ślady po operacji były zbyt widoczne na wszystkich zdjęciach.

Anna otarła łzy.

— Dlaczego to zrobiłeś?

— Chciałem doprowadzić doświadczenie do końca. Była to okazja jedyna w swoim rodzaju. Stan twojej psychiki był Realny, pozwalał na to, by podjąć ryzyko. Dla mnie liczyły się tylko wyniki badań...

Anna i Mathilde słuchały go w osłupieniu.

263

Kiedy mała Kleopatra znów się odezwała, jej głos brzmiał sucho i beznamietnie.

— Jeśli nie jestem ani AnnąHeymes, ani SemąGokalp, kim w takim razie jestem?

— Nie mam pojęcia. Intelktualistką, uciekinierką polityczną... A może terrorystką.

Światłówki zgasły po raz kolejny. Mathilde nie poruszyła się. Otoczyły ich ciemności, gęste jak smoła. Przez głowę przemknęła mu myśl: „Myliłem się, jednak mnie zabiją”. Ale w mroku rozległ się głos Anny:

— Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Eric Ackermann domyślał

się, jaki będzie ciąg dalszy. Głos  
Anny rozległ się nagle tuż obok niego:  
— Oddasz mi to, co ukradłeś. Oddasz mi moją pamięć.

Część 8

42

Pozbył się młodego, i to już było coś.

Po wydarzeniach, jakie rozegrały się w okolicach dworca kolejowego, Jean-Louis Schiffer zaciągnął Paula Nerteaux do knajpy mieszczącej się naprzeciwko, noszącej nazwę La Stras-bourgeoise. Jeszcze raz wytłumaczył mu szczegółowo, w jakim kierunku powinno podążać ich śledztwo. Musieli jak najprędzej znaleźć pewną kobietę. W tej chwili nie miały znaczenia ani ofiary, ani zabójcy. Trzeba było możliwie szybko odszukać osobę, którą Szare Wilki tropiły już od pięciu miesięcy w Dzielnicy Tureckiej i na której ślad najwyraźniej dotąd nie udało im się natrafić.

Dyskutowali około godziny, wreszcie Paul Nerteaux poddał się i przyznał, że należy dokonać zwrotu o 180 stopni. Inteligencja i elastyczność młodego policjanta nie przestawała Schiffera zadziwiać. W końcu mały sam opracował nową strategię działania.

Po pierwsze. Na podstawie zdjęć dotychczasowych ofiar należy opracować portret roboczy poszukiwanej kobiety i rozpowszechnić go w Dzielnicy Tureckiej wraz z informacją, że Poszukuje się takiej osoby.

Punkt drugi. Zwiększyć liczbę patroli i zalecić im częstsze kontrole dokumentów w okolicach Małej Turcji. Mogło to nic nie dać, ale Paul Nerteaux uważał, że na poszukiwaną

267

osobę mogli równie dobrze natrafić zupełnie przypadkowo. Na przykład Toto Riina, szef szefów cosa nostra, został zatrzymany po dwudziestu pięciu latach bezowocnych poszukiwań, podczas rutynowego sprawdzania dokumentów, w centrum Palermo.

Po trzecie. Trzeba wrócić do Mariusa, szefa Iskele, i zapoznać się z całą jego kartoteką, żeby sprawdzić, czy ustalony rysopis nie pasuje do innych, figurujących w niej kobiet. Ten pomysł szczególnie się spodobał Schifferowi, choć on sam nie mógł się już pokazać u handlarza żywym towarem po tym, jak go potraktował podczas poprzedniego spotkania.

Podjął się za to wypełnienia punktu czwartego. Miał mianowicie odwiedzić Talata Gurdileka, u którego pracowała pierwsza z ofiar. Należało załatwić do końca kwestię przesłuchania pracodawców i Schiffer mógł się tym zająć.

Wreszcie punkt piąty, jedyny dotyczący samych zabójców. Poszukiwania w Urzędzie Imigracyjnym, na wypadek, gdyby odnotowano pojawienie się we Francji od listopada 2001 obywateli tureckich mających powiązania ze skrajną prawicą lub mafią. W tym celu trzeba będzie przejrzeć dokumenty dotyczące wszystkich Turków przybyłych do kraju w ciągu ostatnich pięciu miesięcy, porównać je z kartoteką Interpolu, a także zwrócić się do policji tureckiej z prośbą o informacje.

Schiffer nie wierzył, żeby to coś dało, a zwłaszcza, by dowiedzieli się czegoś od swoich tureckich kolegów, zbyt dobrze orientował się w ich ścisłych powiązaniach z Szarymi Wilkami. Pozwolił jednak młodemu mówić i nie hamował jego zapału.

W gruncie rzeczy nie wierzył w powodzenie żadnego z tych posunięć. Nie protestował jednak, ponieważ przyszedł mu do głowy pewien pomysł...

W drodze na Cite, gdzie Nerteaux zamierzał przedstawić swój nowy plan działania

sędziemu Bomarzo, zaryzykował i zaproponował, żeby się rozdzielili. Paul zajmie się rozprowadzeniem roboczego portretu poszukiwanej kobiety i przedstawi program działania policjantom z Dziesiątej Dzielnicy, tymczasem on złoży wizytę Gurdilekowi.

Młody kapitan powstrzymał się z odpowiedzią, chciał naj-268  
pierw porozumieć się z sędzią śledczym. Schiffer wynudził się \wiec jak mops, czekając na niego prawie dwie godziny w kawiarence naprzeciwko Pałacu Sprawiedliwości; w dodatku przez cały czas był pilnowany przez jednego z policjantów. Paul wyszedł ze spotkania w świetnym nastroju: Bomarzo wyraził zgodę na wprowadzenie w życie tej miniatury planu „Yigipira-te”. Najwyraźniej sędzia był podniecony zarysowującą się perspektywą i zgodził się na wszystko. Paul wysadził Schiffera o osiemnastej na bulwarze Magenta, w pobliżu dworca kolejowego. Umówili się na dwudziestą w kawiarni Sancak na ulicy Faubourg-Saint-Denis, gdzie Schiffer miał zdać sprawozdanie z wyników przesłuchania. Schiffer szedł teraz ulicą Paradis; wreszcie był sam i mógł działać! Mógł swobodnie oddychać atmosferą dzielnicy, wczuć się w „swoje” terytorium. Pod koniec dnia wszystko przybrało niezdrowy wygląd, było blade i jakby zeszywniałe. Blask zachodzącego słońca oświetlał okna i wyglądał jak złoty talk, makabryczny kosmetyk, który rozsypał się przy balsamowaniu zwłok... Schiffer rażno zmierzał na spotkanie jednej z najbardziej liczących się osobistości Małej Turcji. Talat Gurdilek znalazł się w Paryżu w latach sześćdziesiątych, miał wtedy siedemnaście lat i ani grosza przy duszy, teraz zaś był właścicielem około dwudziestu fabryk oraz szwalni we Francji i w Niemczech, a także dziesięciu automatycznych pralni i prasowni. Miał ogromne wpływy we wszystkich sferach Dzielnicy Tureckiej, tych oficjalnych i półoficjalnych, legalnych i nielegalnych. Słowem, liczyli się z nim wszyscy w całym getcie. Otworzył bramę oznaczoną numerem 58 i wszedł do mrocznego zaułka; środkiem uliczki biegł rynsztok, po obu stronach znajdowały się fabryczki i drukarnie, zewsząd dobiegał stukot maszyn. Na końcu uliczki znajdował się prostokątny dziedziniec, wyłożony kostką brukową. Skręcił w prawo i zszedł po schodkach. Znalazł się w drugim, wąskim przesmyku między budynkami; pod oknami, po obu stronach, wisiały obłazące z farby drewniane skrzynki na kwiaty. Uwielbiał ów zakątek, tak ukryty i nieznan nawet większości mieszkańców dzielnicy, w samym jej sercu, gdzie tak łatwo

269

było stracić orientację. Przejście zamykały żelazne, zardzewiałe drzwi. Dotknął ich dłonią; były ciepłe. Uśmiechnął się i zastukał.

Po dłuższej chwili otworzył mu jakiś mężczyzna, z otworu buchnęły kłęby pary. Schiffer rzucił kilka słów po turecku, odźwierny cofnął się, żeby go wpuścić. Policjant zauważył, że mężczyzna był bosy. Uśmiechnął się znowu; nic tu się nie zmieniło.

W środku panował piekielny zaduch; w białym świetle zobaczył znany widok: wyłożony fajansowymi płytkami korytarz, grube, ocieplone rury pod sufitem, owinięte dodatkowo szmatami w zielonym, chirurgicznym kolorze; strużki skroplonej pary, ściekające po kafelkach; wypukłe, żelazne drzwi w kolejnych pomieszczeniach, przypominające ściany kotłów, pomalowane na białą. Szli tak przez kilka minut. Schiffer słyszał chłopot własnych kroków na mokrej podłodze, jego ubranie zdążyło przesiąknąć wilgocią. Skręcili w kolejny korytarz, w którym było gęsto od pary; ściana po prawej stronie skończyła się i zobaczył pomieszczenie, z którego dochodził odgłos nienaturalnie głośnego

sapania.

Przez chwilę przyglądał się temu widowisku: pod sufitem, z przymocowanymi doń rurami i świetlówkami w wodoszczelnej obudowie, uwijało się około trzydziestu robotnic. Były bose, na twarzach miały białe maski; pracowały nad kadziami lub przy stołach do prasowania. Obłoki pary dobywały się w regularnym rytmie, atmosfera przesycona była smrodem detergentów i alkoholu.

Schiffer wiedział, że pompownia łaźni — hammamu — znajduje się w pobliżu, gdzieś pod ich stopami i że czerpie wodę z głębokości ponad ośmiuset metrów. Woda jest od-żelaziana, chlorowana i podgrzewana, następnie kierowana albo do samej łaźni, albo do tej nielegalnej pralni chemicznej. Gurdilek wpadł na pomysł, by umieścić zakład pralniczy tuż obok własnej łaźni, wykorzystując w ten sposób do dwóch różnych celów ten sam system kanalizacyjny. Chodziło o oszczędność; w ten sposób nie marnowała się ani kropla wody. Policjant potarł oczy, przyglądając się kobietom w maskach. 270

przemoczone fartuchy oblepiały ich piersi i pośladki, pełne i obszerne, takie jakie lubił. Stwierdził, że ma erekcję. Uznał to za dobry znak.

Ruszyli dalej.

Wciąż było gorąco i wilgotno. Schiffer wciągnął nozdrzami pewien szczególny zapach, który zaraz zniknął; przez moment myślał, że to złudzenie. Jednak po kilku krokach poczuł ów zapach znowu, tym razem wyraźniej.

Nie mógł się mylić.

Zaczął oddychać wolniej, drapało go w gardle i w nozdrzach. Jego drogi oddechowe poddane zostały sprzecznym bodźcom: miał wrażenie, jakby ssał kawałek lodu, a jednocześnie czuł żar w ustach. Zapach był odświeżający i jednocześnie palił, drażnił i orzeźwiał podczas tego samego wdechu.

Zapach mięty.

Teraz mięta ogarniała ich, Schiffera i jego przewodnika. Zalewała ich jak rzeka, jak morze. Wchłaniała ich. Optywała ze wszystkich stron. Dla Schiffera było to trudniejsze do zniesienia niż kiedyś. W płucach czuł lodowaty chłód, na twarzy maskę z gorącego wosku.

Dusił się niemal. Kiedy dotarli do końca korytarza, oddychał szybko i spazmatycznie. Miał wrażenie, że znalazł się wewnątrz gigantycznego inhalatora; wiedział zresztą, że nie jest to wrażenie bezpodstawne. Wszedł do sali tronowej. Był to płytki, pusty basen otoczony kolumienkami, odcinającymi się od obłoków pary. Obramowanie miał z błękitnych kafelków, takich samych jak na starych stacjach metra. Ściana naprzeciwko wyłożona była drewnem i ozdobiona motywami tureckimi: półksiężycami, krzyżami, gwiazdami.

Pośrodku basenu znajdowało się wzniesienie, na którym siedział mężczyzna.

Gruby, ocieężały, owinięty w pasie białym ręcznikiem. Jego twarz pogrążona była w mroku.

Pośród zapierających dech oparów rozległ się jego śmiech.

Śmiech Talata Gurdileka. Człowieka mięty. Człowieka 0 przepalonym głosem.

43

Wszyscy w Dzielnicy Tureckiej znali jego historię.

Przybył do Europy w roku 1961, ukryty w schowku pewnego samochodu cysterny, czyli w sposób klasyczny dla nielegalnych imigrantów. Jeszcze w Turcji zaspawano wejście do schowka; nielegalni pasażerowie musieli leżeć tak bez światła i powietrza przez całą drogę, a więc około czterdziestu ośmiu godzin.

Najpierw cierpieli z gorąca, potem, gdy przejeżdżali przez góry w Bułgarii, przemarzli do szpiku kości. Prawdziwy koszmar zaczął się jednak dopiero w

Jugosławii, kiedy z cysterny zaczął wyciekać kwas azotowy.

Ich metalowa trumna powoli wypełniała się toksycznymi oparami. Turcy krzyczeli, walili pięściami, ale ciężarówka nie zatrzymywała się. Talat zrozumiał, że nikt ich nie uwolni przed przybyciem do celu, a krzyki i miotanie się tylko spotęgują działanie trucizny.

Leżał więc spokojnie, starając się oddychać jak najwolniej i jak najpłycej.

Przekraczając granicę włoską, imigranci trzymali się za ręce i zaczęli się modlić. W okolicy granicy niemieckiej większość z nich już nie żyła. W Nancy schowek został otwarty i przerażony kierowca zobaczył trzydzieści trupów, leżących w kałużach uryny i ekskrementów, z ustami otwartymi w ostatnim, rozpaczliwym spazmie.

272

Przeżył tylko jeden z nich. Przyplącił to jednak całkowitym zniszczeniem systemu oddechowego. Doznał poparzeń tchawicy, krtani i wnętrza nosa; całkowicie stracił poczucie węchu. Miał przepalone struny głosowe, w związku z czym jego głos brzmiał odtąd tak, jakby ktoś drapał papierem ściernym szklaną szybę. Chroniczne zapalenie dróg oddechowych spowodowało, że musiał bezustannie wdychać ciepłe i wilgotne powietrze.

Szpitalny lekarz poinformował o tym nieszczęsnego imigranta za pośrednictwem tłumacza i jednocześnie powiadomił go, że za dziesięć dni zostanie repatriowany czarterowym samolotem do Istanbuhu. Po trzech dniach Talat Gurdilek uciekł, z twarzą owiazaną bandażami niczym mumia, i dostał do stolicy na piechotę.

W czasach, gdy był tylko młodym brygadzystą, nie rozstawał się z inhalatorem; kiedy Schifferowi zdarzało się z nim rozmawiać, przerywał każde zdanie, by zaczerpnąć gorącej pary. Potem nosił specjalną przezroczystą maskę, tłumiącą jego skrzekliwy głos. Później stan jego zdrowia jeszcze się pogorszył, poprawił się natomiast znacznie stan jego finansów. Pod koniec lat osiemdziesiątych Gurdilek zakupił hammam pod nazwą Błękitna Brama przy ulicy Faubourg-Saint-Denis i urządził sobie w nim pomieszczenie do osobistego użytku. Było to coś w rodzaju ogromnego płuca, przesyconego parą o zapachu mięty.

— Salam alejkum, Talat. Wybacz, że przeszkadzam ci podczas ab łucji.

Mężczyzna znów się roześmiał zza obłoków pary.

— Alejkum salom, Schiffer. Wróciłeś pomiędzy martwych? Głos Turka brzmiał jak trzask palących się gałęzi.

— To raczej umarli wezwali mnie do powrotu. •— Spodziewałem się twojej wizyty. Schiffer zdjął płaszcz, który był już całkiem mokry, i zszedł schodkami na dno basenu.

— Wygląda na to, że wszyscy na mnie czekali. Co możesz mi powiedzieć o tych zabójstwach?

Turek westchnął ciężko, jakby ktoś pocierał żelazem o żelazo.

•— Kiedy opuszczałem kraj, matka lała wodę na moje ślady.

W ten sposób wyznaczała drogę losu, która miała przyprowadzić

273

mnie z powrotem, ale ja nie wróciłem. Zostałem w Paryżu i od tego czasu sprawy mają się coraz gorzej. Nic nie układa się tak jak powinno.

Policjant stał dwa metry od Gurdileka, lecz wciąż nie mógł dostrzec jego rysów.

— Wygnanie to ciężki kawałek chleba, jak powiada poeta. A ja od siebie dodam, że coraz cięższy i cięższy. Kiedyś traktowano nas jak psy. Wykorzystywano, okradano, aresztowano. Teraz zabijają nasze kobiety. Do czego to dojdzie?

Schiffer nie miał nastroju na tę bazarową filozofię.

— Ty tutaj wyznaczasz granice — odpowiedział. — Trzy robotnice zginęły na twoim terytorium, jedna z nich pracowała w twojej fabryce. Czy to nie przesada? Gurdilek rozłożył ręce w bezradnym geście.

— Jesteśmy na terytorium Francji. Wasza policja powinna nas bronić.

— Nie rozśmieszaj mnie. Na tym terenie działają Wilki i ty dobrze o tym wiesz. Kogo szukają? I dlaczego?

— Nie wiem.

— Nie chcesz wiedzieć.

Przez chwilę panowała cisza, w której słychać było tylko niski, rżący oddech Turka.

— W tej dzielnicy ja rządzę — powiedział wreszcie — ale nie w moim kraju. Ta sprawa ma swe korzenie w Turcji.

— Kto ich nasłał? — zapytał Schiffer głośniej. — Rodziny z Istambułu? Rodziny z Antep? Lazowie? Kto?!

— Schiffer, przysięgam ci, że nie wiem.

Policjant podszedł bliżej. Coś poruszyło się w oparach mgły przy brzegu basenu: straż przyboczna. Zatrzymali się natychmiast, wciąż nie mógł dostrzec twarzy Gurdileka. Widział tylko zarysy ramion, ręce, tułów. Matową, ciemną skórę, pomarszczoną od wilgoci jak krepina.

— Więc pozwolisz, żeby trwała ta masakra?

— Skończy się, gdy załatwią swoją sprawę; kiedy znajdą tę dziewczynę.

— Albo kiedy ja ją znajdę. Ciemna sylwetka poruszyła się.

274

— To ty mnie nie rozśmieszaj. Sprawa przerasta twoje możliwości, mój przyjacielu.

— A kto może mi dopomóc?

— Nikt. Gdyby ktokolwiek coś wiedział, dawno by już powiedział. Ale nie tobie. Im. Wszyscy marzą tylko o jednym: o świętym spokoju. Schiffer zastanowił się przez chwilę. Gurdilek mówił prawdę. To było jedno z tych pytań, które nie dawały mu spokoju. W jaki sposób ta kobieta mogła ukrywać się nie tylko przed Wilkami, ale i przed całą społecznością? I dlaczego bojówkarze Wilków szukali jej wciąż w tej dzielnicy? Skąd wiedzieli, że nadal gdzieś tu się ukrywa?

Zmienił temat.

— Jak to się odbyło w twojej fabryce?

— Byłem wtedy w Monachium...

— Bez wygłupów, Talat. Chcę znać wszystkie szczegóły.. Turek westchnął z rezygnacją.

— Wpadli tu w nocy, trzynastego listopada.

— O której?

— O drugiej nad ranem.

— Ilu ich było?

— Czterech.

— Ktoś widział ich twarze?

— Byli zamaskowani. Dziewczyny opowiadały, że byli uzbrojeni po zęby, w broń maszynową i pistolety.

Facet w kurtce Adidasa mówił to samo. Zamaskowani komandosi w samym centrum Paryża. W ciągu czterdziestu lat pracy w policji nie słyszał o czymś podobnym.

Kim musiała być ta kobieta, żeby posłano w pościg za nią taki szwadron śmierci?

— Co dalej? — spytał.

— Zgarnęli dziewczynę i zniknęli, nic więcej. Wszystko trwało najwyżej trzy minuty.

— Jak ją rozpoznali?

— Mieli zdjęcie.

Schiffer cofnął się o krok i wyrecytował:

— Nazywała się Zeynep Tutengil. Miała dwadzieścia siedem lat. Jej mąż nazywał się Burba Tutengil. Nie mieli dzieci.

275

Mieszkała na ulicy Fidelite 34. Pochodziła z okolic Gazianten Była tu od września dwa tysiące pierwszego.

— Odwaliłeś kawał dobrej roboty, mój przyjacielu. Tym razem jednak doprowadzi cię to donikąd.

— Gdzie jest jej mąż?

— Wrócił do kraju.

— A inne robotnice?

— Zapomnij o sprawie. Nie połapiesz się w tym bagnie.

— Przestań mówić zagadkami.

— Za naszych czasów wszystko było proste. Wiadomo było, kto jest po której stronie. Teraz nie ma już takich granic.

— O czym ty mówisz, do cholery?!

Talat Gurdilek milczał przez chwilę, zanurzony w kłębach pary. Wreszcie wyskrzeczwał:

— Jeśli chcesz wiedzieć więcej, spytaj policjantów. Schiffer wzdrygnął się.

— Policjantów? Jakich policjantów?

— Opowiedziałem już to wszystko chłopakom z Louis--Blanc.

Schiffer poczuł, że opary mięty palą go jeszcze mocniej.

— Kiedy?

Gurdilek nachylił się ku niemu ze swego porcelanowego tronu.

— Posłuchaj mnie, Schiffer, bo drugi raz tego nie powtórzę. Po drodze Wilki natrafiły na patrol policyjny. Był pościg, ale zabójcy zdołali się wymknąć.

Potem jednak gliniarze zajrzeli tutaj.

Schiffer słuchał jego opowieści, nie wierząc własnym uszom. Przez chwilę przypuszczał, że Nerteaux zataił przed nim jakiś protokół, ale przecież nie miał żadnego powodu. Młody po prostu o niczym nie wiedział.

— Dziewczyny tymczasem uciekły — ciągnął głos dobywający się z krateru. — Policja stwierdziła tylko wtargnięcie i szkody. Mój brygadzysta nie mówił nic o porwaniu ani o komandosach. W ogóle nic by nie powiedział, gdyby nie tamta dziewczyna.

Schiffer nadstawił uszu. — Tamta dziewczyna?

276

— Policjanci znaleźli jedną z robotnic, która schowała się w głębi, za maszynami.

Niewiarygodne. Istniała jakaś kobieta, która na samym początku sprawy widziała Szare Wilki. Została przesłuchana na komisariacie. Jakim cudem Nerteaux mógł o tym nie wiedzieć? Teraz był już pewny: gliniarze z posterunku zataili przed nim protokół. Kurwa mać.

— Jak się nazywała ta kobieta?

— Sema Gokalp.

— Ile miała lat?

— Koło trzydziestki.

- Mężatka?
- Nie, dziwna dziewczyna, trzymała się na uboczu.
- Skąd pochodziła?
- Gaziantep.
- Tak jak Zeynep Tiitengil?
- Jak wszystkie dziewczyny z pralni. Pracowała u mnie od kilku tygodni. Dokładniej, od października.
- Widziała porwanie?
- Lepiej niż ktokolwiek inny. Obie dziewczyny regulowały temperaturę w pomieszczeniu kanalizacyjnym. Wilki zgarnęły Zeynep. Sema schowała się we wnęce. Kiedy policjanci ją znaleźli, była w szoku. Nieprzytomna ze strachu.
- I co dalej?
- Nigdy więcej o niej nie słyszałem.
- Odesłali ją do Turcji?
- Nie mam pojęcia.
- Odpowiedz, Talat. Przecież na pewno się dowiadywałeś.
- Sema Gokalp znikła. Następnego dnia nie było jej już na komisariacie. Zniknęła bez śladu. Yemim ederim. Przysięgam! Schiffer pocił się coraz bardziej.
- Kto był dowódcą patrolu? — spytał, próbując panować nad swoim głosem.
- Beauvanier.

Christophe Beauvanier był jednym z kapitanów z komisariatu Louis-Blanc. Pasjonował się kulturystyką<sup>^</sup> wszystkie wolne chwile spędzał na siłowni. Nie był to typ gliniarza, który wzięłby

277

na siebie taką historię. Trzeba było szukać wyżej... Schiffer poczuł dreszcz emocji.

Wydawało się, że Turek czytał w jego myślach.

- Oni ukrywają prawdę, Schiffer.
- Gadasz bzdury.
- Mówię prawdę i ty dobrze o tym wiesz. Usunęli świadka. Kobieta, która wszystko widziała. Być może, widziała twarz jednego z zabójców albo jakiś inny szczegół, który pomógłby ich zidentyfikować. Policja kryje zabójców, to oczywiste. Pozostałe morderstwa zostały dokonane z jej błogosławieństwem. Możesz już nie udawać rycerza sprawiedliwości. Nie jesteście lepsi od nas. Schiffer starał się nie przetykać śliny, żeby nie drażnić gardła jeszcze bardziej. Gurdilek mylił się: Turcy nie mieli wpływów wśród wyższych oficerów policji francuskiej. On akurat dobrze o tym wiedział, bo przez dwadzieścia lat pełnił rolę pośrednika pomiędzy tymi dwoma światami. Musiało więc być jakieś inne wytłumaczenie. Był jednak pewien szczegół, który go niepokoił, bo dziwnie pasował do nieprawdopodobnej skądinąd teorii, że ktoś na górze w policji maczał w tym palce. Śledztwo w sprawie trzech zabójstw powierzono Paulowi Nerteaux, oficerowi bez doświadczenia, nie znającemu środowiska. Młody był przekonany, że obdarzono go wielkim zaufaniem, gdy tymczasem przydzielenie go do takiego zadania było niemal równoznaczne z odłożeniem sprawy do lamusa.
- Myślał gorączkowo: jeżeli tak było naprawdę, jeśli miało się okazać, że francuska policja współpracuje z tureckimi mordercami, jeżeli rzeczywiście jakieś siły polityczne obu krajów załatwiały swoje brudne interesy kosztem życia tych nieszczęsnych dziewczyn, to on, Schiffer, zrobi wszystko, żeby pomóc



młodemu, aż do końca.

Dwóch przeciw wszystkim. To mu się nawet podobało.

Pożegnał Gurdileka, skłonił się i ruszył w drogę powrotną-

Poprzez opary mgły dobiegł go jeszcze śmiech Turka.

— Czas posprzątać we własnym domu, przyjacielu.

44

Schiffer popchnął ramieniem drzwi i wszedł do komisariatu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę. Był przemoczony do suchej nitki, ale rozkoszował się ich zdumieniem. Dwie grupy krawężników w nieprzemakalnych płaszczach przygotowywały się do wyjścia. Odziani w skórzane kurtki porucznicy zakładali czerwone opaski. Wielkie manewry właśnie się rozpoczęły.

Zobaczył ryzę portretów pamięciowych na stole. Pomyślał przez chwilę o Paulu Nerteaux, który w tej chwili rozdawał je wszystkim policjantom niczym ulotki, ani przez sekundę nie podejrzewając, że ktoś wystawił go do wiatru. Znowu poczuł przypływ złości.

Nie mówiąc ani słowa, wszedł na pierwsze piętro. Podszedł do trzecich drzwi w korytarzu i otworzył je.

Beauvanier nie zmienił się ani trochę. Potężnie zbudowany, w czarnej, skórzanej kurtce i butach Nike na grubej podeszwie. Wyraźnie cierpiał na pewną dziwną dolegliwość, coraz częściej spotykaną u policjantów: usiłował sobie wmówić, że jest młodszy, niż był. Miał już prawie pięćdziesiątkę, a wciąż zgrywał się na wyluzowanego rapera.

Właśnie mocował futerał do pasa, przygotowując się do wyjścia.

— Schiffer? — Aż zachłysnął się ze zdumienia. — Co ty tu robisz?

— Co słyszeć, kotku?

279

Nie dając Beauvanierowi czasu na odpowiedź, Schiffer chwycił go za klapy kurtki i przycisnął do ściany. Koledzy pojawili się już w pokoju i chcieli przyjść mu z pomocą, ale Beauvanier machnął uspokajająco ręką nad głową napastnika.

— Wszystko w porządku, chłopaki. To kumpel. Schiffer przysunął twarz do jego twarzy.

— Sema Gokalp. Noc z trzynastego na czternastego listopada zeszłego roku.

Hammam Gurdileka.

Żrenice policjanta rozszerzyły się, usta zadrżały. Schiffer stuknął jego głową o ścianę. Policjanci rzucili się ku nim, już czuł dłonie zaciskające się na jego ramionach, ale Beauvanier znowu odgonił ich ruchem ręki i wybuchając wymuszonym śmiechem, powiedział:

— To przyjaciel, przecież mówiłem. Wszystko w porządku! Zostawili ich, usłyszał oddalające się kroki. W końcu drzwi

się zamknęły, powoli, jakby niechętnie. Schiffer puścił wreszcie Beauvaniera i spytał spokojniejszym głosem:

— Co zrobiłeś ze świadkiem? W jaki sposób ją usunąłeś?

— Mań, to nie tak. Nikogo nie usunąłem...

Schiffer cofnął się, by lepiej go widzieć. Beauvanier miał wyjątkowo delikatne rysy twarzy, właściwie kobiece: bardzo czarne włosy i bardzo błękitne oczy.

Przypominał Cyfrze pewną Irlandkę, narzeczoną z czasów młodości, typ blacklrish, która, w przeciwieństwie do swych rudowłosych koleżanek, umiejętnie wykorzystywała atuty własnej urody, ubierając się na czarno i biało.

Gliniarz raper miał na głowie baseballówkę, odwróconą daszkiem do tyłu, pewnie

po to, żeby nadać sobie bardziej zadziorny wygląd.

Schiffer przysunął krzesło i posadził go na nim siłą.

— Słucham. Chcę znać wszystkie szczegóły. Beauvanier próbował się uśmiechnąć, ale niezbyt mu się to udało.

— Tamtej nocy samochód patrolowy natknął się na bmw, jacyś faceci, którzy wychodzili z Błękitnej Bramy i...

— To wszystko wiem. Kiedy tam się pojawiłeś?

— Pół godziny później, chłopaki mnie wezwali. Dołączyłem do nich u Gurdileka.  
280

— To ty znalazłeś dziewczynę?

— Nie, znaleźli ją wcześniej. Była cała mokra. Wiesz, jak tam jest, wszystkie te kobitki...

— Opisz ją.

— Drobna, brunetka. Chuda jak szczapa. Szczękała zębami i bełkotała coś bez sensu, po turecku.

— Mówiła wam, co widziała?

— A skąd, ona nawet nas nie widziała. Kobitka była w szoku. Beauvanier nie kłamał, Schiffer był tego pewien. Chodził tam i z powrotem po pokoju, nie przestając mu się przyglądać.

— A, twoim zdaniem, co się wydarzyło w hammamie?

— Nie wiem. Jakaś próba wymuszenia okupu. Ktoś chciał go postraszyć.

— Kogo, Gurdileka? A kto by się ośmielił?

Oficer poprawił na sobie kurtkę, jakby ugniatał go jej kołnierz.

— Z Turkami nigdy nic nie wiadomo. Może pojawił się jakiś nowy klan w dzielnicy? Albo może to sprawka Kurdów? Mań, to ich biznes. Gurdilek nawet nie złożył skargi. Spisaliśmy protokół umorzenia i...

To było oczywiste: ci z Błękitnej Bramy nic nie powiedzieli o porwaniu Zeynep ani tym bardziej o Szarych Wilkach. Tak więc Beauvanier naprawdę wierzył w swoją hipotezę i próbę wymuszenia okupu. Nikt nie powiązał tej „wizyty” w łaźni z pierwszymi zwłokami, które odnaleziono dwa dni później.

— Co zrobiłeś z Semą Gokalp?

— Na komisariacie daliśmy jej suche ubranie i okryliśmy ją kocami. Trzęsa się na całym ciele. Miała paszport zaszyty w spodnicy. Nie miała wizy. Prosta sprawa: puściłem faks do Urzędu Imigracyjnego i wysłałem raport do kwatery głównej na placu Beauvau, tak na wszelki wypadek. Potem nic, tylko czekałem.

— I co dalej?

Beauvanier westchnął, wsuwając palec pod kołnierz kurtki.

— Ciągłe się trzęsa, właściwie coraz gorzej. Szczękała zębami, nie była w stanie nic przełknąć. Wreszcie koło piątej nad ranem postanowiłem zawieźć ją do Sainte-Anne.

— Musiałeś sam jechać? Dlaczego nie posłałeś jej jakimś radiowozem?

281

— Te głupki chciały ją wsadzić w kaftan bezpieczeństwa. A poza tym... no, nie wiem. Ta dziewczucha miała w sobie coś takiego... Wypełniłem formularz i zgarnąłem ją do wozu.

Ucichł, ciągle drapał się w kark. Schiffer dopiero teraz zauważył głębokie ślady trądziku. Ćpun, pomyślał.

— Następnego ranka zadzwoniłem do gostków z VPE i skierowałem ich do Sainte-Anne. W południe zatelefonowali do mnie i powiedzieli, że dziewczyny już tam nie

ma.

— Zwiąła?

— Nie, o dziesiątej przyjechali po nią gliniarze.

— Jacy gliniarze?

— Nie uwierzysz.

— Spróbuj, może uwierzę.

— Lekarz dyżurny mówi, że to byli goście z DNAT\*.

— Antyterrorysty?!

— Pojechałem sprawdzić. Przedstawili nakaz transferu, wszystko zgodnie z regulaminem.

Niezły fajerwerk z okazji powrotu na łono firmy. Schiffer usiadł na blacie biurka. Przy każdym ruchu wiało od niego miętą.

— Skontaktowałeś się z nimi?

— Tak, próbowałem. Tylko że oni raczej mało gadają. Z tego, co zdołałem skumać, mój raport wpadł im w ręce, a później Charlier wydał polecenie.

— Philippe Charlier?

Kapitan skinął głową. Wyglądało na to, że cała ta historia go przerasta.

Charlier był jednym z pięciu komisarzy Brygady Antyterrorystycznej, ambitnym policjantem, którego Schiffer znał jeszcze z czasów, gdy w roku 1977 znalazł się w Brygadzie do spraw Zwalczania Przystępczości Zorganizowanej. Kompletny łajdak. Może nawet bardziej bystry niż on sam, ale na pewno nie mniej brutalny.

— No i co?

— No i nic. Na tym się skończyło.

— Nie rób sobie ze mnie jaj.

Beauvanier zawahał się, na jego czole pojawiły się kropelki potu. Wzrok miał wbity w podłogę.

Division Nationale Antiterroriste — brygada antyterrorystyczna.

282

\_\_Następnego dnia zadzwonił do mnie sam Charlier. Zadał mi mnóstwo pytań: gdzie znaleźli tę Turczynkę, w jakich okolicznościach i tak dalej.

— Co mu odpowiedziałeś?

— Powiedziałem wszystko, co wiedziałem.

To znaczy nic, głupolu, pomyślał Schiffer. Gliniarz w base-ballówce dokończył;

— Charlier powiedział, że sam zajmie się tą sprawą, że przekaże ją do prokuratury, do nadzoru cudzoziemców, krótko mówiąc, według zwykłej procedury. Dał mi też do zrozumienia, że bym lepiej trzymał gębę na kłódkę.

— A masz jeszcze ten swój raport?

Na zatroskanej twarzy Beauvaniera pojawił się uśmiech.

— A jak myślisz? Przyszli po niego tego samego dnia.

— A rejestr zatrzymanych? Uśmiech przerodził się w śmiech.

— Jaki rejestr? Mań, wszystko skasowali. Nawet nagrania rozmów przez radio. Po prostu i zwyczajnie.

— Ale dlaczego?

— A skąd ja mam wiedzieć? Ta dziewczucha nie miała nic do opowiedzenia. Była kompletnie roztrzęsiona.

— A dlaczego nic nikomu nie mówiłeś? Policjant zniżył głos.

— Charlier ma mnie w ręku. To stara historia... Schiffer szturchnął go przyjaźnie w ramię i wstał. Przeżuwał

zdobyte informacje, przechadzając się po pokoju. To nieprawdopodobne, ale porwanie Semy Gokalp przez DNAT należało do jakiejś innej sprawy, która nie miała nic wspólnego z serią zabójstw i Szarymi Wilkami. Nie zmieniało to jednak faktu, że Sema Gokalp była niezwykle ważnym świadkiem w jego śledztwie i musiał ją znaleźć, ponieważ z pewnością coś widziała lub coś wiedziała.

— Wracasz do służby? — spytał nieśmiało Beauvanier.

Schiffer poprawił swój przemoczony płaszcz, nie odpowiadając na pytanie.

Zauważył jeden z portretów sporządzonych przez Paula Nerteaux, leżący na biurku.

Chwycił go niczym łowca nagród z westernu i zapytał:

•— Pamiętasz, jak nazywał się lekarz, który przyjął Semę do Sainte-Anne?

283

— No pewnie. Jean-François Hirsch. Załatwił mi parę razy jakąś receptę...

Schiffer nie słuchał go już. Skupił się na portrecie. Wizerunek stanowił syntezę twarzy trzech ofiar. Szerokie, łagodne rysy, rude włosy. Przypomniawszy mu się fragment tureckiego poematu: „Padyszach miał jedyną córkę/ Piękną jak księżyc czternastego dnia...”.

Beauvanier zadał kolejne pytanie:

— Historia z Błękitną Bramą ma coś wspólnego z tą kobitką? Schiffer wetknął portret do kieszeni. Chwycił za daszek

czapki policjanta i przekreślił go na właściwe miejsce.

— Mań, jak cię o to pytają, na pewno im coś wyrapujesz, no nie?

45

Szpital Sainte-Anne, dziewiąta wieczorem.

Dobrze znał to miejsce. Ulica Broussais 17. Długi, kamienny mur ogrodzenia, niewielka brama, równie dyskretna jak wejście dla artystów w jakimś teatrze.

Teren ogromny, pofałdowany, istny labirynt. Za murem, cały kompleks bloków i pawilonów reprezentujących wszystkie możliwe style architektoniczne, dawne i nowe. Istna forteca, odgradzona od świata ludzi normalnych.

Wyglądało na to, że tego wieczoru była nieco mniej pilnie strzeżona niż zwykle.

Już na pierwszych budynkach zobaczył plakaty głoszące: STRAJK STPvAŻNIKÓW, CHCEMY PRACOWAĆ, i dalej: PRECZ Z NADGODZINAMI, RTT = OSZUSTWO, DNI WOLNE, ALE

DLA KOGO?.

Schifferra rozbawiła myśl o strajku szpitalnych strażników; przez chwilę wyobrażał sobie, jak pacjenci największej kliniki psychiatrycznej Paryża biegają we wszystkie strony, nie pilnowani przez nikogo. Kompletny chaos, chorzy zajmujący przez tę jedną noc miejsce swoich lekarzy... Oczywiście, nic takiego się nie działo, całe szpitalne miasteczko wyglądało jak wymarłe, po drodze nie spotkał nikogo.

Czerwone strzałki wskazywały drogę na ostry dyżur neurochirurgiczny i neurologiczny. Idąc za nimi, zwrócił uwagę na nazwy alei. Najpierw szedł aleją Guy de Maupassanta, a teraz zaułkiem Edgara Allana Poe. Zastanowił się, czy to

przejaw

285

poczucia humoru ze strony kogoś, kto nadawał te nazwy? Mau-passant przed śmiercią pogrążył się w szaleństwie, autor „Czarnego kota” był alkoholikiem, i także raczej nie zakończył swych dni w pełni psychicznego zdrowia. W miastach, gdzie rządzą komuniści, ulice nazywano imieniem Karola Marksa czy Pabla Nerudy. W Sainte-Anne patronami uliczek byli wybitni szaleńcy. Schiffer zaśmiał się pod nosem, starając się nie wypaść z roli

twardego gliniarza, ale już czuł, jak zaczyna ogarniać go lęk. Zbyt wiele źle zabliznionych ran, zbyt wiele wspomnień wiązało się z tymi murami.

Miał zaledwie dwadzieścia lat, gdy wylądował w jednym z tych budynków. Było to po wojnie w Algierii. Nerwica wojenna, taka była diagnoza. Spędził tu kilka miesięcy, prześladowały go halucynacje i myśli samobójcze. Inni, którzy razem z nim pracowali w Algierze w Oddziałach Operacyjnych Ochrony, nie wahali się. Pamiętał tego chłopaka z Lilie, który powiesił się zaraz po powrocie do domu. I jeszcze tego Bretoń-czyka, który siekierą odciał sobie prawą dłoń, gdy znalazł się w rodzinnym gospodarstwie — tę dłoń, która podłączała elektrody, która przytapiała w zlewie głowy przesłuchiwanym. W hallu było pusto.

Obszerne pomieszczenie o ścianach w kolorze owocu granatu, mięszu krwawej pomarańczy. Schiffer nacisnął na dzwonek; po chwili pojawiła się pielęgniarka o staroświeckim wyglądzie: w białym fartuchu ściśniętym w pasie, czepku i okularach o podwójnej ogniskowej.

Uniosła brwi na widok jego zszarganego ubrania, pokazał jej więc legitymację i wytłumaczył, co go sprowadza. Bez słowa udała się na poszukiwanie doktora Jean-François Hirscha.

Usiadł na jednym z krzeseł przymocowanych do ściany. Nie potrafił powstrzymać fali wspomnień, wydawało mu się, że ściany pociemniały...

Rok 1960.

Kiedy znalazł się w Algierze i został oficerem informacyjnym, nawet nie próbował uchylać się od zadań ani też uciekać

w alkohol. Wręcz przeciwnie, zabrał się ostro do roboty, pracował dniem i nocą w przekonaniu, że sam jest panem swojego losu. Wojna zmusiła go do dokonania jedyne go najważniejszego wyboru: musiał opowiedzieć się po którejś ze stron. Potem nie mógł już się cofnąć ani zmienić zdania. Nie mógł też się mylić; w przeciwnym razie musiałby sobie strzelić w łeb.

Torturował przez całą dobę, wyciągając od jeńców zeznania. Najpierw stosował metody tradycyjne, takie jak bicie, prąd czy przytapienie, ale z czasem opracował własne techniki. Aranżował fikcyjne egzekucje, wywożąc za miasto więźniów z przewiazanymi oczami, widział, jak robią pod siebie ze strachu, gdy przytykał im lufę pistoletu do skroni. Sporządzał koktajle na bazie kwasu, które wlewał im przez lejek do gardła. Wynałazł nowe zastosowanie dla narzędzi medycznych, które ukradł ze szpitala, na przykład pompy brzusznej używał do wstrzykiwania wody w nozdrza ofiar...

Strach był materiałem, który modelował, rzeźbił, któremu nadawał coraz intensywniejsze kształty. Kiedy postanowił wykrwawiać swych więźniów, żeby ich osłabić, a zarazem — przekazywać krew ofiarom zamachów, poczuł niezwykle zawrót głowy. Czuł, że staje się kimś w rodzaju Boga, decydującego o życiu i śmierci.

Czasem, kiedy siedział sam w pokoju przesłuchań, śmiał się do siebie; upojony władzą, wpatrywał się z zachwytem w resztki krwi, pozostałe na jego palcach.

Miesiąc później, oniemiał. Repatriowano go do Francji. Miał całkowicie sparaliżowane szczęki i nie potrafił wykrztusić ani słowa. Został hospitalizowany właśnie w Sainte-Anne, w budynku przeznaczonym wyłącznie dla ludzi okaleczonych wojną. Na korytarzach rozbrzmiewały głośnie jęki, podczas każdego posiłku ktoś wymiotował.

Zamknięty w murach milczenia, Schiffer umierał ze strachu. Był całkowicie zdezorientowany, nie wiedział, gdzie się znajduje, czasami wydawało mu się, że inni chorzy są więźniami, których torturował. Przemykał pod ścianami, żeby nie

mogły go dostrzec jego ofiary.

Nocą halucynacje przeradzały się w koszmary. Wykrwawieni nadzy mężczyźni, spoczywający na krzesłach, genitalia spalone Prądem, szczęki łamiące się o krawędź zlewu, krwawiące

287

nozdrza... Właściwie nie były to wizje, tylko wspomnienia Najczęściej powracał obraz tego mężczyzny, który wisiał głową w dół, a on rozbił kopnięciem jego czaszkę. Budził się zlany potem i wtedy wydawało mu się, że wciąż jest ochlapany mózgiem. Rozglądał się po pokoju i widział gładkie ściany piwnicy, świeżo zainstalowaną wannę i stojący na stole nadajnik radiowy ANGRC 9, zwany popularnie gegene.

Lekarze wytłumaczyli mu, że tego rodzaju wspomnień nie da się zepchnąć do podświadomości. Poradzili, żeby raczej wyszedł im naprzeciw, żeby każdego dnia poświęcał im uwagę, skupiał się na nich przez jakiś czas. Ten sposób postępowania odpowiadał mu; stawiał czoło swoim zadaniom tam, w Algierii, kiedy trzeba było działać, i nie zamierzał mazgaić się teraz, kiedy było już po wszystkim, nie chciał być jednym z ludzkich wraków. Podpisał zwolnienie ze szpitala i rozpoczął życie w cywilu. Zgłosił się do pracy w policji, zatajając pobyt w szpitalu psychiatrycznym; stopień sierżanta i odznaczenia wojskowe przemawiały na jego korzyść. Również kontekst polityczny był odpowiedni. W Paryżu OAS dokonywała kolejnych zamachów, szukano ludzi, którzy byliby w stanie toczyć wojnę z terrorystami. Szczególnie potrzebni byli tacy, którzy mieli nosa do działania w terenie, a on do tego nadawał się znakomicie. Jego wyczucie ulicy od razu zaczęło dawać rezultaty, jego metody również. Zawsze pracował sam, bez niczyjej pomocy; liczyły się tylko wyniki: Wyniki, które uzyskiwał przemocą. Odtąd jego życie toczyło się ustalonym torem. Ufał tylko i wyłącznie sobie. Był ponad prawem, ponad innymi ludźmi. Sam stanowił prawo. Zawarł swego rodzaju pakt z rzeczywistością: jego słowo przeciwko całemu gównianemu światu. — Czym mogę służyć?

Drgnął na dźwięk głosu. Wstał i przyjrzał się nowo przybyłemu.

Jean-François Hirsch był wysoki, mierzył ponad metr osiemdziesiąt, i wąski. Jego długie ramiona kończyły się wielkimi dłońmi. Dwie przeciwwagi, pomyślał Schiffer, stabilizujące jego sylwetkę. Głowa otoczona ciemnymi kręconymi włosami; kolejny element równowagi... Nie miał na sobie fartucha, tylko płaszcz z lodenu. Najwyraźniej wybierał się do domu. 288

Schiffer przedstawił się, nie wyjmując legitymacji.

— Jean-Louis Schiffer. Mam do pana kilka pytań, to potrwa zaledwie parę minut.

— Właśnie skończyłem dyżur i już jestem spóźniony. To nie może poczekać do jutra?

Głos również wyrażał równowagę. Niski. Stabilny. Solidny.

— Przykro mi — odpowiedział policjant. — To pilna sprawa.

Lekarz zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów. Intensywny zapach mięty wznosił się między nimi jak parawan. Hirsch westchnął i usiadł na jednym z krzesel.

— O co chodzi? Schiffer stanął przed nim.

— O Turezynkę, którą pan badał czternastego listopada dwa tysiące pierwszego, rano. Została przywieziona przez porucznika Beauvaniera.

— I cóż?

— Wydaje nam się, że w tej sprawie były pewne uchybienia proceduralne.

— Aż jakiego właściwie jest pan wydziału? Schiffer zagrał va banque.

— IGS, Generalny Nadzór Służb. Prowadzę wewnętrzne dochodzenie.

— Ostrzegam z góry, że nie powiem ani słowa na temat kapitana Beauvaniera. Słyszał pan o czymś takim jak tajemnica lekarska?

Lekarz najwyraźniej mylił się co do przedmiotu dochodzenia. Jasne jak słońce, że musiał pomagać Mister Manowi, gdy ten borykał się z jakimś problemem narkotykowym. Schiffer odpowiedział wyniośle:

— Moje śledztwo nie dotyczy Christophe'a Beauvaniera. Mało mnie obchodzi, że przepisał mu pan kurację meta-donową.

Lekarz uniósł brwi. Najwyraźniej Schiffer trafił w dziesiątkę.

— A więc, co pan chce wiedzieć?

— Pytałem o tę Turezynkę. Interesują mnie policjanci, którzy później po nią przyszli.

Psychiatra założył nogę na nogę i wygładził fałdę spodni.

289

— Pojawili się jakieś cztery godziny po jej przyjęciu do szpitala. Mieli nakaz przeniesienia i inne papiery, wszystkie były w porządku. Aż za bardzo, jak na mój gust.

— Za bardzo?

— Na formularzach były wszystkie wymagane pieczętki i podpisy, a przysły prosto z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Wszystko było gotowe na dziesiątą rano! Pierwszy raz zdarzyło mi się widzieć tyle papierzysk w sprawie jednej nielegalnej imigrantki.

— Proszę mi o niej opowiedzieć.

Hirsch wpatrywał się w czubki swoich butów, odtwarzając w pamięci obraz pacjentki.

— Z początku, kiedy ją przywieźli, myślałem, że to hipotermia. Trzęsa się na całym ciele, z trudem oddychała. Po przeprowadzeniu badania okazało się, że temperatura ciała jest normalna, jej system oddechowy też nie jest uszkodzony. Były to więc objawy historyczne.

— Co chce pan przez to powiedzieć? Uśmiechnął się z wyższością.

— Stwierdziłem objawy fizyczne, ale pozbawione fizjologicznych przyczyn.

Wszystko brało się stąd — wskazał palcem na swoją skroń — z głowy. Kobieta przeżyła głęboki wstrząs psychiczny i dlatego tak reagowała.

— Wstrząs jakiego rodzaju, pana zdaniem?

— Gwałtowne przerażenie. Wykazywała objawy charakterystyczne dla silnego przeżycia lękowego o charakterze zewnątrz-pochodnym. Potwierdziła to analiza, krwi, w której znaleźliśmy ślady intensywnego wydzielania hormonów, a także maksymalną zawartość kortyzolu, co jest bardzo charakterystyczne. Obawiam się jednak, że to może nie być dla pana całkiem jasne...

Uśmiechnął się wyrozumiale.

Facet zaczynał go drażnić swoim belferskim tonem. Chyba zresztą sam to wyczuł, no zmienił sposób mówienia na bardziej naturalny.

— Ta kobieta przeżyła bardzo silny stres. Do tego stopnia, że określiłbym go jako wstrząs. Przypominała mi przypadki spotykane podczas wojen, po bitwach czy na froncie. Częstymi objawami są duszności, porażenie, jękanie się i inne tego typu— 290

— Wiem. Proszę mi ją opisać. To znaczy, jak wyglądała.

^- Brunetka, bardzo blada i bardzo szczupła, na granicy oreksji. Fryzura a la Kleopatra. Miała bardzo ostre rysy, co jednak wcale jej nie szpecilo. Wręcz przeciwnie. Można posiedzieć, że pod tym względem... hm, robiła spore wrażenie.

Schiffer zaczynał już sobie wyobrażać tę kobietę. Instynktownie wyczuwał, że nie mogła być po prostu zwykłą robotnicą. Ani też zwyczajnym świadkiem.

— Jaką terapię pan zastosował?

— Przede wszystkim zastrzyk ze środka uspokajającego. Jej mięśnie rozluźniły się, zaczęła chichotać i coś bredzić. Kompletnie bez ładu i składu, jej wypowiedzi nie miały żadnego sensu.

— Zresztą przecież i tak mówiła po rurecku?

— Nie. Po francusku. Nie gorzej niż pan czy ja. Schifferowi przemknęła nagle przez głowę pewna myśl; to było zupełnie nieprawdopodobne, ale czy na pewno...? Odsunął ją jednak, starając się zachować zimną krew.

— Czy powiedziała panu, co widziała? Co zdarzyło się w łazni?

— Nie, mówiła urywkami zdań, słowami bez żadnego związku.

— Na przykład?

— Mówiła o wilkach, które się pomyliły. Tak, coś takiego. Opowiadała o wilkach i powtarzała, że porwały nie tę dziewczynę. Jakieś bajki.

Olśnienie. Ta sama myśl wróciła ze zdwojoną siłą. W jaki sposób zwykła robotnica mogła wpaść na to, że napastnicy należeli do Szarych Wilków? Skąd wiedziała, że się pomylili? Była tylko jedna możliwa odpowiedź: to ona była kobietą, której szukali.

Sema Gokalp była zwierzyną, na którą polowały Wilki.

Wszystkie kawałki układanki zaczynały do siebie pasować. Zabójcy wiedzieli, że ta, której szukają, pracuje na nocną zmianę u Talata Gurdileka. Pojawili się więc w pralni i porwali kobietę, która wyglądała podobnie jak ta na zdjęciu: Zeynep Tutengil. Dopelnili jednak błąd: ukrywająca się dziewczyna po prostu przefarbowała rude włosy na czarno.

>1

291

Schiffer wpadł na jeszcze jeden pomysł Wvciamw,ł, u-portret poszukiwanej.

Y wyciągnął z kieszeni

— Dziewczyna podobna była do tej? Lekarz pochylił się.

— Zupełnie nie. Dlaczego pan pyta? Schiffer bez słowa schował portret do kieszeni

A więc to jasne. Sema Gokalp, a właściwie kobieta którą ukrywała się pod tym nazwiskiem, dokonała znacznej przemiany; zmieniła rysy twarzy Poddać S 3lej plastycznej. Tak jak wszyscy, którzy chcą się od (ST\*

T>rTe"7 r>Ki,7,l,,\_\_'1^ \_ , °  
obok nie, Rlld()włosą dzi

— Co jeszcze mówiła? — spytał. — Niech sobie przypomnieć. -Wydaje mi się... - wyprostował nogi, i

jrowadłom swoich butów nocy.

pan spróbuje

z™nocvH °1C u - chyba

cos o dziwnej nocy. Ze podczas tej nocy świeciły cztery księżyce i coś o mężczyźnie w czarnym płaszczu

- która

Teraz już wiedział, kim była poszukiwana

d

ć nad



— Jak wyglądali?

tylko upoważnienie

— Potężnie zbudowani, w drogich garniturach. Wyglądali jak obstawa jakiejś ważnej osobistości.

Goryle Philippe'a Charliera. Dokąd ją zabrali? Do jakiegoś ośrodka detencyjnego?

Czy odesłali ją do kraju? Czyżby brygada antyterrorystyczna wiedziała, kim naprawdę była Sema Gokalp? Nie, z tej strony nie trzeba było się niczego obawiać. Musiało istnieć jakieś inne rozwiązanie zagadki tego porwania.

Żegnając się z lekarzem, spytał:

— Zakładając, że Sema jest jeszcze w Paryżu, gdzie należałoby jej szukać?

— W jakimś zakładzie psychiatrycznym.

— Przecież miała sporo czasu, żeby otrząsnąć się po tych przeżyciach?

Psychiatra wyprostował się.

— Chyba źle się wyraziłem. Ta kobieta nie przestraszyła się. Ona stanęła twarzą w twarz z grozą. Przekroczyła granicę tego, co ludzki organizm jest w stanie wytrzymać.

292

46

Biuro Philippe'a Charlicra mieściło się na ulicy Faubourg--Saint-Honore pod numerem 133, w pobliżu Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Budynki usytuowane nieopodal Pól Elizejskich miały wygląd niepozorny, ale w rzeczywistości były prawdziwą twierdzą, stanowiły bowiem siedzibę rozmaitych ośrodków władzy policyjnej; pilnie więc ich strzeżono i odpowiednio je zabezpieczono.

Jean-Louis Schiffer przeszedł przez bramę i znalazł się na dziedzińcu wyłożonym szarym żwirem, ułożonym jak japoński ogród zeń; równiutko przystrzyżone żywopłoty tworzyły nieprzeniknione ściany, drzewa straszyły kikutami przyciętych gałęzi. Schiffer pomyślał, że nie wygląda to jak pole bitwy z terroryzmem, raczej jak ogród kłamstwa.

Pałacyk stojący w głębi pokryty był dachówką. Fasadę przyozdobiono gzymsami, balkonami i kamiennymi rzeźbami. Empire, pomyślał Schiffer na widok laurowych wieńców, okalających amfory stojące w niszach. Tym słowem określał zresztą każdy dawny styl architektoniczny, o ile nie była to średniowieczna architektura obronna z blankami i basztami.

Dwaj umundurowani policjanci, stojący na podeście, ruszyli w jego stronę.

Schiffer podał nazwisko. Był pewien, że chociaż była już 294

dziesiąta wieczorem, gliniarz w białym kołnierzyku knuł jeszcze swoje spiski w świetle lampy przy biurku...

Jeden ze strażników uniósł do ust telefon, nie spuszczać Schiffera z oczu.

Wysłuchał odpowiedzi, wpatrując się w niego jeszcze intensywniej. Przeprowadzili go przez bramkę z wy-laywaczem metalu i przeszukali.

Dopiero wtedy mógł przejść przez szklaną werandę o metalowej konstrukcji do wielkiego kamiennego przedsionka. „Pierwsze piętro” — usłyszał.

Kiedy wchodził po schodach, jego kroki rozbrzmiewały echem jak w kościele.

Wytarte granitowe stopnie z marmurową balustradą udekorowane były kandelabrami z kutego żelaza.

Uśmiechając się lekko, Schiffer pomyślał sobie, że łowcy terrorystów nie oszczędzają na wystroju wnętrza.

Pierwsze piętro urządzone było nowocześniej: biała boazeria z mahoniowymi

aplikacjami i brązowa wykładzina. W głębi korytarza czekała go ostatnia przeszkoda do przebycia: punkt kontrolny, którego wygląd dowodził, jak ważną postacią był komisarz Philippe Charlier.

Za przegrodą z kuloodpornego szkła stało czterech strażników w czarnych kombinezonach i kewlarowych kamizelkach kuloodpornych, obwieszonych rozmaitego rodzaju bronią, magazynkami, granatami i temu podobnymi zabawkami. Każdy z nich wyposażony był w krótki pistolet maszynowy H&K.

Schiffer został poddany kolejnemu przeszukaniu, następnie znów powiadomiono Charliera, tym razem przez krótkofalówkę. Wreszcie pozwolono mu skierować się ku podwójnym drzwiom z jasnego drewna, na których widniała mosiężna tabliczka. Ponieważ jego przybycie oznajmiono aż dwukrotnie, uznał, że nie musi pukać. Zielony Olbrzym siedział za dębowym biurkiem, nie miał na sobie marynarki. Wstał i uśmiechnął się szeroko.

— Schiffer! Witaj, stary!

Uścisnęli sobie dłonie w milczeniu, mierząc się wzrokiem. Charlier niewiele się zmienił. Metr dziewięćdziesiąt pięć, ponad sto kilo. Twardy jak skała, ze złamanym nosem i sumiastym wąsem; pomimo swego stanowiska wciąż nosił pistolet przy pasku w kaburze.

295

Schiffer zwrócił uwagę na jego koszulę, nie była jaką, bo błękitną z białym kołnierzykiem, prosto od Charveta. Jednak wbrew całej tej wyszukanej elegancji, w fizjonomii policjanta było coś potwornego; emanował nadludzką siłą fizyczną i w dniu Apokalipsy, gdy istotom ludzkim pozostaną do obrony tylko gołe ręce, Charlier będzie jednym z ostatnich, którzy padną...

— Czego chcesz? — spytał, zagłębiając się na nowo w skórzanym fotelu i przyglądając się z pogardą niechlujnemu strojowi swojego gościa. Wskazał palcem na stos papierów piętrzący się na biurku. — Mam sporo roboty.

Schiffer wyczuł od razu, że za tym brakiem zainteresowania kryje się wewnętrzne napięcie. Zaatakował więc od razu, nie siadając na krześle, które komisarz mu wskazał.

— Czternastego listopada dwa tysiące pierwszego poleciłeś dokonać transferu świadka w sprawie napaści na przedsiębiorstwo prywatne. Chodziło o łaźnię Błękitna Brama w Dziesiątej Dzielnicy. Ten świadek to kobieta, nazywała się Sema Gokalp. Dochodzenie w jej sprawie prowadził Christophe Beauvanier. Problem polega na tym, że nikt nie wie, dokąd tę kobietę przeniosłeś. Zatarłeś ślady tak, że zupełnie zniknęła. Nie mam pojęcia, po co to zrobiłeś, i nie chcę wiedzieć. Interesuje mnie tylko jedno: gdzie ona jest w tej chwili?

Charlier ziewnął, nie odpowiadając. Był dobrym aktorem, ale Schiffer potrafił czytać między wierszami. Olbrzym był zdumiony i zaskoczony. Właśnie ktoś podłożył bombę pod jego biurkiem.

— Nie wiem, o czym mówisz — odezwał się w końcu. — Dlaczego szukasz tej kobiety?

— Ma powiązania ze sprawą, nad którą pracuję. Komisarz odezwał się tonem perswazji:

— Schiffer, przecież jesteś na emeryturze.

— Wróciłem do służby.

— Co to za sprawa? Do jakiej służby?

Schiffer wiedział, że musi rzucić mu byle ochłap, by uzyskać jakąkolwiek informację.

— Prowadzę śledztwo dotyczące trzech zabójstw w „dziesiątce”.

Charlier zmarszczył brwi.

— Tym się zajmuje DPJ z Dziesiątej Dzielnicy. Kto ci o tym powiedział?

— Kapitan Paul Nerteaux, oficer prowadzący.

— Co to ma wspólnego z Semą jakąś tam?

— To ta sama sprawa.

Charlier zaczął bawić się nożem do papieru, miniaturowym sztyletem w stylu orientalnym. Każdy jego ruch zdradzał coraz większe zdenerwowanie.

— Widziałem jakiś protokół dotyczący tej łaźni — przyznał w końcu. — Chodziło bodajże o wymuszenie okupu...

W ciągu kilkudziesięciu lat przesłuchań Schiffer zdobył niemałe doświadczenie, potrafił więc wyczuć najdrobniejsze niuanse, najmniejszą zmianę w tonie głosu.

Charlier mówił szczerze, napaść na Błękitną Bramę była, w jego mniemaniu, sprawą pozbawioną jakiegokolwiek znaczenia. A więc jeszcze trochę przynęty, żeby złapać go na haczyk.

— To nie było żadne wymuszenie okupu.

— Nie?

— Słuchaj, Charlier, to były Szare Wilki. To oni wdarli się do łaźni i porwali tamtej nocy pewną dziewczynę. Zwłoki odnaleziono dwa dni później.

Krzaczaste brwi komisarza wygięły się w dwa znaki zapytania.

— Ale co im przyszło z tego, że załatwili jakąś robotnicę?

— Mają kontrakt. Szukają pewnej kobiety, która ukrywa się w Dzielnicy Tureckiej. Zapewniam cię, że wiem, o czym mówię. Nie mogą jej dorwać już od trzech miesięcy.

— Co to ma wspólnego z Semą Gokalp? Pora na drobne kłamstwo.

— Była w tej łaźni i wszystko widziała. Jest najważniejszym świadkiem.

W oczach Charliera zobaczył zmieszanie: tego się nie spodziewał, w najmniejszym stopniu. Rzucił:

— Jak myślisz, o co chodzi? O co toczy się gra?

— Nie wiem — skłamał znów Schiffer. — Szukam zabójców, a Sema może naprowadzić mnie na ich ślad.

Charlier rozparł się w fotelu.

— Podaj chociaż jeden powód, dla którego miałbym Ci pomóc.

Schiffer mógł już usiąść — zaczynały się negocjacje.

— Mam gest — uśmiechnął się — więc podam ci aż dwa. Pierwszy z nich jest taki: mógłbym, na przykład, powiadomić twoich zwierzchników, że usuwasz świadków w sprawie dotyczącej morderstwa. To wprowadza zamieszanie.

Charlier odpowiedział mu z uśmiechem:

— Mam wszystkie papiery, nakaz deportacji, bilet lotniczy. Wszystko w jak najlepszym porządku.

— Masz długie ręce, Charlier, ale nie tak długie, żeby sięgnąć do Turcji.

Wystarczy jeden telefon, żeby udowodnić, że Sema Gokalp nigdy tam nie dotarła.

Nagle komisarz wydał się nieco mniej masywny i potężny.

— A kto uwierzy w słowo skorumpowanego gliniarza? Przecież wiesz, że smród ciągnie się za tobą już od lat siedemdziesiątych — okrężnym ruchem ręki wskazał wnętrze gabinetu. — A ja jestem na samym szczycie piramidy.

— No właśnie. Ja nie mam nic do stracenia.

— Lepiej podaj ten drugi powód.

Schiffer oparł się łokciami o biurko. Wiedział, że już wygrał.

— Plan „Yigipirate”, rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty. Trochę przesadziłeś podczas przesłuchań podejrzanych z Maghrebu na komisariacie Louis-Blanc.

— Szantaż?

— Skąd znowu! Przecież jestem na emeryturze i mógłbym zechcieć ulżyć swojemu sumieniu. Innymi słowy: przypomnieć sobie Abdela Saraoui, którego zatłukłeś na śmierć. Jeżeli ja puszczę farbę, wszyscy z Louis-Blanc pójdą w moje ślady. Możesz mi wierzyć, że doskonale pamiętają wycie tego faceta.

Charlier wpatrywał się w nóż do papieru, który ścisnął w swoich ogromnych dłoniach. Kiedy znów przemówił, jego głos brzmiał zupełnie inaczej.

— Sema Gokalp nie może już ci pomóc.

— Czyżbyście ją...?

— Nie. Została poddana pewnemu doświadczeniu.

— Jakiemu doświadczeniu? Milczenie.

298

— Jakiemu doświadczeniu?! — powtórzył Schiffer.

— To taka nowa technika warunkowania psychicznego.

A więc to tak. Manipulacja psychiczna była od zawsze obsesją Charliera. Marzyła mu się psychiczna infiltracja terrorystów, warunkowanie świadomości i takie różne bzdury... A więc Sema Gokalp była królikiem doświadczalnym i padła ofiarą tej manii.

Sytuacja była absurdalna: Charlier nie wybrał Semy Gokalp, po prostu wpadła mu w ręce. Nie wiedział nawet, że zmieniła twarz i najwyraźniej nie miał pojęcia, kim była naprawdę.

Wstał, ciarki chodziły mu po plecach.

— Dlaczego właśnie ona?

— Z powodu stanu psychicznego, w jakim się znajdowała. Sema cierpiała na częściową amnezję, dzięki czemu była bardziej podatna na działanie stosowanych przez nas środków.

Schiffer pochylił się, jakby nie dosłyszał.

— Chyba nie powiesz mi, że zrobiliście jej pranie mózgu?

— Owszem, program obejmował tego typu postępowanie. Schiffer uderzył obiema pięściami w blat.

— Cholerny kretynie, skasowaliście jedną jedyną pamięć, którą należało zachować! Ona miała mi coś do powiedzenia!

Charlier zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem, czym się tak przejmujesz. Co takiego mogła ci powiedzieć ta dziewczyna? Może i widziała, jak jacyś Turcy porywają kobietę, ale co z tego?

Cała wstecz.

— Dysponowała informacjami na temat tych zabójców — mruknął Schiffer, przechadzając się po gabinecie, niczym dzika bestia uwięziona w klatce. — Myślę też, że znała tożsamość poszukiwanej.

— Jakiej poszukiwanej?

— Tej kobiety, której szukają Wilki. Wciąż jeszcze jej nie znaleźli.

— To takie ważne?

— Trzy morderstwa to sporo, nie uważasz, Charlier? Będą zabijać, dopóki nie dostaną tej właściwej.

— A ty chcesz ją im dostarczyć? Schiffer uśmiechnął się, nie odpowiadając.

299

Charlier wzruszył ramionami, szwy koszuli ledwo to wytrzymały.

— Tak czy inaczej, nic nie mogę dla ciebie zrobić — powiedział w końcu.

— Dlaczego?

— Uciekła nam.

— Wyglupiasz się.

— Tak ci się wydaje?

Schiffer nie wiedział, czy ma śmiać się, czy ryczeć z wściekłości. Opanował się i wziął do ręki nóż, który Charlier przed chwilą zostawił w spokoju. Sami durnie w tej policji, jak zawsze,

— Wy tłumacz mi, co się stało.

— Nasze doświadczenie miało na celu całkowitą zmianę osobowości. Nikt tego jeszcze dotąd nie dokonał. Zdołaliśmy przekształcić ją w typową francuską burżujkę, żonę urzędnika, technokraty. Zwykłą Turczynkę, zdajesz sobie sprawę? Okazuje się, że możliwe jest warunkowanie psychiczne w każdym zakresie. Mieliśmy zamiar...

— Mam gdzieś twoje eksperymenty — przerwał mu Schiffer. — Powiedz mi lepiej, w jaki sposób wam związała.

Komisarz spochmurniał.

— W ciągu ostatnich kilku tygodni przejawiała zaburzenia pamięci, miała halucynacje. Jej nowa osobowość zaczęła się rozpadać. Właśnie mieliśmy zamknąć ją w szpitalu, kiedy uciekła.

— Kiedy to było?

— Wczoraj. We wtorek rano.

Nie do wiary: kobieta ścigana przez Szare Wilki znalazła się na wolności. Nie była ani Turczynką, ani Francuzką, zrobili jej sieczkę z mózgu. Pojawiło się jednak coś na kształt światełka w tunelu.

— Tak więc najwyraźniej powraca jej pamięć?

— Tego nie wiemy. Przypuszczalnie jednak zaczęła coś podejrzewać.

— Jak idą poszukiwania?

— Nijak. Przeczესujemy cały Paryż, ale nie możemy wpaść na jej trop.

Teraz należało rozegrać najmocniejszą kartę. Wbił sztylet do papieru w drewniany blat.

300

— Jeśli odzyskała pamięć, będzie zachowywać się jak Turczynka, a to jest moja specjalność. Wytropię ją łatwiej niż ktokolwiek inny.

Wyraz twarzy komisarza zmienił się w widoczny sposób.

— To jest Turczynką, Charlier — powiedział Schiffer z naciskiem. — Potrzebujesz gliniarza, który doskonale zna to środowisko i potrafi zachować dyskrecję. Był pewien, że wie, co dzieje się w głowie olbrzyma. Cofnął się, jakby chciał lepiej wymierzyć ostatnią strzałę.

— Proponuję ci taki układ: zostawisz mi swobodę działania przez następne dwadzieścia cztery godziny. Jeżeli wpadnie w moje ręce, przekażę ci ją. Ale najpierw przesłucham.

Znów pełne napięcia milczenie. Po chwili Charlier otworzył szufladę i wyciągnął z niej plik dokumentów.

— To jej dossier. Nazywa się teraz Anna Heymes i...

Szybkim ruchem Schiffer chwycił tekturową teczkę i otworzył ją. Pospieszenie przerzucił strony maszynopisu i raporty medyczne, w końcu znalazł zdjęcie nowej twarzy poszukiwanej. Zgadzało się dokładnie z opisem doktora Hirscha. Anna Heymes była zupełnie niepodobna do rudowłosej kobiety, której szukali mordercy. Z ich strony Sema Gokalp nie miała się czego obawiać.

Szef antyterrorystów opowiadał dalej.

— Neurolog, który ją prowadzi, nazywa się Eric Acker-mann, a...

— Mało mnie obchodzi jej sztuczna osobowość i faceci, którzy ją sklecili. Ona wróci do swoich korzeni, i to jest ważne. Co wiesz o tej Semie Gokalp? O tej Turczynce, którą była przedtem?

Charlier poruszył się niespokojnie w fotelu. Żyły na jego szyi nabrzmiały, szczególnie tuż nad kołnierzykiem koszuli.

— Przecież ja nic nie wiem! To po prostu zwykła Turczynka, która pracowała na czarno i cierpi na amnezję...

— Zachowałeś jej ciuchy, dokumenty, rzeczy osobiste? Tylko machnął ręką.

— Wszystko zostało zniszczone. Tak mi się przynajmniej wydaje.

— Sprawdź.

301

— Po cholere ci szmaty jakiejś robotnicy? Nie ma tam nic ciekawego...

— Weź, kurwa, ten telefon i sprawdź.

Charlier podniósł słuchawkę. Zadzwoił w dwa miejsca a potem warknął:

— To nie do wiary. Ci debile zapomnieli zniszczyć jej rzeczy.

— Gdzie one są?

— W składzie na Cite. Beauvanier dał jej nowe szmaty, a chłopaki z Louis-Blanc następnego dnia odesłali jej rzeczy do prefektury. Nikomu nie przyszło do głowy, żeby je odebrać. Oto jak się sprawuje moja elitarna brygada!

— Pod jakim nazwiskiem są zarejestrowane?

— Wyobraź sobie, że na nazwisko Sema Gokalp. My nie popełniamy drobnych błędów, idziemy na całego!

Chwycił pusty formularz i zaczął go wypełniać. Był to klucz do sezamu, upoważnienie dla Schiffera. Dwa sepy dzielą się łupem, pomyślał Schiffer.

Komisarz podpisał dokument i przesunął w jego stronę.

— Noc należy do ciebie. Przy najmniejszej wpadce dzwonię do IGS.

Schiffer schował przepustkę i wstał.

— Przecież nie będziesz podcinał gałęzi, na której siedzimy obaj.

47

Czas najwyższy odezwać się do młodego.

Jean-Louis Schiffer wyszedł z ulicy Faubourg-Saint-Honore, skręcił w Avenue Matignon i wszedł do budki telefonicznej przy rondzie kończącym Champs-Elysees. Jego komórka dawno już się wyładowała.

Już po pierwszym dzwonku usłyszał wściekłość:

— Rany boskie, Schiffer, gdzie pan jest? Głos Paula drżał od gniewu.

— W „ósemce”. Dzielnica grubych ryb.

— Już prawie północ. Co pan robił, do cholery? Czekałem jak głupi u Sancaka i...

— Zupełny obłąd, ale sporo się dowiedziałem.

— Dzwoni pan z budki? Znajdę jakiś telefon i oddzwonię, moja bateria się wyczerpała.

Schiffer odwiesił słuchawkę i pomyślał, że pewnego dnia policja nie dokona wiekopomnego aresztowania tylko dlatego, że komuś wyładuje się litowo-jonowa bateria w komórce. Uchylił drzwi kabiny. Nie mógł znieść duszącego zapachu mięty.

Noc była ciepła, nie było deszczu ani wiatru. Przyglądał się Przechodniom, galeriom handlowym i kamienicom. Cały ten luksus, wygodne życie, które przeszło mu koło nosa, ale kto

e, być może znów jest w zasięgu ręki...

303

Rozległ się dzwonek. Nie dopuścił Paula Nerteaux do słowa

— Jak tam twoje patrole?

— Mam dwie suki i trzy radiolki — odpowiedział pau] z dumą. — Siedemdziesięciu gliniarzy patroluje dzielnicę Nadałem całej strefie status kryminogennej.

Przekazałem portrety robocze wszystkim komisariatom i posterunkom policji w „dziesiątce”. Przetrzęsaliśmy wszystkie kluby, bary i stowarzyszenia. Chyba już wszyscy w Małej Turcji widzieli ten portret. Teraz wybieram się do prefektury...

— Zapomnij o tym.

— Co?

— Nie trać czasu na wygłupy. To nie ta twarz.

— Co?!

Schiffer wziął głęboki wdech.

— Kobieta, której szukamy, przeszła operację plastyczną i to dlatego Szare Wilki nie są w stanie jej znaleźć.

— Czy... czy ma pan na to dowody?

— Mam nawet jej nową twarz. Wszystko się zgadza. Zafundowała sobie operację za kilkaset tysięcy franków, żeby zatrzeć swą dawną tożsamość. Zmieniła się nie do poznania, poza tym przefarbowwała włosy na czarno i schudła o dwadzieścia kilogramów. Następnie ukryła się w Dzielnicy Tureckiej sześć miesięcy temu. Chwila ciszy. Kiedy Nerteaux odezwał się znowu, mówił już dużo ciszej.

— Ale... kim ona jest? Skąd wzięła pieniądze na taką operację?

— Nie mam pojęcia — skłamał. — Ale to nie jest zwykła robotnica.

— Czego jeszcze pan się dowiedział?

Schiffer zastanowił się przez chwilę, ale postanowił opowiedzieć mu wszystko, no prawie wszystko. A więc o wtargnięciu Szarych Wilków do łaźni i o tym, że bojówkarze pomylili się co do ofiary. O Semie Gokalp w stanie szoku. O jej pobycie na komisariacie i w szpitalu. No i o przejęciu jej przez Charliera i jego debilnym eksperymencie...

Wreszcie wyjawiał nowe nazwisko kobiety: Anna Heymes. Kiedy skończył opowiadać, wydawało mu się, że słyszy 304

w słuchawce, jak mózg młodego pracuje na pełnych obrotach. Wyobrażał go sobie, wykończonego ze zmęczenia, stojącego w jakiejś budce telefonicznej, w Dziesiątej Dzielnicy. Tak jak i on. Dwaj poławiacze perł zawieszeni w swych samotnych klatkach pośród mrocznego bezkresu oceanu...

— Kto panu opowiedział to wszystko? — spytał wreszcie Paul głosem, w którym słychać było niedowierzanie.

— Charlier we własnej osobie.

— Puścił farbę?

— To mój stary przyjaciel.

— Bez kitu.

Schiffer wybuchnął śmiechem.

— Widzę, że zaczynasz rozumieć, na jakim świecie żyjesz. To stara historia. Był rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty piąty, tuż po zamachu na stacji Saint-Michel. DNAT, wtedy jeszcze pod nazwą oddział szósty, goniła resztką sił. Wysłała właśnie nowa ustawa, która pozwalała dokonywać aresztowań bez podawania dokładnej przyczyny. To był straszny burdel, wiem, bo tam byłem. Prowadziliśmy poszukiwania we wszystkich możliwych kierunkach, a zwłaszcza w środowiskach muzulmańskich integrystów, szczególnie w „dziesiątce”. Pewnej nocy Charlier

przywiózł na Louis-Blanc podejrzanego, niejakiego Abdela Saraoui. Pastwił się nad nim gołymi rękami. Ja siedziałem w gabinecie obok. Koleś przekreślił się następnego dnia w szpitalu Saint-Louis. Dziś wieczorem po prostu przywołałem te piękne wspomnienia.

— Rzeczywiście, jesteście siebie warci.

— Co za różnica, skoro osiągamy rezultaty?

— Trochę inaczej wyobrażałem sobie moją krucjatę, to wszystko.

Schiffer znów uchylił drzwi kabiny, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

— No dobra, a gdzie teraz jest Sema — spytał Paul?

— I tu jest najlepszy numer, chłopcze. Właśnie im związała. Odeszła bez pożegnania wczoraj rano. Najwyraźniej skumała, co się dzieje. Prawdopodobnie odzyskuje pamięć.

— O cholera...

— Dobrze powiedziane. Po Paryżu krąży kobieta o dwóch

305

tożsamościach i ma na karku dwie grupy morderców ora? jeszcze nas na dodatek.

Moim zdaniem będzie próbowała dowiedzieć się czegoś o sobie. Pewnie usiłuje zorientować się kim jest naprawdę.

Znów chwila ciszy w słuchawce.

— Co robimy?

— Dogadałem się z Charlierm. Przekonałem go, że jestem najodpowiedniejszą osobą, żeby odszukać tę kobietę. W końcu to Turczynka, czyli moja specjalność.

Pozwolił mi działać, mam czas do jutra rana. Zresztą goni w piętę, na pierwszy rzut oka widać, że cała ta jego operacja jest nielegalna. W każdym razie mam dossier nowej Semy i dwa tropy. Pierwszy dla ciebie, jeżeli jeszcze dasz radę.

Usłyszał szelest ubrania i papieru. Nerteaux wyciągnął notes.

— Słucham.

— Operacja plastyczna. Seina zafundowała sobie usługi jednego z najlepszych chirurgów plastycznych w Paryżu. Musimy go odnaleźć, ponieważ to jest facet, który miał do czynienia z rzeczywistym obiektem poszukiwań Wilków. Widział ją, zanim zmieniła twarz i zanim przeszła pranie mózgu. Najprawdopodobniej jest to jedyny człowiek z Paryżu, który może nam powiedzieć coś o tej kobiecie.

Podejmiesz się tego?

Nerteaux nie odpowiedział od razu, prawdopodobnie zapisywał coś w notesie.

— Przecież to co najmniej kilkaset adresów do sprawdzenia.

— Wcale nie. Trzeba przesłuchać tylko tych najlepszych, prawdziwych artystów i wybrać tylko tych, którzy nie mają skrupułów. Zupełna zmiana twarzy to nie błażostka. Masz całą noc, żeby znaleźć tego lekarza. Musisz się pospieszyć, bo wkrótce inni wpadną na ten sam pomysł.

— Ludzie Charliera?

— Nie. Charlier nawet nie wie, że Sema zmieniła twarz. Mówię o Szarych Wilkach. Pomylili się już trzy razy. W końcu połapią się, że mają niewłaściwy rysopis.

Im też może przyjść do głowy, że istnieją operacje plastyczne, i zaczną rozglądać się za lekarzem. Myślę, że bardzo niedługo pójdą tym tropem. Zostawiam ci dossier dziewczyny w komisariacie na ulicy Nancy, jest tam zdjęcie zrobione po operacji. Weź je i bierz się do roboty. 306

— Może zrobić kopie zdjęcia i przekazać je patrolom?

Schiffer poczuł, że oblewa go zimny pot.

— W żadnym wypadku! Nie pokazuj fotki nikomu prócz lekarzy... I weź ze sobą portret pamięciowy domniemanej ofiary, jasne?



Znów cisza po drugiej stronie.

Cisza nocnych głębin ogarniająca dwóch nurków.

— A pan? — spytał Nerteaux.

— Ja idę drugim tropem. Chłopaki z DNAT zapomnieli zniszczyć ubranie Semy po jej aresztowaniu. Łut szczęścia. Mała szansa, ale być może coś tam się znajdzie, jakaś wskazówka, coś, co nas doprowadzi do tej kobiety.

Spojrzał na zegarek: północ. Czasu było niewiele, ale musiał to załatwić do końca.

— Masz coś jeszcze?

— Nie, cała Dzielnica Turecka jest postawiona na nogi, ale w tej sytuacji...

— Czy śledztwo Naubrela i Matkowskiego coś dało?

— Nie, nic.

Paul chyba zdziwił się, że Schiffer go o to pyta. Pewnie myślał, że nie interesuje go trop dotyczący kesonów i nadciśnienia. Mylił się, bo od początku kwestia azotu we krwi ofiar wydawała się Schifferowi intrygująca.

Doktor Scarbon, mówiąc o sprawie, powiedział: „nie jestem nurkiem”, ale Schiffer swego czasu uprawiał nurkowanie, i to dość intensywnie. Nurkował w młodości w Morzu Czerwonym i Morzu Chińskim. Kiedyś nawet miał ochotę rzucić to wszystko i otworzyć szkołę dla nurków.

Znał się więc na rzeczy i doskonale wiedział, że nadciśnienie wywołuje nie tylko nadmierne stężenie gazów we krwi, ale działa też jak środek halucynogenny; wszyscy nurkowie doświadczają stanu oszołomienia, związanego z chorobą kesonową.

Kiedy rozpoczynali to śledztwo w przekonaniu, że szukają seryjnego mordercy, Schiffer jeszcze sobie nie uświadamiał, Jakie znaczenie może mieć ta poszlaka.

Jakoś nie mógł zrozumieć, po co dewiant, szatkujący genitalia kobiet żyłkami, miałby się bawić w wywoływanie efektu nadciśnienia u swoich

307

ofiar. To po prostu nie miało sensu. Teraz jednak, gdy był JUL pewien, że chodziło o przesłuchanie, objawy choroby głębinowej jak najbardziej pasowały do układanki.

Jedną z podstaw skutecznego stosowania tortur jest poddawanie więźnia bodźcom o skrajnie odmiennym charakterze. Najpierw tłucze się go po mordzie, potem częstuje papierosem. Podłącza się go do prądu, potem pyta, czy nie ma ochoty na kanapkę. Przesłuchiwany najczęściej załamuje się w upragnionej chwili wytchnienia podczas tortur.

Posługując się kesonem, mordercy spod znaku Wilka stosowali właśnie tę metodę, przy czym stosowali ją w postaci skrajnej. Po najokrutniejszych torturach poddawali ofiarę nagłemu i niezwykle intensywnemu przypływowi euforii, jaką wywołuje nadciśnienie. Spodziewali się niewątpliwie, że tą nagłą odmianą doznań skłonią pojmaną kobietę do mówienia albo po prostu że wywołane przez ciśnienie delirium zadziała jak serum prawdy...

Schiffer wiedział doskonale, że ktoś, kto posługuje się takimi metodami, musi być prawdziwym mistrzem w dziedzinie zadawania cierpienia, istnym artystą wśród oprawców...

Kto to mógł być?

Stłumił lęk, który czał się gdzieś w głębi jego duszy, i mruknął:

— W Paryżu nie ma znów tak wielu kesonów.

— Nic nie znaleźli. Moi ludzie odwiedzili różne miejsca, gdzie się wykorzystuje takie urządzenia, przesłuchali właścicieli fabryk, w których stosuje się testy odpornościowe. Moim zdaniem to ślepy zaulek.

Wprawne ucho Schiffera dosłyszało jakby niepokój w głosie Nerteaux. Czyżby coś przed nim ukrywał? Nie miał czasu się nad tym zastanawiać.

— A te antyczne maski? — spytał.

— To też pana interesuje?

Tym razem niedowierzanie w głosie Paula było zupełnie wyraźne.

— W tej sytuacji — odpowiedział Schiffer — wszystko mnie interesuje. Być może jeden z Wilków ma jakąś obsesję?, coś go prześladuje. Znalazłeś coś?

308

— Nic specjalnego. Zresztą, nie miałem czasu przejrzeć wszystkich dokumentów. Nawet nie wiem, czy mój człowiek znalazł coś nowego i...

Przerwał mu, czas naglił.

— Kontaktujemy się za dwie godziny. I zrób coś, do cholery, żeby twoja komórka zaczęła działać.

Odwiesił słuchawkę. Przez chwilę stanęła mu przed oczami postać Paula Nerteaux.

Włosy Indianina, migdałowe oczy. Twarz zbyt delikatna jak na gliniarza... Facet, który się nie golił i który ubierał się na czarno, żeby wyglądać na twardziela.

Zarazem jednak urodzony policjant, mimo całego swojego idealizmu.

Zdał sobie sprawę, że polubił tego chłopaka. Zaczął się nawet zastanawiać, czy nie za bardzo, czy nie powiedział mu zbyt wiele o tym, co właśnie stało się jego prywatnym śledztwem.

Wyszedł z budki telefonicznej i skinął na taksówkę.

Nie. Wciąż trzymał asa w rękawie.

Paul Nerteaux nie wiedział o najważniejszym.

Wsiadł do samochodu i podał adres: Quai des Orfevres.

Wiedział już, kim była ścigana przez wszystkich kobieta i dlaczego nasłano na nią Szare Wilki.

Wiedział doskonale, ponieważ on sam szukał jej już od sześciu miesięcy.

48

Skrzynka z jasnego drewna, długości siedemdziesięciu centymetrów, szerokości trzydziestu, z czerwoną, woskową pieczęcią republiki. Schiffer zdmuchnął kurz z pudełka i pomyślał, że w tej trumience niemowlęcia znajdują się jedyne materialne dowody na istnienie Semy Gokalp.

Wyjął z kieszeni szwajcarski scyzoryk, podważył najmniejszym ostrzem pieczęć i uniósł pokrywkę. Poczul zapach stęchlizny. Kiedy tylko zobaczył ubrania, doznał w trzewiach osobliwego uczucia pewności: w środku było coś dla niego. Machinalnie obejrzał się za siebie. Znajdował się w podziemiach Pałacu Sprawiedliwości, we wnęce zasłoniętej brudną kotarą, gdzie zatrzymani, wychodzący na wolność, mogli dyskretnie sprawdzić zwracane im rzeczy osobiste. Idealne miejsce na ekshumację zwłok. Na wierzchu leżał złożony biały fartuch i czepek z plisowanego papieru — obowiązkowy strój roboczy pracownic Gur-dileka. Pod spodem ubranie: długa, jasnozielona spódnica, różowy sweterek z dzianiny, błękitnoszara bluzka z okrągłym kołnierzykiem. Wszystko z tanich materiałów, prosto z magazynu Tati.

To były zachodnie ubrania, ale ich krój i przede wszystkim 310

zestawienie barw przypominało strój tureckich wieśniaczek, które noszą jeszcze bufiaste spodnie w odcieniu ostrego różu i pistacjowe albo cytrynowe bluzki.

Poczul, że narasta ^ nim posępne pożądanie, podsycone jeszcze tym obnażeniem, upokorzeniem, zniewoleniem i nędzą. Wyobraził sobie blade ciało, które kiedyś okrywał ten ubiór, i myśl o nim podnieciła go.

Przeszedł do bielizny: cielisty biustonosz niewielkich rozmiarów; czarne,

znoszone majtki, zmechaczone od długotrwałego używania. Właścicielka tych ciuchów miała wymiary nastolatki. Pamiętał dobrze ciała trzech ofiar o szerokich biodrach i ciężkich piersiach. Sema nie zadowolila się zmianą twarzy, dokonała też radykalnej transformacji swej figury.

Znalazł jeszcze podniszczone półbuty, błyszczące rajstopy i wytarty wełniany płaszczyk. Kieszenie zostały opróżnione, sięgnął więc na dno skrzynki w nadziei, że natrafi tam na ich zawartość. Rzeczywiście, była tam jeszcze plastikowa torebka, a w niej klucze, bilety i kosmetyki, sprowadzone z Istambułu.

Przede wszystkim zainteresował się kluczami — to była jego pasja. Znał wszystkie ich rodzaje: klucze płaskie, klucze do zamków bębnekowych, skrzynkowych, patentowych, klucze

o ruchomych łopatkach. Przepadał też za zamkami, bo były to mechanizmy, które można było rozpracować i złamać, zgwałcić

i otworzyć, tak jak ludzkie dusze.

Przyjrzał się obu kluczom przymocowanym do kółka. Jeden z nich otwierał prosty zamek skrzynkowy, z pewnością klucz do jakiegoś zawszonego pokoiku czy mieszkania, gdzie od dawna już mieszkają inni Turcy. Drugi klucz, płaski, pewnie od górnego zamka tych samych drzwi.

Nic ciekawego.

Zaklął pod nosem. Nie znalazł zupełnie nic. Te przedmioty i ubrania pasowały do anonimowej wyrobnicy.

Był pewien, że Sema Gokalp ma jakąś kryjówkę. Jeżeli ktoś jest w stanie zmienić twarz i zrzucić dwadzieścia kilogramów, dobrowolnie podjąć niewolniczą pracę w tych podziemiach, na pewno potrafi zabezpieczyć sobie tyły.

-.\*>

311

Przypomniało mu się nagle, co mówił Beauvanier: paszport miała zaszyty w spódnicy. Obmacał więc dokładnie kolejne części ubrania. Wreszcie pod podszewką płaszcza, przy obszyciu, wyczuł zgrubienie: twarde, podłużne, ząbkowane.

Rozpruł podszewkę i wytrząsnął klucz na dłoń. Okrągły, czopowy klucz, na którym wytłoczony był numer: 4C 32.

Z pewnością klucz do jakiegoś schowka.

49

— Nie, to nie jest klucz do schowka. Teraz wszędzie są zamki szyfrowe.

Cyril Brouillard był geniuszem ślusarstwa. Jean-Louis Schiffer pewnego razu znalazł jego portfel na miejscu włamania; kasa pancerna, ponoć nie do pokonania, została otwarta w sposób wskazujący na prawdziwego wirtuoza. Udał się więc z wizytą do właściciela dokumentów i drzwi otworzył mu krótkowzroczny, potargany młodzieniec o blond włosach. Oddając mu papiery, powiedział: „Na przyszłość pilnuj się lepiej, bo tu zachowałeś się jak pijane dziecko we mgle”. Schiffer przymknął oczy na włamanie w zamian za oryginalną litografię Bellmera.

— A więc do czego?

— Do składu samoobsługowego.

— Co to takiego?

— Przechowalnia mebli.

Od tego czasu Cyril Brouillard wyświadczał Schifferowi najrozmaitsze drobne przysługi. Otwierał drzwi, kiedy nie było nakazu rewizji; pokonywał zamki, gdy trzeba było kogoś nakryć na gorącym uczynku; rozpruwał kasy pancerne, kiedy potrzebne były jakieś kompromitujące dokumenty. Umiejętności włamywacza były

doskonałą alternatywą dla kłopotliwych niekiedy rozwiązań zgodnych z prawem.  
Mieszkał na ulicy Lancry nad swoim warsztatem ślusarskim,  
313

który założył dzięki funduszom zdobytym podczas nocnych eskapad.

— Możesz powiedzieć mi o nim coś więcej?

Cyril Brouillard zbliżył klucz do lampki. Był specjalista jedynym w swoim rodzaju; gdy tylko zbliżył się do jakiegoś zamka, nieodmiennie wydarzał się cud. To była kwestia wibracji, dotyku i rozgrywało się misterium. Schiffer uwielbiał obserwować go przy pracy, wydawało mu się wówczas, że jest świadkiem jakiegoś niewytłumaczalnego zjawiska, tajemniczego daru natury.

— Surger — mruknął ślusarz. — Na grzbiecie są wybite litery.

— Znasz to miejsce?

— No pewnie. Mam tam kilka schowków. Dostępny dniem i nocą.

— Gdzie to jest?

— Chateau-Landon. Ulica Girard. Schiffer przełknął ślinę.

— Jest kod przy wejściu?

— AB siedemset pięćdziesiąt sześć. Na kluczu jest numer cztery C trzydzieści dwa, co oznacza czwarte piętro. Tam znajdują się miniboksy.

Cyril Brouillard podniósł na niego wzrok i poprawił okulary. Rozmarzonym głosem dodał: — Piętro skarbów...

50

Budynek wznosił się nad wykopem, którym biegły tory kolejowe Dworca Wschodniego, wyniosły i samotny, jak okręt wpływający do portu. Był wysoki na cztery piętra, świeżo odnowiony i odmalowany, niczym oaza czystości, przechowująca bogactwo różnych dóbr.

Schiffer przebył pierwszą barierę i przeszedł przez parking.

Była już druga w nocy, spodziewał się więc, że zobaczy strażnika w czarnym uniformie z logo Surger, z wielkim, agresywnym psem na smyczy i elektryczną pałką u boku.

Nikogo jednak nie spotkał.

Wystukał kod i otworzył oszkloną bramę. W dziwnym, czerwonym świetle przedsionka zobaczył wejście do cementowego korytarza i szereg metalowych drzwi w głębi; główną oś korytarza przecinały co dwadzieścia metrów prostopadłe aleje, tworząc w ten sposób cały labirynt.

Ruszył prosto przed siebie, aż wreszcie w świetle czerwonych lampek, wskazujących drogę ewakuacyjną, dostrzegł klatkę schodową o metalowej konstrukcji. Z każdym jego krokiem rozlegał się matowy, prawie niesłyszalny dźwięk. Schiffer rozkoszował się ciszą i samotnością, napięciem i poczuciem władzy.

Zatrzymał się na czwartym poziomie, piętrze niniejszych schowków, piętrze skarbów. Sięgnął do kieszeni i wyciągnął

315

kluczyk; szukał przez jakiś czas, aż w końcu natrafił na schowek numer 4C 32.

Zanim włożył klucz do zamka, przez chwilę stał nieruchomo. Niemal wyczuwał jej obecność za drzwiami, obecność tej, która nie miała jeszcze prawdziwego imienia.

Przykucnął, przekręcił klucz w zamku i uniósł żelazną żaluzję.

W półmroku zobaczył celę o powierzchni metra kwadratowego. Pustą. Nie był zaskoczony, nie spodziewał się przecież znaleźć tu mebli i sprzętu hi-fi.

Wyciągnął z kieszeni latarkę pożyczoną od Cyrila Brouillarda. Omiótł powoli strumieniem światła cementowe wnętrze, rozjaśniając każdy kąt. W głębi stało

pudło z grubej tektury.

Była coraz bliżej.

Wszedł do środka i trzymając latarkę w zębach, zaczął grzebać w kartonie.

Były tam same ubrania, wszystkie ciemne i z metkami najdroższych domów mody.

Issey Miyake. Helmut Lang. Fendi. Prada... Jego palce natrafiły na bieliznę: miękką, wprost nieprzyzwoicie zmysłową. Czarne jedwabie połyskiwały w ciemności, koronki szeleściły pod dotykiem palców... Ale tym razem nie czuł nic, ani śladu pożądania. Te fatalaszki były zbyt pretensjonalne, nie robiły na nim żadnego wrażenia. W jedwabnej torebce znalazł następny klucz. Dziwny, prosty i płaski. Znowu zadanie dla pana Cyrila Brouillarda. Brakowało mu jeszcze ostatniego dowodu, by zyskać całkowitą pewność.

Macał dalej, podnosił, przewracał ubrania.

Nagle pośród ciemnych tkanin błysnęła złota broszka w kształcie kwiatu maku niczym czarodziejski skarabeusz. Wyjął latarkę z ust i mrknął w ciemnościach:

— Allaha siikur!\*. Wróciłaś.

\* Chwała Bogu!

Część 9

51

Mathilde Wilcrau nie widziała nigdy z bliska pozytronowego tomografu emisyjnego. Z zewnątrz urządzenie przypominało zwykły tomograf; wielki, pomalowany na biało pierścień, w który wsuwały się nosze z nierdzewnej stali; obok stojak na kroplówkę i laboratoryjny stół na kółkach, z całą masą plastikowych butelek, jednorazowych strzykawek oraz przyrządów do analiz i pomiarów. Wszystko tworzyło dziwną konstrukcję, która w półmroku sali wyglądała dość osobliwie.

W poszukiwaniu tego urządzenia uciekinierzy musieli udać się aż do Centre Hospitalier et Universitaire w Reims, sto kilometrów od Paryża. Eric Ackermann znał tam dyrektora wydziału radiologicznego. Zadzwoił do niego do domu, a lekarz czym prędzej udał się do szpitala i przyjął neurologa z entuzjazmem niczym oficer wysuniętej placówki granicznej, zaskoczony nagłą wizytą legendarnego generała bohatera. Ackermann już od sześciu godzin pracował przy tomografie. Siedząca w kabinie sterowniczej Mathilde Wilcrau przyglądała mu się przez szybę. Pochylał się nad leżącą Anną, robił jej zastrzyki, regulował przepływ płynu z kroplówki, wyświetlał obrazy na ukośnie Położonym lusterku, umieszczonym wewnątrz cylindra tomografu. Przede wszystkim jednak mówił.

Mathilde zdała sobie sprawę, że mimo woli ulega fascynacji

319

i że się jej udziela jego ożywienie. Ten niedojrzały dryblas któremu nie pożyczylały swojego samochodu, zdołał dokonać' jedyne go w swoim rodzaju doświadczenia na żywym mózgu wyznaczając tym samym nowy, rewolucyjny kierunek w badaniach neurologicznych i psychiatrycznych.

W innych okolicznościach ów eksperyment mógłby mieć ogromne znaczenie terapeutyczne, a nazwisko Ackermanna mogłoby znaleźć się w podręcznikach neurologii i psychiatrii. Ale czy jego metoda miała teraz jakąś szansę?

Wysoki rudzielec wciąż kręcił się po sali, gestykułując nerwowo. W jego ruchach Mathilde dostrzegła jednak coś więcej niż tylko rozgorączkowanie i ekscytację.

Ackermann był zaćpany aż po uszy. Jechał na amfie albo na innych środkach stymulujących. Zresztą, kiedy tylko przybyli na miejsce, natychmiast udał się po „paliwo” do szpitalnej apteki. Te syntetyczne narkotyki pasowały do niego znakomicie; był człowiekiem o komputerowym mózgu, pracującym na najwyższych obrotach, funkcjonującym wyłącznie dzięki chemii. Sześć godzin.

Ciche buczenie sprzętu komputerowego usypiało ją, zdrzemnęła się kilka razy. Kiedy budziła się, próbowała pozbierać myśli, lecz na próżno. Potrafiła myśleć tylko o jednym, jak ćma, która widzi jedynie światło lampy. O metamorfozie Anny. Jeszcze ubiegłego wieczoru była to nieszczęśliwa kobieta cierpiąca na amnezję, bezradna jak dziecko. Odkrycie śladów henny zmieniło wszystko. Uczępiła się kurczowo tego szczegółu i jakby zrozumiała wtedy, że najgorszego nie należało się wcale obawiać, lecz, przeciwnie, stawić mu czoło. To ona zażądała, by wyjść nieprzyjacielowi naprzeciw i odnaleźć Erika Ackermanna, pomimo całego niebezpieczeństwa, jakie się z tym wiązało.

Od tej pory zaczęła decydować o kolejnych posunięciach.

Podczas przesłuchania na parkingu pojawiła się postać Serny Gokalp. Tajemniczej robotnicy, która pracowała na czarno, ale doskonale mówiła po francusku; którą znaleziono w stanie skrajnego szoku; która za swym milczeniem i zmodyfikowaną twarzą chowała jakąś inną przeszłość...

320

fCto ukrywał się pod tym nowym imieniem? Kim była istota zdolna zmienić się tak bardzo, że stała się kimś innym?

Odpowiedź wyłoni się dopiero wtedy, kiedy owa istota całkowicie odzyska pamięć. Anna Heymes. Sema Gokalp... Była jak rosyjska matryoszka, we wnętrzu której tkwiła kolejna tajemnica.

Eric Ackermann wstał z krzeselka. Wyciągnął cewnik z ramienia Anny, odsunął stojak z kroplówką i podniósł lusterko znajdujące się pod łukiem cylindra tomografu. Doświadczenie było skończone. Mathilde przeciągnęła się, znów próbując pozbierać myśli i znowu bez powodzenia. Prześladowała ją kolejna wizja. Henna.

Zdawało się jej, że czerwone linie, którymi napiętnowane są ręce muzułmańskich kobiet, wykreślają nieprzekraczalną granicę pomiędzy paryskim uniwersum Anny a odległym światem Semy Gokalp. Światem pustyni, plemiennych rytów, zgodnie z tradycją zawieranych małżeństw. Światem przerażającym i dzikim, zrodzonym w cieniu palącego wiatru, drapieżnych ptaków i skał.

Mathilde zamknęła oczy.

Wytatuowane ręce; brunatne arabeski we wnętrzach stwardniałych dłoni, wokół zgrubiałych nadgarstków i masykularnych palców; ani centymetr skóry nie jest wolny od kresek; czerwona linia nigdy się nie urywa: ciągnie się, wiję, rozgałęzia, powraca do punktu wyjścia, zawiązuje się w supły i w misterne plecionki, dając początek jakiejś hipnotycznej geografii.

— Usnęła.

Mathilde poderwała się z miejsca. Przed nią stał Ackermann. Fartuch wisiał na jego ramionach jak biała flaga. Na czole miał kropelki potu. Pomimo całego nerwowego i narkotycznego rozgorączkowania, z jego postaci emanowała dziwna, budząca zaufanie pewność siebie.

— Jak poszło?

Chwycił paczkę papierosów leżącą na klawiaturze komputera, zapalił. Zaciągnął się głęboko i dopiero wtedy odpowiedział:

— Najpierw podałem jej flumazenil, czyli antidotum na valium, potem posłużyłem się izotopem tlenu-piętnaście, usu-przeprowadzone przeze mnie uwarunkowanie, pobudza -

321

jąć wszystkie sfery jej pamięci. Odbyłem dokładnie tę samą drogę, tylko w przeciwnym kierunku — papierosem narysowa} w powietrzu pionową kreskę. —

Posłużyłem się tymi samymi słowami, tymi samymi symbolami. Szkoda, że nie mam już zdjęć ani taśmy wideo, tym niemniej udało mi się chyba dokonać tego, co najważniejsze. Na razie ma zamęt w głowie ale z czasem jej prawdziwe wspomnienia będą stopniowo powracać. Anna Heymes zniknie i ustąpi miejsca poprzedniej osobowości — poruszył gwałtownie papierosem. — Ale, uwaga! To wszystko jest tylko eksperymentem, czystą hipotezą! Kompletny świr, mieszanka bezdusznego chłodu i egzaltacji, pomyślała Mathilde. Chciała coś powiedzieć, ale przed jej oczami znowu pojawił się obraz skóry porysowanej henną. Linie na rękach ozywają: zakola, spirale, zwoje wiją się wzdłuż żył, okręcają się wokół palców, aż po paznokcie poczerniałe od pigmentów...

— Z początku to będzie dość nieprzyjemne — kontynuował Ackermann, zaciągając się papierosem. — Różne warstwy jej świadomości będą nachodzić na siebie. Czasami będzie miała trudności z odróżnieniem prawdy od fikcji. Jednak, stopniowo, jej początkowa pamięć weźmie górę. Jest też niewielkie ryzyko drgawek po flumazenilu, ale dałem jej coś, co powinno złagodzić efekty uboczne...

Mathilde odgarnęła włosy do tyłu; pomyślała, że ponownie wygląda jak upiór.

— A twarze?

Rozwiał dym lekceważącym ruchem ręki.

— To powinno niedługo przejść. Z czasem ustali punkty odniesienia, jej wspomnienia staną się wyraźne, a reakcje zrównoważone. Powtarzam jednak, wszystko to jest na etapie eksperymentów i...

Mathilde dostrzegła kątem oka ruch po drugiej stronie szyby. Wstała i, nie słuchając go już, przeszła do sali z tomografem. Anna siedziała na leżance z opuszczonymi nogami, opierając się z tyłu rękami. — Jak się czujesz?

Uśmiechała się niewyraźnie, jej poblądłe wargi ledwo odcinały się od białej skóry twarzy.

322

Ackermann wrócił i wyłączył ostatnie urządzenia.

— Jak się czujesz? — powtórzyła.

Anna popatrzyła na nią niepewnie. W tej chwili Mathilde g-ozumiała. To już nie była ta sama kobieta, ciemnobłękitne oczy uśmiechały się do niej z wnętrza innej świadomości.

— Masz szluga? — zapytała głosem, który szukał jeszcze swego własnego brzmienia.

Mathilde wyciągnęła paczkę w jej stronę. Patrzyła na kruchą dłoń sięgającą po papierosa. Znowu wyobraziła sobie wykonane na niej rysunki henną. Kwiaty, wzgórza, węże owijają się wokół zaciśniętej pięści. Pięści wytatuowanej, zaciśniętej na kolbie pistoletu...

Kobieta odgarnęła z czoła czarną grzywkę i cicho, zza kłębow dymu, powiedziała:

— Wolałam być Anną Heymes.

52

Dworzec kolejowy w Falmieres, miejscowości położonej dziesięć kilometrów na zachód od Reims, był stojącym w szczerym polu budynkiem z kamienia, wciśniętym między czarny horyzont i ciszę nocy. A jednak jego wygląd dodawał otuchy; fronton dworca oświetlała żółta latarenka, wejście ozdabiała markiza z grubego szkła, dach był kryty dachówką. Ściany pomalowane miał na biało i na niebiesko, wzdłuż schodków biegła drewniana balustradka... Sprawiał wrażenie fragmentu dekoracji makiety kolejki elektrycznej. Mathilde zatrzymała samochód na podjeździe. Eric Ackermann poprosił, żeby podwoziły go na dworzec. „Wszystko jedno jaki, poradzę sobie”.

Odkąd wyszli ze szpitala, nie odezwali się do siebie ani słowem. Było to jednak już inne milczenie. Nienawiść, gniew i nieufność odeszły w niepamięć; pomiędzy trójką uciekinierów pojawiło się nawet coś w rodzaju osobliwego poczucia wspólnoty.

Mathilde wyłączyła silnik. Zobaczyła w lusterku bladą twarz neurologa siedzącego z tyłu. Była to twarz bez wyrazu, jakby zrobiona z metalu. Wysiedli z samochodu jednocześnie.

Zerwał się wiatr. Pędził po niebie stalowoszare chmury, spoza 324 co chwila wylaniał się czysty księżyc — wielki owoc 0 niebieskim mięszu.

Mathilde zapięła płaszcz. Wiele by teraz dała za tubkę pawilżającego kremu.

Zdawało się jej, że każdy podmuch wysusza skórę i rzeźbi coraz głębsze zmarszczki na jej twarzy.

Podeszli do ukwieconej barierki, wciąż bez słowa. Pomyślała

0 wymianie zakładników w czasach zimnej wojny na jakimś moście w dawnym Berlinie, kiedy nie było sposobu, by się pożegnać.

Nagle Anna spytała:

— A Laurent?

Zadała już to pytanie w garażu na placu Anvers. To była druga strona jej historii: miłość, która przetrwała pomimo zdrady, kłamstwa, podłości.

Ackermann był zbyt zmęczony, żeby kłamać.

— Szczerze mówiąc, jest bardzo mała szansa, że jeszcze żyje. Charlier nie jest człowiekiem, który zostawiałby za sobą ślady. Tymczasem Heymes złamałby się i wszystko by powiedział przy pierwszym przesłuchaniu. Może nawet sam by się zgłosił. Od śmierci żony...

Przerwał. Przez parę sekund Anna mocowała się z wiatrem, ale po chwili przygarbiła się i bez słowa wróciła do samochodu.

Mathilde popatrzyła po raz ostatni na chudego jak tyka wielkoluda z marchewkową czupryną, na którym ktoś zawiesił płaszcz przeciwdeszczowy.

— A ty? — spytała niemal ze współczuciem.

— Wyjeżdżam do Alzacji. Postaram się zgubić pośród innych Ackermannów.

Jego kłatką piersiową wstrząsnął śmiech podobny do kwakania kaczki.

— A potem pojedę gdzieś dalej. Mam duszę włóczęgi! — dodał z przesadnym liryzmem.

Mathilde nie odpowiedziała. Ackermann przestępował z nogi na nogę, przyciskając do piersi plecak. Zachowywał się zupełnie tak samo jak wtedy, gdy razem studiowali. Zawahał się jeszcze

1 wyszeptał:

325

— Tak czy inaczej, dziękuję.

Zasalutował po kowbojsku wskazującym palcem i ruszyi szybko w stronę opustoszałego dworca, zmagając się z wiatrem Dokąd się wybierał naprawdę? „Mam duszę włóczęgi”. Wyjedzie do jakiegoś innego kraju, czy też będzie przemierzać nowe okolice ludzkiego mózgu?

53

— Narkotyki.

Mathilde starała się skupić na białych pasach biegnących wzdłuż pasma autostrady. Białe kreski migwały jej przed oczami jak niektóre gatunki morskiego planktonu, świecące w nocy przed dziobem płynącego statku. Po kilku sekundach rzuciła okiem na swoją pasażerkę. Twarz jak z kredy, gładka, nieprzenikniona.

— Zajmuję się handlem narkotykami — powiedziała Anna bezbarwnym głosem. —



Jestem kimś, kogo po francusku nazywa się kurierem. Przewożę i dostarczam towar. Mathilde skinęła głową, jakby właśnie czegoś takiego się spodziewała. Tak naprawdę spodziewała się wszystkiego. Dawno przekroczone już zostały wszystkie granice prawdopodobieństwa. Każde nowe wydarzenie tej nocy musiało być czymś niezwykłym.

Starła się skupić uwagę na prowadzeniu. Dopiero po kilku dłuższych chwilach zapytała:

— O jakie narkotyki chodzi? Heroinę, kokainę? Amfetaminy? Jakie?!

Ostatnie słowo prawie wykrzyczała. Zaciśnęła palce na kierownicy: uspokoić się, natychmiast.

— Heroinę. Przewoziłam wyłącznie heroinę. Za każdym razem najwyżej kilka kilogramów. Z Turcji do Europy. Nar-

327

kotyki miałam przy sobie, w bagażach, czasami stosowałam też inne sposoby. Jest ich mnóstwo, a moja praca polegała na tym żeby znać wszystkie możliwe sztuczki. Mathilde tak zaschło w gardle, że każdy oddech sprawia jej ból.

— Ale... dla kogo pracowałaś?

— Mathilde, zasady się zmieniły. Im mniej będziesz wiedzieć, tym lepiej.

Anna mówiła dziwnym tonem, niemal z pobłażaniem.

— Jak naprawdę się nazywaś?

— Nie mam prawdziwego imienia. To stanowi część mojej pracy.

— W jaki sposób działałaś? Opowiedz coś więcej. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, ciężkie jak marmurowy grobowiec. Wreszcie jednak Anna odezwała się:

— To nie było szampańskie życie. Większość czasu spędzałam w poczekalniach lotnisk. Musiałam znać wszystkie przejścia graniczne, lepiej lub gorzej strzeżone. Czasami trzeba było wybierać najszybsze połączenia, kiedy indziej te najbardziej skomplikowane. W niektórych miastach bagaże czekają na podróżnych od razu na płycie lotniska. Są takie posterunki celne, które dokonują drobiazgowych przeszukiwań, i takie, na których w ogóle nie ma rewizji. Musiałam orientować się w topografii luku bagażowego samolotu i wiedzieć, jak odbywa się przeladunek w punktach tranzytowych.

Słuchając tej relacji, Mathilde uświadomiła sobie, że głos Anny brzmi inaczej; teraz jej pacjentka była już pewna, że wszystko, co mówi, jest prawdą.

— To była schizofrenia, a nie życie. Musiałam bez przerwy zmieniać osobowość, ciągle mówić innym językiem, reagować na inne nazwisko, mieć na wierzchu właściwy paszport. Zawsze i wszędzie towarzyszył mi strach.

Mathilde zamrugła, żeby odpędzić senność. Widziała coraz mniej wyraźnie, droga zaczęła się zamazywać... Musiała jednak dowiedzieć się jak najwięcej.

— A tak dokładnie, skąd pochodzisz?

— Nie przypominam sobie w tej chwili, ale to wróci, jestem pewna. Tymczasem staram się koncentrować na teraźniejszości. 328

— Powiedz mi, co się stało? Jak doszło do tego, że ukrywałaś się w Paryżu jako robotnica? Dlaczego zmieniłaś twarz?

— Zwykła historia, chciałam zachować dla siebie ostatni transport. Wyrołować moich pracodawców.

Przerwała. Wydawało się, że każde wspomnienie przychodzi jej z wysiłkiem.

— To było w czerwcu zeszłego roku. Miałam dostarczyć narkotyki do Paryża, specjalny transport o bardzo dużej wartości. Wtedy właśnie zdecydowałam się pójść własną drogą. Nie zgłosiłam się na spotkanie z tutejszą osobą kontaktową, ukryłam dobrze heroinę i udałam się do chirurga plastycznego. Myślałam... wydaje

mi się, że wtedy miałam spore szansę... Jednak podczas rekonwalescencji wydarzyło się coś, czego nie przewidziałam. Nikt tego nie przewidział: chodzi o zamach jedenastego września. Z dnia na dzień granice stały się niezwykle szczelne. Nie było mowy o tym, żeby wyjechać z narkotykami, nie mogłam też zostawić ich w Paryżu. Musiałam zostać, poczekać, aż sytuacja uspokoi się, wiedząc doskonale, że moi zleceniodawcy zrobią wszystko, żeby mnie odnaleźć... Schowałam się więc tam, gdzie nikt rozsądny nie szukałby ukrywającej się Turczynki — pośród Turków. Pośród robotnic pracujących na czarno w Dziesiątej Dzielnicy. Miałam nową twarz i nową tożsamość. Nikt nie mógł wpaść na mój trop. Mówiła coraz ciszej, w jej głosie słychać było zmęczenie.

— Co było dalej? W jaki sposób policja natrafiła na twój ślad? Wiedzieli o narkotykach?

— To nie tak. Tego jeszcze nie przypominam sobie dokładnie, ale jakby widzę tę scenę... W październiku pracowałam w pewnej pralni. Znajdowała się w podziemiu, w pobliżu łaźni tureckiej. Jest to miejsce, które trudno byłoby ci sobie wyobrazić, zwłaszcza w odległości kilometra od twojego domu. Pewnej nocy przyszli po mnie.

— Policjanci?

— Nie. Turcy wysłani przez moich zleceniodawców. Wiedzieli, gdzie się ukrywam. Ktoś musiał mnie zdradzić, nie "wiem, kto... Najwyraźniej jednak nie wiedzieli, że przesłam operację plastyczną. Na moich oczach porwali dziewczynę, która była do mnie podobna... Do mnie sprzed operacji. Miała

329

na imię Zeynep. Kiedy zobaczyłam tych morderców... Pamiętam tylko strach. Mathilde starała się odtworzyć jej historię, zapełnić lufo w opowieści.

— W jaki sposób wylądowałaś u Charliera?

— Tego też nie pamiętam dokładnie. Chyba było tak, jak mówił Ackermann. Byłam w stanie szoku, policjanci znaleźli mnie tam, w łaźni. Przypominam sobie jakiś komisariat, jakiś szpital. Ktoś poinformował Charliera o moim istnieniu i najwyraźniej zostałam uznana za idealnego królika doświadczalnego... Nikt mnie nie znał, nie miałam prawa pobytu, cierpiałam na amnezję.

Anna zastanawiała się przez chwilę nad nową hipotezą. — W tej całej historii jest niesamowita ironia losu. Przecież policjanci nie mieli pojęcia, kim byłam naprawdę, i mimowolnie zapewnili mi ochronę przed tamtymi, przed Turkami. Mathilde zaczęła odczuwać coś jeszcze oprócz zmęczenia: lęk, który ścisnął ją w dołku. Widziała coraz gorzej, białe znaki na jezdni trzepotały jak mewy przed jej oczami.

W oddali pojawiły się tablice informacyjne obwodnicy; zbliżały się do Paryża. Starając się skupić wzrok na jezdni, zapytała:

— Kim są ci ludzie, którzy cię szukają?

— Zapomnij o tym. Powtarzam ci, im mniej będziesz wiedzieć, tym będzie dla ciebie lepiej.

— Pomogłam ci — odpowiedziała Mathilde przez zaciśnięte zęby. — Opiekowałam się tobą. Mów! Chcę znać prawdę.

Anna wahała się, to był jej świat. Świat, o którym jeszcze nigdy nikomu nie opowiadała.

— Mafia turecka ma pewną cechę szczególną—powiedziała w końcu. — Jej zbrojnym ramieniem jest pewne ugrupowanie polityczne o nazwie Szare Wilki. Są to nacjonaliści, skrajnie prawicowi fanatycy, wierzący w powrót Wielkiej Turcji. Inaczej mówiąc, terroryści szkoleni od dziecka w specjalnych obozach. Nie muszę

ci chyba mówić, że w porównaniu z nimi siepacze Charliera przypominają raczej bandę harcerzyków uzbrojonych w scyzoryki.

Błękitne tablice były coraz bliżej. PORTE DE CLIGNAN-330

COURT. PORTE DE LA CHAPELLE. Mathilde myślała już tylko o jednym: zostawić tę bombę na najbliższym postoju taksówek. Wrócić do mieszkania, do wygody i bezpieczeństwa, położyć się do łóżka, spać przez dwadzieścia godzin i obudzić się, żeby móc sobie powiedzieć: to był tylko koszmarny sen. Skręciła w stronę La Chapelle i oznajmiła:

— Zostaję z tobą.

— Nie, to niemożliwe. Muszę załatwić coś ważnego. — Co?

— Muszę odzyskać mój towar.

— Idę z tobą.

— Nie.

Poczuła ucisk w dołku; była to raczej duma niż odwaga.

— Gdzie to jest? Gdzie są te narkotyki?

— Na cmentarzu Pere-Lachaise.

Mathilde rzuciła okiem na Annę: była wyczerpana, ale zarazem twarda, skupiona jak kryształ kwarcu.

— Dlaczego właśnie tam?

— Tego jest dwadzieścia kilogramów. Trzeba było znaleźć odpowiednią skrytkę.

— Nie widzę związku, dlaczego akurat cmentarz? Anna jakby uśmiechnęła się do siebie.

— Nieco białego proszku pośród szarych prochów...

Zatrzymały się na czerwonym świetle. Za tym skrzyżowaniem ulica La Chapelle przechodziła w ulicę Marx-Dormoy. Mathilde powtórzyła głośniej:

— Ale co to ma wspólnego z cmentarzem?

— Zielone. Na placu La Chapelle skręć w stronę Stalingradu.

54

Miasto umarłych.

Szerokie, proste aleje i rosnące wzdłuż nich stare drzewa, stojące w karnych szeregach. Kamiennie bloki, wyniosłe pomniki, wypolerowane i czarne płyty nagrobków.

Noc była jasna i ta część cmentarza, rozłożona na szerokich tarasach, ujawniała w jej świetle swój luksus — rozległość swojej przestrzeni. W powietrzu pachniało świętami Bożego Narodzenia. Pod okrywającą cmentarz kopułą nocy wszystko naokół zdawało się być krystaliczne; odnosiły wrażenie, że znalazły się wewnątrz jednej z tych czarodziejskich szklanych kuł, w których, gdy nimi potrząsnąć, zaczyna prószyć śnieg na zamknięty w nich pejzaż.

Zaatakowały fortecę od strony wejścia przy ulicy Pere--Lachaise, w pobliżu placu Gambetta. Anna pomogła Mathilde wspiąć się po rynnicy, przylegającej do bramy głównej, a następnie przecisnąć się między żelaznymi szpikulcami, którymi było najeżone ogrodzenie. Zejście po drugiej stronie było łatwiejsze — wystarczyło przytrzymać się kabli przymocowanych do muru.

Przedostawszy się na teren cmentarza, weszły na prowadzącą w górę aleję Combattants-Etrangers. W świetle księżyca wyraźnie było widać grobowce i epitafia. Minęły pomnik bunkier poświęcony Czechom, którzy zginęli podczas pierwszej wojny 332

światowej; biały monolit upamiętniający żołnierzy belgijskich; gigantyczną iglicę w kształcie kłosa, nawiązującą stylem do kompozycji Vasarely'ego, wzniesioną w hołdzie poległym Ormianom...

Kiedy Mathilde dostrzegła na szczycie wzgórza okazałych rozmiarów budynek z dwoma kominami, zrozumiała, co Anna miała na myśli. „Nieco białego proszku pośród szarych prochów”. Kolumbarium. Ze zdumiewającym cynizmem Anna ukryła transport heroiny pośród urn z prochami zmarłych.

Na tle rozświetlonego księżycowym światłem nieba krematorium wyglądało jak meczet — miało kolor kremowozłoty i zwieńczenie w formie szerokiej kopuły; jego kominy przypominały minarety. Otoczone było czterema długimi pawilonami ustawionymi w szachownicę.

Przeszły pomiędzy budowlami i znalazły się w alei otoczonej zbitym, przystrzyżonym w równe czworoboki żywopłotem. Po chwili oczom Mathilde ukazały się galerie z mnóstwem wnęk na urny z prochami; wnęki były zamurowane tablicami, wszędzie leżały i zwieszały się kwiaty. Widok ten nasunął Mathilde myśl o kartach wykutych w marmurze, inkrustowanych literami i ozdobionych barwnymi pieczęciami.

Nie było tu nikogo.

Ani jednego strażnika.

Anna skierowała się w cmentarną alejkę biegnącą w dół, przechodzącą w schowane pod krzewami schody, które prowadziły do jednej z krypt. Czarne, żeliwne odrzwia były zaryglowane. Kiedy zastanawiały się, jak można się do niej dostać, usłyszały nad sobą trzepot skrzydeł. To gołębie przycupnięte na parapecie zakratowanej lukarny umieszczonej dwa metry nad ziemią wskazywały im drogę. Anna cofnęła się nieco, by ocenić wielkość niszy, w którą wbudowano lukarnę. Po chwili wsunęła stopę w metalową kratownicę ornamentu drzwi i zaczęła piąć się ku górze. Kilka sekund później Mathilde usłyszała zgrzyt metalu i brzęk rozbijanego szkła — to Anna wyrwała siatkę osłaniającą lukarnę, stłukła szybę i utorowała drogę.

Mathilde, nie namyślając się długo, ruszyła jej śladem.

333

Znalazszy się na górze, przecisnęła się przez wybity otwór. Gdy opuszczała stopę na posadzkę, Anna włączyła światło.

Sanktuarium było ogromne. Olbrzymi kwadratowy szyb otaczały, jak okiem sięgnąć, wydrążone w granicie galerie. Biegły wzdłuż linii prostych i gubiły się w ciemnościach. Rozmieszczone w równych odstępach lampy rzucały snopy rozproszonego światła.

Anna zbliżyła się do balustrady szybu i spojrzała w dół: pod jej stopami znajdowały się jeszcze trzy kondygnacje, co zwielokrotniało liczbę korytarzy. Na dnie przepaści zobaczyła zbiornik wodny, wyłożony kafelkami. Z wysokości, z której na niego patrzyła, wydawał się jej maleńki. Można by sądzić, że znalazły się w sercu podziemnego miasta, wzniesionego wokół świętego źródła.

Anna zaczęła schodzić jednymi ze schodów. Mathilde szła za nią. W miarę jak pokonywały kolejne podesty, coraz wyraźniej słyszały brzęczenie systemu wentylacyjnego. I z każdym niemal krokiem narastało w nich przytłaczające wrażenie, że znajdują się w jakiejś świątyni, w gigantycznym grobowcu.

Na drugim podeście Anna skrzyła w jeden z korytarzy. Ściany były pokryte setkami tablic, zamykających wnęki z urnami, posadzka tworzyła szachownicę z czarno-białych, kwadratowych pól. Szły długo. Mathilde przyglądała się tej scenierii z dziwnym dystansem. Niekiedy jej spojrzenie zatrzymywało się uważniej na jakimś szczególe — bukietach świeżych kwiatów, owiniętych aluminiową folią, detalu ornamentu czy dekoracji, wyróżniającym którąś z niezliczonych wnęk. Na zrobionym w sitodruku portrecie czarnej kobiety, której kręcone włosy pieniały

się na powierzchni marmuru, obok widniało epitafium: BYŁAŚ ZAWSZE. ZAWSZE BĘDZIESZ. Lub, nieco dalej, na zdjęciu dziecka, ujętym w szarą obwódkę, przyklejonym do zwyczajnej, gipsowej płyty; ^pod zdjęciem ktoś napisał flamastrem: NIE UMARŁA. SPI. ŚWIĘTY ŁUKASZ.

— To tutaj — powiedziała Anna.

Korytarz kończył się wnęką większą niż pozostałe.

— Daj mi podnośnik.

Mathilde wyjęła lewarek z przewieszanej przez ramię torby. Anna wsunęła go między ścianę i marmurową płytę, a następnie 334

z całej siły nacisnęła na dźwignię. Pojawiło się pierwsze pęknięcie. Nacisnęła znowu, tym razem od dołu, i płyta pękła na dwoje, spadając na ziemię.

Anna złożyła lewarek i posługując się nim jak młotkiem, zaczęła rozbijać gipsową przegrodę w głębi wnęki. Waliła mocno, uparcie, nie zważając na hałas.

Mathilde wstrzymała oddech. Wydawało jej się, że te uderzenia muszą być słyszalne nawet na placu Gambetta. Ile czasu minie, nim pojawią się strażnicy?

Zapadła cisza. Pograżona w chmurze białego pyłu, z drobinkami gipsu na czarnych włosach, Anna wsunęła się do niszy i odgarnęła gruz.

Nagle za plecami usłyszały metaliczny brzęk.

Odwróciły się.

U ich stóp lśnił metalowy klucz.

— Spróbuj tym. Będzie szybciej.

U wejścia do galerii stał mężczyzna ostrzyżony najeża. Jego sylwetka odbijała się w szachownicy posadzki. Wyglądał tak, jakby stał na powierzchni wody.

W rękę trzymał strzelbę typu „pump-action”.

— Gdzie ona jest?

Miał na sobie zniszczony nieprzemakalny płaszcz, ale nie zmniejszało to wrażenia emanującej z niego siły. Zwłaszcza jego twarz, oświetlona z boku światłem lampy, miała w sobie coś z pierwotnej, okrutnej mocy.

— Gdzie ona jest? — powtórzył i postąpił krok do przodu. Mathilde zrobiło się słabo. Poczula bolesne ukłucie we

wnętrzościach, nogi się pod nią ugięły. Żeby nie upaść, musiała przytrzymać się brzegu jednej z wnęk. To nie była zabawa. Żadne tam zawody strzeleckie ani triathlonowe, żadna gra z wkalkulowanym ryzykiem.

Po prostu umrą, i już.

Intruz podszedł jeszcze bliżej i stanowczym gestem przeładował strzelbę.

— Gdzie ona jest? Cholera, gdzie jest heroina?

55

Człowiek w płaszczu załśnił od ognia.

Mathilde rzuciła się na ziemię. Widziała, jak z lufy jego strzelby błysnął płomień. Kiedy upadła na gipsowy gruz, dotarło do niej, że Anna strzeliła pierwsza. Musiała mieć pistolet ukryty we wnęce.

Kolejne detonacje. Mathilde skuliła się, zaciskając pięści na uszach. Nad nią pękały szyby, rozsypywały się urny i umieszczone w nich prochy. Krzyknęła, kiedy posypały się na nią. W szarych kłębach pyłu kule gwizdały, odbijały się od ścian. Widziała iskry rozbłyskujące na fragmentach marmuru, nitki ognia przecinające szarą mgłę, urny spadające na podłogę, odbijające się od niej z głośnym brzękiem. Korytarz stał się rozgwieżdżonym piekłem.

Skurczyła się jeszcze bardziej. Kolejne wystrzały dokonywały dzieła zniszczenia, rozrzucały kwiaty, miażdżyły wszystko. Kule wciąż gwizdały w powietrzu. Zaczęła pełznąć z zamkniętymi oczami.

Nagle zapadła cisza.

Mathilde zamarła, odczekała jeszcze chwilę i otworzyła oczy. Nie zobaczyła nic. Cały korytarz wypełniony był pyłem, jak po wybuchu wulkanu. Śmierdziało żużlem i dymem, coraz trudniej było oddychać.

336

Mathilde wciąż leżała bez ruchu. Chciała zawołać Annę, ale zreflektowała się w porę. Nie mogła przecież zdradzić się przed mordercą.

Nie była ranna, nic jej się nie stało. Zamknęła oczy, wsłuchując się w ciszę.

Żadnego dźwięku, oddechu, szelestu, tylko ciche chrzęszczenie grudek gipsu.

Gdzie była Anna?

Gdzie był ten człowiek?

Czy oboje nie żyli?

Zmrużyła oczy, próbując coś dostrzec. Jakies dwa czy trzy metry od niej znajdowała się lampa, widziała jej niewyraźne światło. Pamiętała, że takie latarnie znajdowały się mniej więcej co dziesięć metrów w korytarzu. Która to z nich? W którą stronę do wyjścia — na lewo, czy na prawo?

Powstrzymała kaszel, przełknęła ślinę i starając się robić jak najmniej hałasu, uniosła się na łokciu. Zaczęła przemieszczać się na kolanach w lewo, omijając gruz, skorupy i kałuże z potłuczonych wazonów.

Nagle mgła przed nią przybrała konkretny kształt.

Szara sylwetka mordercy.

Chciała krzyknąć, ale brutalna dłoń opadła na jej usta. W oczach mężczyzny Mathilde wyczytała prosty komunikat: Jeżeli piśniesz, nie żyjesz. Przyciskał lufę rewolweru do jej gardła. Gwałtownie zamrugła na znak zgody. Mężczyzna powoli uniósł dłoń, odejmując palce od jej ust. Spojrzała na niego błagalnie, wyrażając wzrokiem całkowitą uległość.

W tej chwili doznała wstrętnego uczucia. Stało się coś, co pognębiło ją bardziej dotkliwie niż sam strach przed śmiercią: zrobiła pod siebie.

Zwieracze puściły, kał i mocz spływały jej po nogach.

Mężczyzna chwycił ją za włosy i powłókł po ziemi. Mathilde zagryzła wargi, żeby nie krzyżeć. Ciągając ją za sobą, szedł przez warstwy kurzu, potłuczonych wazonów, kwiatów i ludzkich popiołów.

Skręcił w jeden korytarz, potem w drugi i trzeci. Wciąż Mókł ją za sobą. Mathilde kopała nogami w pyłe, ale jej ruchom nie towarzyszył żaden głos. Otwierała usta, lecz nie dobywał s'ę z nich żaden dźwięk. Szlochała, jęczała, dyszała ciężko,

337

jednakże kłęby pyłu tłumiły wszystkie odgłosy. Pomimo bólu zdawała sobie sprawę, że cisza jest jej jedynym sprzymierzeńcem. Wystarczy najmniejszy hałas i ten człowiek ją zabije.

Zwolnił kroku. Poczwała, że uścisk jego ręki zelżał, ale p0 chwili jego palce zacisnęły się znowu mocniej i zaczął wchodzić po schodach. Mathilde skuliła się, przeszywający ból przeniknął ją od szczytu czaszki aż po podstawę kręgosłupa.

Zdawało się jej, że jakies mordercze kleszcze ciągną ją za skórę na twarzy.

Poruszała bezładnie nogami — ociążałymi, wilgotnymi, skalanymi wstydem. Czwała nieczystość oblepiającą jej uda. I znowu wszystko się zatrzymało. Na jedną sekundę, lecz sekunda wystarczyła. Mathilde wykręciła głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje. We mgle ujrzwała cień Anny — morderca mierzył w jej stronę z rewolweru.

Gwałtownym ruchem uniosła się na kolanie, by ją ostrzec. Za późno: nacisnął spust, zagrzmiął wystrzał. Wszystko jednak potoczyło się inaczej, niż myślała.

Sylwetka rozpadła się na tysiąc odłamków, prochy przemieniły się w raniący grad. Mężczyzna wrzasnął coś niezrozumiałego. Mathilde wyrwała się i rzuciła do tyłu, spadając po schodach.

I właśnie wtedy zrozumiała, co się stało. Mężczyzna nie strzelał do Anny, tylko do pokrytych kurzem szklanych drzwi, w których zobaczył swoje własne odbicie. Uniosła oczy i zobaczyła coś niewiarygodnego: prawdziwą Annę skuloną w jednej z wnęk, szarą od kurzu. Czekala tam na nich, jakby zawieszona w próżni, nad umarłymi.

Nagle Anna skoczyła. Wczepiona lewą ręką w krawędź otworu, rzuciła się na mężczyznę z całym impetem. W drugiej dłoni trzymała szyjkę stłuczonego szklanego wazonu. Szkło wbiło się w twarz prześladowcy. Nim zdążył wycelować, Anna cofnęła uzbrojoną rękę. Kolejny strzał wśród tumanów pyłu. W następnej sekundzie zaatakowała go znowu. Szklane ostrze ugodziło w skroń i zagłębiło się w ciało. Następną kulą gwizdnęła w powietrzu. Anna zdążyła już skryć się za ścianą. Czoło, skronie, usta; kolejne uderzenia. Twarz zabójcy ociekała krwią. Zataczał się, wypuścił broń z ręki, bił niezdarnie

ramionami powietrze, jakby zaatakował go rój śmiertelnych pszczoł.

Wreszcie Anna zadała decydujące uderzenie. Rzuciła się na niego całym ciężarem ciała, upadli na posadzkę. Szklana tuleja wbiła się w prawy policzek, Anna dociskała ją coraz mocniej i mocniej, rozdzierając skórę i obnażając dziąsło. Mathilde czołgała się do tyłu na plecach, pomagając sobie łokciami. Krzyczała, ale nie mogła odwrócić oczu od walczących.

Anna wypuściła z ręki szyjkę wazonu i wstała. Mężczyzna, wijąc się pośród popiołów, próbował wyciągnąć szkło z oczodołu. Anna podniosła swój pistolet i odsunęła rękę konającego. Chwyciła znowu szklaną szyjkę i obróciła ją w oczodole mężczyzny, po czym gwałtownie wyszarpnęła; wewnątrz tulei była zakrwawiona gałka oczna. Mathilde znowu chciała się odwrócić, ale nie mogła wykonać żadnego ruchu. Anna wsunęła do ziejącego otworu lufę pistoletu i pociągnęła za spust.

56

Znów cisza.

Znów kwaśny smród popiołów.

Poprzewracane urny, porozrzucane ozdobne pokrywy.

Rozsypane kolorowe kwiaty z plastiku.

Ciało upadło o kilka centymetrów od Mathilde; opryskała ją krew zmieszana z mózgiem i odłamkami kości. Jedną ręką trupa dotyka jej nogi, ale Mathilde nie ma siły, by się odsunąć. Jej serce jest tak przeniknięte strachem, że w każdej przerwie między jego uderzeniami myśli, iż za chwilę nastąpi ostatnie z nich.

— Musimy uciekać. Zaraz tu będą strażnicy.

Mathilde unosi oczy.

To, co widzi, rozdiera jej serce.

Twarz Anny jest wyciosana z kamienia. Prochy umarłych zgromadziły się w zagłębieniach, przekształcając je w spękane bruzdy, w głębokie zmarszczki. Tylko oczy pozostały nietknięte i są pełne życia.

Mathilde przypomina się oko wydlubane z czaszki; będzie wymiotować.

Anna trzyma w ręce jakąś sportową torbę, musiała zabrać ją z wnęki.

— Heroinę szlag trafił — mówi. — Nie ma czasu, żeby rozpacząć z tego powodu.

340

— Kim ty jesteś? Na litość boską! Kim ty jesteś?

Anna stawia torbę na ziemi i otwiera ją.

— Możesz mi wierzyć, on by się z nami nie cackał. Wyciąga pliki dolarów i euro,

przelicza je szybko i wsadza  
z powrotem do środka.

— To on był moim kontaktem w Paryżu — wyjaśnia. — Tym, który miał zająć się  
dystrybucją narkotyków w Europie.

Mathilde patrzy w stronę zwłok. Widzi skrzywioną twarz i nieruchome oko zwrócone  
ku sufitowi. Trzeba mu nadać jakieś imię zamiast epitafium.

— Jak się nazywał?

— Jean-Louis Schiffer. Był gliniarzem.

— Gliniarzem?

Anna nie odpowiada. Wyciąga z torby jakiś paszport, przegląda go pospiesznie.

— Pracowaliście... razem? — Mathilde nie może przestać myśleć o zwłokach.

— On nigdy mnie nie widział, ale ja znałam jego twarz. Mieliśmy też znak  
rozpoznawczy: broszkę w kształcie maku, i coś w rodzaju hasła: cztery  
półksiężycy.

— Co to znaczy?

— Daj spokój.

Opierając się kolanem o posadzkę, dalej grzebie w torbie. Znajduje kilka  
magazynek do pistoletu. Mathilde przygląda się jej z niedowierzaniem. Ta twarz  
przypomina maskę z wyschniętej gliny, jakąś rytualną rzeźbę z błota. Nie ma już  
w niej nic ludzkiego.

— Co teraz zrobisz? — pyta Mathilde.

Anna wyprostowuje się i wyciąga zza paska pistolet — pewnie ten, który znalazła  
we wnęce. Naciska sprężynę przy kolbie, wyciąga pusty magazynek. Jej ruchy są  
pewne i wprawne.

— Wyjadę. Nie mam już czego szukać w Paryżu.

— Ale dokąd? Wkłada nowy magazynek.

— Do Turcji.

— Do Turcji? Ale po co? Jeżeli tam pojedziesz, znajdą cię na pewno.

341

Znajdą mnie, gdziekolwiek pojedę. Muszę odciąć źródło Źródło?

— Źródło nienawiści. Muszę zniszczyć tych, którzy nakazali zemstę. W rym celu  
muszę jechać do Istanbulu. To ich zaskoczy, nie spodziewają się mojego powrotu.

— Ich?

— Szare Wilki. Prędzej czy później i tak dowiedzą się, jak wyglądam.

— I co z tego? Przecież są tysiące miejsc, w których możesz się ukryć.

— Nie. Kiedy dowiedzą się, jak wyglądam, będą wiedzieli, jak mnie znaleźć.

— Dlaczego?

— Ponieważ ich szef widział mnie już, tylko w zupełnie innych okolicznościach.

— Nic nie rozumiem.

— Powtarzam: zapomnij o tym! Będą mnie ścigać aż do śmierci. Dla nich to coś  
więcej niż zwykły kontrakt. To kwestia honoru. Zdradziłam ich i zламаłam  
przysięgę.

— Jaką przysięgę? O czym ty mówisz? Wsuwa broń z tyłu, za pasek.

— Jestem jedną z nich. Jestem wilczycą.

Mathilde czuje, że przestaje oddychać, krew zamiera w jej żyłach. Anna klęka  
przed nią i chwytają za ramiona. Jej twarz pozbawiona jest barw, ale kiedy mówi,  
widać różowy język, niemal fluorescencyjny. Usta z surowego mięsa.

— Żyjesz i to jest prawdziwy cud — mówi z czułością w głosie. — Kiedy już będzie  
po wszystkim, napiszę do ciebie. Podam ci nazwiska, okoliczności, wszystko.

Chcę, żebyś знаła prawdę, ale z daleka. Kiedy ja będę bliska zakończenia tej



sprawy, a ty całkiem bezpieczna.

Mathilde nie odpowiada, jest oszołomiona. Przez kilka godzin, które trwały tak długo niczym cała wieczność, opiekowała się tą kobietą jak ciałem ze swego ciała, jak własnym dzieckiem. A właściwie uczyniła z niej swoją córkę.

Tymczasem w rzeczywistości to morderczyni. Wcielenie przemocy i okrucieństwa.  
342

\V jej ciele budzi się uczucie nie do zniesienia. Jak osad na dnie naczynia ze stęchłą wodą. Lepka wilgoć jej otwartych wnętrzości.

Pomyślała o ciąży i aż zaparło jej dech w piersiach.

Tak: tej nocy wydała na świat potwora.

Anna wstaje i bierze torbę.

— Napiszę do ciebie. Przysięgam. Wszystko ci wyjaśnię.

Znika w chmurze popiołów.

Mathilde nieruchomo wpatruje się w pusty korytarz.

W oddali rozlega się syrena alarmowa.

Część 10

57

^MB

— Mówi Paul.

Ciężkie westchnienie po drugiej stronie linii.

— Wiesz, która godzina?

Spojrzał na zegarek, dochodziła szósta rano.

— Przepraszam. Nie spałem całą noc. Kolejne znużone westchnienie.

— Czego chcesz?

— Chciałem się dowiedzieć, czy Celinę dostała cukierki? Głos Reyny twardnieje.

— Jesteś chory.

• — Dostała je czy nie?

— I po to dzwonisz o szóstej rano?

Paul uderzył pięścią w szybę budki telefonicznej, jego komórka znów się wyładowała.

— Tylko powiedz mi, czy się ucieszyła. Nie widziałem jej od dziesięciu dni!

— Owszem, ucieszyła się z tego, że cukierki przynieśli faceci w mundurach.

Przez cały dzień nie mówiła o niczym innym. Cholera jasna. Podczas kiedy ja próbuję ukształtować jej świadomość klasową, pojawiają się gliniarze zamiast niańki...

Paul wyobraził sobie, jak jego córeczka podziwia srebrzyste galony, jak błyszczą jej oczy na widok słodczy, przyniesionych

347

przez policjantów. Zrobiło mu się ciepło na sercu. Radosnym tonem oznajmił:

— Zadzwoń za dwie godziny, zanim pójdzie do szkoły! Reyna bez słowa odłożyła słuchawkę. Wyszedł z kabiny i wciągnął głęboko w płuca rześkie powietrze.

Znajdował się na placu Trocadero, pomiędzy budynkiem teatru Chaillot a Muzeum Człowieka i Muzeum Marynarki. Lekka mżawka siekła centralny dziedziniec otoczony ogrodzeniem, najwyraźniej odbywał się tu remont.

Ruszył wzdłuż desek, tworzących korytarz, i przeszedł na drugą stronę ulicy.

Woda ściekała mu po twarzy. Było ciepło, jak na tę porę roku, pocił się pod grubą kurtką. Ta parszywa pogoda odpowiadała jego nastrojowi. Czuł się brudny, zmęczony, miał pustkę w głowie i smak papieru na języku.

Od rozmowy telefonicznej z Schifferem, czyli od jedenastej wieczorem, szedł tropem chirurgów plastycznych. Kiedy dotarło do niego, że śledztwo musi dokonać

gwałtownego zwrotu i że szukają kobiety o zmienionej twarzy, ściganej przez ludzi Charliera i Szare Wilki, udał się do siedziby Izby Lekarskiej na Avenue de Friedland, w Ósmej Dzielnicy, w poszukiwaniu lekarzy, którzy mieli na koncie kłopoty z prawem. Pamiętał o tym, co powiedział mu Schiffer: że całkowita zmiana rysów twarzy nigdy nie jest niewinnym zabiegiem. Trzeba więc było odnaleźć chirurga pozbawionego skrupułów. Postanowił więc zacząć od tych, którzy byli już notowani. Zaczął grzebać w archiwach; żeby się do nich dostać, musiał wyciągnąć z łóżka w środku nocy kierownika działu. Wynik: ponad sześćset dossier w samym tylko departamencie Ile-de-France, i to zaledwie w ciągu ostatnich pięciu lat. Z tak długą listą nie dało się nic zrobić. W przyływie rozpaczy zadzwonił o drugiej nad ranem do Jeana-Philippe'a Arnauda, przewodniczącego Stowarzyszenia Chirurgów Plastycznych, i spytał go o radę. Zaspany mężczyzna podał mu trzy nazwiska chirurgów wirtuozów o nie najlepszej reputacji, takich, którzy mogliby podjąć się tego typu operacji i którzy by nie wnikali zbyt w szczegóły. Paul zagadnął jeszcze o innych wybitnych chirurgów plastycznych, tych cieszących się nieposzlakowaną opinią. Jean--Philippe Arnaud wymienił niechętnie jeszcze siedem nazwisk, 348

podkreślając, że żaden z tych znanych i szanowanych lekarzy nigdy by się nie splamił dokonaniem zabiegu, o który go pyta rozmówca. Paul przerwał mu, podziękował i odłożył słuchawkę.

Tak więc o trzeciej nad ranem miał listę dziesięciu nazwisk. Dla niego noc dopiero się zaczynała...

Przystanął po drugiej stronie tarasu Trocadero, pomiędzy dwoma muzealnymi budynkami, i spojrzął na dolinę Sekwany. Usiadł na stopniach, podziwiając rozciągający się przed nim widok. Tarasy, fontanny i rzeźby w parku tworzyły bajkową scenografię. Most Jeny zdobił wody rzeki złotymi odbłaskami, aż po wznoszącą się po drugiej stronie wieżę Eiffla, przypominającą wielki, żeliwny przycisk do papierów. Ciężkie budynki, stojące dookoła na Polu Marsowym, drzemały w świątynnej ciszy. Cały ten krajobraz przywodził na myśl jakieś ukryte tybetańskie królestwo, jakąś bajeczną krainę ukrytą na krańcu świata.

Paul zrekapitulował wydarzenia ostatnich godzin.

Początkowo próbował porozumieć się z chirurgami przez telefon, ale już po pierwszej rozmowie zorientował się, że w ten sposób nie osiągnie nic. Lekarz po prostu odłożył słuchawkę, a on przecież musiał przedstawić portrety ofiar i portret Anny Heymes, który Schiffer zostawił mu w komisariacie.

Pierwszym chirurgiem, którego odwiedził, był pochodzący z Kolumbii miliarder. Mieszkał najbliżej, na ulicy Clement-Marot. Jean-Philippe Arnaud powiedział o nim, że najprawdopodobniej operował wszystkich ważnych ojców chrzestnych z karteli Medellin i Cali. Cieszył się opinią niezwykle zręcznego chirurga; mówiono o nim, że potrafi operować zarówno prawą, jak i lewą ręką.

Pomimo późnej pory artysta ów jeszcze nie spał, choć zapewne poszedł już do łóżka; Paul przeszkodził mu podczas intymnej randki. W jego rozległym, uperfumowanym lofcie panował półmrok, więc Paul nie mógł obserwować jego twarzy, ale od razu zrozumiał, że pokazywane portrety kobiet nic mu nie mówią.

Adres drugi: ulica Washington po drugiej stronie Pól Elizejskich; znajdowała się tu klinika.

Paul zastał chirurga tuż przed rozpoczęciem zabiegu — miał

349

właśnie operować człowieka, który doznał rozległych poparzeń. Pokazał legitymację, powiedział kilka słów o sprawie i położył przed lekarzem portrety.

Chirurg nawet nie zdjął maski, pokręcił tylko przecząco głową i wrócił do swojego pacjenta. Według informacji udzielonych Paulowi przez Ar-nauda, specjalista ów prowadził hodowlę komórek skórnych dzięki czemu, jak powiadano, potrafił zmienić odciski palców poparzonego; po takim zabiegu zmiana tożsamości ukrywających się przestępców stawała się praktycznie nie do stwierdzenia.

Paul odszedł w noc.

Trzeci chirurg spał smacznie w swoim apartamencie na Avenue d'Eylau w pobliżu Trocadero. On także cieszył się ogromną sławą — robił podobno operacje największym gwiazdom filmu i sceny. Nikt jednak nie wiedział dokładnie, co to były za operacje i kogo naprawdę dotyczyły. Plotka głosiła, że sam również zmienił twarz, popadłszy w bliżej nieokreślone kłopoty z wymiarem sprawiedliwości rodzinnego kraju, Republiki Południowej Afryki.

Chirurg ten odniósł się do Paula dosyć lekceważąco; przez cały czas trzymał ręce w kieszeniach szlafroka. Przyjrzał się fotografiom z obrzydzeniem i powiedział stanowczo: „W życiu nie widziałem”.

Po trzech wizytach Paul poczuł się wyczerpany, zrozumiał, że stoi w miejscu i że brak mu dalszych wskazówek. Zateśknił wtedy za znajomym głosem i zadzwonił do Reyny. Rozmowa nie podniosła go na duchu, Reyna była istotą z innej planety, a pogrążona we śnie Celinę była odległa o całe lata świetlne od jego świata. Świata, w którym mordercy torturowali kobiety, wpychając im do pochwy żywe szczury, a policjanci obcinali palce przesłuchiwanym, by wydobyć od nich informacje...

Paul popatrzył ku górze. Poświata zapowiadająca wschód słońca rozpostarła się na niebie jak krzywizna dalekiej gwiazdy. Szeroki pas światła o barwie malwy przybierał odcień coraz bardziej różowy, gdzieś w oddali pojawił się już kolor siarki, połyskujący iskierkami bieli. Wstawał dzień...

Podniósł się i ruszył z powrotem. Kiedy znalazł się znów na placu Trocadero, otwierane już pierwsze kawiarnie. Wypatrzył 350

światła Malakoff, knajpy, w której miał się spotkać z Naubrelem i jvtatkowskim, swymi dwoma zastępcami.

Zeszłego wieczoru kazał im odłożyć poszukiwania dotyczące kesonów i zebrać jak najwięcej informacji o Szarych Wilkach i ich historii politycznej. Skoro miał się skoncentrować na poszukiwanej kobiecie, chciał wiedzieć jak najwięcej o tych, którzy ją ścigali.

Wchodząc do kafejki, zatrzymał się na moment; przypomniał sobie o kolejnym, niepokojącym go od kilku już godzin zjawisku: Jean-Louis Schiffer znowu gdzieś zniknął. Od rozmowy, którą przeprowadzili o jedenastej wieczorem, nie odezwał się ani razu. Paul kilkakrotnie próbował się z nim skontaktować, lecz bez skutku. Mógłby spodziewać się najgorszego i obawiać się o życie kolegi, ale przypuszczał raczej, że ten łajdak go po prostu wyprzedził. Pozostawiony samemu sobie, Schiffer bez wątpienia wpadł na jakiś nowy trop i działał sam.

Opanowując gniew, Paul wyznaczył mu w myśli kolejny termin. Jeżeli nie odezwie się do godziny dziesiątej, roześle za nim list gończy. Dosyć taryfy ulgowej!

Pchnął drzwi do lokalu; znów był w paskudnym nastroju.

58

Jego zastępcy siedzieli już przy stoliku, w głębi sali. Paul przetarł twarz rękami i poprawił kurtkę. Nie chciał wyglądać jak kloszard po nieprzespanej nocy.

W kawiarni było zbyt jasno, wszystko było zanadto lśniące i wydawało się fałszywe począwszy od żyrandoli, aż po oparcia krzesel. Pseudocynk na kontuarze,

imitacja drewna, skaj zamiast skóry. Podrabiana kawiarenka, jeszcze pusta, bez oparów alkoholu i pogaduszek przy barze.

Paul usiadł naprzeciwko swoich śledczych i spojrzał na ich radosne twarze.

Naubrel i Matkowski nie byli szczególnie uzdolnionymi policjantami, cechował ich jednak entuzjazm młodości. Spoglądając na nich, Paul zawsze myślał o lekkości i beztrוסce jako o czymś, co nigdy nie było jego udziałem.

Od razu zasypali go całym mnóstwem szczegółów, mówiąc co i gdzie podczas tej nocy znaleźli. Paul przerwał im, zamawiając jednocześnie kawę.

— Dobra, chłopaki. Do rzeczy.

Wymienili spojrzenia, po czym Naubrel otworzył grubą teczkę, pełną papierów.

— Szare Wilki to najpierw i przede wszystkim ugrupowanie polityczne. Z tego, co ustaliliśmy, wynika, że w latach sześćdziesiątych w Turcji zaczęły się rozpowszechniać poglądy lewicowe. Tak samo jak we Francji. Jednocześnie nasilała si? 352

reakcja ze strony skrajnej prawicy. Niejaki Alpaslan Tiirkcs, pułkownik zadający się w czasie wojny z nazistami, stworzył partię: Partię Akcji Narodowej. On i jego ludzie chcieli uchozić za obrońców wartości narodowych wobec czerwonego zagrożenia. Matkowski przejął pałeczkę.

— Wokół tego oficjalnego ugrupowania utworzyły się mło-dzieżówki ideologiczne. Z początku na uczelniach, potem także na wsi. Dzieciaki przystępujące do nich nazywały się Idealistami albo Szarymi Wilkami — zajrzał do notatek — po turecku: Bozkurt.

Te dane zgadzały się z informacjami od Schiffera.

— W latach siedemdziesiątych — ciągnął Naubrel — konflikt komunistów z faszystami przybierał na sile. Szare Wilki chwyciły za broń. W niektórych regionach Anatolii utworzono specjalne ośrodki treningowe. Młodzi Idealiści podlegali tam indoktrynacji, szkolono ich w walce wręcz i posługiwaniu się bronią. Tak wieśniacy, niemniej ący pisać i czytać, byli przekształceni w fanatycznych zabójców.

Matkowski wyciągnął kolejny plik kserokopii.

— Począwszy od roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego siódmego Szare Wilki zaczęły działać. Zaczęły mnożyć się zamachy bombowe, strzelaniny na ulicach, zabójstwa znanych ssobistości... Komuniści odpowiedzieli tym samym. Rozpętała się prawdziwa wojna domowa. Pod koniec lat siedemdziesiątych w Turcji ginęło dziennie piętnaście do dwudziestu osób. Prawdziwe rządy terroru.

Paul przerwał:

— No właśnie, a rząd? Policja? Wojsko? Naubrel uśmiechnął się.

— No właśnie. Wojskowi odczekali, aż sytuacja stanie się naprawdę nie do zniesienia, by dokonać tym skuteczniejszej interwencji. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dokonują przewrotu. Wszystko idzie gładko, terroryści z obu stron sceny politycznej łądują w więzieniach. Szare Wilki uważają to za zdradę: walczyli przeciwko komunistom, tymczasem prawicowy rząd pakuje ich do pudła... W tamtym okresie Turkes Pisce: „Jestem uwięziony, ale moje idee rządzą krajem". Szare

353

Wilki szybko jednak wychodzą na wolność. Turkes znów podejmuje działalność polityczną. Inni członkowie organizacji idą jego śladem i zaczynają funkcjonować w ramach oficjalnych struktur, zostają deputowanymi i urzędnikami. Tymczasem wykonawcy ich rozkazów, ci wieśniacy wyszkoleni w obozach treningowych, fanatyczni bojówkarze, pozostają bez zajęcia. — Otóż to — wszedł mu w słowo

Matkowski. — Zostali

osieroceni. Prawica jest u władzy i już ich nie potrzebuje. Sam Turkes odwrócił się od nich, starając się uchodzić za szacownego męża stanu. Cóż więc im pozostaje po wyjściu z więzień?

Naubrel odstawił filiżankę i odpowiedział na pytanie. Wyglądało to jak z góry wyreżyserowane.

— Stają się najemnikami. Mają broń i doświadczenie. Pracują na rzecz każdego, kto im zapłaci, dla państwa i dla mafii. Zgodnie z tym, co podają tureccy dziennikarze, z którymi się skontaktowaliśmy, dla nikogo nie jest obecnie tajemnicą, że Szare Wilki przysłużyły się MIT, tureckim tajnym służbom, dokonując eliminacji przywódców ormiańskich i kurdyjskich. Tworzono też z nich oddziały milicji i szwadrony śmierci. Przede wszystkim jednak przejęła ich mafia. Pomagają w odzyskiwaniu długów, wymuszaniu haraczy, pracują jako obstawa... W połowie lat osiemdziesiątych zajmują się handlem narkotykami, który rozwija się wtedy w Turcji. Czasem nawet zajmują miejsce klanów mafijnych. W odróżnieniu od zwykłych kryminalistów, dysponują niezwykle istotnym atutem: zachowali powiązania z władzą, a zwłaszcza z policją. W ostatnich latach w Turcji wybuchło kilka skandali, dzięki którym wyszły na jaw niezwykle bliskie powiązania pomiędzy mafią a strukturami państwowymi i nacjonalistami. Paul zastanawiał się chwilę. Wszystkie te opowieści wydawały mu się odległe i ogólnikowe. Samo określenie „mafia” budziło w nim niechęć. Jak zwykle: spiskowa teoria dziejów, ośmiornica, ukryte mechanizmy władzy... Jakie to właściwie miało dla niego znaczenie? W żaden sposób nie przybliżało go do poszukiwanych zabójców ani do poszukiwanej kobiety. Nie było żadnej twarzy, żadnego nazwiska, nic, czego można by SIĘ było uchwycić.

354

Jakby czytając w jego myślach, Naubrel zaśmiał się, zadowolony z siebie.

— A teraz, niech przemówią obrazy! Odsunął filiżanki i sięgnął do koperty.

— Przez Internet dotarliśmy do archiwum fotograficznego dziennika „Milliyet”, to jedna z największych istambulskich gazet. Oto, co nam się udało znaleźć.

Paul chwycił pierwsze zdjęcie.

— Co to jest?

— Zdjęcie z pogrzebu Alpaslana Tiirkesa. Stary Wilk umarł w kwietniu tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego siódmego roku. Miał wówczas osiemdziesiąt lat; jego pogrzeb był wydarzeniem na skalę krajową.

Paul nie wierzył własnym oczom. Na uroczystości pogrzebowej zgromadziły się tysiące Turków. Pod zdjęciem był nawet podpis po angielsku: „Orszak żałobny długości 4 kilometrów, chroniony przez 10 tysięcy policjantów”.

Był to obraz poważny i imponujący. Czarny — jak tłumy cisnące się wokół żałobnego orszaku przed głównym meczetem Ankary. Biały — jak śnieg padający tego dnia. Czerwony — jak tureckie sztandary powiewające pośród wiernych...

Na kolejnych fotografiach zobaczył pierwsze rzędy orszaku. Rozpoznał dawną premier Tansu Ciller i z faktu tego wywnioskował, że musieli być tam obecni także inni tureccy dygnitarze. Zauważył nawet przedstawicieli krajów sąsiadujących, odzianych w tradycyjne środkowoazjatyckie długie stroje, bogato wyszywane złotem oraz charakterystyczne okrągłe nakrycia głowy.

I nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Przecież szefowie tureckiej mafii z pewnością brali udział w tym niezwykłym pogrzebie... Przywódcy rodzin z Istanbułu i innych regionów Anatolii niewątpliwie przybyli oddać ostatni hołd

politycznemu sprzymierzeńcowi. Możliwe nawet, że był tam ktoś, kto pociągał za sznurki w jego sprawie. Człowiek, który nastął zabójców na Semę Gokalp. Przejrzał uważnie kolejne odbitki, ukazujące zbliżenia osób \v tłumie. Zauważył, że na większości sztandarów nie widniał Jeden półksiężyc — jak na oficjalnej fladze Turcji — ale trzy

355

półksiężycy tworzące trójkąt. Można było też dostrzec niesione przez żałobników plakaty z obrazem wilka wyjącego do trzech księżyców.

Paul odnosił wrażenie, że patrzy na maszerującą armię, na kamiennych, pradawnych wojowników, zgromadzonych w imię niezrozumiałego symbolu. Szare Wilki były czymś więcej niż tylko partią polityczną — były rodzajem sekty, mistycznym klanem odwołującym się do pradawnej tradycji.

Na powiększeniach obserwował jeszcze jeden szczegół: z początku wydawało mu się, że działacze pozdrawiają się zaciśniętą pięścią, kiedy jednak przyjrzał się dokładniej, spostrzegł, że pozdrowienie wyglądało nieco inaczej: palec wskazujący i mały uniesione były do góry, palec środkowy i serdeczny dotykały kciuka; wyglądało tak, jakby pozdrawiający chcieli coś uszczypnąć. Przyjrzał się zalanej łzami kobiecie, unoszącej rękę w tym geście, i spytał głośno:

— Co oznacza ten sposób ułożenia palców?

— Nie mam pojęcia — odpowiedział Matkowski. — Wszyscy tak robią. Pewnie to jakiś znak rozpoznawczy. Wyglądają na nieźle świrniętych!

Ten znak musiał być jakimś kluczem. Dwa palce uniesione ku niebu jak para uszu... Nagle zrozumiał. Odtworzył ułożenie ręki.

— Nie widzicie, co to oznacza?

Paul odwrócił dłoń bokiem do Naubrela i Matkowskiego, kierując złożone palce w stronę szyby.

— Przyjrzyjcie się.

— O cholera — mruknął Naubrel. — To wilk. Wilczy łeb.

59

Kiedy wychodzili z kawiarni, Paul oznajmił:

— Rozdzielamy się.

Obaj gliniarze odebrali to jako cios. Spędzili bezsenną noc i pewnie mieli nadzieję, że wrócą teraz do domu. Nie zwracając uwagi na ich rozgoryczenie, Paul zaczął wydawać polecenia:

— Naubrel, ty wracasz do poszukiwań w sprawie kesonów.

— Co? Przecież...

— Chcę mieć pełną listę zakładów, w których stosuje się to urządzenie, w całym regionie Ile-de-France.

Policjant rozłożył bezradnie ręce.

—• Kapitanie, to ślepy zaulek. Razem z Matkowskim przeczesałiśmy wszystko. Zakłady budowlane, urzędnia grzewcze, sanitarne... aż po witraże. Byliśmy też w laboratoriach badawczych w...

Paul zatrzymał się. Jemu także się tak wydawało, on również przypuszczał, że z tego tropu nic nie wyniknie. Jednak Schiffer Wypytywał go przez telefon o kesony i Paul był przekonany, że nie robił tego bez powodu. Bardziej niż kiedykolwiek ufał instynktowi starego wyjadacza...

— Chcę mieć tę listę — powiedział stanowczo. — Listę Wszystkich miejsc, co do których istnieje choćby najmniejsze Podejrzenie, że zabójcy posłużyli się działającym tam kesonem.

— A ja? — spytał Matkowski.

Paul podał mu klucze do swojego mieszkania.

— Ty zasuwasz do mnie, na ulicę Chemin-Vert. W mojej skrzynce na listy znajdziesz katalogi, czasopisma i inne dokumenty dotyczące masek i rzeźb antycznych. Zebrał je dla mnie taki jeden młody z komisariatu.

— I co mam z nimi zrobić?

W ten trop też już nie wierzył, ale znów przypomniał mu się Schiffer i jego słowa: „A te antyczne maski?”. Być może hipoteza Paula nie była jednak tak zupełnie pozbawiona sensu...

— Przejrzyj te materiały — powiedział zdecydowanym tonem. — Musisz porównać każde zdjęcie ze zdjęciami ofiar.

— Po co?

— Szukaj podobieństw. Jestem przekonany, że okaleczając twarze, zabójca usiłował upodobnić je do jakichś rzeźb mających znaczenie w tradycji narodowej. Policjant przyglądał się kluczom, lśniącem na jego otwartej dłoni, z widocznym sceptycyzmem. Paul nie zamierzał tracić czasu na dalsze wyjaśnienia. Idąc w stronę samochodu, zakończył spotkanie.

— Widzimy się o dwunastej. Jeśli wcześniej traficie na coś poważnego, dzwońcie od razu.

Podczas tej rozmowy wpadł na nowy pomysł i zamierzał wykorzystać go jak najprędzej. Radca kulturalny ambasady tureckiej, Ali Ajik, mieszkał parę ulic stąd. Warto było do niego zajrzeć; jak dotąd chętnie pomagał mu podczas śledztwa, a Paul bardzo chciał porozmawiać z rodowitym Turkiem.

Zadzwoił z samochodu, komórka zdażyła się naładować. Ajik już nie spał — przynajmniej tak powiedział.

Po kilku minutach Paul wchodził po schodach do mieszkania dyplomaty. Chwiał się leciutko na nogach — był niewyspany, głodny i podekscytowany...

Mężczyzna przyjął go w niewielkim, nowoczesnym mieszkaniu przekształconym w jaskinię Ali Baby. Polirurowane meble błyszcząły złoceniami, ściany zawieszono złotymi i miedzianymi medalionami, ramami i latarniami. Podłóg? pokrywały zachodzące na siebie dywany, utrzymane w tej samej ugrzewej tonacji. Wystrój wnętrza z tysiąca i jednej

nocy nie pasował do osoby Ajika, który miał około czterdziestki i był Turkiem na wskroś nowoczesnym, znającym kilka języków.

— Przede mną — wyjaśnił Ajik przepraszającym tonem — mieszkanie zajmował pewien dyplomata bardziej rozmiłowany w tradycji niż ja. Uśmiechnął się, ręce trzymał w kieszeniach perłowszarego dresu. A więc, jaka to pilna sprawa pana sprowadza?

— Chciałem panu pokazać parę zdjęć.

— Zdjęć? Nie ma problemu. Proszę wejść. Właśnie robiłem herbatę.

Paul chciał odmówić, ale uznał, że byłoby to nietaktem. Jego wizyta miała charakter nieformalny, by nie powiedzieć, nielegalny — znajdował się przecież na terytorium objętym immunitetem dyplomatycznym.

Usiadł na podłodze, pośród dywanów i wyszywanych poduszek; Ajik usiadł naprzeciwko, podając herbatę w pękatach szklaneczkach.

Paul przyjrzał się jego regularnym rysom i czarnym włosom ostrzyżonym tak krótko, że wyraźnie było widać kształt czaszki. W jego szczerzej twarzy, jakby narysowanej przez ilustratora, niepokojące było tylko asymetryczne spojrzenie.

Lewe oko nie poruszało się w ogóle, wpatrzono w rozmówcę; drugie zachowywało się jak najnormalniej.

Nie dotykając nawet gorącej szklanki, Paul zaatakował:

— Przede wszystkim chciałbym pomówić z panem o Szarych Wilkach.

— Nowe śledztwo? Paul zignorował pytanie.

— Co pan o nich wie?

— To stara historia. Szczególnie groźni byli w latach siedemdziesiątych. To niebezpieczni ludzie... — Z namaszczeniem wypił łyk herbaty. — Zauważył pan moje oko?

Paul przybrał wyraz twarzy mający mówić coś w rodzaju: „rzeczywiście, teraz, kiedy pan o tym wspominał...”.

— Oczywiście, zauważył pan — uśmiechnął się Ajik. — Straciłem je właśnie za sprawą Idealistów, działo się to w kam-Pusie uniwersyteckim, kiedy byłem studentem działaczem

359

lewicowym. Można powiedzieć, że stosowali dość... radykalne metody.

— A obecnie? Ajik machnął ręką.

— Właściwie już nie istnieją, przynajmniej jako organizacja terrorystyczna. Nie muszą już uciekać się do przemocy, ponieważ za to między innymi oni sprawują władzę w Turcji.

— Nie chodzi mi o politykę, interesują mnie wykonawcy, zatrudniani przez kartele przestępcze.

Turek skrzywił się ironicznie.

— Takie tam opowieści... W Turcji niełatwo jest oddzielić legendę od rzeczywistości.

— Ale niektórzy z nich są przecież na usługach klanów mafijnych, tak czy nie?

— W przeszłości na pewno, ale dziś... — zmarszczył brwi. — Dlaczego pan pyta? Czy to ma jakiś związek z serią zabójstw?

Paul wołał nie odpowiadać.

— Według posiadanych przeze mnie informacji ci ludzie pracują dla mafii i jednocześnie nadal są wierni swym ideałom.

— Dobrze pan to określił. W gruncie rzeczy pogardzają gangsterami, którzy ich wynajmują. Są przekonani, że służą wyższemu celom.

— Jaki jest ich cel?

Ajik odetchnął głęboko, jakby dla podkreślenia patetycznego wydźwięku swych słów.

— Marzą o przywróceniu imperium otomańskiego, o powrocie Turanu.

— Co to takiego?

— Nie starczyłoby dnia, gdybym miał o tym wszystkim panu opowiedzieć.

— Bardzo proszę — powiedział Paul z naleganiem w głosie. — Muszę zrozumieć, co ich motywuje.

Ali Ajik oparł się na łokciu.

— Naród turecki wywodzi się ze stepów środkowej Azji-Nasi przodkowie mieli skośne oczy i mieszkali w tych samych regionach, co Mongołowie. Na przykład Hunowie byli Turkami. Były to ludy wędrownie, które przebyły całą Azję Środkową

360

. i dotarły do Anatolii mniej więcej w dziesiątym wieku ery chrześcijańskiej.

— A Turan?

— To legendarne imperium, które ponoć kiedyś istniało i jednoczyło wszystkie ludy Azji Środkowej mówiące językiem zbliżonym do tureckiego. Coś w rodzaju Atlantydy, o której często się mówi, choć na jej istnienie nie ma ani cienia dowodu. Szare Wilki marzą o tym zaginionym kontynencie. Marzą



0 zjednoczeniu Uzbeków, Tatarów, Ujgurów, Turkmenów...

1 odbudowaniu potężnego imperium, ciągnącego się od Bał-kanów po jezioro Bajkał.

— Czy jest to projekt możliwy do urzeczywistnienia?

— Oczywiście, że nie, ale jak w każdej bajce jest w niej coś prawdziwego.

Obecnie nacjonałiści dążą do utworzenia więzi ekonomicznych i promują wymianę między narodami, które mówią językami pokrewnymi; dotyczy to, na przykład, dóbr takich jak ropa naftowa.

Paul pamiętał skośne oczy i egzotyczne szaty gości przybyłych na pogrzeb Tiirkesa. A więc świat Szarych Wilków stanowił niejako państwo w państwie, państwo podziemne, państwo działające poza prawem i ponad ustanowionymi przez nie granicami.

Wyjął zdjęcia z pogrzebu. Było mu coraz bardziej niewygodnie siedzieć ze skrzyżowanymi nogami.

— Czy te zdjęcia coś panu mówią?

Ajik obejrzał pierwszą odbitkę i powiedział:

— To z pogrzebu Turkesa. Nie było mnie wtedy w Istambule.

— Czy są tu jakieś znane osobistości?

— Ależ tu są wszyscy! Członkowie rządu, przedstawiciele partii prawicowych.

Potencjalni następcy Turkesa...

— Czy są tu działacze Szarych Wilków? Chodzi mi o znanych bandytów.

Dyplomata przeglądał kolejne zdjęcia i wszystko wskazywało na to, że czuje się coraz bardziej nieswojo, jakby sam widok tych ludzi budził w nim wspomnienia grozy dawnych czasów.

— Na przykład ten. Orał Celik — wskazał palcem jedną z postaci.

— Kto to jest?

361

— Wspólnik Ali Agey. Jeden z dwóch ludzi, którzy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym dokonali zamachu na papieża.

— Jest na wolności?

— To jest Turcja. Proszę nie zapominać o powiązaniu Szarych Wilków z policją i o tym, jak bardzo skorumpowany jest nasz wymiar sprawiedliwości.

— Rozpoznaje pan jakichś innych?

Ajik z pewną niechęcią spoglądał na odbitki.

— Nie jestem specjalistą.

— Chodzi mi o prawdziwe sławy, głowy rodzin.

— Czyli o takich, których nazywamy baba?

Paul postanowił zapamiętać to określenie, będące, jak się domyślił, tureckim odpowiednikiem ojca chrzestnego. Ajik długo i uważnie oglądał każde zdjęcie,

— Niektórych znam z widzenia — przyznał w końcu — ale nie pamiętam ich nazwisk.

To są twarze, które widzi się codziennie w gazetach, przy okazji kolejnych procesów: handel bronią porwania, domy gry...

Paul wyciągnął flamaster z kieszeni.

— Proszę zaznaczyć każdą twarz, którą pan rozpoznaje, a obok napisać nazwisko, jeśli je pan pamięta.

Turek zakreślił kilka postaci, ale nie wpisał żadnego nazwiska. Nagle ożywił się. .

— Ten tutaj to prawdziwa gwiazda, na skalę krajową.

Wskazał na bardzo wysokiego mężczyznę, co najmniej siedemdziesięcioletniego, podpierającego się laską. Był to człowiek o niezwyklej twarzy: wysokie czoło,

siwe włosy zaczesane do tyłu, wysunięte szczęki; profil kozła.

— Ismai'1 Kudseyi. Prawdopodobnie najpotężniejszy buyuk--baba Istambułu.

Czytałem ostatnio poświęcony mu artykuł. Podobno wciąż jest w obiegu i pozostaje jednym z najbardziej wpływowych handlarzy narkotyków w Turcji. Bardzo rzadko widuje się jego zdjęcia; opowiadają, że kazał wyłupić oczy jakiemuś reporterowi, który ośmielił się go sfotografować.

— I wszyscy wiedzą o jego działalności przestępczej? Ajik wybuchnął śmiechem.

— Oczywiście. W Istambule powiada się, że jest tylko 362

jedna rzecz, której Kudseyi może się jeszcze obawiać: trzęsienie ziemi.

— Jest powiązany z Szarymi Wilkami?

— Jeszcze jak! Jest ich historycznym przywódcą. Większość oficerów służących obecnie w policji została wyszkolona w jego obozach treningowych. Jest również sławny ze względu na działalność charytatywną. Założył fundację, która przyznaje stypendia dzieciom z ubogich rodzin. Fundacja również powołuje się na wzniosłe ideały patriotyczne.

Paul zwrócił uwagę na pewien szczegół.

— Co się stało z jego rękami?

— To poparzenia od kwasu. Podobno zaczął karierę jako płatny morderca w latach sześćdziesiątych. Pozbywał się zwłok, rozpuszczając je w kwasie i w wodorotlenku sodu. Ale, być może, to tylko plotka.

Paul poczuł dziwne mrowienie na plecach. Ten człowiek z pewnością mógł wydać rozkaz zlikwidowania Semy Gokalp. Tylko z jakiego powodu? I właściwie dlaczego on, a nie którykolwiek z uczestników pogrzebu, idących obok niego? Jak można prowadzić śledztwo na odległość dwóch tysięcy kilometrów? Przyjrzał się twarzom zaznaczonym flamastrem. Twardym, zaciętym gębom, z płatkami śniegu na wąsach... Mimo woli poczuł coś w rodzaju respektu wobec tych dostojnych zbrodniarzy. Spozrzegł wśród nich jakiegoś młodego człowieka o potarganych włosach.

— A ten?

— To przedstawiciel nowego pokolenia. Azer Akarsa, wychowanek Kudseyia. Dzięki wsparciu jego fundacji ten syn wieśniaka stał się znanym biznesmenem. Zrobił majątek na handlu owocami. Obecnie jest właścicielem ogromnych połąci sadów w swych rodzinnych okolicach, w pobliżu Gaziantep. Nie ma nawet jeszcze czterdziestu lat. Taki golden boy w tureckim wydaniu.

Nazwa Gaziantep przypomniała Paulowi, że wszystkie ofiary wywodziły się z tej właśnie okolicy. Zbieg okoliczności? Przyjrzał się dłużej młodzieńcowi w aksamitnej marynarce, zapiętej pod szyję. Wyglądał raczej na roztargnionego wiecznego studenta niż na człowieka interesu.

363

— Zajmuje się polityką?

Ajik potwierdził skinieniem głowy.

— Typ nowoczesnego przywódcy. Założył sieć klubów, w których słucha się rapu, dyskutuje o Europie i pije alkohol. Pozuje na liberała.

— Pozuje?

— Tak. Moim zdaniem to tylko kamuflaż. Uważam, że Akarsa jest zawziętym fanatykiem, może najgorszym ze wszystkich. Jednym z tych, którzy wierzą w powrót do pierwotnych korzeni. Jego obsesją jest wspaniała przeszłość Turcji. Założył fundację finansującą różne prace archeologiczne.

Paul pomyślał o starożytnych maskach i twarzach rzeźbionych jak w kamieniu.

Tylko że to nie był żaden trop, to nie była nawet hipoteza. To była czysta fantazja, nie opierająca się na żadnych racjonalnych podstawach.

— A działalność przestępcza? — spytał.

— Nie, nie przypuszczam. Akarsa nie potrzebuje pieniędzy. Jestem pewien, że serdecznie gardzi Szarymi Wilkami, które zadają się z mafią. W jego mniemaniu jest to niegodne sprawy.

Paul spojrzął na zegarek: wpół do dziesiątej. Najwyższy czas wrócić do chirurgów. Pozbierał fotografie i wstał.

— Dziękuję, Ali. Jestem pewien, że te informacje bardzo mi się przydadzą, w ten czy w inny sposób.

Gospodarz odprowadził go aż do drzwi. W progu zapytał:

— Nie odpowiedział mi pan na pytanie: czy Szare Wilki mają coś wspólnego z tą serią morderstw?

— Istnieje możliwość, że są w to zamieszane, owszem.

— Ale... W jaki sposób?

— Tego nie mogę powiedzieć.

— Czy pan... Czy pan myśli, że są w Paryżu?

Paul szedł korytarzem, nie odpowiadając. Zatrzymał się na schodach.

— Ali, jeszcze jedno pytanie. Skąd ta nazwa: Szare Wilki?

— To nawiązanie do pewnego miru o początkach narodu tureckiego.

— Jakiego miru?

— Otóż w bardzo dawnych czasach, kiedy tureccy wojownicy wędrowali po Azji Środkowej, kiedy nie mieli schronienia

364

i kiedy zagrażała im głodowa śmierć, ocaliły ich wilki: wykar-miły i otoczyły opieką. Szare wilki, które w ten sposób zapoczątkowały potęgę narodu tureckiego. Paul z całej siły zacisnął dłoń na poręczy schodów; zbiały mu kostki.

Wyobraził sobie wilczą hordę przemierzającą bezkresne stepy w tumanach szarego kurzu i palących promieniach słońca.

— Oni uważają się za obrońców rasy tureckiej, kapitanie — zakończył Ajik. — Są strażnikami jej pierwotnej czystości, jej początków. Są wierni swemu legendarnemu pochodzeniu. Niektórzy z nich wierzą, że są dalekimi potomkami białej wilczycy imieniem Asena. Mam nadzieję, że pan się myli i że ci ludzie nie działają w Paryżu. Dlatego że to nie są zwykli przestępcy. Pod żadnym względem nie przypominają kryminalistów, z jakimi mógł pan mieć dotychczas do czynienia.

60

Kiedy Paul wsiadał do golfu, zadzwonił telefon.

— Kapitanie, być może coś znalazłem. Głos Naubrela.

— Co?

— Podczas przesłuchania pewnego specjalisty od systemów grzewczych dowiedziałem się, że wysokie ciśnienia stosowane są w dziedzinie, której do tej pory nie zbadaliśmy.

Paula wciąż jeszcze prześladowały wizje wilków wyjących na stepie, toteż nie bardzo wiedział, o czym mówi jego podwładny.

— W jakiej dziedzinie? — spytał niedbale.

— Konserwacja produktów spożywczych. To dosyć nowa technika, sprowadzona z Japonii. Produktów się nie podgrzewa, tylko poddaje się je zwiększonemu ciśnieniu. Sposób jest droższy, ale dzięki temu zachowane się walory odżywcze, witaminy i...

— Kurwa, wyduś to z siebie. Masz jakiś ślad?

— Kilka zakładów położonych na przedmieściach stosuje tę technikę —

odpowiedział pośpiesznie Naubrel. — Głównie producenci zdrowej żywności i temu

podobni. Znalazłem jedno miejsce w dolinie Biewe, które mnie zainteresowało.

— Dlaczego?

— Należy do firmy tureckiej.

366

Paul znów poczuł to samo mrowienie...

— Jak się nazywa ta firma?

— Zakłady Matak.

Dwie sylaby, które, rzecz jasna, nic mu nie mówiły.

— Co produkują?

— Soki owocowe i luksusowe przetwory. Z tego, czego się dowiedziałem, zakład ten więcej ma wspólnego z laboratorium badawczym niż z tradycyjną fabryką.

Mrowienie przerodziło się w fale elektryczne. Azer Akarsa. Nacjonalista i człowiek sukcesu, który zdobył majątek na sadownictwie. Pochodził z Gaziantep. Czyżby istniało jakieś powiązanie?

— Wobec tego, posłuchaj — powiedział stanowczym głosem. — Musisz coś wykombinować i zobaczyć to miejsce.

— Teraz?

— A kiedy? Chcę, żebyś jak najdokładniej obejrzał pomieszczenie, w którym przetwory poddawane są ciśnieniu. Tylko uwaga: nie ma mowy o oficjalnym przeszukaniu, nikt nie ma prawa wiedzieć, że jesteś z policji.

— Ale jak w takim razie...?

— Jakoś sobie poradzisz. Musisz też się dowiedzieć, kto jest właścicielem zakładów.

— Ale to pewnie jakaś spółka akcyjna!

— Popytaj zarządzających produkcją. Skontaktuj się z Izbą Handlową we Francji albo w Turcji, jeśli będzie trzeba. Chcę mieć listę głównych akcjonariuszy.

Naubrel chyba połapał się, że jego przełożony ma na myśli coś konkretnego.

— Czego szukamy?

— Być może nazwiska: Azer Akarsa.

— O kurwa, te nazwiska... Może pan przeliterować? Paul miał się już rozłączyć, kiedy Naubrel zapytał:

— Słuchał pan radia?

— Nie, a co?

— Dziś w nocy znaleziono trupa na cmentarzu Pere-La-chaise, zwłoki były okaleczone.

Lodowate ukłucie w boku.

— Kobiętę?

367

— Nie, to mężczyzna. Gliniarz. Służył kiedyś w „dziesiątce” Jean-Louis Schiffer. Specjalista od Turków i...

W przypadku rany postrzałowej największe spustoszenia powodowane są w ciele nie przez samą kulę, lecz przez podciśnienie, przez śmiertcioną próżnię, ciągnącą śladem kuli niczym ogon komety, niszczącą tkanki, kości.

W taki właśnie sposób Paul odebrał słowa Naubrela. Czuł, jak rozdzierają się jego wnętrzności, tworząc trajektorię bólu, od którego chciało mu się wyć. Nie usłyszał jednak własnego krzyku, bo umieścił już światło na dachu samochodu i włączył syrenę.

61

Wszyscy już byli na miejscu. Wystarczyło na nich popatrzeć, żeby dokonać odpowiedniej klasyfikacji. Szyszki z placu Beau-vau; smutni panowie w żałobnych

strojach na co dzień: czarne płaszcze i wypastowane buty. Komisarze i szefowie brygady w zielonym kamuflażu albo jesiennym moro, przypominający zacząonych myśliwych. Oficerowie policji kryminalnej w skórzanych kurtkach z czerwonymi opaskami na ramieniu niczym sutenerzy nawróceni na policjantów. Większość z nich, niezależnie od funkcji i stopnia, nosiła wasy; swoisty znak rozpoznawczy, równie istotny jak trójkolorowa kokarda na służbowej legitymacji.

Paul minął rząd samochodów policyjnych, migających w ciszy światłami sygnalizacyjnymi, i dotarł do kolumbarium. Niepostrzeżenie przeszedł pod plastikową taśmą, zagrządzającą wejście do budynków.

Skrecił w lewo, pod arkady, i stanął schowany za kolumną, nie po to jednak, by podziwiać długie galerie z tysiącami nazwisk, pod którymi leżały kwiaty, ani by skupić się w atmosferze szacunku dla zmarłych, pośród bukietów z marmuru, gdzie pamięć o tych, co odeszli, była wciąż obecna, niczym mgielka nad powierzchnią wody. Chciał tylko przyjrzeć się grupie policjantów, kręcących się po ogrodzie, i odszukać pośród nich znajome twarze.

369

Od razu zauważył Philippe'a Charliera. Zielony Olbrzym w lodenowym płaszczu bardziej niż kiedykolwiek pasował do swego przydomka. Obok niego stał Christophe Beauvanier w baseballowej czapeczce i skórzanej kurtce. Obaj gliniarze, przesłuchiwni tej nocy przez Schiffera, przybyli na miejsce zbrodni jak hieny, żeby upewnić się, że mają go z głowy. W grupce osób, stojących niedaleko tych dwóch, Paul rozpoznał Jeana-Pierre'a Guicharda, prokuratora republiki, oraz Claude'a Monestiera, szefa komisariatu Luis-Blanc; był też tam sędzia Thierry Bomarzo, jeden z niewielu ludzi orientujących się, jaką rolę odegrał Schiffer w całej tej historii. Paul natychmiast zrozumiał, co oznacza, dla niego to nagromadzenie oficjeli: jego kariera policyjna nie będzie miała szans na przetrwanie tego chaosu.

Najbardziej jednak zdziwiła go obecność Morencko, szefa OCRTIS, oraz Polleta, szefa Wydziału do spraw Narkotyków. Sporo ludzi, jak na zgon zwykłego, emerytowanego inspektora. Paulowi przyszło na myśl skojarzenie z bombą; nikt tak naprawdę nie wie, jaką ma moc, dopóki nie wybuchnie.

Zbliżył się, wciąż chowając się za kolumnami. W zasadzie powinien gorączkowo zastanawiać się, co się stało, tymczasem zafrapowało go coś zupełnie innego.

Spęd policyjnych grubych ryb i sklepienia sanktuarium w dziwny sposób przypomniały mu uroczystości pogrzebowe Alpaslana Turkesa. Te same wasy, to samo namaszczenie i powaga. W pewnym sensie Jean-Louis Schiffer także został pośmiertnie uczczony obecnością orszaku dostojników.

W głębi parku zobaczył karetkę stojącą obok wejścia do podziemi. Pielęgniarki w szarych fartuchach palili papierosy i rozmawiali z umundurowanymi policjantami. Najwyraźniej czekali, aż technicy skończą robotę, żeby zabrać ciało. Oznaczało to, że Schiffer był jeszcze tam, wewnątrz.

Paul wyszedł z ukrycia i skierował się do wejścia, osłoniętego żywopłotem z ligustru. Schodził już po schodach, kiedy usłyszał głos:

— Ej! Tam nie wolno wchodzić!

Odwrócił się i wyciągnął legitymację. Strażnik zamarł i omal nie stanął na baczność. Paul skorzystał z jego zaskoczenia

370

j przeszedł przez bramę z kutego żelaza. Z początku wyglądało to jak wnętrze jakiejś kopalni, widział tylko tunele i kolejne poziomy. Po chwili jego oczy przyzwyczyły się do ciemności j mógł zorientować się w rozkładzie katakumb. W

czarnych i białych korytarzach znajdowały się tysiące wnek, nazwisk, bukietów w wazonikach, zawieszonych na ścianach. Wszystko razem sprawiało wrażenie miasta troglodytów, wykutego w kamieniu.

Wychylił się za balustradę i popatrzył w dół. Na drugim poziomie zobaczył aureolę światła; tam więc musieli znajdować się specjaliści z policyjnego laboratorium. Znalazł kolejne schody i ruszył w dół. Im bardziej zbliżał się do światła, tym gęstsze i ciemniejsze wydawało mu się powietrze. W nozdrza uderzał dziwny zapach: suchy, drażniący, mineralny.

Na drugim poziomie skręcił w prawo, kierując się bardziej wonią niż źródłem światła. Za pierwszym zakrętem zobaczył dwóch techników, ubranych w białe kombinezony i papierowe czepki. Rozłożyli się ze swoją aparaturą na skrzyżowaniu kilku korytarzy. W otwartych metalowych walizkach, stojących na rozpostartych plandekach, widać było probówki, fiołki, atomi-zery... Paul zbliżył się bezgłośnie — obie postacie odwrócone były do niego plecami.

Odkaszlnął, co przyszło mu bez trudu, bo w powietrzu było pełno pyłu. Kosmonauci odwrócili się, mieli na twarzy maski w kształcie odwróconej litery Y. Paul znów pokazał swoją legitymację. Jedna z owadzich głów wykonała przeczący ruch, unosząc dłonie w białych rękawiczkach.

Rozległ się stłumiony głos — nie sposób było stwierdzić, który z nich się odezwał:

— Przykro mi. Właśnie bierzemy się za zbieranie odcisków.

— Tylko na chwilę. Pracowaliśmy razem. Cholera, chyba możecie to zrozumieć, nie?

Obie litery Y spojrzały po sobie. Minęła dłuższa chwila, wreszcie jeden z techników wyciągnął z walizki maskę.

— Trzecia aleja — powiedział. — Idź za światłami. Tylko PO deskach, żebyś mi nie tknął stopą podłogi.

Nie zwracając uwagi na maskę, Paul ruszył przed siebie. Mężczyzna zatrzymał go.  
371

— Weź ją. Tam nie da się oddychać.

Paul mruknął coś pod nosem, zakładając białą skorupę na twarz. Skręcił w pierwszą aleję na lewo. Deski skrzypiały pod nogami, musiał uważać, żeby nie potknąć się o kable reflektorów, ustawionych na każdym skrzyżowaniu korytarzy. Wydawało mu się, że ściany z litaniami żałobnych inskrypcji nigdy się nie skończą; w powietrzu było coraz gęściej od szarych drobinek.

Po kolejnym zakręcie zrozumiał ostrzeżenie technika.

W świetle halogenów zobaczył, że wszystko było szare: podłoga, ściany, sufit. Prochy zmarłych wysypały się z nisz; podziurawione kulami urny walały się po ziemi, a ich zawartość zmieszała się z gruzem i drobinkami gipsu.

Na ścianach dostrzegł ślady kul wystrzelonych z dwóch rodzajów broni — ze strzelby dużego kalibru typu Shotgun i z pistoletu kaliber 9 milimetrów albo z czterdziestkapiątki.

Księżycowy krajobraz, który rozpościerał się przed jego oczami, przypominał widoki miast przysypanych popiołem wulkanicznym; widział takie zdjęcia z Filipin. Zastygła lawa na ulicach, przerażeni mieszkańcy o twarzach posągów, niosący na rękach dzieci z kamienia.

Przeszedł za kolejną żółtą taśmę i wtedy nagle zobaczył go w głębi korytarza.

Schiffer żył jak bestia.

I zginął jak bestia, w brutalnej walce na śmierć i życie.

Jego zwłoki pokryte były jednolicie szarym pyłem, prawa noga podkurczona, prawa

ręka uniesiona ku górze, palce zagięte jak kogucie pazury. Wokół tego, co pozostało z jego czaszki, widniała kałuża krwi, jak gdyby któraś z jego najmroczniejszych myśli eksplodowała wewnątrz głowy.

Twarz była najstraszniejsza. Popiół nie zdołał zamaskować potwornych ran. Gałka oczna była wydłubana, raczej wycięta z całym oczodołem. Skóra na szyi, czole i policzkach poszatkowana na strzępy. Jeden z płatów odsłaniał nacięcie idące od dziąsła aż po upiorny oczodół, tworząc koszarne przedłużenie wykrzywionych ust; różowawe mięso prześwitywało spod szarego popiołu.

Chwyciły go mdłości. Skulił się i zerwał maskę. Jednak jeg°

372

żołądek był zupełnie pusty. Wraz ze skurczami pojawiły się pytania: Po co Schiffer tu przyszedł? Kto go zabił? Kto był zdolny do takiego barbarzyństwa? Wtedy upadł na kolana i wybuchnął szlochem. Łzy popłynęły mu z oczu w jednej chwili, nawet nie próbował ich powstrzymać ani otrzeć błota, gromadzącego się na policzkach.

Nie płakał nad losem Schiffera.

Nie opłakiwał też zamordowanych kobiet ani nawet tej, która ukrywała się gdzieś, ścigana okrutnym wyrokiem.

Płakał nad sobą.

Nad swym osamotnieniem i bezsilnością, bo w tej chwili poczuł się zupełnie bezradny i nie wiedział, co ma robić dalej.

— Chyba powinniśmy pogadać?

Paul, zaskoczony, odwrócił się.

Uśmiechał się do niego jakiś nieznany mężczyzna w okularach. Nie miał na twarzy maski, a jego wysoka, pokryta błękitnawym pyłem sylwetka przypominała stalaktyt.

62

— A więc to pan wyciągnął Schiffera z lamusa? Jego głos był czysty, silny, niemal radosny; pasował do błękitu nieba.

Paul otrzepał kurtkę z popiołu i pociągnął nosem. Udało mu się odzyskać jako taką pewność siebie.

— Tak, potrzebowałem jego rady.

— Jakiego rodzaju rady?

— Prowadzę śledztwo w sprawie serii zabójstw w Dzielnicy Tureckiej Paryża.

— Czy pana przełożeni wyrazili na to zgodę?

— Zna pan odpowiedź.

Człowiek w okularach kiwnął głową. Był nie tylko pokaźnego wzrostu, z całej jego postaci emanowała jakaś wyniosłość. Wysoko uniesiona głowa, wysunięty do przodu podbródek, wysokie czoło otoczone siwymi, kręconymi włosami. Funkcjonariusz na ważnym stanowisku, w sile wieku, o wyglądzie wężącego charta.

— Pan jest z IGS? — spytał Paul niepewnie.

— Nie. Olivier Amien. Obserwatorium Geopolityczne Obrotu Narkotykami.

Paul słyszał to nazwisko, kiedy jeszcze pracował w OCRTIS. Amien uchodził za najważniejszą postać w walce z handlem narkotykami we Francji. Był zwierzchnikiem zarówno Krajo-

374

\vego Wydziału do spraw Narkotyków, jak i służb zajmujących się zwalczaniem handlu narkotykami na skalę międzynarodową.

Odwrócili się tyłem do kolumbarium i weszli w alejkę przypominającą wybrukowaną dziewiętnastowieczną uliczkę. Paul zobaczył dwóch grabarzy opartych o jakiś grobowiec i palących papierosy. Na pewno rozmawiali o niezwykłym odkryciu, jakie

miało miejsce tego ranka.

Słowa Amiena brzmiały tak, jakby pełno w nich było znamienych niedopowiedzeń.

— Wydaje mi się, że pan również pracował przez jakiś czas w Centralnym Biurze do spraw Narkotyków...

— Tak, przez parę lat.

— Jakie sprawy?

— Drobne; głównie niewielkie siatki handlarzy marihuany, najczęściej z Afryki Północnej.

— Nie miał pan nigdy do czynienia ze Złotym Półksiężycem?

Paul wytarł nos wierzchem dłoni.

— Obaj zyskamy na czasie, jeżeli przejdzie pan od razu do rzeczy.

Amien uśmiechnął się promiennie.

— Mam nadzieję, że krótki wykład z historii współczesnej pana nie przestraszy...

Paul pomyślał o nazwiskach i datach, które sobie przyswoił od rana.

— Proszę mówić, właśnie nadrabiam zaległości. Amien poprawił okulary.

— Przypuszczam, że słyszał pan o talibach. Od jedenastego września mówi się o nich bez przerwy. Media zajęły się troskliwie ich stylem życia i dokonaniem...

A więc zniszczone posagi Buddy, zwolennicy Ben Ladena, negatywny stosunek do kobiet, kultury czy też wszelkiej formy tolerancji. Ale istnieje też fakt mało znany, a dotyczący jedynej, zapewne, dobrej strony ich reżimu. Otóż ci barbarzyńcy jako jedyni walczyli w sposób wyjątkowo skuteczny przeciwko produkcji opium. W ostatnim roku swoich rządów zdołali prawie całkowicie wykorzystać uprawę maku w Afganistanie. W roku dwutysięcz-

375  
nym produkowano tam trzy tysiące trzysta ton materiału wy. jściowego, a w roku dwa tysiące pierwszym już tylko sto siedemdziesiąt pięć ton. Uważali bowiem, że wytwarzanie narkotyków jest sprzeczne z prawem Koranu.

Oczywiście, kiedy tylko mułła Omar stracił władzę, uprawa maku rozkwitła na nowo, i w tej chwili chłopci z Ningar-har doglądają właśnie kwiatów zasianych w grudniu zeszłego roku, a wkrótce zaczną się zbiory, mniej więcej od końca kwietnia.

Paul na przemian słuchał go uważnie, to znów odpływał gdzieś myślami. Miniony atak hysterii sprawił, że stał się przewrażliwiony, gotów w każdej chwili wybuchnąć śmiechem lub płaczem.

— ...Przed zamachem jedenastego września — ciągnął Amien — nikt nie spodziewał się upadku tego reżimu. Tak więc handlarze narkotyków poszukiwali nowych źródeł towaru; dotyczyło to szczególnie tak zwanych buyuk-baba, czyli tureckich dziadków, szefów mafii trudniących się eksportem heroiny do Europy, którzy nawiązali kontakty z innymi krajami produkującymi opium, takimi jak Uzbekistan i Tadżykistan. Nie wiem, czy pan zdaje sobie z tego sprawę, ale są to kraje należące do tej samej grupy językowej. Paul znów pociągnął nosem.

— Coś mi się obilo o uszy, owszem. Amien z uznaniem kiwnął głową.

— W poprzednich" latach Turcy kupowali opium w Afganistanie i Pakistanie, przerabiali je na morfinę w Iranie i produkowali z niej heroinę we własnych laboratoriach w Turcji. Teraz proces ten musiał ulec modyfikacji. Produkcja morfiny odbywała się w krajach kaukaskich, natomiast laboratoria, wytwarzające heroinę, przeniosły się do wschodniej części Anatolii. Zmiana struktur musiała zająć trochę czasu i, o ile wiemy, jeszcze w zeszłym roku nie wszystko było dograne. Pod koniec zimy, na przełomie lat dwa tysiące, dwa tysiące jeden,



dotarła do nas informacja o planowanym, trójstronnym sojuszu pomiędzy mafią uzbecką, sprawującą kontrolę nad ogromnymi terytoriami upraw, mafią rosyjską, dysponującą strukturami wywodzącymi się z dawnej Armii Czerwonej i panującą od dziesiątek

lat nad szlakami wiodącymi przez Kaukaz oraz posiadającą ojelegalne laboratoria, przetwarzające opium na morfinę, znajdujące się w tym regionie, a rodzinami tureckimi, które miały zająć się produkcją właściwej heroiny. Nie znaleźliśmy żadnego nazwiska, nie mieliśmy żadnych konkretów, docierały do nas jednak pewne sygnały, pozwalające przypuszczać, że wkrótce odbędzie się spotkanie na szczycie.

Znaleźli się właśnie w najbardziej ponurej części cmentarza, gdzie wielkie czarne grobowce stały ciasno obok siebie; wiodące do ich wnętrza ciemne bramy i ich spadziste dachy przywodziły na myśl jakieś górnicze osiedle, kulące się pod czarnym niebem.

— ...Te trzy grupy przestępcze postanowiły zacząć swą działalność od transportu pilotażowego — opowiadał dalej Amien. — Na początek miała to być niewielka ilość narkotyku, chodziło głównie o to, żeby sprawdzić w praktyce, jak układa się współpraca, a poza tym był to transport o znaczeniu symbolicznym. Dlatego też każdy z partnerów starał się wykazać w jak największym stopniu swoimi kwalifikacjami. Uzbekcy dostarczyli towar najwyższej jakości. Rosjanie zatrudnili najlepszych chemików do oczyszczania surowca, a Turcy wytworzyli z niego niemal stuprocentowo czystą heroinę. Tak zwaną czwórkę, prawdziwy nektar. Według naszych przypuszczeń mieli zająć się również przerzuceniem produktu do Europy i w ten sposób wykazać, że są godni zaufania. Było to o tyle istotne, że w chwili obecnej napotykały silną konkurencję ze strony klanów albańskich i kosowskich, które opanowały drogę przez Bałkany.

Paul wciąż nie mógł się zorientować, w jaki sposób cała ta historia dotyczy jego.

— Wszystko to odbywało się pod koniec zimy roku dwutysięcznego pierwszego. Oczekiwaliśmy pojawienia się tego sławetnego transportu we Francji na wiosnę. Byłaby to jedyna w swoim rodzaju okazja, by zdusić w zarodku tworzącą się nową siatkę...

Paul przyglądał się grobowcom. W tej okolicy były jaśniejsze, rzeźbione, bardziej zróżnicowane; zdawały się być muzyką kamieni, naszeptującą mu coś do uszu.

377

— Począwszy od marca, służby celne w Niemczech, w/e Francji i w Holandii zostały postawione w stan najwyższej gotowości. Wszystkie porty, lotniska i przejścia graniczne znalazły się pod stałym nadzorem. We wszystkich tych krajach dokonaliśmy inwigilacji wspólnoty tureckiej. Przyciskaliśmy donosicieli, zakładaliśmy podsłuchy u handlarzy... Jednak minął maj, a my wciąż dreptaliśmy w miejscu, nie dysponowaliśmy żadną wskazówką, żadną informacją. Wyglądało to niepokojąco, postanowiliśmy więc dotrzeć w inny sposób do Turków działających we Francji. Uznaliśmy, że należy skorzystać z usług specjalisty, człowieka znającego Anatolijczyków i ich społeczność jak własną kieszeń. Kogoś, kto mógłby spełnić rolę konia trojańskiego...

Ostatnie zdania przywróciły Paula do rzeczywistości. Nagle zrozumiał, co takiego łączy obie sprawy.

— Jean-Louis Schiffer — powiedział bez zastanowienia.

— Właśnie. Cyfra albo Żelazo, do wyboru.

— Przecież był już na emeryturze.

— Musieliśmy więc poprosić, by powrócił do pracy...

Wszystko zaczynało się zgadzać. W kwietniu 2001 w paryskim sądzie apelacyjnym, umorzony został proces przeciwko Schifferowi, oskarżonemu o zabójstwo Gazila Hameta. Inaczej mówiąc, sprawę zatuszowano.

— Jean-Louis Schiffer wyznaczył cenę za współpracę — powiedział głośno Paul. —

Zażądał, żeby ukrećić łeb aferze z Hametem.

— Widzę, że zna pan dobrze jego dossier.

— Obawiam się, że sam jestem częścią tego dossier. No i zaczynam pomału orientować się, w jaki sposób załatwia się sprawy w policji. Życie drobnego dealera nie ma znaczenia, kiedy w grę wchodzi wielkie ambicje kogoś takiego jak pan.

— Niech pan nie zapomina o celu, który nam przyświecał. Chcieliśmy powstrzymać działalność przestępczą zakrojoną na wielką skalę, położyć kres...

— Proszę przestać. Znam to na pamięć.

Amien uniósł ręce w geście poddania, jakby nie chciał już spierać się na ten temat.

378

— Nasz problem, w każdym razie, był innej natury.

— Jakiego rodzaju problem?

— Schiffer wystawił nas do wiatru. Kiedy odkrył, który z klanów bierze udział w sojuszu i w jaki sposób transport miał dotrzeć na miejsce, po prostu nas nie powiadomił. Przypuszczamy, że zaproponował swoje usługi kartelowi.

Najprawdopodobniej zaoferował, że osobiście spotka się z kurierem w Paryżu i zajmie się tym, żeby towar dotarł do najlepszych dystrybutorów. W końcu, kto lepiej niż on znał siatki dealerskie działające we Francji?

Amien zaśmiał się cynicznie.

— W tej sprawie zabrakło nam intuicji. Potrzebowaliśmy Żelaza, tymczasem dostał nam się Cyfra... Podaliśmy mu na tacy gratkę, na którą czekał całe życie. Dla Schifferra ta sprawa miała być ukoronowaniem kariery.

Paul milczał, próbując odtworzyć w myśli całość mozaiki, wciąż jednak brakowało mu zbyt wielu elementów.

— Skoro Schiffer zakończył karierę w tak błyskotliwy sposób — spytał po dłuższej chwili — dlaczego gnił w takim miejscu jak Longeres?

— Ponieważ wypadki znów potoczyły się w sposób inny od przewidzianego.

— To znaczy?

— Kurier wysłany przez Turków nigdy nie dotarł do celu. Tak naprawdę, to on wystawił wszystkich do wiatru i zniknął z całym towarem. Schiffer prawdopodobnie bał się, że podejrzenie spadnie na niego, toteż na wszelki wypadek zagrzebał się w Longeres i nie wystawiał stamtąd nosa, czekając, aż wszystko się uspokoi.

Nawet człowiek taki jak on obawiał się Turków. Nic dziwnego, zapewniam pana, że sposób, w jaki oni traktują zdrajców...

Kolejne skojarzenie: Cyfra przebywał w Longeres pod przybranym nazwiskiem, najwyraźniej po prostu tam się ukrywał... A więc bał się represji ze strony tureckich rodzin. Kawalki układanki pasowały do siebie coraz lepiej, ale Paul nie był jeszcze przekonany. Wszystko to wydawało mu się zbyt naciągane, wydumane.

— Przecież to tylko przypuszczenie — powiedział. — Nie

379

macie ani skrawka dowodu. Przede wszystkim, skąd wiadomo że narkotyki nie

dotarły do Europy?

— Istnieją dwa czynniki, które jasno tego dowodzą. PO pierwsze, heroina tej jakości narobiłaby hałasu na rynku. Stwierdzilibyśmy, na przykład, znaczny wzrost zgonów z powodu przedawkowania. Nic takiego jednak się nie zdarzyło.

— A drugi czynnik?

— Znaleźliśmy te narkotyki.

— Kiedy?

— Nie dalej jak dzisiaj. — Amien obejrzał się za siebie. — W tutejszym kolumbarium.

— Tutaj?

— Gdyby wszedł pan nieco głębiej do krypty, sam by się pan na nią natknął. Była rozsypana pomiędzy prochami zmarłych. Musiała być ukryta w jednej z wnęk, rozbitych podczas strzelaniny. Teraz nie nadaje się do użytku — uśmiechnął się znowu. — Muszę przyznać, że to przemawia do wyobraźni: biała śmierć pośród szarych prochów... Schiffer przyszedł po tę heroinę dziś w nocy, doprowadziło go do niej jego śledztwo.

— Co za śledztwo?

— Pańskie.

Nadal nie był w stanie połączyć ze sobą wszystkich faktów.

— Nic nie rozumiem — wymamrotał oszołomiony.

— Przecież to proste. Od kilku miesięcy przypuszczamy, że wysłany przez Turków kurier był kobietą. W końcu w Turcji kobiety są lekarzami, inżynierami i politykami. Dlaczego nie miałyby zajmować się przemytem narkotyków?

Wreszcie wszystko zaskoczyło. Sema Gokalp, Anna Heymes. Kobieta o dwóch twarzach. Mafia turecka wysłała swoje Wilki w pościg za tą, która ich zdradziła. Ofiara była pośrednikiem i kurierem.

W jednej chwili wszystko stało się jasne. Tej nocy Schiffer zaskoczył Semę w chwili, kiedy właśnie próbowała odebrać narkotyki.

Wywiązała się walka. Zakończona masakrą.

Ofiara okazała się groźniejsza od bestii i wciąż znajdowała się na wolności...

380

Olivier Amien już się nie uśmiechał.

— Pańskie śledztwo żywo nas interesuje, Nerteaux. Udało nam się ustalić związek pomiędzy trzema ofiarami z pana sprawy a poszukiwaną przez nas kobietą. Przywódcy tureckiego kartelu wysłali zabójców jej śladem, a ci, jak dotąd, chybili, i to trzykrotnie. Gdzie ona jest, Nerteaux? Czy ma pan jakiegokolwiek wskazówki, dzięki którym można by ją odnaleźć?

Paul nie odpowiedział. Dopasowywał w myślach ostatnie części puzzli: Szare Wilki torturowały kobiety, chcąc dowiedzieć się, gdzie są narkotyki; Schiffer, dzięki swojemu nieomylnemu wyczuciu, zorientował się, że obaj poszukiwali tej samej kobiety, tej, która postawiła go w tak niezręcznej sytuacji, znikając wraz z bezcennym ładunkiem...

Nagle podjął decyzję. Bez żadnego wstępu opowiedział Olivierowi Amienowi o całej sprawie. Porwanie Zeynep Tutengil w listopadzie 2001. Znalezienie Semy Gokalp w łaźni. Philippe Charlier, który przejął Semę i użył jej jako królika doświadczalnego w programie dotyczącym warunkowania psychicznego. Pojawienie się fałszywej Anny Heymes. Ucieczka Anny, która najprawdopodobniej od razu lub stopniowo odzyskała pamięć, na nowo stała się prze-mytniczką i skierowała swe kroki na cmentarz po ukryty tam towar.

Kiedy Paul zamilkł, policyjny dygnitarz sprawiał wrażenie całkowicie

oszołomionego. Dopiero po dłuższej chwili zapytał:

— A więc to dlatego Charlier tu jest?

— Razem z Beauvanierem. Obaj unurzani są w tym gównie aż po uszy. Pewnie przyszli tutaj, żeby sprawdzić, czy Schiffer na pewno nie żyje. Pozostaje jednak Anna Heymes. Charlier musi ją dopaść, zanim dziewczyna zacznie mówić.

Wyeleminuje ją natychmiast, jeśli tylko wpadnie w jego ręce. Ścigacie tę samą zwierzyńkę.

Amien stanął przed Paulem. Jego twarz była jak z kamienia.

— Charlierem ja się zajmę. Jakie ma pan dane, by znaleźć tę kobietę?

Paul popatrzył na otaczające go wokół grobowce. Zobaczył jakiś na wpół zatarty portret w owalu. Pogrążoną w żałobie

381

kobietę ze spuszczoną głową, okrytą spływającą na ziemię szatą. Chrystusa z brązu, po którego czole spływały kropelki krwi lub potu...

Wiedział, że wszystko to ma coś wspólnego z odpowiedzią, której miał udzielić, ale nie wiedział co.

Amien chwycił go za ramiona i potrząsnął nim.

— Czy ma pan jakiś trop? Śmierć Schiffera spadnie na pana głowę. Jako policjant jest pan skończony. Chyba że uda się panu odnaleźć dziewczynę i cała sprawa wyjdzie na jaw. Wówczas odegra pan rolę bohatera. Powtarzam pytanie: czy ma pan jakiś ślad?

— Chcę sam kontynuować śledztwo — oświadczył Paul.

— Proszę mi powiedzieć, co pan wie. Potem zobaczymy.

— Proszę mi dać słowo. Amien zachnął się.

— Mów pan, na litość boską!

Paul jeszcze raz objął wzrokiem posągi: figura Matki Boskiej ze śladami erozji, wydłużona głowa Chrystusa, kamea w sepii... Wreszcie dotarło do niego: twarze. Jedyne sposoby, żeby do niej dotrzeć.

— Ona zmieniła twarz — mruknął. — Zrobiła sobie operację plastyczną. Mam listę dziesięciu paryskich chirurgów, którzy mogli dokonać takiego zabiegu.

Przesłuchałem już trzech. Potrzebuję jeszcze jednego dnia, żeby spotkać się z pozostałymi.

Amien był wyraźnie rozczarowany.

— I to wszystko?

Paulowi przemknęła przez głowę myśl o zakładzie produkującym przetwory owocowe i niejasnym podejrzeniu dotyczącym Azera Akarsy. Jeżeli ten bydlak miał coś wspólnego z zabójstwami, chciał go dopaść osobiście.

— Tak — skłamał — to wszystko. Wcale nie tak mało. Schiffer był przekonany, że jeśli znajdziemy chirurga, wpadniemy na jej trop. Niech pan mi pozwoli udowodnić, że miał rację.

Amien zacisnął szczęki, wyglądał teraz jak drapieżnik. Wskazał na bramę cmentarza za plecami Paula.

— Stacja metra Alexandre-Dumas znajduje się za panem, 382

sto metrów stąd. Niech pan zniknie. Ma pan czas do południa, żeby dostać ją w swoje ręce.

Paul zrozumiał, że Amien specjalnie go tu przyprowadził. Od początku zamierzał zaproponować mu ten układ. Amien wsunął wizytówkę do jego kieszeni.

— Tu jest mój numer komórki. Niech pan ją znajdzie, Nerteaux. To pańska jedyna szansa. Jeśli się panu nie uda, za parę godzin pan sam stanie się ściganą zwierzyńką.

Paul nie pojechał metrem. Żaden szanujący się gliniarz nie jeździ metrem. Pobiegł aż do placu Gambetta, wzdłuż muru cmentarza, i wsiadł do samochodu zaparkowanego na ulicy Emile Landrin. Wyciągnął ze schowka swój stary plan Paryża, na którym były jeszcze plamy krwi, i spojrzął na listę lekarzy. Zostało siedmiu chirurgów.

W czterech różnych dzielnicach Paryża i dwóch miejscowościach podmiejskich. Zaznaczył ich adresy na planie i szybko opracował najkrótszą drogę, żeby przesłuchać ich po kolei, poczynając od Dwudziestej Dzielnicy.

Kiedy ustalił już trasę, umieścił koguta na dachu i ruszył pełnym gazem do pierwszego z lekarzy.

Doktor Jérôme Cheret.

Ulica Rocher 18, Ósma Dzielnica.

Skierował się na zachód, bulwarem la Yillete, następnie bulwarem Rochechouart, potem bulwarem Clichy. Pędził pasami zarezerwowanymi dla autobusów, wjeżdżał na ścieżki rowerowe, zawadzał o chodniki, a nawet dwukrotnie jechał pod prąd.

Dojeżdżając do bulwaru Batignolles, zwolnił i zadzwonił do Naubreła.

384

— Jak ci idzie?

— Właśnie wychodzę z zakładów Matak. Dogadałem się / gostkami z nadzoru sanitarnego. Zrobiłem małą inspekcję.

— No i co?

— Wszystko jest białe i czyściutkie. Prawdziwe laboratorium. Widziałem keson. Wyszorowany na wysoki połysk. Nie ma szans na znalezienie jakichkolwiek śladów. Gadałem też z inżynierami...

Paul wyobrażał sobie jakąś opuszczoną fabrykę, w której wszystko jest zardzewiałe i w której nikt nie usłyszy krzyków torturowanej ofiary. Nagle jednak wydało mu się, że ta kliniczna czystość znacznie lepiej pasuje do całości.

— Przesłuchałeś szefa? — przerwał mu.

— Tak, dyskretnie. To Francuz. Wygląda na to, że czysty jak łąza.

— A wyżej? Udało ci się dotrzeć do tureckich właścicieli firmy?

— Fabryka należy do spółki akcyjnej pod nazwą YALIN AS, która z kolei zrzeszona jest w towarzystwie holdingowym, zarejestrowanym w Ankarze. Skontaktowałem się już z tamtejszą Izbą Handlową i...

— Pospiesz się. Znajdź listę akcjonariuszy. I pamiętaj to nazwisko: Azer Akarsa.

Rozłączył się i spojrzął na zegarek. Minęło 20 minut od wyjazdu z cmentarza.

Na skrzyżowaniu Yilliers skręcił ostro w lewo i wjechał w ulicę Rocher. Wyłączył syrenę, należało działać dyskretnie.

O 11.20 zadzwonił do drzwi gabinetu doktora Jérôme'a Chereta. Wpuszczono go przez ukryte drzwi, żeby nie niepokoić klientów. Lekarz przyjął go w przedsiönku sali operacyjnej.

— Proszę tylko rzucić okiem — powiedział Paul po kilku słowach wyjaśnienia.

Tym razem ograniczył się do dwóch portretów: pamięciowego wizerunku Semy i nowej twarzy Anny.

— To ta sama? — spytał lekarz z podziwem. — Piękna robota.

385

— Zna ją pan czy nie?

— Ani jednej, ani drugiej. Przykro mi.

Paul zbiegł po białych schodach wykładanych czerwonym dywanem.  
Szybkie skreślenie na planie i w drogę.

Godzina 11.40.

Doktor Thierry Dewaele.

Ulica Phalsbourg, Siedemnasta Dzielnica.

Podobny budynek, te same pytania, ta sama odpowiedź.

O 12.15 przekręcał właśnie kluczyk w stacyjce, kiedy w jego kieszeni zadzwonił telefon — wiadomość w skrzynce głosowej od Matkowskiego, który dzwonił w trakcie krótkiego spotkania z lekarzem. Widocznie mury kamienicy były tak grube, że wewnątrz nie było zasięgu. Oddzwonił natychmiast.

— Trafiłem na coś ciekawego w tych starożytnych rzeźbach — powiedział Matkowski.

— Jest takie miejsce, gdzie znajdują się gigantyczne głowy. Mam zdjęcia. Te rzeźby są popękane; wygląda to zupełnie tak samo, jak rany na twarzach ofiar...

Paul zamknął oczy; trudno mu było określić, czy bardziej podnieca go to, że podąża tropem morderczego obłędu, czy to, że od początku miał rację.

Matkowski opowiadał dalej, głosem drżącym z przejęcia:

— To są głowy grecko-perskich bogów, pochodzące z początku naszej ery. Znajdują się w sanktuarium jakiegoś króla, na szczycie góry we wschodniej Turcji...

— Gdzie dokładnie?

— Na południowym wschodzie. Blisko granicy z Syrią.

— Podaj mi nazwy miast znajdujących się w pobliżu.

— Chwileczkę.

Usłyszał szelest kartek i stłumione przekleństwo. Spojrzał na swoje ręce: jego dłonie już nie drżały. Czuł się gotowy, czujny, zimny jak lód.

— Okay, mam mapę. Miejsce nazywa się Nemrut Dag i położone jest w pobliżu miast Adiyaman i Gaziantep.

Gaziantep. Kolejna poszlaka wskazująca na Azera Akarsę. Ali Ajik powiedział mu, że Akarsa jest właścicielem sadów

"386

\v swojej rodzinnej okolicy, w pobliżu Gaziantep. Czy sady te znajdują się u stóp góry z rzeźbami? Czy Azer Akarsa wyrósł w cieniu tych gigantycznych głów?

Paul poczuł, że musi się co do tego upewnić.

— I te głowy naprawdę są podobne do twarzy ofiar?

— Kapitanie, to niesamowite. Te same ubytki, te same okaleczenia. Jest taki posąg Kommageny, bogini płodności, która idealnie przypomina twarz trzeciej ofiary. Nie ma nosa, starty podbródek... Nałożyłem na siebie oba zdjęcia.

Uszkodzenia pasują niemal co do milimetra. Nie wiem, co to znaczy, ale aż strach człowieka bierze...

Paul wiedział z doświadczenia, że czasem po długim impasie decydujące wskazówki pojawiają się jedna po drugiej w ciągu kilku godzin. Znów przypomniało mu się to, co mówił Ajik: „Jego obsesją jest wspaniała przeszłość Turcji. Założył fundację finansującą różne prace archeologiczne”.

Czy młody biznesmen finansował prace konserwatorskie w tym właśnie miejscu? Czy pradawne twarze przodków interesowały go z jakichś osobistych względów?

Paul odetchnął głęboko i zadał sobie podstawowe pytanie: czy to możliwe, żeby Azer Akarsa był głównym mordercą, szefem grupy? Czy jego zamiłowanie do starożytnych kamieni mogło wyrażać się w czymś takim, jak tortury i okaleczenia? Było o wiele za wcześnie na tak daleko idące wnioski. Paul odsunął w myślach tę teorię i polecił:

— Zajmij się tymi zabytkami. Spróbuj się dowiedzieć, czy nie były niedawno

konserwowane. Jeżeli tak, dowiedz się, kto finansował prace.

— Ma pan jakiś pomysł?

— Owszem, być może chodzi o fundację, ale nie znam jej nazwy. Jeśli prace prowadził instytut naukowy, znajdź jego schemat organizacyjny i listę sponsorów. Przede wszystkim szukaj Azera Akarsy.

Znów musiał przeliterować nazwisko. Wydawało mu się, że między poszczególnymi literami błyskają małe ogniste iskierki, jak gdyby ktoś uderzał krzemieniem o krzemień.

— To wszystko? — spytał policjant.

— Nie — powiedział Paul zachrypniętym głosem. — Potem

387

sprawdź wizy przyznane obywatelom tureckim od listopada zeszłego roku; chodzi o to, czy jest wśród nich Akarsa.

— Ale przecież to jest robota na dobrych kilka godzin!

— Nie. Wszystkie dane wprowadzone są do komputera. Poza tym już sygnalizowałem sprawę ludziom z urzędu wizowego. Skontaktuj się z nimi i podaj to nazwisko.

Pospiesz się.

~~ Ale...

— Ruszaj się.

64

Didier Laferriere.

Ulica Boissy d'Anglas 12, Ósma Dzielnica.

Przekraczając próg mieszkania, Paul miał przeczucie, jakby odezwał się w nim szósty zmysł; jego nos gliniarza powiedział mu, że tutaj coś znajdzie.

W gabinecie panował półmrok. Chirurg, niski mężczyzna o siwych, kędzierzawych włosach, siedział za biurkiem. Zapytał bezbarwnym głosem:

— Z policji? Co się stało?

Paul wytłumaczył mu, o co chodzi, i wyjął portrety. Lekarz jakby jeszcze się skurczył; zapalił lampkę na biurku i pochylił się nad dokumentami.

Bez zastanowienia wskazał palcem portret Anny Heymes.

— Nie operowałem jej, ale znam tę kobietę. Paul zacisnął pięści. Dobry Boże, nareszcie.

— Była u mnie kilka dni temu.

— A dokładniej?

— W ubiegły poniedziałek. Zresztą, jeśli pan chce, mogę sprawdzić w terminarzu...

— Czego chciała?

— Dziwnie się zachowywała.

— Dlaczego? Chirurg pokręcił głową.

389

— Zadawała mi pytania o blizny, jakie zostają po pewnych zabiegach.

— Co w tym dziwnego?

— Właściwie nic. Tylko, że ona... albo zgrywała się, albo cierpiała na amnezję.

— Skąd ten wniosek?

Doktor postukał palcem w portret Anny Heymes.

— Ależ dlatego, że ta kobieta już przeszła operację plastyczną. Zauważyłem bliznę pod koniec rozmowy. Nie wiem, po co do mnie przyszła. Może chciała wytoczyć proces lekarzowi, który ją operował — spojrzał znów na zdjęcie. — Nie ma szans, to doskonała robota...

Kolejny punkt dla Schiffera: „Moim zdaniem, będzie próbowała dowiedzieć się czegoś o sobie”. Tak właśnie było: Anna Heymes szła tropem Semy Gokalp. Próbowała odnaleźć własną przeszłość.

Paul był cały spocony, zrobiło mu się nagle bardzo gorąco. Ścigana była tuż przed nim, w zasięgu ręki.

— Czy powiedziała coś więcej? — zapytał. — Podała jakieś dane, może adres?

— Nie. Stwierdziła tylko, że musi dokonać oceny na podstawie przedstawionych dokumentów czy coś w tym rodzaju. Nie bardzo wiem, co miała na myśli. Kim ona właściwie jest?

Paul wstał, nie odpowiadając. Chwycił bloczek żółtych, samoprzylepnych karteczek z biurka i napisał na nim swój numer komórki.

— Gdyby przypadkiem odezwała się jeszcze do pana, proszę postarać się ją zatrzymać. Proszę powiedzieć coś o operacji, skutkach ubocznych, wszystko jedno. Najważniejsze, żeby przyszła do pana, i wtedy proszę koniecznie mnie o tym uprzedzić. Jasne?

— Czy na pewno dobrze się pan czuje? Paul stanął z ręką na klamce.

— Słucham?

— Pytałem, czy pan się dobrze czuje. Jest pan cały czerwony-  
65

Pierre Laroque.

Ulica Maspero 24. Szesnasta Dzielnica.

Nic.

Jean-François Skenderi.

Klinika Massener,

Avenue Paul-Doumer 58. Szesnasta Dzielnica.

Nic.

O godzinie czternastej Paul znów przejeżdżał przez Sekwanę.

W kierunku lewego brzegu.

Zrezygnował już z syreny, za bardzo bolała go głowa. Szukał teraz ukojenia, patrząc na twarze przechodniów, kolorowe wystawy i odbłyśki słońca. Zdumiewało go to, że istnieli ludzie, dla których był to zwykły dzień. Kolejny dzień zwykłego życia. Dzwonił kilka razy do swoich zastępców. Naubrel ciągle użerał się z Izbą Handlową w Ankarze, Matkowski dzwonił po muzeach, instytucjach archeologii, biurach turystycznych, a nawet do UNESCO w poszukiwaniu organizacji finansujących prace konserwatorskie w sanktuarium Nemrut Dag. Jednocześnie zerkał co chwila na ekran komputera, ale wyszukiwarka, prze-

391

glądająca listę wydanych wiz, nie natrafiła jak dotąd na nazwisko Akarsy.

Paul gonił resztką sił. Miał czerwone plamy na twarzy potwornie bolał go kark.

Ból był pulsujący, niemal mógł odróżnić jego kolejne ułucia. Wiedział, że powinien zajrzeć do jakiejś apteki, ale ciągle odwlekał to do następnego skrzyżowania.

Branco Simonnet.

Avenue de Segur 139, Siódma Dzielnica.

Nic.

Chirurg był potężnie zbudowanym mężczyzną, trzymał na rękach tłustego kota.

Wyglądało to tak, jakby tworzyli parę idealną; nie sposób było stwierdzić, kto tu kogo rozpieszcza. Paul miał już schować zdjęcia, kiedy lekarz oznajmił:

— Nie jest pan pierwszą osobą, która pokazuje mi tę twarz. Paul drgnął.

— Którą twarz?



Simonnet wskazał ręką portret pamięciowy Semy Gokalp.

— Kto ją panu pokazywał? Ktoś z policji?

Doktor przytaknął, drapiąc kota po karku. Czyżby Schiffer?

— Nie najmłodszy, mocnej budowy, siwe włosy?

— Nie, młody człowiek, potargany. Wyglądał na studenta. Mówił z lekkim akcentem.

Każde słowo uderzało Paula tak, jak kolejny cios dosięgający boksera opartego o liny. Musiał oprzeć się o marmurowy gzyms kominka.

— Akcent turecki?

— A skąd ja mam wiedzieć? Może i orientalny, ale nie wiem jaki.

— Kiedy tu był?

— Wczoraj rano.

— Jakie nazwisko podał?

— Nie przedstawił się.

— Zostawił jakiś namiar?

— Nie. To dziwne, przecież na filmach zawsze zostawiacie wizytówkę, prawda?

392

— Zaraz wracam.

Paul zbiegł do samochodu po zdjęcia z pogrzebu Tiirkesa, na których widoczny był Akarsa.

— Czy człowiek, o którym pan mówił, jest na tym zdjęciu? — spytał, pokazując mu fotografię.

Chirurg wskazał mężczyznę w aksamitnej marynarce.

— To on. Z całą pewnością. Uniósł wzrok.

— To nie jest pana kolega?

Paul opanował się nadludzkim wysiłkiem i znów pokazał portret pamięciowy rudowłosej kobiety.

— Powiedział pan, że mężczyzna pokazywał ten portret. Czy portret był dokładnie taki sam? Tego typu rysunek?

— Nie, to była czarno-biała fotografia. Właściwie to był portret zbiorowy, jakby grupy studenckiej czy coś w tym rodzaju. Zdjęcie było kiepskiej jakości, ale była to z całą pewnością ta sama osoba. Bez żadnych wątpliwości.

Przed oczyma Paula pojawiła się na chwilę Sema Gokalp, młoda i dzielna, pośród studentów kolegów. Szare Wilki miały jedynie to jej zdjęcie. Kiepską fotkę, przez którą zginęły trzy niewinne kobiety.

Paul ruszył z piskiem opon.

Znów uruchomił sygnał alarmowy, znów pędził ze światłami i z rykiem syreny.

Myśli goniły jedna za drugą.

Wtórowało im oszalałe bicie serca.

Bojownicy Szarych Wilków szli tym samym tropem co on. Potrzebowali trzech trupów, żeby zrozumieć swoją omyłkę. Teraz już jednak szukali chirurga plastycznego, który dokonał metamorfozy poszukiwanej przez nich kobiety.

Kolejne pośmiertne zwycięstwo Schiffera.

„Im też może przyjść do głowy, że istnieją operacje plastyczne, i zaczną rozglądać się za lekarzem. Myślę, że niedługo pójną tym tropem”.

Paul spojrział na zegarek. Było wpół do trzeciej.

Na jego liście zostały już tylko dwa nazwiska.

393

Musiał znaleźć tego chirurga przed mordercami. Musiał znaleźć kobietę, nim oni ją znajdą. Paul Nerteaux kontra Azer Akarsa.

Syn zapijaczonego taksówkarza przeciwko synowi Aseny, Białej Wilczycy.

66

Frederic Gruss mieszkał w okolicy Saint-Cloud. Jadąc drogą szybkiego ruchu w kierunku Lasku Bulońskiego, wzdłuż Sek-wany, Paul jeszcze raz skontaktował się z Naubrelem.

— Udało ci się czegoś dowiedzieć od Turków?

— Nie, kapitanie. To istna męka...

— Daj sobie spokój.

— Co?

— Masz te zdjęcia z pogrzebu Tiirkesa?

— Jasne, mam je w komputerze.

— Znajdź to zdjęcie, gdzie trumna jest na pierwszym planie.

— Chwileczkę, notuję.

— Chodzi mi o trzeciego mężczyznę od lewej, widocznego na tym zdjęciu. Młody człowiek w aksamitnej marynarce. Zrób powiększenie i sporządź list gończy na nazwisko...

— Azer Akarsa?

— Otóż to.

— To jest zabójca?

Paul miał tak ściśnięte gardło, że trudno mu było mówić.

— Roześlij ten list gończy.

— Nie ma sprawy. To wszystko?

— Nie. Potem idź do sędziego Bomarzo, tego od zabójstw. Poproś go o nakaz przeszukania zakładów Matak.

— Ja? Chyba lepiej, żeby to pan...

395

— Wystąpisz w moim imieniu. Powiedz, że mam dowody.

— Dowody?

— Naocznego świadka. Zadzwoń też do Matkowskiego i poproś go o zdjęcia z Nemrut Dag.

— Co takiego?

Znów musiał przeliterować nazwę i wytłumaczyć, o co chodzi.

— Dowiedz się od niego, czy nazwisko Akarsy nie pojawiło się wśród wiz. Idź z tym wszystkim do sędziego.

— A jeżeli mnie zapyta, gdzie pan jest? Paul zastanowił się chwilę.

— Daj mu ten numer.

Przedyktował mu numer telefonu komórkowego Oliviera Amiena. Niech się ze sobą dogadują, pomyślał, roztaczając się, Widział już most Saint-Cloud.

15.30.

Bulwar Republiki dosłownie lśnił w słońcu rozświetlającym wzgórze, za którym znajduje się Saint-Cloud. Wiosna w pełni, nagie ramiona i leniwe pozy gości siedzących na tarasach kafejek... Szkoda. Paul wolałby jako dekorację do ostatniego aktu niebo nabrzmiałe grozą. Niebo apokaliptyczne, czarne i rozdzierane błyskawicami.

Jadąc bulwarem, przypomniał sobie odwiedziny w kostnicy w Garches, z Schifferem; ile wieków minęło od tamtego dnia? Uliczki przedmieścia były puste, panował tu błogi spokój. Znalazł się w najbogatszej z luksusowych dzielnic, w miasteczku stanowiącym esencję próżności i dostatku, górującym nad doliną Sekwany i „dolnym miastem”.

Drżał na całym ciele. Gorączka, wyczerpanie i podniecenie. Chwilami robiło mu

się ciemno przed oczami, jakby czarne gwiazdy rozbłyskiwały tuż przed nim. Bardzo źle znosił brak snu, była to jego słaba strona. Nawet kiedy był małym chłopcem i czekał sparaliżowany ze strachu na powrót ojca nie potrafił zmusić się do czuwania.

Ojciec. Obraz starego zaczął mu się zlewać w jedną osobę 396  
z Schifferem, pocięty skaj na oparciu fotela i okaleczone zwłoki, pokryte popiołem, nakładały się na siebie.

Obudził go dźwięk klaksonu. Zapaliło się zielone światło. Usnął za kierownicą. Z wściekłością nacisnął pedał gazu i dotarł wreszcie do ulicy Chenes.

Wjechał w nią i zwolnił, szukając numeru 37. Budynek był niewidoczny, schowany za kamiennymi murami albo rzędami iglaków. Słychać było brzęczenie owadów. Cała przyroda jakby się napawała wiosennym słońcem.

Udało mu się znaleźć miejsce do parkowania tuż przed właściwym domem — brama z czarnego kamienia, po obu stronach mur, pobielony wapnem.

Sięgnął do przycisku dzwonka, gdy nagle zauważył, że jedno skrzydło bramy jest uchylone. W jego głowie rozległ się dzwonek alarmowy — tego rodzaju beztroska zupełnie nie pasowała do atmosfery dzielnicy, w której wszyscy byli nieufni i pilnie chronili swą prywatność i bogactwo. Machinalnie otworzył zapinaną na rzepy kaburę pistoletu.

W ogrodzie nie dostrzegł nic szczególnego. Wystrzyżony trawnik, szare drzewa, zwirowana alejka. Dalej okazałych rozmiarów willa o białych ścianach i czarnych okiennicach. Obok domu stał osobny garaż z miejscem na dwa czy trzy samochody. Nie było psa ani służącego, który by wyszedł na jego spotkanie. Z wnętrza domu nie dobiegały żadne oznaki życia.

Sygnal alarmowy w jego głowie zabrzmiał jeszcze donośniej.

Wszedł po trzech stopniach prowadzących na podest i skonstatował kolejny dysonans: wybite okno. Przełknął ślinę i bardzo ostrożnie wyciągnął swoją dziewiątkę z kabury. Przeszedł ostrożnie przez ziejącą pustką ramę, uważając, by nie nastąpić na kawałki rozbitego szkła, którymi usiana była podłoga. W odległości metra, po prawej stronie, znajdowało się wejście do przedsionka. Poruszał się w absolutnej ciszy. Odwrócił się plecami do wejścia i ruszył korytarzem.

Po lewej stronie zobaczył uchylone drzwi z napisem „Poczekalnia”. Nieco dalej, po prawej, drugie drzwi, szeroko otwarte — prawdopodobnie gabinet chirurga. Najpierw dojrzał ścianę wyłożoną dźwiękoszczelnymi płytami. Potem podłogę.  
397

Rozsypane fotografie: twarze kobiet, zabandażowane, obrzękłe z widocznymi szwami. Ostatnie potwierdzenie jego podejrzeń: ktoś przeszukiwał archiwum doktora. Zza ściany dobiegł metaliczny dźwięk. Paul zamarł, zaciskając palce na kolbie pistoletu. W ułamku sekundy zrozumiał, że żył wyłącznie dla tej chwili. Nieważne, jak długo; szczęście, nadzieja i rozczarowania jego życia też były bez znaczenia. Liczyło się tylko bohaterstwo. Uświadomił sobie, że kilka następnych sekund nada cały sens jego pobytowi na ziemi. Owaga i honor, który mógł zaważyć na szali dziejów... Spisał się do skoku ku drzwiom, kiedy nagle ściana rozsypała się w kawałki.

Podmuchał nim o przeciwległą ścianę. Korytarz wypełnił się ogniem i dymem. Dostrzegł dziurę wielkości talerza, potem rozległy się dwa kolejne wystrzały. Słomiane płyty dźwiękoszczelne zapaliły się, cały korytarz przemienił się w ognisty tunel.

Paul skulił się na podłodze, kawałki gipsu i słomy spadały na jego głowę. Niemal

natychmiast zapanowała cisza. Podniósł oczy. Ścian nie było, zza kupy gruzu przezierало wnętrze gabinetu.

Znajdowali się tam trzech mężczyźni ubrani na czarno, obwieszani ładownicami, z czarnymi maskami na twarzach. Trzymali w rękach granatniki, model SG 5040. Paul widział je dotąd tylko w katalogu, ale był pewien, że się nie myli.

U ich stóp leżał trup mężczyzny w szlafroku. Frederic Gruss przekonał się na własnej skórze, czym jest ryzyko zawodowe. Paul odruchowo rozejrzał się za swoim glockiem, ale było już za późno. Z jego brzucha tryskała krew, ściekając czerwonymi zakolami po fałdach kurtki. Nie czuł bólu i wywnioskował z tego, że rana jest śmiertelna.

Z lewej strony dobiegł przenikliwy chrzęst. Paul był ogłuszony, lecz mimo to wyraźnie słyszał zbliżające się kroki, miażdżenie odłamków gruzu.

W drzwiach pojawił się czwarty mężczyzna. Ta sama czarna, zamaskowana sylwetka, tylko bez granatnika. Podeszedł i obejrzał ranę Paula. Jednym ruchem zerwał maskę. Cała jego twarz była pomalowana. Brunatne arabeski na jego skórze przed-

398  
stawały paszczę wilka. Wąsy i łuki brwiowe — podkreślone czernią. Rysunek był z pewnością wykonany henną, ale przypominał bojowy malunek Maorysów.

Paul rozpoznał człowieka ze zdjęcia: Azer Akarsa.

Między dwoma palcami Turek trzymał fotografię z polaroida: bładny owal otoczony czarnymi włosami. Anna Heymes świeżo po operacji.

A więc Wilki dopadną swojej zdobyczy.

Polowanie trwa. Ale już bez niego.

Turek przyklęknął.

Spojrzał Paulowi głęboko w oczy i powiedział łagodnym głosem:

— Ciśnienie doprowadza je do szaleństwa. Ciśnienie niweczy ból. Ta ostatnia śpiewała, choć miała ucięty nos.

Paul zamknął oczy. Nie pojmował dokładnego sensu tych słów, miał tylko pewność, że morderca rozpoznał w nim policjanta i wiedział już o odwiedzinach Naubrela w swoim laboratorium.

Mignęły mu przed oczami rany na ciałach ofiar, nacięcia na twarzach. Hołd rzeźbie starożytnej złożony przez Azera Akarsę.

Poczuł, jak na ustach wykwita mu piana: krew. Kiedy znów uniósł powieki, wilk zabójca celował w jego czoło z pistoletu kalibru 45.

Zdażył jeszcze pomyśleć o Celinę.

I o tym, że nie miał czasu zadzwonić do niej, nim poszła do szkoły.

fi

N O

67

Port lotniczy Roissy-Charles-de-Gaulle.

Czwartek 21 marca, godzina szesnasta.

Jest tylko jeden sposób, żeby ukryć pistolet, jeśli chce się go przewieźć samolotem.

Ktoś, kto słabo zna się na broni, mógłby przypuszczać, że pistolet automatyczny marki Glock jest niewidzialny w promieniach rentgenowskich oraz dla wykrywaczy metalu, ponieważ wykonany jest w znacznej mierze z polimerów. Nic podobnego: lufa, sprężyna oporopowrotnika, iglica, mechanizm spustowy, sprężyna magazynka i jeszcze kilka innych części wykonane są z metalu, nie mówiąc o kulach.

Jest tylko jeden sposób, żeby ukryć pistolet, jeżeli chce się przewieźć go samolotem.

Sema zna ten sposób.

Przypomina go sobie, oglądając wystawy w pasażu handlowym na lotnisku. Wkrótce ma odlecieć do Istambułu samolotem Turkish Airlines, lot numer TK 4067.

Najpierw kupuje trochę ubrań i torbę podróżną — nie ma nic bardziej podejrzanego niż podróżny bez bagażu — potem idzie do sklepu fotograficznego. Aparat Nikon F2, dwa obiektywy, 35-70 i 200 milimetrów, a także małe pudełko z narzędziami przeznaczonymi do naprawy aparatów tej marki i dwa pojemniki na błony fotograficzne; warstwa ołowiu chroni schowane do

403

nich filmy przed prześwietleniem promieniami X. Chowa to wszystko do profesjonalnej torby firmy Promax i kieruje się do toalety.

Zamyka się w kabine i umieszcza lufę, iglicę i pozostałe metalowe części glocka 21 pomiędzy śrubokrętami i pesetami w pudełku na narzędzia. Następnie chowa wolframowe kule w pudełku na błony — w ten sposób będą niewidoczne przy prześwietleniu.

Sema z zadziwieniem obserwuje własne ruchy. Są wprawne i zdecydowane, nie wiedziała, że potrafi robić takie rzeczy. Wszystko skądś powraca, samoistnie.

Ackermann nazwałby to pamięcią kulturową.

O piątej po południu wsiada spokojnie do samolotu, by pod koniec dnia dotrzeć do Istambułu. Przechodzi bez problemu przez kontrole celne. Jadąc taksówką, nie zwraca uwagi na mijane krajobrazy. Zapada już zmrok. Siąpi lekki deszczyk, światła latarni rozmazują się za oknami i widok ten pasuje do stanu jej umysłu, w którym wszystko jest jeszcze niewyraźne. Dostrzega tylko niektóre szczegóły: jakiegoś wędrownego sprzedawcę rogalików; kilka młodych kobiet w chustkach, czekających na przystanku autobusowym; wysoki meczet, mroczny i zrzedliwy, jakby dąsał się ponad drzewami; klatki z ptakami ustawione wzdłuż wybrzeża, jak ule... Wszystko to przemawia do niej językiem znajomym, a zarazem odległym.

Odwraca się od okna i rozpiera się wygodnie na siedzeniu.

Wybiera jeden z najelegantszych hoteli w centrum miasta, wtapia się w anonimowy tłum turystów.

O wpół do dziewiątej przekręca klucz w drzwiach swojego pokoju i pada na łóżko.

Zasypia w ubraniu.

Następnego dnia, w piątek 22 marca, budzi się o dziesiątej rano.

XT . <

l

francuskie) Test h/iw> T-UC • j talnym o parkach narodowych Quebecu, TV5 nadaje dziennik

404

telewizyjny stacji TF1, który emitowany był poprzedniego wieczoru we Francji. Pojawia się wreszcie wiadomość, na którą czeka: zwłoki Jeana-Louisa Schiffera znalezione na cmentarzu Pere-Lacha-ise. Jest też inna wiadomość, której się nie spodziewała: dwa inne ciała zostały odnalezione tego samego dnia w pałacyku w Saint-Cloud.

Sema poznaje ten budynek i podgłusza dźwięk. Ofiary zostały zidentyfikowane: Frederic Gruss, chirurg plastyczny i właściciel nieruchomości oraz Paul Nerteaux, trzydziestopięcioletni kapitan policji z pierwszego oddziału policji kryminalnej w Paryżu.

Ogarnia ją lęk. Słucha uważnie słów komentatora.

— „Na razie nie wiadomo, jaka była przyczyna tego podwójnego zabójstwa, istnieje jednak przypuszczenie, że jest ono powiązane ze śmiercią Jeana-Louisa Schiffera.

Paul Ner-teaux prowadził dochodzenie w sprawie trzech morderstw, które miały miejsce w ciągu ostatnich miesięcy w Małej Turcji; ofiarami były kobiety pracujące na czarno w tamtejszych zakładach produkcyjnych. Emerytowany inspektor pełnił rolę konsultanta w tym śledztwie, ponieważ dzięki wieloletniemu doświadczeniu cieszył się opinią specjalisty od środowiska przestępczego Dziesiątej Dzielnicy...".

Sema nigdy przedtem nie słyszała o Paulu Nerteaux — młody facet, raczej przystojny, z włosami a la Japończyk — może jednak domyślić się, jaki był przebieg wypadków. Bojówkarze Wilków pomylili się aż trzykrotnie i zabili trzy niewinne kobiety; w końcu jednak trafili na właściwy trop i dotarli aż do Grussa, chirurga, który operował ją w lecie 2001. Młody policjant przypuszczalnie szedł tym samym śladem i dotarł do lekarza w Saint-Cloud w tym samym momencie co Wilki. Sprawa zakończyła się w typowo turecki sposób, czyli krwawą łaźnią.

Sema od początku spodziewała się, że Wilki prędzej czy później poznają jej nową twarz. Teraz zaś mordercy wiedzieli też, gdzie jej szukać. Skąd? To proste: ich szefem jest Pan Aksamit, amator czekoladek nadziewanych marcepanem, który był stałym klientem Maison du Chocolat. Sema wie o tym,

405

odkąd odzyskała pamięć. Mężczyzna nazywa się Azer Akarsa. Widziała go jako nastolatka, podczas jednego z mitingów Idealistów w Adana; już wtedy uchodził za bohatera narodowego...

Oto ironia losu: morderca, który szukał jej od kilku miesięcy w Dziesiątej Dzielnicy, spotykał ją dwa razy w tygodniu, kupując swoje ulubione słodycze. Dowiedziała się z telewizji, że dramatyczne wydarzenia w Saint-Cloud rozegrały się około godziny piętnastej poprzedniego dnia. Instynkt podpowiadał jej, że Wilki zaczekają do następnego dnia i zaatakują Maison du Chocolat. Ten następny dzień jest dziś.

Sema rzuca się do telefonu i dzwoni do Clothilde, do sklepu. Nikt nie odpowiada. Patrzy na zegarek: wpół do pierwszej w Istambule, w Paryżu jest o godzinę wcześniej. Czyżby już było za późno? Dzwoni co pół godziny, ale cały czas nikt nie odbiera. Miota się bezsilnie po pokoju, odchodzi ze zdenerwowania od zmysłów.

W końcu idzie na dół, do hotelowego business center, i włącza komputer. Przegląda w Internecie elektroniczne wydanie Le Monde z czwartku wieczorem, czyta artykuły o śmierci Jeana-Louisa Schiffera i podwójnym morderstwie w Saint-Cloud.

Sprawdza też inne strony wydania i znowu natyka się na wiadomość, której nie oczekiwała. Tytuł artykułu: Samobójstwo urzędnika MSW. Wiadomość o śmierci Laurenta Heymesa. Linijki tekstu tańczą jej przed oczami. Ciało odnaleziono w czwartek rano, w jego apartamencie na Avenue Hoche. Laurent zastrzelił się z broni służbowej, manurhina kalibru 38 milimetrów. W artykule znalazła się też wzmianka o samobójczej śmierci jego żony — wydarzeniu, które miało miejsce przed rokiem — i związanej z tym głębokiej depresji Laurenta Heymesa. Zdaniem licznych świadków załamanie mogło być przyczyną targnięcia się na życie.

Sema próbuje się skupić na tej serii kłamstw, ale z trudem rozróżnia poszczególne słowa. Zamiast nich widzi blade ręce, lekko roztargnione spojrzenie, jasne płomienie włosów... Kochała tego człowieka; miłością dziwną i niespokojną, zaburzoną

406

jej własnymi halucynacjami. Łzy napływają jej do oczu, z trudem powstrzymuje płacz.

Myśli o młodym policjancie zabitym w Saint-Cloud, który w pewnym sensie zginął dla niej. Nie opłakiwała go, więc nie będzie też opłakiwać Laurenta, który był tylko jednym z uczestników mistyfikacji, jakiej padła ofiarą.

Uczestnikiem najbliższym.

I przez to najpodlejszym.

Pali papierosa za papierosem w business center, na przemian spogląda na telewizor i ekran komputera. Wreszcie o szesnastej na stronie internetowej „Le Monde” w rubryce „Wydarzenia” pojawia się nowa wiadomość:

#### STRZELANINA NA ULICY FAUBOURG-SAINT-HONORE

W chwili gdy piszemy te słowa, znaczne siły policji wciąż jeszcze przebywają w okolicach sklepu Maison du Chocolat, gdzie dziś rano miała miejsce strzelanina. W południe nieznane jeszcze były dokładne przyczyny tej gwałtownej wymiany ognia, w której śmierć poniosły trzy osoby, a dwie zostały ranne.

Na podstawie zeznań świadków, zwłaszcza Clothilde Ceaux, sprzedawczynie pracującej w sklepie, która szczęśliwie nie odniosła żadnych obrażeń, wstępnie ustalono, jaki był przebieg wydarzeń. O godzinie 10.10, czyli zaraz po otwarciu sklepu, weszło do niego trzech mężczyzn. Niemal natychmiast, w ślad za nimi, weszli policjanci. Mężczyźni zaczęli strzelać do nich z broni automatycznej. Wymiana ognia trwała zaledwie kilka sekund, ale była niezwykle zacięta: na miejscu zginął jeden policjant, dwaj pozostali są w stanie krytycznym. Dwóch napastników zostało zabitych, trzeci zbiegł.

Udało się już ustalić tożsamość bandytów. Są to Liiset Yil-dirim, Kadir Kir i Azer Akarsa; wszyscy trzej są obywatelami tureckimi. Dwaj zabici — Liiset Yildirim i Kadir Kir — mieli paszporty dyplomatyczne. Na razie nie wiadomo, kiedy przybyli do Francji; ambasada turecka odmawia jakichkolwiek komentarzy.

407

408

Prowadzący śledztwo oświadczyli, że obaj mężczyźni znani są tureckiej policji jako członkowie skrajnie prawicowego ugrupowania Idealiści, znanego też pod nazwą Szare Wilki, obaj też wykonywali już „zlecenia” na rzecz tureckich organizacji przestępczych.

Znacznym zaskoczeniem jest tożsamość trzeciego z mężczyzn, który zdołał zbiec. Azer Akarsa uchodzi za cieszącego się solidną reputacją biznesmena, który zyskał sobie mocną pozycję w branży sadowniczej i przetwórstwa owoców. Znany jest z patriotycznych poglądów; uważa się go za umiarkowanego nacjonalistę, uznającego konieczność przestrzegania wartości demokratycznych. Nigdy nie miał zatargów z prawem ani w Turcji, ani gdzie indziej.

Fakt, że osoba z taką opinią zamieszana jest w sprawę, pozwala przypuszczać, iż napad może mieć podłoże polityczne. Pozostaje jednak tajemnicą, w jakim celu trzej uzbrojeni w pistolety i broń maszynową mężczyźni udali się dziś rano do Maison du Chocolat. Nie wiadomo też, dlaczego policjanci w cywilu, którzy, jak się okazało, byli oficerami DNAT, także znaleźli się na miejscu. Czyżby szli śladem przestępców? Wiadomo, że sklepik od pewnego czasu był pod stałą obserwacją. Czy oznacza to, że przygotowano zasadzkę w celu aresztowania Turków? Jeżeli rzeczywiście tak było, kto podjął niezwykle ryzykowną decyzję o zatrzymaniu ich w samym środku Paizyza, w porze znacznego natężenia ruchu, narażając w ten sposób życie i zdrowie obywateli? Dlaczego nie przedsięwzięto żadnych środków bezpieczeństwa? Prokuratura paryska szuka odpowiedzi na te

pytania w ramach wszczętego dochodzenia wewnętrznego.

Według naszych źródeł istnieje uzasadnione podejrzenie, że strzelanina na ulicy Faubourg-Saint-Honore może być powiązana z aż dwiema innymi, poprzedzającymi ją sprawami, dotyczącymi zabójstw, o których informację zamieściliśmy we wczorajszym wydaniu „Le Monde”. Ofiarą jednego z nich był emerytowany policjant, inspektor Jean-Louis Schiffer, którego zwłoki znaleziono rankiem 21 marca na cmentarzu Pere-Lacha-ise. Tego samego dnia, w niewyjaśnionych okolicznościach, zginął kapitan policji Paul Nerteaux i chirurg plastyczny Frederic Gruss, a ich ciała odnaleziono na terenie jednej z willi na wzgórzach Saint-Cloud. Kapitan Nerteaux prowadził w Dziesiątej Dzielnicy śledztwo w sprawie zabójstw trzech niezidentyfikowanych kobiet i w ramach tego dochodzenia posłużył się doświadczeniem Jeana-Louisa Schiffera, który uchodził za specjalistę od spraw związanych ze środowiskiem przestępczym, wywodzącym się z tureckiej mniejszości zamieszkałej w Paryżu.

Niewykluczone więc, że ta makabryczna seria zabójstw jest pokłosiem skomplikowanej sprawy o podłożu zarówno kryminalnym, jak i politycznym, sprawy, która najwyraźniej wymknęła się spod kontroli przełożonych zmarłego Paula Nerteaux i sędziego śledczego Thierry'ego Bomarza. Wnioski takie są tym bardziej uzasadnione, że na godzinę przed śmiercią Ner-teaux polecił sporządzić list gończy za Azerem Akarsa i wystąpił o nakaz przeszukania zakładów Matak, których głównym akcjonariuszem jest nie kto inny jak rzeczony Akarsa. Clothilde Ceaux, główny świadek strzelaniny, rozpoznała Akarsę na przedstawionym jej zdjęciu. Inną kluczową postacią w tym dochodzeniu może okazać się Philippe Charlier, jeden z komisarzy DNAT, który najwyraźniej dysponuje informacjami odnośnie inicjatorów strzelaniny. Philippe Charlier jest jedną z czołowych postaci walki z terroryzmem, ale znany jest także z kontrowersyjnych metod działania. W ramach wstępnego śledztwa Charlier został dziś wezwany do złożenia zeznań przez sędziego Bernarda Sazina.

Sprawa jest, jak widać, złożona, a w dodatku wspomniane wydarzenia zbiegają się w czasie z kampanią wyborczą i planowanym przez Lionela Jospina połączeniem DST z DCRG. Fuzja tych dwóch instytucji miałaby zapewne na celu ograniczenie samowoli niektórych oficerów policji czy agentów kontrwywiadu.

Sema wyłącza komputer i próbuje dokonać podsumowania wydarzeń. Na szczęście Clothilde nic się nie stało. Dobrze też, że Charlier zostanie przesłuchany przez sędziego. Prędzej czy później będzie musiał odpowiedzieć za śmierć policjantów, a przede wszystkim za „samobójstwo” Laurenta Heymesa...

409

Niestety, najważniejsza wiadomość była bardzo złą wiadomością.

Azer Akarsa jest wciąż na wolności.

Ten fakt utwierdza ją w decyzji.

Musi go odnaleźć i dowiedzieć się, kto stoi za całą sprawą. To ktoś postawiony jeszcze wyżej; nie zna jego nazwiska i przypuszczalnie nigdy go nie znała; wie jednak, że w końcu do niego dotrze.

Tymczasem tylko jednego jest pewna: Akarsa wróci do Turcji. Być może zresztą już tu jest. Ukryje się wśród swoich, chroniony przez policję i życzliwe mu władze.

Chwyta płaszcz i wychodzi z pokoju.

Drogi do Akarsy musi szukać w swej pamięci.

68

Najpierw Sema wychodzi na most Galata w pobliżu hotelu. Długo podziwia najslynniejszy widok w mieście — panoramę Bosforu, roztaczającą się na drugim



brzegu Złotego Rogu. Cieśninę Bosfor i jego statki; dzielnicę Eminönii i Nowy Meczet; jak kamienne tarasy, unoszące się nad nimi stadka gołębi; kopuły, iglice minaretów, z których pięć razy dziennie dolatuje głos muezinów.

Papieros.

Nie ma ani czasu, ani nastroju na turystykę, ale wie, że to miasto — jej miasto — może dostarczyć jakiejś wskazówki, jakiejś iskierki, która pozwoli jej odzyskać całą pamięć. Przeszłość Anny Heymes oddala się od niej i pomału ustępuje miejsca niejasnym wrażeniom, mętnym odczuciom, wiążącym się z jej życiem codziennym jako przemytniczki. Są to jednak tylko skrawki wspomnień, pozbawione jakichkolwiek stałych punktów odniesienia, jakichkolwiek choćby najdrobniejszych szczegółów czy sygnałów, które pozwoliłyby jej dotrzeć do dawnych braci.

Macha ręką na taksówkę i każe szoferowi jeździć po mieście, byle gdzie. Mówi płynnie po turecku, bez wahania i bez cienia obcego akcentu, ten język pojawił się wtedy, kiedy trzeba było go użyć, wytrysnął jak woda ze źródła, pul-

411  
sującego w jej wnętrzu. Dlaczego jednak myśli po francusku? Czyżby to był efekt psychicznego warunkowania? Nie, to życie się z francuskim musiało nastąpić znacznie wcześniej. Francuski stanowi konstruktywną część jej osobowości.

Musiał zostać jej zaszczerpiony gdzieś po drodze, w okresie jej dorastania.

Przez okno taksówki Sema przygląda się uważnie wszystkim szczegółom: czerwieni tureckiej flagi z półksiężycem i złotą gwiazdą, flagi, która znaczy miasto niczym woskowa pieczęć; błękitowi ścian i kamiennym pomnikom — brudnym, zniszczonym; zieleni dachów i kopuł meczetów, mieniących się w świetle to barwą jadeitu, to szmaragdu.

Samochód jedzie wzdłuż muru: Hatun caddesi. Sema czyta nazwy na tablicach: Aksaray, Kılciıkpazar, Carsamba... Wydają się jej znajome, ale nie wywołują żadnego szczególnego uczucia, nie kojarzą się z żadnym konkretnym wspomnieniem. Jest jednak przekonana, że wystarczy drobiazg — jakiś pomnik, może szyld, nazwa ulicy, aby obluzować zwały piasku, pod którymi zagrzebane zostały obrazy z przeszłości. Zagrze-"., bane tak samo, jak wraki spoczywających na dnie morza statków, wraki, które wystarczy lekko poruszyć, by z wolna wypłynęły na powierzchnię. Kierowca pyta

— Devam edelim mi?\*

— Evet\*\*.

Haseki. Nisanca. Yenikapi...

Kolejny papieros.

Zgiełk ruchu ulicznego, tłum przechodniów. Tutaj miejski gwar jest wszechobecny, a mimo to odnosi się wrażenie dziwnego spokoju. Wiosenne liście drżą ponad wrzaskliwym tumultem; blade światło rozlewa się w powietrzu. Nad Istambułem unosi się srebrzysta mgiełka niby szara patyna, która łagodzi wszelki gwałt.

Nawet drzewa wyglądają na znużone, spopielale, a ich widok koi serca i umysły. Sema dostrzega nagle słowo na jakimś plakacie. Kilka sylab na czerwono-złotym tle.

— Proszę mnie zawieźć do Galatasaray — mówi do kierowcy.

— Do liceum?

— Tak, do liceum. Do Beyoglu.

\* Jedziemy dalei? \*\*Tak.

412

69

•«m

Obszerny plac na skraju dzielnicy Taksim. Banki, sztandary, międzynarodowe hotele. Kierowca zatrzymuje się przy wejściu do pasażu przeznaczonego wyłącznie dla pieszych.

— Szybciej będzie na piechotę — tłumaczy. — Proszę iść Istiklal caddesi, a po około stu metrach...

— Wiem.

Po jakichś trzech minutach Sema dochodzi do wysokiego ogrodzenia, za którym ukryty jest ogród. Przechodzi przez bramę i znajduje się w prawdziwym lesie.

Świerki, cyprysy, wschodnie platany, lipy: żywe szable, przytłumione niuanse barwne, cieniste zakamarki... Czasem szara smuga kory, gdzieniegdzie czerń.

Kiedy indziej znów szczyt drzewa albo gałąź odcina się od gąszczu szerokim, pastelowym uśmiechem. Miejscami płatanina suchych gałęzi, prawie niebieskich, przezroczysta jak kalka. Całe bogactwo roślinnego świata.

Za drzewami dostrzega żółte fasady budynków, potem otaczające je boiska do koszykówki. Liceum. Sema stoi w cieniu gałęzi i patrzy. Ściany w kolorze pyłku roślinnego. Szary cement. Symbol liceum: splecione litery S i G. Czerwień i złoto na błękitnych kamizelkach uczniów.

Przede wszystkim jednak słucha. Słucha narastającego gwaru, który na wszystkich szerokościach geograficznych brzmi tak samo: jest godzina dwunasta, właśnie skończyły się lekcje. 414

To nie tylko znajomy dźwięk. To wezwanie, znak. I nagle po wracają dawno zapomniane uczucia, oplatają się wokół niej... Jest tak wzruszona, że musi usiąść na ławeczce. Obrazy przeszłości wyłaniają się z niebytu.

Najpierw jej rodzinna wioska w odległej części Anatolii. Bezkresne, bezlitosne niebo nad byle jak skleconymi lepiankami, uczezionymi zbocza góry. Kołyszące się na wietrze żdźbła trawy. Stada owiec pasące się na stromych stokach postukujące nierówno kopytami, szare jak brudny papier. Mężczyźni, kobiety i dzieci w dolinie, żyjący jak kamienie, smagani chłodem i żarem słońca...

Później. Obóz szkoleniowy — porzucone sanatorium otoczone drutem kolczastym, gdzieś w regionie Kayseri. Codziennie szkolenie ideowe, nauka, ćwiczenia. Rano lektura „Dziwięciu światel” Alpasłana Turkesa, w kółko te same nacjonalistyczne frazesy, nieme filmy o historii Turcji. Całe godziny poświęcone na naukę balistyki, systematyki materiałów wybuchowych; ćwiczenia w strzelaniu, walce nożem i wręcz...

A potem nagle liceum francuskie. Wszystko się zmienia. Sema znajduje się w otoczeniu łagodnym i wyrafinowanym, ale tu czuje się znacznie gorzej. Jest przecież prostą chłopką. Dziewczyną z gór, a wokół same dzieci z dobrych rodzin. Jest też fanatyczką, nacjonalistką uczezioną kurczowo swej tureckiej tożsamości, narodowych ideałów; jej koledzy wywodzą się z mieszczańskich domów, marzą o Europie i wyznają lewicowe poglądy.

To właśnie tu, w Galatasaray, język francuski stał się jej pasją, stał się jej bliższy niż mowa ojczysta. Słyszy jeszcze dialekt swojego dzieciństwa, jego nagie, chropawe sylaby. Ale ich miejsce zajmują nowe słowa, wiersze i książki, które całkowicie zmieniają jej sposób myślenia i postrzegania rzeczywistości.

Zaczęła żyć w zupełnie innym świecie.

A potem nastał czas podróży. Uprawy opium w Iranie, na tarasach zawieszonych ponad piaskami pustyni. Szachownice pól w Afganistanie, na przemian warzywa lub zboże, i maki. Bezimiennie, niestrzeżone granice; nikt nie wie dokładnie, któredy przebiegają. Zaminowane ziemie niczyje, przez które biegną dzikie drogi znane

jedynie przemytnikom. Przypomina

415

sobie wojnę, czołgi, stingery i mudzahedinów afgańskich grających w buskaczy głową radzieckiego żołnierza.

Widzi też laboratoria. Baraki, w których ciężko oddychać; pełno w nich kobiet i mężczyzn w płóciennych maskach. Białe proszki i kwaśne wyziewy, morfina i oczyszczona heroina. Wtedy pojawia się jego twarz.

Jak dotąd, jej pamięć kierowała się wyłącznie w jedną stronę. Twarze zawsze pełniły rolę detonatora. Na widok Schiffera przypominała sobie całą historię trójstronnego narkotykowego sojuszu. Wspomnienie uśmiechu Azera Akarsy pociągnęło za sobą wizję klubów i nacjonalistycznych mityngów, mężczyzn wznoszących dłonie złożone na kształt wilczego pyska, wyjących albo krzyczących „Tiirkes basbug!”. W ten sposób przypominała sobie, że jest Wilczycą.

Jednak tu, w ogrodach Galatasaray, dokonuje się proces odwrotny. Jej wspomnienia przywołują kogoś, kto przewija się we wszystkich zakamarkach pamięci. Na samym początku — niezdatny szczeniak. Nieśmiały nastolatek w liceum francuskim.

Później jeszcze — współpracownik. To właśnie jego pulchną sylwetkę w białym fartuchu i jego uśmiech ujrzała w tajnym laboratorium.

Przez te wszystkie lata dorastał razem z nią. Szary Wilk, z którym łączyło ją braterstwo krwi, z którym łączyło ją wszystko. Teraz, kiedy skupiła się na nim, jego portret staje się coraz wyraźniejszy. Puciołowata twarz i kędziory koloru miodu, błękitne oczy, jak dwa turkusy pośród kamyków pustyni.

Znienacka pojawiło się imię: Kursat Milihit.

Wstaje i idzie w kierunku liceum; potrzebuje potwierdzenia, musi się upewnić.

Przedstawia się dyrektorowi jako francuska dziennikarka. Temat reportażu: absolwenci Galatasaray, którzy zdobyli w Turcji sławę.

Dumny uśmiech dyrektora: ależ oczywiście!

Po kilku minutach siedzi już w niewielkim pomieszczeniu, półki z książkami pną się aż po sufit. Przed nią leżą albumy z nazwiskami i ze zdjęciami byłych uczniów szkoły, rok po roku. Bez wahania sięga po rocznik 1988 i znajduje swoją byłą klasę. Nie, nie szuka swojej dawnej twarzy, nie ma ochoty na 416 nią patrzeć, jakby to było jakieś tabu. Szuka portretu Kiirsata Milihita.

Kiedy go znajduje, wspomnienia stają się jeszcze żywsze. Przyjaciół z lat dzieciństwa. Towarzysz broni. Obecnie jest chemikiem. Jest najlepszy w swojej dziedzinie. Potrafi przetworzyć każdy surowiec, wyprodukować najlepszą morfina, najczystsza heroina. Ma palce czarodzieja, które jak żadne inne potrafią obchodzić się z bezwodnikiem octowym.

Przez wszystkie te lata każdą akcję organizowała razem z nim. Właśnie on, przy okazji ostatniego transportu, sporządził roztwór heroiny. To był jej pomysł, żeby wstrzyknąć narkotyk do pęcherzyków folii bąbelkowej w kopertach. Przy stu mililitrach na kopertę wystarczyło dziesięć opakowań, żeby wysłać kilogram — dwieście opakowań na cały transport. Dwadzieścia kilogramów najczystszej heroiny w formie roztworu, ukryte w zwykłych kopertach. Potem wystarczyło tylko odebrać kartony z kopertami w strefie towarowej na lotnisku Roissy.

Jeszcze raz patrzy na zdjęcie: ten gruby młodzieniec o żółtych włosach nie jest tylko widmem przeszłości. Musi teraz odegrać ważną rolę.

Tylko on może jej pomóc odnaleźć Azera Akarsę.

70

Godzinę później Sema przejeżdża taksówką przez ogromny, stalowy most nad Bosforem. Zaczyna padać deszcz. Po kilku sekundach, kiedy samochód dobiega do

azjatyckiego brzegu cieśniny, leje już jak z cebra. Najpierw świetliste igły uderzające w chodnik, potem jednolita, szara ściana wody bębniącej w blaszane dachy. Strugi tryskają spod kół samochodów, jezdnia staje się brunatną rzeką... Kiedy taksówka dociera do dzielnicy Beylerbeyi, przycupniętej u filarów mostu, ulewa przekształca się w burzę. Nie widać już nic, samochody, chodniki i domy rozmywają się w szarej mgle. Cała dzielnica powraca do stanu płynnego, do prehistorycznego błota i gliny.

Sema postanawia wysiąść z taksówki na ulicy Yaliboyu. Przemyka między samochodami, żeby schronić się pod okapem biegnącym wzdłuż rzędu sklepików.

Kupuje lekką pelerynkę przeciwdeszczową i próbuje rozeznac się w okolicy.

Dzielnica przypomina wioskę, jest jakby zmniejszoną, kieszonkową wersją Istambułu. Chodniki są wąskie jak wstążki; domy ściśnięte; uliczki to właściwie ścieżki schodzące w dół, do brzegu cieśniny.

Idzie ulicą Beylerbeyi w kierunku brzegu. Po lewej —• zamknięte kramiki, bary chroniące się pod okapem, stragany przykryte plandeką. Po prawej — mur okalający ogrody me-418

czetu. Czerwona powierzchnia z kruszonego kamienia, porowata, naznaczona melancholijną geografą spękań. W dole słychać pomruk Bosforu, ukrytego za drzewami, który dudni jak kotły niewidocznej orkiestry.

Sema czuje, że płynny żywioł opanowuje ją krople stukają o głowę, uderzają w ramiona, spływają po pelerynie... Na ustach ma smak gliny. Odnosi wrażenie, że spływa nawet jej twarz, że się porusza, migoce...

Nad brzegiem leje jeszcze bardziej, jakby na otwartej przestrzeni deszcz pozbył się wszelkich zahamowań. Nabrzeże przygotowuje się, by odpłynąć od lądu i podążyć cieśniną aż do morza. Sema wibruje wraz z porywami wiatru, jej żyły stają się rzekami, czuje w nich kontynent drżący w posadach.

Zawraca i szuka wejścia do meczetu. Idzie wzdłuż trędowatego muru, wzdłuż zardzewiałych krat. Ponad nią lśnią kopuły, a minarety ciskają wyzwanie spadającym kroplom.

W rytm jej kroków napływają nowe wspomnienia. Kiirsat nosi przydomek „Ogrodnik”, ponieważ oprócz chemii pasjonuje się botaniką. Tutaj właśnie hoduje ukryte w ogrodzie, rozmaite odmiany maku. Każdego wieczoru przyjeżdża do Beylerbeyi, by opiekować się swoimi roślinkami...

Brama, potem dziedziniec wyłożony marmurowymi płytami, wzdłuż którego ciągnie się rząd umywalek, przeznaczonych do ablucji poprzedzających modlitwę.

Przechodzi przez patio, widzi we wnękach okien białe i brązowe koty. Jeden z nich ma wybite oko, inny — krwawe strupy na pyszczku.

Kolejny próg i wchodzi do ogrodu.

Ten widok chwyta ją za serce. Drzewa, krzewy, zarośla potargane przez wiatr. Spulchniona ziemia; gałęzie czarne jak pręty lukrecji; krzaczki o drobnych liściach, gęste jak jemioła. Świat wybujały i tętniący życiem, rozkołysany pieszczotą ulewy.

Idzie dalej, upojona wonią kwiatów i stłumionym zapachem ziemi. Tutaj bębnienie deszczu jest cichsze. Krople uderzają o liście matowym pizzicato, strużki wody spływają po nich jak struny harfy. Sema mówi do siebie w myśli: „Odpowiedzią ciała na muzykę jest taniec. Odpowiedzią ziemi na deszcz są ogrody”.

419

Odgarnia gałęzie drzew i widzi bambusowe tyczki, blaszanki wypełnione humusem, odwrócone do góry dnem słoiki, pod którymi rosną nowe sadzonki. Wygląda to jak szklarnia pod odkrytym niebem, czy może raczej roślinne przedszkole. Jeszcze

parę kroków i zatrzymuje się: spostrzega Ogrodnika.

Jest oparty kolanem o ziemię, pochylony nad rządkiem maków, owiniętych przezroczystym plastikiem. Właśnie wsuwa sącdek do wnętrza słupka, gdzie znajduje się zalążek makówki. Sema nie zna tej odmiany; pewnie jakaś nowa hybryda, która kwitnie wcześniej. Eksperymentalna hodowla maków w samym sercu stolicy Tufcji...

Chemik podnosi oczy, jakby wyczuł jej obecność, kaptur opada mu na czoło, przysłaniając grube rysy twarzy. Na jego ustach pojawia się uśmiech, szybszy niż zdziwione spojrzenie. — Oczy. Poznałem cię po oczach.

Mówi po francusku. To była taka gra między nimi, coś, co zbliżało ich jeszcze bardziej. Sema nie odpowiada. Wyobraża sobie, jak wygląda w jego oczach: wychudzona sylwetka, zacienione zielonym kapturem ostre rysy, nie do rozpoznania. Jednak Kiirsat nie okazuje najmniejszego zdziwienia, to znaczy, że wie o operacji plastycznej. Czy to ona mu powiedziała? A może zajęły się tym Wilki? Przyjaciel czy wróg? Ma tylko kilka sekund, żeby podjąć decyzję. Ten mężczyzna był jej zaufanym współnikiem, a więc to jednak ona musiała mu powiedzieć o swoich planach ucieczki.

Jego ruchy są niezdarne, brak mu pewności siebie. Jest niewiele wyższy od niej. Ma na sobie płócienną bluzę i szeroki plastikowy fartuch. Kiirsat rozprostowuje się.

— Dlaczego wróciłaś?

Sema nie odpowiada. Mijają sekundy. Wreszcie mówi głosem stłumionym przez kaptur peleryny, też po francusku:

— Chcę wiedzieć, kim jestem. Straciłam pamięć.

— Co?

— W Paryżu zostałam zatrzymana przez policję. Poddano mnie praniu mózgu. Cierpię na amnezję.

— To niemożliwe.

— Wszystko jest możliwe w naszym świecie, wiesz o tym równie dobrze jak ja.

420

— I... nic nie pamiętasz?

— Wiem tylko to, czego udało mi się dowiedzieć, gdy szłam po własnych śladach.

— Ale po co wróciłaś? Dlaczego nie zniknęłaś?

— Jest już za późno, żeby zniknąć. Wilki idą moim tropem. Znają moją nową twarz. Chcę negocjować.

Kiirsat ostrożnie stawia doniczkę z kwiatem, owiniętym folią, między konewki i worki z ziemią. Rzuca niespokojnie okiem w jej stronę.

— Masz ją jeszcze?

Sema nie odpowiada. Kursat nalega:

— Masz jeszcze tę heroinę?

— To ja zadaję pytania — odpowiada. — Kto był zleceniodawcą w tej sprawie?

— Nigdy nie znamy imienia zleceniodawcy. Taka jest zasada.

— Nie ma już zasad. Moja ucieczka zmieniła wszystko. Musieli cię wypytywać, musiały pojawić się nazwiska. Kto to był?

Kursat waha się jeszcze. Deszcz spływa po jego kapturze, po jego twarzy.

— Ismai'1 Kudseyi.

To nazwisko nie jest jej obce. Kudseyi władca absolutny, ale wciąż zasłania się niepamięcią.

— Kto to jest?  
— Nie mogę uwierzyć, żebyś do tego stopnia straciła orientację.  
— Kto to jest? — powtarza Sema.  
— Najważniejszy baba Istambułu — zniża głos, jakby chciał dostroić go do ulewy.  
— Przygotowuje sojusz z Uzbekami i Rosjanami. To był transport pilotażowy, miał być sprawdzianem i symbolem. Wszystko przepadło razem z tobą.  
Sema uśmiecha się zza kryształowych kropelek.  
— Wyobrażam sobie, jakie nastroje zapanowały pośród partnerów.  
— Prawie na pewno wybuchnie wojna. Tylko że Kudseyi się tym nie przejmuję. To ty jesteś jego obsesją. Zrobi wszystko, żeby cię odnaleźć. Nie chodzi o pieniądze, to sprawa honoru.

421

Nie może tolerować zdrady. Jesteśmy Wilkami, stworzonymi przez niego.

— Stworzonymi przez niego?

— Jesteśmy narzędziami sprawy. Wilki wychowały .nas uformowały, zapewniły wykształcenie. Kiedy urodziłaś się, byłaś nikim. Nędzarką, która pasła owce. Tak jak ja. Tak jak inni. Organizacja dała nam wszystko. Wiarę. Władzę. Wiedzę.

Sema powinna przejść do rzeczy, ale chce usłyszeć jak najwięcej.

— Dlaczego rozmawiamy po francusku?

Na okrągłej twarzy Kiirsata maluje się dumny uśmiech.

— Zostaliśmy wybrani. W latach osiemdziesiątych raj, przywódcy, postanowili utworzyć podziemną armię wraz z oficerami. Potrzebne były Wilki, które mogłyby przeniknąć do najwyższych sfer społeczeństwa.

— Kudseyi to wymyślił?

— To była jego inicjatywa, ale przyklasnęli jej wszyscy. Wysłannicy fundacji wyruszyli na poszukiwanie najbardziej uzdolnionych, najbardziej obiecujących młodych Wilków. Chcieli zapewnić im najlepsze wykształcenie. Chodziło o to, żeby przywrócić wiedzę i władzę prawdziwym Turkom, dzieciom Anatolii, a nie mieszczańskim wymoczkom z Istambułu.

— I zostaliśmy wyselekcjonowani?

W jego głosie brzmi jeszcze większa duma.

— Razem z kilkorgiem innych posłano nas do liceum Gala-tasaray, wszystko to dzięki stypendiom fundacji. Jak mogłaś o tym zapomnieć?

Sema nie odpowiada. Kiirsat mówi dalej, z zapalem:

— Mieliliśmy po dwanaście lat, byliśmy już małymi baskans, przywódcami w naszych regionach. Najpierw spędziliśmy rok w obozie szkoleniowym. Kiedy wstąpiliśmy do Galatasaray, potrafiliśmy już posługiwać się pistoletem maszynowym. Zналиśmy na pamięć całe fragmenty „Dziwięciu światel”. Nagle znaleźliśmy się pośród zdegenerowanych gnojków, którzy słuchali rocka, palili marihuanę i małpowali Europejczyków. My dwoje, w otoczeniu tych skurwysynów, komunistów... A więc trzymaliśmy się razem, Sema. Jak brat i siostra. Parka kmiotów z Anatolii, dwoje nędzarzy z ich skromnym stypendium... Nikt

nie wiedział, jak bardzo byliśmy niebezpieczni. Byliśmy już Wilkami.

Wojownikami. Przeniknęliśmy do zakazanego dla nas świata, żeby walczyć z czerwoną zarazą! Tanri tiirk'u korusun!\*

Przy tym okrzyku Kiirsat potrząsa pięścią ułożoną w znak Wilka. Bardzo się stara, żeby wyglądać na fanatyka, ale najbardziej przypomina tego, kim był zawsze: łagodnego i niezdarnego dzieciaka, przyuczonego do przemocy i nienawiści.

Sema stoi bez ruchu pośród liści i bambusowych tyczek, wypytuje go dalej.

— Co wydarzyło się potem?

— Ja poszedłem na wydział nauk ścisłych. Ty na uniwersytet Bogazici, studiowałaś języki obce. Pod koniec lat osiemdziesiątych Wilki zaczęły opanowywać rynek narkotyków. Potrzebni byli specjaliści. Nasze role zostały z góry wyznaczone: ja miałem zostać chemikiem, ty kurierem. Byli też inni. Do Wilków należeli dyplomaci, przemysłowcy...

— Tacy jak Azer Akarsa. Kursat wzdrygnął się.

— Dlaczego o nim mówisz?

— To on polował na mnie w Paryżu. Kursat otrząsnął się z deszczu, jak hipopotam.

— Nasłali na ciebie najgorszego ze wszystkich. Jeżeli to on cię szuka, znajdzie na pewno.

— Teraz ja go szukam. Gdzie on jest?

— Skąd mógłbym wiedzieć?

W głosie Ogrodnika brzmi fałsz. Teraz powraca podejrzenie. Już prawie o tym zapomniała, ale przecież ktoś ją zdradził. Kto powiedział Akarsie, że ukrywa się w łaźni Gurdileka? To pytanie zostawia sobie na koniec...

Chemik jakby trochę zbyt pospiesznie zmienia temat.

— Ale masz jeszcze heroinę? Gdzie ona jest?

— Przecież mówiłam ci, że straciłam pamięć.

— Jeżeli chcesz negocjować, nie możesz wrócić z pustymi rękami. Twoją jedyną szansą jest...

Przerywa mu nagle.

Boże, miej w opiece Turków!

423

— Dlaczego to zrobiłam? Dlaczego chciałam wystrychnąć wszystkich na dudka?

— Tylko ty to wiesz.

— Wtajemniczyłam cię w moje plany. Naraziłam cię na niebezpieczeństwo. Musiałam przecież podać ci jakiś powód.

Kursat rozkłada ręce.

— Nigdy nie pogodziłaś się z naszym losem. Mówiłaś, że zmuszono nas do przyłączenia się, że nie dano nam wyboru. Tylko co to za wybór? Gdyby nie oni, dalej byłibyśmy pastuchami w jakimś odległym zakątku Anatolii.

— Jeżeli przewożę narkotyki, to muszę mieć mnóstwo pieniędzy. Dlaczego po prostu nie zniknęłam? Dlaczego ukradłam heroinę?

Kursat chichocze.

— Tobie trzeba było czegoś więcej. Chciałaś narobić zamieszania, doprowadzić do wojny między klanami. To była twoja zemsta i dopięłaś swego. Kiedy pojawią się tu Ruscy i Uzbeki, będzie rzeź.

Deszcz z wolna ustaje, zapada zmrok. Kursat znika stopniowo w zmierzchu jakby gasł. Kopuły meczetu ponad nimi zdają się jarzyć własnym światłem.

Znów myśli o zdradzie, teraz musi iść do końca i zrobić, co do niej należy.

— A ty?—pyta lodowatym głosem. — Jakim cudem jeszcze żyjesz? Czyżby nie przyszli do ciebie?

— Oczywiście, że przyszli.

— Nic nie powiedziałeś? Chemikiem wstrząsa dreszcz.

— Nie miałem nic do powiedzenia. Nic nie wiedziałem. Ja tylko pojechałem do Paryża, żeby sproszkować heroinę, i zaraz wróciłem do kraju. Potem już się odezwałaś. Nikt nie wiedział, gdzie jesteś. Zwłaszcza ja.

Jego głos drży, ogarnia ją litość. „Kursat, mój Kursat, jak to się stało, że

żyjesz tak długo?". Grubas mówi jednym tchem:

— Zaufali mi, Semo. Przysięgam. Ja zrobiłem swoje. Nie miałem od ciebie wieści. Kiedy ukryłaś się u Gurdileka, pomyślałem...

— Kto mówił o Gurdileku? Mówiłam coś o Gurdileku?

424

W tej chwili zrozumiała. Kursat wiedział wszystko, ale powiedział Akarsie tylko część prawdy. Ocalał, bo powiedział mordercy, gdzie można ją znaleźć, ale nie wspomniał o nowej twarzy. Oto, jak jej „brat z krwi” poszedł na kompromis z własnym sumieniem.

Chemik stoi przez chwilę z rozdziawionymi ustami, jakby ciążył mu własny podbródek. W następnej sekundzie wsuwa dłoń pod plastikowy fartuch. Sema strzela przez pelerynę. Ogrodnik pada pomiędzy sadzonki i słoiki.

Sema osuwa się na kolana. To jej drugie zabójstwo, po Schifferze. Domyśla się jednak, że zabijała już wcześniej, bo jej ruchy są pewne, nieomyłne. Zabijała właśnie w ten sposób, strzelając z bliska. Kiedy? Ile razy? Pustka. Pod tym względem jej pamięć całkowicie odmawia posłuszeństwa.

Patrzy przez chwilę na Kiirsata, leżącego bez ruchu wśród maków. Na jego twarzy maluje się już spokój śmierci; wreszcie uwolniona niewinność powraca, stopniowo łagodząc jego rysy.

Przeszukuje jego ubranie. Pod fartuchem znajduje telefon komórkowy. Jeden z numerów zapisanych w pamięci oznaczony jest imieniem „Azer”.

Wsuwa telefon do kieszeni i wstaje. Przestało padać, jest już prawie ciemno.

Teraz ogrody zaczynają oddychać. Spogląda w górę: mokre kopuły meczetu wyglądają jak zrobione z zielonej porcelany, minarety są gotowe, by wystrzelić ku gwiazdom.

Sema stoi jeszcze przez chwilę nad zwłokami. Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się coś wyraźnego i określonego: teraz już wie.

Wie, dlaczego to zrobiła, dlaczego uciekła z narkotykami.

Jasne, że chodziło o wolność.

Miała też jednak bardzo konkretny powód do zemsty.

Musi to sprawdzić, zanim podejmie dalsze działania.

Musi więc znaleźć jakiś szpital i ginekologa.

71

Pisała przez całą noc. Przed nią leży list, dwanaście stron, adresowany do Mathilde Wilcrau, ulica Le Goff, Paryż, Piąta Dzielnica. Opowiada w nim szczegółowo całą swoją historię. Mówi o pochodzeniu, szkoleniu, o pracy. A także o ostatnim transporcie.

W liście wymienia nazwiska: Ktirsat Milihīt, Azer Akarsa, Ismail Kudseyi.

Wszystkie figury na szachownicy. Drobiazgowo opisuje role, jakie odegrali.

Odtwarza wszystkie fragmenty mozaiki...

Sema jest jej winna te wyjaśnienia. Obiecała jej to w krypcie cmentarza Pere-Lachaise, ale nade wszystko pragnie, żeby lekarka zrozumiała wydarzenia, w których omal nie postradała życia.

Kiedy pisze na hotelowym papierze „Mathilde”, kiedy ściska w palcach długopis, czuje, że, być może, nigdy dotąd nie zrobiła niczego równie rzetelnego.

Zapala papierosa i przywołuje wspomnienia. Mathilde Wilcrau. Wysoka, silna kobieta o czarnych włosach. Kiedy pierwszy raz patrzyła, na jej zbyt czerwony uśmiech, przyszedł jej na myśl pewien obraz: łożyska maków, które przypalała, żeby kwiaty zachowały kolor.

Teraz, gdy odnalazła swoje korzenie, to porównanie nabiera sensu. Piaszczyste



wydmy, o których mówiła, nie znajdowały 426  
się na francuskich Landach, tylko w środku anatolijskiej pustyni. Rosły tam  
dzikie maki, a więc opium już wtedy pojawiło się w jej życiu... Odczuwała dziwne  
drzenie, podniecenie i lęk, kiedy przypalała te łądygi. Dostrzegła tajemne  
powiązanie między płomieniem i rozkwitającą barwą płatków kwiatu.  
Taką samą tajemnicę kryje w sobie Mathilde Wilerau.  
W jej wnętrzu wypaliło się coś, co wzmacnia czerwień jej uśmiechu.  
Sema kończy list. Zastanawia się przez chwilę, czy napisać o tym, czego  
dowiedziała się przed paroma godzinami w szpitalu. Ale nie, to tylko jej sprawa.  
Podpisuje się i wsuwa kartki do koperty.  
Na wyświetlaczu hotelowego radia z budzikiem jest czwarta rano.  
Obmyśliła już plan. Kursat powiedział, że nie ma sensu wracać z pustymi rękami.  
Ani w „Le Monde”, ani w dziennikach telewizyjnych nie było żadnej wzmianki o  
narkotykach rozsypanych w krypcie. Prawdopodobnie więc Azer Akarsa i Ismail  
Kudseyi nie wiedzą, że heroina przepadła. Tak więc Sema posiada hipotetyczny  
atut w negocjacjach...  
Kładzie kopertę przed drzwiami i wchodzi do łazienki.  
Odkręca kran i bierze do ręki paczuszkę, którą przyniosła ze sklepiku w  
Beylerbeyi.  
Wsypuje pigment do umywalki i patrzy na czerwonawe meandry, rozplływające się w  
brązowe błoto.  
Przez kilka chwil obserwuje swoje odbicie w lustrze. Skruszone i spiłowane  
kości, pozszywana skóra: pod maską urody kolejne kłamstwo...  
Uśmiecha się do siebie w lustrze i szepcze:  
— Nie ma już wyboru.  
Potem ostrożnie zanurza palec wskazujący prawej ręki w hennie.

72

Godzina piąta. Dworzec Haydarpasa.  
Dworzec kolejowy i zarazem port. Wszystko jest dokładnie takie, jak w jej  
wspomnieniach. Centralny budynek w kształcie litery U, z dwiema potężnymi  
wieżami, otwiera się na cieśninę, jakby chciał ją objąć, jakby zapraszał morze  
do siebie. Wokół, jak okiem sięgnąć, labirynt kamiennych pomostów i wodnych  
przesmyków. Na końcu drugiego pomostu samotna wieża latarni morskiej, która  
wygląda tak, jakby stała na wodzie.  
O tej porze wszystko jest ciemne, zimne, zgaszone. Tylko  
przez zaparowane okna dworca przenika słabe, rudawe światło.  
Świeci się też światło w budynku Iskele, przystani; odbija się  
w wodzie złotawym odblaskiem, stopniowo przechodzącym  
w fiolet.  
Sema idzie wzdłuż budynku, potem nabrzeżem. Ten ponury widok jej odpowiada,  
liczyła na pustkę, ciszę, chłód. Idzie ku przystani łodzi spacerowych.  
Chłopotanie fal wtóruje jej krokom.  
Ogląda wszystkie czółna i łodzie. Wybiera w końcu jedną z nich; właściciel śpi,  
zwinęty w kłębek i okryty plandeką. Budzi go i uzgadnia cenę. Oszołomiony  
mężczyzna godzi się na zaproponowaną przez nią sumę; dla niego to majątek.  
Zapewnia go, że nie wypłynie poza drugi pomost, że cały czas będzie 428  
widział swoją łódkę. Właściciel godzi się bez słowa, uruchamia silnik i schodzi  
na ląd.  
Sema bierze ster do ręki, manewruje pomiędzy innymi łodziami, odbijając od  
nabrzeża. Płynie wzdłuż pierwszego pomostu, opływa dookoła nasyp, potem wzdłuż

drugiego, aż tło latarni. Wokół niej panuje cisza i bezruch, tylko w oddali widać oświetlony pokład jakiegoś statku towarowego. Przez mżawkę widać cienie uwijające się w świetle reflektorów. Przez ułamek sekundy odczuwa przyływ sympatii dla tych, którzy także nie śpią.

Przybija do skał, cumuje łódź i wchodzi do latarni. Drzwi otwierają się z łatwością. Wnętrze jest ciasne, lodowate, nieprzyjazne. Latarnia jest zautomatyzowana i nie potrzebuje nikogo. Na szczycie wieży ogromny reflektor powoli obraca się dookoła, pojękując.

Sema zapala latarkę. Ściany są brudne i wilgotne. Podłoga podziurawiona kałużami wody. Całą przestrzeń zajmują kręcone, żelazne schodki. Do jej uszu dociera szum fal, rozpryskujących się gdzieś pod jej stopami. Wieża przypomina jej jakiś kamienny znak zapytania, postawiony na końcu świata. Miejsce absolutnego osamotnienia. Idealne.

Wyjmuje telefon Kiirsata i dzwoni do Azera Akarsy.

Najpierw sygnał, potem ktoś odbiera. Cisza. W końcu jest dopiero piąta nad ranem...

Mówi po turecku:

— Tu Sema.

Jeszcze chwila ciszy, potem rozlega się wyraźny i bliski głos Azera Akarsy.

— Gdzie jesteś?

— W Istambule.

— Co proponujesz?

— Spotkanie. W cztery oczy. Na neutralnym terytorium.

— Gdzie?

— Na dworcu Haydarpasa. Na drugim pomoście jest latarnia morska.

— O której?

— Teraz. Masz być sam. Przyłyn łodzią. Uśmiech w jego głosie.

429

— Żebyś mnie ustrzeliła jak zająca?

— To nie rozwiąże moich problemów.

— Nie wiem, co mogłoby rozwiązać twoje problemy.

— Dowiesz się, kiedy się spotkamy.

— Gdzie jest Kiirsat?

Numer na pewno wyświetla się na jego telefonie. Po co kłamać?

— Nie żyje. Czekam na ciebie. Haydarpasa. Masz być sam. I weź łódź z wiosłami.

Rozłącza się i wygląda na zewnątrz przez zakratowane okienko. Port budzi się pomału, ożywia się leniwie i niechętnie. Jakiś statek sunie po szynach, wynurza się z wody i znika w ogromnej bramie rozświetlonego magazynu.

Trudno sobie wyobrazić lepszy punkt obserwacyjny. Widać stąd doskonale port i przystań, nabrzeże i pomosty: nikt nie może zakraść się do niej niepostrzeżenie.

Siada na schodkach, drżąc z zimna. Papieros.

W błędzących myślach ni stąd, ni zowąd pojawia się wspomnienie. Dotyk gipsu na skórze. Bandaże z gazy przylepione do umęczonego ciała. Nieznośne swędzenie pod opatrunkami. Przypomina sobie, jak przychodziła do siebie po operacji, oszołomiona środkami nasennymi, zawieszona między snem i jawą. Pamięta też przerażenie na widok własnej twarzy, opuchniętej, pokrytej siniakami i strupami... Za to też jej zapłaca. Piąta piętnaście.

Chłód staje się dojmujący jak oparzenie. Sema wstaje, przytupuje nogami, porusza ramionami, walcząc z odrętwieniem. Wspomnienie operacji kojarzy się jej bezpośrednio z ostatnim odkryciem, tym, którego dokonała przed paroma godzinami,

w głównym szpitalu miejskim. W gruncie rzeczy było to tylko potwierdzenie. Teraz pamięta bardzo dobrze ten marcowy dzień roku 1999. To było w Londynie, banalne zapalenie okrężnicy. Musiała jednak zrobić prześwietlenie, a potem pogodzić się z prawdą. Jak mogli jej to zrobić? Okaleczyć ją na zawsze? Dlatego właśnie uciekła.

430

I dlatego pozabija ich wszystkich.

Piąta trzydzieści.

Zimno jest obezwładniające. Krew napływa do najważniejszych organów, opuszczając powoli najbardziej oddalone części jej ciała, pozostawiając je na pastwę chłodu i odmrożeń. Za kilka minut nie będzie w stanie się poruszyć.

Podchodzi do drzwi na sztywnych nogach. Wychodzi z wieży latarni morskiej i zmusza się, by zrobić kilka kroków wzdłuż pomostu. Dysponuje tylko jednym źródłem ciepła, własną krwią. Trzeba ją zmusić do krążenia, by rozeszła się po całym ciele.

W oddali rozlegają się głosy. Sema patrzy w tamtą stronę. Jacyś wędkarze przybijają do pierwszego pomostu. Tego nie przewidziała, że mogą się pojawić tak wcześnie.

Widzi w ciemnościach ich wędki, smagające powierzchnię wody.

Czy to naprawdę są wędkarze?

Patrzy na zegarek: piąta czterdzieści pięć.

Za kilka minut zniknie stąd. Nie może dłużej czekać. Dobrze wie, że niezależnie od tego, w jakiej części miasta się znajduje, wystarczy mu pół godziny, żeby dotrzeć do dworca. Jeśli potrzebuje więcej czasu, to znaczy, że przygotowuje pułapkę.

Słyszy plusk. Widzi w ciemnościach ślad łodzi na wodzie, sylwetkę pochyloną nad wiosłami. Szalupa płynie w jej stronę. Ruchy wiosłarza są wolne, szerokie, wytrwałe. Aksamitna marynarka miękko połyskuje w świetle księżyca.

Łódź przybija do kamieni. Kiirsat wstaje i chwytą cumę. Jego gesty są tak zwyczajne, że wydają się nierzeczywiste. Sema nie może uwierzyć, że człowiek, którego jedynym celem jest jej unicestwienie, znajduje się o dwa metry stąd.

Pomimo kiepskiego światła, rozpoznaje jego aksamitną marynarkę, oliwkową i wytartą; fular na szyi, potargane włosy... Kiedy pochyla się, żeby rzucić jej linę, dostrzega nawet, przez krótką chwilę, jego fiołkowe oczy.

Chwytą cumę i przywiązuje ją do swojej liny. Azer chce wysiąść, ale Sema powstrzymuje go, potrząsając glockiem.

— Plandeki — mówi półgłosem.

Azer spogląda na stos zniszczonych płacht.

— Podnieś je.

431

Wykonuje jej polecenie; dno łodzi jest puste.

— Zbliź się. Bardzo powoli.

Sema cofa się, żeby mógł wspiąć się na nabrzeże. Gestem nakazuje mu podnieść ręce do góry. Obszukuje go lewą ręką; jest nieuzbrojony.

— Przestrzegam reguł gry — mówi Azer półgłosem. Popycha go w kierunku drzwi i idzie za nim. Azer od razu siada na żelaznych schodkach.

W jego rękach pojawia się plastikowa torebka.

— Może czekoladkę?

Sema nie odpowiada. Azer wsuwa smakołyk do ust.

— Cukrzyca — mówi przepraszającym tonem. — Kuracja insulinowa wywołuje spadek poziomu cukru w organizmie, nie sposób ustalić właściwego dawkowania. Kilka razy na tydzień mam ostre ataki hipoglikemii, zwłaszcza w sytuacjach związanych ze stresem. Wtedy muszę prędko zjeść coś słodkiego.

Plastikowe opakowanie lśni w jego palcach. Sema przelotnie wspomina Maison du Chocolat, Paryż i Clothilde. Inny świat.

— W Istambule kupuję kakaowe czekoladki z marcepanem. Specjalność pewnego cukiernika z Beyoglu. W Paryżu znalazłem Jikola...

Ostrożnie stawia torebkę na metalowej konstrukcji. Imponujące, może naprawdę czuje się tak swobodnie, a może tylko udaje? Powietrze z wolna rozjaśnia się błękitną poświatą, budzi się brzask. Reflektor nad ich głowami wciąż jeszcze pracuje, oś, na której się obraca, nie przestaje poskrzypywać.

— Gdyby nie czekoladki, nigdy bym cię nie znalazł.

— Nigdy mnie nie znalazłeś.

Uśmiech. Wsuwa rękę pod marynarkę. Sema podnosi pistolet. Azer w zwolnionym tempie wyciąga czarno-białą fotografię. Zdjęcie przedstawia grupkę studentów.

— Uniwersytet Bogazici, kwiecień tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego — mówi. — Jedyne twoje zdjęcie, jakie udało nam się zdobyć. To znaczy, jedyne zdjęcie twojej dawnej twarzy...

Nagle w jego palcach błyska zapalniczka. Płomień rozjaśnia mrok i obejmuje błyszczący papier, rozchodzi się ostra, chemiczna woń.

432

— Mało kto może się poszczycić, że widział cię potem. Nie mówiąc już o tym, że wciąż zmieniałaś nazwiska, wygląd, miejsce pobytu...

Wciąż trzyma w końcach palców płonąca fotografię. Odbicie różowawych, iskrzących płomieni pełga po jego twarzy. Przez moment wydaje jej się, że widzi jedną ze swych halucynacji. Może zaczyna się kolejny atak... Ale nie: to tylko ogień oświetla rysy mordercy.

— Skryłaś się za zasłoną tajemnicy — mówi Azer, spoglądając na języki płomieni.

— W pewnym sensie dlatego musiały zginąć tamte trzy kobiety. Wiły się z bólu.

Długo. Bardzo długo...

Rzuca odbitkę do kałuży.

— Powinienem się domyślić, że zrobiłaś operację plastyczną. To w twoim stylu. Kolejna, ostateczna metamorfoza...

Patrzy na kałużę, z której jeszcze unosi się smużka dymu.

— Jesteśmy najlepsi, Semo. Każde z nas w swojej dziedzinie. Co proponujesz?

Sema odgaduje, że ten człowiek nie uważa jej za wroga, że widzi w niej raczej godnego siebie przeciwnika w grze. Nawet więcej: swoje alter ego. To polowanie było czymś znacznie ważniejszym niż zwykle zlecenie czy kontrakt. Było dla niego osobistym wyzwaniem. Wyprawą na drugą stronę lustra... Pod wpływem impulsu prowokuje go.

— Jesteśmy tylko ich narzędziami, pionkami na szachownicy, rozstawianymi przez nich.

Azer marszczy brwi, rysy jego twarzy ściągają się.

— Nic podobnego — mówi szeptem. — To ja wysługuję się nimi dla dobra naszej sprawy. Ich pieniądze nie...

— Jesteśmy ich niewolnikami.

— O co ci chodzi? — nagle zaczyna krzyczeć, torebka z czekoladkami spada na ziemię. — Jaka jest twoja oferta?

W jego głosie słyhać irytację.

— Tobie nie mam nic do zaproponowania. Rozmawiać będę tylko z samym bogiem we własnej osobie...

Część 12

73

Ismail Kudseyi stał w deszczu na tarasie swojej posiadłości w Yenikóy, pośród trzciny, i spoglądał na wody cieśniny.

Azjatycki brzeg Bosforu wyglądał z daleka jak cienka wstążka, wystrzępiona przez strugi wody. Znajdował się w odległości ponad kilometra, na wodach nie widać było żadnego statku ani łodzi.

Czuł się bezpiecznie, tutaj mógł nie obawiać się strzału snajpera.

Kiedy Azer zadzwonił do niego, poczuł przemożną potrzebę udania się właśnie w to miejsce. Pragnął dotknąć srebrzystych liści, zanurzyć palce w zielonej pianie.

Pragnienie dojmujące, niemal fizyczne.

Podpierając się laską, zszedł ostrożnie wzdłuż balustrady schodów, prowadzących nad sam brzeg. Ogarnął go zapach morza i przenikająca wszystko wilgoć. Bosfor był wzburzony, ale mimo swego zagniewania wciąż pozostawiał pośród kamieni tajemne schowki, trawiaste cyzelowania, gdzie rozprysła wody tworzyły malutkie tęcze.

Jeszcze dziś, choć miał już 64 lata, wciąż powracał tu, gdy miał coś do przemyślenia. Stąd się wywodził. Tu nauczył się pływać. Tu złowił pierwszą rybę. Utopił pierwsze piłki, szmaciane zwoje, które w wodzie rozprostowywały się jak bandaże na nigdy nie zagojonych, dziecięcych skaleczeniach...

437

Mężczyzna spojrzął na zegarek; była już dziewiąta. Co oni robią?

Wspiął się z powrotem na górę i ogarnął wzrokiem swoje królestwo. Park okalający jego włości. Otaczający je mur, ciemnoczerwony i oddzielający ogrody od panującego na zewnątrz zgiełku; gąszcz bambusów, przygiętych jak ptasie pióra, kołyszących się łagodnie przy najmniejszym podmuchu wiatru; kamienne, skrzydlate lwy, drzemiące leniwie wzdłuż schodów prowadzących do pałacu; koliste sadzawki, w których pływały łabędzie...

Chciał już schronić się przed deszczem, gdy usłyszał brzęczenie silnika; właściwie raczej podskórną, odległą wibrację niż prawdziwy dźwięk. Odwrócił głowę i zobaczył łódź wspinającą się na fale, a potem opadającą w dół, ciągnącą za sobą dwie smugi piany.

Przy sterze był Azer, marynarkę zapiął pod samą szyję. Siedząca w łodzi Sema wydawała się maleńka z tej odległości, przeciwdeszczowa pelerynka furkotała wokół niej, zniekształcając sylwetkę. Ale Kudseyi nawet teraz rozpoznał w jej postaci coś znajomego. Wiedział, że zmieniła twarz, miała jednak wciąż tę samą śmiałość, tę samą wyzywającą postawę, którą dostrzegł dwadzieścia lat temu, przyglądając się setkom innych dzieciaków.

Azer i Sema.

Morderca i złodziejka.

Jego jedyne dzieci.

Jedyni wrogowie.

74

Gdy zaczął iść, ogród się nagle ożywił.

Zza krzaków wyłonił się ochroniarz. Drugi wyszedł zza lipy. Dwaj następni pojawili się na wysypanej żwirem alejce. Każdy wyposażony był w pistolet maszynowy MP-7, doskonałą broń krótkiego zasięgu, z magazynkiem poddźwiękowych naboju, mogących bez trudu przebić tytanowy pancerz albo kevlarową kamizelką z

odległości dwustu metrów. Tak przynajmniej twierdził jego dostawca broni. Tylko czy to miało jakikolwiek sens? W jego wieku najbardziej należało obawiać się tych nieprzyjaciół, którzy nie ścigali go z szybkością dźwięku ani nie próbowali przebić zabezpieczającej go osłony z poliwęglanów; wróg czał się w nim samym, niestrudzenie dokonując dzieła zniszczenia.

Szedł ścieżką, ludzie z obstawy otoczyli go; dwaj wyprzedzali, dwaj postępowali za nim. Tak było od lat; jego życie strzeżone było pilnie, niczym jakiś bezcenny klejnot; tylko że diament dawno już stracił swój blask. Odgrodził się od świata, pogrzebany za życia; nigdy nie wychodził poza obręb murów, towarzyszyli mu wyłącznie mężczyźni.

Zmierzał w stronę pałacu, jednego z ostatnich ocalałych w tej willowej dzielnicy, znajdującej się nad brzegiem Bosforu. Była to siedziba letnia, zbudowana z drewna, wznosząca się na wysmołowanych palach nad wodą. Prawdziwie dumny i obron-

439

ny pałac z wieżyczkami, który miał zarazem w sobie coś z nonszalancji i bezpretensjonalności chaty rybackiej.

Spaczone ze starości, wytarte gonty lśniły jak lusterka; za to fasady pociemniały i nabrały łagodnej, zgaszonej barwy. Budowla miała w sobie coś tymczasowego niczym most albo przystań. Morskie powietrze, stare drewno i chlupot fal zdawały się obiecywać mu daleką podróż i wypoczynek.

Kiedy jednak zbliżył się na tyle, że widać było orientalne dekoracje frontonu — słońca na balkonach, gwiazdy i półksiężycy na okiennicach — rozumiał już, że w rzeczywistości rezydencja ta była czymś zupełnie innym, przeciwieństwem punktu wyjścia: była zakotwiczona w przeszłości, solidna i ostateczna. Stanowiła wybrane przezeń miejsce spoczynku, drewniany grobowiec, w którym, słuchając szumu morza jak muszli, miał czekać na śmierć.

W sieni Ismai'l Kudseyi zdjął płaszcz i buty. Wsunął na stopy filcowe kapcie, włożył kamizelkę z indyjskiego jedwabiu i stanął przed lustrem.

Widok własnej twarzy zawsze napawał go dumą.

Czas dokonał nieuniknionych zniszczeń, ale kości pod skórą pozostały nienaruszone. Były niepokonane jak szaniec, napinały skórę i wyostrzały jego rysy. Wydatne szczęki i pogardliwy grymas ust bardziej niż kiedykolwiek nadawały mu wygląd dzikiego kozła.

Wyjął z kieszeni grzebień i zaczął przygładzać siwe włosy, zaczesując je do tyłu, ale nagle opuścił rękę: uświadomił sobie, że robi to, żeby dobrze wypaść w ich oczach. Dlatego, że boi się tego spotkania. Boi się konfrontacji z własnym dziełem, owocem wieloletnich wysiłków...

Po przewrocie roku 1980 musiał uciekać z kraju, schronił się w Niemczech. Kiedy w roku 1983 powrócił, sytuacja unormowała się, ale większość jego towarzyszy broni, bojowników Szarych Wilków, wciąż siedziała w więzieniach. Był więc osamotniony, nie zrezygnował jednak z walki. Postanowił w najgłębszej tajemnicy organizować na nowo obozy szkoleniowe, zakładając własną podziemną armię. Jego celem było 440

stworzenie nowych i lepszych Szarych Wilków. Co więcej, mieli to być bojownicy wierni jego przekonaniom politycznym, a zarazem zdolni do realizowania jego planów w działalności przestępczej.

Wyruszył w podróż po Anatolii, by osobiście dokonać wyboru podopiecznych swej fundacji. Organizował obozy, śledził postępy wyróżniających się młodocianych aktywistów, stworzył kartotekę, dzięki której mógł wyselekcjonować prawdziwie

elitarną grupę do zadań specjalnych. Wkrótce stało się to jego pasją. Irańska rewolucja spowodowała otwarcie nowych możliwości na rynku handlu opium i Kudseyi wykorzystywał je skwapliwie, jednocześnie zaś całą duszą oddawał się wychowaniu nowego pokolenia Wilków.

Dzieci wieśniaków, które przypominały mu własną przeszłość zwykłego ulicznika, stały mu się bliższe niż spadkobiercy fortuny, których spłodził w podeszłym już wieku z córką pewnego byłego ministra. Odbywali teraz studia w Oksfordzie i na Uniwersytecie Berlińskim, ale własne potomstwo stało mu się obce. Kudseyi uważnie analizował dossier swych podopiecznych, odnotowywał talenty i szczególne uzdolnienia, a przede wszystkim trudną do zdefiniowania chęć zmiany własnego losu, dążenie do wyrwania się i zmiany statusu społecznego. Szukał uczniów najbardziej obiecujących, potem wspierał ich fundowanymi przez siebie stypendiami, by wcielić w końcu do swojej „rodziny”.

Pasja przerodziła się w niemal chorobliwą obsesję. Sprawa narodowa była już tylko pretekstem, tak naprawdę liczyły się wyłącznie jego osobiste ambicje. Fascynowała go możliwość zdalnego kierowania ludzkim losem; niczym demiurg stwarzał ludzi i decydował o ich życiu...

Spośród wielu stypendystów szczególnie zainteresowało go dwoje — chłopak i dziewczyna.

Zdawali się niezwykle obiecujący.

Azer Akarsa, pochodzący z wioski położonej u stóp starożytnego sanktuarium Nemrut Dag, przejawiał wyjątkowe uzdolnienia. W wieku szesnastu lat był już oddanym sprawie aktywistą i czynił jednocześnie wielkie postępy w nauce. Nade wszystko zaś szczerze pasjonował się dawną Turcją i wyznawał

441

nacjonalistyczne poglądy. Działał w podziemnej komórce organizacji w Adiyaman i zgłosił się na ochotnika do zbrojnych bojówek; zamierzał też wstąpić do armii, żeby wziąć udział w walkach z Kurdami.

Azer cierpiał na cukrzycę, ale Kudseyi postanowił, że choroba nie może mu przeszkodzić w spełnieniu się przeznaczenia, nie może go powstrzymać od zostania Wilkiem, toteż zapewnił mu opiekę najlepszych lekarzy.

Sema Hunsen miała wtedy 14 lat. Pochodziła z zabitej deskami wioski pod Gaziantep; zdołała jednak dostać się do college'u i uzyskać rządowe stypendium. Sprawiała wrażenie młodej i inteligentnej Turczynki, która pragnie za wszelką cenę odmienić swój los. Dążyła jednak do czegoś więcej, pragnęła także zmienić oblicze swego kraju. W komórce Idealistów w Gaziantep Sema była jedyną dziewczyną. Zgłosiła się na szkolenie w obozie w Kayseri razem z innym chłopakiem z tej samej wioski, Kiirsatem Milihitem.

Kudseyi od razu zwrócił uwagę na tę dziewczynę. Spodobała mu się jej zawziętość i determinacja. Nikt nie domyślał się, jaki talent i pasję polityczną kryje w sobie .ta ruda, pulchna wieśniaczka — tylko jej dzikie spojrzenie było niczym kamień ciśnięty w twarz...

Ismail Kudseyi wiedział, że wkrótce Azer i Sema staną się czymś znacznie więcej niż zwykłymi stypendystami. Ich przeznaczeniem było wcielić się w szeregi bezimiennej armii, walczącej w imię sprawy narodowej i broniącej przy tym jego, Kudseyia, interesów. Oboje mieli stać się jego protegowanymi, jego adoptowanymi dziećmi, ale on sam pragnął pozostać w cieniu; chciał kierować ich życiem z daleka i w ukryciu.

Mijały lata. Protegowani nie zawiedli i spełnili pokładane w nich nadzieje. Azer w wieku dwudziestu dwóch lat ukończył fizykę i chemię na uniwersytecie w

Istambule, a dwa lata później uzyskał dyplom z handlu zagranicznego w Monachium. Sema ukończyła z wyróżnieniem liceum Galatasaray i zdała na anglistykę w Istambule; posługiwała się płynnie czterema językami: tureckim, francuskim, angielskim i niemieckim.

Oboje pozostali aktywnymi działaczami politycznymi, można im było powierzyć kierownictwo lokalnych komórek organiza-442

ej i, ale Kudseyi nie miał zamiaru marnować ich uzdolnień. Przeznaczył ich do innych, znacznie ambitniejszych zadań. Zadania te dotyczyły przede wszystkim jego narkotykowego imperium...

Pojawiły się też jednak pewne trudności. Azer zachowywał się niekiedy w sposób niepokojący. Jeszcze w roku 1986, kiedy chodził do liceum francuskiego, podczas bójki poważnie okaleczył jednego z kolegów. Charakter obrażeń wskazywał nie tyle na przyływ gniewu, co dowodził przerażającej determinacji i zimnego spokoju. Kudseyi musiał użyć wszystkich swoich wpływów, by uchronić go przed aresztowaniem.

Dwa lata później, już jako student, Azer został przyłapany podczas dokonywania sekcji żywej myszy. Ponadto jakieś studentki skarżyły się na niego z powodu obscenicznego zaczepka, a później, w swoich szafkach w przebieralni na basenie, znalazły zawinięte w bieliznę wypatroszone zdechłe koty.

Kudseyi zrozumiał, że Azer przejawia skłonności patologiczne, i był przekonany, że potrafi je wykorzystać. Nie wiedział jednak jeszcze dokładnie, jaki jest ich charakter. Wszystko wyjaśnił pewien przypadek: podczas studiów w Monachium Azer wyładował w szpitalu z powodu ostrego ataku cukrzycy. Lekarze zastosowali nietypową terapię. Poddali go nadciśnieniu w specjalnym kesonie, co miało spowodować dotlenienie organizmu.

Podczas tych seansów Azer zaczął majaczyć pod wpływem tak zwanej choroby kesonowej. Wrzeszczał, że chce zabijać kobiety, „wszystkie kobiety!”, torturować i niszczyć ich twarze, aż będą przypominać antyczne maski, które przemawiają do niego we śnie. Objawy patologii nie ustępowały pomimo aplikowania środków uspokajających; w swoim pokoju Azer wydrapywał na ścianie, przy łóżku, wizerunki twarzy o zniekształconych rysach, z uciętym nosem i połamanymi kośćmi, którym za pomocą własnej spermy przyklejał swoje włosy.

Zaniepokojeni niemieccy lekarze powiadomili turecką fundację pokrywającą koszty leczenia studenta. Kudseyi osobiście wybrał się do Monachium. Medycy wytłumaczyli mu, na czym polega problem, i zasugerowali natychmiastowe rozpoczęcie leczenia w zakładzie psychiatrycznym. Kudseyi wysłuchał ich 443

uważnie, ale po tygodniu odesłał Azera z powrotem do Turcji. Był przekonany, że potrafi zapanować nad morderczym obłędem podopiecznego i wykorzystać ów obłęd do swoich celów.

Sema Hunsen sprawiała kłopoty innego rodzaju. Była skryta, trzymała się na uboczu, wciąż wymykała się poza schematy wyznaczone przez organizację. Kilka razy próbowała uciec z internatu w Galatasaray. Raz zatrzymano ją na granicy bułgarskiej, kiedy indziej na lotnisku Atatiirka w Istambule. Niezależność stała się jej obsesją, zrobiła się agresywna, chciała za wszelką ceną wyrwać się na swobodę. I w jej przypadku Kudseyi uznał słabość za swoisty atut, który należało odpowiednio wykorzystać. Postanowił zrobić z niej kuriera, przeznaczyć ją nie kończącej się wędrówce i życiu w konspiracji.

W połowie lat dziewięćdziesiątych przebojowy młody biznesmen Azer Akarsa stał się również Wilkiem, działającym w ukryciu. Kudseyi powierzył mu kilka misji,



polegających na zastraszeniu opornych i zapewnieniu bezpieczeństwa chronionym osobom; Azer wywiązał się z zadań bez zarzutu. Można było mieć pewność, że granicę zabójstwa przekroczy bez najmniejszego wahania. Azer lubił widok krwi i to bardzo.

Pojawił się kolejny kłopot. Akarsa założył własne ugrupowanie polityczne składające się z nacjonalistów o skrajnych przekonaniach politycznych, znacznie radykalniejszych niż oficjalna ideologia partii. Azer, wraz ze swoimi ludźmi, otwarcie deklorował pogardę dla dawnych działaczy Szarych Wilków, którzy ustatkowali się i poszli na kompromis, podejmując współpracę ze skorumpowanymi instytucjami państwowymi; większą jeszcze nienawiść żywił do mafii, działającej pod przykrywką narodowej ideologii, a Kudseyi był przecież jednym z najpotężniejszych jej przedstawicieli. Ismai'l z goryczą przyglądał się poczynaniom swego wychowanka, nad którym coraz trudniej było mu zapanować... Szukając pociechy, z tym większą nadzieją spoglądał na Semę Hunsen. „Spoglądał” nie było słowem najwłaściwszym, ponieważ nigdy nie widział jej z bliska, ona zaś, po ukończeniu studiów, znikła z pola widzenia. Podejmowała się kolejnych misji, ponieważ czuła się zobowiązana wobec organizacji, 444 narzuciła jednak w zamian warunek całkowitego braku bezpośrednich kontaktów ze zleceniodawcami.

Kudseyiowi nie bardzo się to podobało, ale skoro za każdym razem transport docierał bezpiecznie na miejsce przeznaczenia... Jak długo mógł funkcjonować wzajemny układ oparty na takich zasadach? W każdym razie, tajemnicza osobowość Semy fascynowała go coraz bardziej, obserwował z daleka jej działania, podziwiał jej wyczyny.

Sema szybko stała się pośród Szarych Wilków postacią niemal legendarną, ukrytą gdzieś w labiryncie granic i obcych języków. Niektórzy powiadali, że widzieli ją na granicy Afganistanu, ale miała zasłonę na twarzy. Inni zapewniali, że rozmawiali z nią w pewnym tajnym laboratorium, działającym w pobliżu granicy syryjskiej, ale przez cały czas spotkania nie zdjęła maski chirurgicznej. Jeszcze kto inny przysięgał, że prowadził z nią negocjacje na wybrzeżu Morza Czarnego, ale wszystko odbywało się w jakiejś dyskotece, przy oślepiającym blasku lamp stroboskopowych.

Kudseyi wiedział, że wszystko to jest kłamstwem. Nikt nigdy nie widział Semy, przynajmniej tej prawdziwej. Stała się postacią abstrakcyjną, zmieniającą tożsamość, trasę, styl pracy i techniki zależnie od potrzeb. Była nieuchwytna; jedynym namacalnym dowodem jej istnienia były kolejne transporty narkotyków docierające na miejsce.

Sema nie wiedziała o tym, ale tak naprawdę nigdy nie była sama. Kudseyi czuwał nad nią bezustannie i zawsze był w pobliżu. Ani razu nie zdarzyło się, by konwojowała transport należący do kogoś innego. Zawsze towarzyszyli jej jego ludzie, nadzorujący z daleka i dyskretnie jej poczynania. Ismai'l Kudseyi był też niejako obecny wewnątrz niej.

Nie wiedziała o tym, że kiedy w roku 1987 wylądowała w szpitalu z powodu ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego, Kudseyi polecił lekarzom dokonać sterylizacji przez podwiązanie jajowodów. Zabieg nie wywołuje zakłócenia cyklu hormonalnego, ale jego skutki są nieodwracalne. Lekarze przeprowadzili operację, posługując się narzędziami optycznymi, wprowadzonymi do otrzewnej przez niedostrzegalne niemal nacięcia. Żadnych śladów, żadnych blizn...

445

Kudseyi nie miał wyboru. Musiał to zrobić, bo jego bojownicy byli

niewpowtarzalni, nie mieli prawa się rozmnażać. Tylko on sam mógł ich tworzyć, rozwijać albo unicestwiać. Pomimo tego przekonania, dręczyły go odtąd obawy; miał wrażenie, że pogwałcił jakiś święty zakaz; że wdarł się na obszar tabu. Często widział we śnie białe ręce, trzymające krwawe wnętrzości. W jakiś niejasny sposób przeczuwał, że ta organiczna tajemnica może kiedyś spowodować katastrofę...

W końcu Kudseyi musiał przyznać, że w obu przypadkach poniósł klęskę — przybrane dzieci zawiodły go. Azer Akarsa stał się psychopatycznym mordercą, przewodził samodzielnej grupie uderzeniowej złożonej z fanatyków, przyozdabiających twarze dziwnymi malunkami. Uważali się za spadkobierców dawnych Turków i przygotowywali zamachy skierowane przeciwko państwu tureckiemu i działaczom Szarych Wilków, którzy zdradzili sprawę. Kto wie, może i sam Kudseyi był na ich czarnej liście. Sema coraz bardziej oddalała się, stała się niewidocznym posłańcem, paranoicznym i schizofrenicznym zarazem — i tylko czekała, żeby zniknąć na zawsze. Wychował dwie źmije na swoim łonie... Albo raczej dwa wściekłe wilki, gotowe w każdej chwili skoczyć mu do gardła.

Nadal jednak zlecał im odpowiedzialne zadania w przekonaniu, że nie zdradzą klanu, któremu zawdzięczają wszystko i który obdarzył ich takim zaufaniem. Przede wszystkim wierzył święcie, że skoro tyle serca i energii włożył w ich wychowanie, los nie ośmieli się wyrządzić mu takiej krzywdy.

Dlatego minionej wiosny, gdy trzeba było przemycić transport, od którego miała zależeć przyszłość historycznego sojuszu, jednoczącego mafie obszaru Żółtego Półksiężycy, bez chwili wahania wypowiedział to jedno imię: Sema.

Dlatego też, gdy wydarzyło się nieuniknione i zdrajczyni przepadła z heroiną, mógł wyznaczyć tylko jednego zabójcę: Azera.

Przedtem nie mógł się zdobyć na decyzję o wyeliminowaniu któregokolwiek z nich; teraz poszczuł jedno na drugie, modląc się w duchu, by unicestwili się wzajemnie. Wszystko jednak znów poszło nie tak, jak się spodziewał. Sema zniknęła jak

446

kamfora, a Azer wskórał tylko tyle, że w wyniku dokonanych przez niego krwawych morderstw wystosowano za nim międzynarodowy list gończy. Kartel Kudseyia wydał już na niego wyrok. Akarsa stał się zbyt niebezpieczny.

Nagle wydarzyło się coś, co zaskoczyło go po raz kolejny.

Sema pojawiła się.

I chciała się z nim spotkać.

Znów okazało się, że to ona ustala reguły gry.

Ostatni raz popatrzył na siebie w lustrze i nagle zobaczył w nim zupełnie innego człowieka: wysuszonego, kościstego starca. Skamieniałego drapieżnika, przypominającego ów prehistoryczny szkielet, który odkopano właśnie w Pakistanie...

Wsunął grzebień do kieszeni i uśmiechnął się krzywo do swojego odbicia.

Jakby pozdrawiał trupią czaszkę o pustych oczodołach. Odwrócił się i rzucił rozkaz strażnikom: — Geldiler. Beni yolniz bimkin\*.

\* Już są. Zostawcie mnie samego.

Sala, którą nazywał komnatą medytacji, miała powierzchnię stu dwudziestu metrów kwadratowych; wyłożona była podłogą z surowego drewna. Równie dobrze mógłby ją nazwać salą tronową. Na podwyższeniu, do którego prowadziły trzy stopnie, stała długa kanapa w kolorze kości słoniowej, na niej haftowane złotą nicią poduszki.

Obok kanapy był niski stół. Umieszczone po obu stronach podwyższenia lampy malowały na białych ścianach łuki przyćmionego światła. Pod ścianami ustawiono skrzynie z rzeźbionego drewna, inkrustowane masą perłową.

Poza rym sala była pusta.

Kudseyi lubił to surowe wnętrze, dopatrywał się w jego przestrzeni czegoś mistycznego — było jakby stworzone dla sufickiej modlitwy.

Wszedł po stopniach na podwyższenie. Odstawił laskę. Na stole, jak zwykle, czekał na niego ayran, napój sporządzony z jogurtu i wody. Nalał sobie pełny kubek i opróżnił go jednym haustem. Rozkoszując się świeżością rozlewającą się po całym ciele, spojrzął na swój skarb.

Ismail Kudseyi był posiadaczem największej kolekcji kilimów w Turcji, a najcenniejszy eksponat znajdował się właśnie tutaj, zawieszony nad kanapą.

Był to niezbyt duży stary dywan, wielkości mniej więcej metr na metr; ciemnoczerwony, z obramowaniem w kolorze 448

ciemnożółtym, w barwach starego złota, zboża, skórki chleba. Pośrodku karmazynowego kwadratu widniał błękitno-czarny prostokąt, symbolizujący niebo i nieskończoność. Wewnątrz prostokąta umieszczono wielki krzyż, ozdobiony baraniami rogami — symbolem męskości wojownika. Ponad krzyżem rozpościerał swe skrzydła orzeł — jakby krzyż chronił i go strzegł. Na obramowaniu prostokąta utkane było drzewo życia, kwiaty zimą wita niosącego szczęście i radość oraz haszysz — magiczny krzew zapomnienia i wiecznego snu...

Kudseyi potrafił godzinami wpatrywać się w to arcydzieło. W jego oczach wzory kilimu stanowiły doskonały obraz otaczającego go świata wojny, narkotyków i władzy. Pasjonowała go też zagadka tych filigranowych wełnianych splotów. Po raz kolejny zadał sobie pytanie: „Gdzie jest trójkąt? Gdzie jest szczęście?”.

Przemiana, jakiej dokonała, zrobiła na nim ogromne wrażenie. Z dziewczyny przy kości stała się wychudzoną brunetką

0 wyglądzie nowoczesnej kobiety z żurnali: drobne piersi, wąskie biodra. Miała na sobie pikowany czarny płaszczyk

1 czarne proste spodnie, buciki z kwadratowymi noskami. Stuprocentowa paryżanka.

Przede wszystkim jednak zadziwiła go jej nowa twarz. Ile operacji, ile ran trzeba było, żeby uzyskać taki wynik? Nieroz-poznawalna twarz zdawała się głośno krzyczeć o przemożnym pragnieniu ucieczki, wyrwania się spod jego jarzma. Mógł wyczytać to z jej oczu koloru indygo. Ten ciemny błękit połyskiwał niezyczliwie spod ciężkich powiek, odpychając spojrzenie intruza. O tak, pomimo europejskiej powierzchowności Semy, Kudseyi dostrzegał wyraźnie w tym spojrzeniu twardy charakter nomadów, z których sam się wywodził — dziką energię zrodzoną z wiatrów pustym i palącego słońca. - Nagle poczuł się stary. I skończony.

Jak wyschnięta mumia o spopielałych wargach.

Czekał, siedząc na kanapie, aż Sema zbliży się do niego. Ochroniarze przeszukali ją dokładnie, starannie obmacując każdą część jej ubrania; przedtem musiała przejść przez bramkę

449

z wykrywaczem metalu. Skończywszy rewizję, dwaj strażnicy stanęli obok niej, z obu stron, z odbezpieczonymi i przeładowanymi MP-7 w rękach. Azer trzymał się na uboczu, on również był uzbrojony.

Pomimo tych wszystkich środków ostrożności, Kudseyi czuł dziwny lęk. Instynkt wojownika podpowiadał mu, że ta na pozór bezbronna kobieta nadal jest

niebezpieczna. Czuł się nieswojo: co skłoniło ją do tego kroku? Dlaczego tak po prostu oddała się w jego ręce?

Sema spoglądała na wiszący za nim na ścianie kilim.

— To jeden z najstarszych dywanów na świecie. Odnaleźli go rosyjscy archeolodzy w bloku lodu, w pobliżu granicy mongolskiej. Ma przypuszczalnie około dwóch tysięcy lat. Uczeni sądzą, że należał do Hunów. Krzyż, orzeł, rogi barana.

Wyłącznie męskie symbole. Musiał wisieć w namiocie jakiegoś wodza klanu.

Sema milczała. Kłująca szpila ciszy.

— To męski kilim — ciągnął Kudseyi.—Z tym jednak, że, jak wszystkie inne kilimy Azji Środkowej, został utkany przez kobietę — uśmiechnął się i zamilkł na chwilę. — Często ją sobie wyobrażam: matkę wyłączonej ze świata wojowników, której dzieło trafiło aż do namiotu chana.

Sema stała bez ruchu, strażnicy tuż przy niej.

— W tamtych czasach kobieta tkająca kilim zawsze ukrywała w nim, pośród innych motywów, trójkąt, by chronić go przed złym spojrzeniem. Podoba mi się ten sposób myślenia: kobieta cierpliwie i pracowicie tka męski kilim, pełen wojowniczych symboli, ale gdzieś na obrzeżu przemyca symbol macierzyństwa. Czy potrafisz go znaleźć, trójkąt przynoszący szczęście, na., tym kilimie?

Żadnej odpowiedzi, żadnego poruszenia z jej strony.

Sięgnął po karafkę z ayranem, powoli napełnił kubek i jeszcze wolniej wypił z niego łyk napoju.

— Nie potrafisz go znaleźć? — powiedział w końcu. — Nieistotne. Ale ta historia przypomina mi twoją historię, Semo. Opowieść o żyjącej pośród mężczyzn kobiecie, która ukrywa coś, co dotyczy nas wszystkich. Coś, co ma zapewnić nam szczęście i dostatek.

450

Zawiesił głos, by nagle krzyknąć głośno:

— Gdzie jest trójkąt, Semo? Gdzie jest heroina?! Żadnej reakcji. Słowa spływały po niej jak krople deszczu.

Nie był nawet pewien, czy go słucha. Nagle powiedziała:

— Nie wiem.

Uśmiechnął się znów, myśląc, że w ten sposób Sema zaczyna negocjacje, ale kobieta natychmiast wyprowadziła go z błędu.

— Zostałam aresztowana we Francji, poddali mnie warunkowaniu psychicznemu, praniu mózgu. Nie przypominam sobie mojej przeszłości. Nie wiem, gdzie są narkotyki. Nawet nie wiem już, kim jestem.

Kudseyi poszukał spojrzeniem Azera; on również wydawał się osłupiały ze zdumienia.

— Sądysz, że uwierzę w takie bzdury? — spytał.

— Trwało to dość długo — odpowiedziała spokojnie Sema. — Ich postępowanie polegało na poddaniu mnie sugestii pod wpływem substancji radioaktywnej.

Większość ludzi, którzy tego dokonali, nie żyje lub została aresztowana. Łatwo sprawdzić: wszystko jest we wczorajszych i przedwczorajszych francuskich gazetach.

Kudseyi nieufnie pokręcił głową.

— Policja przejęła heroinę?

— Oni nawet nie wiedzieli, że istnieją jakieś narkotyki.

— Co takiego?!

— Nie wiedzieli, kim jestem. Wybrali mnie, ponieważ znaleźli mnie w stanie szoku w łaźni Gurdileka, po napadzie Azera. Zatarli moją pamięć, nie znając

mojej tajemnicy.

— Sporo wiesz, jak na kogoś, kto stracił pamięć.

— Przeprowadziłam dochodzenie.

— Skąd znasz imię Azera?

Sema uśmiechnęła się przez chwilę, krótką jak trzask migawki aparatu fotograficznego.

— Wszyscy je znają. Wystarczy poczytać gazety. Kudseyi nie żyłby tak długo, gdyby nie poznał już dawno pewnego podstawowego prawa: im bardziej fakty wydawały się nieprawdopodobne, tym większe były szanse, że są prawdziwe. Jednego jednak nie mógł wciąż zrozumieć.

— Dlaczego wróciłaś?

451

— Żeby przekazać wieść o śmierci Semy. Umarła razem z moją pamięcią.

Kudseyi roześmiał się.

— Liczysz na to, że pozwolę ci odejść?

— Nie liczę na nic. Jestem kim innym. Nie chcę uciekać z powodu kobiety, którą już nie jestem.

Wstał i postąpił kilka kroków. Potrząsnął laską w jej stronę.

— Musiałaś naprawdę postradać pamięć, skoro przyszłaś do mnie z pustymi rękami!

— Nie ma już winnej. Nie ma więc i kary.

Poczuł dziwne ciepło w żyłach. To niewiarygodne, ale kuśilo go, żeby ją oszczędzić. Dopuszczał w każdym razie możliwość takiego rozwiązania, byłoby to nawet najoryginalniejsze, najbardziej wyrafinowane wyjście z sytuacji. Pozwolić ulecieć tej nowej istocie, zapomnieć o wszystkim... Jednak odpowiedział, patrząc jej prosto w oczy:

— Nie masz już twarzy. Nie masz już przeszłości. Nie masz już imienia. To prawda, stałaś się niejako bytem abstrakcyjnym. Nadal jednak potrafisz cierpieć.

Obmyjemy nasz honor w twojej krwi...

Ismaifl Kudseyi przerwał w pół słowa.

Kobieta wyciągnęła w jego stronę otwarte dłonie.

Na każdej z nich widniał rysunek wykonany henną. Wilk wyjący do czterech księżyców. Znak zjednoczenia. Symbol używany przez członków nowego sojuszu. On sam dołożył do trzech sierpów otomańskiego sztandaru czwarty jako symbol Złotego Półksiężycyca.

Kudseyi wypuścił z ręki laskę i krzyknął, wskazując Semę palcem:

— Ona wie. ONA WIE!

Korzystając z chwili zaskoczenia, skoczyła za jednego z ochroniarzy, obejmując go obiema rękami od tyłu. Jej dłoń zacisnęła się na palcach strażnika i języku spustowym MP-7; seria pocisków przeszła Kudseyia stojącego na podwyższeniu.

Poczuł, jak jakaś siła odrywa go od podłoża i ciska pod kanapę. Upadł na podłogę, pchnięty przez drugiego ze strażników, i zobaczył swojego wybawcę zalanego krwią. Jego pistolet maszynowy jeszcze przez chwilę strzelał dookoła,

452

roztrzaskując drewniane skrzynie na tysiące kawałków. Trysnęły iskry jak łuk elektryczny; sufit odpowiedział im tumanem gipsowego pyłu. Pierwszy z mężczyzn, ten, którym Sema posłużyła się jako tarczą, padł na ziemię w chwili, gdy wyrwała mu pistolet.

Kudseyi nie widział Azera.

Sema rzuciła się ku skrzyniom, kryjąc się za nimi. W tej samej sekundzie w progu pojawiło się dwóch następnych strażników. Dwa strzały z pistoletu Semy skosiły

ich, nim zdążyli wbiec do środka.

Ismail Kudseyi chciał wczougać się za kanapę, ale nie mógł się poruszyć. Ciało nie słuchało już poleceń wydawanych przez mózg. Leżał nieruchomo na deskach podłogi jak sparaliżowany. Dopiero teraz zrozumiał, że został trafiony.

W drzwiach zjawili się jeszcze trzej strażnicy, strzelali i znikali po kolei za nasypem z ciał. Kudseyi mrużył oczy od ognia wystrzałów, lecz przestał słyszeć detonacje, jakby jego uszy i mózg były pełne wody.

Skulił się, wpijając palce w poduszkę. Przeszywał go palący skurcz w dolnej części brzucha, skurcz, który nie pozwalał mu się wyprostować. Popatrzył w tamtą stronę i zobaczył własne wnętrzności, wijące się między nogami.

Wszystko poczerniało. Kiedy odzyskał przytomność, zobaczył, jak przycupnięta za skrzynią Sema zmienia magazynek w pistolecie. Odwrócił się ku skrajowi podwyższenia i poruszył ręką. Jakaś część jego samego nie mogła w to uwierzyć: prosił o pomoc.

Prosił o pomoc Semę Hunsen!

Spojrzała w jego stronę. Ze łzami w oczach, Kudseyi znów poruszył ręką. Zawahała się przez chwilę i weszła po schodkach, schylona. Nad jej głową wciąż gwizdały kule. Mężczyzna jęknął ze wzruszenia i wdzięczności. Jego ręka uniosła się, ale kobieta

nie chwyciła jej.

Wyprostowała się i wycelowała w niego, napinając całe ciało, jak przy strzale z łuku.

W chwili olśnienia Ismail Kudseyi pojął wreszcie, po co Sema wróciła do Istambułu.

Żeby go zabić. Po prostu.

453

Żeby zniszczyć źródło nienawiści. Być może też po to, by pomścić swoje drzewo życia. Którego korzenie on unicestwił.

Znów stracił przytomność. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, jak Azer rzuca się na Semę. Stoczyli się na dół, pomiędzy strzępy ciał i w kałuże krwi. Smugi ognia wciąż przecinały powietrze, a oni walczyli — wściekle, zajadle, zmagając się bez słowa czy okrzyku, w milczeniu. Na śmierć i życie, w ostatecznym paroksyzmie nienawiści. Azer i Sema.

Jego przeklęty pomiot.

j

Sema próbowała wymierzyć z pistoletu w Azera, ale przyj gniótł ją ciężarem swojego ciała. Chwycił za gardło i wy-l ciągnął nóż. Wyszarpnęła się z jego chwytu i upadła na plecyj Uderzył, wbijając ostrze w jej brzuch. Sema wycharczał coś, plując krwią.

Leżący z wyciągniętą ręką na podwyższeniu Kudseyi widzia wszystko. Jego powieki opadały i wznosiły się jakby w zwolnionym tempie, w rytm ustającego bicia serca. Modlił się, żeby nie doczekać wyniku tej walki, ale nie mógł przestać na nich patrzeć.

Ostrze wzniosło się i uderzyło jeszcze raz, wbijając się coraz głębiej w ciało.

Sema zwinęła się wpół. Azer chwycił jej ramiona i przygwoździł do ziemi.

Zagłębił rękę w ziejącej ranie.

Ismail Kudseyi zanurzał się w ruchomych piaskach śmierci.

Na kilka sekund przed tym, jak zgasł, zobaczył szkarłatne ręce wyciągnięte w jego stronę, dzierżące krwawe trofeum...

Serce Semy ściśnięte w palcach Azera.

Epilog

Pod koniec kwietnia śniegi na szczytach gór wschodniej Anatolii zaczynają topnieć, otwierając drogę na jeden z najwyższych szczytów gór Taurus, Nemrut Dag. Sezon turystyczny jeszcze się nie zaczął i antyczne rzeźby odpoczywają w majestatycznej ciszy.

Po wypełnieniu kolejnych misji mężczyzna czekał zawsze na tę chwilę, by odwiedzić swoich kamiennych bogów.

Poprzedniego dnia przeleciał samolotem z Istanbulu do Adany, gdzie wylądował późnym popołudniem. Odpoczywał przez parę godzin w hotelu nieopodal lotniska, by w środku nocy wyruszyć w drogę wynajętym samochodem.

Jechał teraz na wschód, w kierunku odległego o czterysta kilometrów Adiyaman. Otaczały go pastwiska, rozległe jak ocean. Czuł w ciemności ich łagodne falowanie: to był pierwszy etap, pierwsze stadium oczyszczenia. Przypomniał mu się początek wiersza, który napisał w młodości, w języku staro tureckim:

Przemierzałem morza zieleni...

O wpół do siódmej, kiedy minął miasto Gaziantep, krajobraz zmienił się. W blasku świtu ukazał się jego oczom łańcuch gór Taurus. Falujące pola ustąpiły miejsca kamienistym pustko-

455

wiom. Zobaczył strome i postrzępione szczyty, czerwone w świetle poranka. W oddali otwierały się kratery jak wyschłe kwiaty słonecznika.

Przeciętny turysta zazwyczaj odczuwa na ten widok niewytłumaczalny, niejasny lęk, on jednak kochał odcienie ochry i żółci, intensywniejsze niż błękit porannego nieba. Ten surowy krajobraz ukształtował go, tu były jego korzenie. Przeszedł drugi etap oczyszczenia. Przypomniał sobie następny wers poematu:

Przemierzałem morza zieleni,

Obejmowałem ramionami kamienne urwiska, oczodoły

cienia...

Kiedy dojechał do Adiyaman, słońce kryło się za chmurami. Zatrzymał się na stacji benzynowej, nalał do baku benzyny; pracownik stacji umył w tym czasie przednią szybę jego samochodu. Spoglądał na szare kałuże i domy w różnych odcieniach brązu, rozrzucone aż do stóp wzgórza.

Na głównej ulicy zobaczył szyldek Matak i magazyny swojej firmy; wkrótce złożone miały tu zostać tony owoców, które potem powędrują do przetwórni i za granicę. Nie czuł ani cienia dumy z tego powodu. Tak banalne zajęcie, jak prowadzenie przedsiębiorstwa, nie interesowało go tak naprawdę nigdy.

Przejechał jeszcze pięć kilometrów i opuścił główną szosę. Nie było tu już asfaltu ani drogowskazów. Tylko droga wykuta w zboczu, wijąca się aż ku obłokom. Dopiero teraz naprawdę znalazł się w swoich rodzinnych stronach, pośród wzgórz pokrytych czerwonym pyłem, najeżonych groźnie pęków trawy, stadek ciemnoszarych owiec, niechętnie ustępujących z drogi przed samochodem. Minął wioskę, w której się urodził. Zobaczył kobiety w wyszywanych złotymi nićmi chustach. Czerwone twarze, jak wyrzeźbione z miedzi. Dzikie, twarde istoty wychowane na modlitwie i tradycji jak jego matka. Być może któraś z tych kobiet należała do jego rodziny...

Jeszcze wyżej dostrzegł pasterzy na zboczu góry, okrytych 456

zbyt obszernymi kapotami. Dwadzieścia pięć lat temu był jednym z nich. Pamiętał jeszcze żakardowy sweter, który miał zamiast płaszcza; z początku jego rękawy były za długie, ale z każdym rokiem stawały się coraz krótsze — jak swoisty kalendarz ukazujący upływ czasu.

Zaczęły powracać zapomniane odczucia: dotyk огоłonej skóry na głowie, gdy

zasłaniał się przed razami wymierzanymi przez ojca. Miękkość suszonych owoców, gdy, wracając z pastwiska, sięgał do wielkich worków, wystawionych na straganie. Łupiny orzechów zbieranych jesienią i brunatne plamy na rękach.

Ogarnęła go mgła.

Wszystko stało się białe, wilgotne jak z waty. Znalazł się w sercu chmur.

Pierwszy śnieg zagradzał drogę.

Przed ostatnim odcinkiem swej wędrówki zatrzymał się i założył łańcuchy na koła.

Tłukł się po wybojach jeszcze prawie przez godzinę. Zaspasy śnieżne były coraz bielsze i przybierały kształty leżących postaci. Ostatni etap oczyszczenia.

Gładziłem śnieżne zbocza, pudrowane różem piasku, krągłe jak ciało kobiety...

Dojechał w końcu do kresu drogi, gdzie trzeba było zostawić samochód pod skałami i iść dalej na piechotę, ku niewidocznemu pośród oparów mgły szczytowi góry.

Wyszedł z wozu i odetchnął rześkim, świeżym powietrzem. Wokół panowała śnieżna cisza, nieskalana jak blok kryształu.

Zaczerpnął głęboko tchu, mroźne powietrze wypełniło jego płuca. Znajdował się na wysokości ponad dwóch tysięcy metrów. Zostało jeszcze około trzystu metrów do szczytu. Zjadł dwie czekoladki, dostarczając organizmowi cukru i energii, potrzebnej, by sprostać wzmożonemu wysiłkowi. Ruszył pod górę z rękami w kieszeniach.

Idąc ledwo widocznym spod śniegu szlakiem, wyznaczonym przez kamienie, minął budkę strażniczą, zamkniętą na klucz aż do maja. Droga była coraz bardziej stroma. Musiał obejść urwisko i wspinać się dalej pochylony ku zboczowi, opierając się

457

o nie lewą ręką, uważnie stawiając kroki w skrzypiącym śniegu, by nie osunąć się w przepaść.

Zaczął oddychać szybciej, czuł, jak jego ciało budzi się na nowo do życia, a umysł się rozjaśnia. Doszedł do pierwszego, wschodniego tarasu, ale nie zatrzymał się. Znajdujące się tu rzeźby były zbyt zniszczone. Pozwolił sobie tylko na chwilę wytchnienia przy „ołtarzu ognia”, platformie wykutej z brązo-zielonego kamienia, spod której rozciąga się szeroki na widok na góry Taurus. Słońce wreszcie rozproszyło chmury. W głębi doliny widoczne były czerwone, żółte i szmaragdowe plamy — pozostałości żyznych pól dawnego królestwa. Promienie słoneczne rozświetlały ośnieżone krater, jarzące się oślepiającą bielą.

Miejscami poświata zdawała się rozplýwać w słonecznej mgiele, złotym pyłe, rozdrabniając każdy szczegół na miliard lśniących cekinów. Gdzie indziej znów słońce igrało z chmurami, cienie przesuwaly się po stokach gór jak grymasy na twarzy.

Ogarnęło go uczucie ekstazy. To była jego ziemia, on sam czuł się zjednoczony z nieogarnionym pięknem dookoła. Zdawało mu się, że mógłby w każdej chwili ujrzeć hordy swoich przodków na horyzoncie, pierwszych Turków, którzy przynieśli do Anatolii władzę i cywilizację.

Gdy przyjrzał się dokładniej swej wizji, spostrzegł, że to nie ludzie i nie konie przemierzają bezkresne stopy, lecz wilki. Stada srebrzystych wilków, zlewających się w jedno z ojczystą ziemią; boskich wilków gotowych zjednoczyć się ze śmiertelnikami, by spłodzić rasę wojowników bez skazy.

Szedł dalej drogą wiodącą ku zachodniemu zboczowi. Warstwa śniegu była coraz grubsza, ale zarazem biały puch stawał się lżejszy, bardziej ulotny. Rzucił okiem za siebie, przyglądając się swoim śladom, i pomyślał o znakach tajemnego pisma, wyrażającego brzmienie ciszy.



Dotarł wreszcie do następnego tarasu, na którym wznoszą się Kamienne Głowy. Jest ich pięć, pięć ogromnych głów, z których każda ma ponad dwa metry wysokości. Początkowo głowy te spoczywały na potężnych tułowiach u szczytu kurhanu, wewnątrz którego

458

znajdował się właściwy grobowiec, ale trzęsienia ziemi zniszczyły posągi. Potem zaś ludzie ustawili głowy, a bogowie zaczerpnęli z ziemi nową moc, jakby teraz ich ramionami stały się zbocza potężnej góry.

W środku stał król Antioch I, który chciał umrzeć pośród tych grecko-perskich bogów zaginionej, synkretycznej cywilizacji. Obok niego wznosił się posąg Dzeusa-Ahura Mazdy, władcy bogów, pana ognia i piorunów; Apolla-Mitry, który domagał się, by krew byków składanych w ofierze wyświęcała wyznawców; Tyche, bogini czuwającej nad płodnymi ziemiemi królestwa, w wieńcu z kłosów i owoców... Pomimo emanującej z nich mocy twarze miały coś z pogodnej młodości, nadawanej im przez zmysłowe usta i wijące się pukle bród oraz włosów. Zwłaszcza ich wielkie, białe oczy były rozmarzone... Nawet posągi strażników sanktuarium: lwa, władcy zwierząt, i orła, króla przestworzy, choć zniszczone i obsypane śniegiem, wyglądały równie dobrotliwie, jak wizerunki pozostałych uczestników orszaku. Czas jeszcze nie nadszedł, mgła wciąż była zbyt gęsta. Poprawił szalik na szyi i pomyślał o władcy, który to sanktuarium zbudował. Antioch Epifanes I był przekonany, że bogowie błogosławią jego rząd, co więcej sam uważał się za jednego z nich i dlatego polecił pochować swe doczesne szczątki na szczycie świętej góry.

Ismai'l Kudseyi także uzurpował sobie boskie prawo decydowania o życiu i śmierci swych poddanych. Zapomniał, że był zaledwie narzędziem sprawy, zaledwie ogniwem łańcucha prowadzącego do Turanu. Przez swą pychę zdradził własne ideały i zdradził Wilki. Podeptał prawa, które kiedyś głosił. Stał się człowiekiem zepsutym, a przez to słabym. Dlatego Sema zdołała go pokonać.

Sema. Poczł przyptyw goryczy. Uśmiercił ją, to prawda, ale nie odniósł zwycięstwa. Całe chaotyczne polowanie na nią było żalosną klęską; próbował nadrobić to po jej śmierci, ofiarowując bogom serce według pradawnego rytuału. Złożył je w ofierze kamiennym twarzom z Nemrut Dag, bogom, którym składał hołd, rzeźbiąc ich rysy w twarzach swych ofiar.

459

Mgła rozplywała się. Uklęknął w śniegu i czekał.

Za parę chwil mgła rozproszy się, przesłaniając po raz ostatni swym woalem gigantyczne głowy, użyczając im swej lekkości i dając im życie. Twarze rozmyją się, zatracą kontury, obłok mgły sprawi, że oderwą się od ziemi, że się niemal uniosą nad śniegiem. Nie sposób wówczas nie dostrzec, że oto nadchodzą, najpierw Antioch, potem Tyche i pozostali nieśmiertelni, pośród lodowych oparów. Wówczas ich wargi rozewrą się i przemówią do niego.

Nieraz już przemawiali doń, a on jeszcze jako dziecko nauczył się rozumieć ich szept, kamienny język niepojęty dla kogoś, kto nie urodził się w tym kraju, u stóp tej góry. Zamknął oczy.

Modlił się o łaskę gigantów; miał też nadzieję, że wyrocznia przemówi słowami oznajmującymi mu jego przyszłość. Co usłyszysz dziś od swych kamiennych nauczycieli?

— Nie ruszaj się.

Zamarł w bezruchu. Myślał, że to złudzenie, ale poczuł dotyk lufy przytkniętej do skroni. Głos powtórzył po francusku:

— Nie ruszaj się. Głos kobiety.

Odwrócił głowę i zobaczył wysoką postać w kurtce i czarnych spodniach, zwięzających się u dołu. Czarne włosy spływały na jej ramiona dwoma strumieniami spod wełnianej czapki.

Nie mógł pojąć, jakim cudem ta kobieta mogła podążać jego tropem i dotrzeć za nim aż tutaj.

— Kim jesteś? — spytał.

— Mniejsza o moje imię.

— Kto cię przysłała?

— Sema.

— Sema umarła.

Nie potrafił pogodzić się z tym, że ktoś zdołał go zaskoczyć, i to podczas świętej pielgrzymki.

— Towarzyszyłam jej w Paryżu — wyjaśniła kobieta. — Pomogłam jej uciec przed policją, odzyskać pamięć i wrócić do Turcji, żeby stawić wam czoło.

460

Azer pokiwał głową z namysłem. Rzeczywiście, od samego początku coś się nie zgadzało w historii Semy. Nie mogła ukrywać się przed nim tak długo bez niczyjej pomocy.

— Gdzie były narkotyki? — spytał niecierpliwie i od razu tego pożałował.

— Na cmentarzu, w urnie. „Niecو białego proszku pośród szarych prochów...”.

Znów skinął głową. To pasowało do cynizmu Semy, która traktowała swoją pracę jak wyrafinowaną grę. Wiedział, że ta kobieta mówi prawdę.

— Jak mnie znalazłaś?

— Sema napisała do mnie list. Wyjaśniła w nim wszystko, opowiedziała o swojej przeszłości i o tym, czym się zajmowała. Podała też imiona dawnych przyjaciół, a teraz wrogów.

Słyszał w jej słowach dziwny akcent, rodzaj zaśpiewu pod koniec każdego zdania.

Spojrzał ku posągom: nie obudziły się jeszcze.

— Po co się do tego mieszasz? — zdziwił się. — Ta historia jest już zakończona i wszystko dokonało się bez ciebie.

— To prawda, przybyłam za późno. Mogę jednak jeszcze zrobić coś dla Semy.

— Co takiego?

— Położyć kres zwyrodnieniu.

Uśmiechnął się i popatrzył na nią, mimo lufy wymierzonej w jego głowę. To była bardzo piękna kobieta o bardzo czarnych włosach. Jej twarz była blada i widać na niej było zmarszczki, ale te bruzdy nie szpeciły jej, przeciwnie, były dopowiedzeniem, dookreśleniem piękna. Była jak objawienie, które zapierało mu dech w piersiach.

— Czytałam o zabójstwach tamtych trzech kobiet. Zapoznałam się z ich okaleczeniami. Jestem psychiatrą i mogłabym postawić diagnozę, powiedzieć ci, jak medycyna określa twoje obsesje i nienawiść do kobiet. Tylko po co?

Zrozumiał, że przysłała tu, żeby go zabić. Śledziła go aż do tego miejsca, żeby go uśmiercić. Umrzeć z ręki kobiety: nie do pomyslenia. Skupił się na kamiennych głowach. Czy giganci powiedzą mu, co czynić?

461

— I szłaś za mną aż tutaj? — spytał, by zyskać na czasie.

— Bez trudu znalazłam w Istambule twoją firmę. Wiedziałam, że prędzej czy później wrócisz tam, pomimo listów gończych i prowadzonych poszukiwań... Kiedy wreszcie pojawiłeś się, nie spuściłam cię już z oczu. Śledziłam cię całym

dniami, szpiegowałam, obserwowałam. Ani razu nie pokazałeś się bez obstawy i zrozumiałam, że nie mam najmniejszych szans, by się do ciebie dostać, a tym bardziej zaskoczyć.

W jej głosie pobrzmiwała dziwna determinacja. Ta kobieta interesowała go; popatrzył na nią znowu. Poprzez obłoczek wydychanej przez nią pary dostrzegł frapujący szczegół: zbyt czerwone usta, pociemniałe od mrozu. Żywość tego koloru obudziła w nim na nowo całą nienawiść do kobiet. Była tym samym, co one wszystkie — przekleństwem i ostentacyjną pokusą, pewną swej władzy... — Wtedy zdarzył się cud — opowiadała dalej. — Pewnego ranka wyszedłeś z ukrycia i byłeś sam. Pojechałeś na lotnisko. Kupiłeś bilet do Adany; ja też. Myślałam, że wybierasz się do jakichś tajnych laboratoriów czy obozu treningowego. Dlaczego jednak byłeś sam? Pomyślałam przez chwilę, że może wybierasz się w odwiedziny do krewnych, ale jakoś nie pasowało mi to do ciebie. Twoją rodziną jest przecież wilcza horda... A więc dokąd? Sema napisała w liście, że pochodzisz ze wschodu, z okolic Adiyaman, i pasjonujesz się archeologią. Czekać na odlot samolotu, kupiłam mapy i przewodniki. Z nich dowiedziałam się o Nemrut Dag i kamiennych rzeźbach. Spękania kamiennych posągów wyglądały jak nacięcia na twarzach ofiar... zrozumiałam, że wzorowałeś się na nich. Teraz zaś wybierałeś się, by złożyć im hołd w tym niedostępnym sanktuarium, by spotkać się z własną psychozą.

Z wolna odzyskiwał spokój. Tak, to była niezwykła kobieta. Zdołała wytropić i osaczyć go na jego własnym terytorium. W pewnym sensie wraz z nim odbyła tę pielgrzymkę. Być może nawet śmierć z jej ręki nie była dla niego hańbiącą. Raz jeszcze spojrzął ku posągom. Bielily się teraz w oślepiających promieniach słońca. Nigdy przedtem nie wydawały mu się tak potężne, a zarazem tak odległe. Ich milczenie potwierdzało to: poniósł klęskę, nie był ich godzien.

462

Odetchnął głęboko i wskazał je ruchem głowy.

— Czujesz moc tego miejsca?

Wciąż na kolanach, dotknął dłonią różowego śniegu.

— Urodziłem się w dolinie, niedaleko stąd. Wtedy nie było tu turystów. Tutaj szukałem samotności. U stóp tych posągów ukształtowały się moje marzenia o władzy i ogniu.

— O śmierci i krwi. Uśmiechnął się z pobłażaniem.

— Pracujemy na rzecz przywrócenia wielkiego imperium tureckiego. Walczymy o supremację naszej rasy na Wschodzie. Wkrótce znikną granice środkowej Azji — mówimy tym samym językiem, wyrosliśmy z tych samych korzeni. Wszyscy jesteśmy potomkami Aseny, Białej Wilczycy.

— Twoja psychoza czerpie pożywkę z mitu.

— Mit to legenda oparta na rzeczywistych wydarzeniach. Legenda może stać się rzeczywistością. Wilki powróciły, by ocalić naród turecki.

— Jesteś tylko mordercą, który nie zna ceny krwi. Mimo słońca był zeszywniały, sparaliżowany od chłodu.

Wskazał lewą ręką śnieżny grzbiet, wibrujący w rozgrzanym powietrzu.

— Kiedyś, na tamtym tarasie, wojownicy obmywali się we krwi ofiarnych byków poświęconych Apollowi-Mitrze. Z tej tradycji wywodzi się wasz chrzęsty Łaska rodzi się z krwi.

Kobieta wolną ręką odgarnęła kosmyk włosów z czoła. Zmarszczki poczerwieniały od mrozu, były lepiej widoczne, ale przydawały jej solidnego i godnego wyglądu.

— A więc powinieneś się cieszyć, bo poleje się krew.

— Zaczekaj!

Wciąż nie pojmował jej odwagi i uporu.

— Przecież nikt rozsądny nie podejmuje takiego ryzyka bez powodu, zwłaszcza dla jakiejś kobiety, którą znał zaledwie przez kilka dni. Kim była dla ciebie Sema?

Zastanowiła się i przechyliła głowę na bok.

— Przyjaciółką.

Wypowiadając to słowo, uśmiechnęła się, a szeroki, czerwony uśmiech był potwierdzeniem prawdy. Jego los leżał w jej rękach.

463